

**JANUSZ JAROSZEWSKI**

# **OD PREHISTORII DO POHISTORII**

HISTORIA WIERZEŃ I WYOBRAŻEŃ



PUBLIKACJA O CHARAKTERZE NAUKOWO-ARTYSTYCZNYM



AKADEMIA SZTUK PIĘKNYCH  
IM. EUGENIUSZA GEPPERTA  
WE WROCŁAWIU



**JANUSZ JAROSZEWSKI**

# **OD PREHISTORII DO POHISTORII**

HISTORIA WIERZEŃ I WYOBRAŻEŃ



PUBLIKACJA O CHARAKTERZE NAUKOWO-ARTYSTYCZNYM



AKADEMIA SZTUK PIĘKNYCH  
IM. EUGENIUSZA GEPPERTA  
WE WROCŁAWIU

Janusz Jaroszewski / *OD PREHISTORII DO POHISTORII – Historia wierzeń i wyobrażeń.*  
Publikacja o charakterze naukowo-artystycznym

Wydawca / Akademia Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu  
50-156 Wrocław, pl. Polski 3/4 / [www.asp.wroc.pl](http://www.asp.wroc.pl)

Źródła finansowania / Utrzymanie Potencjału Badawczego Wydziału Malarstwa ASP we Wrocławiu /  
Środki z Działalności Kulturalnej Rektora ASP we Wrocławiu / Wkład własny autora

Recenzja / Prof. dr hab. Waldemar Okoń, Wydział Nauk Historycznych i Pedagogicznych,  
Instytut Historii Sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego

Recenzja / Dr Nauk Humanistycznych Urszula Małgorzata Benka, członkini Stowarzyszenia Pisarzy  
Polskich i PEN Clubu w Nowym Jorku, poetka i eseistka. Autorka wielu książek  
w tym esejów zebranych w tomie *Psychomitolityka* wydanym w 2002 roku

Posłowie / Urszula Małgorzata Benka

Opracowanie graficzne / Sławomir Pęczek / [www.editus.pl](http://www.editus.pl)

Redakcja / Janusz Jaroszewski

Korekta / Urszula Małgorzata Benka

Projekt książki / Janusz Jaroszewski

Projekt okładki / Janusz Jaroszewski

Tłumaczenie Abstraktu / Monika Kosiarska

Pierwsza strona okładki / Schematyczny rysunek *Kamienia Słońca* – azteckiego kamienia  
kalendarzowego o średnicy 4 metrów i wadze 24 ton. Ta płaskorzeźba pierwotnie umieszczona  
była w centrum ceremonialnego placu w stolicy Azteków Tenochtitlan-Tlatelolco (dziś miasto  
Meksyk), obecnie znajduje się w zbiorach Narodowego Muzeum Archeologicznego w Meksyku.

Panele w środku ukazują historię świata jako cztery następujące po sobie cykle stworzenia  
i zniszczenia – Ery: Jaguara, Wiatru, Deszczu i Wody, a obecną epokę – Piąte Słońce – uosabia  
postać wyrzeźbiona w centrum kompozycji

Strona tytułowa / Trzy ujęcia totemicznej, ludzko-zwierzęcej hybrydy z odłamaną głową  
(przypuszczalnie przedstawiała lampartę) odkrytej w jednym z mniejszych Okręgów w Gobekli  
Tepe. Ta wykonana w wapiennej bryle figura mierzy 192 centymetry. Jej szacunkowe datowanie  
to 8800–8000 lat p.n.e. Obecnie znajduje się w zbiorach Muzeum w Sanliurfi (dawnej Edessie),  
mieście w południowo-wschodniej Turcji

Czwarta strona okładki / Fotografia autora książki wykonana przez Jacka Samotusa

Wydanie pierwsze / Nakład 300 egzemplarzy

Druk i oprawa / ZAPOL SOBCZYK Sp. j., 71-062 Szczecin, al. Piastów 42

Wrocław 2021 / © Janusz Jaroszewski (Jaro) / © Akademia Sztuk Pięknych  
im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu

ISBN 978-83-66321-50-2



AKADEMIA SZTUK PIĘKNYCH  
IM. EUGENIUSZA GEPPERTA  
WE WROCŁAWIU

# Spis treści

|                                          |     |
|------------------------------------------|-----|
| I. Wiedza i wyobrażenia.....             | 5   |
| II. Granice wyobraźni.....               | 19  |
| III. Gatunek.....                        | 27  |
| IV. Gospodyni.....                       | 43  |
| V. Ogień i kamienne ostrza.....          | 55  |
| VI. Wenus tańcząca.....                  | 63  |
| VII. Pierwotna gynokracja.....           | 69  |
| VIII. Królestwo było w Eridu?.....       | 85  |
| IX. Narodziny pisma.....                 | 97  |
| X. Paleolityczny panteon.....            | 113 |
| XI. Mezolityczne odrodzenie.....         | 127 |
| XII. Armagedon w trzech odsłonach?.....  | 159 |
| XIII. <i>Zep Tepi</i> .....              | 183 |
| XIV. <i>Nawaprabhramsana</i> .....       | 211 |
| XV. Megalityczna teokracja.....          | 235 |
| XVI. Przybyli tu licznymi gromadami..... | 251 |
| XVII. <i>Wakah Chan</i> .....            | 269 |
| XVIII. Kuriozum.....                     | 279 |
| XIX. <i>Pacaritanpu</i> .....            | 287 |
| XX. Zagadka <i>Smoczego ogona</i> .....  | 299 |
| XXI. Zaginiony ląd?.....                 | 317 |
| XXII. Przybyli z gwiazd?.....            | 321 |
| XXIII. Czynniki X.....                   | 331 |
| XXIV. Wielkanocna apokalipsa.....        | 345 |
| XXV. Pułapki procesu domestykacji.....   | 355 |
| XXVI. Trzeci wymiar.....                 | 375 |
| XXVII. Stąd do pohistorii.....           | 395 |
| XXVIII. <i>Post scriptum</i> .....       | 409 |
| Posłowie.....                            | 411 |
| Bibliografia.....                        | 427 |
| Abstrakt / Abstract.....                 | 430 |



# I. Wiedza i wyobrażenia

*Historia to tylko uzgodniony zestaw kłamstw*<sup>1</sup>, tak miał się podobno wyrazić cesarz Francuzów, Napoleon Bonaparte. Co prawda, jest to zdanie kogoś, kto specjalizował się *tylko* w tworzeniu historii, a nie w jej komentowaniu, niemniej daje wiele do myślenia.

W rzeczy samej dwie są historie. Jedna z drugą przeplecione ściśle. Pierwsza to liczące miliardy lat dzieje Ziemi – zachodzących na niej długofalowych oraz raptownych procesów i zdarzeń. Historia druga, w pełni od tamtej zależna, to mikroskopijna historia ludzi i ich zachowań, wynikających z emocji i wyobraźni raczej niż z rozumu. Emocji oraz wyobrażeń odnoszących się do Wszechświata i tej pierwszej – nadrzędnej – historii. Przecież to z naszych rojeń, marzeń sennych, wizji oraz objawień wykluły się i wyewoluowały wszelkie wierzenia, a zaraz po nich konsekwentnie je religie czyli fundament pod budowę bardziej złożonych niż tylko plemienne, rozległych społecznych struktur. Aby struktury te scementować, potrzebne były mocne ideowo-kulturowe lepiszcza tworzone z założycielskich mitów, rytuałów, norm i obyczajów, reguł i zasad nienaruszalnych, bo podobno świętych – przekazanych z nieba. I tak oto w obrębie gigantycznej historii naturalnej powstał wielopiętrowy gmach ludzkich kultur.

Na marginesie dodam, że kulturom, które opanowały sztukę pisania, wojowania, administrowania metropoliami o charakterze *polis*, niezależnie od idei w nich wyznawanych i preferowanych, archeolodzy nadali miano cywilizacji, z czym trudno raczej się zgodzić. W tym względzie w pełni podzielam pogląd takich badaczy jak profesor Yoshinori, który w książce „Jomon Culture in the History of the Word” zaproponował inną od oficjalnej definicję: *cywilizacja pojawia się wtedy, gdy praktyczny system życia, czyli właściwa relacja pomiędzy człowiekiem i naturą, ustanowiona zostaje w harmonii z cechami danego regionu. To znaczy, gdy wieczny i uniwersalny styl życia ukształtowany jest tak, by uwzględniać miejscowy system ekologiczny wespół z potrzebami jego mieszkańców*<sup>2</sup>. Zdaniem

<sup>1</sup> Przytaczam za Dariuszem Ćwiklakiem, „Newsweek”, 9/2016, rubryka: *A to ci historia*.

<sup>2</sup> R. Rudgley, *Zaginione cywilizacje epoki kamienia*, Amber, Warszawa 1999, s. 39.

tego badacza, licząca około 13 tysięcy lat, japońska kultura Jomon z epoki kamienia w pełni na ten przydomek zasługuje, mimo, że nie posługiwała się pismem. W podobnym duchu wypowiedziała się znana amerykańska badaczka pochodząca z Litwy, Marija Gimbutas. We wstępie do książki „The Civilisation of the goddess” („Cywilizacja bogini”) napisała: *Archeolodzy i historycy przyjmują, że cywilizacja implikuje hierarchiczną organizację polityczną i religijną, konflikty zbrojne, podział na warstwy społeczne i kompleksowy podział pracy. Taki wzór jest typowy dla społeczności androkratycznych (z męską dominacją), takich jak indoeuropejskie, ale nie dla kultur gynokratycznych (z kobietą-matką w centrum).* Gimbutas w konkluzji wyraziła swoje stanowisko: *Odrzucam założenie, że pojęcie cywilizacji odnosi się jedynie do androkratycznych, wojowniczych społeczności. Twórcze podstawy cywilizacji zależą od jej stopnia aktywności artystycznej, osiągnięć estetycznych, wartości niematerialnych, wreszcie swobód, które czynią życie sensownym i satysfakcjonującym dla wszystkich obywateli, jak również stwarzają równowagę sił pomiędzy płciami*<sup>3</sup>. Ja z kolei z przykrością konstatuje, że większość współczesnych, a także historycznych kultur określanych jako cywilizacje, nie spełnia wymogów proponowanych przez tę dwójkę wnikliwych badaczy. Na swój wyłącznie użytek, od jakiegoś czasu o kulturach myślę jak o zwierzętach i dzielę je na: łagodne (wspomniana kultura Jomon, megalityzm maltański i cywilizacja doliny Indusu-Saraswati sprzed około 5–6 tysięcy lat), kultury stosunkowo łagodne (minojska), raczej drapieżne (starożytna Grecja), zdecydowanie drapieżne (sumeryjska, Egipt faraonów, Cesarstwo Rzymskie i wiele późniejszych). Moja prywatna klasyfikacja kultur w pierwszej kolejności uwzględnia społeczno-etyczny oraz ekologiczny aspekt preferowanych w ich ramach norm i wartości, zatem spełnia postulaty obojga cytowanych badaczy.

Nie bez powodu już na wstępie przedstawiłem pogląd Napoleona, ponieważ bardziej mnie intryguje historia *uzgadniania* owych zestawów *kłamstw* uchodzących za prawdy niż historia sama w sobie. Dzieje tych ustaleń są bardzo burzliwe. Większość z nas bowiem nie lubi swoich poglądów zmieniać; odmienne od aktualnie obowiązujących sposoby pojmowania rzeczy, zjawisk i zdarzeń, o czym od dawna wiemy, niemal zawsze w pierwszym odruchu budziły powszechną, gwałtowną dezaprobatę. Przykłady Giordana Bruna, Galileusza, Karola Darwina, a także Alberta Einsteina są bardzo wymowne. Galileusz twierdził: *Nasza wiedza pod względem „ekstensywności” zawsze jest niewspółmierna do tego, co mamy jeszcze do odkrycia.* Darwin z pewnością podzielał jego zdanie,

---

<sup>3</sup> Ibidem, s. 24, 25.

Einstein również, dodał nawet od siebie, że: *najbardziej niezrozumiała w świecie jest zrozumiałość*. Co więcej, o historii myślał w sposób podobny do cesarza Francuzów, tyle, że wypowiedział się w bardziej kurtuazyjny sposób: *Istnieje wewnętrzna lub intuicyjna historia i zewnętrzna lub dokumentalna historia. Ta druga – bardziej obiektywna, a ta pierwsza – bardziej interesująca*<sup>4</sup>. Zauważmy, że i przy takim sposobie dzielenia obie historie przenikają się płynnie. A skoro już jestem przy Einsteinie, przypomnę, bo to z dzisiejszej perspektywy wydaje się dosyć zabawne, że swego czasu w Niemczech ukazała się broszura zatytułowana: „Teorię względności propaguje się wśród mas”; jej autor napisał oburzony: *Ponieważ błędność teorii względności stała się oczywista dla kół naukowych, Einstein w coraz większym stopniu począł zwracać się do mas, nadając swojej teorii coraz bardziej publiczny charakter*.

Warto stale pamiętać, bo to też daje wiele do myślenia, iż zaledwie 180 lat temu naukowym kanonem tłumaczonym na wiele języków było wydane w 35 tomach, we Włoszech, w latach 1837–1846, dzieło Lombardczyka Cesare’a Cantu (1804–1895) zatytułowane „Historyja powszechna”. Ten szanowany wówczas badacz dziejów twierdził między innymi: *Chrystus zaś według obrachowania, jeżeli nie najgruntowniej udowodnionego, przynajmniej najpowszechniej przyjętego, narodził się roku 4004 po stworzeniu człowieka*<sup>5</sup>. Wiedza naukowa i ta czerpana z Biblii w zakresie historii najstarszej były w owym nieodległym czasie niemalże tożsame! I to mimo, że już ćwierć wieku wcześniej, bo w roku „pańskim” 1812, ukazało się fascynujące, ze wszech miar wizjonerskie dzieło „Studia nad kostnymi szczątkami kopalnymi” francuskiego zoologa i paleontologa Georges’a Cuviera (1769–1832). Sformułował on teorię kataklizmów (katastrofizmu), która zakładała, że *epoki geologiczne były oddzielone od siebie wielkimi katastrofami, zmieniającymi budowę Ziemi i niszczącymi istniejący świat organiczny, powstający w każdej epoce na nowo*<sup>6</sup>. Z tym ostatnim poglądem trudno się w pełni zgodzić, wszak na historię Ziemi i ludzkości mogły mieć znaczący wpływ również kataklizmy o nieco mniej drastycznej skali, ale zasadnicza intuicja zawarta w teorii Cuviera, w świetle współczesnych geologicznych, paleontologicznych i innych badań, wydaje się bardzo prawdopodobna. Co ciekawe, jego pogląd wzmacnia też przeszło sześćset mitów i legend ludów całego świata mówiących o apokaliptycznych zdarzeniach: globalnych potopach, ogromnych falach, trzęsieniach ziemi o niespotykanej

<sup>4</sup> B.G.Kutuzow, *Albert Einstein*, PWN, Warszawa 1966, s. 493.

<sup>5</sup> C. Cantu, *Historyja powszechna*, przekł. L. Rogalski, T. 1., Warszawa 1971, s. 101.

<sup>6</sup> Praca zbiorowa, *Z powrotem na Ziemię – Spór o pochodzenie cywilizacji ludzkich*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2000, s. 40.

sile, tajfunach, gigantycznych pożarach, żrących deszczach, wieloletnich, siarczystych mrozach... armagedonach, z których z życiem uszli nieliczni (według większości przekazów zwykle jedna para).

## MITY I KATASTROFIZM

Wiarygodność mitów z pewnością jest mocno wątpliwa. Nie sposób w tej kwestii pominąć opinii wybitnego znawcy sumeryjskiej literatury, Samuela N. Kramera, wyrażonej w dziele „Historia zaczyna się w Sumerze”: *Autorzy mitów lub, jak mówimy obecnie, mitografowie i poeci (...) nie troszczyli się o dowody ani argumenty, przeznaczone dla intelektu, lecz pragnęli tylko opowiedzieć historię odwołującą się raczej do doznań emocjonalnych. Dlatego też głównymi narzędziami ich sztuki pisarskiej nie były logika i rozsądek, lecz wyobraźnia i fantazja*<sup>7</sup>.

Prawda, że wszyscy w mniejszym lub większym stopniu jesteśmy mitografami, że skłonność do konfabulowania, a także dopasowywania faktów i zdarzeń do wcześniej założonych tez, mocno zakorzeniona jest w najgłębszych warstwach naszej psychiki, tak jak i podatność na różne sugestie i manipulacje. Przeważnie wierzymy w to, w co chcemy wierzyć, lub w to, w co aktualnie wierzy większość społeczeństwa. Zasadniczo trudno nie zgodzić się z poglądem Kramera – mity, podobnie jak rzeźby i obrazy przynależą do sfery sztuki, a nie nauki, odwołują się raczej do emocji, a nie racjonalnej logiki, do sacrum, a nie profanum, nie oznacza to jednak, że są tylko i wyłącznie zbiorem swobodnych wyobrażeń. Od niepamiętnych czasów sztuka była przenośnią wobec rzeczywistości, sposobem nadawania sensu istnieniu, nazywania tego, co nas przerasta. Dawni artyści, podobnie jak my, odnosili się do świata, w którym przyszło im żyć, czynili to za pomocą bogatego języka znaków, symboli, przenośni, analogii i metafor. André Malraux napisał (z czym w pełni się zgadzam) w „Głowie z obsydianu”: *Sztuka najlepiej odpowiada na pytania bez odpowiedzi*, natomiast Pablo Picasso stwierdził kiedyś niezwykle celnie: *Sztuka jest kłamstwem, które przybliża do prawdy*<sup>8</sup>. Z pewnością w mitach, baśniach, przypowieściach oraz legendach trudno doszukiwać się obiektywizmu, zwłaszcza, że do naszych czasów dotrwały tylko kopie kopii najstarszych przekazów, a więc narracje gruntownie przetworzone, nie oznacza to jednak, że nie zawierają w sobie ani ślędkę prawdy o rzeczywistych zdarzeniach. Zdarzeniach na

<sup>7</sup> S. N. Kramer, *Historia zaczyna się w Sumerze*, Warszawa 1961, s. 113.

<sup>8</sup> Oba cytaty pochodzą z książki *Głowa z obsydianu* autorstwa A. Malraux, PIW, Warszawa 1978.

tyle ważkich, że setki następujących po sobie pokoleń zadały sobie niemały trud, aby przez tysiąclecia przenieść o nich pamięć.

Wróćmy jednak do Cuviera.

Jego teoria katastrofizmu, która początkowo zyskała sporą liczbę wyznawców, już kilkanaście lat później została zakwestionowana przez Charlesa Lyella (1797–1875). W wydany w Anglii, w latach 1830–33, trzytomowym dziele „Podstawy geologii” zaproponował on przyjęcie jako obowiązującej zasady aktualizmu geologicznego (przeczącemu teorii Cuviera), poglądu zakładającego *a priori* długotrwałość geologicznych okresów, z czym większość ówczesnych badaczy w pełni się zgodziła. W świetle ostatnich odkryć związanych z zaiste trudnymi do wytłumaczenia zjawiskami klimatycznymi, z jakimi mieliśmy do czynienia pod koniec epoki kamiennej: gwałtownym topnieniem lądolodu pokrywającego północną część Ameryki Północnej oraz sporych terenów Europy i Azji, nagłym wymieraniem na tych obszarach ogromnej ilości gatunków zwierząt, zwłaszcza dużych ssaków, a także raptownym (liczonym w dziesiątkach, a nie tysiącach lat) podnoszeniem się poziomu wód mórz i oceanów (w niektórych rejonach globu nawet o 130 metrów!) i innymi tego typu zadziwiającymi anomaliami, nijak nie dającymi się tłumaczyć powolnym, długookresowym „aktualizmem geologicznym”, coraz większa grupa naukowców ponownie jest skłonna przychylić się do poglądów uwzględniających udział czynników raptownych (uderzeń komet, planetoid, gigantycznych erupcji wulkanów) na zachodzące na naszej planecie zmiany. Wielu badaczy przypuszcza również, że to właśnie te czynniki mogły mieć znaczący wpływ na przemiany dokonujące się w sferze naszych wyobrażeń – przemiany skutkujące pojawieniem się nowych wierzeń, religii i wyrosłych z nich kultur.

## ZAGADKI GÓRNEGO PALEOLITU

Historia oczywiście nie zaczęła się w Sumerze, choć niewątpliwie wciąż jeszcze ta cywilizacja uchodzi za pierwszą, która posługiwała się pismem, poprzedziły ją jednak długie tysiąclecia niezmiennie ciekawych kultur zrodzonych w okresie górnego paleolitu (40–10 tysięcy lat temu). Dodam, że pierwsze systematyczne badania nad tym okresem dziejów zaczęły się dopiero pod koniec XIX wieku, a więc bardzo niedawno. Przypomnę także, że wcześniejsze okresy epoki kamiennej archeolodzy nazywają środkowym paleolitem (trwającym od około 200 do 40 tysięcy lat temu) oraz paleolitem dolnym liczącym od pojawienia się pierwszych narzędzi kamiennych wytwarzanych i stosowanych przez *hominidae* – człowieko-

wate – około 2,4 miliona lat temu. Okres przejściowy pomiędzy paleolitem (kojarzonym ze zbieracko-łowieckim trybem życia) i neolitem (rolnictwo) nazwano mezolitem (epipaleolitem).

Najstarsze dotychczasowe znaleziska świadczące o wyznawaniu jakiegoś kultu: rzeźbione figurki, ryty, rysunki i malowidła naskalne pochodzą sprzed 30–40 tysięcy lat, z okresu wczesnego *Homo sapiens*, okresu zwanego dawniej oryński, a obecnie graweckim. Późniejsze przynależą do okresów solutrejskiego i magdaleńskiego, trwających do około 10 000 lat p.n.e. Co ciekawe, najwięcej tego typu znalezisk pochodzi z Europy, od Hiszpanii i Francji przez Włochy, Szwajcarię, Niemcy, Austrię, Czechy, Polskę, Ukrainę aż po jezioro Bajkał i inne rejony Syberii. A potem? Potem wszelkie przejawy aktywności tych arcyciekawych, zbieracko-łowieckich plemion na tym rozległym obszarze nagle znikają! – zamiast rozwinąć się jeszcze bardziej? Wydaje się to bardzo zagadkowe, jak i to, że ideowo zbliżone do tych europejskich górnopaleolitycznych kultur niedługo później pojawiły się na Bliskim Wschodzie (kultura natufijska) i w dalekiej Japonii (wspomniana kultura Jomon).

W miejscowościach Koszigo oraz Nagano w Japonii znaleziono niewielkie niby-skrzynki utworzone z płaskich kamieni; zawierały one jomońskie statuetki, najpewniej będące wizerunkami bogini płodności. Nie jest chyba przypadkiem, że w Altenburgu na północ od miasta Nebry (Niemcy), w trakcie archeologicznych badań prowadzonych w 1962 roku na terenie pozostałości po osadzie z okresu magdaleńskiego odnaleziono podobną skrzynkę, utworzoną z płaskich, piaskowcowych płytek. Oprócz innych drobnych przedmiotów zawierała ona analogiczną figurkę Wenus! Takich kultowych kamiennych skrzynek (może prototypów przyszłych sarkofagów) na stanowiskach archeologicznych z okresu środkowego i górnego paleolitu do chwili obecnej znaleziono więcej. Z kolei w Takasago na wyspie Hokkaido odkryto figurkę bogini pośrodku ogrodzenia utworzonego z małych kamieni. W Togaruszi również. Czy te jomońskie mini-kręgi, ewidentnie pełniące funkcję odgrodzonych od sfery profanum uświęconych przestrzeni, można uznać za miniaturowe prototypy o kilka tysięcy lat późniejszych megalitycznych kręgów? Z pewnością z wczesnego paleolitu wywodzi się również zwyczaj stosowania ochry w rytuałach pogrzebowych, praktykowany w wielu późniejszych kulturach. Kult świętej wody i ognia też. Pierwsze wizerunki ludzi-ptaków, ludzi-byków i inne zoomorficzne postacie, znane między innymi ze sztuki Sumeru oraz Egiptu faraonów, odnajdziemy w postaci magdaleńskich i solutrejskich malowideł, rytów, a także niewielkich figurek sprzed trzydziestu tysięcy lat! Najwidoczniej już wtedy kapłani-kapłanki lub szamani-szamaniki podczas odprawianych rytuałów przywdziewali animalistyczne maski.

Stanowiska archeologiczne w Dolnich Vestonicach i Petrkvicach na Morawach rzuciły nieco światła na obraz życia zbieraczy-łowców sprzed 28–25 tysięcy lat. Natrafiono tam na intrygujące ślady paleolitycznych osad. Składały się one z kilku przestronnych jurt-chat z paleniskami pośrodku. W każdej z nich mogło mieszkać od dwudziestu do trzydziestu członków plemienia, przypuszczalnie spokrewnionych ze sobą. *Sprawne ręce sporządzały tam z kości długie szydła i delikatniejsze cienkie igły do dalszej obróbki cennych skór. Z kości promieniowych powstawały sztylety, a z przełamanych żeber tępe narzędzia, które, być może, służyły do ściągania skór albo do usuwania tłuszczu. Zaostrzone jak szufle żebra mamucie zamieniały się w mocne łopaty do wybierania ziemi przy budowie chat i do wykopywania roślin. Te i podobne pierwotne narzędzia dały podstawy do przypuszczeń, że w paleolicie znano uprawę roślin*<sup>9</sup>. Wcale bym się nie dziwił, gdyby paleolityczna społeczność z Dolnich Vestonic choćby w kopieniaczy (przydomowy) sposób zajmowała się uprawą roli (kilkanaście tysięcy lat przed pierwszymi, neolitycznymi kulturami agrarnymi). Nie dziwiłbym się, ponieważ na tych arcyciekawych stanowiskach archeologicznych odnaleziono również ślady świadczące o tym, że do ogrzewania jurt, najprawdopodobniej pokrytych skórami zwierząt, stosowano między innymi węgiel kamienny! Z tych morawskich stanowisk pochodzi też spora ilość arcydzieł sztuki paleolitycznej: kościane i kamienne figurki zwierząt, słynna wydłużona główka kobieca z upiętymi do góry włosami, naszyjnik utworzony ze stylizowanych wyobrażeń kobiecych w kształcie obfitych biustów, także uproszczone w formie, sprowadzone do znaku figurki bóstw kobiecych z zaznaczonymi na ich pseudo-torsach karami oraz kości mamutów z nacięciami świadczącymi, że coś tam liczono (przypuszczalnie posługując się systemem piątkowym). Znalezione także wspaniałe statuetki *Wenus* wykonane z kości, kamieni, zmiękczonej przy ognisku ochry, a nawet z wypalanej w piecu gliny! Ile to tysięcy lat przed pierwszymi kulturami ceramicznym? Takie dwa półkoliste, sierpowate w kształcie piece do wypału gliny odnaleziono w Petrkvicach wewnątrz solidnej, kolistej, otoczonej wałem z ziemi oraz kamieni chaty oddalonej o 80 metrów od osady, będącej najpewniej siedzibą artystycznie utalentowanej osoby – kapłana-szamana, czy raczej kapłanki-szamanki. Specjalistyczne narzędzia do obróbki kości słoniowej i twardych kamieni, jak ustaliła ekipa czeskich archeologów, wykonywano z twardych krzemieni (rogowców), sprowadzanych, jak się przypuszcza, z odległych o setki kilometrów bałtyckich moren. Handlowano nimi, czy raczej dokonywano odległych wypraw po te cenne surowce?

<sup>9</sup> Rudolf Drossler, *Wenus epoki lodowej*, Wydawnictwa artystyczne i filmowe, Warszawa 1983, s. 96–97.

W pobliżu Dolnich Vestonic, na stanowisku Pavlov I, wydobyto w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku kilka wypalonych glinianych skorup pochodzących sprzed 26 tysięcy lat. Widnieją na nich odciski splecionych włókien, czy raczej tkanin. Pod koniec XX wieku ponowną analizę tych śladów przeprowadziła Olga Soffer. Oto co napisała w raporcie ze swoich badań: *Tkanina została wyprodukowana przy użyciu techniki wyplatania, można więc założyć, że w Pavlov I używano zarówno nici, jak i lin. Odciski z Pavlov I ukazują przedmioty wykonane poprawnie technicznie; nie są to raczej „pierwsze próby rzemieślnicze”. Co więcej, regularność, stosunkowa spójność elementów wykorzystywanych w tych okazach sugerują, że osiągnięto już całkiem zaawansowany rozwój nie tylko specyficznych technik, ale wręcz całego przemysłu lub różnych gałęzi przemysłu. Jeśli są to odciski fragmentów worków czy mat, mogły one służyć jako pomoc przy produkcji naczyń – na przykład jako wykładziny na podłogę, do siedzenia lub spania w przypadku mat oraz jako środki przechowywania, transportu w przypadku worków. Z drugiej strony, jeśli są to odciski tkanin, mogły być to koce albo elementy ubrań, takie jak szale, spodnie, spódnice, szarfy itp. Nietrwale odciski z Pavlov I mogły również powstać z zamierzonego zastosowania gliny na zewnątrz pewnych miękkich pojemników, by nadać im prostą formę matrycy, czego przykłady znamy z praktyk produkcji ceramicznej w Ameryce Północnej*<sup>10</sup>.

Na stanowiskach w Pavlov i w Dolnich Vestonicach odnaleziono też jedno z najstarszych w Europie rytualne pochówki. Ciała zmarłych w okolicy głów i bioder nosiły ślady czerwonej ochry. Groby wyposażono w kamienne i kościane narzędzia, figurki zwierząt, ozdoby w postaci zębów lisa i/lub wilka, paciorki z kości słoniowej, a nawet morskie muszle (co tylko potwierdza istnienie w owym odległym czasie wymiany handlowej z oddalonymi o setki kilometrów od Moraw nadmorskimi rejonami Europy). Jako ciekawostkę dodam, że w Dolnich Vestonicach odnaleziono także grób zbiorowy – trójki młodych osób (kobiety pochowanej między dwoma mężczyznami), który wydaje się bardzo zagadkowy: *Jeden z mężczyzn trzyma dłoń na łonie kobiety, podczas gdy drugi mężczyzna, pochowany twarzą w dół ma głowę odwróconą od tamtych dwojga, lecz jego ręka jest spleciona z ręką kobiety. W całym grobie odnaleziono czerwoną ochrę, zwłaszcza wokół głów wszystkich pochowanych i łona kobiety. Być może mężczyzna pochowany twarzą do góry nosił pokrytą ochrą maskę. Kobieta nie ma żadnych ozdób, ale leżały przy niej kamienne narzędzie i kilka kamiennych odtłupków. Obaj mężczyźni nosili proste przybrania głowy, wykonane z zębów lisa i wilka, oraz kilka paciorków z kości słoniowej. Pochowana pośrodku kobieta cierpiała,*

<sup>10</sup> R. Rudgley, *Zaginione cywilizacje...*, op. cit., s. 152.

*jak się wydaje, na różne dolegliwości wynikające z wad wrodzonych, takich jak zdeformowana czaszka, skrzywienie kręgosłupa i inne deformacje kości. Jeden z mężczyzn miał wbiją w biodro drewnianą włócznię lub kołek, podczas gdy drugi, jak można przypuszczać, zmarł od ciosu w głowę<sup>11</sup>. Zwłaszcza to ostatnie daje wiele do myślenia, ponieważ do tej pory odnaleziono niewielką ilość dowodów mogących potwierdzać akty przemocy w obrębie paleolitycznych wspólnot, a badań DNA tych trzech szkieletów nie przeprowadzono, lecz na podstawie takich ich wspólnych cech jak brak zatok czołowych oraz niewyrośnięte zęby mądrości, można zakładać, że pochowane osoby były ze sobą spokrewnione.*

## W OBLICZU GWIAZD

Przyznam, że ten obraz życia w głębokich mrokach epoki kamiennej nijak się ma do tego, co jeszcze do niedawna można było przeczytać w naukowych opracowaniach. Jak wiemy, pierwsze neolityczne, a także wiele późniejszych kultur i cywilizacji, do których zaliczam również megalityzm (wszak miał zasięg międzykontynentalny), przybrały postać astronomicznych teokracji. Nie powinno nas to specjalnie zaskakiwać, ponieważ astronomia jest zapewne najstarszą z nauk, o czym być może świadczy pewien fragment kości renifera pochodzący sprzed 30 000 lat, znaleziony w 1911 roku przez Louisa Didona w jaskini koło miasteczka Les Eyzies w południowo-wschodniej Francji. Ktoś wyrył na tym obiekcie szeregi nieregularnych, na pierwszy rzut oka przypadkowych, głębszych i płytszych wgłębień. Ów intrygujący artefakt pół wieku później (w 1965 roku) został dokładnie zbadany pod mikroskopem przez amerykańskiego naukowca Alexandra Marshacka, który uznał, że różnice w kształcie widniejących na nim otworów były zamierzone, ponieważ: *69 znaków wyrytych na kości to po prostu swego rodzaju „kalendarzyk”, pokazujący zmiany fazy księżyca w tym okresie<sup>12</sup>. Warto też dodać, że: W swoim dziele „Korzenie cywilizacji” Marshack zebrał jeszcze więcej przykładów rytów na kościach, interpretowanych jako zapisy zmian faz księżyca. Jednym z nich jest kość z Ishango (Afryka Środkowa), licząca sobie około 10 000 lat.<sup>13</sup>* Do niemal identycznych wniosków doszedł też, w tym samym czasie, badacz rosyjski

<sup>11</sup> Genevieve von Petzinger, *Pierwsze znaki – Najstarsze symbole świata*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2018, s. 128.

<sup>12</sup> Praca zbiorowa (D. Artymowski, J. Lech, A. Niwiński, A. Reiche, E. Słuszkiewicz, A. K. Wróblewski, M. Ziolkowski), *Z powrotem na Ziemię*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2000, s. 28.

<sup>13</sup> Ibidem, s. 29.

Borys A. Frołow, opisując je w książce „Liczby w grafice paleolitu”. Z kolei pani Chantal Jegues-Wolkiewicz, specjalizująca się w archeo-astronomii, po wieloletnich, wnikliwych badaniach licznych kultowych jaskiń z okresu magdaleńskiego doszła do jeszcze bardziej zdumiewających wniosków. Otóż uważa ona, że niemal wszystkie z nich są usytuowane solarnie bądź lunarnie. Oznacza to, że przynajmniej część zbieraczy-łowców z okresu paleolitu potrafiła dość precyzyjnie wyliczać czas letnich i zimowych przesileń. Co więcej, Jegues-Wolkiewicz nie wyklucza również, że niektóre z jaskiniowych malowideł mogą być czymś na kształt map nieba, uwzględniających położenie przynajmniej części zodiakalnych gwiazd!

Doprawdy nie wiem, czy można polegać na wnioskach płynących z analiz tej trójki profesjonalnych badaczy (Marshack’a, Frołowa i Jegues-Wolkiewicz), wszak, jak stwierdziłem wcześniej, wszyscy (naukowcy też) mamy przyrodzoną skłonność do dopasowywania faktów do z góry założonych tez, jednak, gdyby choć kilka z tych rewelacji okazało się prawdą, to z pewnością musielibyśmy radykalnie zrewidować nasze postrzeganie ludzi epoki kamiennej. Jak na razie, i z tym musimy się godzić, wciąż wiemy zbyt mało, aby *ustalić*, jak to dowcipnie stwierdził Bonaparte, taki zestaw *kłamstw*, który wszystkich by satysfakcjonował jako możliwa do przyjęcia prawda. Mam nieodparte wrażenie, i zapewne nie jestem w tym odosobniony, że aktualna wersja historii zawiera zbyt wiele kulturowych luk ewidentnie wynikających z faktu niedoszacowania – pominięcia lub zlekceważenia niektórych znalezisk oraz naukowych hipotez. Marshack pisze o tym tak: *Przeszukując historyczne zapisy pod kątem informacji dotyczących początków rozwiniętych cywilizacji, uderzyła mnie wielka ilość powtarzających się określeń w rodzaju „nagle”. Nauka, a dokładniej formalna nauka, pojawiła się „nagle” wraz z Grekami; w mniej filozoficznie spójnej formie, okruchy matematyki i astronomii pojawiły się „nagle” u Mezopotamczyków, Egipcjan, Chińczyków i znacznie później u mieszkańców obu Ameryk; sama cywilizacja zaczęła się „nagle” w obrębie wielkiego łuku Rogu Obfitości na Bliskim Wschodzie; pismo (historia zaczyna się wraz z pismem) pojawiło się „nagle” w postaci pisma klinowego w Mezopotamii oraz hieroglifów w Egipcie; agrokultura, ekonomiczna podstawa wszystkich rozwiniętych cywilizacji, rozkwitła „nagle” jakieś 10 tysięcy lat temu, po poprzedzającym ją relatywnie krótkim stadium początkowym; kalendarz objawił się „nagle” wraz z agrokulturą; sztuka i zdobnictwo powstały „nagle” z grubsza 30–40 tysięcy lat temu w epoce lodowcowej, najwyraźniej w chwili, gdy współczesny homo sapiens – jak głosi teoria – wkroczył do Europy, by zastąpić człowieka neandertalskiego<sup>14</sup>.*

<sup>14</sup> R. Rudgley, *Zaginione cywilizacje...*, op. cit., s. 103.

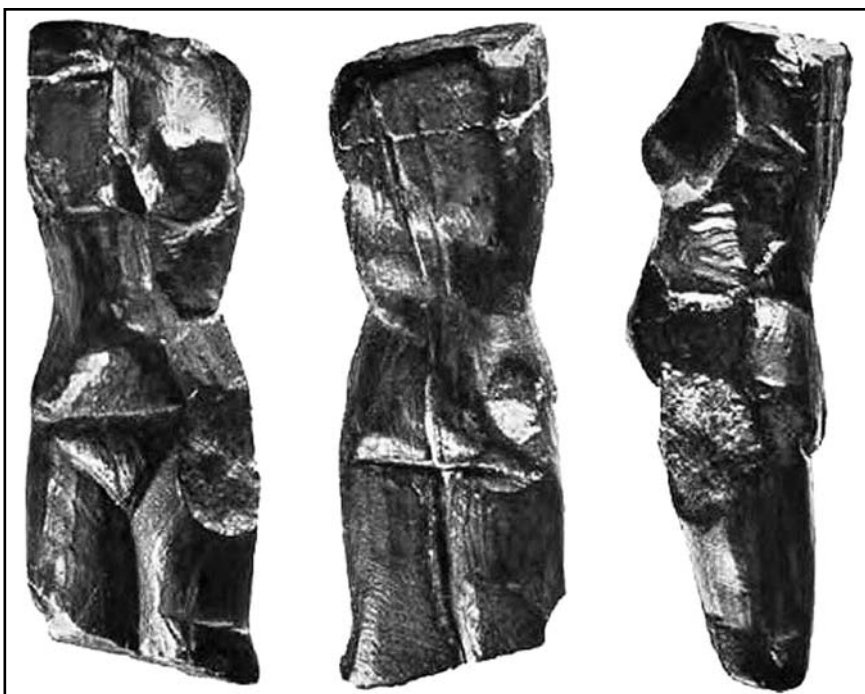
Mity całego świata wspominają o półbogach i bogach, choć przecież śmiertelnych – przybyszach ze wschodu, północy lub z samego nieba, nie powinniśmy tych opowieści całkowicie bagatelizować, podobnie jak znaków i rozmaitych symboli wyrytych na ścianach jaskiń i kościach zwierząt. Języka pierwotnych, plemiennych kultur nie zrozumiemy bez dogłębnych etnograficznych badań nad tymi nielicznymi, choć wciąż jeszcze egzystującymi na obrzeżach świata kulturami zbieraczy-łowców. Oni, podobnie jak nasi odlegli przodkowie z epoki kamienia, nie rozdzielają tego, co racjonalne i naukowe od sztuki oraz wierzeń, tego, co realne od wyobrażeń, poezji od konkretnych, dosłownych przekazów. Historia to w gruncie rzeczy opowieść o tym jak różnie ludzie postrzegali świat i swoje w nim istnienie na przestrzeni dziejów. Jest więc to opowieść o ich, i naszych także, wyobrażeniach. Jednego możemy być pewni – człowiek od niepamiętnych czasów wpatrywał się w bezkres rozgwieżdżonego nieba, pragnąc odczytać z niego sens, ład i porządek Wszechrzeczy. Podobnie jak Einstein uważam, że: *Wszystkiego nie da się zrozumieć... i właśnie dlatego trzeba próbować*. Spróbujmy zatem.



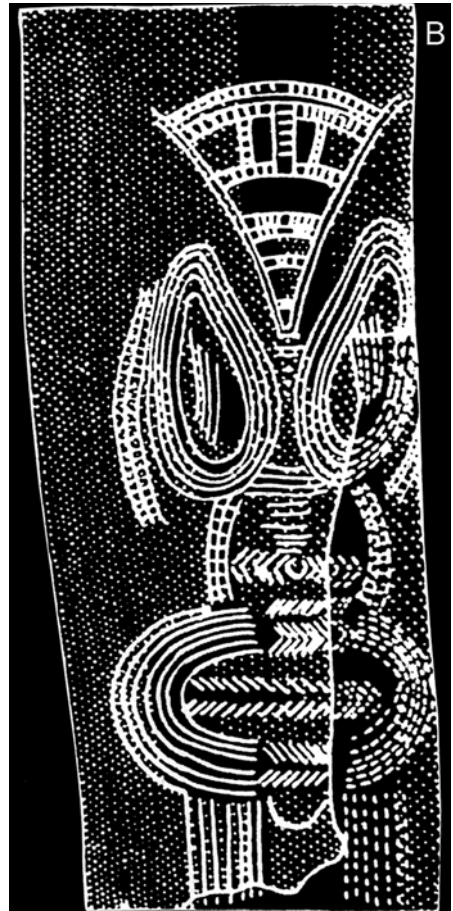
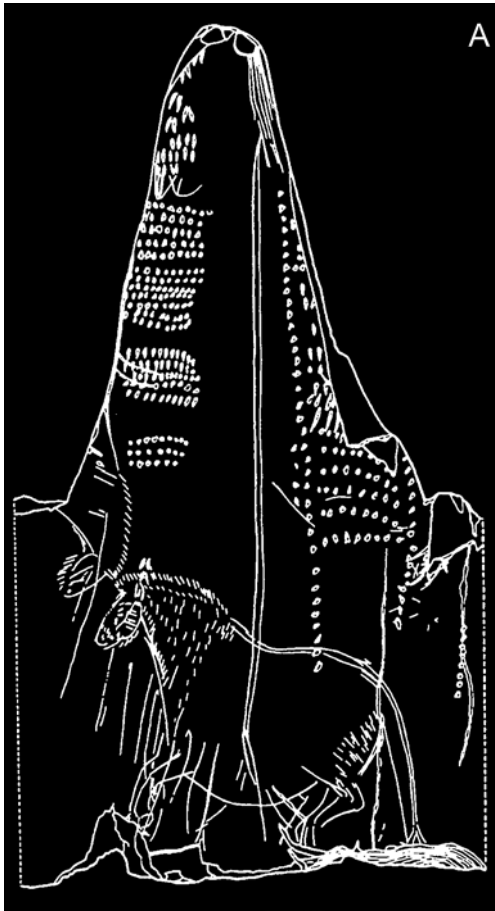
Pierwsza w dziejach wypalona w piecu ceramicznym terakotowa statuetka Venus ze stanowiska archeologicznego w Dolnich Vestonicach na Morawach (Czechy). Jej wiek szacuje się na około 28–25 tysięcy lat p.n.e.



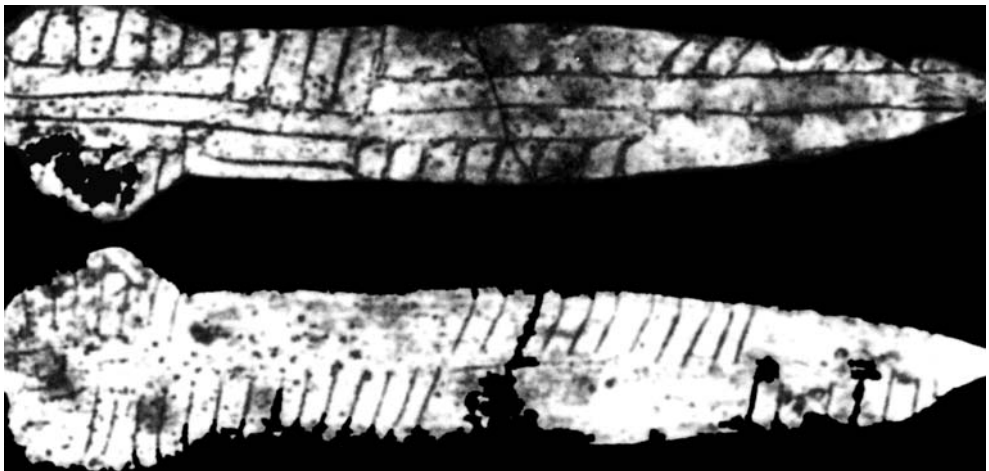
Uproszczone – stylizowane figurki Venus oraz główka kobieca z upiętymi do góry włosami ze stanowiska w Dolnich Vestonicach na Morawach (28–25 tysięcy lat p.n.e.).



Figurka kobieca z Petrkovic (innego morawskiego stanowiska).



A – Ryt na porożu odkrytym w jaskini La Marche (departament Vienne, Francja, okres magdaleński) z rysunkiem konia i jakąś złożoną notacją. B – Odrys z rytu na kości słoniowej znalezionej w Predmosti (środkowe Morawy, Czechy) przedstawiający zgeometryzowaną postać kobiecą.



Kość obustronnie nacinana znaleziona w La Grotte de Remouchamps w belgijskiej prowincji Liege. Jej datowanie to przeszło 10 tysięcy lat.

## II. Granice wyobraźni

Wyobraźmy sobie czas, skalę czasu.

Miliard lat dla Wszechświata to nie więcej niż minuta dla człowieka. Wszechświat jest więc bardzo, bardzo młody. Mija właśnie czternasta kosmiczna minuta od jego narodzin. I tylko teraz, pod koniec tego pierwszego kosmicznego kwadransa my, istoty żywe, możemy w Dziele Stworzenia uczestniczyć, bo już za chwilę, za kosmiczną godzinę, kosmiczny dzień lub tydzień w niezliczonych gwiazdach wypali się cały zapas wodoru przemieniającego się w hel – budulec gęstych gwiazd neutronowych (zbyt gęstych jak na nasze możliwości istnienia). Ale i one – kosmiczne latarnie – pulsary po kolejnych kosmicznych miesiącach i latach (tryliardach i kwadrylionach lat) zgasną, pozostawiając po sobie zimne, ponure łby czarnych karłów rozrzucone nieskończenie daleko od siebie w bezmiernej kosmicznej pustce. Te ostatnie z jeszcze istniejących skupisk materii w trakcie kolejnych kwintylionów i sekstylionów lat zostaną (to tylko moja spekulacja) wciągnięte w czeluście gigantycznych czarnych dziur, w głębi których, daleko poza horyzontem zdarzeń, zachodzi, jak miemam, zdumiewający proces sprężania czasoprzestrzeni, energii i materii; proces megalitycznej kondensacji wszystkiego, co istniało, do rozmiarów małej piłeczki – nasienia, z którego być może narodzi się kolejny Wszechświat – następne ogniwo nieustającego łańcucha przemian.

A teraz spróbujmy ogarnąć przestrzeń.

Światło w ciągu roku przemierza dystans około dziesięciu bilionów kilometrów. Wystarczy to przemnożyć przez 93 miliardy lat świetlnych (tyle według niektórych obliczeń liczy obecnie średnica Wszechświata – rzecz jasna trudno o pewność, bo przecież jego obszar wciąż jeszcze dynamicznie się rozszerza), a uzyskamy przybliżony wynik liczony w kilometrach. Jeśli założymy, że kształt tego obiektu przypomina bańkę mydlaną (choć nie wszyscy w to wierzą, a i ja mam wątpliwości) to wystarczy wyliczoną liczbę podzielić na pół i wstawić do wzoru na objętość kuli... Niby proste, ale mówimy tu o przestrzeni, w której po pierwszych kilku kosmicznych minutach uformowała się sieć bilionów połączonych w grupy galaktyk, oddalonych od siebie o miliony i setki milionów lat świetlnych. Tę, widoczną

dla naszych instrumentów badawczych pajęczynę połączeń wyobrażam sobie jako fragment – wycinek jakiegoś gigantycznego układu nerwowego z nieskończoną liczbą synaps i neuronów zatopionych w środowisku wzburzanego przez grawitacyjne fale oceanu ciemnej materii, który niczym płyn mózgowo-rdzeniowy u człowieka, wypełnia „czerep” Wszechświata (wiem, że ta „organiczna” hipoteza nie ma naukowych podstaw, ale jako artysta kieruję się intuicją w interpretowaniu zjawisk przekraczających aktualne granice poznania).

Spróbujmy teraz skupić uwagę na mikroskopijnym elemencie tej ogromnej sieci, fragmencie jednego z miliardów „neuronów” – naszej Galaktyce.

Droga Mleczna to struktura spiralna pozostająca w grawitacyjnym związku z galaktyką Andromedy oraz galaktyką Trójkąta, a także kilkudziesięcioma innymi galaktykami karłowatymi lub nieregularnymi, „pożeranymi” systematycznie przez te trzy masywniejsze zbiorowiska materii. Szacuje się, że rozciąga się ona na przestrzeni przeszło stu tysięcy lat świetlnych (przypominam, że wystarczy to przemnożyć przez 10 bilionów kilometrów); jej grubość może sięgać nawet 3000 lat świetlnych. W skład jej masy wchodzi od 200 do nawet 300 miliardów różniących się znacznie wiekiem i wielkością gwiazd. Wszystkie one wraz ze swoimi układami planetarnymi, obłokami gazów i materii międzygwiazdnej, wirują z ogromnymi prędkościami wokół leja jednej z wielu miliardów znajdujących się we Wszechświecie, supermasywnych czarnych dziur.

Droga Mleczna wstępnie ukształtowała się, podobnie jak wiele innych galaktyk, w połowie czwartej kosmicznej minuty – jakieś dziesięć miliardów lat temu (najwidoczniej Wszechświat był już wtedy na tyle rozrzedzony, że proces formowania kosmicznych „neuronów” mógł się swobodnie dokonywać). Nie znam szacunków dotyczących jej pierwotnej objętości i masy, nie wiem ile mniejszych galaktyk pochłonęła do tej pory, ile gwiazd zdążyła przez ten czas uformować, a ile wypalić w spektakularnych wybuchach supernowych; jak dużo powstało po tych zdarzeniach mgławic i jak wiele kolejnych, młodszych gwiazd z nich się wykluło. Faktem jest, że zanim narodziło się nasze Słońce, nim rozpoczął się wirowy taniec kosmicznej materii dookoła tej nowej gwiazdy, nasza Galaktyka istniała już od bez mała pięciu miliardów lat, a Wszechświat od niemal dziewięciu.

Dziewięć miliardów lat! Rzecz trudna do ogarnięcia, a to przecież w skali istnienia Wszechświata tylko preludium, ledwie początek początku – pierwsza scena pierwszego aktu. Tysiące milionów lat formowania niezliczonych galaktyk, powstawania i przemijania nieskończonej ilości tętniących energią słońc i krążących wokół nich planetarnych układów, narodzin oraz śmierci zagadkowej liczby innych niż nasza, kto wie jak rozwiniętych cywilizacji, po których zapewne pozostał jedynie ślad w na-

szej wyobraźni. A wszystko to bez nas, czy choćby cienia nadziei na naszą obecność.

Musiało upłynąć dalszych pięć miliardów lat (zupełny drobiazg, mała chwilka) ogromnych termojądrowych eksplozji, skomplikowanych reakcji chemicznych w kosmicznych tyglach, monumentalnych magnetycznych zawirowań, apokaliptycznych zderzeń gwiazdnej materii, by wreszcie uformował się na małą chwilkę, na kosmiczną minutę lub dwie, ten nasz swojski, wokółsłoneczny porządek planet oraz księżyców oddalony (na swoje szczęście) od centrum Galaktyki o jakieś 27 tysięcy lat świetlnych.

Magia wszechobecnego magnetyzmu i gigantycznej energii przenikającej Wszechświat, cud formującej wszystkie kosmiczne obiekty grawitacji i chemii na poziomie elementarnych cząstek oraz bardziej złożonych związków, to było wciąż zbyt mało, by powstało życie na naszej mikroskopijnej planecie. Wszak bez tej szczególnej, wąskiej strefy wokółsłonecznej – naszej orbity, na której woda może występować w trzech stanach skupienia jednocześnie, bez zdumiewającego fenomenu fotosyntezy przetwarzającej światło słoneczne w tlen, i wreszcie bez jakże fascynującego, nieustannego procesu ewolucji nie byłoby to możliwe.

Cztery i pół miliarda lat formowała się Ziemia. Gigantyczna kolizja z inną planetą u zarania jej dziejów ustaliła naszą orbitę, odchylenie osi oraz wstępną prędkość obrotową. Od tamtego też czasu cząsteczki wody i aminokwasy przenoszone na niezliczonych meteorytach spadały cierpliwie, kropla po kropli na jej powierzchnię, aż utworzyły życiodajne oceany. Większe meteoryty, czasem też komety i planetoidy, często bombardujące powierzchnię naszego globu, co jakiś czas zmieniały porządek rozwijającej się tu ewolucji organizmów. Takich globalnych kataklizmów mogło być kilkadziesiąt lub kilka tysięcy, jak ten dobrze znany sprzed jakichś 250 milionów lat, zwany wymieraniem permskim, czy sprzed 65 milionów lat, w kredzie, gdy wyginęły dinozaury.

Pierwsze atomy i złożone z nich cząsteczki zaczęły się formować z materialno-energetycznej magmy po mniej więcej 300 tysiącach lat od Wielkiego Wybuchu. Pierwsze organizmy żywe złożone z cząsteczek tworzących zdumiewające, nietypowo duże i skomplikowane struktury, pojawiły się na Ziemi jakieś 3,8 miliarda lat temu<sup>15</sup>. Około 3 miliardy 794 miliony lat później a więc 6 milionów lat temu (jest to mniej więcej 0,15789% całego okresu ziemskiej ewolucji), pewna małpa, żyjąca prawdopodobnie na terenie Afryki Wschodniej, urodziła dwie córki – *jed-*

---

<sup>15</sup> Szacunek ten zaczerpnąłem z książki *Od zwierząt do bogów – krótka historia ludzkości* Yuvala Noaha Harariego.

na z nich stała się przodkinią wszystkich szympansów, a drugą naszą prapraprababcią<sup>16</sup>.

## POST SCRIPTUM

Wiek Wszechświata (13,8 miliarda lat) i przyspieszająca nieustannie dynamika jego rozrostu – tempo, w jakim gwiazdy i galaktyki oddalają się od siebie – zostały przez naukowców wyliczone na podstawie pomiarów natężenia światła kosmicznych „świec standardowych” – supernowych typu Ia. Model fizyczny, wedle którego wszystkie, ale to wszystkie bez wyjątku białe karły wybuchają podobno po osiągnięciu 1,44 masy Słońca (nazywanej granicą Chandrasekhara), traktowano jako nie podlegający dyskusji. Zapewne Chandrasekhar – fizyk, który tę wielkość wyliczył, musiał się cieszyć ogromnym autorytetem w kręgach naukowych, bo bardzo długo nikt nie ośmielił się jego twierdzenia zakwestionować. Bazując na nim – jak na „świętym dogmacie” – inni naukowcy, w wielu ośrodkach, prowadzili żmudne, wieloletnie obserwacje i badania dotyczące owych supernowych typu Ia, które – jako obiekty wybuchające zawsze z tą samą siłą, a więc i jasnością – wprost idealnie nadawały się do mierzenia kosmicznych odległości. Wszak, jeśli znana nam jest odległość do pierwszej żarówki, to odległość do drugiej (takiej samej) możemy wyliczyć oceniając ile mniej światła od niej do nas dociera, bo wiemy, że jasność maleje wraz z kwadratem odległości. Stosując tę metodę wyznaczono odległości do dalekich galaktyk, określono wiek najodleglejszych z nich, a nawet oszacowano wiek całego Wszechświata. Co więcej, porównując dane z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku z późniejszymi ustalono, że kiedyś Wszechświat rozszerzał się wolniej, a teraz robi to zdecydowanie szybciej. Zresztą, za to odkrycie: *Przyspieszonej ekspansji Wszechświata poprzez obserwację odległych supernowych*, (które było także wielkim triumfem wspomnianego Chandrasekhara) fizycy: Saul Perlmutter, Brian P. Schmidt i Adam G. Riess w roku 2011 odebrali prestiżową Nagrodę Nobla, która wiązała się nie tylko z szacunkiem naukowych gremiów i wysoką pieniężną gratyfikacją wypłaconą w koronach szwedzkich, ale – co może ważniejsze, z uwagi na niewątpliwą, *przyspieszoną ekspansję* ludności na Ziemi – zapewniała im ona własne miejsca parkingowe przed ich macierzystymi uczelniami. Wspomniani fizycy otrzymali tę nagrodę mimo, iż nie potrafili wyjaśnić, czym jest i skąd się wzięła zagadkowa

<sup>16</sup> Yuval Noah Harari, *Od zwierząt do bogów – krótka historia ludzkości*, PWN, Warszawa 2014, s. 18.

siła odpychająca, przeciwstawiająca się przyciągającej sile grawitacji, powodująca tę *przyspieszoną ekspansję*. Zresztą, wszyscy inni fizycy również nie mają o tym bladego pojęcia. Nazwano ją zatem ciemną energią, a nawet wyliczono (mimo, iż nic o niej nie wiadomo), że stanowi 68,3 procent energii Wszechświata.

Niestety, wygląda na to, że te wszystkie pracochłonne szacunki wraz z „bezdyskusyjną” granicą Chandrasekhara trzeba będzie wyrzucić do kosza, bo w sierpniu roku 2014 pani Marina Orio, z uniwersytetu Wisconsin-Madison, wspierana przez swój zespół (zapewne również powodowana pilną potrzebą uzyskania własnego miejsca parkingowego) opublikowała w „Monthly Notices of the Royal Astronomical Society” pracę, w której klarownie wykazała, iż białe karły mogą eksplodować osiągając dużo mniejsze rozmiary, a więc mając nawet 0,85, a nie owe „graniczne” 1,44 masy Słońca. Krótko mówiąc – „świece standardowe” okazały się niestandardowe! Oznacza to, że wybuchają z taką energią i jasnością, jaka im się spodoba, czyli na podstawie ich eksplozji niczego dokładnie wyliczyć ani oszacować nie można. Według pani Mariny Orio przeszło połowa z nich wybuchła w odległości nawet o 30% bliższej niż wcześniej zakładano (mowa o setkach tysięcy, milionach, a może nawet miliardach lat świetlnych!), a to oznacza, że Wszechświat – którego wielkość i wiek znowu jest wielką niewiadomą – rozszerza się jeszcze szybciej, a ciemnej energii jest w nim dużo więcej niż owe, wcześniej wyliczone 68,3%.

Do tej arcyciekawej dyskusji (też pewnie z powodu miejsca parkingowego?) włączył się Peter A. Milne, specjalista od badania widma supernowych typu Ia, który w kwietniu 2015 roku na łamach „Astrophysical Journal” ogłosił, iż owe interesujące wszystkich „świece” – niemal standardowe (gdy się je bada w widzialnym świetle), w świetle ultrafioletowym znacznie od siebie się różnią. Milne wyodrębnił ich dwie populacje: czerwoną i niebieską, a ten podział (jak się okazało... choć czy na pewno?) ma ogromne znaczenie dla dalszych badań dotyczących *przyspieszonego tempa ekspansji Wszechświata*. Wedle Milne’a, zarejestrowane różnice w widmach tych rozmaitych „żarówek” świadczą, iż ciemnej energii we Wszechświecie jest o wiele mniej niż wcześniej zakładano.

Konkluzja, jaka się nasuwa z tej naukowej debaty, jest następująca: wiek Wszechświata może o kilka miliardów lat różnić się od tego, co pierwotnie zakładano, rzutuje to również w oczywisty sposób na wiele pozostałych podanych przeze mnie wcześniej wielkości. Wygląda więc na to, iż z powodu niestandardowości „standardowych świec”, naukowcy powinni wszystko policzyć od nowa... jeśli jest to w ogóle możliwe... w co raczej wątpię.

## WSZECHŚWIAT „ZWIERZ”

Moja „organiczna”, bardziej intuicyjna niż naukowa, kosmologiczna teoria czy raczej wiara w żywą Istotę Wszechświata i w Moc sprawczą Jej (tej Istoty) „Ducha” – magnetycznej energii przenikającej wszystko, wzięła się najpewniej z faktu, iż osobniki *Homo sapiens* (w tym również ja) w obliczu tajemnic przekraczających zakres ich umysłowych kompetencji, dopowiadają sobie świat, kierując się bogatym asortymentem intuicyjnych skojarzeń. Pod tym względem nie różnię się niczym od swoich najodleglejszych przodków. Co ciekawe, Niwchowowie (syberyjskie plemię łowców-zbieraczy i rybaków, żyjące na północno-wschodnich krańcach Azji, nad Morzem Ochockim), mimo, że, jak sądzę, nie posiadają głębszej astronomicznej wiedzy, moją wiarę podzielają. Według Niwchów Uniwersum to Wielki Zwierz, wewnątrz którego żyją mniejsze *nga* (zwierzęta). Wszechświat, jako najpotężniejsze *Nga*, rzecz jasna oddycha. Jego wdech, powoduje przyływ, a wydech – odpływ morza, wtedy woda ucieka od brzegów i wpada do wielkiej dziury zwanej *tolkchylmyr* („pępkiem morza”), wpada do wiru wchłaniającego w siebie wszystko, co znajduje się w jego zasięgu (tu w oczywisty sposób nasuwa się skojarzenie z kosmicznymi czarnymi dziurami, o których Niwchowowie pewnie nic nie wiedzą). Sachalin postrzegają jako mniejsze *nga*. Jego część północna to głowa tego stwora, a południowa – nogi. Porastający go las to sierść, a ludzie to wszy (też tak myślę) pasożytujące na nim. Dlatego ów „zwierz” czasami się rusza, huczy i otrząsa z nich jak pies. Oroczone (zamieszkujący na stałym lądzie na wprost *nga*-Sachalinu) całą planetę (a przynajmniej Azję) postrzegają jako zwierza podobnego do wielkiego łosia lub kłopy. Czucze (inne syberyjskie plemię) zasiedlający najdalsze północno-wschodnie krańce Azji, wierzą, że całą okołoziemską przestrzeń przepełniona Wielki Duch – potężny Władca mgły, gromu i wiatru zwany Nargynen. Zatem bardzo im niedaleko do postrzegania Wszechświata jako Istoty żywej.

Przypuszczam, że tę animalistyczną specyfikę wierzeń i wyobrażeń syberyjskie ludy odziedziczyły po swoich najodleglejszych przodkach – plemionach zbieraczy-łowców, które w górnym paleolicie, 40–30 tysięcy lat temu zasiedliły północno-wschodnią Azję, a nawet jako pierwsze, w kilku falach migracji, dotarły (po lodowym pomoście, który wtedy istniał w miejscu obecnej Cieśniny Beringa) do Ameryki Północnej. Tak sądzę, ponieważ plemiona amerykańskich Indian, mimo całego szeregu różnic, łączy (także z syberyjskimi Czuczami) wiara w Wielkiego Ducha i jego świętą Moc przenikającą wszelkie istnienie – zwierzęta, ludzi, rośliny, rzeki, góry i kamienie. Te amerykańskie oraz azjatyckie ludy łączy także wielka pokora, szacunek i miłość żywione wobec wszelkich tworów natury, zwłaszcza

zwierząt – naszych starszych (jak twierdzą) sióstr i braci. Łączy ich jeszcze przeświadczenie, że ludzie nie są „koroną stworzenia” (co się nam od paru tysięcy lat wmawia). Także wśród ludów Oceanii panuje wiara, że cały świat przenika Moc zwana *mana*. Aborygeni australijscy widzą Wszechświat jako jedno harmonijnie współistniejące kosmiczne plemię. Chyba się nie pomyłę twierdząc, iż większość pierwotnych zbieracko-łowieckich ludów, którym udało się jakimś cudem dotrzeć do naszych czasów, nie ulegając wpływom późniejszych religii, przechowała w swoich wierzeniach ślad po tej pierwszej, bodaj najgłębszej ze wszystkich wierze, której wspaniałe katedry możemy podziwiać w postaci paleolitycznych jaskiń – ziemskich wcieleń żywego Wszechświata. Na rytach, rysunkach i malowidłach tam wykonanych przez anonimowych twórców, ewidentnie będących *tylko* narzędziami w ręku sprawczej Mocy – magnetycznej energii „Ducha” przenikającego Wszechświat (w to, że te dzieła są natchnione, chyba nikt nie wątpi?) w głównych rolach obsadzono nasze starsze rodzeństwo, czyli zwierzęta, a właściwie nie tyle zwierzęta, co rozpędzone w galopie, przenikające się stada ich dusz, pędzące po niebiańskich pastwiskach Drogi Mlecznej. Jeśli na tych obrazach pojawia się też czasami postać ludzka, to tylko w roli urzeczzonego tym oszałamiającym widokiem obserwatora, skromnego widza lub statysty.

Jakże daleko nam współczesnym do takiego, zda się idealnego, w pełni harmonijnego postrzegania świata.



### III. Gatunek

Przywykliśmy myśleć o sobie jako o istotach niezwykłych, jedynych w swoim rodzaju, już nie zwierzętach, choć jeszcze nie bogach. Według mitologicznych przekazów stworzono nas z kości poprzedników, z kukurydzy, ulepiono z gliny, uformowano (o ile się było pierwszą kobietą) z żebra Adama. Synowie boga względnie Giganci łączyli się z ludzkimi samicami. Najnowsze – paleoastronautyczne mity głoszą, że inteligentni przybysze z innych planet brali w tym czynny udział. Wszystkie kultury i cywilizacje działające w myśl zasady „Czyńcie sobie Ziemię poddaną”, opierają swoje założycielskie mity na tego typu narracji – snują opowieść o naszej ludzkiej wyjątkowości. Ten, od wielu tysięcy lat powielany w rozmaitych odmianach schemat wierzeń i z nich wywiedzionych działań, wciąż jeszcze cieszy się ogromnym wzięciem. Jest popularny, choć dziś już wiemy (a wiedza ta jest solidnie ugruntowana), że *Homo sapiens* to ledwie jedna z gałęzi tego samego rozległego drzewa ewolucji. Niemal na pewno cała rodzina *hominidów* (człowiekowatych) wyodrębniła się w Afryce Wschodniej z małego człekokształtnych zwanych *australopithecinae* (małpoludy południowe); ich najstarsze odkryte szczątki liczą trzy miliony lat. Praprzodek ludzi, *Homo habilis* (wytwórca pierwszych prymitywnych narzędzi kamiennych) pojawił się około 2,2 miliona lat temu. Przeszło pół miliona lat później inne *hominidy* rozprzestrzeniły się po świecie. Najpierw dotarły do Afryki Północnej, później do Europy i Azji aż pod koło podbiegunowe. Lokalne warunki klimatyczne i bytowe wymusiły dalsze ich migracje i ewolucyjne przemiany. W Europie oraz Azji Zachodniej rozwinął się wytrzymały i silny rodzaj ludzi określany jako *Homo neanderthalensis*. Przez półtora miliona lat otwarte przestrzenie Azji zasiedlał „człowiek wyprostowany” – *Homo erectus*. W tych samych rejonach i na rozległym obszarze Syberii zamieszkiwał odporny na mrozy gatunek zwany *Homo denisova* (w 2010 roku w altajskiej Jaskini Denisowa odnaleziono fragment paliczka z dłoni dziewczynki i dwa jej zęby, co pozwoliło naukowcom wyodrębnić DNA tego gatunku). Oprócz *Homo sapiens* kolebkę ludzkości – Afrykę Wschodnią zamieszkiwali „człowiek z Jeziora Rudolfa” – *Homo rudolfensis* i *Homo ergaster* – „człowiek pracowity”. W dolinie rzeki Solo na indonezyjskiej wyspie

Jawa paleontolodzy odkryli szczątki *Homo soloensis* – prawdopodobnie najlepiej ze wszystkich hominidów przystosowanego do życia w tropikach. Również w Indonezji, na innej wyspie – maleńkiej Flores, rozwijała się zadziwiająca, karłowata odmiana ludzi nazwana od miejsca swojego pochodzenia *Homo floresiensis*ami. *Te posługujące się włóczyniami „niziołki”* (napisał prof. Yuval Noah Harari) *ważyły nie więcej niż 25 kilogramów. Nie znaczy to, że brakowało im odwagi: regularnie polowali na występujące na wyspie słonie, aczkolwiek trzeba uczciwie przyznać, że owe słonie także były gatunkiem karłowatym*<sup>17</sup>. Sądzę, że najbliższa przyszłość przyniesie nam więcej tego rodzaju odkryć.

Jak to się stało, że jakieś 10 tysięcy lat temu pozostaliśmy na Ziemi sami, bez żadnych krewnych lub choćby dalekich kuzynów? Kto wie, może pierwsi z naszej licznej rodziny zrozumieliśmy, że o przetrwaniu nie decydują wyłącznie: siła fizyczna, odporność na warunki klimatyczne, pracowitość, odwaga i wytrzymałość, ale takie cechy jak: bezwzględność i zdolność do przewidywania oraz współdziałania w celu uzyskiwania maksymalnych korzyści? Być może to właśnie *Homo sapiens* okazał się najbardziej krwiożerczą odmianą – *tyranozaurem* wśród wszystkich gatunków *Homo*? Historia naszego gatunku zdaje się to potwierdzać. Współcześnie Ziemię zamieszkuje przeszło 7,6 miliardów ludzi, jest to w przeliczeniu na kilogramy (według Harariego) jakieś 300 milionów ton. Zwierząt hodowlanych od ryb, kurczaków, kur, kaczek, kotów, psów po świnie, konie i krowy, egzystuje (przeważnie w koszmarnych warunkach) przeszło 700 milionów ton żywej wagi. Zwierząt dziko żyjących, od owadów, żab, jaszczurek... przez pingwiny, wilki, zające, łosie, bizona i słonie po wszelkie gatunki ryb, delfiny i wieloryby, jest zaledwie 100 milionów ton – mniej niż 10% wszystkich istniejących obecnie stworzeń.

*Ostatnie szczątki homo soloensis datują się na 50 tysięcy lat temu. Homo denisova zaginęli niedługo po nich, około 40 tysięcy lat temu. Neandertalczykowie zniknęli z areny dziejów mniej więcej przed 30 tysiącami lat. Ostatni karłowaci ludzie mieszkający na wyspie Flores zakończyli żywot 12 tysięcy lat temu*<sup>18</sup>. Co ciekawe, nim doprowadziliśmy do tego holocaustu (nie tylko ludzkich gatunków), nim przeprowadziliśmy swoisty blitzkrieg na naturze, w jakimś trudnym dziś do oszacowania stopniu, współżyliśmy z innymi odmianami *Homo*. Najlepszym na to dowodem są nasze łańcuchy DNA. Z badań prof. Svante Paabo z Instytutu Maxa Plancka w Lipsku wynika, że większość mieszkańców Ziemi, z wyjątkiem ludów Afryki Subsaharyjskiej, nosi w sobie domieszkę krwi neandertalczyka. To odziedziczone

<sup>17</sup> Y. N. Harari, *Od zwierząt do bogów*, PWN, Warszawa 2014, s. 18, 19.

<sup>18</sup> Ibidem, s. 32.

DNA stanowi średnio ok. 2% genomu. Jednak najnowsze badania opublikowane w „Current Biology” wykazują, że wiele populacji ludzkich może być bliżej spokrewnionych z denisovianami niż z neandertalczykami. Dotyczy to głównie ludów Azji Południowej i Oceanii<sup>19</sup>. W toku badań ustalono, że największy odsetek, bo aż 4% archaicznego DNA denisovian mają mieszkańcy Melanezji. Przypuszcza się, że *Homo sapiens* zaczęli się krzyżować z nimi około 100 pokoleń później niż z neandertalczykiem. Naukowcy nie wykluczają, co wcale nie byłoby dziwne, że w naszym genomie zapisały się też ślady po innych wymarłych *hominidach*. Bardzo prawdopodobne, że część cech oraz zdolności adaptacyjnych odziedziczyliśmy po nich, na przykład zdolność do życia w terenie wysokogórskim Tybetańczyków, albo ponadprzeciętny węch mieszkańców Papui-Nowej Gwinei. Z badań DNA dowiedzieliśmy się również, że nie tylko nasze pierwotne hordy, ale też denisovian i neandertalczyków były bardzo mobilne – w ciągu niemal 2 milionów lat zasiedliły one spore połacie globu, nie zmienia to jednak faktu, że w dalszym ciągu pozostaje absolutną zagadką nasz wspólny przodek, *australopithecus*. Skąd wzięła się u niego ta bezprecedensowa w historii ewolucji, zachwycająca i przerażająca zarazem mutacja genów? Mutacja, która w ostatecznym rozrachunku doprowadziła do tego, co teraz mamy. Był to przypadek, błąd, a może jakiś zewnętrzny czynnik w tym uczestniczył?

## PREKAMBRYJSKA KULA

W 1996 roku publicysta Michael A. Cremo wspólnie z matematykiem Richardem L. Thompsonem wydali książkę „The Hidden History of the Human Race” (w Polsce pod tytułem „Zakazana archeologia”). Wywołała ona w świecie nauki sporą konsternację. Obaj autorzy są członkami Bhaktivedanta Institute – naukowej gałęzi Międzynarodowego Towarzystwa Świadomości Kryszny. Ma to znaczenie, ponieważ według wywodzącej się z Indii literatury wedyjskiej dzieje gatunku *Homo sapiens* są dużo dłuższe niż zwykło się sądzić. Cremo i Thompson (czego we wstępie do książki nie ukrywają) postanowili pod tym „wedyjskim” kątem bacznie się przyjrzeć najstarszym materialnym i antropologicznym znaleziskom: szczątkom ludzkim, rozmaitym skamieniałościom, narzędziom kamiennym oraz innym, także nietypowym artefaktom. Przy okazji tych badań odkryli trwający od wielu już lat, nagminny proceder pomijania, a nawet deprecjonowania przez świat nauki znalezisk, które mogłyby poddawać w wątpliwość aktualnie obowiązujące teorie, odnoszące się do pochodzenia człowieka i ewolucji

<sup>19</sup> M. Skubik, *Nie tylko geny neandertalczyka mamy w sobie*, Gazeta Wyborcza, 01.04.2016.

naszego gatunku. Autorzy „Zakazanej archeologii” ujawnili dziesiątki takich przypadków, dotarli do wielu skrzętnie ukrywanych sprawozdań, raportów, a także artefaktów świadczących być może o tym, że historia naszego gatunku zarówno w kwestii ewolucji, rozwoju społecznego oraz duchowego, jak i technologii, jest odmienna od przyjętej przez gremia uniwersyteckie i przypuszczalnie o setki tysięcy lat dłuższa niż dzisiaj się zakłada.

Zapoznając się z ich książką zwróciłem szczególną uwagę na jedno z kontrowersyjnych znalezisk, które wydało mi się bardzo intrygujące – trudne do zinterpretowania. Otóż, od wielu dziesiątków lat południowo-afrykańscy górnicy w trakcie robót w kopalni blisko miasteczka Ottosdal w Zachodnim Transwalu, wydobywają z prekambryjskiego osadu mineralnego (datowanego na 2,8 miliarda lat!) setki regularnych, metalicznych kul. Według J. Jimisona: *kule te można podzielić na dwa typy: jeden z litego, niebieskawego metalu, pokrytego białymi plamkami i drugi, do którego należą wydrążone kule z białym, gąbczastym środkiem*.<sup>20</sup> Roelf Marx, kustosz muzeum w Klerksdorp, dokąd część z tych znalezisk trafiła, tak je opisuje: *Kule są całkowitą tajemnicą. Wyglądają na wyrób człowieka, jednak w tym okresie historii Ziemi, kiedy znalazły się w tej skale, nie istniało żadne inteligentne życie. Niczego takiego wcześniej nie widziałem*.<sup>21</sup> Profesor geologii A. Bisschoff, z uniwersytetu w Potchefstroom, poproszony o opinię w tej sprawie, stwierdził: *Kule te są „konkrecjami limonitu”. Limonit jest rodzajem rudy żelaza, a konkrecja – zbitą, zaokrągloną masą skalną, ukształtowaną poprzez scementowanie materiału wokół jądra*.<sup>22</sup> Brzmiało to konkretnie i bardzo fachowo, jednak według skali twardości Mohsa (talk – 1, diament – 10) limonit ma bardzo małą twardość, zaledwie 4 do maksymalnie 5,5 stopnia, a kul znalezionych w prekambryjskiej warstwie nie dawało się zadrapać nawet stalowym ostrzem! *Ponadto (jak zauważyli obaj autorzy „Zakazanej archeologii”), konkrecje limonitu występują zwykle w grupach niczym zlepione bańki mydlane i nie cechują się doskonale zaokrąglonym kształtem jak rozpatrywane znaleziska*.<sup>23</sup> Tę trudną kwestię komplikował jeszcze jeden bezsporny fakt, mianowicie jedna z tych bardzo twardych, metalowych, doskonale zaokrąglonych kul miała trzy równoległe żłobienia... i d e a l n i e poprowadzone rowki w miejscu jej największej szerokości, których obecności procesami naturalnymi nie można w żaden sposób wytłumaczyć. Cremo i Thompson napisali: *Nawet jeśli przyznamy, że sama kula jest konkrecją limonitu, wciąż należy wyjaśnić pochodzenie*

<sup>20</sup> M. A. Cremo, R. L. Thompson, *Zakazana archeologia*, Wydawnictwo ARCHE, Wrocław 1998, s. 128.

<sup>21</sup> Ibidem, s. 128.

<sup>22</sup> Ibidem, s. 129.

<sup>23</sup> Ibidem, s. 129.

trzech równoległych rowków. Przy braku satysfakcjonującego wyjaśnienia naturalnego znalezisko to staje się nieco tajemnicze i pozwala na inną interpretację – żłobiona kula z Afryki Południowej, odkryta w złożu mineralnym datowanym na 2,8 miliarda lat, została wykonana przez inteligentną istotę<sup>24</sup>. Formułując tę karkołomną tezę użyli określenia „inteligentna istota”, bo przecież u schyłku archaiku – pierwszej epoki w dziejach Ziemi (liczonej od powstania naszej planety (co miało miejsce, przypominam, jakieś 4,5 miliarda lat temu) do początku proterozoiku (około 2,5 miliarda lat temu) nawet zwolennikom indyjskich *Wed* trudno było doszukiwać się w tamtym odległym czasie jakichkolwiek przedstawicieli gatunków *Homo...* a nawet ptaków, gadów, płazów i innych złożonych organizmów.

## BARWA OCHRONNA

Gęsta, nieprzenikniona mgła spowija prapoczątki ludzkich doznań i wyobrażeń związanych z Absolutem, porządkiem Wszechrzeczy i roli, jaką przyszło nam odgrywać w tym gigantycznym kosmicznym spektaklu. Pierwsze symptomy świadczące o praktycznym myśleniu i „magicznym” odczuwaniu ludzi, to celowe zbieranie, a nawet wydobywanie kawałków limonitu, getytu oraz hematytu, czyli rud żelaza potocznie nazywanych ochrą. Podejmowano się ich wyżarzania w ogniu w celu uzyskania intensywniejszej barwy, wreszcie szlifowano lub proszkowano i w tej spreparowanej formie wykorzystywano do rytualnych praktyk, na przykład malowania ciał albo barwienia innych powierzchni – również wykonywania naskalnych malowideł. Najdawniejsze tego typu ślady odkryto w grocie Wonderwerk w południowej Afryce. Jest to jednocześnie najstarsze z dotychczas znalezionych miejsce, w którym stwierdzono ślady celowej działalności wydobywczej człowieka, bo jest datowane na około 350 do 400 tysięcy lat, a więc czasy bardzo odległego naszego przodka – *Homo erectus*. Odnaleziono tam kamienne siekiery oraz odłupane z ich pomocą kawałki ochry. Podobne artefakty – odrąbane gruzy ochry i aszelskie narzędzia – odkryto we Francji (stanowisko archeologiczne Terra Amata na stokach Mont Boron w Nicei, oszacowane na około 300 tysięcy lat), i pochodzące sprzed około 250 tysięcy lat ślady ze stanowiska w Becov w Czechach, gdzie znaleziono też płaski kamień wykorzystywany do obróbki rudy żelaza. Mniej więcej z tego samego okresu pochodzi stanowisko Hunsgi w południowych Indiach, gdzie znaleziono między innymi kawałek ochry mierzący około 20 milimetrów, zwężony na końcu, z jednego boku pokryty ledwie widocznymi rysami, skłaniającymi

<sup>24</sup> Ibidem, s. 129.

do przypuszczeń, że ktoś mógł nim rysować po chropowatej powierzchni. Nieco młodsze, bo liczące mniej więcej 160–170 tysięcy lat miejsca ze stwierdzonymi śladami gromadzenia ochry odkryto w Twin Rivers w Zambii oraz w jaskini na południowym wybrzeżu Afryki, nazwanej przez archeologów Pinakle Point 13B.

Na podstawie tych znalezisk nawet w przybliżeniu trudno oszacować, kiedy ochrę zaczęto używać w celach rytualnych, a nie tylko ochronnych. Z badań etnograficznych wiemy, że niektóre plemiona, na przykład lud Himba z Afryki, mieszają tłuszcz z ochrą i tę miksturę wcierają w ciało w celu zabezpieczenia przed insektami i palącym słońcem. Lud Gugadja z północno-zachodniej Australii stosuje ten surowiec do celów leczniczych – wciera ochrę w nawilżone śliną otarcia lub oparzenia, a także stosuje ją na schorzenia wewnętrzne. Współczesna medycyna potwierdza to, co pierwotne plemiona odkryły już przed tysiącleciami, że rudy żelaza mają właściwości antyseptyczne, i że pomagają tamować krwawienia. Ludy tubylcze z odseparowanych od świata Andamanów (wysp Zatoki Bengalskiej) smarują noworodki ochrą w ramach „ochrony” zarówno tej medycznej – antyseptycznej, jak i magicznej, tym samym łączą w jednej praktyce wszystkie aspekty swojego życia: medyczny, kulturowy, a także religijny, co może być mocną przesłanką do przypuszczeń, że zwyczaj pokrywania ciał (zarówno żywych jak i zmarłych) ochronną w dwójnasób ochrą mógł też w prehistorii wywodzić się z praktyki leczniczej, która stała się po jakimś czasie symbolicznym rytuałem odnowy ciała i ducha także. Ciała za życia, a ducha po śmierci. Odnaleziony w jaskini Border, w afrykańskim Suazi, pochówek dziecka domyślnie wydaje się potwierdzać: *Niemal kompletny szkielet dziecka, w wieku od czterech do sześciu miesięcy w chwili śmierci, pochowano w płytkim grobie. Część kości poplamiona była ochrą, zaś zwłokom towarzyszyła perforowana muszla, która musiała pochodzić z wybrzeża odległego o 80 kilometrów. Pogrzeb mógł odbyć się nawet 100 tysięcy lat temu według niektórych szacunków, choć bardziej prawdopodobne, że nie więcej niż 40 tysięcy lat temu*<sup>25</sup>. Stwierdzone w wielu paleolitycznych, ale również późniejszych pochówkach ślady sproszkowanej ochry lub jej kawałki, w archeologii zwykle określa się „darami dla zmarłych”, albo „daniną pośmiertną”. W moim odczuciu nie są to najlepsze określenia na substancję ożywczą chroniącą przed wszelkim złem, oczyszczającą, uzdrawiającą, której od dziesiątków, a nawet setek tysięcy lat wszystkie *hominidy* przypisywały, jak można sądzić, magiczną moc odnowy nie tylko ciała, ale i ducha. W Le Cavillon, w kalabryjskiej gminie Grimaldi, w grobie z okresu górnego paleolitu odnaleziono szczątki człowieka. Od otworu szczękowego

<sup>25</sup> R. Rudgley, *Zaginione...*, op. cit., s. 174.

oraz nosowego jego czaszki usypano dróźki z ochry, zapewne po to, żeby uzdrowić jego duszę, która tymi otworami (jak przypuszczalnie wierzone) opuściła ciało i powędrowała nimi do ziemi lub jakichś paleolitycznych Niebiosów. Sproszkowaną ochrą posypywano też głowy i łona zmarłych, a nawet całe ich zwłoki, co może świadczyć o rozmaitych wyobrażeniach dotyczących związków konkretnych partii ciała lub jego całości z duszą.

Ten tok rozumowania uprawnia do jeszcze dalej idących domysłów dotyczących wykorzystywania ochry w sztuce paleolitu i wielu późniejszych kulturach. Nie jest przecież wykluczone, że dzieła wykonywane z tego materiału mogły pełnić inną symboliczną rolę: ochronną, ozdowieńczą, ożywczą, oczyszczającą itd., niż te realizowane przy zastosowaniu takich surowców jak kości, rogi i zęby zwierzęce, kamienie, etc. Także obrazy wykonane z użyciem ochry mogły, jak przypuszczam, przenosić nieco inne znaczenia od tych wykonywanych barwą czarną. Rzecz ciekawa (na co zwrócił uwagę J. Cepik w książce „Wspomnienia z przeszłości”), że ochrą wykonywano rysunki bezpośrednio na ścianach jaskiń i nigdy nie przykrywały one tych wykonanych czarnym barwnikiem, podczas gdy te ostatnie mogły się na ochrowe nawarstwiać. A więc to czerwone znaki zawsze były pierwotne. Być może z symboliki ochry powinniśmy wywodzić też inne znaki – kropki i odciski dłoni widniejące na ścianach wielu kultowych schronisk. Idąc jeszcze dalej tym tropem, gotów jestem zaryzykować twierdzenie, że figurki wykonywane ze zmiękczonej przy ognisku ochry (jak *Wenus* pochodząca z Moraw) lub tym pigmentem w całości barwione (jak *Wenus* z Willendorfu), mogły pełnić rolę ochronnych amuletów, a więc ich symboliczne oraz rytualne przeznaczenie mogło być odmienne od pozostałych figurek.

## ANIMALISTYCZNE ODRODZENIE

Z pewnością mocnymi przesłankami świadczącymi o wyznawaniu jakiegoś kultu są też rytualne pochówki. Najstarsze z nich pochodzą z środkowego paleolitu, a odnajdywano je w Europie i Azji zachodniej na stanowiskach przypisywanych neandertalczykom oraz ich azjatyckiej odmianie nazywanej (dla odróżnienia) neandertaloidami. Przeczy to naszym wyobrażeniom o tamtej epoce i odmianie człowieka zwanego *Homo neanderthalensis*, dlatego intencjonalność tych pochówków, a więc dokonywanie ich w imię jakichś religijnych wierzeń, przekonań lub innych wartości była do niedawna przez większość przedstawicieli świata nauki konsekwentnie kwestionowana. Jednak wraz ze stale rosnącą liczbą tego rodzaju znalezisk opór archeologów malał. Według Jurija Smirnowa, badacza z Moskwy, do koń-

ca XX wieku stwierdzono ponad 60 mustierskich pochówków. Najstarsze groby datowane na 120–90 tysięcy lat, pochodzą z jaskiń Qafzeh i Skhul w Izraelu, pierwsza w pobliżu Nazaretu a druga w masywie Karmelu, blisko Hajfy. Zawierały one, co intrygujące z powodu tak wczesnego datowania, szczątki bardzo przypominające współczesnego *Homo sapiens*.

W roku 1938, w jaskini Teshik-Tash („górskie kozice”) w południowo-wschodnim Uzbekistanie, zespół naukowców pracujący pod kierunkiem cenionego archeologa paleolitu, A.P. Okładnikowa, odnalazł grób dwunastoletniego neandertalskiego chłopca. Znalezione przy nim narzędzie – ostrze wykonane z kości syberyjskiej kozicy – rodzaj szydła lub wiertła, którego obecność przy szczątkach zinterpretowano jako daninę dla zmarłych. Czaszkę chłopca i przylegające do niej części szkieletu otaczał półokrąg ustawionych pionowo par rogów kozic, zaostrzonymi końcami do dołu. Archeolodzy uznali, że ułożono je tak umyślnie. Inne pochówki z Teshik-Tash również w przewadze zawierały szczątki dziecięce, czego akademik Okładnikow nie tłumaczył (jak wielu innych badaczy) wysoką śmiertelnością dzieci wśród neandertalczyków w czasach mustierskich, ale skłonnością do rytualnego grzebania raczej ich ciał, a nie dorosłych. Tę cechę stwierdzono też na wielu innych stanowiskach z tego okresu. Występuje ona również w kulturach górnego paleolitu i neolitu, a nawet u plemion współczesnych Buriatów z południowej Syberii. Okładnikow w tych pochówkach dopatrzył się kultu zwierząt połączonego z wiarą w jakąś formę pośmiertnego odrodzenia. Sam znaleziska skomentował tak (cytuję za R. Rudgleyem): *Mustierski „kult zmarłych”, rozpoznawalny w archeologicznych stanowiskach w jaskini Teshik-Tash, zdradza tendencję do zachowywania ciała martwego członka ludzkiej grupy. Wynika z tego, że neandertalczyki musieli posiadać pojęcie życia i śmierci jako zasadniczo odmiennych stanów; inaczej nie sposób wyjaśnić mustierskiego rytuału pogrzebowego, który w swoich zasadniczych cechach był identyczny dla człowieka i dla zwierząt, będących głównymi obiektami ceremonii w jaskini Teshik-Tash. Głębokie i skomplikowane związki pradawnego mustierskiego „kultu” zmarłych z „kultem” zwierząt potwierdza również znalezisko w jaskini Teshik-Tash, gdzie kości dzieci spoczywają otoczone kośćmi kozic<sup>26</sup>.*

Równie intrygujące ludzkie szczątki znaleziono w Grocie Shanidar w północnym Iraku. Ekspedycja archeologów kierowana przez Ralph’a Soleckiego odkryła tam groby dziewięciu neandertalczyków. Stanowisko Shanidar I skrywało szczątki neandertalskiego mężczyzny lat 40, który zmarł w wyniku upadku z większej wysokości około 46 tysięcy lat temu. Naukowcy nadali mu imię „Nandy”. Szczegółowa analiza tego szkieletu

<sup>26</sup> Ibidem, s. 208, 209.

przeprowadzona w laboratorium w Bagdadzie przez dr T. Dale Stewarta, ujawniła zaskakujące szczegóły: *prawa strona ciała Nandy'ego musiała być obumarta – prawa łopatka, obojczyk i górna część prawego ramienia były niedorozwinięte, prawdopodobnie już od chwili narodzin. Ślady wskazują, że za życia amputowano mu prawą rękę tuż nad łokciem*<sup>27</sup>. Ponadto osobnik ten cierpiał też, według raportu Stewarta, na artretyzm, nieznaną wśród neandertalczyków przypadłość, miał stępione zęby, którymi zapewne zastępował amputowaną rękę, był ślepy na lewe oko i miał rany na twarzy i czaszce. Mimo to neandertalskie plemię nim się opiekowało (skoro dożył wieku średniego, tak być musiało). Czy robili to z powodów humanitarnych? A może kaleka Nandy był kimś ważnym dla tej społeczności? Na przykład bajaranem lub szamanem. Ponadto, kto dokonał tej udanej amputacji jego ręki... i przy użyciu jakich narzędzi, bo chyba nie pięściaków kamiennych? Szkielet mężczyzny ze stanowiska Shanidar IV, znaleziony w grobie w głębi groty (15 metrów od wejścia), datowany na 50–60 tysięcy lat temu, również wprowadził świat nauki w zupełną konsternację. Otóż paleobotaniczka z Paryża, Arlette Leroi-Gourhan, w dwóch próbkach wydobytych z tego stanowiska znalazła skupisko ponad stu ziarenek należących do siedmiu odmian kwiatów, które trafiły tu w tym samym czasie. Wątpliwe, że w to miejsce przyniosły je ptaki, gryzonie lub wiatr, więc kto je tam dostarczył – i w jakim celu? Inne neandertalskie pochówki ze stanowisk Shanidar i Shanidar V skrywały, ku jeszcze większemu zdumieniu archeologów, szkielety ludzi ze zniekształconymi czaszkami (celowo wydłużonymi przez obwiązywanie w okresie rozwoju). Są to najstarsze z dotychczas stwierdzonych przykłady tego typu rytualnych zachowań praktykowanych także wśród *Homo sapiens* w kulturach o wiele tysięcy lat późniejszych (neolityczna wyspa Malta, Egipt faraonów, Nowa Brytania w Melanezji, północno-zachodnie wybrzeże Ameryki Północnej, że tylko te wymienię). Niewątpliwie szczątki z tych ostatnich grobów świadczą o wysokim poziomie anatomicznej wiedzy neandertalskich plemion.

Dla porównania z tymi mustierskimi przedstawiam dużo późniejsze – górnopaleolityczne stanowisko Sungir, datowane na ponad 25 tysięcy lat temu, znajdujące się niedaleko miasta Władimir (180 kilometrów na wschód od Moskwy). Wśród wielu odkrytych tam ludzkich szczątków trzy były starannie „upiękzone” tysiącami paciorków wykonanych z kości słoniowej i innymi ozdobami. R. Rudgley opisał je tak: *Pierwsze zwłoki należały do sześćdziesięcioletniego mężczyzny, którego strój składał się z 2936 paciorków nanizanych na sznurki związane na różnych częściach jego ciała. Sądząc z układu paciorków, miał on na głowie czapkę z pacior-*

<sup>27</sup> Ibidem, s. 210.

*ków, bogato zdobioną zębami lisa. Wokół szyi nosił wisior, pomalowany na czerwono z czarnymi kropkami na jednej stronie. Na ramionach tkwiło dwadzieścia pięć cienkich bransoletek z kła mamuta, każda przewiercona na obu końcach tak, by można je było zamocować wokół ramienia. Drugie ciało, zidentyfikowane przez rosyjskiego lekarza antropologa jako zwłoki trzynastoletniego chłopca, wzbudziło jeszcze większą sensację: 4903 paciorki tego samego rodzaju, jak znalezione przy mężczyźnie (choć mniejszych rozmiarów) były ułożone w podobnych zwojach. Chłopiec również nosił czapkę z paciorków z zębami lisa. Ponadto miał pas ozdobiony dwustu pięćdziesięcioma zębami polarnego lisa i wisiorek z kości słoniowej wyrzeźbiony na podobiznę zwierzęcia. Pod lewym ramieniem tkwiła rzeźba mamuta z kości słoniowej, a nieopodal spoczywała polerowana ludzka kość udowa wypełniona czerwoną ochrą. Po prawej stronie chłopca leżała pika z kła mamuta o długości 2,4 metra. Pika ważyła dość dużo, więc White (Randall White, badacz z New York University) sądzi, że nie była funkcjonalną bronią – mogła być czysto symbolicznym obiektem. Trzecią pochowaną osobą była dziewczynka w wieku 7–9 lat. Jej paciorki były tej samej wielkości i kształtu co u chłopca, ale jeszcze liczniejsze. Było ich w sumie 5274. Jak pozostali, dziewczynka miała czapkę z paciorków, natomiast zupełny brak lisich zębów może świadczyć, że te przedmioty były zastrzeżone wyłącznie dla mężczyzn, choć nie można tego stwierdzić z pewnością. Wyposażenie jej grobu to malutkie piki z kła mamuta, dwie pałeczki z rogu, z których jedną pokrywały rzędy wywierconych kropek i trzy krążki z kości słoniowej<sup>28</sup>.*

Według ostrożnych szacunków archeologów wykonanie samych kościanych paciorków dla tych trzech osób zajęło tej plemiennej społeczności około dziewięciu tysięcy godzin. Inne pochówki z tego stanowiska były mniej okazałe, można zatem domniemywać, że istniała tu wspólnota typu hierarchicznego (co nieczęste w tym okresie dziejów). Wnioskując na podstawie bogatego wyposażenia grobów dzieci, można sądzić, że pozycja społeczna była tu raczej dziedziczona, a nie przydawana. Z pewnością ta społeczność podtrzymała tradycję animalistycznych wierzeń, o czym świadczą liczne ozdoby z kości oraz rzeźbione figurki-amulety. Ponieważ przy dziewczynce nie znaleziono żadnych ozdób z lisich zębów, można przypuszczać, że magia łowiecka w tej grupie przypisana była raczej do mężczyzn.

Porównując 36 stanowisk archeologicznych ze środkowego paleolitu (200–40 tysięcy lat temu) z 96 pochodzącymi z paleolitu górnego (40–10 tysięcy lat wstecz) archeolog Francis Harrold poczynił spostrzeżenie, iż

<sup>28</sup> Ibidem, s. 186, 187.

w środkowym paleolicie zdecydowanie częściej niż w późniejszym okresie dokonywano pochówków mężczyzn (w Europie zachodniej na jeden kobiecy grób przypadało sześć męskich). Ich groby przeważnie wyposażano w rozmaite przedmioty magiczne – ofiarne bądź ochronne: rogi, kości zwierząt, kamienne lub kościane narzędzia, również ochrę, podczas gdy w literalnie żadnym z grobów kobiecych takich przedmiotów nie stwierdzono. Miejsca pochówku mężczyzn są bardziej urozmaicone (posiadają paleniska i kamienne sztaby stanowiące, jak się przypuszcza, część pogrzebowego obrządku lub rytuału). Na tej podstawie, według Harrolda, można z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdzić, że w tamtym okresie mężczyźni mieli wyższy status społeczny od kobiet, a nawet może to odzwierciedlać ich wiodącą pozycję w życiu wspólnoty. W górnym paleolicie te relacje zdają się wyrównywać – stają się bardziej egalitarne. Praktyki pogrzebowe w stosunku do wszystkich – mężczyzn, kobiet, a także dzieci są podobne. Zaobserwowane różnice w sposobach grzebania zmarłych zależą raczej od regionów, lokalnych tradycji i kultur. W górnym paleolicie wzrosła liczba grobów wieloosobowych – stanowiły one prawie połowę spośród wszystkich odkrytych, podczas gdy w okresie mustierskim zaledwie co szósty zawierał więcej niż jedną osobę. W ocenie Harrolda odzwierciedla to większą złożoność i różnorodność ról społecznych. Jurij Smirnow, inny archeolog zajmujący się statystyką porównawczą paleolitycznych grobów, doszedł do zbliżonych wniosków, twierdzi nawet, iż „fundamenty ludzkiego systemu grzebania zmarłych położono w środkowym paleolicie”, a jeśli tak, to odziedziczyliśmy je po neandertalczykach oraz ludziach proto-Cro-Magnon.

Hipoteza o praktykowaniu pogrzebowych rytuałów jeszcze przed okresem górnego paleolitu w moim przekonaniu jest niepodważalna. Świadczą o tym liczne celowo kopane groby datowane na więcej niż 40 tysięcy lat. Odnalezione w jaskini Teshik-Tash szczątki neandertalskiego chłopca z kościanym narzędziem u boku, otoczone półokręgiem kilku par rogów kozic, mogą być mocną przesłanką do snucia przypuszczeń, że już wtedy zmarłych wyposażano w przedmioty przydatne w ich dalszej – pośmiertnej drodze. A jeśli tak, to już wtedy musiała istnieć jakaś forma wiary w wędrówkę dusz, zaświaty, przemianę, reinkarnację... Wiary z pewnością animalistycznej, w której zwierzęta mogły odgrywać kluczową rolę przewodników dusz (stąd te ich rogi, kości, potem też naszyjniki z zębów, kościane amulety, ich rzeźbione wizerunki). Przypuszczam, że zwierzęta, a właściwie ich duchy mogły też pełnić funkcję strażników wejścia do pierwotnych zaświatów – paleolitycznego Hadesu, wszak w późniejszych religiach zwierzętom taką funkcję powierzano, na przykład Cerberowi w starożytnej Grecji a Anubis, staroegipski poprzednik Ozyrysa, ma głowę szakala. Kto wie, może wierzono wtedy (podobnie jak czynią to współczesne indiańskie plemiona),

że myśliwy zabijając zwierzę, przejmował jego moc, siłę, zwinność i inne cechy jego ciała oraz ducha, i od tej pory to zabite zwierzę mu patronowało – żyło w nim, czyli pośmiertnie istniało?

## MAGIA ŁOWIECKA

Od przeszło miliona lat używano coraz zmyślniejszych kamiennych, potem kościanych i innych narzędzi łowieckich. Zabijanie dla większości ludzi nie jest czynnością łatwą, dlatego, jak przypuszczam, by stępić skrupuły, zagłuszyć wyrzuty sumienia, zahamowania, obawy i lęki, jakiś pradawny ideolog, inteligentny szaman-artysta, wymyślił magię łowiecką. Tę wiarę inny ktoś, obdarzony nie mniej kreatywną wyobraźnią, połączył z Wszechświatem-Zwierzem i z zaświatami. I tak, w naturalny, niejako ewolucyjny sposób, z chaotycznego konglomeratu najpierwotniejszych rojeń wyłonił się szkielet najstarszej ludzkiej religii. Wiary kultywowanej przez dziesiątki tysięcy lat. Tak mocno zakorzenionej w naszej tradycji i psychice, że jej wyraźne wpływy odnajdziemy w każdej z późniejszych kultur i powiązanych z nimi religii.

W moim głębokim przekonaniu ta pierwotna wiara najwyraźniejszy ślad zostawiła w wierzeniach zbieraczy-łowców i pasterzy współcześnie zamieszkujących północno-wschodnie krańce Azji. Syberyjskie plemiona przejęły ją, jak zakładam, od przybyszów z górnopaleolitycznej Europy, którzy zaludnili te krańce Ziemi jakieś 38–28 tysięcy lat temu. Potem, przez lodowy pomost wiara ta przeniknęła na kontynent amerykański, a jeszcze później dotarła do Japonii, Oceanii i Australii. Ufam syberyjskim plemionom, ponieważ jako nieliczne z istniejących nigdy nie poddały się wpływom buddyzmu, islamu, nawet prawosławia. Ponadto, raczej nie przez przypadkowy zbieg okoliczności lub identyczny sposób kojarzenia, wśród Selkupów i kilku innych syberyjskich ludów istnieje przekonanie, że gwiazdozbiór Plejady to siedem sióstr, czyli wyobrażają sobie to samo co plemiona Indian Ameryki Północnej (zasiedlonej przez mieszkańców Azji tuż przed końcem epoki lodowcowej, jakieś 13 tysięcy lat temu) oraz rdzenni mieszkańcy Australii (szacunki mówią, że migracja z kontynentu miała tam miejsce 40 tysięcy lat temu, choć ja sądzę, że kolejne jej fale mogły być o wiele późniejsze). Warto również dodać, gwoli uzupełnienia, że w mitologii greckiej tytan Atlas podtrzymujący całe sklepienie niebieskie, jest między innymi ojcem siedmiu córek – Plejad, i że w indyjskiej jaskini Satghura widnieje wizerunek Siedmiu Matek (najpewniej też Plejad).

Plemiona dalekiej Syberii wierzą, że najpierw był Wszechświat, czyli Wielki Zwierz. Potrzebował On dobrej gospodyni – rodzicielki wszelkich

istnień, zwierząt i ludzi także. Od siebie dodam, że nim Absolut ją znalazł (lub w jakiś sposób powołał do istnienia, bo to pozostanie zagadką) i zanim ta Wszech-Gospodyni o wszystko na świecie zadbała, Bóg-Zwierz musiał ze sobą i swoim dziełem stworzenia Wszechrzeczy radzić sobie sam. Podobnie jak my – ludzie ze swoją nieuniknioną śmiertelnością.

Neandertalczyki z umieraniem radzili sobie tak, że chowali zmarłych – oddawali ich ziemi. A zatem, w coś wierzyli. Skoro były wyobrażenia, to w naturalny sposób musiały być ich symbole – duchowo-artystyczne obiekty magiczne, choćby w formie dających się przenosić (wszak były to koczownicze plemiona) idoli lub totemów wykonywanych najpewniej ze zwierzęcych kości, rogów, czaszek, lub też z pobudzających wyobraźnię korzeni, osadzanych na ociosanych, drewnianych palach, takich jak i dziś widuje się choćby na Olchonie (największej wyspie Bajkału, jednym z uświęconych miejsc Syberii). Czaszki zwierząt przyszły mi do głowy, ponieważ i w innych rejonach świata, np. na Półwyspie Jamalskim, bywają one szamańskimi atrybutami. Z rogów, piór, ptasich dziobów wytwarza się maski przeznaczone do odprawiania magicznych rytuałów. Zresztą, także w wielkich kulturach, takich jak Sumer lub Egipt, kapłani odprawiający obrzędy również ich używali, co wyraziście przedstawiono na licznych malowidłach, stelach i innych obiektach sztuki.

W pochodzących z górnego paleolitu schroniskach skalnych, takich jak: La Colombière w południowo-wschodniej Francji, Labatut, pod Sergeac w Dordogne, a zwłaszcza Limeuil u zbiegu Wezery i Dordogne, oprócz stosów kości znaleziono setki obrobionych kamieni z rytami przedstawiającymi zwierzęta. Były schematyczne narysowane, choć z szacunkiem przyznaję, spora ich część bezsprzecznie najwyższej artystycznej próby. Niektóre z tych rytów się przenikają, nakładają na siebie, tworzą trudną do rozwikłania płątaninę żłobień. Wiele z nich, jak się sądzi, celowo niszczone – łamano lub rozbijano przez zrzucanie ze zbocza do rzeki. Archeolodzy przypuszczają, że w tych zachowaniach można upatrywać jakiejś formy rytuałów łowieckich, zwłaszcza, że na dwóch kamieniach z La Colombière wyryto renifera oraz nosorożca trafionych strzałami i oszczepami. Analogiczne sceny odnajdziemy też na wielu jaskiniowych malowidłach. Badania zwyczajów Pigmejów z Konga prowadzone przez etnologa Leo Frobeniusa zdają się tę tezę potwierdzać. Zaobserwował on, że łowcy-Pigmeje, nim wyruszyli na łowy, przed wschodem słońca rysowali w piasku wizerunek zwierzęcia, które chcieli upolować, jeden z nich strzałą z łuku trafiał w ten cel. Po udanym polowaniu krwią zabitego zwierzęcia nasączano jego wyobrażenie, po czym je ścierano. Ten sam rodzaj rytualnych zachowań praktykują południowoafrykańscy Buszmeni, australijscy Aborygeni, Eskimosi, Indianie, praktycznie wszystkie zbieracko-łowieckie

plemiona. Rudolf Drossler, autor książki „Wenus epoki lodowej”, z której zaczerpnąłem te przykłady, tak to skomentował: *Jakkolwiek zapewne nie można utożsamiać po prostu poglądów ludów pierwotnych z poglądami człowieka epoki lodowej, to jednak szerokie rozpowszechnienie praktyk magicznych wskazuje na ich bardzo dawne pochodzenie. Toteż musimy przyjąć, że łowcy z La Colombière, Labatut i innych miejsc tworzyli swoje obrazy nie dla sztuki, lecz przypisywali im jakości magiczne. Uważano je chyba za pewnego rodzaju środek, dzięki któremu spodziewano się wpłynąć na zwierzęta lub duchy świata zwierząt, aby zapewnić pomyślność w łowach*<sup>29</sup>, a właściwie nie tyle zapewnić ich skuteczność, co przekonać zwierzę do tego, by zechciało „złożyć” się samo w ofierze, ponieważ to ono, a nie ludzie, było „uświęcone”. Zgadzam się w pełni z Drosslerem, że tych wizerunków nie tworzono z powodów artystycznych, ale w celach rytualnych, nie mniej, artysta-szaman, by skłonić zwierzę do „dobrowolnej” ofiary – uzyskać jego przychylności, starał się tworzyć ich wizerunki możliwie jak najlepiej – w natchniony sposób. Z pewnością artystyczny poziom wykonania tych magdaleńskich i solutrejskich rytów w wielu przypadkach zachwyca, co może wzmacniać pogląd, że tradycja łowieckich praktyk mogła narodzić się we wczesnym paleolicie, tyle, że w owym czasie, z braku twardych i precyzyjnych ostrzy, nie tworzono kamiennych rytów, raczej w piasku (jak to czynią współcześni Pigmeje) rysowano sylwetki zwierząt, albo węglem z ogniska na ścianach grot i jaskiń, a nawet, czego też przecież wykluczyć nie można, wykonywano proste figury zwierząt w drewnie albo lepiono je z gliny, a po polowaniu ceremonialnie niszczone. Tak zakładam w oparciu o odkrycia dokonane w 1922 roku we francuskiej jaskini Montespan znajdującej się u stóp Pirenejów, przez Norberta Castereta, oraz te z Petrkovic na Morawach. Na tym pierwszym stanowisku, pochodzącym z okresu magdaleńskiego, odkryto około 30 glinianych rzeźb, niektóre z nich wysokości sięgającej metra, także reliefy wykute na ścianach jaskini. *Trzy rzeźby wyobrażają lwy, w które łowcy uderzali ostrymi przedmiotami, bowiem pierś jednej bestii została wielokrotnie podziurawiona, O kilka metrów od tych drapieżców badacze natrafili na małą salkę, najbardziej fascynującą część jaskini. „W zasięgu 10 m”, opowiadał Casteret, „leży na ziemi mnóstwo glinianych rzeźb, prawdziwe muzeum prehistoryczne, którego najlepszy okaz stanowi bezgłowa figura niedźwiedzia. Ów niedźwiedź leży w pozycji przypominającej wielkiego Sfinksa z Gizy; ma 1,1 m długości i 60 cm wysokości. Podobnie jak lew, zwrócony jest ku wejściu, nie opiera się jednak o ścianę, lecz oddalony jest o jakiś metr i spoczywa na własnym niewielkim postumencie”. Przed tą rzeźbą*

<sup>29</sup> R. Drossler, *Wenus...*, op. cit., s. 40.

*musiały się kiedyś rozgrywać niezwykle sceny. Dzikie okrzyki odbijały się echem od ścian, a tańczący i wymachujący oszczepami łowcy rzucali się na glinianego kolosa, aby przebić go ostrzami. Ślady tych rytualnych czynności zachowały się do dziś. Między przednimi łapami znajdowała się czaszka niedźwiedzia, prawdopodobnie nasadzana pierwotnie na figurę. Być może, iż figurę nakrywano również skórą, aby zwiększyć podobieństwo do żywego zwierzęcia*<sup>30</sup>. Na rysunku obrazującym konie wpędzone do ziemnej pułapki, również wyraźnie odcisnęły się w skale dziury po ostrych przedmiotach (najpewniej oszczepach). Z kolei na stanowisku w Petrkowicach, w pobliżu owych półokrągłych, najstarszych ceramicznych pieców (o których wspominałem w pierwszym rozdziale) stwierdzono między innymi dużą ilość fragmentów glinianych figurek zwierząt, które, jak przypuszczają archeolodzy, celowo niszczone przez wrzucanie w żar płomieni, w wyniku czego gwałtownie pękały. O tym, że były to zamierzone akty rytualnej destrukcji może świadczyć fakt, że szaman-szamanka z tej wspólnoty posiadał-posiadała umiejętność wypalania nieuszkodzonych figurek, bo przecież morawska terakotowa Venus dotrwała do naszych czasów w całkiem dobrym stanie. Ona przetrwała, w przeciwieństwie do domniemyanych rzeźb-totemów z okresu środkowego paleolitu. Obawiam się, że jedyne ślady, jakie pozostały po tych nietrwałych idolach lub innych magicznych „instalacjach”, to porzucone w nieładzie, przysypane ziemią kupki gliny, rogów, kości i czaszek zwierzęcych.

Groby paleolitycznych zbieraczy-łowców świadczą o ich emocjach, symbolicznym myśleniu i istnieniu obrzędów, a z nimi, w każdej kulturze wiążą się: wydawanie dźwięków, a także rytualne tańce. Przecież nawet szympansy, co ustaliła angielska przyrodniczka, Jane Goodall (badając ich zachowania w rezerwacie Combe Stream w Tanganice), w niektórych sytuacjach, na przykład podczas deszczowej pogody, wyrażają emocje na przykład w ten sposób, że pędzą przed siebie z obłamanymi gałęziami w rękach i uderzają nimi w ekstazie o pnie napotkanych drzew i ziemię. Ten powtarzany co kilkadziesiąt minut „rytuał deszczu” odbywa się przy wtórze ich dzikich krzyków. W górnym paleolicie do wytwarzania dźwięków używano kościanych tarek i pałek (membranami były ściany i stalaktyty akustycznych zwykle jaskiń). Używano też piszczałek z rogów, z muszli i wydrążonych kości. Przypuszczam, że niektóre z tych prostych instrumentów tworzono znacznie wcześniej.

Przy neandertalskich szczątkach, oprócz śladów ochry, archeolodzy żadnych ozdób nie znaleźli, co przypuszczalnie świadczy o tym, że w ich wspólnotach nie było wyraźnie wyodrębnionych hieratycznych struktur

<sup>30</sup> Ibidem, s. 82, 83.

władzy. Zwyczaj grzebania zmarłych dowodzi tego, że wierzyli w życie pośmiertne, cierpieli po stracie i potrafili współczuć. W ich animalistyczną wiarę wpisany był zachwyt, podziw i szacunek wobec wszelkich form istnienia w obrębie żywej, obdarzonej wszechobecnym Duchem Istoty zwanej Absolutem.

## IV. Gospodyni

Najpierw był Wszechświat, czyli Bóg-Zwierz. Potrzebował On dobrej, zaradnej Gospodyni – Kobiety – Pani życia i śmierci – Matki i Opiekunki wszelkich istnień – roślin, zwierząt i ludzi także.

### PANI WSZECHŚWIATA

Plemię Ewenków znad Podkamiennej Tunguzki (jednego z licznych, spokrewnionych ze sobą ludów zasiedlających wielkie połacie środkowej i środkowo-wschodniej Syberii, od Jeniseju po Morze Ochockie) twierdzi, iż ten Stwór nazywa się Bugady Enintyn. U Ewenków jerbogaczewskich w roli Pani Wszechświata występuje Mangi-Dioromgo. Graniczący z Ewenkami od północy Ketowie uważają, że ta Pramatka-rodzicielka wszelkich stworzeń, odpowiedzialna też za zjawiska przyrody i strzegąca wejścia do innego świata, ma po prostu na imię Toman (matka). Niwchowowie znad Morza Ochockiego (których szczególnie cenię z racji wspólnoty wyznawanych wierzeń – o czym już wspominałem) widzą hen, na krańcach ziemi i nieba, na granicy tego i innego świata siedzącą Staruchę – Gospodynię Wszechświata-Zwierza. Tę samą żeńską postać odnajdziemy w mitach Doganów i, co trafnie zauważył antropolog, etnograf i językoznawca Władimir G. Bogoraz, w nieco zmodyfikowanej formie pojawia się ona w osobach takich znanych niebiańskich władczyń jak Kybele, Astarte i Artemida oraz w postaciach innych bogiń-matek strzegących wrót do zaświatów, niemal zawsze kojarzonych z Ziemią. W ten sam sposób związanych z nią, jak w wyobrażeniach syberyjskich plemion – strażników pamięci, kultuwatorów i wyznawców (nie tylko ja tak myślę) najstarszej z ludzkich religii – prehistorycznej wiary zrodzonej w epoce kamiennej, przeszło 40 tysięcy lat temu, przez łowiecko-zbierackie plemiona i ludy zbieracko-łowieckie także. Bo przecież rozmaicie z tym odżywianiem bywało. W opinii Mariji Gimbutas, wybitnej znawczyni okresu paleolitu, *menu* wielu pierwotnych plemion, nawet w 80% składało się z tego, co na łąkach i w lasach wyszukano. Łowiectwo tę, w przewadze roślinną dietę, jedynie uzupełniało.

Jeśli Gimbutas ma rację, to pozycja kobiet w pierwotnych społecznościach musiała być znacznie wyższa niż nam przedstawiano do tej pory (czytaj: wmawiano). Przecież to głównie one zbieractwem się parały, jak również przygotowywaniem pokarmów, rozdzielaniem ich między członków wspólnoty – gospodarowaniem nimi. Znały się również na ziołach, a więc i leczeniu, rodziły dzieci i innym kobietom pomagały rodzić, niańczyły je, uczyły mówić, przekazywały umiejętności i wiedzę następnym pokoleniom... Czyli dla społeczności były bardziej użyteczne niż mężczyźni.

Ewenkowie znad Jeniseju (o czym pisał K. M. Ryczkow) ziemię określają jako *dunne enin* – „matkę ziemię”, ci z okolic Podkamiennej Tunguzki mianem „matki” obdarzają też tajgę, rzeki, góry, nawet miejsca swoich obozowisk. Jest ona dla nich istotą antropomorficzną, zaraz po Bugady Enintyn najważniejszą władczynią-Babką, uchodzącą za samicę łosia. Wszystkie wyobrażenia religijne Selkupów (innego syberyjskiego ludu), w opinii E. D. Prokofiewej, mają żeńską postać. Wszelkie duchy przyrody są tego rodzaju. Ich Pani Kosmosu, żyjąca ze swoimi córkami, ukazywana jest pod postacią starej matki-rodzicielki, dawczyni życia, opiekunki ognia, „babci ogniowego wiru”, „gospodyni węży”, „matki węży”... z tego ciągu wyobrażeń wynika, iż duchy przodków mieszkające w ogniu były splecione ściśle z węzami-płomieniami dobywającymi się z rodowych ognisk. Tak symbolikę węży (jako płomieni i duchów zarazem), jak przypuszczam, należy w pierwotnej, a więc i prehistorycznej sztuce odczytywać.

W wyobrażeniach tych ludów duch domowego ogniska ma postać starej kobiety – opiekunki rodu. Arkadij F. Anisimow twierdzi, że *taką ideę mógł zrodzić tylko matriarchat* – zauważył prof. Zygmunt Krzak, autor „Od matriarchatu do patriarchatu” (książki, do której nie tylko w tym rozdziale często się odwołuję). Sam opisał to tak: *U Ewenków kobieta uchodziła za patronkę dusz rodu. U nich opiekunowie rodu to wyłącznie bóstwa żeńskie wywodzące się od realnych kobiet, które w przeszłości stały na czele macierzyńskiego rodu i domowego ogniska. Kobiety stanowiły podstawę domowego gospodarstwa, a mężczyźni przechodzili ze swego rodu do rodu małżonki, natomiast kobiety pozostawały w swoim rodzie, przy czym cała gospodarka rodu znajdowała się w ich rękach. Rodowe bóstwo Ewenków, Bugady Muszunin, uważano za ducha – opiekuna rodu, za gospodynię, głowę rodu i całej rodowej gospodarki. Bóstwo to wyobrażano sobie w postaci mądrej, starej, lecz jeszcze krzepkiej i silnej kobiety. Idolami tego kobiecego bóstwa opiekowali się szamani, a w każdym domu, w każdej rodzinie było jego wyobrażenie pod postacią idola. Również u Dołganów duch ognia uchodził za opiekuna rodziny i miał postać kobiety, którą nazywano mateczką. Z kolei u Nanajców duch ognia nazywał się Matką Fadzja, a jego uosobieniem była zgrzybiała starucha ubrana w czerwoną kapotę.*

*Do ognia zwracano się z prośbami i składano mu ofiary. U wielu ludów kult ognia wiązał się z kultem przodków. Nanajcy nazywali ogień matką lub przodkiem rodu. To znów u Niwchów ogień uchodził za święty. Wierzyli oni, że w ogniu przebywa gospodyni, starucha. Wśród Niwchów sachalińskich wierzono, że Tuurman – bogini ognia, gospodyni, starucha to powi nowata rodu, która żyje w ogniu. Również Ajnowie znali tzw. babkę ognia, a Ketowie nazywali ogień „bok”, co znaczyło: matka ognia. U Czukczów strażniczką ognia też była kobieta. U Jukagirów duch ognia miał postać maleńkiej dziewczynki uchodzącej za matkę ognia. W Tybecie określenie: żona (gospodyni) składa się z dwóch części, z których jedna oznacza dom, a druga – ognisko. U Szorców znano tzw. panią ognia. Matka ognia była też u Teleutów. U Buriatów duch ognia przyjął postać staruszka, lecz wcześniej była to postać kobiety. U Chakasów istniał pogląd, że w człowieku przebywa duch ognia, który jest płci żeńskiej. Bogini ognia u starożytnych Greków nazywała się Hestią, co oznaczało ognisko, a u Rzymian w kulcie bogini zaś ważne było ognisko<sup>31</sup>. U Dołganów ogień rodowy każdego ranka rozpalano w czumie (czyli szałasie z kory) u najstarszej kobiety w rodzie, symbolizował on jedność rodziny i szerzej – plemienia (później też narodu). Ognisko tej starej kobiety jednoczyło wszystkich członków rodu z duchami przodków. Opiekunkami ogniska domowego i ognia jako miejsca przebywania duchów przodków, zawsze były kapłanki kobiety. Taką tradycję odnajdziemy także u ludu Boganda z Afryki Środkowej, plemion Hererów i Irokezów, również na Jukatanie oraz w dawnej Irlandii, w Delfach, Atenach, u Rzymian i Inków. Ten archaiczny zwyczaj łączenia postaci nesterek rodu z ogniem jako symbolem ciągłości trwania wspólnoty zachował się również w tradycji Hebrajczyków, u których w święto Paschy i w każdy szabasowy piątek kolację poprzedza zapalenie przez matkę świecy, wokół której, niczym wokół ogniska rodzina się jednoczy. Ponadto warto zauważyć, że Żydzi swoją genealogię też potwierdzają matrylinearnie (choć w zapisach odnotowują ojców).*

## OD GOSPODYŃ DO SZAMANEK

O pierwotności kultur gynokratycznych (z kobietą w centrum) oraz wtórności kultur o charakterze androkratycznym (z męską dominacją) świadczy fakt, że wiele ludów pochodzenie szamanów i ich umiejętności wiąże z kobietami. Prof. Z. Krzak zauważył, że szamański płaszcz u Ewenków zachował typowe cechy wierzchniego ubioru kobiecego. O wiodącej roli

<sup>31</sup> Z. Krzak, *Od matriarchatu do patriarchatu*, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2007, s. 37, 38.

*kobiet w dowolnym kulcie innych ludów świadczą liczne dane. U Jakutów z Kołymy szaman w mniej ważnych przypadkach bierze od dziewczyny odzież wierzchnią i w niej odprawia zaklęcia. U różnych plemion szamani mają włosy splecione w warkocze i uczesane na sposób kobiety. Podobne zjawiska spotyka się u Dajków, u których kapłani noszą strój kobiety, u Koriaków, których czarownicy niekiedy przebierają się w strój kobiety, także u wielu ludów amerykańskich, a nawet w tzw. religiach wyższych, w których kapłani nie tylko noszą stroje kobiece, lecz również pozbawiają się znamion męskości<sup>32</sup>. Od siebie dodam, że piuski, sutanny, komże, tiary i ornaty katolickich duchownych też sprawiają wrażenie kobiecych strojów. W domach Nanajów (Goldów) bardzo często spotyka się drewniane idole przedstawiające kobiety oraz mężczyzn (duchy przodków), co ciekawe, nawet te z symbolicznych figur, które przedstawiają mężczyzn, wyposażone są w kobiece piersi, z czego możemy wnosić, że pierwotnie za duchy przodków uchodziły tylko kobiety – przodkinie rodów. Najwidoczniej Nanajowie mimo modyfikacji religijnych obyczajów bali się (lub nie chcieli?) odwiecznej tradycji zmieniać. Tradycji, w myśl której opiekuńczy duch ognia zawsze przybiera żeńską postać.*

Z kobietami jako dawczyniami życia w naturalny sposób wiązano płodność, i to nie tylko w wąskim kontekście, ale też uniwersalnym – odnoszącym się do wszelkich form i aspektów istnienia. To kobiety od zawsze kojarzone były z odwiecznym rytmem przyrody, z narodzinami i śmiercią, przemijaniem i odradzaniem się. Wierzano, że posiadają moc wpływania na owe procesy natury. U Aleutów setki nagich kobiet (z dala od mężczyzn), w trakcie swoistych „sabatów”, gdzieś na wzgórzach, na oddalonych od ludzkich siedzib polanach wykonywały rytualne tańce w blasku księżyca; tym sposobem odpędzały wszelkie zło, odczyntwały uroki i zapewniały myśliwym pomyślność w łowach. Podobnie u Indian, w księżycowe noce nagie kobiety czyniły na polach magiczne obrzędy i zaklęcia związane z urodzajem – obfitością plonów. Tylko one mogły skutecznie wpływać na decyzje Wielkiej Gospodyni – najwyższej instancji odpowiedzialnej za prokreację i cały porządek tego i tamtego świata. Wedle hinduistycznych wierzeń trwanie świata zapewnia taniec boga Śiwy (jednego z trzech najważniejszych dewów, obok Brahmy i Wisznu), ewidentnie wywiedzionego z żeńskich cech bytu. Kobiety, jako zbieraczki roślin poznały właściwości ziół, w naturalny więc sposób stały się znachorkami. One również jako matki, a też opiekunki, uczyły dzieci artykułowanej mowy, przekazywały im systemy wierzeń oraz innych wartości, wprowadzały nakazy i zakazy, były źródłem wiedzy, mądrości, prawości i sprawiedliwości. Nieprzypad-

---

<sup>32</sup> Ibidem, s. 41.

kowo, jak sądzę, we wszystkich kulturach tego typu zdolności uosabiane są przez bóstwa kobiece: Sofię, Atenę, Minerwę, Maat, Hoqmah. Egipską Maat oznajmiało emblematyczne ptasie pióro na głowie, powtórzone w jej hieroglifie. Była Harmonią Uniwersum, niezbędnym warunkiem jego istnienia, Prawdą i Sprawiedliwością, Duszą Faraona. Klęski żywiołowe lub nieszczęścia tłumaczono zakłóceniami w rządach Maat. W Kabale Maat jest uosobiona przez jedną z sefir, emanacji boskiego światła; sefiry były kolejnymi stopniami poznania nieskończonego i niepoznanego Boga przez skończone i ograniczone stworzenie; wszystkie one są aspektami, mocami Boga, przejawianymi w stworzeniu, przez które dokonuje się jego objawienie. Istnieje kilka koncepcji genezy sefir. Być może są pozostałościami po dawnym hebrajskim systemie notacji cyfr – o pierwotności zapisu cyfr już wspomniałem – bowiem aż do niewoli babilońskiej nie używali do ich zapisu znaków alfabetu. W ten sposób sefiry, wespół z literami, tworzyłyby pełny zbiór znaków, z których Bóg stworzył świat. Z kolei u Goldów, Ewenków, Buriatów, Taleutów znad Ałtaju i wielu innych syberyjskich ludów przetrwały opowieści o tym, że pierwotnie funkcje szamańskie sprawowały tylko kobiety. Według tych podań one pierwsze posiadały te umiejętności. Władimir G. Bogoraz upewnia: *Zbadanie wielu faktów skłania do przypuszczenia, że w szamanizmie dominowały elementy żeńskie, które stopniowo zeszyły na dalszy plan*<sup>33</sup>. Z pewnością można tę konkluzję odnieść do wielu innych religii i kultur. Niemniej, pierwsze szamanki, założycielki syberyjskich rodów, plemion i narodów, wciąż żyją, są obecne w postaci bóstw opiekuńczych – węży-płomieni wydobywających się z rodowych ognisk i wzbijających się ku bezkresnemu Niebu, do niebiańskiej siedziby Wielkiej Gospodyni Wszechświata-Zwierza.

## OD SZAMANEK DO BOGIŃ

Te gospodarne i zapobiegliwe kobiety (matki, babcie, rzadziej młode dziewczyny), owe pierwsze szamanki, w żarze rodowych ognisk, również w mitach zespoliły się z Wielką Opiekunką Świata, naturalnym zatem porządkiem rzeczy one też dorobiły się w religijnych wierzeniach wielu ludów splendoru boskości.

U Ketów, Ostiaków (Chantów), Wogułów (Mansów), Nieńców i wielu innych plemion północnej oraz północno-wschodniej Azji znany jest kult opiekuńczych duchów-bogiń uosabianych przez drewniane figurki-bożki lub kukły-idole zrobione z patyków, gałązek, futerek i z innych tego rodzaju

<sup>33</sup> Ibidem, s. 41.

materiałów. Przechowywano je w każdym domu i przekazywano potomkom jako opiekuńcze bóstwa zapewniające pomyślność w życiu codziennym, w gospodarstwie i w łowach, za co składano im dary. Z etnograficznych badań Z. A. Abramovej i S. A. Tokariewa, znamy też zjawisko altajskich emegenderów, czyli babek: *Emegendery miały postać kukieł wykonanych z tkanin. Wykonywały je matki rodzin, a gdy dziewczyna wychodziła za mąż, zabierała je ze sobą do domu męża. Kukły te miały zapewniać pomyślność rodowi i chronić nowo narodzone potomstwo, dom i ognisko. Znali je Szorcy, Teleuci i inne ludy. Do nich modlono się o zesłanie pomyślności, nazywano je matkami, mateczkami, staruchami. Emegendery reprezentowały rodzieli rodów, żeńskich przodków i uchodziły za opiekunów rodów. U Teleutów oprócz emegenderów znano jeszcze enekelery, tj. mateczki. I jedne i drugie przedstawiały duchy rodu macierzyńskiego. Kukły znali też Tadźycy i u nich uchodziły one za symbole płodności. Coś takiego było też u Czukczów, u których pełniły funkcję amuletów zapewniających pomyślność<sup>34</sup>.* Na pagórkach, stawiano święte wyobrażenia – grube kobiece figury-idole wykonane z pni drzew, a w tundrze – przeważnie już z kamienia. W tych żeńskich bóstwach zawierał się również aspekt płodnościowy. U Jakutów za rozrodczość zarówno kobiet, jak i zwierzyny łownej oraz wszelki urodzaj odpowiada bogini Ajisył, zwykle przedstawiana jako starucha. U plemion tureckich była znana jako Umaj. Ludy mordwińskie miały dwa potężne bóstwa: Jurt-awę będącą duchem-boginią ogniska oraz domu, i Norow-awę odpowiedzialną za płodność i urodzaj. Z etnograficznych badań wiemy, że było też wiele kobiecych bóstw, których przychyłność zapewniała powodzenie w łowach. Na wizerunkach przedstawiano je w towarzystwie zwierząt. W znanych z historii kulturach były to: Kybele, Antu, Isztar, Lilith *ve*/ Lilake (pierwsza, mniej posłuszna żona Adama), Rea, Parwati... u Jakutów znana pod imieniem Kubiaj-Chotun, u Czukczów – Dał, u Eskimosów Sedna – stara kobieta, matka morza, była też u nich „leśna gospodyni” – Matka karibu. Te i inne Gospodynie – Panie Wszechświata – zapewniały mężczyznom pomyślność w łowach za pośrednictwem ziemskich gospodyń-szamanek, które porozumiewały się z nimi (boginiami) wypowiadając magiczne zaklęcia i tańcząc nago w ekstatycznym transie, w poświęceniu księżycu. Nie tylko w Azji, ale też w Afryce i w Ameryce oraz w Europie epoki kamiennej pełniły one taką funkcję. Z. A. Abramova zwróciła uwagę na sceny przedstawione w niektórych jaskiniach, świadczące, że tak właśnie było. Na skalnej powierzchni jaskini Cogul w północno-wschodniej Hiszpanii *ukazano dziewięć kobiecych postaci wokół maleńkiej postaci męskiej, a obok liczne zwierzęta. Analogicznie interpretuje się paleolityczną scenę z kobietami w Laussel*

<sup>34</sup> Ibidem, s. 43.

(Francja), których zadaniem było – jak się przyjmuje – zapewnienie powodzenia w łowach. Scena przedstawia męczyznę rzucającego oszczep w jelenia, a obok są trzy postacie kobiece<sup>35</sup>.

Wiele ludów wierzyło, że kobieta jest najstarszą istotą Ziemi. Marija Gimbutas zaryzykowała nawet tezę, że najstarsza matriarchalna bogini (ta wczesnopaleolityczna), której wyraźne echo pobrzmiwa w niemal wszystkich religiach, a zwłaszcza w wierzeniach zbieraczy-łowców, była partenogenetyczna, co w opinii badaczki wynikało z nieznamośności aktu zapłodnienia kobiety przez męczyznę (czyli na początku rozrodczości nie kojarzono z aktem płciowym). Wątpię, by tak rzeczywiście było, bo partenogenetyczna bogini wykluczyłaby przecież potrzebę istnienia u zarania dziejów Wszechświata-Zwierza, zatem nie potrzebowałaby On wynajdywać lub stwarzać Gospodyni, aby mądrze zawiadywała światem. Pierwiastki zwierzęcy i męski ewidentnie obecne i z pewnością górujące nad kobiecym w wyobrażeniach plemion środkowego oraz wczesnego górnego paleolitu nie miałyby żadnego sensu, ponieważ to Kobieta-Zwierz byłaby Wszechświatem i od samego początku tylko Jej składano by dary i tylko do Niej zanoszono modły.

Plemię Szorców (na co zwróciła uwagę Z. A. Abramova) matkę wszystkich ludzi wyobraża sobie jako znacznej postury postać, z długimi włosami, wielkimi, opadającymi piersiami oraz dużym brzuchem, a więc bardzo podobnie, wręcz identycznie jak przedstawiano ją w większości paleolitycznych wyobrażeń Venus, jak choćby tej terakotowej z Dolnich Vestonic w Czechach lub równie słynnej, wydłużonej figurki z Lespugue (stanowiska w departamencie Haute Garonne), którą R. Drossler opisał tak: *Uderzające wrażenie sprawia widok bardzo szerokich bioder i balonowatych, obwisłych nad wydętym brzuchem piersi, na których spoczywają chude przedramiona. Ramiona ledwie wyróżniają się z ciała; dyniowata głowa, na której brak rysów twarzy, jest lekko pochylona do przodu, jakby w pozie nabożnego skupienia. Włosy z tyłu głowy zwisają kosmykami aż na ramiona, które widziane z boku wydają się nienaturalnie szczupłe. W środkowej części figurki brzuch, biodra i piersi kuliście spiętrzają się jedne nad drugimi. Całość dźwigają mocne uda i ostro zbiegające się łydki bez stóp*<sup>36</sup>. Charakterystyczne, że figurki paleolitycznych Venus w większości przypadków pozbawione są rysów twarzy, choć zwykle z wielką pieczołowitością ukazywane są ich włosy, uczesania, a nawet ozdoby głowy. Zupełnie ten sam typ obrazowania przedstawiają antropomorficzne figury (rzeźby, lalki i kukły) rodowych bogiń Ulczów, Jakutów, Nanajców, Orczów, Niwchów,

<sup>35</sup> Ibidem, s. 43, 44.

<sup>36</sup> R. Drossler, *Wenus...*, op. cit., s. 46, 47.

Niegidalców... *Siła biblijnego Samsona tkwiła w długich, naturalnych, nie strzyżonych od urodzenia włosach*<sup>37</sup>, zauważył Z. Krzak. Niwchowie myślą podobnie, według nich strzyżenie włosów i golenie bród pozbawia ludzi witalnych sił. Nie da się, co prawda, na tej podstawie jednoznacznie stwierdzić, że włosy paleolitycznych Wenusek cokolwiek symbolizowały, niemniej nie da się też pominąć faktu, iż większość z tych statuetek znaleziono w bliskości dawnych palenisk, co wzmacnia tezę, że i one, te Panie Stworzenia z epoki kamiennej, uosabiały duchy żyjących w ogniu rodowych przodków spokrewnionych z płomieniem-wężem.

W mojej subiektywnej ocenie przeobrażenia mitu Wielkiej Gospodyni na przestrzeni tysiącleci w obrębie wielkich kultur i religii przebiegały mniej więcej tak:

## OD MAGNA MATER DO WILKA, CZYLI O ANIOŁACH SŁÓW KILKA

Najpierw, bardzo dawno to było – przed dziesiątkami tysięcy lat – Wielka Matka, Gospodyni Wszechświata-Zwierza, urodziła wszystko, co żyje w Jego obrębie. Najpierw rośliny, potem zwierzęta, wreszcie ludzi – zwierząt siostry i braci mniejszych. Przez kolejne wieki i długie tysiąclecia Jej moc sprawcza systematycznie rosła, bo też zakres Jej obowiązków stale się powiększał. Wszak nie wystarczy urodzić, trzeba też nakarmić, wychować, przed chorobami uchronić, złe moce odpędzić, nauczyć jak żyć i co jest w życiu ważne. Wkrótce *Magna Mater* musiała też zadbać o przemianę dusz i ich pośmiertną drogę w zwierzęce zaświaty. Roboty z tym miała bardzo wiele. Nic dziwnego zatem, że do pomocy skrzyknęła kilka gatunków zrodzonych przez siebie zwierząt. W pierwszej kolejności węże, bo zwinne, mądre i posiadające dar transformacji. Potem także rozmaite ptaki, bo wysoko fruwały, wzrok mają jastrzębi, orli, sokoli, sowy – przenikliwy, zatem widzą i wiedzą więcej, a niektóre z nich, na przykład sępy lub kruki, w pośmiertnej przemianie uczestniczą jako psychopompy, czyli „dusz przewodnicy” (co w religii tłumaczy się jako: zwierzę, duch, anioł lub bóstwo. Zapewne scalone w jednym sensie Istoty Rzeczy). Pani Stworzenia, żeby jeszcze bardziej zakres oddziaływania i swoją siłę zwiększyć, do grona pomocników dołączyła też lwy, tygrysy i lamparty, a potem nawet słonie. I tak oto, przez długi czas Jej gospodarnych rządów owa świta zwierzęca tak się z Nią spowinowaciła i sprzęgła, że się z Nią

---

<sup>37</sup> Z. Krzak, *Od matriarchatu...*, op. cit., s. 44.

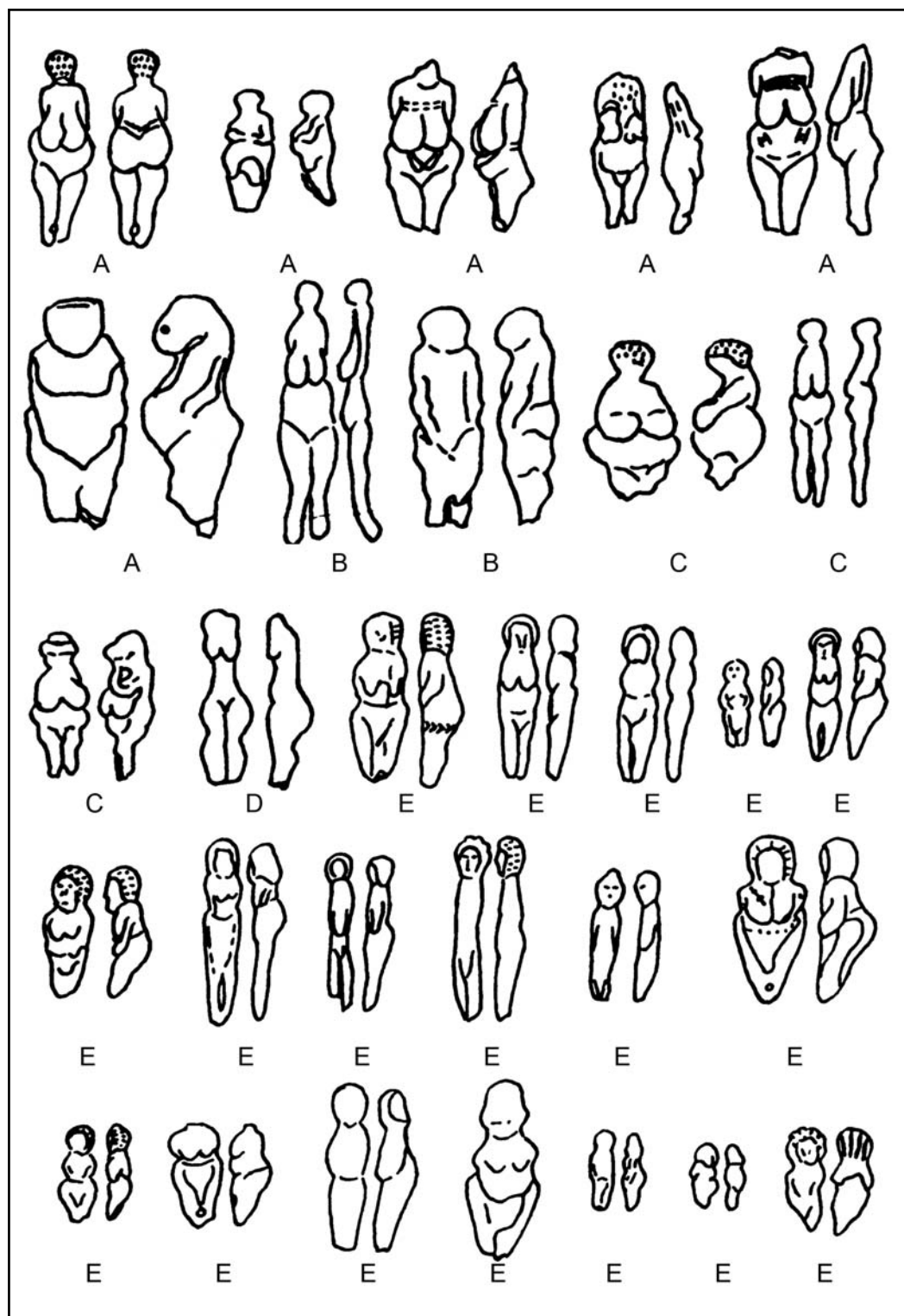
zrosła. Zatem w Sumerze, Egipcie oraz innych neolitycznych kulturach znana była jako bogini Antu (żona boga Anu) Isztar (Inanna) lub Lilake – kobieta ze skrzydłami orła i szponami sępa wczepionymi w torsy lwów, ukazywana zwykle w towarzystwie pary sów. Tak przemieniona *Magna Mater* dzierży w dłoniach atrybuty sprawiedliwości, którymi skrupulatnie mierzy ludzką uczciwość i wyznacza nasz los pośmiertny. Przedstawiano ją też pod postacią skrzydlatego Sfinksa z torsem lwa i twarzą kobiety, nawet z *atefem*, a więc koroną na głowie. Nieco później występowała też pod postacią Harpii – ptaka z głową kobiety, często w towarzystwie pary sępów, a więc zwierząt z jej świty odpowiedzialnych za to, co po doczesnym życiu z nami się stanie. W judaizmie Lilake przemianowano na Lilith – pierwszą, nieposłuszną żonę Adama i Abrahama, kochankę Mojżesza, *wszteczną i wyuzdaną* (jak w jednym z wierszy napisałem). Szpony jej stępiono jadem obmowy, skrzydła odjęto, zbrzydzone ją, nos krzywy poprawiono, z węży szatański uczyniono jej pomiot, jednym słowem zrobiono z niej bagienneą wiedźmę, a zatem baśniowego wilka, którym nieposłuszne dzieci się straszyszy, gdy coś nabroją lub nie chcą słuchać starszych. Mit wiecznotrwałej, wszechwładnej, sprawiedliwej, a także opiekuńczej kobiecej bogini Antu-Isztar-Inanny-Lilake (*Magna Mater*) tak jednak głęboko w świadomości setek pokoleń się zakorzenił, że do naszych czasów przetrwał, przerodził się raczej – przeistoczył, przetransformował w znane nam z Biblii anioły. Istoty równie jak Ona nieśmiertelne, mądre i opiekuńcze, tyle, że bezcieleśnie bezpłciowe... niestety. Czego, przyznam, żałuję niezmiernie.



Dwie statuetki Wenus z górnopaleolitycznego stanowiska Gagarino.



Figurki Wenus ze stanowiska Kostienki w pobliżu Gagarino. Ich wiek to około 24,5–21,5 tys. lat p.n.e.



Rodzaje paleolitycznych statuetek Wenus z Europy Wschodniej i Syberii. A – Kostienki I, B – Awdiejewo, C – Gagarino, D – Jeliziejewicz, E – syberyjska Malta.



Od góry od lewej: 1. Ażurowa płytką z kości słoniowej z przedstawieniem kobiecego Sfinksa (Twierdza Salmanasara, przypuszczalnie dekoracja tronu. Obecnie w zbiorach Irackiego Muzeum Narodowego w Bagdadzie). 2. Mezopotamski relief kultowy z XIX-XVIII wieku p.n.e. z wizerunkiem bogini Isztar (Inanny) identyfikowanej też jako Lilit (British Museum, Londyn). 3. Harpia z Nimrud z parą sępów-psychopompów. Wykonana z kości słoniowej w VIII wieku p.n.e. (Bagdad, Irackie Muzeum Narodowe). 4. Fragment złotej plakietki z Artemidą jako *Magna Mater* (660–620 p.n.e., British Museum, Londyn).

## V. Ogień i kamienne ostrza

Powodzenie w łowach (o czym już wiemy) w paleolitycznym *Zep Tepi* – mitycznym prapoczątku zależało od przychylności uświęconych w wierzeniach zwierząt, potem za tę istotną dla życia kwestię odpowiadała już tylko *Magna Mater* – Gospodyni Wszechświata. Jednak, bez ostrych, wytrzymałych grotów nic upolować by się nie udało.

### OSTRZA

Solidne ostrza jako narzędzia wojny i obrony były potrzebne też do obróbki surowców, czyli w gospodarce. Wyrób większości przedmiotów, w tym obiektów kultu, również od ich dobrej jakości był uzależniony. Krzemienne narzędzia w epoce kamiennej odgrywały tak doniosłą rolę, że od miejsc ich znajdowania biorą się nazwy i przybliżone datowania paleolitycznych kultur. W ten sposób archeolodzy wyodrębnili: kulturę perigordzką (od prowincji w południowo-zachodniej Francji) oraz oryniacką (od jaskini Aurignac w Pirenejach), obie datowane na 30–15 tysięcy lat p.n.e. Potem, w miejsce oryniackiej, pojawia się kultura późnoperigordzka, nazywana też grawecką (od miejsca jej odkrycia – La Gravette). Jeszcze późniejsze, doskonalsze od późnoperigordzkich typy ostrzy przypisano do kultury solutrejskiej (jej nazwa pochodzi od stanowiska Solutre w departamencie Saone-et-Loire; istniała w okresie 21–18 tysięcy lat p.n.e.) i magdaleńskiej (od schroniska La Madeleine w departamencie Dordogne) – od około 18/15 do 8 tysiąclecia p.n.e.

Bryły krzemienia można znaleźć na powierzchni ziemi, nie są one jednak najwyższej jakości, ponieważ kwarc w kontakcie z czynnikami atmosferycznymi traci swoje użyteczne właściwości. Najlepsze do wyrobu narzędzi są grudy czarnego krzemienia, zalegające na głębokości ponad dwóch metrów pod powierzchnią ziemi. Wiedzieli o tym choćby dawni górnicy z okolic Norfolk, którzy na obszarze 37 hektarów wykopalili 360 szybów w celu pozyskiwania tego cennego surowca. Neolityczna kopalnia Grimes Graves nie była oczywiście jedynym na Ziemi miejscem

przemysłowego wydobycia krzemienia w tamtym okresie. Takie ośrodki były też w Belgii (kopalnia Spiennes w pobliżu Mons) i innych miejscach Europy, a nawet w dalekich Chinach. Są świadectwa (między innymi z Polski, Węgier i Szwajcarii), że w górnym paleolicie wydobywano różne minerały przy użyciu kilofów zrobionych z poroży jeleni. Były to jednak zbyt płytkie wykopy, żeby zasługiwały na miano kopalnianych szybów. Dlatego sporą konsternację w świecie nauki wywołało odkrycie w Egipcie, w 1987 roku, paleolitycznego górnictwa sprzed 30 tysięcy lat. Badacze P. Van Peer, P. Vermeersch oraz E. Paulissen (cytując za Rudgleyem) opisują dwa stanowiska (*Nazlet Khater 4 i 7*) w dolinie Nilu, które dowodzą *podziemnego górniczego wydobywania rogowca* (doskonalej odmiany krzemienia) w okresie od 35 do 30 tysięcy lat temu. Główne prace wykopaliskowe miały miejsce w Nazlet 4, większość informacji pochodzi więc z tego miejsca. Górnicy z górnego paleolitu wydrążyli pionowe szyby prowadzące na głębokość 2 metrów, niektóre poszerzając na boki, by utworzyć szyby dzwonowe. Do takiej samej głębokości wykopano również rowy. Podziemne galerie, jakie odkryto, odchodziły zarówno od rowów, jak i szybów dzwonowych. Największa odsłonięta przez zespół archeologiczny galeria miała około 10 metrów kwadratowych. Udało się stwierdzić, że niektóre z galerii zawaliły się. W galeriach znaleziono dwa rodzaje sprzętu górniczego: *toporne młoty i kilofy*. Kilofy przypominają neolityczne okazy odkryte w Spiennes i Grimes Graves, ale narzędzia egipskie wykonano z rogów gazeli i antylopy południowo-afrykańskiej<sup>38</sup>. Pozostałości podobnych rowów oraz szybów znaleziono także na dwóch innych stanowiskach archeologicznych – Nazlet Safaha 1 i 2; są od tamtych starsze, bo sięgają epoki neandertalczyka (szacuje się, że mogą liczyć nawet 60 tysięcy lat!). Odkryto też szyby środkowopaleolityczne na stanowisku Taramsa 1. Sądząc po różnych rodzajach znalezionych tam kamiennych narzędzi, zakłada się, że eksploracja złóż kamienia miała tu miejsce w różnych okresach. Trudno mi się odnieść do tych rewelacji. Raczej wątpię, by neandertalskie plemiona wytwarzały doskonałej jakości krzemienne ostrza, archeologiczne znaleziska tego nie potwierdzają, natomiast wiele ostrzy z górnego paleolitu (solutrejskie, magdaleńskie, również późniejsze – świderskie) jest bardzo dobrej jakości. Zatem być może Rudgley ma rację: *Egipskie stanowiska ze środkowego i górnego paleolitu dostarczają nam istotnych danych dla rekonstrukcji prehistorycznego rozwoju górnictwa. Systematyczna działalność wydobywcza istniała w środkowym paleolicie, natomiast górnictwo podziemne w górnym paleolicie, a to oznacza, że wcześniejsze modele rozwoju muszą zostać*

<sup>38</sup> R. Rudgley, *Zaginione...*, op. cit., s. 170.

*poddane rewizji. Niegdyś w systematycznej działalności wydobywczej widziano rozwinięcie techniki wyzyskiwania surowców z górnego paleolitu, zaś górnictwo podziemne postrzegano jako wynalazek neolityczny. Teraz będziemy musieli stworzyć nowy porządek przesunięty o wiele tysięcy lat w przeszłość<sup>39</sup>.*

Bryły krzemienia umieszczone w wysokiej, choć ściśle określonej dla danego rodzaju temperaturze, zmieniają swoje właściwości. Ustaliła to Barbara Purdy w trakcie doświadczeń z rogowcami, które ogrzewała w temperaturze bliskiej krytycznej (około 350 stopni). Okazało się, że bryły poddane obróbce cieplnej stawały się o 45 procent bardziej podatne na rozłupywanie (po ogrzaniu wzrastała łatwość wytwarzania z nich ostrzy) i o 40 procent rosła ich odporność na ściskanie (stawały się twardsze, a więc wytrzymalsze). O tych właściwościach wiedziały niektóre indiańskie plemiona (przykładowo Hopewell z okresu 200 p.n.e. – 400 n.e.). Główny francuski specjalista od paleolitycznych narzędzi kamiennych, François Bordes, twierdzi, że *część znalezisk z górnego paleolitu, z okresu kultury solutrejskiej (około 21 do 18 tysięcy lat p.n.e.) z całą pewnością poddano obróbce cieplnej<sup>40</sup>*. Statuetki Venus i inne przedmioty pochodzące z tych tysiącleci bywały wykonywane z bardzo twardych, trudnych w obróbce materiałów, zatem jakość narzędzi użytych do ich wykonania musiała być najwyższej próby. Jednoznaczną opinię Bordesa zdaje się też wzmacniać wypowiedź innego eksperta od paleolitycznej technologii – Theodora Wer-time: *Ludzie epoki kamienia posługiwali się ogniem na wiele rozmaitych sposobów już 25 tysięcy lat temu. Możemy wymienić tu temperowanie drewnianych grotów włóczni, utlenianie takich barwników, jak ochra (na przykład w Dolnich Vestonicach i Petrkvicach na Morawach), wyżarzanie kamiennych pocisków, wypalanie kopalin (stąd pochodzi pomysł pieca do wypalania wapnia i prawdopodobnie pieca metalurgicznego), a wreszcie gotowanie. Gdy wyzyskiwanie ziemi dla potrzeb ceramiki, wiązania murarskiego, zeszklenia i metalurgii zaczęło się na dużą skalę około 8–10 tysięcy lat temu, rzemieślnicy stosowali już mnóstwo rozwiązań z dziedziny chemii i fizyki materiałów. Nie można postrzegać pirotechnologii jako przejścia od układu prostego do układu złożonego, lecz raczej jako wydzielenie osobnych kierunków nowych sztuk i rzemiosł (takich jak glazurnictwo) z istniejącej gmatwaniny chemii i fizyki użycia ognia<sup>41</sup>.*

<sup>39</sup> Ibidem, s. 171.

<sup>40</sup> Ibidem, s. 147.

<sup>41</sup> Ibidem, s. 145, 146.

## OGIEŃ

Dla ludzi epoki kamiennej technologiczne właściwości wysokich temperatur z pewnością nie były żadną chemią i fizyką, raczej alchemią, a więc po prostu magią. Były magią – tajemniczym procesem przemiany różnych surowców – ich uszlachetniania, czy raczej uświęcania. Kamień i glina pod wpływem ognia zmieniały swoje właściwości (miedź i żelazo w późniejszym okresie także). Warto zauważyć, że w mitach rozmaitych kultur profesję garncarza lub kowala przypisuje się szamanom, a nawet samym bogom (na przykład Hefajstos w starożytnej Grecji). Żar ognia miał czarodziejską moc przemiany niektórych niezdatnych do spożycia rośliny w pokarmy jadalne, sprawiał też, że wiele innych produktów, na przykład mięso, stawało się łatwiejszymi do trawienia i smaczniejszymi. Płomienie buchające z ognisk chroniły koczownicze plemiona przed czyhającymi w mroku nocy, tuż za progiem jaskiniowego schroniska albo wąskim kręgiem obozowiska, licznymi zagrożeniami: drapieżnikami, złymi demonami, upiorami – czyli również urojeniami. Ogień był od niepamiętnych czasów dla społeczności zbieraczy-łowców opiekuńczym duchem, stał się zatem dla nich istotą realną – żywą, przyjacielską „Matką ogniem”, patronką rodowych wspólnot, mającą moc nieustannego odradzania duchów przodków pod postacią płomieni-węży. Matka-ogień emanowała ciepłem, wtulano się więc w Jej „ramiona”, przytulano do Jej gorącego „brzucha”, bez tego nie sposób było przetrwać lodowatych nocy. Trzeba bowiem pamiętać, że najstarsze ze znanych paleolityczne kultury koczowały na południowym i wschodnim krańcu lądolodu, który podczas ostatniego zlodowacenia zwanego Wurm<sup>42</sup> przykrywał znaczną część Europy oraz Azji. Sięgał południa dzisiejszej Francji i Niemiec, północnej Szwajcarii, Austrii, Czech, i dalej przez Ukrainę, syberyjskie Jezioro Bajkał aż do północno-wschodnich krańców Azji. Nie jest chyba przypadkiem, że najwięcej śladów tych pierwszych kultur odnajdujemy na południowym skraju tej zmarzliny. Ślady te, to słynne kultowe jaskinie w dolinie Wezery, w Pirenejach i północnej Hiszpanii, w Willendorfie, Vogelherd, znaleziska w kotlinie morawskiej, stanowiska archeologiczne w Kostienkach i w Gagarinie nad Donem, wreszcie pod Maltań niedaleko Irkucka. Wszędzie tam klimat był bardzo mroźny – tundro-

<sup>42</sup> Geolodzy wyodrębnili na przestrzeni dziejów cztery takie zlodowacenia: Gunz, Mindel, Riss i Wurm. *Ostatnie nie było wprawdzie największe* (cytuje R. Drosslera, *Wenus epoki lodowcowej*, s. 15.), *mimo to ogromna pokrywa lodowa rozciągała się od Skandynawii aż do północnych Niemiec. Jednocześnie ze Schwarzwald i Wogezów, z francuskiego Masywu Centralnego, Alp i Pirenejów długie lodowce szeroko wysuwały się w nizinę. Było wówczas około 40 milionów kilometrów sześciennych lodu więcej niż obecnie. Wieczna zmarzlina sięgała aż po Alpy i Karpaty oraz po północną i wschodnią Francję.*

wy, średnie temperatury roczne nie przekraczały zera. W tych warunkach umiejętność podtrzymywania, później też rozpalania ognia, była kluczowa dla przetrwania plemiennej wspólnoty.

O świętości ognia mówią mity całego świata, łącznie z tym najslawniejszym, greckim o Prometeuszu. Wśród wyznawców religii zoroastriańskiej (z Iranu) istniała tradycja podtrzymywania wiecznie płonącego ognia. Nawet współczesne igrzyska olimpijskie poprzedza sztafeta przekazywania ognia i uroczyste zapalenie znicza, który jednoczy wszystkie narody-plemiona w miejscu ich celebrowania. W ciepłe ognisk zacieśniały się międzyludzkie i międzypokoleniowe więzi, spożywano przy nich posiłki, pracowano, odprawiano obrzędy, kochano się... Kwitło przy nich wspólnotowe życie – plotkowano o bieżących sprawach, wspominano dawniejsze czasy. Z tych opowieści wykluwały się pierwsze mity objaśniające sens i dzieło Wszechstworzenia. Przy ogniu tworzone reguły i normy społecznych zachowań. W nastrojowym blasku płomieni kobiety tańczyły chcąc zrobić wrażenie na swoich wybrankach oraz, co bardziej praktyczne, aby się lepiej rozgrzać. Tańczyły i śpiewały w rytm dźwięków wytwarzanych na prostych instrumentach. Mężczyźni, jak to oni, przygrywali kobietom, rywalizowali o nie, spierali się także ze sobą, siłowali się, puszyli i dowcipkowali. Z tego konglomeratu indywidualnych i zbiorowych zachowań wyrosły pierwsze rytuały, tradycje, a z nich zrodziły się wierzenia, wreszcie kultury i hierarchie społeczne. Wszystko to w ciepłe i blasku rodowo-plemiennych ognisk – najczulszych „matek”.

## LAMPY

Nie z twórczego myślenia, ale raczej z ludziami właściwej ciekawości powstały pierwsze przenośne źródła światła. Ktoś mniej bojaźliwy chciał sprawdzić przyczynę szmerów lub odgłosów dochodzących z leśnego mroku lub spenetrować nieco głębiej ciemną jaskinię, chwycił zatem płonącą żagiew z ogniska i oświetlił nią drogę. Chcąc dokonać dokładniejszych oględzin zatopionych w ciemności miejsc, potrzebował żagwi wydajniejszej, nadającej się do dłuższej eksploracji i eksploatacji. Zatem metodą prób i błędów, wymyślono pochodnie – czyli lampy.

Z pewnością ów pirotechnologiczny wynalazek pochodzi co najmniej z okresu środkowej epoki kamiennej. Świadczyć może o tym głęboka i mroczna jaskinia z okolic Bruniquel w południowej Francji. Zamieszkiwali ją neandertalczyki 47 600 lat temu. Zespół francuskich naukowców pod kierunkiem Francois’a Rouzarda ustalił to na podstawie spalonych kości znalezionych obok śladów ogniska palonego w prostokątnej strukturze –

skalnym pomieszczeniu o wymiarach 4 na 5 metrów, pełnym stalaktytów i stalagmitów, oddalonym kilkaset metrów od wejścia do tego schroniska. Oznacza to, że zanim neandertalscy zbieracze-łowcy tam się rozgościli, ktoś z przenośnym źródłem światła (najpewniej pochodnią) musiał do tego pomieszczenia odnaleźć drogę.

Wykorzystywanie lamp w formie pojemników (z knotami) przypisuje się okresom górnego paleolitu, choć te z okresu oryński nie przez wszystkich archeologów są uznawane za źródła światła (raczej za naczynia do picia bądź do rozgniatania roślin). Specjalistka od lamp, Sophie de Beaune, uważa (cytuje za Rudgleyem), że *najstarsze obiekty, które można bezdyskusyjnie uznać za lampy, pochodzą z okresu kultury perigordzkiej. Liczba i różnorodność lamp gwałtownie wzrosła w okresie kultury magdałeńskiej. Oznacza to, że albo wzmożło się zużycie lamp, albo że więcej ich ocalało. Zdecydowaną większość lamp znaleziono we Francji, resztę w Hiszpanii, Niemczech i dawnej Czechosłowacji. Nieco zaskakujące, że prawie wszystkie znajdowano nie w głębokich jaskiniach, jak by się można spodziewać, lecz na otwartej przestrzeni, w płytkich zagłębieniach jaskiń czy pod nawisami skalnymi* (mnie to nie dziwi, raczej upewnia w przekonaniu, że paleolityczne plemiona były świetnie zorganizowane i zdyscyplinowane. Nie wykluczone, że lampy, po ich użyciu, zostawiano w umówionym miejscu, przed wejściem do skalnego schroniska, dla potrzeb innych członków grupy). *Przeważnie lampy mają prostą konstrukcję, ale kilka posiada nawet rzeźbione uchwyty. Nie występuje ewolucyjne następstwo, kiedy proste lampy zastępowane są przez bardziej wypracowane, ponieważ proste i bardziej skomplikowane współistnieją. Te pierwsze są jednak bardziej powszechne*<sup>43</sup>. De Beaune przypuszcza, że te ozdobne mogły być wykorzystywane do celów ceremonialnych. Ja też tak sądzę (na przykład palone w jakiejś intencji lub dla duchów przodków w ustalone święta – podobnie jak my to czynimy na grobach naszych przodków). Co więcej, przypuszczam, że przenośne lampy służące do oświetlania drogi podczas przemieszczania się ciemnymi korytarzami jaskiń mogły być wykonywane z nietrwałych, za to lekkich materiałów z odzysku, czyli surowców wtórnych: łupin, muszli, czaszek, wydrążonych kawałków kości lub drewna. Natomiast lampy wyżłobione w kamieniach (wytrzymałe i odporne na długotrwałe rozgrzewanie) mogły służyć jako źródła światła stacjonarne, ustawiane w pobliżu podczas wykonywania takich czynności jak: szycie, rzeźbienie, wykonywanie rytów, obrazów na ścianach jaskiń oraz rozmaitych przydatnych do życia przedmiotów. Na podstawie śladów organicznych pozostawionych w niektórych lampach z okresu paleolitu

<sup>43</sup> R. Rudgley, *Zaginione...*, op. cit., s. 144.

francuska badaczka ustaliła, że: *knoty sporządzano z wielu substancji, włącznie z jałowcem, drzewami iglastymi oraz nieokreślonym rodzajem trawy i innymi niedrewnianymi składnikami*<sup>44</sup>. Jej laboratoryjne badania wykazały, że najwydajniejsze i najprostsze w użyciu materiały na knoty (przypuszczalnie stosowane w epoce kamiennej) to wysuszony mech i porosty, które do niedawna były w powszechnym użyciu wśród Eskimosów.

Na podstawie innych znalezisk możemy również domniemywać, że paleolityczni zbieracze-łowcy byli przedsiębiorczy i bardzo praktyczni. Wykorzystywali rogi zwierzęce jako kubki do picia lub instrumenty dęte. Świadczą o tym chociażby ryty sylwetek nagich kobiet z rogami żubrów w rękach z groty Laussel w dolinie Dordogne we Francji. Ze zwierzęcych kości strugali noże (patrz: grób neandertalskiego chłopca w jaskini Teshik-Tash), z zębów zwierząt robili naszyjniki, używali także dużych kości udowych jako pojemników na ochrę (stanowisko Sungir koło Włodzimierza) lub igielniki na igły (rzecz jasna, żeby się gdzieś nie zawieruszyły). Z szerokich mamucich kości miednicowych robiono motyki i łopaty (Dolni Vestonice), także notatniki do czegoś liczenia (jaskinia Remouchamps w Belgii, także wiele innych). Poroża antylop oraz jeleni wykorzystywano jako broń lub kilofy: nic nie mogło się przecież zmarnować. Pod tym względem byli do nas podobni, przecież i dzisiaj z muszli wytwarza się popielniczki, a z rogów zwierząt ozdoby i przedmioty użytkowe takie jak wieszaki na ubrania lub świeczniki.

---

<sup>44</sup> Ibidem, s. 144, 145.



## VI. Wenus tańcząca

Zanim *hominidy* opanowały inne, bardziej złożone formy komunikacji – artykułowaną mowę i rozmaite rodzaje wizualnego wyrazu – oddawały swoje uczucia i doznania oraz płynące z nich emocje za pomocą mowy ciała – ruchu oraz gestykulacji – której towarzyszyło emitowanie całego szeregu dźwięków. Reagowały zatem tak, jak reagują inne zwierzęta. Opisany w trzecim rozdziale szympansi „rytuał deszczu” zaobserwowany przez Jane Goodal w rezerwacie Combe Stream w Tanganice, jest tego najlepszym przykładem. Możemy zatem domniemywać, że ruch i dźwięk, a więc taniec i muzyka, to najbardziej archetypiczne i archaiczne z zachowań. Modulowanie dźwięków, powtarzanie ich w rytmicznych sekwencjach pobudza zmysły i emocje, czego doświadczamy też dzisiaj w ramach masowych imprez typu karnawał w Rio, dyskoteki, plenerowe koncerty lub mecze piłkarskie, nawet zwykłe prywatki. Emocje zawarte w muzyce pobudzają do ruchu, który staje się ich emanacją – indywidualną, gdy ktoś w ten sposób wyraża własne tylko doznania, lub formą wspólnej ekspresji – zbiorowego rytuału, gdy wszyscy poruszają się rytmicznie w sposób zsynchronizowany, uzgodniony przez zbiorowość, przypisany do określonych sekwencji dźwięków i kojarzonych z nimi sytuacji. Dobrym tego przykładem są tańce plemienne, których forma uzależniona jest od intencji, którym służą: przygotowań do wojny, inicjacyjnych obrzędów, wesel, pogrzebów, innych uroczystych okazji, a więc intencji mających wyrażać całe złożone spektrum uczuć, wzruszeń i innych emocji. Aby zintensyfikować efekt zaklinania rzeczywistości (bo ten bardzo zmysłowy – ekstatyczny typ ludzkich zachowań jest z pewnością najstarszą formą magicznych praktyk), zaczęto również malować – zdobić ciała w często jaskrawe wzory oraz używać zwierzęcych, potem też innych (związanych z wiarą) masek i przebrań oraz innych rekwizytów. I tak oto, wychodząc od nieartykułowanych, zwierzęcych dźwięków, towarzyszącej im mimiki, gestykulacji i ruchu, doszliśmy do osadzonych w tradycji rytuałów czyli sugestywnych spektakli opartych na jakimś scenariuszu – wzorcu albo przyjętej konwencji, mających za cel umocnienie przez wspólne działanie i przeżywanie więzi społecznych i magiczno-szamańskiego odprawiania czarów – zaklinania przyszłych zdarzeń.

Tak jak czyniły to grupy nagich kobiet pogrążonych w transowym wirowaniu na leśnych polanach rozświetlonych blaskiem księżyca, i co my czynimy skandując gromko na stadionach hasła mające na celu wzmocnienie sił witalnych, mocy i woli walki naszych zawodników.

Paleolityczni twórcy, zwłaszcza ci z najdawniejszych okresów naszej historii, doskonale wiedzieli, że nie ma niczego bardziej zachwycającego, wręcz olśniewającego, na wskroś magicznego, niż widok pędzących w galopie stad koni, gazeli, kozic, reniferów lub bizonów oraz wyginającej się w tanecznej ekstazie, zmysłowo pięknej baleriny. Potwierdzeniem tej tezy są rysunki i ryty naskalne umieszczone na ścianach paleolitycznych jaskiń-katedr i statuetka pewnej niezwykle uroczej, czarownie subtelnej, delikatnej i kruchej dziewczyny.

## FANNY, TAŃCZĄCA WENUS Z GALGENBERG

Jest krucha, ponieważ wyrzeźbiono ją w niewielkiej (szacując po jej rozmiarze – 7 na 8 cm) zielonej skale osadowej – stosunkowo miękkiej. Najwidoczniej niezwykle zdolny artysta z epoki kamiennej, oszołomiony urokiem młodej tancerki (a może w niej zakochany?), nie dysponował dostatecznie wytrzymałym „dłutem”, by swoje wrażenia mógł utrwalić w twardszym materiale (na przykład w zębie mamuta). Zapewne tak było, bo figurka tancerki (jej znalezione strzaskane kawałki) pochodzi sprzed 31 tysięcy lat, a więc z okresu jeszcze przed oryniackiego. Jej pierwsze fragmenty odnalazła Christine Neugebauer-Maresch 23 września 1988 roku w Galgenberg, nieopodal miasta Krems w południowej Austrii. Ta statuetka jest tak sugestywna i wzruszająco urocza, że archeologom skojarzyła się ze słynną dziewiętnastowieczną baleriną – Fanny Elssner, stąd jej imię.

Po zrekonstruowaniu objawiła się światu odmienna od pozostałych, zachwycająca Venus tańcząca. Jest zgrabna, bardzo proporcjonalnie zbudowana (kolejna cecha, która ją odróżnia od większości Venus epoki kamiennej), cały ciężar ciała opiera na jednej nodze, podczas gdy drugą lekko unosi. Bezbłędnie uchwycony jest kontrapost całego ciała – lekko odchylony tułów w stosunku do nogi obciążonej ciężarem ciała. Jedną rękę opiera lekko i swobodnie na udzie uniesionej nogi, drugą – zgiętą w łokciu wznosi ponad głowę i odchyła niczym skrzydło motyla... Bednarik (cytuje za Rudgleyem), tak opisał maestrię jej wykonania: *Technologia produkcji tej rzeźby jest znacznie bardziej zaawansowana niż technika produkcji jakiegokolwiek rzeźby graweckiej (a więc późniejszej). Miękki kamień (z którego sporządzono wiele figurek graweckich) można łatwo ukształtować*

*narzędziami krzemiennymi, jednak w tym wypadku obiekt jest raczej kruchy i delikatny. Różne sterzące elementy (lewa ręka i pierś, głowa) mogły łatwo ulec złamaniu u podstawy, zaś wycięcie czy wykucie dwóch otworów (pomiędzy torsem i prawą ręką oraz pomiędzy nogami) wymagało wielkiej subtelności (od siebie uzupełnię, że wydrążonych przestrzeni – otworów między rękami i torsem – w statycznych statuetkach Wenus nie zobaczymy). Właściwości fizyczne kamienia nie dawały możliwości uformowania odstającej kończyny, zwłaszcza ręki. By przezwyciężyć te ograniczenia, artysta opierał się na dwóch konwencjach wciąż wykorzystywanych przez współczesnych rzeźbiarzy: prawa ręka i nogi są wspierane przez całą strukturę (dlatego połączono je na obu końcach), podczas gdy lewa ręka zostaje skrócona do połowy anatomicznej długości dzięki temu, że artysta przedstawił ją zgiętą w łokciu. To wskazuje, że artysta był świetnie obeznany z technikami tworzenia wizerunków ludzkich postaci z „odstającymi” kończynami, czyli znał sztukę, o której artyści kultury graweckiej nie mieli pojęcia. Tak wysokie umiejętności wymagają sporej znajomości technik praktycznych i nie można ich tłumaczyć inaczej niż jako produkt długiej tradycji, ulepszanej przez tysiące albo dziesiątki tysięcy lat (być może przez ćwiczenia na nietrwałych materiałach, takich jak drewno?). A więc i to mistrzowskie dziełko, jak wiele innych, w innych okresach historii, pojawiło się „nagle” w pełni ukształtowane, bez poprzedzających je faz wstępnych i pośrednich!*

Pragnę również zauważyć, że opinia eksperta wzmacnia moje przypuszczenia, wyrażone w trzecim rozdziale, odnośnie tworzenia już w okresie środkowego paleolitu (przeszło 40 tysięcy lat temu) dzieł o charakterze rzeźbiarskim, rysunkowym oraz instalacyjnym, z materiałów nietrwałych, takich jak: węgiel drzewny, glina, drewno, miękka skała. Bednarik stwierdził jeszcze, że: *O wyjątkowych umiejętnościach artysty z Galgenberg świadczą również zachowanie wyraźnej i żywej wizualizacji zamierzonej formy, pomimo różnych technologicznych wyzwań, które pociągał za sobą ten proces. Staje się to jasne, gdy przyjrzymy się wewnątrznie spójnej postaci statuetki: pozycja wszystkich części ciała idealnie harmonizuje z całością. Ciężar ciała dźwiga lewa noga; prawa noga jest lekko zgięta i spoczywa na podpórce nieco wyżej niż lewa. Ułatwia to zwyczajowe umieszczenie prawej dłoni na prawym udzie. Górna część tułowia jest skrzywiona w lewo. Takiej pozycji wymaga także ostro uniesiona lewa ręka. Postawa uwidatnia profil lewej piersi, ukazując jej pokaźny kształt i zarys typowy dla piersi młodej kobiety. Druga pierś została wyrzeźbiona płasko, ze względu na ograniczenia struktury kamienia (dodam, iż kąt między przechylenymi w lewo piersiami został uchwycony bezbłędnie). Brak szczegółów twarzy. Szeroka, górna część głowy wydaje się być ukształtowana celowo, jednak*

nie wiemy, czy przedstawia ona fryzurę, czy powstała przypadkowo<sup>45</sup>. W ostatnim szczególnie upodabnia się do innych Wenus, choć można też zakładać, że artyście bardziej chodziło o ukazanie wrażenia ruchu i oddanie swoich emocji niż o realizm sam w sobie.

Baletnica z Galgenberg skojarzyła mi się z inną zrekonstruowaną po tysiącach lat tancerką.

## EURYNOME, BOGINI TAŃCZĄCA

„Pelazgijski<sup>46</sup> mit o stworzeniu” zrekonstruował czy raczej poskładał pieczołowicie z fragmentów zaczerpniętych z całego szeregu literackich tekstów źródłowych<sup>47</sup> Robert Graves, wybitny angielski poeta, pisarz i wnikliwy badacz mitów. Główną postacią tej opowieści jest Eurynome:

*Na początku Eurynome, bogini wszechrzeczy, wyłoniła się naga z Chaosu, nie miała jednak na czym oprzeć stóp, wobec czego, tańcząc samotnie na falach, oddzieliła morze od nieba. Tańczyła w kierunku południa, a wiatr, który wiał w ślad za nią, wydawał się czymś nowym i zbyt samodzielnym, by od niego zacząć dzieło stworzenia. Kręcąc się wokół schwyciła ten Wiatr Północny, roztarła go w dłoniach i patrzył: oto powstał wielki wąż Ofion. Eurynome tańczyła, by się rozgrzać, ruchy jej stawały się coraz gwałtowniejsze, aż Ofion, pełen pożądania, owinał się wokół jej boskich członków i z nią się połączył. Otóż wiadomo, że Wiatr Północny, zwany również Boreaszem, zapładnia; właśnie dlatego klacze często zwracają się tyłem do wiatru i żrebią się bez ogiera.*

Tak również stało się z Eurynome. Potem przemieniła się w gołębicę i złożyła jajo wszechświata. Poprosiła Ofiona, aby je ogrzał. Wąż-ojciec owinał się kilkakrotnie wokół jaja i trwał w tej pozycji tak długo, dopóki nie pękło. Z jaja wykuły się dzieci Eurynome, czyli wszystko, co istnieje: słońce, księżyc, gwiazdy, planety, ziemia z górami, rzekami, drzewami, ziołami i wszelkimi istotami żywymi (wygląda więc na to, że ta najstarsza grecka bogini-tancerka, to nie kto inny, tylko Gospodyni Wszechświata-Zwierza). Później zamieszkała z Ofionem na Olimpie, ale ich sielanka nie trwała długo, ponieważ mąż-wąż rozgniewał ją twierdząc, że to on jest stworzycielem i panem Wszechrzeczy. Jego bluźnierstwo doprowadziło

<sup>45</sup> Ibidem, s. 189.

<sup>46</sup> Pelazgowie byli przypuszczalnie najstarszym greckim ludem. Przybyli na Peloponez najpewniej z Palestyny około 3500 roku p.n.e.

<sup>47</sup> Były to: Pliniusz, *Historia naturalna*, IV.35 i VIII.67, Homer, *Iliada*, XX.223; Apoloniusz z Rodos, *Argonautyka*, I. 496–505; Tzetzes, *O Likofronie*, 1191. Także fragmenty dzieł Barossosa, kosmogonie fenickie i wiele innych źródeł.

Eurynome do furii – *piętą rozbiła mu głowę, wybiła mu zęby i zesała do mrocznych jaskiń pod ziemię*. Mamy tu więc wyraźnie zarysowany wątek rywalizacji gynokratyczno-patriarchalnej o prymat w kwestii stworzenia świata i władzy nad nim. Ponadto motyw „kosmicznego” jaja złożonego przez *Magna Mater* jest bardzo zastanawiający, ponieważ występuje też w innych kulturach (na przykład w mitach egipskich). Na pochodzącym sprzed 7 tysięcy lat cmentarzu w Nitrze na Słowacji, groby mają kształt jaj (zapewne z tego powodu, żeby bogini ponownie je zniosła ofiarowując zmarłym pośmiertne odrodzenie). Boginię z jajem w brzuchu (najpewniej „kosmicznym”) możemy również oglądać w postaci ryty umieszczonego w jaskini Fontales we Francji. Datuje się to stanowisko na 18–14 tysięcy lat p.n.e. (a więc powyższy mit może mieć bardzo długą tradycję). Tak czy inaczej, koniec końców, raczej wcześniej niż później domniemana Eurynome „pożarła” wyimaginowanego Ofiona, czyli wygrała z nim bitwę o prymat, stając się (przynajmniej w ikonograficznych wyobrażeniach Starej Europy) partenogenetyczną węzową boginią niepodzielnie panującą nad światem. Przedstawiano ją w postaci pół kobiety-pół węża, jej symbolem jest spirala obecna w licznych kulturach (paleolitycznych także) – spirala-wąż uosabiająca dynamizm, siłę vitalną i regeneracyjne moce natury, wiążące się również z deszczem.

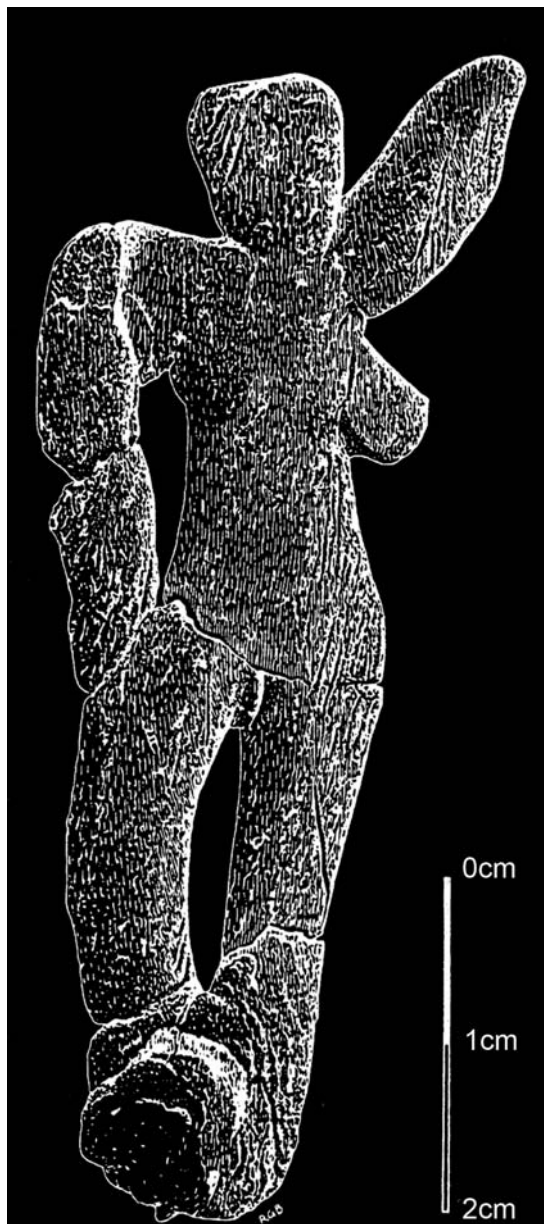
Wróćmy jednak do zrekonstruowanego przez Gravesa mitu: Eurynome, już jako wszechwładna Bogini, nieco później stworzyła *siedem mocy planetarnych, nad każdą ustanawiając tytankę i tytana. Teja i Hyperion rządili Słońcem, Fojbe i Atlas – Księżycem, Diana i Krios – Marsem, Metyda i Kojos – Merkurym, Temida i Eurymedont – Jowiszem, Tetyda i Okeanos – planetą Wenus, Rea i Kronos – Saturnem*. Czyli zaprowadziła swoje kosmiczne porządki.

A co z Pelazgami, od których to wszystko wiemy?

Pierwszy z nich, ot tak – *wyskoczył z ziemi arkadyjskiej, a za nim inni, których nauczył budować chaty, żywić się żołędziami i szyc tuniki ze świńskiej skóry. Podobne stroje noszą dziś jeszcze ludzie ubodzy na Eubei i w Fokidzie*<sup>48</sup>. Jasno z tego wynika, że na półwyspie greckim pojawił się ongiś tajemniczy przybysz – niejaki Pelazgos – pochodził z odległych stron. Miał umiejętności i wiedzę, dzięki którym przekształcił półdzikie, koczownicze ludy w bardziej cywilizowane plemię. Jak się w następnych rozdziałach przekonamy, ten scenariusz w różnych okresach dziejów powtarzał się niemal wszędzie.

---

<sup>48</sup> Robert Graves, *Mity greckie*, PIW, Warszawa 1968, s. 37.



Fanny – tańcząca Wenus z Galgenberg. Statuetka wykonana z miękkiej zielonej skały osadowej. Jej wiek to przeszło 31 tysięcy lat.

## VII. Pierwotna gynokracja

O tym, co było wiadome a nawet oczywiste dla wszystkich ludów do niedawna określanych jako dzikie, prymitywne, barbarzyńskie (również Pelazgów żywiących się żołędziami), oficjalni naukowcy zaczęli nieśmiało przebąkiwać dopiero w wieku XVII. Pierwszym, któremu zaświtała myśl, że nie jest niemożliwe, iż patriarchalne ustroje wyrosły z matriarchalnych, był filozof Thomas Hobbes (1588–1679). Po nim zaś działający w XVIII wieku etnografowie Aleksander Hamilton, badający pierwotne ludy Indii, oraz Joseph F. Lafitau, zajmujący się plemionami Huronów i Irokezów, z ogromnym zdumieniem skonstatowali, że te społeczności miały ustroje matriarchalne. Swoje badania kultur indiańskich Lafitau tak podsumował: *Nie ma nic bardziej realnego niż to górujące stanowisko kobiet. Mianowicie, kobiety, ściśle mówiąc, określają narodowość, szlachetność pochodzenia, genealogiczne drzewo, porządek pokoleń i ustrój rodziny. W ich rękach leży cała istotna władza: ziemia, pola i cały urodzaj do nich należy. One są duszą rad (plemienia), decydują o kwestiach pokoju i wojny. One opiekują się społecznym skarbcem, one władają niewolnikami, one zawierają małżeństwa, dzieci do nich należą, na ich krwi opiera się porządek dziedziczenia. Mężczyźni – przeciwnie: są zupełnie izolowani i ograniczani, ich dzieci są im obce, z nimi wszystko kończy się, tylko kobieta włada ogniskiem domowym i chociaż w charakterze okazania czci wodzowie wybierani są spośród mężczyzn, a sprawy są roztrząsane przez radę starców, oni nie działają na własny rachunek; wedle wszelkich danych oni istnieją tylko po to, aby reprezentować kobiety i pomagać im w tych sprawach, gdzie przyzwoitość nie pozwala kobietom pojawiać się i działać*<sup>49</sup>. Przyznam, że z hollywoodzkich westernów, które namiętnie oglądałem w dzieciństwie, zapamiętałem biegunowo odmienny obraz indiańskich społeczności. Najwidoczniej ich producenci opowiedzieli się po stronie patriarchalnego kształtu historii, którego zwolennicy do połowy XX wieku przeważali nad nielicznymi głosicielami matriarchalnej przeszłości.

---

<sup>49</sup> J. Kulczycki, *Teoria matriarchatu w świetle prac radzieckich*, Wrocław 1955, s. 14.

Na zmianę tego stanu rzeczy kluczowy wpływ miało prekursorskie dzieło<sup>50</sup> szwajcarskiego uczonego, Johanna Jakoba Bachofena. Ukazało się ono w 1861 roku w Stuttgarcie i, jak wszystko, co nowatorskie, spotkało się początkowo z lekceważeniem i nader chłodnym przyjęciem naukowych gremiów. Dopiero pół wieku później miało odegrać ważną rolę w ramach tego naukowego sporu.

Bachofen był erudytą czerpiącym wiedzę ze źródeł: historycznych, archeologicznych, lingwistycznych, etnograficznych oraz mitologicznych. Posługiwał się danymi z zakresu prawa, religii, astronomii i poezji. Nie wiem, czy w swoich rozważaniach uwzględnił najwcześniejszy etap rozwoju ludzkich społeczeństw (animalistyczny), ale ten następujący po nim – matriarchalny podzielił na trzy okresy. Pierwszy to „heteryzm żywiołowy” – faza przedmałżeńska, prowadził on do tzw. „amazonizmu”, będącego kobiecym przewrotem, a okres trzeci to już pełna dominacja pań, czyli „ginekokracja” lub „ginajkokracja” (nie mylić z gynokracją, bo to pojęcie ma nieco szerszy kontekst znaczeniowy). W pierwszym okresie wszyscy ludzie współżyli ze sobą bez większych ograniczeń w ramach swoistych komun. W fazie drugiej, kobiety miały przywiązać mężczyzn do siebie przez stworzenie instytucjonalnie sformalizowanych związków. W stadium trzecim tych przemian kobiety osiągnęły wiodącą pozycję społeczną, podporządkowały sobie wszystkie dziedziny życia, w tym gospodarkę. Ten rodzaj sprawowanej przez kobiety władzy Bachofen określał zamianą „macierzyńskim” lub „matriarchalnym pryncypatem”. Ów „pryncypat”, w jego opinii, cechował się humanizmem, kultem ziemi i miłości, a także pokojowymi stosunkami. Przyświecały mu wyobrażenia telluryczne (raczej lunarne niż solarne). W końcowej fazie trwania owego „macierzyńskiego pryncypatu” kobiety miały doprowadzić do wynalazku rolnictwa i wiążącego się z nim osiadłego trybu życia.

Wizja kobiecych rządów nakreślona przez Bachofena, z dzisiejszej perspektywy wydaje się nadmiernie idealistyczną, niezależnie jednak od tego, czym ten gynokratyczny ustrój się cechował, wypada zauważyć, że był on zapewne pierwszym, który wprowadził społeczne hierarchie, a więc rozwarstwienia oraz podziały, które stały się normą dla wszystkich późniejszych kultur agrarnych. Ponadto, jak trafnie zauważył Fryderyk Engels (1820–1895) – przejście od kopieniacych (motykowych) upraw ziemi – domeny kobiet, do sprzężajnego rolnictwa (orki z użyciem radła), a także od przydomowego chowu zwierząt do rozwiniętej hodowli i pasterstwa (też wymyślonych najpewniej przez panie), a będących od setek

---

<sup>50</sup> Mowa o pracy: *Das Mutterrecht. Eine Untersuchung über die Gynaiokratie der alten Welt nach ihrer religiösen und rechtlichen Natur*, Stuttgart 1861.

pokoleń zajęciami mężczyzn, przyczyniło się do radykalnej zmiany reguł i ról w procesach produkcji, co w konsekwencji doprowadziło do wzrostu pozycji oraz znaczenia mężczyzn (stali się od kobiet bardziej społecznie użyteczni). W naturalny sposób doprowadziło to do ustrojowych zmian, czyli rozwoju patriarchy. A zatem kobiety same na siebie ten androkratyczny „bicz” ukręciły. Ponadto, czego w moim przekonaniu też nie należy pominąć, procesy społeczne na przestrzeni całej historii ludzkości były bardziej złożone niż zwykło się je opisywać. Nawet obecnie, obok dominujących wszędzie patriarchalnych ustrojów, gdzieś na ich obrzeżach funkcjonują struktury gynokratyczne. Jest też wiele społeczeństw zorganizowanych na zasadach demokracji liberalnych, uwzględniających (przynajmniej w teorii) równość praw wszystkich obywateli niezależnie od ich płci (także mniejszości narodowych, etnicznych oraz seksualnych). Przypuszczam, że w górnej epoce kamiennej było podobnie – obok dominujących ustrojów matriarchalnych funkcjonowały też typowo androkratyczne, wojownicze społeczności łowców-koczowników. Czego przykładem jest stanowisko Sungir blisko miasta Władimir w Rosji, o którym już wspominałem, datowane na minimum 25 tysięcy lat temu, a więc na okres dominacji patriarchy. Także w opinii Aleistera Crowleya ludzkość w toku swoich długich dziejów przeszła dwie ery: Matki – Izdy i Ojca – Ozyrysa.

Tę tezę potwierdzają nie tylko badania etnograficzne i analiza mitów ludów całego świata, ale w głównej mierze odkrywane w toku wykopalisk artefakty. Ich symboliczna wymowa nie pozostawia cienia wątpliwości.

## DUCHY ZWIERZĄT I VULVA

W górnym paleolicie, bez mała przez 30 tysięcy lat, ryto, rysowano i malowano na skalnych ścianach jaskiń, na kościach i kłach mamucich zasadniczo dwa tylko motywy. Pierwszy (dominujący), to obrazy zwierząt, wynikające z animalistycznych wierzeń, a drugi to wizerunki nagich kobiet z wyraźnie uwypuklonymi ich cechami płciowymi (piersiami oraz sromem czyli *vulwą*). Motywów męskich wśród dzieł z górnej epoki kamienia odnaleziono niewiele, podobnie jak ludzko-zwierzęcych hybryd, mówiących coś więcej o ówczesnych rytuałach. Wśród schematycznych znaków często uwiecznianych w kultowych schroniskach, najważniejszy to z pewnością *vulva (joni)* – „święty srom”, który przedstawiano zarówno bardziej realistycznie (w formie owalu), jak i umownie – w postaci trójkąta skierowanego wierzchołkiem w dół, lub w postaci abstrakcyjnego znaku podobnego do litery V. Dodam, że symbol V wielu badaczy zapewne słusznie odczytuje też jako graficzny zapis ptaka ukazanego w locie, bo

przecież ptaki w wielu kulturach uosabiały boginie, były ich synonimami lub towarzyszami<sup>51</sup>. Srom, atrybut żeńskiej płciowości, wyrity na ścianach jaskiń, rysowany węglem lub wymalowany ochrą oznaczającą krew czyli życie, odnajdujemy praktycznie we wszystkich paleolitycznych kultowych schroniskach, zarówno tych franko-kantabryjskich (południowa Francja i północna Hiszpania), jak i wielu innych. W jaskiniach z okresu oryńskiackiego i późniejszych, magdaleńskich, znak ten umieszczano przeważnie w trudno dostępnych – najodleglejszych od wejścia salach, korytarzach, niszach i zakamarkach. Najstarsze widnieją w jaskini Abri Blanchard, znajdującej się w dolinie Wezery (Castermeile w regionie Dordogne), i datowane są z grubsza na 30 tysięcy lat p.n.e., oraz na stanowiskach Abri Castanet oraz La Ferrassie, również w Gargas (Haute-Pyrénées we Francji). Późniejsze odkryto w grotach: Aurignac i w Laussel oraz w Pergouset, także we Francji, i na kilku mniej znanych archeologicznych stanowiskach.

Rysunek przedstawiający dolną część ciała kobiecego złączoną z torsem i głową byka, zapewne paleolitycznego Minotaura, widnieje także na skalnym nawisie w najgłębszej sali jaskini Chauveta (odkrytej przez francuskich archeologów Jean-Marie Chauveta, Eliette Brunel i Christana Hillaire w roku 1994) – najstarszej ze wszystkich znalezionych kultowych jaskiń. Niektóre rysunki tutaj stworzone liczą niebagatelne 32 tysiące lat! I, co zdumiewa jeszcze bardziej, cechują się mistrzowskim wykonaniem: dynamizmem, ekspresją i sugestywnością przedstawienia ruchu. Ruchu, bo większość wizerunków zwierząt (a raczej ich duchów) w ten sposób ukazano – najwidoczniej aspekt „ożywienia” ich postaci był dla twórców niezwykle ważny. Wrażenie ruchu oddawano zwielokrotniając kończyny zwierząt (tak przedstawiono bizona) lub ich rogi (nosorożec). Na „panelu

<sup>51</sup> Jak pisałem w poprzednim rozdziale, grecka *Magna Mater* – Eurynome – przemieniła się w gołębicę, a potem zniosła jajo Wszechświata. Boginię kojarzono też z kukłką (wszak podrzuciła nam to jajo „kosmiczne”) i z sową (bo szamanki odznaczały się wiedzą) i wreszcie z sępem (wszak to sępy uczestniczą w pośmiertnej przemianie). Znanе są też przedstawienia ze świątyń minojskich, w których bogini nosi na głowie też inne ptaki: gęsi, kaczkі, mewy. Z. Krzak zauważył między innymi: *Paleolityczny czarny rysunek w węglu kultury magdaleńskiej z Pech Merle (Francja) przedstawia nagą kobietę ze zwisającymi piersiami, małymi skrzydłami i ptasią maską. Neolityczne rzeźby ptasiej bogini odznaczają się dużymi piersiami oraz znakami w postaci szewronów, meandrów, paralelnych i zygzakowatych linii, przy czym jeśli chodzi o znaki, to częsta jest liczba trzy. W kulturze Sesklo w Grecji wspaniale ukazana bogini ptasia ma piękne piersi, długą cylindryczną szyję oraz głowę z uczesanymi włosami przypominającą ptaka. Z młodszej epoki kamiennej są znane ptasio-kobiece hybrydy, np. ptak z piersiami, ewentualnie ptak z kobiecą głową. Jeden z przykładów pochodzi z Anzy w Macedonii, gdzie bogini ma ptasi tors ze skrzydłami, ale kobiece pośladki, i jest to datowane na 5300–5000 lat p.n.e. („Od matriarchatu do patriarchatu”, s. 120.). Atrybutami greckiej Ateny, a także sumeryjskiej Lillake również były ptasie skrzydła i szpony.*

koni” (artystycznie doskonałym) ukazano poruszanie się końskiej głowy w nowoczesny – poklatkowy<sup>52</sup> sposób, wywołując tym samym nieodparte złudzenie jej ożywienia. Na jednym z tych rysunków koń porusza wargami jak gdyby rżał lub coś mówił w swoim języku. Z kolei „panel jaskiniowych lwów” stanowiący tło dla nawisu z wyobrażeniem półkobiety (bogini) w objęciach byka-Minotaura (zapewne uosabiającego Boga-Zwierza) przedstawia te dawno wymarłe już drapieżne koty w wielu pozach: wyczekujące, zawracające, przyczajone, skaczące, atakujące... Jest w tej jaskini też kilka rysunków potężnych jaskiniowych niedźwiedzi (także od dawna wymarłego gatunku), które na przemian z ludźmi często tu gościły, o czym świadczą liczne rysy – ślady ich pazurów widniejące na ścianach. Rysunki z tej jaskini z pewnością wypada ocenić w sposób bardzo podobny do tego, jak uczynił to Bednarik w odniesieniu do tańczącej Wenus z Galgenberg – ich bardzo wysoki poziom wykonania świadczy o doskonałym opanowaniu umiejętności warsztatowych i nie można tego tłumaczyć inaczej niż jako wynik długiej tradycji ulepszanej przez tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy lat, bo przecież i one sprawiają wrażenie, jak gdyby „spadły” z nieba, bez żadnych etapów wstępnych! Dodam, że znaleziono tam również wydzielone „panele” z widniejącymi na nich odciskami dłoni<sup>53</sup>. Co ciekawe i dające wiele do myślenia, była to jedna dłoń konkretnego człowieka wielokrotnie odbita ochrą. Mamy tę pewność, bo jeden z palców tej osoby był w charakterystyczny sposób zakrzywiony. Czy tylko ten człowiek był predestynowany do odprawiania magicznych rytuałów – kontaktowania się z duchami zwierząt, boginią płodności, a może nawet z samym Absolutem? Tego możemy się tylko domyślać, jak i tego, że ta osoba pełniła ważną religijną funkcję, a zatem już wtedy, być może, istniała wyraźna hierarchia społeczna. Wewnątrz tej jaskini odkryto też kamienny postument – naturalny występ skalny, na którym umieszczono czaszkę jaskiniowego niedźwiedzia. Przypuszczam, że ów obiekt nie tyle był „ołtarzem” (co niektórzy archeolodzy sugerują), a raczej wiązał się z magią łowiecką – służył do odprawiania rytuałów.

<sup>52</sup> Technika pozwalająca lepiej zobaczyć procesy zbyt powolne dla ludzkiej percepcji.

<sup>53</sup> Wykonane przy użyciu ochry. Są to najstarsze ze znalezionych w jaskiniach odcisków rąk. Późniejsze, przeważnie pozostawione przez kobiety, ślady dłoni (z okresu 20–10 tysięcy lat p.n.e.) odnaleziono między innymi w Hiszpanii, w jaskini La Pileta w Andaluzji, w El Castillo (Santander,) oraz we Francji: Combarelles (Dordogne) i w Cougnac (Lotaryngia), gdzie zarejestrowano 50 pozytywnych odbić dłoni, w tym dwie lewe i dwie prawe pomalowane na czerwono, oraz 15 prawych i 27 lewych uwiecznionych czarną barwą. Było tam też (obok rysunków zwierząt) 6 negatywnych sylwetek dłoni. Podobne odbicia odnaleziono też w hiszpańskiej Altamirze. Przypuszczalnie różne typy tych śladów, jeśli chodzi o użyty barwnik i sposób ich wykonania, mogły w rytuałach pełnić odmienne funkcje znaczeniowe (kontakt szamana z duchami zwierząt, z Absolutem, pozostawianie przez niego śladu w „uświęconym” miejscu, branie tego miejsca w posiadanie).

Tak sędę, ponieważ w jaskini znaleziono sporą ilość kości zwierzęcych, w tym przeszło 90 procent niedźwiedzi.

Nie tylko w jaskini Chauveta wizerunek kobiety przedstawiono za pomocą symbolu jej płciowości. Podobne typy przedstawień widnieją również w jaskini Pech-Merle. Wśród stada mamutów zobrazowano tam (w tzw. „Sali hieroglifów”) trzy figury kobiet: *Ich obfite brzuchy i biodra i mocno obwisłe piersi zapowiadają rychły poród. Dwie figury nie mają ani rąk, ani nóg, ani głów. Najbardziej kompletne i interesujące jest wyobrażenie trzeciej kobiety, prawdopodobnie przedstawione w rytualnej pozie, w której lekko pochylona do przodu idzie tylko na piętach* – napisał Drossler, dodając jeszcze: *Kanonik A. Lemozi, który z wielkim nakładem pracy odcyfrował ryty na stropie, uznał trzy kobiece istoty za artystyczne świadectwa kultu matki. Odkrycie w galerii Combel, która dawniej na pewno była połączona z Pach-Merle, wydaje się przyznawać mu rację. W głębi małego pomieszczenia, do którego można dotrzeć tylko na czworakach, zwisa ze stropu szereg półkolistych stalaktytów. Są one zdumiewająco podobne do kobiecych piersi. Ludzie epoki lodowej podkreślali to jeszcze dobitniej, malując sutki piersi na czerwono*<sup>54</sup>. Nie były to więc wizerunki konkretnych kobiet, raczej symbole płodności i odrodzenia specyficzne dla kultu *Magna Mater*. Jaskinie uosabiające Absolut i zwierzęce zaświaty – „Krainę wiecznych łowów” – z duchami zwierząt gnających po kosmicznym firmamencie, były też z pewnością sanktuariami Wielkiej Bogini (czyli Gospodyni Wszechświata-Zwierza, jak z przekonaniem twierdzą Niwchowie). Otwór prowadzący do jaskini był jej *vulwą*<sup>55</sup>, zatem wejście do jej wnętrza, był powrotem do bezpiecznego i ciepłego łona bogini (stanu niewinności), z kolei każdorazowe wyjście na zewnątrz wiązało się z przenikliwym chłodem, z niebezpieczeństwami i trudami życia. Z pewnością przebywanie w skalnym schronieniu miało pozytywny wpływ na samopoczucie członków plemienia. Czynione tu rytuały i obrzędy służyły najpewniej wzmocnieniu tego psychologicznego efektu i (co nie mniej istotne) objaśniały porządek świata – nadawały sensu ludzkiej egzystencji. W tym kontekście w naj-

<sup>54</sup> R. Drossler, *Wenus...*, op. cit., s. 174.

<sup>55</sup> Z. Krzak zauważył, że w wielu kulturach nisze i szczeliny skalne były naturalnymi symbolami bogini, przykładowo: *szczelina w odkrywcze skalnej w Crawford Ranch (Conebrake Wash, hrabstwo San Diego, Stany Zjednoczone) była czczona przez Indian południowo-kaliifornijskich jako vulwa Matki Ziemi. Naturalne zagłębienie w ziemi (znajdujące się w jaskini Cougnac) w kształcie pochwy obwiodzono czerwoną ochrą. Podobne działania stwierdzono wobec sztucznych wizerunków, np. w uralskiej jaskini Ignatiewskiej (ryt kobiety z 28 czerwonymi kropkami między nogami) oraz w Kostienkach (wyobrażenie pochwy posmarowane ochrą. (...) Wyrocznia w greckich Delfach została nazwana tak nie tylko dlatego, że słowo „delphi” oznacza macicę, ale również ze względu na umiejscowienie kojarzące się z tym kształtem; tu, w Delfach, mieściła się w ziemi szczelina wróżebna. („Od matriarchatu do patriarchatu”, s. 33, 47).*

wyższym stopniu zdumiewa kompletnie odmienny obraz jaskiń, grot oraz pieczar znany z mitów i baśni dużo późniejszych – patriarchalnych kultur. Są one w nich przedstawiane jako siedliska nieczystych mocy, wrota piekieł, siedziby diabła, przerażających upiórów, czarownic i wiedźm pożerających dzieci, smoków, żmij i innych monstrów. Nawet w klasycznej Grecji Hades to przecież jaskinia – miejsce niepokojące, groźne i raczej przeklęte. Ten obraz kompletnie nie przystaje do tego, co w jaskiniach odbywało się w górnej epoce kamiennej. Wtedy były one miejscami duchowej przemiany i odnowy, dla ludzi przyjaznymi. Rolę szamanów pełniły w nich zapewne starsze kobiety (późniejsze groźne wiedźmy i czarownice) – założycielki i opiekunki plemiennych rodów – kochane i podziwiane, troskliwe matki i babki, rozsądne gospodynie, położne, zielarki, szeptunki, nauczycielki, mitografki, badaczki, rolniczki i pewnie też artyści, którym (być może?) zawdzięczamy znaczną część dzieł z tamtej epoki<sup>56</sup>. Najciekawsze z nich to statuetki Wenus.

## WENUS, FLETY, MIOTACZE I BUŁAWY

Paleolityczne figurki Wenus są niewielkich rozmiarów, mierzą zwykle od 3 do 23 centymetrów wysokości. Wykonywano je z kamieni (wapień, steatyt, serpentyn, margiel, piaskowiec, gagat, krzemień i lubryka czyli czerwona kredka) również z gliny, z rogów zwierząt, ich kości oraz kłów mamuta. Znajdowano je na południowej i wschodniej krawędzi lądolodu pokrywającego w epoce lodowcowej część Europy oraz Azji (od Francji, przez Szwajcarię, Niemcy, Czechy, Polskę, Ukrainę, aż po jezioro Bajkał i północną Syberię). Pewna ich liczba pochodzi też z zachodniej Azji, Afryki północnej i z rejonu basenu Morza Śródziemnego. Szacuje się, że odkryto tych statuetek od kilkuset do nawet trzech tysięcy (trudno o ich dokładną liczbę, ponieważ część znalezisk budzi zastrzeżenia). Wielu badaczy sądzi, że zawieszano je na szyi jako widome atrybuty władzy.

Najczęściej Wenus ukazywano jako kobietę dojrzałą, korpulentną, wręcz otyłą, z wielkimi obwisłymi piersiami spoczywającymi na wydatnym brzuchu (sugerującym brzemienność<sup>57</sup>), z zaokrąglonymi, odstającymi

<sup>56</sup> Tak przypuszczam, ponieważ w jaskiniach przedstawienia figuratywne i umowne znaki o charakterze żeńskim licznie przeważają nad symbolami męskimi i hybrydowymi, ponadto te pierwsze umieszczane są w bardziej znaczących miejscach. Także wśród paleolitycznych figurek zdecydowany prym wiodą te związane z macierzyńskim kultem, czyli statuetki Wenus. Po szczegółowe statystyczne porównania odsyłam do specjalistycznych publikacji poświęconym tym zagadnieniom.

<sup>57</sup> Ta cecha jest szczególnie wyraźna u wielu figurek z Kostienek i Gagarina (Rosja), Mezina (Ukraina) i z syberyjskiej Małty w pobliżu Bajkału.

pośladkami i masywnymi, choć często skróconymi udami<sup>58</sup>; przeważnie w pozycji stojącej, ze stopami zredukowanymi lub całkowicie pominiętymi, rękami pomniejszonymi, przylegającymi do ciała, ułożonymi wzdłuż tułowia lub z dłońmi wspartymi na piersiach albo brzuchu. Figurki Wenus są zwykle nagie<sup>59</sup>, z wyraźnie zaznaczonymi narządami rodnymi. Ich głowy przedstawiano schematycznie – bez szczegółów twarzy, choć włosy (a nawet różne rodzaje skomplikowanych fryzur) są często bardzo pieczołowicie oddane – prawdopodobnie ten element był w kulcie *Magna Mater* nie bez znaczenia. Popularna, świetnie wszystkim znana Wenus z Willendorfu, odkryta 7 sierpnia 1908 roku w warstwie kulturowej nr 9 stanowiska Willendorf II, w Austrii, pochodząca sprzed około 32 tysięcy lat, jest bardzo dobrym przykładem tego klasycznego przedstawienia paleolitycznej bogini. Josef Szombathy z Naturhistorisches Museum w Wiedniu opisał ją tak: *Jest to figurka wysokości 11 cm, wykonana z delikatnego, porowatego wapienia, doskonale zachowana, z nierównomiernymi śladami czerwonej farby. Przedstawia dojrzałą, grubą kobietę o dużych piersiach, z wydatnym, sterczącym brzuchem, pełnymi biodrami i udami, ale bez właściwej fałdy tłuszczowej w tylnej części ciała. Genitalia są silnie zarysowane, tylna część prawidłowa pod względem anatomicznym, wyposażona w wiele prawdziwych szczegółów. Włosy na głowie wyobrażone są przez pewną liczbę zgrubień ułożonych w koncentryczne kręgi na większej części głowy, twarz jest całkiem pominięta. Oczy, nos, usta, uszy i podbródek nie zostały w ogóle zaznaczone. Ramiona są zredukowane, przedramiona i ręce wyobrażono jedynie jako płaskie, reliefowe paski nad piersią. Kolana są bardzo dobrze ukształtowane, podudzia mają wprowadzone łydki, jednak są silnie skrócone, przednią część stóp opuszczono zupełnie. Na figurce nie ma śladu odzieży ani ozdób z wyjątkiem grubo nacinanej bransolety na każdym przedramieniu*.<sup>60</sup> Zarówno tej figurce, jak i innym wyobrażeniom klasycznych Wenus, mimo ich niewielkich rozmiarów, nadano statyczny wyraz, charakterystyczny dla rzeźb pomnikowych. Dlatego gotów jestem zaryzykować twierdzenie, że są czymś w rodzaju miniaturowych replik większych rzeźbiarskich obiektów – steli czy raczej totemów wykonywanych, być może (wykluczyć tego przecież nie można), z mniej odpornych na warunki atmosferyczne materiałów,

<sup>58</sup> Budowa ciała niektórych z nich odznacza się steatopigią. Do takich należą statuetki z: Chiozza i Savignano (Włochy), Les Cottés, Saint-Pierre-de-Maille, Vienne, (Francja), także ta słynna – wypalana, gliniana z Dolnich Vestonic, pięć figurek z jaskini Grimaldi nad Morzem Liguryjskim, także z tamtejszej jaskini Barma Grande, nadto z Vestonic, no i oczywiście ta z Willendorfu (Austria).

<sup>59</sup> Do wyjątków należy Wenus z Lespugue, Francja, zaopatrzona w rodzaj biodrowej przepaski.

<sup>60</sup> R. Drossler, *Wenus...*, op. cit., s. 42, 43.

na przykład z drewna. I które, z oczywistych względów, do naszych czasów się nie zachowały. Z etnograficznych badań wiemy, że kultury zbieraczy-łowców ustawiały tego typu figury w miejscach ważnych dla kultu. Pełniły one funkcję opiekuńczych duchów, a czymże jest paleolityczna *Wenus*, jak nie takim właśnie rodzajem bóstwa? W tym domyśle utwierdza mnie zwłaszcza wyrzeźbiona z kła mamuta, znaleziona w kawałkach, w 2008 roku w Hohle Fels w Badenii-Wirtembergii (15 km na zachód od Ulm), datowana na 35–40 tysięcy lat temu, najstarsza z dotychczas znalezionych statuetka *Wenus*. Jej kształt – niewielka głowa osadzona na gigantycznym torsie, wydatne biodra i brzuch pocięty szramami, sugestywnie zmonumentalizowane piersi i wagina, cała jej władcza sylwetka, mimo pozorów statyki dynamiczna i szalenie ekspresyjna, z pewnością ma totemiczno-magiczny wyraz. Ponadto w absolutnie perfekcyjny sposób intensyfikuje zarówno cechy indywidualne osoby portretowanej, jak i symboliczny, a więc uniwersalny aspekt tej ważnej dla kultu postaci. Nicholas Conrad, archeolog z uniwersytetu w Tybindze, uważa, że *Jest to wzór tego, co dziś określamy mianem stylu figuratywnego*. W moim odczuciu, jest ona najwyższej klasy arcydziełem, jeśli chodzi o siłę wyrazu. A więc znów to, co najstarsze, w pełni ukształtowanej formie, w zagadkowy sposób, spada nagle z „nieba”, bez żadnych faz wstępnych i pośrednich!

W rejonie Hohle Fels odnaleziono też szalenie wyraziste w formie figurki mamuta i konia, świadczące o tym, że musiało to być ważne centrum kulturowe dla paleolitycznych zbieraczy-łowców. Co jeszcze bardziej intryguje, wykopano tu roztrzaskane szczątki kości udowej liczące sobie nie mniej lat niż opisana wyżej *Wenus*, które po zrekonstruowaniu przez technika archeologa, Marię Malinę, złożyły się we flet prosty! Jeden z ośmiu paleolitycznych fletów znalezionych do chwili obecnej w południowych oraz południowo-zachodnich Niemczech. W całej Europie odnaleziono ich przeszło czterdzieści (na morawskim stanowisku w Dolnich Vestonicach również). Najstarsze pochodzą z Geisenklosterle. Odnaleziono tam dwa tego typu instrumenty wykonane z kości łabędzia i jeden złożony z dwóch połówek ciosu mamuta, co samo w sobie wymagało sporej precyzji, no i umiejętności. Ich wiek szacuje się na 42–43 tysiące lat! Koniec środkowego paleolitu – czasy neandertalczyka! Jeszcze bardziej zdumiewa, że przynajmniej niektóre z tych fletów są pentatoniczne, czyli można na nich swobodnie wygrywać dokładnie te same dźwięki, jak na ich współczesnych odpowiednikach! Możemy się oczywiście tylko domyślać, jakie melodie 30–43 tysiące lat temu na nich muzycy wygrywali. Jednak ich zaawansowane możliwości sugerują, że niekoniecznie były to tylko proste, rytmiczne melodyjki, ale utwory mogące wyrażać skomplikowane stany ducha, takie jak smutek, melancholia, zaduma, ból, cierpienie, zakochanie... Kto wie, być może do jednej z takich, bardziej złożonych, nastrojowych kompozycji

wyginała się w tanecznej ekstazie, opisana już, jedyna i niepowtarzalna Venus – balerina Fanny z Galgenbergu?

Figurkę Fanny od innych statuetek Venus odróżnia to, że została ukazana w ruchu, a tamte z premedytacją usztywniono w pozach statycznych; że tamta jest uroczo zjawiskowa, a wszystkie pozostałe charakteryzuje władczość. Są uosobieniami *Magna Mater*, symbolami płodności. Ta (a nie inna) przyjęta konwencja z pewnością nie wynikała z nieudolności artystów, ale z ich świadomego zamysłu, czego dowodem, na zasadzie kontrastu, mogą być ukazane w ruchu a pochodzące z tej samej epoki figurki zwierząt. Wiele z nich wyrzeźbiono na głowicach miotaczy oszczepów.

Miotacz był z pewnością największym wynalazkiem technicznym tamtego czasu w dziedzinie uzbrojenia. Miotacze oszczepów zastąpione tysiące lat później przez łuki i strzały, pod względem zwiększenia siły rażenia można porównać do wynalazku broni palnej, a współcześnie do międzykontynentalnych rakiet. Przecież za ich pomocą, dzięki dźwigni powiększającej zasięg ramienia, sprawny myśliwy był w stanie miotać oszczep mocniej i precyzyjniej na odległość ponad dwukrotnie większą niż wcześniej. Tym samym jego skuteczność na polowaniu i w walce była dwójnasób większa. Nic dziwnego zatem, że dla myśliwych epoki kamiennej miały nie tylko praktyczne znaczenie, ale i duchowe. Wiązano je z magią łowiecką. Że stały się one (podobnie jak malowidła, rysunki i ryty naskalne) symbolami animalistycznej wiary. Nie sposób wszystkich opisać, ale z pewnością do najciekawszych z dotychczas znalezionych można zaliczyć miotacz z Montastruc, z niezwykle przedstawieniem skaczącego konia i miotacze z Mas d'Azil i Bedeilhac, jaskiń w Pirenejach, z wyobrażeniami zgiętych w przysiadzie i lekko pochylonych koziorożców, dynamicznie i bardzo sugestywnie odwracających głowy w kierunku swoich zadów, na których umieszczono haki oporowe dla włóczni. Te dwa przedstawienia są w moim odczuciu nie mniej wyraziste niż słynna figurka bizona z La Madeleine, z podobnie odwróconym łbem. Przypuszcza się, że do celów praktycznych używano miotaczy prostych (bez ozdób), natomiast te rzeźbione pełniły funkcje wyłącznie symboliczne, lub były przeznaczone do odprawiania rytuałów łowieckich.

Nie sposób natomiast jednoznacznie stwierdzić, do czego używano rzeźbionych, częściej rytowanych, prostych lub wygiętych, wykonanych z kości lub rogów zwierzęcych pałek, których znaczną ilość znaleziono na krawędzi lądolodu od północnej Hiszpanii aż po odległą Syberię. Nie wiadomo, dlaczego w części z nich wiercono jeden lub więcej otworów – wieszano je na czymś, a może do czegoś przyczepiano? Czy były to przedmioty ceremonialne, atrybuty władzy – berła, jak chcą niektórzy badacze? Wiadomo tylko, że wiele z nich, tak jak ten podłużny obiekt wykonany z kości słoniowej, znaleziony w oksytańskiej jaskini Bruniquel, przedstawiający parę

leżących reniferów, lub ryt na kości z jaskini Pekarna w Krasie Morawskim, z wyobrażeniem stada koni, można zaliczyć do najwybitniejszych dzieł sztuki paleolitu. Sztuki rozmaitej, gdyby oceniać ją pod kątem stylistycznym. Wszak wiele jest tu przedstawień bardzo realistycznych, ale są też dzieła cechujące się dynamizmem, ekspresją, deformacjami, przerysowaniami, wreszcie absolutnym minimalizmem, sprowadzającym się do symboliki znaków, tak jak te naszyjniki i patyko-figurki karbowane z Dolnich Vestonic, utworzone z samych kobiecych piersi. Co ciekawe, wygląda na to, że rozmaite nurty stylistyczne i sposoby obrazowania na przestrzeni dziesiątków tysięcy lat górnej epoki kamiennej swobodnie zmieniały się, modyfikowały, podlegały transformacjom bez jakiejś uchwytnej chronologii. Da się natomiast z dużą dozą pewności stwierdzić, że te wszystkie języki obrazowania służyły jednej tylko idei – niezachwianej wierze w boski, animalistyczny porządek Wszechrzeczy, i strażniczkę tego porządku – *Magna Mater*.

## SPIRALA MAGNA MATER

Najważniejszym symbolem *Magna Mater* (u Pelazgów występującej pod imieniem Eurynome) – węzowej bogini – była spirala uosabiająca jej wygraną nad pierwiastkiem męskim – węzem Ofionem, a także będąca synonimem jej wszechwładzy nad światem. Ten znak odnajdziemy już w paleolicie. Na przykład na płytce z kości słoniowej z Malty na Syberii, datowanej na 16–13 tysięcy lat p.n.e., także na kości sprzed 13,5 tysięcy lat p.n.e., znalezionej w Pech de l'Azé w (Dordogne)<sup>61</sup>. Spirale wyryto na ścianach wielu jaskiń, wpisano również w figurki kilku Wenus i wielu przedstawień zwierząt. Węzowa linia prapoczątku symbolizuje Nieskończoność, Wszechświat, jego świetlistą i mroczną stronę. Spirala lewoskrętna to ponure moce ciemności: przemijanie, introwersja, regres, śmierć. Spirala prawoskrętna oznacza: rozwój, wzrost, ekstrawersję oraz odrodzenie (także pośmiertne). Zatem znak podwójnej spirali (prawo i lewoskrętnej) oznaczał dualizm: noc-dzień, dobro-zło, smutek-radość, id-ego, nieustanny cykl przemian – kołowrót śmierci i ponownych narodzin.

Oczy węzowej bogini na jej wizerunkach bywają przedstawiane w formie spiral; ten symbol odnajdujemy również wyryty na jej piersiach, plecach i brzuchu (wszak stamtąd pochodzi wszystko, co się narodziło i co ma się odrodzić). Warto zauważyć, że ów niezwykle głęboki sposób abstrakcyjnego

<sup>61</sup> Te i wiele innych danych przytaczanych w tym rozdziale zawdzięczam wnikliwości badawczej prof. Z. Krzaka, na której oparł swoje fascynujące dzieło *Od matriarchatu do patriarchatu*.

pojmowania Wszechrzeczy wypracowano już w górnym paleolicie! A potem?... Potem – cytuję prof. Krzaka – *Węże występowały w świątyniach bogini, owinięte wokół postaci kobiecych lub w ich rękach; znane są z malarstwa, reliefów i posągów; bywa też, że bogini ma głowę węża. Sumeryjska bogini była znana jako wielka węzowa matka niebios. W Egipcie hieroglificzny znak kobry oznaczał boginię. Wężową boginią była też Izyda, a australijska bogini Una trzymała w ramionach Tęczowego Węża (...). Skojarzenie bogini z wężem miało charakter ogólnoświatowy (podobnie jak „matriarchalny pryncypat”, który ten duet bóstw przedstawiał w jednym – żeńskim ciele). Celtyckie i germańskie boginie były owinięte wężami. W Afryce tzw. czarna bogini nosiła węża w brzuchu (najpewniej poszła w ślady pelazgijskiej koleżanki i swojego „Ofiona” wyгнаła, a potem skonsumowała). U Hebrajczyków znany był wąż ukazywany jako Samael – brat Lilit.*

## LILIT VEL LILLAKE – KOBIETA UPADŁA

O hebrajskiej Lilit (następczyni pelazgijskiej Eurynome i sumeryjskiej Lillake) – mitycznej pramatce ludzi, poprzedniczce Ewy, pierwszej żonie Adama oraz konkubinie Abrahama, którą Stwórca miał jakoby ulepić z gliny (a więc z Adamem w pełni równoprawnie) w Starym Testamencie nie ma nawet wzmianki. Najstarszy jej wizerunek znajduje się w Muzeum Brytyjskim w Londynie, pochodzi z roku 1950 p.n.e. Jest to sumeryjska terakotowa płaskorzeźba, na której uwieczniono szalenie zmysłową, piękną i dumną, uskrzydloną nagą kobietę o ptasich stopach, stojącą na dwóch lwach w towarzystwie dwóch sów. Jej majestat w niczym nie ustępuje skrzydlatym oraz brodatym postaciom boskich Anunnakich (patriarchalnych bogów). Niestety, już w Sumerze miała złą reputację. W najstarszym z pisanych źródeł, poemacie o Gilgameszu pochodzącym z dwutysięcznego roku p.n.e., Lillake (czyli późniejszą hebrajską Lilit) przedstawiono pod postacią demona burzy – antypatycznej wampirzycy i upiornej zmory. Zapewne rozwiązałej, ponieważ etymologię jej imienia można najpewniej wywieść od sumeryjskiego słowa *lulu* oznaczającego rozwiązłość. Uchodziła też za najbliższą współpracownicę bogini Inanny (w innych kulturach była sławną Egipcjanką Hagar, łączono ją też z królową Saby). Legenda o niej musiała być mocno utrwalona przez tysiąclecia trwania matriarchalnych wierzeń i wyrosłych z nich kultur, bo do dzisiaj przetrwała (choćby w postaci skrzydlatej Nike). W bogoboju Żydów żyjących w ósmym wieku p.n.e., postać Lilit budziła odrazę i grozę, zapewne z tego powodu, iż jako nieposłuszna i krnąbrna (zwłaszcza w kwestiach seksu) pierwsza żona Adama a także konkubina Abrahama, przysparzała im licznych kłopotów i zmartwień.

Być może dlatego później (już w średniowieczu) Hebrajczycy zrobili z niej mroczne widmo, upiorną zjawę, groźnego demona, morderczynię dzieci, kobietę zdeprawowaną, do cna zepsutą – odrażającą wiedźmę stworzoną nie tyle z gliny, co z jakichś brudnych osadów i szumowin mętnych.

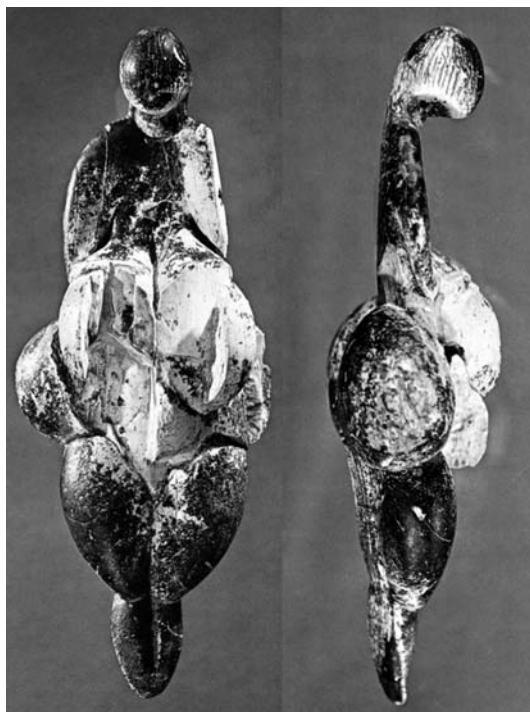
Podobnie zresztą postąpiono z „kosmicznym” wężem będącym jej partnerem. Z tego uosobienia życia, płodności, witalności, odrodzenia, a więc samego dobra, uczyniono symbol wcielonego zła – diabła Samaela, którego jako pomiot szatański wraz z matriarchalną boginią – jego siostrą Lilit – zdetronizowano. Wielokrotnie pokonywali go męscy bogowie i mitologiczni herosi: w *Indiach* Indra uśmiercił *Writrę*, u *Hetytów* *Teszub* zabił *Illujanę*, w *Grecji* *Zeus* pokonał smoka *Tyfona*, w *Babilonii* *Marduk* uśmiercił potwora *Tiamat*, u *Egipcjan* każdej nocy *Re* zabijał węża *Apopisa*, u *Germanów* *Thor* pokonuje węża świata<sup>62</sup>. Nawet chrześcijański, święty do niedawna, Jerzy zasłynął z tego, że zabił smoka. Wygląda na to, że w mitach ludów całego świata, wężowi „Ofionowi” po wielokroć: *roztrzaskiwano głowę, wybijano wszystkie zęby i zsyłano go do mrocznych otchłani* (że sparafrazuję pe-lazgijską legendę). Nie sposób dokładnie ustalić, kiedy „kosmiczny” wąż przemienił się w smoka, musiało to być jednak w zamierzchłej przeszłości, bo już na magdaleńskim rycie w jaskini La Madeleine przedstawiono wężową istotę wyposażoną w trzy pary skrzydeł.

Lilit *ve/* Lillake musiała upaść wraz ze swoim synem albo bratem Samaelem, jak chcą Hebrajczycy – wężowym smokiem, bo przecież ta dumna i władcza kobieta, Sfinks w postaci żeńskiej, najdoskonalsze wcielenie matriarchalnych szamanek, w żaden sposób nie pasowała do późniejszych teokratycznych, wojowniczych, także opresyjnych, z gruntu patriarchalnych religii i przypisanych do nich bogów oraz kultur. Adrienne Rich, nieżyjąca już feministka i lesbijka, świetna poetka amerykańska, w jednym ze swoich wierszy tę chwilowo przegraną przez kobiety batalię o dominację nad światem, z najgłębszym smutkiem podsumowała tak:

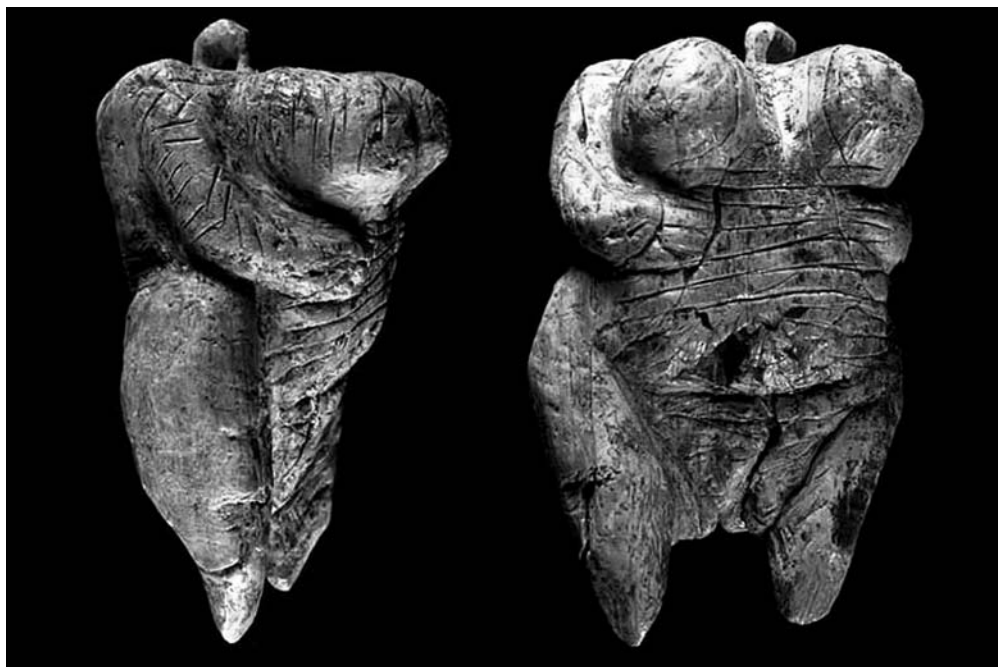
*ciągle musimy się liczyć z  
 duchami – o dłoniach zaciśniętych od stuleci –  
 artystek, które zmarły w połogu, szeptunek zwęglonych na stosie,  
 stuleciami nienapisanych książek, które piętrzą się za tymi półkami;  
 i ciągle musimy wpatrywać się w brak  
 mężczyzn, którzy nie chcieli, i kobiet, które nie mogły mieć głosu  
 w naszym życiu – w te wciąż nieprzeprowadzone wykopaliska,  
 zwane cywilizacją, ten akt tłumaczenia, ten półświat*<sup>63</sup>.

<sup>62</sup> Z. Krzak, *Od matriarchatu...*, op. cit., s. 109.

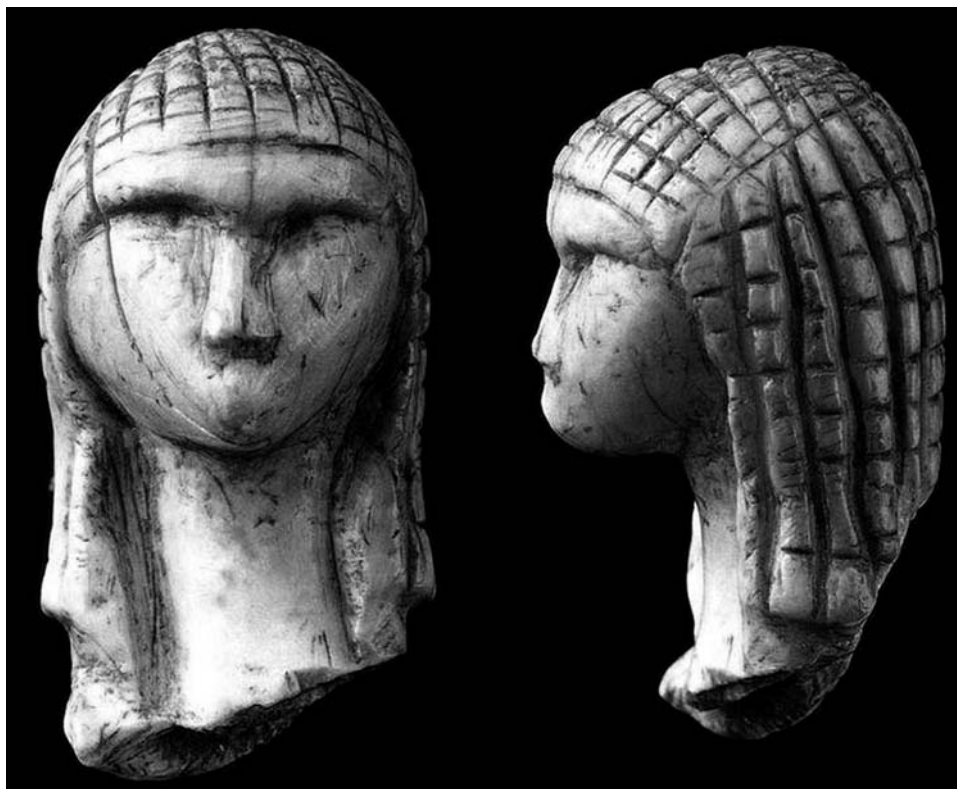
<sup>63</sup> Adrienne Rich, *21 wierszy miłosnych*, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2016, s. 11.



Wenus z Lespugue (departament Haute Garonne, Francja) datowana na 26–24 tysiące lat p.n.e. Obecnie w zbiorach Muzeum Człowieka w Paryżu. Obok słynna Wenus z Willendorfu w Austrii licząca około 30 tysięcy lat (Naturhistorisches Muzeum, Wiedeń).



Wenus z Hohle Fels (Badenia-Wirtembergia, Niemcy), najstarsza z do tej pory znalezionych statuetek Wenus, bo stworzona około 35–40 tysięcy lat temu, czyli u zarania górnego paleolitu.



Wenus z Brassempouy (Francja). Słynna główka kobiety wykonana z kości słoniowej datowana na okres 31–24 tysiące lat p.n.e.



Figurka bizona z Abri de la Madeleine (Dordogne, Francja) wyrzeźbiona w kości renifera w okresie magdaleńskim.



Miotacz oszczepów ze skaczącym koniem z jaskini Montastruc w departamencie Tarn-et-Garonne, Francja. Późna faza okresu magdaleńskiego. Obecnie w zbiorach Muzeum Starożytności Narodowych w Saint-Germain-en-Laye.



Fragment głowicy miotacza z wizerunkiem dwóch zwierząt, datowany na około 12 tysięcy lat, z francuskiego stanowiska Trois-Freres (Paryż, Muzeum Człowieka).

## VIII. Królestwo było w Eridu?

Kim byli: Alulim, Alalgar, Enmeluana, Enmegalana, Damuzi, Ensipazjana, Enmandurana, Ubara, Tutu, Giszur, Kullassina-bel, Namgiszliszma, Endarahana, Babum, Pu'annum, Kalibum, Kalumum, Zuqaaqqip, Atab, Maszda, Arwi'um, Etana, Balih, Enmenuna, Melam-Kisz, Barsalnuna, Samug, Tisqar, Ilku'u, Iltasadum, Enmebaraggesi, Agga... oraz pozostałych 108 królów i władczyń sumeryjskich z pierwszych, drugich, trzecich i czwartych dynastii z Kisz, Uruk, Ur, Hamazi, Lagasz, Ujmy, Adab, Mari, Akszak, Akkadu, Gutium, Isin i wreszcie Larsy?

„Lista sumeryjskich królów” została sporządzona prawdopodobnie pod koniec III tysiąclecia p.n.e., za panowania III dynastii z Ur. Do dzisiaj zachowało się jej piętnaście różniących się nieznacznie od siebie kopii, pochodzących w większości z okresu starobabilońskiego, datowanych na XVIII wiek p.n.e. Lista wymienia też pięć prastarych miast istniejących przed domniemanym potopem: Eridu – pierwszą stolicę, Bad-tibirę – stolicę długowiecznego Alalgara, Larak, Sippar i Szuruppak. *Zgodnie z tradycją sumeryjską (cytuję Mirceę Eliadego), po stworzeniu człowieka jeden z bogów założył pięć miast; zbudował je „w czystych miejscach, nadał im nazwy i określił je jako ośrodki kultu”. Odtąd bogowie zadowalali się bezpośrednio przekazywaniem planów miasta i świątyń władcom. Król Gudea widzi we śnie boginię Nisabę wskazującą mu tablicę, na której ukazano nazwy sprzyjających gwiazd i boga objawiającego mu plan świątyni. Modele świątyni i miasta są, by tak rzec, „transcendentalne”, ponieważ preegzystują w niebie<sup>64</sup>. Miasta Dwurzecza nawiązywały do położonych w różnych konstelacjach gwiazd. Była to powszechna praktyka. Pamięć o ich tworzeniu przez niebiańskich bogów utrzymywała się bardzo długo, sięga aż do czasów nowożytnych. Przykładowo nazwę Babilon, czyli *Bab-ilani* należy tłumaczyć jako „Bramę bogów” – miejsce, w którym bogowie zstępują na Ziemię. Takich miast i świątyń zawierających w nazwie łącznik między niebem i ziemią odnajdziemy wiele.*

---

<sup>64</sup> M. Eliade, *Historia wierzeń i idei religijnych*, PAX, Warszawa 1988, s. 44.

W połowie XIX wieku brytyjski konsul John George Taylor odkopał z piasków pustyni, w południowej Mezopotamii, w połowie drogi między Bagdadem i Zatoką Perską, ruiny starożytnego miasta Ur (datowane na XXI wiek p.n.e.), stolicy III dynastii z Ur, identyfikowanej przez niektórych historyków z biblijnym miastem Abrahama. W pozostałościach zigguratu Taylor odnalazł między innymi wiele glinianych cylindrów z inskrypcjami w piśmie klinowym. W tym samym okresie inny Anglik – podróżnik i archeolog, Austen Henry Layard wraz ze swoim asystentem odkrył na terenie obecnego Iraku miasta Nimrud (Kalchu) oraz Niniwę. Odsłoniли ruiny pałaców dwóch królów asyryjskich: znanego z Biblii syna Sargona II – Sennacheryba, władającego tym państwem w latach 704–681 p.n.e., i jego wnuka – Aszurbanipala, którego rządy przypadały na lata 669–631 p.n.e. Oprócz wielu bezcennych dzieł sztuki odnaleźli przepastne archiwa złożone z przeszło 30 tysięcy glinianych tabliczek zawierających zbiory tekstów zapisanych pismem klinowym. Później na rozmaitych stanowiskach archeologicznych w dawnej Mezopotamii wydobyto kolejne setki tysięcy takich tabliczek. Teksty odnalezione w Ur, Nimrud i Niniwie rzuciły nieco światła na historię Sumerów – cywilizacji datowanej przez archeologów na IV tysiąclecie p.n.e.

Kim byli ci, którzy w epoce neolitu stworzyli najstarsze z odkrytych pismo, intrygującą sztukę, układali poematy, formuły matematyczne oraz medyczne recepty, prowadzili skrupulatne rejestry dóbr, zaawansowane obserwacje astronomiczne, podejmowali dalekomorskie podróże, mieli wysoko rozwinięty system państwowy z rozbudowaną administracją, prawodawstwem, szkolnictwem, budownictwem, siecią dróg i kanałów nawadniających pola, sady i ogrody? Historycy przypisali im ponad sto wynalazków! I to dokonanych w czasach, gdy, jak się jeszcze do niedawna sądziło, tubylcza – pasterska ludność zaczynała dopiero wypalać w prymitywnych piecach pierwsze ceramiczne garnki.

W Niniwie, wśród wielu tekstów odnaleziono także siedem tabliczek z babilońskim eposem o stworzeniu świata i człowieka, napisanym w języku akadyjskim, którego pierwotne źródło pochodzi przypuszczalnie z końca II tysiąclecia p.n.e. „Enuma elisz” opowiada o bogach: praojcu – Apsu i pramatce – Tiamat i ich potężnym doradcy Mummu; o Lachamu i Lachmu oraz innych bogach pierwszego pokolenia; o zrodzonych z nich Anszar i Kiszar, którzy z kolei stworzyli na swoje podobieństwo Anu (ojca Ei). Poemat opowiada o tym jak to młodszy bogowie zabili i poćwiartowali praojca – Apsu i o tym, że pramatka – Tiamat – w odwecie stworzyła potwory: węże, smoki, psy, ludzi-ryby, ludzi-skorpiony, a później wzięła sobie za męża jednego z pierwotnych bogów – Kingu, i podarowała mu tablice losów. Jest tam też mowa o tym, że Marduk (jeden z młodszych bogów),

stwórcą roślin i zwierząt, wykoncypował, by Ea stworzył z gliny i krwi Kingu istotę ludzką, co tamten za zgodą innych bogów uczynił... A może to była bogini Aruru, a krew pochodziła od Lachmu i Lachamu? Nie ustalimy tego: *ponieważ istnieją aż cztery sumeryjskie opowieści objaśniające pochodzenie człowieka*<sup>65</sup>.

Wysoce zastanawiające są podobieństwa wydarzeń zawartych w poemacie „Enuma elisz” i innych sumeryjskich tekstach, zwłaszcza tych o legendarnym królu Uruk – Gilgameszu, do „teogonii” huryccko-hetyckiej i jeszcze późniejszej mitologii greckiej. Robert Stiller we wstępie do książki „Gilgamesz, epos starożytnego Dwurzecza” słusznie zauważył, że *W kształtujących nasze myślenie tradycjach antycznych choćby Hades zadziwiająco przypomina znane już nam podziemie, do którego zmarłych prowadzi Namtar czyli Hermes. Wpływy eposu akkadzkiego („Gilgamesza”) na Homera zdają się nie ulegać wątpliwości. Ikar to Etana, który latał do nieba. Kirke przypomina pod pewnymi względami zarówno Siduri, jak Isztar. Charon to chyba Urszanabi. Odys i Herakles, jak może i biblijny Samson, mają w sobie niejedyn rys Gilgamesza*<sup>66</sup>. Pierwowzory mitów o córce Demeter – Persefonie (pół roku spędzającej w podziemiach Hadesu), a także o Orfeuszu i Eurydyce odnajdziemy w akkadyjskim tekście „Zejście Isztar do świata podziemnego” i w jeszcze wcześniejszej legendzie o Inannie wtrąconej do Kur (podziemi), i o Damuzim, którego demony zamęczyły torturami i zawiodły zamiast bogini Inanny do podziemi (bilans dusz w Kur musiał się zgadzać), oraz legendy o Ereszkigal – tak wzruszonej jego łzami, że: *zdecydowała, by tylko pół roku spędzał w świecie podziemnym, a przez drugie pół roku był zastępowany przez swoją siostrę Gesztinannę*<sup>67</sup>. Z ogromną dozą prawdopodobieństwa można również zakładać, że rozmaite sumeryjskie opowieści były główną inspiracją dla Hebrajczyków. Autorzy tekstów starotestamentowych opisują niemal te same historie dotyczące stworzenia świata i człowieka: lepienie go z gliny; wspominają o synach boga – gigantach, mówią też o przekazywaniu przez boga tablic. Od Sumerów zaczerpnęli opowieść o Hiobie oraz o potopie (wróć do tego później). Podzielałam domysły Stillera: *chrześcijański mit o zbuntowanych aniołach, czyli sama koncepcja diabła, może mieć początki w historii o Humbabie lub o strąconych pod ziemię Anunnakich. Nie darmo niektórzy z szatanów noszą przekręcone imiona pochodzące z kręgu kulturowego Dwurzecza*<sup>68</sup>. Stiller zwrócił również uwagę, iż *Słowo czyli Logos jako pierwsza przyczy-*

<sup>65</sup> Ibidem, s. 43.

<sup>66</sup> R. Stiller we wstępie do: *Gilgamesz, epos starożytnego Dwurzecza*, PIW, Warszawa 1980, s. 34.

<sup>67</sup> M. Eliade, *Historia wierzeń...*, op. cit., s. 47.

<sup>68</sup> R. Stiller *We wstępie do...*, op. cit., s. 34.

na sprawcza ma swoje odpowiedniki w religiach Dwurzecza. I tak dalej, aż do takich szczegółów jak siedem lat chudych w Egipcie, wykładany przez Józefa sen o krowach i jego przezorności, co jest wyraźnym echem historii z bykołakiem i boginią Isztar<sup>69</sup>. Podzielałam pogląd Stillera a także Eliadego, że biblijny „Rajski ogród” jest prawie identyczny z „krainą (bądź miastem) Dilmun” przedstawioną w eposie sumeryjskim – „Legendzie o Enkim i Ninhursag”:

*W Dilmun kruk nie woła głosem kruką,  
Ptak-ittudu (przypuszczalny zwiastun śmierci) nie woła głosem ittudu,  
Lew nie zabija,  
Wilk nie porywa jagnięcia,  
Nieznany jest dziki pies pożerający koźlęta,  
Nieznany jest pożerający ziarno...  
Nieznana... wdowa...*<sup>70</sup>

W Dilmun nie ma rozpacz i okrucieństwa. Narodziny odbywają się bez bólów porodowych. Nikt nikogo nie musi się lękać. Śmierć, choroby i starość nie mają tu racji bytu. W sumeryjskim Edenie przebywają tylko bogowie. Biję tu także ożywcze źródło słodkiej wody, ponieważ bóg Enki (władca Ziemi) nakazał *przebywającemu na niebie* bogu Utu, by sprawił żeby z głębi ziemi trysnęło. W tym momencie chyba warto przypomnieć za Marianem Bielickim, autorem „Zapomnianego świata Sumerów”: *Znakomity lingwista i badacz kultur starożytnych E. A. Speiser podkreślił, że temat biblijny zawiera dwie semantyczne wskazówki określające związek z krajem i wiedzą Sumerów. Jedną z nich jest nazwa raju – Eden, wywodząca się z sumeryjskiego „edin” – „równina”. Druga to określenie „ed” użyte w Biblii tam, gdzie mowa o źródle wytryskającym w raju: „zdrój wynikał z ziemi” (Gen., II. 6). Czy wywiedzie się owo „ed” z „id” (rzeka) czy z „a. de. a” (źródło), pochodzenie jego pozostaje takie samo – sumeryjskie<sup>71</sup>. A skoro już jesteśmy przy lingwistycznych kwestiach, to wypada również zauważyć intrygującą zbieżność między hebrajskim słowem *tehom*, a babilońskim *tiamat* – wszak oba mają ten sam etymologiczny rodowód i oznaczają to samo – mityczny praoocean. Bielicki wskazuje na jeszcze jedną dającą do myślenia analogię między biblijną Księgą Rodzaju a „Legendą o Enkim i Ninhursag”, którą pierwszy dostrzegł wybitny francuski asyriolog – Scheila, a rozwinął i uzupełnił inny francuski badacz – S. N. Kramer. Chodzi o historię stworzenia Ewy z adamowego żebra: *Z sumeryjskiego mitu dowiadujemy się, że aby**

<sup>69</sup> Ibidem, s. 34.

<sup>70</sup> M. Bielicki, *Zapomniany świat Sumerów*, PIW, Warszawa 1996, s. 200.

<sup>71</sup> Ibidem, s. 204.

uwolnić Enki od bólu żebra, Ninhursag (jego matka i kochanka) kazała się urodzić bogini Ninti. Dosłownie po sumeryjsku znaczy to „pani żebra”, ponieważ jednak „ti” znaczy również dawać życie, imię bóstwa oznaczać może „panią dającą życie”. Z tej gry słów, wykorzystanej przez sumeryjskiego poetę, zrodziło się owo biblijne określenie „I zbudował Pan Bóg z żebra, które wyjął z Adama, białogłową” (Gen., II, 22). Pisarze hebrajscy zapamiętali najwyraźniej tylko jedno znaczenie – „żebro” i tak, na podstawie zapomnianej gry słów, zrodziła się koncepcja aktu stworzenia kobiety<sup>72</sup>.

Z tych tematycznych i lingwistycznych porównań jasno wynika, że sumeryjskie teksty wpływały na późniejszych poetów i kronikarzy bardzo sugestywnie. Zresztą, nie tylko na autorów greckiej mitologii oraz kompilatorów biblijnej Księgi Rodzaju, bo przecież archetypiczny temat wielu baśni, pełna niezwykłych przygód wędrówka bohatera za siedem gór, rzek i lasów, wywodzi się z poematu sumeryjskiego o legendarnym władcy Uruk – Enmerkarze i jego nieustraszonym, sprytnym postąńcu – Lugalbandzie. Stiller słusznie zauważa, że: *Gilgamesz kryje się zapewne w niejednej z postaci średniowiecznego eposu heroicznego i rycerskiego, jak Sir Gawain, Parsifal albo walijski Cynon. Przebranym Gilgameszem zdaje się być również i św. Jerzy, nie tak dawno skreślony z pocztu świętych jako postać mityczna. Nasze zwierzęta heraldyczne, sfinksy i gryfy, przekazują postać złych duchów Dwurzecza. Stamtąd się też wiedzie alegoryczna bajka zwierzęca z lwem jako królem zwierząt, z chytrym lisem itd*<sup>73</sup>. Z mezopotamskiego obfitego źródła zaczerpnięto fabułę baśni o wyprawie po wodę życia, z niego wywiedziono popularne zwroty: *oko za oko i ząb za ząb* oraz: *człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi*. Podzielam pogląd Stillera: *Te analogie nie są przypadkowe. Można je ciągnąć niemal w nieskończoność, a ich bliższe zbadanie, które dzisiaj pozostaje sprawą przyszłości, jak cały sztucznie zakłamywany przez długie stulecia problem wschodnich wpływów na cywilizację zachodnią, może nam przynieść jeszcze nie jeden przewrót w poglądach na genezę naszej cywilizacji*<sup>74</sup>. Stiller napisał to w roku 1980, obecnie mamy rok 2021... i nic się nie zmieniło. Wciąż żyjemy w świecie branych za oryginały adaptacji!

Wróćmy jednak do pierwowzoru – poematu „Enuma elisz”.

<sup>72</sup> Ibidem, s. 204.

<sup>73</sup> R. Stiller *We wstępie do...*, op. cyt. s. 35.

<sup>74</sup> Ibidem, s. 35.

## ENUMA ELISZ

Z dalszych glinianych tabliczek dowiadujemy się, że bóg Anu wraz ze swoimi synami: Enlilem – Panem powietrza, zwanym też Wielką Górą, i Enkim – Panem ziemi, tworzyli trójkę bogów władających światem. Od Anu, zwanego Bogiem-Niebo, który był ojcem wszystkich późniejszych bogów, wywodzi się jego książęce potomstwo – Anunnaki (ci, którzy przybyli z nieba na Ziemię). Anunnaki wedle starożytnych przekazów byli bogami, jednocześnie istotami z krwi i kości. Byli obdarzonymi ogromną wiedzą humanoidalnymi bytami duchowymi, które zarządzały światem i ludźmi. To dla ich wygody, według mezopotamskich tekstów, powołano do życia człowieka:

*Anunnaki z Dukug (świętego „przybytku stworzenia”) jadły, lecz pozostawały nienasycone...*

*Anunnaki z Dukug piły, lecz pozostawały nienasycone;*

*Dla dobra płodów ich świętych owczarni, ich posiadłości,*

*Człowiekowi zostało dane tchnienie życia*<sup>75</sup>.

Intrygujące, że Księga Rodzaju również mówi o owym tchnieniu: *i natchnął (Bóg) w oblicze jego duch żywota* (Rodz 2, 7). Ponadto wyraźnie zaznacza, iż człowieka stworzono po to, by służył Bogu. Przypomnę, że naczelną zasadą sumeryjskiej filozofii bytu była wiara, iż bogowie stworzyli człowieka po to, aby im wiernie służył<sup>76</sup>. Tak wtedy ludziom objaśniano sens i cel ich życia. Sumerowie uważali także, iż

*Bez Enlila, Wielkiej Góry,*

*Żadne miasto nie zostałoby zbudowane, żadna osada założona,*

*Żadna stajnia nie zostałaby zbudowana, żadna owczarnia założona,*

*Żaden król nie zostałby wyniesiony, żaden wielki kapłan by się nie urodził...*

*Ryby morza nie składałyby ikry w przybrzeżnym sitowiu,*

*Ptaki niebios nie wityłyby gniazd na rozległej ziemi,*

*W niebie płynące chmury nie dawałyby wilgoci...*<sup>77</sup>

Wszystko zawdzięczali Enlilowi, Władcy powietrza, synowi Anu – Boga-Niebo. Utrwalony na tabliczkach poemat, któremu nadano tytuł „Enki i porządek świata” jednoznacznie określa przeznaczenie Sumeru:

*Sumerze, wielki kraju pośród krajów świata,*

*Napełniony nieustającym blaskiem, od wschodu po zachód*

*rozpowszechniający boskie prawa między ludami.*

<sup>75</sup> M. Bielicki, *Zapomniany...*, op. cit., s. 184.

<sup>76</sup> Ibidem, s. 172.

<sup>77</sup> Ibidem, s. 188, 189.

*Chwalebne i nieosiągalne są twe boskie prawa,  
Głębokie i niezbadane jest two serce;  
Prawdziwa wiedza, którą przynosisz... jest jak niebo nietykalna.  
Król, któremu dajesz życie, przystrojony jest w wieczysty diadem,  
Pan, któremu dajesz życie, przywdziewa na zawsze koronę,  
Twój pan jest dostojnym panem; wraz z Anem, królem, zasiada na  
niebiańskim tronie,*

*Twój król – to Wielka Góra, ojciec Enlil (...)  
Anunnaki, wielcy bogowie,  
Ciebie (Sumer) obrali sobie na miejsce zamieszkania,  
W twoich rozległych gajach spożywają swe jadlo.  
Domie Sumeru, niechaj liczne będą twe obory, niech mnożą się twoje  
krowy,  
Niechaj liczne będą twe owczarnie, niechaj baranów będzie mnóstwo  
(...).*  
*Niechaj twe niezachwiane świątynie wznoszą ręce ku niebu,  
Niechaj w tobie Anunnaki określają losy<sup>78</sup>.*

Dla mnie, wychowanego w głębokich (że sobie zażartuję) mrokach socjalizmu, ten tekst brzmi zadziwiająco znajomo, niczym pean na cześć „Wielkiego Wodza” – Josifa Wisarionowicza Stalina. Pasowałby też jak ułał do prasowego serwisu współczesnej Korei Północnej. Gdyby jednak treść tej swoistej przemowy boga Enki do mieszkańców Sumeru, a także pozostałe przytoczone teksty rozpatrywać dosłownie (a nie wyłącznie propagandowo), to moglibyśmy wyciągnąć z nich następujące wnioski: boscy przybysze zaprojektowali i zbudowali miasta oraz inne osiedla w Dwurzeczu. Stworzyli na swoje potrzeby gatunek ludzi, nauczyli go orać, siał, hodować bydło, tym samym przyczynili się do rozwoju i dobrobytu. Wybierali sumeryjskich królów i kapłanów. Określili nieomylnie religijne i prawne normy zawarte w „dekretach” *me* (boskiego porządku). Były one niepodważalne, bo nauki te pochodziły z nieba. Enlilowi podlegali władcy wszystkich miast sumeryjskich, a zatem sprawował on (poprzez swoich kapłanów) władzę absolutną. Być może „książęce potomstwo boga Anu” władało również innymi ziemiami, do których, w kolejnych migracyjnych falach, docierali?

Przyznam, że wdrożony w Dwurzeczu i nieprzerwanie funkcjonujący tam przez kilka tysiącleci model rozwoju (czytaj: oglupiania i zniewalania tubylczego społeczeństwa) zdecydowanie mnie odstręcza i budzi przykre skojarzenia. Sztuka Sumerów, a także ich następców – Akkadyjczyków,

---

<sup>78</sup> Ibidem, s. 194.

Babilończyków i Asyryjczyków, przepełniona jest drastycznymi scenami gloryfikującymi wojenne czyny władców. Monumentalne płaskorzeźby i stele tych „kultur” upamiętniają głównie krwawe podboje: zwycięskie bitwy, oblężenia miast, rozjeżdżanie wrogów rydwanami, obcinanie jeńcom głów, rozszarpywanie ich przez lwy, przyjmowanie od podbitych ludów obfitych „dziękczynnych” darów. Pokonani królowie, pomniejszeni (na tych kamiennych obrazach wzrostem sięgający ledwie ud lub kolan swoich pogromców) przez usługujących rzeźbiarzy są w pozach hołdowniczych lub wręcz błagalnych. Bóg, rzecz jasna, zawsze był po stronie „heroicznych” najeźdźców:

*Z moją pomocą zaatakujesz Zachód... Bacz na moje wskazówki.*

*Ja, bóg Babilonu podaruję ci Elam,*

*wszędzie będą słać cię jak króla. (Tekst Nabuchodonozora I)<sup>79</sup>.*

Poeci wychwalali grabieże, gwałty i podboje zwycięskich królów. Na upamiętniających te zbrodnicze czyny stelach, władców ukazywano w towarzystwie bogów i kapłanów jak zasiadają na monarszych tronach, lub podejmują posłów innych krain, odbierają defilady, pędzą rydwanami w pozach pełnych pychy, dumy i dostojeństwa, odziani w strojne szaty, z tiarami na głowach i insygniami władzy w dłoniach.

Owszem, nie da się zaprzeczyć, iż w okresie tych długich tysiącleci autorytarnych rządów w Dwurzeczu zrobiono znaczne postępy w nauce (zwłaszcza w astronomii), medycynie, uprawie roli, architekturze... Że zakładano tu szkoły (dla wybranych), że to tej „cywilizacji” przypisujemy wynalazek pisma. Nie czyniono tego jednak z pobudek altruistycznych, raczej w pragmatycznym celu – umocnienia tyrańskiej władzy rządzącej kasty. Na potwierdzenie tej tezy, jako konkluzję zacytuję to, co stwierdził pewien babiloński mędrzec: *Sztuka pisania to matka mówców, ojciec mistrzów... sztuka pisania jest trudna do wyuczenia, ale ten, kto ją posiędzie, będzie miał świat w ręku<sup>80</sup>.*

## AL-UBAJD

Według Sumerów w prapoczątkach ich istnienia z Zatoki Perskiej przyplęnęła rzeką do Eridu grupa hybryd-cywilizatorów – pół ryb, pół ludzi z jakimś Oannesem na czele. I tu założyli miasto. Potem nauczyli tutejsze plemiona pisania, budowania, wykorzystywania metali, przemysłowej hodowli i uprawy roli. Ale czy byli to Sumerowie, i czy była to ich legenda, a nie całkiem

<sup>79</sup> Leksykon cywilizacje, *Mezopotamia*, Arkady, Warszawa 2009, s. 186.

<sup>80</sup> M. Bielicki, *Zapomniani...*, op. cit., s. 208.

dobrze rozwiniętych, znanych z kunsztownej ceramiki, budownictwa, również nawadniania pól, pastersko-rolniczych plemion zamieszkujących od co najmniej 6200 roku p.n.e. do 3800 p.n.e. dolinę w dorzeczu Tygrysu i Eufratu? Ludu określanego kulturą al-Ubajd (od stanowiska archeologicznego Tall al-Ubajd), dla których Sumerowie byli takimi samymi barbarzyńskimi, koczowniczymi hordami jak Babilończycy względem Sumerów? Jest to, jak sądzę, legenda przez Sumerów zaadaptowana, by nie powiedzieć wykradziona. Utwierdza mnie w tym przekonaniu lingwistyczna analiza przeprowadzona przez S. N. Kramera, który stwierdził, że nazwy największych miast uchodzących za sumeryjskie, takich jak Eridu, Ur, Larsa, Isin, Adab, Kullab, Lagasz, Nippur oraz Kisz, nie są pochodzenia sumeryjskiego. Ponadto, według tego badacza: *Na podstawie języka sumeryjskiego nie sposób również wyjaśnić nazwy Tygrysu i Eufratu (Idiglat i Buranum – tak się je odczytuje w tekstach klinowych). Nazewnictwo miast i rzek stworzyli pierwsi mieszkańcy doliny mezopotamskiej – społeczeństwo kultury El Obeid. Imię „władcy ziemi” Ea również nie jest pochodzenia sumeryjskiego, dlatego też Sumerowie po włączeniu tego boga do swojego panteonu przemianowali go na Enki*<sup>81</sup>. Etymologię słów zostawmy jednak, choć jest bardzo ciekawa i wróćmy do przerwanej analizy treści tekstów źródłowych.

## SPIS ANUNNAKICH I ICH NASTĘPCÓW

Z babilońskiej „Listy królów” dowiadujemy się, iż „królewskie potomstwo boga Anu”, założyciele i pierwsi władcy sumeryjskich miast, żyli nawet kilkadziesiąt tysięcy lat! Na przykład Alulim (pierwszy władca Eridu) panował 28 800 lat, jego następca – Alagar – 36 tysięcy lat... Według babilońskich kronikarzy już pierwsza ósemka władców rządziła przez niebagatelne 241 200 lat! A co było dalej?

*Etana, pasterz, ten, który do niebios wstąpił (intrygująca informacja), ten, który zjednoczył wszystkie kraje, stał się królem i rządził 1560 lat...*<sup>82</sup>

Enmebaragesi – *ten, co jako zdobywcę pochwycił broń krainy Elam* (ciekawe co to było?) panował 900 lat, jego syn – Agga władał 625 lat. Wielki kapłan i król z Uruk – Meskiaggaszer rządził 324 lata. Jego syn, Enmerkar – 420 lat... Charakterystyczne, że kadencje pierwszych królów babilońscy kronikarze oszacowali na dziesiątki tysięcy lat, potem druga i trzecia dziesiątka władała sumeryjskimi miastami oraz przypisanymi im

<sup>81</sup> A. Kondratow, *Zaginione...*, op. cit., s. 103.

<sup>82</sup> M. Bielicki, *Zapomniane...*, op. cit., s. 80.

ziemiami tylko przez setki lat, a później są to już co najwyżej dziesiątki lat. Jeszcze znany z mitów Gilgamesz zasiadał na tronie ponad sto lat:

*boski Gilgamesz –*

*jego ojciec był lilla-demonem* (też ciekawa informacja) –

*wielki kapłan Kullab* (przynajmniej wiemy, że władcy łączyli też funkcje kapłańskie)

*rzządził 126 lat*<sup>83</sup>.

Natomiast okresy panowania jego mniej „boskiego” syna i pozostałych sześciu przedstawicieli pierwszej dynastii Uruk stały się już racjonalne – rządzili od 6 do 36 lat.

Z pewnością w sensie naukowym – faktograficznym „Lista królów” nie jest wiarygodna, no chyba, że uwierzy się w sumeryjskich bogów lub w przybycie kosmitów na Ziemię. W tym względzie w pełni podzielam pogląd sumerologów. Nie uważam jednak, że ta lista jest kompletnie bezwartościowa. Mówi przecież coś bardzo istotnego o wyobrażeniach Sumerów, stanie ich wiedzy i pojmowaniu przez nich świata. Może być zatem bardzo ciekawym przyczynkiem do szerszych rozważań (którymi, jak pamiętamy, w ramach tej książki staram się zajmować) na temat historii *ustalania* (w tym przypadku przez nich) takiego *zestawu kłamstw*, który mógłby wtedy (te cztery tysiące lat temu) być brany za prawdy. Czy tylko względy propagandowe odgrywały tu rolę? A może babilońscy kronikarze, podobnie jak my to nagminnie czynimy, starali się nagiąć fakty do z góry ustalonych założeń, wynikających z ich wyobrażeń bądź wiedzy dotyczących prapoczątków? Wszak pamiętamy, że to dla ich mitycznych władców:

*Dla dobra płodów ich świętych owczarni, ich posiadłości,*

*Człowiekowi zostało dane tchnienie życia.*

Zatem suma lat rządów mezopotamskich władców (450 tysięcy lat – jak wyliczył Zecharia Sitchin) po uwzględnieniu poprawki sumerologów, którzy ustalili, że w kolejnych okresach dynastycznych nawet trzech królów mogło w jednym czasie zasiadać na tronach rozmaitych miast, ta skorygowana suma jest, jak zakładam, sumeryjską „prawdą” o długości istnienia gatunku *Homo sapiens*. Co intrygujące, ich wyobrażenia w tej kwestii zadziwiająco są zbieżne z naszymi – współczesnymi szacunkami (200 tysięcy lat) i bardzo odległe od tych z połowy XIX wieku n.e., wszak pamiętamy z pierwszego rozdziału, jeszcze 180 lat temu całkiem serio utrzymywano, iż Chrystus: *według obrachowania, jeżeli nie najgruntowniej udowodnionego, przynajmniej najpowszechniej przyjętego, narodził się roku 4004 po stworzeniu człowieka.*

---

<sup>83</sup> Ibidem, s. 93.



Stela zwycięstwa Naram-Sina, „umiłowanego przez Sina” (Boga-Księżyc), wnuka Sargona, Władcy Sumeru i Akadu. Płaskorzeźba upamiętnia jego zwycięstwo nad ludem Lulubejów. Pochodzi z Suzi (obecny Iran), a stworzono ją około roku 2250 p.n.e. Obecnie znajduje się w Luwrze.



Asyryjski skrzydlaty bóg-byk z ludzką głową. Mierzy 440 centymetrów wysokości. Pochodzi z pałacu Sargona II w Chursabad (obecny Irak). Czas powstania tego monumentu to 721–706 p.n.e. Aktualnie w zbiorach Luwru.

## IX. Narodziny pisma

Dziwnie trochę, nieswojo się czuję mając świadomość, że możliwość formułowania słów i zdań, choćby przy pisaniu tej książki, prawie na pewno zawdzięczam gwałtownie rozwijającej się w końcu IV tysiąclecia p.n.e. sumeryjskiej biurokracji oraz konsekwentnie wdrażanemu przez tę „cywilizację” wysiłkowi ekonomicznemu w postaci sprawnie zorganizowanego systemu ściągania z poddanych dostaw, danin i kontrybucji, czyli podatków na rzecz świątyni, pełniących w Sumerze funkcję centrów władzy. Jeszcze dziwniej się czuję, gdy pomyślę, że natchnione strofy Homera, Safony, Wergiliusza, Szekspira oraz całkiem współczesnych: Wisławy Szymborskiej i Urszuli Benki zawdzięczamy najpewniej przedsiębiorczości nieznanego nam z imienia rachmistrza zatrudnionego w „urzędzie podatkowym” świątyni w Uruk!

### PRZEMIANA „ŻETONÓW” W KLINY

Jak wszyscy świetnie wiemy, księgowość to precyzyjna dziedzina, w niej każda czynność – transakcja lub danina – muszą być odnotowane wedle ściśle określonego wzorca: kto, komu, kiedy, ile i co przekazuje. Jest to zatem spora ilość informacji do odnotowania i zarchiwizowania.

Do niedawna sądzono, że wszelkie odmiany pism miały tylko jedno piktograficzne źródło, że wszystkie pisma wyewoluowały z rysunków, z obrazów przedmiotów systematycznie upraszczanych aż do umownych znaków (tak jak stało się w przypadku pisma chińskiego lub egipskich hieroglifów). Cios temu twierdzeniu, przynajmniej w przypadku tekstów z Mezopotamii, gdzie nawet najstarsze z nich – znalezione w Uruk – napisane były z zastosowaniem abstrakcyjnych liter, zadała Denise Schmandt-Besserat, autorka książki „Before Writing” („Zanim nastąpiło pismo”), archeolożka, która w latach 1967–71 badała i systematyzowała rozmaite bliskowschodnie obiekty wykonane z wypalanej gliny jeszcze przed wynalezieniem w tym regionie garncarstwa, a więc pochodzące z okresu 8–6 tysięcy lat p.n.e. Wśród przedmiotów, których przeznaczenie łatwo dawało się określić,

natrafiała też na miniaturowe kule, półkule,  $\frac{3}{4}$  kul, stożki, czworościany, dyski, cylindry, figury o jeszcze innych geometrycznych kształtach, także schematyczne przedstawienia zwierząt i przedmiotów: naczyń, narzędzi oraz innych dóbr. Nazwała je „żetonami”. Długo nie miała pojęcia, do czego mogły służyć, ale ponieważ odnajdywała je, i to w znacznych ilościach, praktycznie w każdym odwiedzanym muzeum, od Iraku przez Iran, Turcję do Izraela, musiały być w powszechnym użyciu. Co więcej, wykonywano je niezwykle starannie, ściśle według określonego wzorca, i należały do pierwszych przedmiotów wypalanych w piecach, a zatem przykładano do nich dużą wagę. Tak więc pełniły jakąś istotną funkcję użytkową. Badaczka podejrzewała, że są elementami jakiegoś systemu. W poszukiwaniu rozwiązania tej zagadki przekopywała się przez specjalistyczną literaturę archeologiczną dotyczącą Bliskiego Wschodu, aż wreszcie: *znalazła artykuł opisujący wydrążoną tabliczkę w kształcie jajka (rodzaj wypukłej koperty lub garnka) wykopaną w Nuzi w północnym Iraku i datowaną na dwa tysiące lat p.n.e. Klinowa inskrypcja na niej brzmiała: Żetony reprezentujące małe stado: 21 jagniąt, 6 owiec, 8 dorosłych baranów, 4 baranki, 6 małych kóz, 1 kozioł, 3 kózki. Pieczęć Ziqarru, pasterza.*

*Archeolodzy, którzy znaleźli tabliczkę (ową glinianą kopertę), po jej otwarciu ujrzeli czterdzieści dziewięć żetonów, dokładną liczbę zwierząt wymienionych (opisanych za pomocą pisma klinowego) na zewnętrznej stronie<sup>84</sup>.*

Dla Denise Schmandt-Besserat ten artefakt stał się objawieniem porównywalnym ze słynnym kamieniem z Rosetty, który ongiś umożliwił rozszyfrowanie egipskich hieroglifów. W ciągu następnych piętnastu lat dowiodła nie tylko istnienia u zarania okresu neolitycznego na Bliskim Wschodzie skutecznego systemu liczenia, ale, że ów system rachunkowy był zwiastunem zarówno archaicznych tekstów z Uruk, jak i pisemnego systemu numerycznego. Intryguje też to, że najstarsze typy żetonów oznaczające: udomowione zwierzęta, miary ziarna, dzbany oleju, etc., były symbolami najbardziej umownymi, czyli geometrycznymi. Dopiero w okresie późniejszym, wraz z lawinowo rosnącą liczbą dóbr materialnych podlegających liczeniu, przekazywaniu oraz rejestrowaniu, pojawiły się żetony nowe, bardziej przedstawieniowe, które do funkcjonującego systemu w miarę potrzeb dodawano, przez co stawał się on coraz bardziej skomplikowany, trudny w obsłudze, aż wreszcie całkiem niewydolny. Świątynne archiwa puchły od „żetonowych akt” – rejestrów, początkowo nizanych jak korale na sznury, a później umieszczanych w glinianych kopertach. Kopertach opatrywanych, dla wygody rachmistrzów (aby zbyt często nie musieli

<sup>84</sup> R. Rudgley, *Zaginione...*, op. cit., s. 55.

do nich zaglądać), odciskanyimi na ich wierzchach symbolami żetonów umieszczonych w ich wnętrzach. Gliniane „teczki”-garnki, z braku miejsca w świątynnych archiwach, coraz bardziej spłaszczano, aż wreszcie jakiś kreatywny rachmistrz, przypuszczalnie zatrudniony w świątyni w Uruk, około 3100 roku p.n.e., zauważył, że nie ma sensu przechowywać zawartości kopert, skoro informacja odcisnięta na ich wierzchach wystarcza. Stąd był już tylko mały krok do jeszcze większego uabstrakcyjnienia (czytaj: usprawnienia) księgowych rejestrów poprzez wprowadzenie systemu odciskanych na glinianych tabliczkach klinów, których rozmaite układy i konfiguracje w sposób całkowicie umowny opisywały praktycznie niemal wszystko. Na tyle dobrze ten system zapisu sprawdził się w praktyce, że mógł być z powodzeniem wykorzystywany także do innych niż księgowe celów. Celów przydatnych, rzecz jasna, dla umacniania autokratycznej władzy, a więc propagandowych. Bo czym były pierwsze w dziejach utwory literackie, jak nie propagandą właśnie – eposami gloryfikującymi nieomylnych bogów i heroiczne czyny królów? Zresztą, jak mi się zdaje, ten nurt bałwochwalczej literatury zapoczątkowany przez Babilończyków, utrwalił się przez wszystkie następne wieki, a i dziś ma się nienajgorzej.

## PISMO FONETYCZNE I PIKTOGRAFIA

Nie da się chyba odpowiedzieć na pytanie: które z *hominidów* jako pierwsze przemówiły, czyli przekształciły wydawane przez siebie dźwięki w bardziej zaawansowany, sprawniejszy, rozumiały dla wszystkich członków grupy system komunikacji werbalnej zwany językiem? Ludzki mechanizm percepcji świata opiera się na dualizmie uczuć i emocji oraz wynikających z nich reakcji i myśli, przypuszczam zatem (choć to tylko moje wyobrażenie), że pierwsza, komplementarna para uzgodnionych słów wyrażała podstawowe pojęcia, oznaczające akceptację i negację. Zapewne wiele tysięcy lat musiało upłynąć od tamtej chwili, nim ludzkie stada jęły nadawać nazwy osobom oraz rzeczom i rozszerzyły zasób słów odnoszących się do pojęć, zjawisk i znaczeń, by przy ich pomocy móc porozumiewać się w sposób opisowo złożony. Nie chcę wikać się w domysły, choć to temat niezmiernie ciekawy, kto, kiedy i gdzie jako pierwszy stworzył system zapisu fonetycznego, jakim posługujemy się obecnie. Zapisu, w którym literom oraz interpunkcyjnym znakom, w sposób abstrakcyjny – całkowicie umowny, przypisano dźwięki mowy i rozmaite sposoby ich artykulacji. Czy byli to Fenicjanie, którzy około XIII wieku p.n.e. stworzyli alfabet złożony z 22 liter? Czy może Arabowie, których osiągnięcia europejscy badacze zwykle pomniejszali? Tak czy inaczej, stworzenie pisma fonetycznego okazało

się przełomem w dziedzinie sztucznego wspomagania naszej pamięci, przekazywania rozmaitych informacji i popularyzowania idei oraz innych treści. Ten fundamentalny wynalazek poprzedziły jednak długie tysiąclecia rozwijania form komunikacji wizualnej, polegających na przedstawianiu za pomocą schematycznych znaków nie dźwięków mowy, a obrazów rzeczy, osób i przypisanych do nich ideowych znaczeń. Językoznawcy dzielą znaki pisma w zależności od stopnia ich „uabstrakcyjnienia” na trzy kategorie: ikoniczne, indeksykalne oraz symboliczne. Ikony to najprostsze piktogramy, które wyglądem przypominają rzeczy, do których się odnoszą. Znaki indeksykalne łączą piktografię z ideografią, a więc poprzez rzeczy nawiązują do zjawisk i idei, a zatem koło może oznaczać Słońce, ale ideowo symbolizuje także boga, dzień, ciepło, pełnię... Owale lub trójkąty z kreską pośrodku jest znakiem *vulvy*, ale oznacza też kobietę, rozrodczość, płodność, żeński pierwiastek, *Magna Mater*. Przez połączenie dwóch prostych znaków, na przykład oka z łzą, można zobrazować emocje i stany ducha, na przykład ból, smutek lub wzruszenie. Znaki symboliczne, tak jak cyfry lub litery, są całkowicie umowne (nie przypominają osób, zjawisk, stanów i rzeczy, do których się odnoszą). Ale czy te najbardziej nawet złożone systemy komunikacji oparte na piktografii, czyli tzw. „pisma analityczne”, łączące formy zapisu ideograficznego z fonetycznym, a rozwinięte w Egipcie, Mezopotamii, na Krecie (pismo linearne A i B), u Hetytów, także w Chinach (wciąż jeszcze będące w użyciu), można nazwać pismem? Wszak według popularnej definicji w Wikipedii: *Pismo to system umownych znaków, za pomocą których przedstawiany jest język mówiony...* i tylko taki. Wyklucza ona zatem wszelkie systemy graficznej komunikacji wywiedzione z piktografii. Dlatego ja wolę bardziej oględną definicję pisma, w myśl której jest ono *spół sposobem komunikowania się opartym na systemie umownych znaków o widzialnej, fizycznej postaci, wykonanych na trwałym materiale*<sup>85</sup>, bez wnikania się w jałowe dywagacje i spory o to, która z historycznych kultur wykształciła „pismo prawdziwe”, a która tylko „pismo zarodkowe” (czyli jego „prymitywną” namiastkę), a co jest ulubioną rozrywką wielu naukowców w rodzaju Davida Diringera, autora książki „Writing” („Pismo”), którego osąd w tych kwestiach jest kategorycznie jednoznaczny: *Można chyba rzec, iż wszystkie odmiany inskrypcji graficznych, czy to topornych, czy subtelnych, mają korzenie w zasadniczej, uniwersalnej ludzkiej potrzebie komunikacji i ekspresji. Niemniej jednak trzeba dokonać pewnego rozróżnienia. Jeśli nasz przedmiot ma być zrozumiały, trzeba wyraźną linią oddzielić to, co nazywamy „pismem zarodkowym” i „pismem właściwym”. Nie powinniśmy, w reakcji na uproszczone idee „prymitywnych” i „zacofanych” etapów roz-*

<sup>85</sup> G. von Petzinger, *Pierwsze...*, op. cit., s. 207.

*woju cywilizacji, zajmować równie ekstremalnego stanowiska i podciągać pod kategorię „pisma” wszystkich form graficznej ekspresji wykorzystywanych przez człowieka. Pismo, w naszym rozumieniu, jest stosunkowo nową, świadomą aktywnością intelektu człowieka, silnie i nierozzerwalnie związaną z rozwojem cywilizacyjnym*<sup>86</sup>.

No cóż, tak zwany „rozwój cywilizacyjny” nierozzerwalnie wiąże się z rozbudową systemów komunikacji wizualnej od pojedynczych, prostych, symbolicznych znaków, poprzez układanie z nich krótkich sekwencji, aż do konstruowania złożonych form zapisu. Wydaje się to jednak raczej konsekwencją konieczności dostosowywania się do coraz bardziej złożonych struktur państwowych i społeczno-gospodarczych (o czym mogliśmy się przekonać na przykładzie przemian związanych z początkowo praktycznym i sprawnym, a później całkiem niewydolnym systemem „żetonów”), niż z kulturalnym i intelektualnym, cywilizacyjnym postępem. Doskonalenie sposobów zapisu, gromadzenia i przepływu lawinowo rosnącej rzeki informacji, wciąż się przecież dokonuje, czego wymownym przykładem jest obecna rewolucja cyfrowa, jednak nie przekłada się w jakikolwiek istotny sposób na wyższy poziom szeroko pojętej kultury i poprawę międzyludzkich relacji. Dlatego nie wiązałbym tego procesu z cywilizacyjną poprawą jakości, bo czasem więcej i lepiej oznacza tylko możliwość napisania, wydania oraz masowego rozpowszechnienia drukiem „Mein Kampf” Adolfa Hitlera.

## PISMO STAROEUROPEJSKIE

Mezopotamski system „żetonów” z pewnością był przedsumeryjski, a nawet wyprzedzał kulturę al-Ubajd, co tylko dowodzi istnienia na tych terenach rozbudowanych struktur społeczno-gospodarczych już kilka tysięcy lat przed pojawieniem się tam wojowniczych Sumerów. Nie ma zatem podstaw do negowania tezy, że wynalazek pisma dotarł tam wraz z jakąś migracyjną falą, na przykład z południowo-wschodniej Europy.

Wiele do myślenia dają znaleziska dokonane przez archeologa dr N. Vlassę (w roku 1961) na stanowisku zwanym Tartaria w Transylwanii, w zachodniej Rumunii, 20 kilometrów od Turdas. Otóż w najniższej, czyli najstarszej warstwie wykopalisk, należącej do kultury Vinca, znalazł dół ofiarny wypełniony spopielałą ziemią, w nim spalone kości człowieka w wieku 35–40 lat i dwadzieścia sześć spalonych glinianych figurek, dwa alabastrowe posążki, bransoletę z muszli ostrygi oraz trzy niewielkie tabliczki o barwie czerwono-brązowej, wykonane z piskawej gliny.

<sup>86</sup> R. Rudgley, *Zaginione...*, op. cit., s. 87.

Na pierwszej z nich wyryto schematyczny wizerunek kozła, także jakieś inne kopytne zwierzę stojące na tylnych łapach lub postać ludzką, a między nimi coś, co przypomina kłos zboża. Na pozostałych dwóch tabliczkach, przedziurawionych (a więc służących pewnie do zawieszania na czymś, być może w celach rytualnych bądź magicznych) wyryto znaki przypominające symbole lub litery rozmieszczone w rzędach. Znalazca zauważył ich zadziwiające podobieństwo stylistyczne do najstarszych tego typu obiektów znalezionych w Uruk. Kłopot w tym, że te sumeryjskie pochodzą z okresu 3500–3200 lat p.n.e., a stanowisko Tartaria według datowania radiowęglowego jest o niemal 1000 lat starsze. Kultura Vinca, według rozmaitych szacunków, rozwijała się w okresie 5500–4000 lat p.n.e. Von Petzinger przesuwając jej początek nawet o 500 lat, podobnie jak M. Gimbutas, która wyróżniła fazę wstępną tej kultury (6–5,3 tysiąca lat p.n.e.), następnie fazę szczytową a więc tę, z której przypuszczalnie pochodzą tabliczki znalezione w Transylwanii (5,3–4 tysiące p.n.e.), oraz jej tajemniczy zanik mniej więcej 3,5 tysiąca lat p.n.e. Adam Falkenstein, wybitny znawca archaicznych systemów pisma Sumerów, a także Sinclair Hood (dyrektor British School of Archeology w Atenach) poparli opinię Vlassy w kwestii zadziwiającego podobieństwa między tabliczkami z Tartarii i z Uruk. W artykule opublikowanym w brytyjskim czasopiśmie archeologicznym „Antiquity” Hood stwierdził: *Znaki na tabliczkach z Tartarii, zwłaszcza na krążku numer 2 (tabliczka w kształcie dysku), są tak podobne do wczesnych tabliczek z Uruk, że z pewnością istnieje między nimi jakaś więź*<sup>87</sup>. Żaden z tych badaczy nie ośmielił się jednak zaryzykować tezy mówiącej o wtórności znaków mezopotamskich wobec tych z południowo-wschodniej Europy. Byli oni raczej skłonni kwestionować datowanie znalezisk z Tartarii niż przyznać prymat nad Sumerem kulturze Vinca. I to pomimo, że już w 1969 roku, w Gradesnicy (zachodnia Bułgaria) na stanowisku Vratsa, odnaleziono płytę czy raczej rodzaj płytkiego naczynia, której wiek oszacowano na 5–4 tysiące lat p.n.e. Również przypisaną kulturze Vinca. Pokrytą znakami przypominającymi litery, a więc wykazującymi znaczny stopień uabstrakcyjnienia. Na awersie tej płyty znaki wyryto w bloku czterech rzędów (sugerujących jakiś zapis), a na rewersie uformowano z nich układ mniejszych znaków-liter rozmieszczonych wokół centralnego, największego i najbardziej złożonego symbolu.

Ideogramy podobne, przywołujące na myśl litery nieznanego alfabetu, widnieją też na pieczęci w kształcie dysku, znalezionej w miejscowości Karanovo, datowanej na co najmniej 3,5 tysiąca lat p.n.e., oraz na wielu przedmiotach użytkowych: ołtarzach, posążkach amuletach, ceramicznych

<sup>87</sup> Ibidem, s. 65.

naczyniach, kołach i wrzecionach przypisanych kulturze Vinca. Shann Winn, badacz, który w latach 70. XX wieku zebrał najobszerniejszy katalog tych znaków, wyodrębnił ich 210, a w raporcie napisał: *Wewnętrzna analiza znaków Vinca potwierdza, że znaki są skonwencjonalizowane i znormalizowane oraz reprezentują zbiór symboli znany i używany na szeroką skalę przez wiele wieków. Jeden zespół symboli przypisany jest posążkom, podczas gdy szereg innych znaków widnieje nie tylko na figurkach, ale też sporadycznie na innych przedmiotach. Znaki na naczyniach glinianych układają się w charakterystyczną całość; gdy na naczyniach pojawiają się znaki złożone, występują tylko raz. W innych przypadkach występują jedynie jako odosobnione znaki, nigdy w grupach.*

Często symbole pojawiają się tylko jako pojedyncze znaki, podczas gdy inne znajdujemy jedynie w grupach. Symbole zebrane w innym ważnym zespole występują zarówno jako oddzielne znaki oraz jako składniki grup znaków. Znaki występujące tylko w grupach nie są wykorzystywane na naczyniach, podczas gdy znaki występujące tylko osobno przeznaczone są niemal wyłącznie dla naczyń. Istotne zespoły znaków dają się wyróżnić dzięki szczególnemu związkowi z obiektami danego rodzaju: odmienne znaki ryto na naczyniach i na posążkach (były to prawdopodobnie inskrypcje, czy raczej symbole przypisanych tym przedmiotom rzeczy, osób, zjawisk lub bóstw). Koła wrzecion odgrywają pośrednią rolę, posiadając jednocześnie oryginalne znaki oraz elementy wspólne z naczyniami; ta dwoistość może odzwierciedlać ich podwójną rolę, jaką odgrywały w kręgu spraw domowych oraz w kręgu religii<sup>88</sup>.

Wcześniej cytowany Sinclair Hood opiniując tabliczki z Tartarii zauważył, że przynajmniej część znaków na nich wyrytych wykazuje również znaczną zbieżność ze znakami alfabetu minojskiej Krety, z całą pewnością niebędących tam miejscowego pochodzenia. Ponadto tabliczki odnalezione na Krecie również z jakichś powodów celowo dziurawiono (czego w Sumerze nie czyniono), aby je gdzieś zawieszać lub łączyć za pomocą sznurków albo rzemieni w obszerniejsze zbiory zapisanych rytualnych zaklęć lub innych magicznych formuł. Zarówno Marija Gimbutas, jak też Harald Haarmann z uniwersytetu w Helsinkach (również wybitny badacz starożytności) uważają, że znaki Vinca odnoszą się raczej do wierzeń, magii i rytuałów, a nie do kwestii ekonomiczno-gospodarczych, które stanowiły podstawę rozwoju pisma w Sumerze. Ponadto oboje nie wykluczają, że stanowiły one system pełniący już rolę prawdziwego, być może jeszcze nie w pełni ukształtowanego, ale jednak pisma. Podzielałam ich pogląd, bo przecież w kulturze minojskiej ów system komunikacji wizualnej przekształcił się

<sup>88</sup> Ibidem, s. 70, 71.

w pełni rozwinięte pismo, którego rozszyfrowanie zawdzięczamy, przypomnę, talentowi lingwistycznemu Michaela Ventrisa. Harald Haarmann przeprowadził analizę porównawczą tego pierwotnego systemu staro-europejskiego z minojskim pismem linearnym typu A, i odkrył, że niemal jedna trzecia, tj. około 50 znaków obu pism wykazuje zadziwiająco duże zbieżności świadczące o ich powiązaniach.

Z pewnością warto by też przeprowadzić wnikliwe porównania znalezisk i umieszczonych na nich znaków z Bałkanów, sprzed 6,5–8 tysięcy lat, z nieco młodszymi artefaktami obszaru Morza Śródziemnego i Egejskiego, zwłaszcza z zabytkami prehistorycznego miasta Phylakopi na wyspie Melos oraz w Troi. Richard Rudgley, autor książki „Zaginione cywilizacje epoki kamienia”, którą wszystkim bardzo polecam, i na którego wiedzę często się powołuję, zauważył, że już *Szanowany egiptolog Sir Flinders Petrie (1853–1942) przeprowadził rozległe studia nad występowaniem takich znaków w Egipcie predynastycznym oraz później. Doszedł do wniosku, że znaki te nie stanowiły źródła egipskiego pisma, a raczej odrębny system, który istniał wcześniej niż pismo egipskie, zaś później używany był niezależnie od hieroglifów. Wysunął myśl, że mogły one być czymś w rodzaju ówczesnego „lingua franca”. Wyraził też przypuszczenie, iż ze względu na ich podobieństwo do form znaków później używanych w pismach alfabetycznych, te wczesne symbole mogą mieć coś wspólnego z początkami alfabetu*<sup>89</sup>.

Gwałtowny rozwój kultur w regionach na południe od Bałkanów niektórzy badacze (w tym M. Gimbutas i H. Haarmann) wiążą z migracją, która dokonała się w połowie IV tysiąclecia p.n.e. z południowo-wschodniej Europy, najprawdopodobniej wywołaną przez najazdy indoeuropejskich koczowniczych hord na te tereny. Haarmann tak to tłumaczy: *Istnieją wyraźne dowody, że wzorce Starej Europy przetrwały na peryferiach. Rozwój kultury cykladzkiej, której najstarsze świadectwa pochodzą z 3,2 tysiąca lat p.n.e., jest z całą pewnością związany z migracją Indoeuropejczyków. Fala nowych osadników dotarła również do Krety w ciągu III tysiąclecia p.n.e. Neolityczna kultura na Krecie została oparta na zasadach typowych dla Europy południowo-wschodniej. Zostały one przeniesione na wyspy Morza Egejskiego przez ludy uciekające przed inwazją Indoeuropejczyków*<sup>90</sup>.

Zatem, czy aby na pewno, jak twierdził Samuel N. Kramer, historia zaczęła się w Sumerze?

<sup>89</sup> Ibidem, s. 71, 72.

<sup>90</sup> Ibidem, s. 73.

## PRAPISMO

Cechujący się bardzo wysokim stopniem uabstrakcyjnienia system graficznej komunikacji kultury Vinca, nie był jeszcze w pełni ukształtowanym pismem, niemniej wytworzył na tyle szeroki system znaków indeksykalnych, że od nich zostawał tylko mały krok do umownych znaków symbolicznych i tworzenia z nich zapisów bardziej złożonych niż tylko inskrypcje albo formuły magiczne, czego dowodem mogą być ewidentnie wywiedzione z Vinca: kreteńskie pismo linearne B oraz pochodzący z podobnego okresu złożony z 54 znaków cypryjski sylabariusz (system pisma, w którym pojedyncze znaki reprezentują całe sylaby, a nie pojedyncze głoski). System znaków Vinca był też, i nie tylko ja tak sądzę, silnym impulsem dla mentalnych przemian w Mezopotamii oraz Egipcie faraonów prowadzących do narodzin pism klinowego i hieroglificznego.

Azja wciąż jest zagadką, białą plamą w obszarze archeologicznych badań związanych z okresem epoki kamiennej i neolitu, ale niedawne wykopaliska na terenie Jiahu w prowincji Henan w Chinach doprowadziły do odkrycia przez tamtejszy zespół badaczy (pracujący pod kierunkiem Li Xueqina) śladów neolitycznej kultury Peiligang. Kultury datowanej podobnie jak kultura Vinca, na 7–6 tysięcy lat p.n.e., i która również posługiwała się znakami ideograficznymi umieszczanymi w krótkich sekwencjach. Na przykład, na jednej z odnalezionych tam skorup żółwi wryto symbole oka, kilku liczb oraz okna. Zespół chińskich badaczy nie wyklucza, że mogły one stanowić podstawę do powstania w późniejszym okresie (około 2,5–1,5 tysiąca lat p.n.e.) chińskiej odmiany pisma.

Zadziwiające są pokrewieństwa wczesnych sumeryjskich pieczęci i tabliczek do tych odnalezionych w Mohendžo Daro oraz Harappie na Półwyspie Indyjskim. I tu, i tam są niemal te same motywy piktograficzne (najczęściej byki), którym towarzyszą symboliczne znaki ideograficzne (inskrpcje?) bardzo do siebie podobne. Także w niemal wszystkich kulturach występuje zwyczaj (znany już z górnego paleolitu) łączenia figuratywnych przedstawień z umownymi – symbolicznymi znakami, a później również z napisami, takimi, jakie figurują na wielu egipskich posągach. Symboliczne znaki widnieją też na rozmaitych przedmiotach użytkowych wielu kultur, na przykład na naczyniach często umieszczano falisty znak wody. Warto także zauważyć, że te zwyczaje przetrwały do naszych czasów. Wszak i dziś na kubkach i talerzach widnieją obrazki, rysunki, znaki i napisy z czymś się kojarzące, nawiązujące do miejscowości, firm, idoli popkultury, etc. SMS-y wysyłane z komórek i smartfonów często opatrujemy tzw. „bużkami”, które w sposób lakoniczny wyrażają stan emocji związany z przekazywaną treścią. Bezsprzecznym faktem jest, że wynalazek pisma nigdy całkowicie

nie wyeliminował z powszechnego użytku wcześniej wypracowanych ikonicznych i indeksykalnych systemów porozumiewania. Uzupełnił je tylko. Przecież obrazkowe pisma operujące skrótami – symbolicznymi znakami, w wielu obszarach życia lepiej się sprawdzają, bywają bardziej funkcjonalne. Mamy symbole różnych religii, państw, województw, gmin, stowarzyszeń, partii politycznych, klubów, szkół, firm, znaki stosowane na tablicach ostrzegawczych i informacyjnych, umowne oznaczenia szarż na czapkach i pagonach służb mundurowych, różne znaczki, plakietki, medale oraz insygnia władzy (łańcuchy, buławy, berła, korony itp.). Objęło to również sygnalizację świetlną i systemy znaków drogowych, kolejowych, żeglugowych, turystycznych i innych. Są w pełni zrozumiałe dla ogółu, bo całkowicie niezależnione piktograficznie od fonetyki języków i wywiedzionych z nich pism w różnych krajach.

Zwyczaj, czy raczej przemysłna metoda równoległego posługiwania się różnorodnymi sposobami komunikacji wizualnej, także uzupełniania i łączenia języków plastycznej wypowiedzi i form wyrazu, jednoczesnego operowania nimi w obrębie jednego piktograficznego przekazu w celu doprecyzowania go i zintensyfikowania zarówno w sferze informacyjnej jak też w warstwach emocjonalnej oraz ideowo-symbolicznej, ma korzenie w odległej przeszłości, sięgającej początków górnego paleolitu. Nie przypadkiem już w jaskini Chauveta obok realistycznych rysunków zwierząt odnajdziemy znaki i symbole tę narrację uzupełniające<sup>91</sup>.

W paleolicie, rzecz jasna, nie wynaleziono pisma, po prostu nie było takiej potrzeby. Wszak w małych plemiennych, egalitarnych strukturach społecznych wiedzę oraz pamięć o ludziach i zdarzeniach przekazywano sobie ustnie. Podatków nie ściągano, a wymiana handlowa odbywała się na poziomie prostych transakcji, które można było odnotowywać za pomocą nieskomplikowanych znaków cyfrowych – nacięć w formie kropek, kresek pionowych i ukośnych oraz znaków jota w jotę podobnych do rzymskich cyfr X, V i odwróconego V, umieszczanych najczęściej na przenośnych obiektach, przeważnie kościach<sup>92</sup>. Sądząc po znaleziskach, można chy-

---

<sup>91</sup> G. von Petzinger, autorka książki *Pierwsze znaki*, która spośród wszystkich symboli epoki kamiennej wyodrębniła zestaw 32 najczęściej występujących, ze zdumieniem stwierdziła, że w pochodzącej sprzed 37 tysięcy lat jaskini Chauveta użyto aż 17 znaków geometrycznych z jej systematyki, co w przekonaniu badaczki świadczy o już wtedy bardzo dobrze rozwiniętym systemie posługiwania się symbolami.

<sup>92</sup> Jako ciekawostkę dodam, że znany badacz paleolitu, K. Absalon, już bardzo dawno pozwolił sobie na odważne stwierdzenie faktu, że: *wszystkie elementy graficzne cyfr rzymskich znane już były w czasach magdaleńczyków*. (K. Absalon, *Dokumente und Beweise der Fähigkeiten des fossilen Menschen zu zahlen in mährischen Paläolithikum*, "Artibus Asiae", Ascona 1957).

ba stwierdzić, że ten system liczenia (dziesiętny lub piątkowy – różne są na ten temat opinie) obowiązywał na ogromnym obszarze południowej i południowo-wschodniej krawędzi lądolodu zlodowacenia Wurm, bo tego rodzaju znakowania widnieją na wielu obiektach sztuki mobilnej, między innymi z takich kultowych miejsc jak: La Madeleine, Laugerie Basse, Brassempouy, Bruniquel, Mas d’Azil, La Marche (poroże z wizerunkiem konia i dziesiątkami pogrupowanych nacięć), Willendorfu (na jednej z odnalezionych tam kości umieszczono ciąg 25 tego typu znaków), Pekarny (również w szeregu 25 znaków), Dolnich Vestonic, Kostienek, a nawet z syberyjskiej Malty. Część z tych wyliczeń mogła stanowić, jak przypuszczam, rodzaj spisów dóbr lub dotyczyć innych kwestii, na przykład handlowych, obserwacyjnych lub naukowych, wymagających tego rodzaju sztucznego wspomagania pamięci.

Dogłębne analizy porównawcze znaków – liter różnych odmian pism przeprowadzone przez Allana Forbesa i Thomasa Crowdera oraz wielu innych badaczy, w najwyższym stopniu zdumiewają, ponieważ wszelkie pisma, niezależnie od czasu i miejsca powstania, zarówno te fonetyczne, jak i piktograficzne, operują bardzo podobnymi systemami znaków, których rodowód może być, jak się zdaje, tylko jeden – paleolityczny. No chyba, że uwierzymy w to, że wszędzie na świecie i w każdym czasie ludzie mieli ten sam rodzaj graficznych skojarzeń lub, że ilość prostych znaków, które można wymyślić, jest bardzo ograniczona. W każdym razie zestawienie znaków pochodzących z paleolitycznych stanowisk obszaru franko-kantabryjskiego (przeprowadzone przez Forbesa i Crowdera) z wybranymi znakami pism: hieroglificznego (wyrazów określających), sumeryjskiego obrazkowego, z doliny Indusu-Saraswati, linearnego A, linearnego B, cypryjskiego, protochińskiego, fenickiego, iberyjskiego, etruskiego, greckiego (odmiana zachodnia), łacińskiego, runicznego oraz znaków na kościach wróżebnych, będących najstarszymi przykładami pisma chińskiego, daje wiele do myślenia. Podobnie jak odrębne zestawienia: kilkunastu egipskich hieroglifów ze znakami z paleolitu, kilku symboli magdaleńskich z symbolami z doliny Indusu, kilku znaków z epoki kamiennej i pisma iberyjskiego, wreszcie kilkunastu znaków kultury megalitycznej ze znakami z paleolitu.

Znaki symboliczne z górnego paleolitu cechuje znaczny stopień uproszczenia, niemniej na tyle są sugestywne, że skłaniają do rozmaitych interpretacji. Wielu badaczy dopatrzyło się w nich głównie treści związanych z magią łowiecką. David Lewis-Williams i Jean Clottes, opierając się na etnograficznych badaniach, przynajmniej część znaków paleolitu uznali za entoptyczne (powstałe w stanach halucynacyjnych) – wynikające z szamańskich praktyk. Marija Gimbutas uważała, że wraz z innymi obiektami paleolitycznej sztuki składają się one na rodzaj „metafizycznego alfabe-

tu”, że przenoszą refleksję na temat pojmowania idei dotyczącej czasu, przestrzeni, natury kosmosu, z *Magna Mater* umieszczoną w centrum tej duchowej czasoprzestrzeni. Inny wybitny znawca tematu, A. Leroi-Gourhan, dowodził, że te znaki dzielą się zasadniczo na *wzorujące się albo na postaci kobiecej i kobiecych organach płciowych, albo na męskich organach płciowych*. Leroi-Gourhan uważał dwie grupy za opozycyjne, złączone lub współistniejące; znaki z grupy „a” (linie, kropki itd.) reprezentują męskie aspekty, te z grupy „b” (owale, trójkąty itd.) – aspekty kobiece<sup>93</sup>. I też widział w nich „system metafizyczny”. Na krótko przed śmiercią miał podobno (wiemy to od Brigitte i Gillesa Delluc) w tej kwestii zająć dość jednoznaczne stanowisko: *Naprawdę sądzę, że ludzie z Lascaux byli bardzo bliscy stworzenia alfabetu*. Jego pogląd podziela też Schmandt-Besserat: *paleolityczne pierwowzory stanowiły podstawę, na której ostatecznie skonstruowano neolityczny system symboli*. Zdaniem uczzonej, karby pochodzące z okresu górnego paleolitu stanowiły elementarny środek przechowywania i przekazywania informacji. Teoria ta podważa więc ostre rozgraniczenie pomiędzy kulturami „cywilizowanymi”, które szczytą się umiejętnością pisania, oraz prehistorycznymi kulturami „prymitywnymi”, które pod tym względem odznaczały się całkowitą ignorancją<sup>94</sup>. Trudno się z tym nie zgodzić, bo faktem jest przecież, iż z tej światopoglądowej, pierwotnej gleby wyrosły neolityczne kultury, które stworzyły ukształtowane systemy piśmiennicze.

Z pewnością wśród znaków paleolitu są takie, które wykorzystywano do celów praktycznych: liczenia, informowania o miejscach zastawienia pułapek na zwierzęta, występowania wody itp., oraz takie, które odnosiły się wyłącznie do kultu i rytuałów. Jest też zapewne spora grupa znaków indeksykalnych, których odczytanie zależne było od kontekstu, w którym je umieszczano. Wśród wszystkich grup symbolicznych znaków paleolitu odnajdziemy wiele falistych oznaczeń wody. M. Gimbutas łączyła ich symbolikę z kultem *Magna Mater*, bo przecież woda i deszcz to urodzaj – narodziny, wzrastanie, odradzanie się; sporą grupę stanowią również te praktyczne karby liczebnikowe i symbole zazwyczaj określane jako „dachokształtne” lub „szalasowate”, a które najpewniej oznaczały pułapki na zwierzynę (ryty z Font-de-Gaume oraz Bernifal, przedstawiające mamuty tkwiące w takich zasadzkach, zdają się tę tezę potwierdzać). Duża jest też różnorodność kratek lub kratownic, z których przynajmniej część z pewnością ilustrowała siła na zwierzynę (dowodzi tego choćby słynne malowidło z Lascaux, na którym rogate zwierzę pędzi wprost w kierunku takich siideł, a nadto jeszcze ryt z Pasiegi z wizerunkiem kozła w takie wnyki złapanego).

<sup>93</sup> R. Rudgley, *Zaginione...*, op. cit., s. 80.

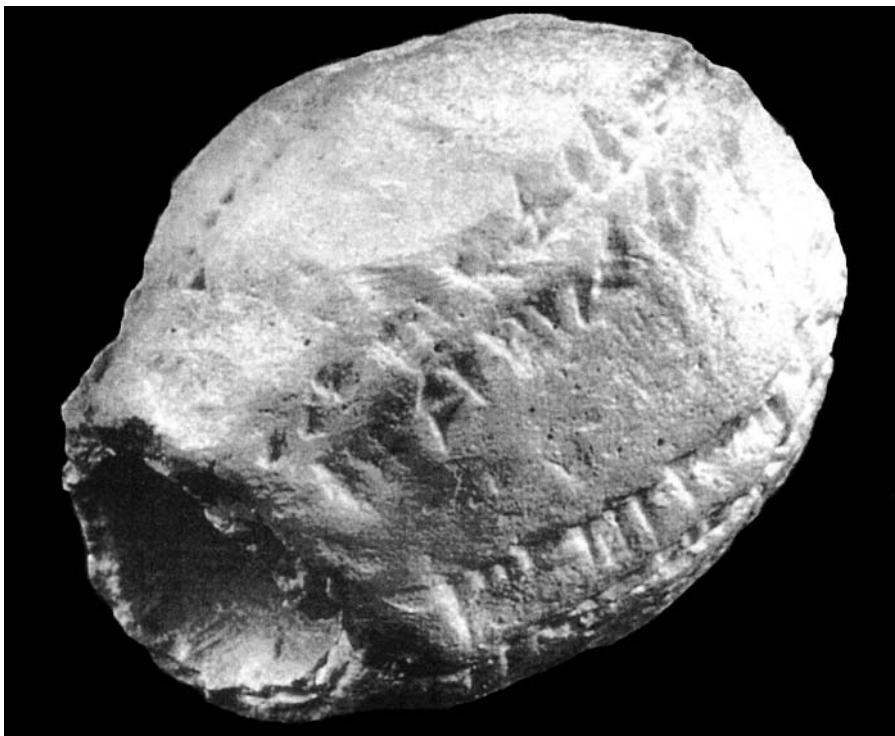
<sup>94</sup> Ibidem, s. 84, 85.

Jerzy Cepik<sup>95</sup> przypuszcza, że niektóre z tych „kratownic” ilustrują łodzie lub sianie, bo nie jest wykluczone, że jakieś środki transportu już wtedy istniały. Badacze wyodrębnili też wiele schematycznych przedstawień kilkunastu gatunków roślin, co jest wymownym świadectwem, że botanika i ziołolecznictwo były w epoce kamiennej ważnymi dziedzinami praktycznej wiedzy. Przypuszczam, że odciskane w różnych konfiguracjach i napryskiwane za pomocą ust, w formie kropek, ochrowe ślady, odciski oraz obrysy rąk na ścianach kultowych jaskiń, niczym na magicznej membranie kosmosu, są wymownym świadectwem szamańskich praktyk – odnawianiem więzi z żywą Istotą zwaną Absolutem. Podobnie jak D. Lewis-Williams i J. Clottes nie wykluczam, że spora część paleolitycznych notacji, na przykład te widniejące na sklepieniu Altamiry, powstała w szamańskich transach, i że mogą one być zaliczane do kategorii śladów entoptycznych, z kultowymi rytuałami związanych. Z pewnością te wszystkie trójkąty i owale poprzecinane lub nie, kreskami, które Gourhan zaliczał do symboli seksualnych, równie dobrze można przypisać do kategorii znaków wieloznacznych, a więc indeksykalnych, podobnie jak spiralne symbole kosmicznego węża, kółka z kropką w środku (oznaczenia Słońca), krzyże (być może symbole stron świata), gwiazdki, linie równoległe, etc. Wreszcie, wśród tych przeróżnych znaków odnajdujemy całkiem abstrakcyjne litery paleolitycznego metaalfabetu, z których na plan pierwszy wysuwa się magiczny Y – niemal na pewno symbolizujący rogatego Boga-Byka – kwintesencję Wszechrzeczy.

---

<sup>95</sup> Autor książki *Wspomnienia z przeszłości*, opublikowanej przez Wydawnictwo Poznańskie w 1983 roku.



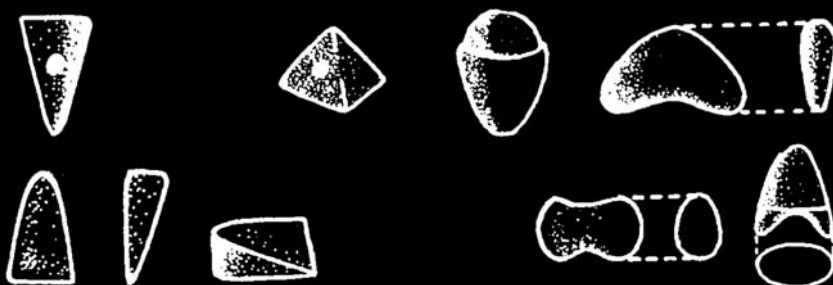


„Nowy kamień z Rosetty” – gliniana „koperta” z Nuzi, Irak, II tysiąclecie p.n.e.

#### PRZYKŁADY ŻETONÓW PROSTYCH



#### PRZYKŁADY ŻETONÓW ZŁOŻONYCH



Ceramiczne żetony z Bliskiego Wschodu służące do liczenia rozmaitych dóbr.



## X. Paleolityczny panteon

Nie jest wykluczone, że majestatyczna i władcza postać żubra, tura, byka, bizona lub innego rogatego samca posłużyła do stworzenia pierwszego z ludzkich wyobrażeń związanych z ideą Boga. Możliwe jest też i to, że ta natchniona wizja ma bardzo stary rodowód sięgający początków górnego paleolitu, a może jeszcze głębiej?

### ANTROPOMORFIZM I ZOOMORFIZM

Już w najstarszej z dotychczas odkrytych jaskini Chauveta, w najodleglejszej od wejścia, zatem najbardziej znaczącej dla kultu komnacie, tej z „panelem jaskiniowych lwów”, znajduje się nawis skalny z przedstawieniem półkobiety (bogini) w symbiotycznych objęciach byka (najpewniej uosabiającego Boga), albo hybrydy od dołu do pasa kobiecej, powyżej pasa byczej. Wizja bardzo już symbolicznie złożona, bo scalone w jednej postaci pierwiastki (męski – zwierzęcy i żeński) składają się na wszechpotężne i ponadczasowe Uniwersum<sup>96</sup>. Ta sugestywna figura zdaje się opowiadać o jakimś doniosłym zdarzeniu – zespoleniu, przeobrażeniu jednego bytu w drugi; jest bez wątpienia ilustracją jakiegoś archaicznego – pierwotnego mitu. Mitu tak żywotnego, tak silnie zakorzenionego w wierzeniach, że przez długie tysiąclecia i następujące po sobie religie oraz kultury przenoszono

<sup>96</sup> Andrew Collins w książce *Pochodzenie bogów*, komputerowo nałożył rysunek kobiety-byka z jaskini Chauveta na fotografię Drogi Mlecznej. Zbieżność obu tych obrazów okazała się zdumiewająca. Dwa pasma gwiazd ciągnące się wzdłuż Wielkiej Szczeliny naszej galaktyki niemal idealnie pokrywają się z nogami kobieco-byczej hybrydy. Jej „vulva” znajduje się w okolicy gwiazdy Deneb, stanowiącej początek tego rozwidlenia. Gwiazdozbiory Łabędzia i Cefeusza składają się na tors i byczą głowę tej antropomorficznej istoty. Interpretacja Collinsa dotycząca źródeł inspiracji tego paleolitycznego dzieła wydaje się bardzo przekonująca również w świetle późniejszych podobnych wyobrażeń. Przykładowo w Egipcie wierzono, że bogini Hathor ucieleśniająca sobą Drogę Mleczną każdego ranka rodziła słońce pod postacią młodego byka wyłaniającego się z Wielkiej Szczeliny, czyli jej waginy. Droga Mleczna inspirowała też do innych skojarzeń. Majowie z Ameryki Południowej widzieli w niej długą, rozwartą paszczę kosmicznego kajmana.

w nieustannie modyfikowanych wersjach. Dodam, że analogiczną scenę transformacji kobiety w żubra odnajdziemy na jednym z paneli groty Pech Merle w Cabrerets, we francuskim departamencie Lot – wspaniałej paleolitycznej „katedrze” sprzed około 20–14 tysięcy lat p.n.e.

Mistrzowsko ukazane w ruchu (o czym już pisałem w rozdziale VII), sylwetki koni, jak również ów bardzo sugestywny „panel lwów”, stworzone w jaskini Chauveta, uprawniają do przypuszczeń, że już na wczesnym etapie kultury oryniackiej panteon bogów oraz mitów z nimi związanych mógł być jasno określony i szeroki. Umacnia mnie w tym przekonaniu jedna z najstarszych zoomorficznych (datowana na około 30 tysięcy lat p.n.e.), stosunkowo niewielka (28 centymetrów wysokości) statuetka człowieka z głową lwa, wyrzeźbiona z kła mamuta, a odnaleziona tuż przed drugą wojną światową w jaskini Hohlenstein-Stadel w Lonetal niedaleko Asselfingen, w Niemczech. I znów, co stało się już normą, dzieło sztuki klasy najwyższej wyłoniło się z mgły prapoczątków bez faz wstępnych i pośrednich. W uzupełnieniu dodam, że na lewym ramieniu tej frapującej postaci widnieje siedem równoległych, poziomych karbów, z pewnością coś znaczących.

Badaczka kultur paleolitu, Annette Laming-Emperaire bardzo trafnie stwierdziła: *Przez długi ciąg pokoleń sztuka ta zachowała nadzwyczajną spójność i ciągłość. Technika zmieniała się i rozwijała, style, jak w każdej formie sztuki, ulegały ewolucji w kolejnych epokach. Ta różnorodność nie przysłania jednak podstawowej jedności. W przypadku sztuki paleolitycznej znajdujemy się wobec spójnej i ciągłej tradycji artystycznej, co jest dowodem określonej organizacji społecznej, stałych wierzeń, rzeczywistej kultury*<sup>97</sup>. Wszak także tysiące lat później szamani-mistycy-artyści górnego paleolitu i kultur wiele późniejszych kształt oraz sens, istotę życia odnajdowali w świecie zwierzęcym. Świadczą o tym chociażby ryty z okresu perigordzkiego i magdaleńskiego, wykonane na gliniastych ścianach jaskini Les Trois Frères przedstawiające (według H. Breuil’a, ich niestrudzonego badacza) 81 zwierząt. Przeważają bizona, konie, bydło i jelenie, ale są tu również lwy i niedźwiedzie oraz 6 bardzo intrygujących, antropomorficznych istot, w tym znany z wielu opracowań, często reprodukowany wizerunek terantropicznego bóstwa z porożem jelenia, ogonem konia, nogami człowieka, przednimi łapami jakiegoś drapieżnego zwierza (lwa?), brodą sięgającą do piersi i hipnotycznymi ślepiami puchacza lub rysia – rysunek ilustrujący szamana w rytualnym tańcu albo „Pana zwierząt” – Istotę Najwyższą (jak chce H. Breuil) lub może jakiś mit? Mit o nieustannym kole przemian – przeistaczaniu się,

<sup>97</sup> J. Cepik, *Wspomnienia...*, op. cit., s. 140, 141.

reinkarnacji, nieustannej transformacji dokonującej się w naturze? Taką interpretację wzmacniają inne antropomorficzne wizerunki z tej jaskini: niedźwiedź z głową wilka oraz inny – z ogonem bizona, renifer z rybimi płetwami zamiast racic, kolejny hybrydalny stwór – z korpusem samicy renifera i garbem, brodą oraz łbem bizona, na którego grzbiecie stoi bezręka kobieta wpatrzona lub może zasłuchana w hipnotyzujące dźwięki muzyki wytwarzane na łuku muzycznym lub piszczałce trzymanej przez tańczącą, człekopodobną postać (przedstawioną w pobliżu) – z sierścią, racicami, łbem i ogonem bizona. Czyżby była to muzyka i postać samego Stwórcy?

Ptaki w paleolitycznym panteonie też z pewnością odgrywały ważną rolę. Świadczy o tym chociażby dramatyczna scena z „Szybu martwego człowieka” w jaskini Lascaux, gdzie, jak to opisał R. Drossler, *Bizon, któremu z brzucha zwisają wnętrzności, stoi z pochylonymi rogami przed dziwną człekokształtną postacią leżącą sztywno jak kłoda. Postać wyobrażono w sposób przypominający dziecięce rysunki. Ze szczegółów odtworzono tylko wywiedziony fallus i czteropalczaste dłonie. Mężczyzna ma ptasią głowę, co sprawia groteskowe wrażenie. U jego nog leży hakowaty pręt, zaś obok niego na słupie siedzi ptak. Na lewo od mężczyzny oddala się truchtem nosorożec, pod którego ogonem umieszczono rzędem sześć punktów*<sup>98</sup>. Czyli znów symbolika umownych znaków uzupełnia figuralną scenę, co zdaje się ogólnie przyjętą normą. Sylwetki ptaków, obok innych zwierząt, umieszczano także na głowicach kultowych miotaczy, jak tego z Mas d’Azil – z rzeźbą cietrzewia. Z kolei węże oraz ryby są częstym motywem ukazywanym na tzw. „berłach” i innych obiektach sztuki mobilnej, ale nie tylko, bo w schronisku Abri du Poisson (niedaleko Marquay, departament Dordogne) znajduje się relief z okresu perigordzkiego przedstawiający wielkiego łososa (110 cm długości i 28 cm szerokości maksymalnej), na którego brzuchu (leży na wznak), za skrzelami, wryto szereg pięciu wgłębień, a w dolnej jego części widnieje sześć kresek i nad nim – siedem głębokich rytów umieszczonych w rzędzie. Zatem i tu mamy jakąś zakodowaną (najpewniej liczbową) informację. Czy ten paleolityczny łosoś „królewski” mógł być pierwszą przymiarką do „uczłowieczenia” ryb, a właściwie nadania im znamion boskości takiej, jaką cieszyły się greckie Syreny (najpierw ptasio-skrzydlate, później rybokształtne), albo takiej, którą w przedsumeryjskiej kulturze al-Ubajd, lub jeszcze starszej, chalcolitycznej kulturze Halaf, przypisywano założycielom mezopotamskich miast – mitycznym istotom przybyłym z morza wraz Oannesem (tudzież

<sup>98</sup> R. Drossler, *Wenus...*, op. cit., s. 190, 191.

Uanem)<sup>99</sup>, którego chaldejski skryba Berossos, scharakteryzował tak: *Cała jego postać podobna była do ciała ryby; pod głową ryby miał on drugą głowę, a oprócz stóp przypominających ludzkie nosił rybi ogon. Przemawiał ludzkim głosem, który był zrozumiały. Wizerunek Oannes zachował się po dziś dzień*. I faktycznie – uwieczniony został na asyryjskich stelach przedstawiających Anunnakich obok kilku innych ich wcieleń: skrzydlatych byków z ludzkimi głowami, terantropów ze skrzydłami i głowami orłów, albo skrzydlatych (lub nie) patriarchów z falistymi brodami sięgającymi piersi. *Po zachodzie słońca* (według Berossosa) *Oannes miał zwyczaj zanurzać się w morskie fale i spędzać w głębinach całą noc, ponieważ był istotą ziemnowodną*<sup>100</sup>. Szczegóły jego wyglądu i zwyczajów, a również innych mitycznych postaci błędą jednak, jak sądzę, wobec oczywistego faktu popartego licznymi artefaktami, że nie tylko abstrakcyjne myślenie, nieuchronnie prowadzące do wynalazku pisma, ale także ów zjawiskowo symboliczny, głęboko mistyczny i filozoficzny zarazem model wyobrażeń dotyczących boskości i pojmowania Uniwersum, z całą pewnością wyrósł z gleby paleolitycznej mitologii zwierzęcej. Mitologii, która dość wcześnie, bo już u początku górnego paleolitu, a więc ponad 30 tysięcy lat temu, połączyła ów zoomorfizm i antropomorfizm z kultem *Magna Mater*.

## BYKI I KROWY

Z kultem bogini powiązanych jest wiele zjawisk: woda, cykl przyrody, ogień, też rzeczy: ochra, magiczne przedmioty, narzędzia, inne atrybuty, i wreszcie te ze zwierząt, które kojarzą się z rozrodczością, witalnością, mądrością, cyklem narodzin i śmierci, przeistaczaniem się, odradzaniem,

<sup>99</sup> Według dawnych mezopotamskich mitów, Oannes przewodził grupie siedmiu Apkallu (zwracam uwagę na ciekawą zbieżność z siedmioma karbami widniejącymi nad cieleśkiem łososia z jaskini Abri du Poisson) – mędrców, tajemniczych cywilizatorów, którzy żyli jeszcze przed potopem i posiadali rozległą wiedzę na temat uprawy roślin, budowy miast i świątyń, sztuki, medycyny, etc., i tę wiedzę miejscowej ludności przekazali. Jak się przekonamy w następnych rozdziałach, o tego rodzaju grupach półboskich przybyszów mówią nie tylko sumeryjskie mity (tu występują pod postacią Anunnakich), ale też egipskie i o wiele młodsze – południowo amerykańskie. O takich grupach traktują też legendy innych ludów. Zadziwiające pokrewieństwo mitycznych opowieści dotyczących źródeł narodzin cywilizacji w różnych rejonach świata zastanawia, a nawet wiedzie do wielu mniej czy bardziej sensownych spekulacji. Z pewnością Apkallu i ich przywódca Oannes (według innych tradycji – Uan) są jakimś prototypem tego rodzaju półboskich, inteligentnych, często antropomorficznych (z racji rytualnych przebrań bądź wyglądu) zmitologizowanych postaci.

<sup>100</sup> Graham Hancock, *Ślady palców bogów*, Amber, Warszawa 1999, s. 73.

przemianą (także tą duchową): węże zrzucające skórę, jako symboliczny wyraz transformacji, które w mitach wielu kultur znosiły kosmiczne jajo pierwotnych narodzin; ptaki, zwłaszcza sępy pomagające w pośmiertnej wędrówce, bystrookie sokoły, orły, sowy przenikające ciemność i mroki niewiedzy, wreszcie motyle i pszczoły.

Leroy-Gourhan w swojej „seksualnej” – płciowej klasyfikacji symboli paleolitu przypisał byki do kategorii znaków żeńskich, natomiast konie w jego ocenie uosabiały pierwiastek męski. Wiemy jednak, że już kilka tysięcy lat przed końcem górnego paleolitu, w okresie rozkwitu kultury magdaleńskiej, obok pędzonych w galopie przez bezkresne równiny stad koni i innych zwierząt kopytnych, w tym majestatycznych bizonów i turów na ścianach takich kultowych jaskiń jak: Lascaux, Font-de-Gaume, Pech Merle albo Altamira, zagościły stada krów umieszczone na odrębnych panelach. Czy były to zwiastuny późniejszej wielowiekowej rywalizacji płci, zmagających dominującego wtedy matriarchatu z nieuchronnie rodzącym się patriarchatem – wojny o prymat nad światem i nad naszymi o nim wyobrażeniami? Batalii, która przetoczyła się przez wiele kultur, i w wyniku której *Magna Mater*, Wielka Gospodyni Wszechświata-Zwierza, Eurynome, Szafarka losów sromotnie uległa stając się zwykłą, potulną, cielną krową. Ustąpiła pola gromowiadnym, bezwzględny i mściwym, patriarchalnym bogom wojny – srogim bykom.

Reminiscencje tego męsko-damskiego ostrego starcia egiptolog W. Erichsen odnalazł w bardzo starym teologiczno-filozoficznym traktacie powstałym w dolinie Nilu. *W tekście tym* (cytuję za J. Cepikiem) *nieznany nam autor-uczonek opowiada, jak to wielki bóg Ptah w Hermopolis dokonał przemiany, bardzo niezrozumiałej przemiany ogdoady (ośmiu) najstarszych bogów, którzy tam stali się bykami i krowami „zgodnie ze swoją naturą”* (najpewniej owi najstarsi bogowie byli zarówno kobietami jak i mężczyznami). *Następnie Thot przemienił ich swoją mocą, w jednego byka i jedną krowę* (czyli uporządkował i scalił ten pierwotny areopag). *„Wszystkie samce stały się czarnym bykiem, a wszystkie samice – czarną krową”* (oto kulisy wszelkich dziejowych manipulacji). *Otrzymały imiona Amon i Amonet. A ci splodzili lotos, z którego wyszedł wielki bóg Re, jak mówią inne teksty. Do ogdoady (ośmiu) najstarszych bóstw przemienionych potem w czarnego byka i czarną krowę należeli bogowie-elementy bytu, tacy jak Praocean, Tajemnica, Nieskończony Mrok i Nieskończona Wieczność<sup>101</sup>*, co w mojej ocenie ewidentnie wygląda (z racji głębokiej, natchnionej mistyki) na bardzo stare, prehistoryczne wierzenia. Umacnia mnie w tym przeświadczeniu znany badacz, prof. Drioton, który zwrócił uwagę na fakt, że wszystkich bogów

<sup>101</sup> J. Cepik, *Wspomnienia...*, op. cit., s. 211, 212.

Egiptu okresu faraonów przedstawiano (zależnie od potrzeb i kontekstu) w ludzki, zwierzęcy lub kombinowany – antroppo-zoomorficzny sposób. Święte byki Apis i Mnewis były personifikacjami bogów Ptaha i Re-Atuma. Natomiast boginię Hathor uosabiała gwieździsta krowa unosząca się ponad Ziemią, która wraz z boginią Nut symbolizowała rozgwieżdżone Niebo. Zatem były one nie kim innym, tylko egipskimi wcieleniami *Magna Mater*, nie całkiem jeszcze zdetronizowanymi. Kłopot w tym, na co zwrócił uwagę J. Cepik, że: *Jeśli ogdoada bogów istniała przed Thotem, którego miał stworzyć prabóg Szu, to dlaczego potem Thot przemienia ogdoadę w czarnego byka i czarną krowę?*<sup>102</sup>, przecież to niewykonalne! No, ale to już raczej nie nasza logiczna i teologiczna zagwozdzka. Dodam jeszcze, że jeden z bogów tej ogdoady – Praocean o imieniu Nu lub Hah, nazywany też Bogiem Milionów Lat, w przedstawieniach ikonograficznych był przeważnie ukazywany jako mężczyzna wynurzający się z praoceanu, z łodzią lub dyskiem słonecznym, albo jako starzec siedzący na piętach, z obwisłymi piersiami i brzuchem. Starzec trzymający w dłoni gałąź palmową z licznymi nacięciami, każde z nich oznaczało jakiś okres (rok, tysiąc lub nawet milion lat?), a łącznie symbolizują one wieczność, nieskończoność, czyli niewyobrażalnie wiele lat. Ta karbowana gałąź palmowa Praoceanu-Nu mnie przywołuje na myśl owe (również metodycznie pocięte karbami) paleolityczne kościane „berła” i niby-figurki stylizowane na laski lub fallusy, znajdowane na stanowiskach archeologicznych La Madeleine, Brassempouy, Bruniquel, Laugerie Basie, Petrkovicach, w Dolnych Vestonicach – i Mezinie także.

O ile wizerunki koni z pewnością można uznać za symbole męskie, tu zgadzam się z Gourhanem (przecież w żadnej kulturze, w tym także greckiej, nie zobrazowano żeńskiego Centaura), to wizerunki byków, te dosłowne oraz zoomorficzne, zawsze, jak sądzę, były personifikacjami najwyższego boga – Wszechświata-Zwierza, partnera *Magna Mater*. Zjednoczenie obu tych bóstw i pierwiastków – symbiotyczne zespolenie ich w miłosnym uścisku symbolizowało Jednię – Uniwersum z którego wyrosło Dzieło Stworzenia. I tak chyba ten symbol i mit trzeba odczytywać.

## BYKI I RÓG OBFITOŚCI

Bogowie istnieją – wyłaniają się z krowy, która jest Wszechświatem, powiada „Atharwaweda”. Tej samej gwieździstej krowy, którą uosabiała w Egipcie faraonów boginię Hathor i Nut, gdzie zapłodnił je zapewne byk

<sup>102</sup> Ibidem, s. 212.

słońca Atum albo byk wojny Montu. W Indiach funkcję kosmicznej krowy pełniła Priszni, a bogiem-bykiem był Djaus, później również Indra: buhaj druzgocący wrogów, odważny, łamiący wszelkie moce, mąż bez litości, podszczuwacz narodów, prędko do mordu, straszliwy, nieulekły, mądry, przebiegły, pięknowargi... to tylko niektóre z długiej listy epitetów mu przydawanych, również: piorunodłonny, piorunoręki, któremu podlegają wszystkie krowy (kobiety), a także konie (mężczyźni), gromady (narody) oraz wody (morza i oceany).

Władcą piorunów był też jurny byk-Zeus, zarówno ten peloponeski jak i kreteński, również rzymski Iu-piter czyli Jupiter, germański Ziu-Tyr, słowiański Ziuarasis (Diw, Swarog-Swarożyc), semicki byk-Baal, mezopotamscy Bel i Hadad oraz wszechpotężny sumeryjski Enlil, znany pod wieloma postaciami, którego jednym z imion było Bóg Rogu. I trudno się dziwić, przecież od prapoczątków (także i dzisiaj) prawdziwą władzę nad światem dzierżył ten, kto rozporządzał dobrami, czyli miał w swoich rękach Róg Obfitości. Zapewne z tej to właśnie przyczyny mity o Rogu Obfitości splatają się powikłaną siecią z innymi legendarnymi opowieściami o zmaganiach młodych byków-bogów ze starymi bogami-bykami, walecznych herosów z potężnymi królami, synów z ojcami. Jak trudne, złożone i kłopotliwe do zrelacjonowania i rozwikłania są to kwestie, możemy się przekonać na przykładzie interpretacji piątej pracy Heraklesa i losów boga Dionizosa (okresowo też byka), których podjął się w „Mitach greckich” niestrudzony ich badacz, Robert Graves:

*Piąta praca (Heraklesa) dotycząca właściwie jedynie orki, siewu i zbierania plonu, została w rzeczywistości pomieszana z dwiema innymi: dziesiątą, a mianowicie kradzieżą stada Geriona, i siódmą, porwaniem białego Byka Kreteńskiego Posejdona, który jednak nie został użyty do orki. W kulcie Posejdona, który bywa również przedstawiany jako ojciec Augiasza, młodzi mężczyźni walczą z bykami, walkę Heraklesa zaś z Faetonem, podobnie jak Tezeusza z Minotaurem, najłatwiej wytłumaczyć jako obrzęd koronacyjny; przez magiczny kontakt z rogiem byka król nabywał mocy zapładniania roli i uzyskiwał tytuł Potidanta, czyli Posejdona, nadawany oblubieńcowi bogini księżycy. W podobny sposób walczył w zawodach miłosnych Herakles z rzeką Acheloos, przedstawioną jako mężczyzna z głową byka, i odłamał jego Róg Obfitości<sup>103</sup>.*

A teraz o Dionizosie:

<sup>103</sup> R. Graves, *Mitologia...*, op. cit., s. 437. Acheloos to jedno z najstarszych greckich bóstw rzecznych, w mitach przedstawiane jako syn Okeanosa i Tetydy albo też Heliosa i Gai. Ta pierwotność pozwala mniemać, iż „róg” zawierał jakiś rodzaj „pra-obfitości”, odnoszący się do dziejów zapomnianych albo wypartych w toku narastającej rywalizacji płci.

Dionizos (cyklicznie) objawiał się jako lew, byk i wąż, ponieważ były to emblematy kalendarzowe roku trójdzielnego. Przychodził na świat w zimie jako wąż (stąd jego węzowa korona); na wiosnę zostawał lwem, a podczas letniego przesilenia zabijany bywał i zjadany jako byk, kozioł lub jeleń. Takie właśnie postacie przybierał, gdy ścigali go tytani (...). Misteria Dionizosa podobne były do misteriów Ozyrysa, stąd jego podróż do Egiptu<sup>104</sup>.

By nieco lepiej zrozumieć te dziwne misteria i cykliczne przemiany mitologicznych bogów w przypisane różnym porom roku zwierzęta, także rolę, jaką w tym pełniła bogini, pozwolę sobie przytoczyć jeszcze jeden, najdłuższy i najbardziej zawikłany komentarz Roberta Gravesa:

Obrzędowa walka świętego króla z dzikimi zwierzętami stanowiła stałą część ceremoniału koronacji w Grecji, Azji Mniejszej, Babilonii i Syrii, przy czym każda bestia przedstawiała jedną porę roku. Ich liczba zmieniała się w zależności od kalendarza: kiedy obejmował on trzy pory roku, układ był taki jak w postaci Chimajry, a mianowicie lew, koza i wąż – stąd pogląd, że lew z Kitajronu został spłodzony przez Chimajrę z Psią Gwiazdą Ortrosem – albo byk, lew i wąż, sezonowe wcielenia Dionizosa – jak twierdził Eurypides w „Bachantkach”, lub też, jak w przypadku głów Hekate – lew, koń, i pies. Przy czterech porach roku występowały takie kombinacje, jak byk, baran, lew i wąż, podobnie jak głowy Feniksa opisane we „Fragmencie orfickim”, lub byk, lew, orzeł i serafin, jak w wizji Ezechiela (Księga Ezechiela, I), lub prościej – Byk, Lew, Skorpion i Wąż, cztery znaki Zodiaku przypadające na przesilenia i zrównania. Jak wynika z pierwszej, czwartej, siódmej i jedenastej pracy (Heraklesa), ta ostatnia czwórka składała się ze zwierząt, z którymi walczył Herakles, mimo iż skorpion został zastąpiony przez dzika. Skorpion przetrwał jedynie w opowieści o Orionie, innym Heraklesie, któremu obiecano rękę księżniczki, jeśli pokona pewne dzikie zwierzęta. Sytuacja ta powtarza się w historii Kyknosa i Fyliosa – gdzie nieoczekiwanie sęp zastąpił węża – chociaż Owidiusz i Antoninus Liberalis dodali akcenty homoseksualne. Teoretycznie król ujarzmiając te zwierzęta otrzymywał władzę nad porami roku, którym one patronowały. W Tebach, mieście ojczystym Heraklesa, bogini Sfinks panowała w roku składającym się z dwóch pór roku; była skrzydlatą lwicą z węzowym ogonem, dlatego też wkładała na siebie skórę i maskę lwa zamiast byka, jak to było w przypadku Minosa. Lew występował wraz z innymi zwierzętami kalendarzowymi w arce noworocznej przedstawionej na obrazie, od którego wywodzi się opowieść o arce Noego i Potopie, oraz o Dionizosie i piratach; stąd wersja, że go stworzyła Selene („księżyc”) <sup>105</sup>.

<sup>104</sup> Ibidem, s. 108, 109.

<sup>105</sup> Ibidem, s. 426, 427.

Spośród wszystkich mitów mówiących o bogach-bykach, konflikcie pokoleń, władzy i jej przejmowaniu oraz wchodzeniu w posiadanie jej symbolu – Rogu Obfitości, najbardziej znany jest ten o greckim Zeusie.

Zeus był szóstym dzieckiem boga-byka Kronosa i jego siostry-żony Rei. Kronos połknął swoje potomstwo (najpierw Hestię, potem Demeter, Herę, Hadesa i byka-Posejdona) ponieważ jego rodzice, pierwsi bogowie – Matka Ziemia i Uranos – przepowiedzieli mu, że jedno z dzieci pozbawi go tronu. Nie podobało się to Rei, więc swojego trzeciego syna – Zeusa potajemnie: *urodziła w głęboką noc na górze Lykajon w Arkadii, gdzie żadne stworzenie nie rzuca cienia, wykapała go w rzece Neidzie i oddała Matce Ziemi (co wygląda na typową zмовę kobiet). Ta zabrała go do Lyktos na Krecie i ukryła w grocie Dikte na Górze Ajgejskiej („koziej”). Matka Ziemia pozostawiła go tu pod opieką nimfy Adrastei i jej siostry Io; obie były córkami Melisseusa, który spłodził je z nimfą-kozą Amalteą. Zeus żywił się miodem i razem ze swoim bratem mlecznym, kozłem Panem, pił mleko Amaltei (stąd pewnie dobrostan oznacza życie „miodem i mlekiem płynące”). Zeus wspominał z wdzięcznością dobroć tych trzech nimf i gdy został władcą wszechświata (bo, jak wiadomo, przy pomocy swoich połkniętych braci i uwolnionych z Tartaru cyklopów, pokonał Kronosa), umieścił wizerunek Amaltei między gwiazdami jako Koziorożca. Pożyczył także jeden z jej rogów, kształtem przypominający róg krowy, i podarował go córom Melisseusa; róg stał się słynną „Cornucopia” – Rogiem Obfitości, napelniającym się zawsze wszelkim jedzeniem i napojami, jakich tylko człowiek zapagnie<sup>106</sup>.*

Mnie w tym bodaj najbardziej znanym z mitów greckich szczególnie zastanawiają owe trzy nimfy. Wszak Adrastea oznacza „nieuniknioną”, symbolizuje więc jesień życia, starość, przemijanie; Io to owocowanie, wiek dojrzały, pełnia rozkwitu, radosny i orgiastyczny czas żniw (w Argos przedstawiano ją jako białą krowę w okresie rui), natomiast ich matka – Amalteia, co tłumaczy się jako „młoda”, jest symbolem dziewictwa, czasu narodzin, wzrostu, stawania się, budzenia się do życia, czyli wiosny z jej nadziejami (co zaskakuje, bo to przecież tych dwóch pierwszych nimf rodzicielka). Wspólnie stanowią księżycową triadę składającą się na postać Selene – *Magna Mater*, Bogini Wszechistnienia. Ciekawe jest i to, że analogiczne triady (w kulturach patriarchalnych przemianowane na wiedźmy lub czarownice), których rodowód bierze się z cykli natury, wzrastania-narodzin, kwitnienia-owocowania i przekwitania-umierania, w rozmaitych mitologiach występują niesłychanie często, na przykład pod postacią Mojr – bogiń losu, według Hezjoda trzech córek Zeusa i Temidy, noszących imiona: Kłoto, „Przędka” nici żywota, Lachesis, „Udzielająca”, która nici strzeże i Atropos,

<sup>106</sup> Ibidem, s. 48.

„Nieodwracalna”, nić losu przecinająca. Ich nordyckim odpowiednikiem są trzy Norny: Werdandi („Stawanie się”), Skuld („Obowiązek”) oraz Urd („Przeznaczenie”). W okresie późniejszym mogły owe triady uosabiać też inne pojęcia, zjawiska i dziedziny, tak jak czyniły to Charyty, też córki Zeusa, ale urodzone przez jego żonę Herę: Aglaja („Promienna”), Eufrozyna („Rozumna”) i Taleja („Kwitnąca”), czyli boginie: wdzięku, piękna i radości (przedstawiane w sztuce również jako trzy Gracje). Dla odmiany Gorgony: Steno, Euriale i najbardziej znana Meduza przerażają, podobnie jak Aello, Ocypete i Kalano – krwiożercze Harpie, do których dołączyła później Podarge (najpewniej z powodu wprowadzenia czwartej pory roku do kalendarza). Tego rodzaju triad, później też kwartetów w mitologiach różnych ludów jest więcej. Daje to, jak sądzę, mocne podstawy do twierdzenia, iż cały system sensów, pojęć i znaczeń wywiedziono niegdyś z cyklicznych przeistoczeń Matki Natury – Selene... Po Trzykróć Wielkiej.

Bogini Sfinks – lwica skrzydlata z węzowym ogonem, panowała nie tylko w Tebach, czego dowodem jest to, że wykonana z kości słoniowej, ażurowa jej postać z koroną (atefem) na głowie, naszyjnikiem (usehem) zdobionym pękami papirusu i lotosu stanowiła w VIII wieku p.n.e. detal dekoracji oparcia monarszego tronu w pałacu-twierdzy Salmanasara w mezopotamskim Nimrud. Warto też wiedzieć, że o ile ciało sfinksa (ze skrzydłami lub bez nich) zawsze było lwie, a więc uosabiało drugie najważniejsze w paleolitycznym panteonie zwierzę (o czym zaświadcza choćby figurka człowieka-lwa z Hohlenstein-Stadel), to jego głowa – jej ikonografia – zależna była od oblicza bóstwa panującego w danym miejscu i czasie. Na przykład w pochodzącym z XIII wieku p.n.e. egipskim Karnaku do Świątyni Amona-Ra wiedzie długa aleja sfinksów z głowami baranów.

Mity na grecki Peloponez przedostały się z minojskiej Krety, gdzie zaszczerpiły je uchodzące przed indoeuropejską nawałą koczownicze plemiona południowo-wschodniej Europy, które, tak jak ludy kultury Vinca, były spadkobiercami paleolitycznych plemion. Wychodząc z tego założenia, gotów jestem zaryzykować tezę, że już w epoce kamiennej, wciąż, jak sądzę, bardzo niedoszacowanej, jeśli chodzi o poziom jej kulturowego rozwoju, rozmaite zwierzęta też mogły patronować cyklom narodzin, wzrostu, rozwoju, przekwitania oraz śmierci, obserwowanym w naturze. Zakładam również, że nie tylko kultowe obrzędy, ale i misteria oraz ceremonie pogrzebowe i inne, na przykład związane z przekazywaniem władzy, świąteczne festyny przypisane do ważnych dla społeczności wydarzeń, w tym rytmów natury, letnich i zimowych przesileń, również inicjacyjne obrzędy i obyczaje, w których młodzieńcy mogli wykazać się odwagą (tak jak na Krecie przeskakując przez byka – wiadomo, co sobą reprezentującego, lub w Hiszpanii – zabijając go w rytualnej, honorowej walce), otóż tego

typu zwyczaj, w mojej ocenie, również są spuścizną prehistorii. Wszak, nie kiedy indziej, ale w paleolicie został stworzony od podstaw wyrazisty, filozoficzno-mistyczny, ideowy fundament kulturowy, na którym opierał się przez długie tysiąclecia szkielet zoomorficznych i antropomorficznych wierzeń i symbolicznych znaczeń z bykiem, lwem, koniem oraz oczywiście z Boginią-Matką w samym centrum. Boginią z orszakiem przypisanych do niej zwierząt: wężem, sępem, orłem, sową i krową, reprezentujących jej cechy i prerogatywy.

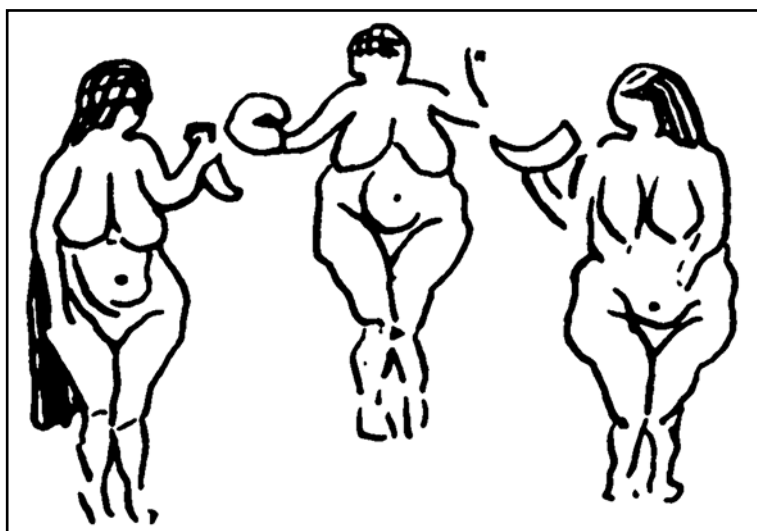
W grocie Laussel – paleolitycznym sanktuarium datowanym na 25–19 tysięcy lat p.n.e. (czyli okres grawecki, a nawet starszy – solutrejski), odkrytej w Marquay w departamencie Dordogne, znajdują się reliefy, które w oczywisty sposób przywodzą na myśl skojarzenia z mitem o Zeusie, jego opiekuńczych Nymfach oraz Rogu Obfitości. Nie twierdzę, że go ilustrują, ale ikonografia w nich zawarta daje wiele do myślenia. Są tu bowiem ukazane trzy postacie nagich kobiet, najpewniej ciężarnych, nie tak statycznych jak klasyczne statuetki Wenus, ale z racji stylistyki bardzo do nich zbliżone, i też pierwotnie pokryte ochrą. Dwie z nich zachowały się tylko w fragmentach i ogólnych zarysach, natomiast trzecia, dobrze znana i często reprodukowana, przetrwała w całkiem niezłym stanie, choć rysy jej twarzy są zatarte. Trzyma w prawej dłoni róg bizona, na którym widnieją trzynaście równoległych nacięć. Te karby, jak się przypuszcza, oznaczają liczbę miesięcy księżycowych oraz cykli płodnych kobiety. Głowę z burzą długich, gęstych, opadających na plecy włosów ma zwróconą w kierunku podniesionego do wysokości ramion rogu, podczas gdy drugą dłonią obejmuje swoje podbrzusze, w symbolicznym zapewne geście. Trzyma ją tak, jak gdyby chciała „zakląć” los i „magicznie” wpłynąć na pomyślny przebieg porodu, w czym, jak się zdaje, ów róg bizona ma jej pomóc. Druga z kobiet, której ryt zachował się w gorszym stanie, też trzyma uniesiony róg (najpewniej tego samego Boga-bizona), i tak jak tamta, w jego kierunku przechyla głowę. Trzecia z postaci, zachowana tylko w fragmencie (możliwe, że centralna figura tej sceny?) trzyma w podniesionej dłoni jakiś przedmiot lub naczynie, jakby je komuś – jakimś uczestnikom ceremonii – pokazywała, a ono zapewne też w tym kultowym rytuale pełniło ważną rolę. Tę symboliczną scenę uzupełnia, zachowana tylko w fragmencie, postać mężczyzny (choć w tej kwestii zdania archeologów są podzielone), z przepaską na biodrach. Tę osobę przedstawiono w ruchu sugerującym rzut oszczepem, a więc polowanie na jakiegoś zwierza – konia, łanię, a może bizona, którego sylwetka, bardzo już przez czas zatarta, widnieje w innym miejscu tego wieloelementowego fryzu. Dodam dla ścisłości, że w tej wykorzystywanej do celów kultowych przez minimum sześć tysięcy lat grocie odnaleziono, według niektórych źródeł, jeszcze jeden ryt kobiety-bogini, ale jego forma

stylistyczna tak bardzo odbiega od pozostałych płaskorzeźb, że można zakładać, iż nie stanowi części tego przedstawienia.

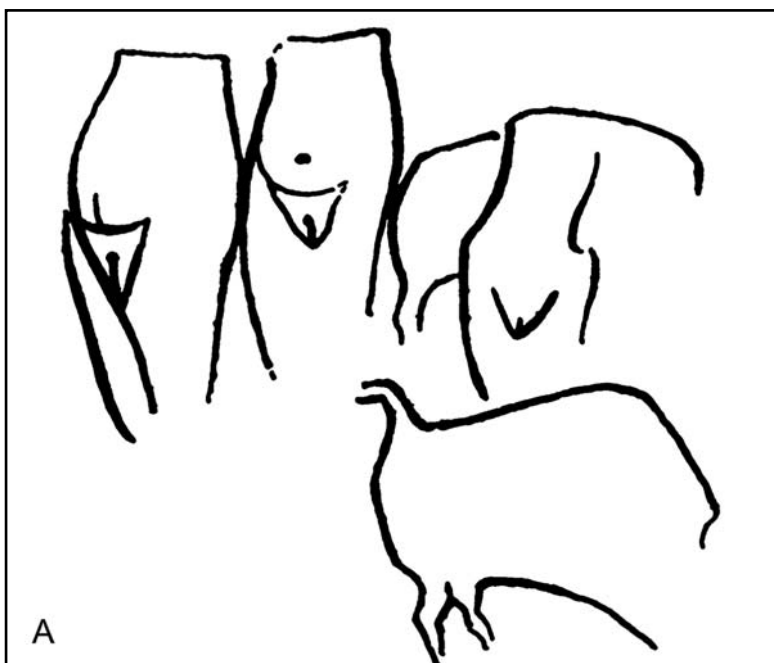
Daleki jestem od twierdzenia, że już 20 tysięcy lat p.n.e. (bo tak datowane są te intrygujące znaleziska) stworzono mit o Rogu Obfitości. Raczej byłbym skłonny do przypuszczeń, że był to Róg Płodności. Nie twierdę też, że Selene – księżycową Boginię, już w górnym paleolicie ukazywano jako triadę opiekuńczych nimf, będących personifikacjami pór roku lub, że mit o jakimś prehistorycznym bizonie-bogu-Zeusie mógł się już wtedy narodzić, jednak przecież zupełnie tego wykluczyć nie można. Zwłaszcza, że (na co zwrócił uwagę Drossler) w magdaleńskim kultowym schronisku Roc-aux-Sorciers, znajdującym się we francuskim departamencie Vienne, w pobliżu wioski Angles-sur-l'Anglin, wśród wielu wspaniałych fryzów z przedstawieniami rozmaitych zwierząt, absolutnych arcydzieł jeśli już mowa o ich sile wyrazu, także unikatowych (wszak w magdaleńskim okresie przeważało malarstwo), odkryto: *trzy wyobrażenia kobiet. Ich ciała są przedstawione od talii do kolan. Znajdują się one bezpośrednio pod wypukłością nawisu. Z tą grupą wiążą się dwa bizona. Pierwszy z nich przysłania nogi jednej z kobiet, drugi zaś jest na wpół ukryty za nią*<sup>107</sup>. Podobnie jak Drossler uważam, że zarówno ilość tych kobiet, jak i powiązanie ich wyobrażeń z sylwetkami bizonów nie są przypadkowe, bo w sztuce paleolitu wszystko – figuralne przedstawienia, towarzyszące im umowne, symboliczne znaki, ich liczby, rozmieszczenie w obrębie sanktuarium – zawsze miało istotne dla kultu znaczenie.

---

<sup>107</sup> R. Drossler, *Wenus...*, op. cit., s. 133.



Relief Venus z rogiem ze schroniska Laussel – groty-sanktuarium w departamencie Dordogne – datowany na około 20 tysięcy lat p.n.e. Poniżej próba rekonstrukcji tej ceremonialnej sceny na podstawie zachowanych fragmentów dokonana przez R. Drosslera.



A – Schemat kompozycji ze schroniska skalnego Roc-aux-Sorces (Vienne, Francja) łączącej wyobrażenia kobiet i bizonów. Środkowy okres kultury magdaleńskiej. B – Postać o ludzkim korpusie (zapewne szamana w przebraniu), z uszami i rogami jelenia oraz końskim ogonem przedstawiona na stropie groty Les Trois-Frères, departament Ariège, Francja (według R. Drosslera).

# XI. Mezolityczne odrodzenie

Era plejstocenu szacowana na okres od 2 580 000 do 11 700 lat temu, zakończyła się prawdziwym Armagedonem rozciągniętym w czasie na pełne trzy tysiące lat. Najpierw, pod sam koniec trwającego 95 tysięcy lat ostatniego zlodowacenia (Wurm), temperatury gwałtownie wzrosły i to ocieplenie, zwane interstadią Allerod, utrzymywało się nieprzerwanie przez dwa tysiąclecia, od lat około 12 700 p.n.e. do 10 700 p.n.e. skutkując gwałtownym topnieniem lodowców pokrywających sporą część północnej półkuli Ziemi, tym samym również znacznym podniesieniem poziomu mórz i oceanów nawet o 100 i więcej metrów! Ten gigantyczny nadmiar wód w oczywisty sposób doprowadził do znacznych zakłóceń w cyrkulacji prądów morskich, mających newralgiczny wpływ na równowagę klimatyczną planety. W trakcie interstadiu granice lądolodu przesunęły się o wiele kilometrów a linia brzegowa kontynentów uległa znacznym przeobrażeniom. Wkrótce po tym długim ociepleniu jakiś inny gwałtowny czynnik spowodował nagłe ochłodzenie klimatu do poziomu temperatur, jakie panowały w najzimniejszych okresach (glacjalach) zlodowacenia Wurm. Ta późnoglacialna faza klimatyczna, zwana młodszym dryasem, trwała nieprzerwanie przez ponad tysiąc lat, od końca ocieplenia Allerod do około roku 9700 p.n.e., a więc daty otwierającej holocen (aluwium), najmłodszą – współczesną geologiczną erę, cechującą się ponownym wzrostem temperatur.

Owe dwa niezmiernie destrukcyjne wahnięcia klimatyczne, będące skutkiem gwałtownych zdarzeń, miały ogromny wpływ na przeobrażenia w ekosystemie planety. Z pewnością wymusiły też radykalne przemiany w sferze organizacji ludzkich społeczeństw. Nie jest przecież zupełnym przypadkiem, że wraz z początkiem interstadiu Allerod z areny naszych dziejów bezpowrotnie, w sposób absolutnie zagadkowy i nagły zniknęły bardzo zaawansowane w rozwoju paleolityczne kultury, które przez bez mała trzydzieści tysięcy lat nieprzerwanie kształtowały system wierzeń i innych wartości na obszarze od północnej Hiszpanii, przez południową Francję, Niemcy, Morawy, zachodnią Ukrainę aż po daleką Syberię. Najbardziej zdumiewające, całkowicie nielogiczne jest to, że dokładnie w tym czasie – trzynastym tysiącleciu p.n.e. – przestała istnieć (zamiast dyna-

micznie się rozwijać i rozprzestrzeniać po świecie) kultura magdaleńska, która stworzyła takie jaskiniowe katedry jak: Font-de-Gaume, Lascaux lub Altamira! Nie jest również, jak przypuszczam, jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności fakt, iż pierwsze, i to od samego początku wysoko rozwinięte kultury mezolityczne (Jomon w Japonii oraz megalityzm na terenie obecnej Anatolii) pojawiły się na arenie dziejów w ogromnym oddaleniu na południe i wschód od paleolitycznych centrów kulturowych wraz z początkiem późnoglacjalnej fazy klimatycznej, czyli w okolicy roku 10 900 p.n.e.

To, że na początku młodszego dryasu doszło do masowej migracji ludzkich społeczeństw w kierunku południowym, południowo-wschodnim i wschodnim, aż na same krańce Europy i Azji, dziś już nie powinno budzić żadnych wątpliwości, choćby w świetle archeologicznych badań Mary Sategast, która w książce „Plato Prehistorian” (Platon prehistoryk) dogłębnie prześledziła drogę przemieszczania się charakterystycznych, trzoneczkowatych ostrzy wykonywanych techniką naciskową, używanych głównie jako groty włóčni i strzał, najpierw przez Solutrejczyków z północnej Hiszpanii i Portugalii, również z południowej Francji i Niemiec, później przez plemiona łowców reniferów z obszarów rozciągających się od Polski i Czech aż po Białoruś, Łotwę, Litwę, Estonię, Mołdawię oraz Ukrainę, określanych wspólnym mianem Świderczyków (od stanowiska archeologicznego w Świdrze pod Warszawą, w Polsce). Otóż ten rodzaj łatwo rozpoznawalnych, charakterystycznych dla tych ludów ostrzy, na początku młodszego dryasu pojawił się niezmiernie daleko poza rejonem występowania tych kultur: na głębokim południu Europy, na Krymie oraz na Bliskim Wschodzie.

Jak wiemy z podręczników, mezolit (epipaleolit), to czas pośredni między późnym paleolitem, szacowanym na około 14–8 tysięcy lat p.n.e., będącym ostatnim stadium górnego paleolitu, i neolitem. W tym okresie dokonało się przejście od zbieracko-łowieckiego, wędrownego trybu życia do osiadłej, rolniczo-hodowlanej gospodarki wytwarzającej, oraz do związanej z nią postępującej centralizacji i hierarchizacji społeczeństw. Także przejście od matriarchatu do patriarchatu. Datowanie kultur tego okresu nie może być zbyt precyzyjne, ponieważ w Japonii i na Bliskim Wschodzie mezolit trwał mniej więcej od 11 000 do 7000 lat p.n.e., a na obszarze tzw. Niżu Środkowoeuropejskiego, a także w innych rejonach południowo-wschodniej Europy i w Indiach od około 8000 do 4800 lat p.n.e. W sferze kulturowej epipaleolit jest, jak sądzę, czasem nowego początku – odrodzenia, przeorganizowywania się ludzi, kultur, wierzeń i idei po całej serii katastrofalnych zjawisk klimatycznych, jakie zamknęły plejstocen. O tego typu zdarzeniach, wciąż w historii się powtarzających: narodzinach, miejscach początków (zwykle związanych z przybyciem w jakieś rejony grup boskich albo półboskich, tajemniczych cywilizatorów – imigrantów) dowiadujemy się z wielu

mitologicznych przekazów. Do tego intrygującego wątku będę jeszcze wielokrotnie wracać w następnych rozdziałach, natomiast teraz, by to zagadnienie wstępnie zobrazować, pozwolę sobie na przytoczenie zaledwie kilku przykładów: Na Wzgórzu Świątynnym w Jerozolimie, w Kopule Skały znajduje się Szetija, Kamień Podstawy. „Środek Ziemi”, od którego, wedle legendy, stworzenie świata się rozpoczęło. Rigweda (najstarsza święta księga Indii) również głosi, iż Wszechświat powstał „z rdzenia centralnego punktu”. Najstarsze mity Mezopotamii też zapewniają, że ludzkość została stworzona w „Pępku Ziemi”, w *uzu* – ciele, *sar* – połączeniu oraz *ki* – ziemi<sup>108</sup>. Na Bliskim Wschodzie, w świetle niedawnych archeologicznych odkryć, na miano uświęconego omfalosa, za pośrednictwem którego kontaktowano się z bogami, z pewnością zasługuje anatolijskie wzgórze znajdujące się w górnym dorzeczu Tygrysu i Eufratu.

## „WZGÓRZE PĘPKA”

Sztuczne wzniesienie znajdujące się na terenie obecnej południowo-wschodniej Turcji, kurdyjskiej Anatolii, kilkanaście kilometrów od Sanliurfy<sup>109</sup>, przez

<sup>108</sup> Warto zauważyć, że również w późniejszych mitach, na przykład w greckim micie o potopie, arka Deukaliona (tamtejszego Noego) osiadła na górze *Parnas*, *Wysoko nad Delfami*, miejscem uważanym przez całą klasyczną starożytność za „pępek ziemi”. Podobnie jak *Heliopolis* w Egipcie miało to miasto święty *Benben*, kamienny betyl, który spadł z nieba, również w *Delfach* znajdował się betyl uważany za omfalos, „kamień pępka”. Grecka mitologia identyfikowała go z kamieniem, którym został nakarmiony monstrualny bóg czasu *Kronos* – pożerający własne dzieci – zamiast małym *Zeusem*. Kiedy *Zeus* dorósł, zemścił się na *Kronosie* „strącając go z nieba na samo dno wszechświata”, wcześniej zmuszając do zwymiotowania kamienia (G. Hancock, *Magowie Bogów*, s. 380, 381). Według legendy spadł on w samym środku świata, w świętym miejscu w *Delfach*. Podobnie nazwa *Cuzco*, miasta znanego z megalitycznych konstrukcji, położonego w Andach peruwiańskich, oznacza „pępek ziemi”. Także w pobliżu Zatoki *La Perouse*, na Wyspie Wielkanocnej jest kulisty kamień zwany *Te-Pito-Kura* – „złoty kamień pępka”. Legendy głoszą, że w dawnych czasach „wielcy magowie” używali go, by skupić swoją magię – dosłownie magię – dzięki czemu słynne megalityczne posągi *Moai* „szły” z kamieniołomów do miejsc, gdzie miały być ustawione. Hancock też zauważył, że: *Niemal identyczna legenda przetrwała wśród Indian z Boliwii, od niepamiętnych czasów mieszkających w okolicy Tiahuanaco. Według tych legend tajemnicze miasto z niezwykłymi megalitycznymi posągami zostało zbudowane za pomocą magii w ciągu jednej nocy, a kamienie „schodziły same, albo na dźwięk trąbki, z kamieniołomów w górach i zajmowały swoje miejsca”* (G. Hancock, *Magowie Bogów*, s. 381).

<sup>109</sup> Miasta, według legend, wcześniej znanego pod nazwą *Edessa* lub *Orhaya*, założonego ponoć przez proroka *Henocha* tudzież „*Orhaya* syna *Hewyi*”, czyli *Węża*, co jest wyraźną aluzją do tzw. Czuwających z Księgi *Henocha*. Także miejsca rodzin biblijnego *Abrahama*.

Turków nazywane Gobekli Tepe, przez Ormian – Portasar, a po kurdyjsku – Gire Navoke, co tłumaczy się identycznie jako: „Wybrzuszone Wzgórze” albo „Wzgórze Pępka”, po trwającej ponad dziesięć tysięcy lat „ciąży” urodziło jedną z największych archeologicznych zagadek. Oto ukształtowana w pełni, najwyższej klasy kultura pojawiła się znikąd – „spadła z nieba” (jak to i w górnym paleolicie często się zdarzało), bez żadnych faz wstępnych i pośrednich, mniej więcej 10 000 lat p.n.e.<sup>110</sup> Kultura ta i religia pojawiła się... i z wielkich, kilkunastotonowych głazów<sup>111</sup>, formowanych w grube na kilkadziesiąt centymetrów, szerokie na przeszło metr i wysokie nawet na siedem metrów kolumny-filary, kształtem przypominające literę T albo odwrócone L, czy może topór dwustronny, tworzyła nieprzerwanie, przez bez mała półtora tysiąca lat, w tym samym miejscu, blisko siebie, wedle tego samego, od początku przyjętego czy raczej przez kogoś<sup>112</sup> ustalonego wzorca, liczne owalne świątynie – megalityczne konstrukcje obudowane kamiennymi murami.

Od roku 1995 (daty rozpoczęcia prac wykopaliskowych przez ekipę z Niemieckiego Instytutu Archeologicznego Uniwersytetu w Heidelbergu, wspomaganą przez Muzeum Archeologiczne w Sanliurfi), do roku 2014, daty śmierci dr Klausa Schmidta, pierwszego kierownika prowadzonych w Gobekli Tepe badań, odsłonięto tu siedem megalitycznych struktur określanych jako Okręgi A, B, C, D, E i F oraz Budowlę z Lwimi Filarami. Specjalistyczne badania geomagnetyczne przeprowadzone w 2003 roku wykazały, iż jest to zaledwie 1/3 tego, co wciąż jeszcze jest ukryte pod tym tellem. Z pewnością następne sezony prowadzonych tu wykopalisk pogłębią naszą wiedzę na temat tego zdumiewającego miejsca.

W świetle dotychczasowych ustaleń wiemy, iż struktury najbardziej rozbudowane – Okręgi C<sup>113</sup> i D<sup>114</sup> oraz złożony zaledwie z sześciu

<sup>110</sup> Zwróćmy uwagę, iż to datowanie pokrywa się z końcem młodszego dryasu.

<sup>111</sup> Niektóre filary miały wagę dochodzącą do 30 ton, a znaleziony w pobliskim kamieniołomie pęknięty i z tej racji porzucony przez budowniczych monolit, według szacunków archeologów waży 50 ton.

<sup>112</sup> Mam tu na myśli mitycznego Oannesa i grupę siedmiu jego tajemniczych doradców – Apkallu.

<sup>113</sup> Mierzący około 23 na 18 metrów, do którego prowadziły wykute w skale schody, miał podwojony szpaler T-kształtnych figur (wewnętrzny mur z kręgiem podobno został dodany później, a więc jest młodszy od zewnętrznego)) rozmieszczonych w koncentrycznych kręgach oddzielonych od siebie tzw. obejściami, z dwoma większymi filarami ustawionymi na wykutych w skale piedestałach w centralnym miejscu świątyni, do wnętrza której prowadził kilkumetrowy korytarz – dromos, zaczynający się od U-kształtnego portalu, nazwanego przez archeologów Lwią Bramą (z racji dwóch zoomorficznych figur wyrzeźbionych na nim, zwróconych do siebie grzbietami).

<sup>114</sup> Być może nieco młodszy od Okręgu C, najstaranniej ze wszystkich wykonany, też owalny, wielkości około 18 na 14,5 metra, pierwotnie zawierał 12 T-kształtnych filarów

kamiennych filarów Okrąg A<sup>115</sup>, stworzono tu najwcześniej<sup>116</sup>. Zespół Klausa Schmidta ustalił także, że ostatnie obiekty kultu zostały przez budowniczych pod wzgórzem pogrzebane mniej więcej w roku 8000 p.n.e. I, że struktury ze schyłkowego okresu wyraźnie ustępują jakością wykonania pierwotnym konstrukcjom<sup>117</sup>. Nie jest to jednak świadectwem regresu ani upadku stworzonej tu i praktykowanej w następnych tysiącleciach religii, raczej należy sądzić, iż jej kultowe centra przeniesiono do innych ośrodków, na przykład do pobliskiej Novali Cori, osady rozwijającej się w okresie od 8500 do 7600 p.n.e., w obrębie której znaleziono, z wielkim pietyzmem wykonane, dwie analogiczne budowle – starszą owalną oraz młodszą – prostokątną. Ten sam rodzaj filarów odkryto także na archeologicznych stanowiskach w Hamzan Tepe, Sefer Tepe i Tasli Tepe w bliskiej odległości od Sanliurfy i w oddalonym od niej o 64 kilometry na wschód Karahan Tepe, wzniesieniu znajdującym się w górach Tektek, wielkością zbliżonym do wzgórza Gobekli Tepe, do chwili obecnej tylko pobieżnie zbadanym. Znaczny stopień pokrewieństwa do wcześniej wymienionych kultowych struktur wykazują też dwie owalne protoneolityczne budowle pochodzące z 10 tysiąclecia p.n.e., wiekiem zbliżone do najstarszych megalitycznych zabytków Anatolii, odkryte na stanowisku w Qeremez Dere, w Iraku północnym. Znajdują się na południowym wzniesieniu górującym nad rozległym

---

wmurowanych w ściany świątyni (zachowało się 11 z nich) oraz blok kamienny z otworem, zorientowany prostopadle do wnętrza budowli (podobny umieszczono w starszym murze Okręgu C). W centrum znajdują się dwa bliźniacze monolity, każdy o wadze 15 ton i wielkości 5,5 metra, osadzone w gniazdach wyciętych w prostokątnych piedestałach wykutych w skalnym podłożu (podobne jak w Okręgu C).

<sup>115</sup> T-kształtne bloki wbudowane w kamienne mury ze schodkowymi ławami i cienką warstwą gliny pomiędzy nimi osadzono na posadzce z tarasem bezpośrednio na skalnym podłożu. Cztery filary, dwa centralne i dwa zewnętrzne, ustawiono w niewielkiej odległości równolegle do siebie, piąty – południowy umieszczono prostopadle do pozostałych w obrębie muru obwodowego. Poza murem znaleziono też szósty, mniejszy od innych filar (być może służący do prowadzenia astronomicznych obserwacji?). Przez wewnętrzną parę bloków, niczym przez „bramę”, wchodziło się do apsydy zawierającej półokrągłą kamienną ławę przy południowo-zachodnim murze świątyni.

<sup>116</sup> Nie można też wykluczyć, że Okrąg E nazywany też Felsentempel, co po niemiecku oznacza skalną świątynię, pierwotnie złożony zaledwie z dwóch centralnych filarów (po których pozostał ślad jedynie w postaci wykutych w skale płytkich, podłużnych wgłębień – gniazd) również pochodzi z tego samego, najwcześniejszego okresu.

<sup>117</sup> Te najmłodsze składają się z mniejszych – nieprzekraczających 1,5 tony monolitów, wbudowanych w mury mniej starannie ułożone. Kamieniarska obróbka filarów stała się jakościowo gorsza, co może świadczyć o tym, że w końcowej fazie funkcjonowania tego ośrodka kultu jego ranga i znaczenie wyraźnie zmalały. Rozmiar używanych wtedy kamieni daje podstawy do przypuszczeń, że przy ich ustawianiu była zaangażowana znacznie mniejsza liczba ludzi niż działo się to wcześniej.

obszarem pustynnym Dżazirą, oddalonym przeszło 200 kilometrów na południowy wschód od Gobekli Tepe. Obie odnalezione tu budowle sakralne miały gipsowe podłogi z ustawionymi w ich centrach ortostatami (kamiennymi pionowymi płytami), o *szczytach rzeźbionych na kształt ludzkich ramion i rąk*<sup>118</sup>. Późniejsza, wczesnoneolityczna osada znana jako Cayonu Tepesi (położona w podobnej odległości od Gobekli Tepe, tyle że w kierunku północno-wschodnim), znajdująca się na wschód od górnego Eufratu, sześć kilometrów od miasteczka Ergami, też daje wiele do myślenia. Stambulsko-chicagowski zespół archeologów ustalił, że jej rozkwit przypadał na okres od 8630 do około 6820 lat p.n.e. Między innymi znaleziono tu najstarsze świadectwa stosowania miedzi kutej (a nie tylko odlewanej), produkcji tkanin, uprawy roślin takich jak: groch, soczewica i pszenica, a także hodowli udomowionych świń, owiec i kóz. Odkryto tu ślady wielu prostokątnych budowli o charakterystycznej konstrukcji opartej na „planie grilla”<sup>119</sup>. W osadzie znajdowały się obiekty o charakterze świątynnym – budowla nazwana przez badaczy Flagstone Building („Płyta” albo „Bruk”), z podłogą wyłożoną wypolerowanymi, wapiennymi płytami długimi na dwa metry. W jej centrum umieszczono dwa duże kamienne filary, a przy wewnętrznych ścianach ustawiono rzędy ortostatów. Inna budowla kultowa – Terrazzo Building miała gładką posadzkę wykonaną warstwą drobno pokruszonego palonego wapna i ochrą, na czerwono, barwionej gliny. Posadzkę ozdobiło białymi otoczkami ułożonymi tak, by tworzyły piękny linearny deseń. W jej środku również umieszczono dwa kamienne filary, a w wewnętrzne mury wmontowano kilkanaście ortostatów. Właściwie ten sam, niemal identyczny konstrukcyjny schemat budowli świątynnych powtarzał się nieprzerwanie przez kilka tysięcy lat na całym mezolitycznym oraz wczesnoneolitycznym Bliskim Wschodzie – ustawiane w kręgach, później też w prostokątach, szeregi filarów-figur symbolizujących jakieś osoby, skierowanych frontami do wnętrza niczym grupa ludzi lub bogów (w myśl odwróconej maksymy hermetyków: „jako na Ziemi tak i w Niebie”), plemię zgromadzone wokół świętego ogniska, czy raczej wokół *Axis mundi* – „Osi świata” uosabianej przez dwie, zwykle największe, centralne kolumny-figury, które, jak w Okręgach C i D, w Gobekli Tepe, czasem umieszczano, zapewne dla podkreślenia ich rangi lub/i znaczenia, na piedestałach wykutych w litej skale.

<sup>118</sup> A. Collins, *Pochodzenie...*, op. cit., s. 33.

<sup>119</sup> Podłogi domostw wspierały się na niskich kamiennych murach umożliwiających swobodny przepływ powietrza pod nimi.

## „BOSKI” PLAN

Przekaz symboliczny zawarty w tych budowlach poraża filozoficzną czy raczej duchową głębią i zachwyca niezwykłą prostotą wykonania. Wiele też mówi o intencjach tych, którzy tę niemal wiecznotrwałą religijną ideę zainicjowali. Wątpię, by w górnym paleolicie jakakolwiek jaskiniowa „katedra” była tworzona po to, by jednocześnie we wspólnej wierze żyjące osobno, rozproszone w odległości setek kilometrów plemiona. W tamtym czasie wiara, wiedza, kultura, umiejętności i wynalazki technologiczne, przekazywane były przy okazji wymiany handlowej oraz, a może przede wszystkim, za pośrednictwem emisariuszek (wszak to czasy dominacji matriarchatu), światłych „misjonarek”, przybywających do obcych plemion z miejsc nierzadko bardzo odległych<sup>120</sup>. Zatem, opierając się wyłącznie na obecnym stanie wiedzy, gotów jestem zaryzykować tezę, iż w Gobekli Tepe, z końcem młodszego dryasu (czyli około 9600 roku p.n.e.), jakaś tajemnicza grupa mistyków i mędrców – najwcześniejszych „apostołów” – stworzyła bezprecedensową religijną ideę, której podstawowym celem było ideowo-religijne zespolenie rozproszonych po Bliskim Wschodzie koczowniczych plemion zbieraczy-łowców. Integralną częścią tego planu

<sup>120</sup> To oczywiście tylko hipoteza – przypuszczenie, niepozbawione jednak podstaw, bowiem z badań archeologicznych oraz analiz wykorzystujących datowania metodami radioaktywnymi i testy starożytnego DNA pobrane ze szczątków 84 osób zamieszkujących rejon doliny Lechtal w środkowej Szwajcarii w latach 2500 do 1650 p.n.e., przeprowadzonych niedawno przez międzynarodowy zespół z uniwersytetów w Monachium i Tybindze oraz Instytutu Maxa Plancka w Jenie, wyłania się obraz zdumiewającej różnorodności linii kobiecych na tym obszarze. Alissa Mittnik, odpowiedzialna w tym zespole za analizy DNA, wnioskuje, iż *Można ją tłumaczyć tylko tym, że wiele kobiet przybyło do doliny Lechtal z zewnątrz i wiele też wyemigrowało dalej*. Co więcej ustalono także: *że większość kobiet (w przeciwieństwie do niemal wszystkich mężczyzn) nie pochodziła z tego regionu. Ich groby jednak nie różniły się od populacji tubylczej, co wskazuje na to, że „obce” kobiety szybko włączano do lokalnej społeczności*. (Margit Kossobudzka, *Kultura wędrujących kobiet*, „Gazeta Wyborcza”, 06.09.2017, dodatek Nauka, s. 16). A zatem, jeśli tego rodzaju, dość częste, indywidualne migracje kobiet mogły się dokonywać w neolicie i epoce brązu, to można na zasadzie analogii domniemywać, że również miały one miejsce w górnym paleolicie. Można też sobie wyobrazić, że niektóre z tych kobiet przybywając z rozwiniętych centrów paleolitycznej kultury, mogły pełnić znaczącą kulturotwórczą i oświatową rolę w mniej rozwiniętych środowiskach, do których docierały. Idąc jeszcze dalej tym tropem, nie można także wykluczyć, że niektóre z nich, z biegiem czasu stawały się założycielkami plemiennych rodów – świętymi duchami przodków – bóstwami opiekuńczymi wartymi upamiętnienia w formie statuetek paleolitycznych Venus. Możemy się jedynie domyślać przyczyn tych migracji. Być może przywódczyni plemion skłaniały do nich swoje dorosłe córki, by tym sposobem pozbyć się konkurencji? Mnie takie wytłumaczenie wydaje się najbardziej logiczne z psychologicznego i socjologicznego punktu widzenia. Być może ten rodzaj społecznych zachowań przybrał nawet formę jakiegoś inicjacyjnego rytuału związanego z przechodzeniem młodych kobiet w dorosłość?

było powołanie do istnienia pierwszego w naszych dziejach, wspólnego dla wszystkich, kosmopolitycznego ośrodka kultu. Przez analogię do czasów budowy kościołów możemy domniemywać, że ten ambitny zamiar wcielono w czyn motywując wyznawców do aktywnego udziału w budowie centrum i uczestnictwa w odbywających się tu cyklicznie obrzędach obietnicą nagrody w postaci zjednania sobie przychylności bogów, odkupienia grzechów, oczyszczenia lub nawet zbawienia duszy. Według ostrożnych szacunków dr K. Schmidta, przy budowie pierwszych megalitycznych konstrukcji zaangażowanych było od 500 do nawet 1000 osób<sup>121</sup>, czyli tworzone je połączonymi siłami przynajmniej kilku plemion, zatem ów religijno-ideowy zamysł w pełni się powiódł. Specjalistyczne badania przeprowadzone w 2008 i w 2012 roku, dotyczące pochodzenia szkliva wulkanicznego użytego do produkcji ostrzy – narzędzi, których na tym wzgórzu znaleziono bez liku, dają podstawy do przypuszczeń, iż do tej epipaleolitycznej „Jerozolimy” tudzież „Mekki” pielgrzymowano z miejsc oddalonych od niej nawet o przeszło 400 kilometrów!<sup>122</sup>

Zespół Schmidta ustalił też, iż przed lub w trakcie tworzenia każdej następnej świątyni jej poprzedniczkę zasypywano. Zatem przekształcano je kolejno w kopce grobowe. Szczątki ludzkie znajdujące w zasypach potwierdzają tę hipotezę. Owa praktyka jest kolejnym głęboko symbolicznym a także nowatorskim wyróżnikiem stworzonej tu i kultywowanej doktryny. Doktryny, której aspekt duchowy w głównej mierze zasadzał się na odniesieniach do niebiańskiej sfery zarządzanej i zamieszkiwanej przez antropomorficznych i zoomorficznych bogów.

## IDOLE

Tego, że filary z anatolijskich świątyń są uproszczonymi niemal do znaku wyobrażeniami jakichś osób, gdzie główce symbolizują ich głowy, a trzony kolumn to ich tułowia, domyślamy się dzięki odkryciu mniej schematycznych a bardziej ilustracyjnych ich przedstawień. Do takich z pewnością należy wczesnoneolityczny posążek wykopany w 1965 roku w tureckiej prowincji

<sup>121</sup> Taka liczba ludzi konieczna była do przemieszczenia użytych przy ich budowie, kilkunastotonowych głazów.

<sup>122</sup> Analizy wykazały, że źródłami surowca do produkcji tych ostrzy było kilka złóż znajdujących się w Gollu Dagi w centralnej Anatolii (450 kilometrów od Gobekli Tepe), dwa złoża z okolic góry Bingöl, znajdujące się 50 kilometrów na południe od miasta Erzurum na Wyżynie Armeńskiej we wschodniej Anatolii, oraz Nemrut – wygasły wulkan w paśmie Antytaurusu, w pobliżu jeziora Wan na południowym wschodzie Wyżyny Armeńskiej. Zarówno to jezioro jak i góra Bingöl oddalone są od Gobekli Tepe o około 320 kilometrów.

Adiyaman, w wiosce Klisik, znajdującej się jakieś 75 kilometrów od wzgórz Gobekli Tepe. Jest to postać przedstawiona w pozie pomnikowej czy raczej totemicznej, z nienaturalnie wydłużoną głową, czym do złudzenia przypomina T-kształtne filary. Ma ona zgięte w łokciach ręce przylegające do tułowia, zakończone dłońmi opartymi czy też może obejmującymi swój brzuch. Brzuch, z którego „wyłania się” (zapewne jako symbol płodu) mniejsza ludzka lub ludzko-zwierzęca hybryda – teriantrop (od greckich słów *therion*, czyli „zwierzę” oraz *anthropos* – „człowiek”). W dolnej części tej najpewniej żeńskiej postaci – w miejscu jej łona widnieje okrągły otwór przeznaczony być może do kultowych praktyk. Na dwóch środkowych monolitach Okręgu D (oznaczonych jako 31 i 18) i Okręgu G w Gobekli Tepe, a także na centralnym filarze (tylko jeden się zachował) kultowej budowli w Nevali Cori, też przedstawiono ręce zgięte w łokciach z dłońmi symetrycznie opartymi na frontach kolumn niczym na brzuchach. Inne widniejące na nich reliefy, rozmaite symbole, graficzne znaki, wizerunki zwierząt, pasy, przepaski biodrowe, „stuły” i naszyjniki należy, jak sądzę, traktować jako widome znaki pełnionych przez nie funkcji lub/i atrybutów przypisanej im władzy. Relief w formie podwójnego V widoczny pod głowicą T-kształtnej figury znalezionej na Poziomie III sanktuarium w Nevali Cori, jota w jotę przypomina naszyjnik zawieszony na piersi bodaj najdawniejszego ze znanych, bo datowanego na około 9000 lat p.n.e. (a więc pochodzącego prawdopodobnie z okresu rozkwitu Gobekli Tepe), naturalnej wielkości trójwymiarowego posągu człowieka. Odkryto go w 1993 roku w dzielnicy Belikligöl, najstarszej części Sanliurfy. Podobnie jak omówione wcześniej figury, ukazany jest w statyczny sposób, z odgiętymi w nadgarstkach dłońmi o złączonych palcach obejmujących podbrzusze. Co ciekawe, głowa tej postaci nie jest wydłużona, choć w proporcji do torsu nieco powiększona. Ma okrągłe otwory zamiast oczu, wystający nos (częściowo odłamany), schematycznie wyrzeźbione uszy, ust nie zaznaczono wcale. Mam nieodparte wrażenie, iż jest to jakiś dostojnik – szaman, kapłan lub wódz sportretowany w rytualnej masce. Moje przypuszczenie nie jest pozbawione naukowych podstaw, ponieważ kilkanaście, a może więcej tego typu rytualnych, kamiennych masek<sup>123</sup> (co prawda datowanych na 7000 lat p.n.e., czyli jakieś 2 tysiące lat młodszych od tej figury) odnaleziono w okolicach Morza Martwego i na Wyżynie Judzkiej. Te maski przeważnie są owalne, mają puste, okrągłe oczodoły, schematyczne nosy i zaznaczo-

<sup>123</sup> Trudno to ustalić, ponieważ większość z nich znajduje się w kolekcjach prywatnych. Wiadomo, że jedna z najciekawszych, prawdopodobnie znaleziona w południowo zachodniej części rejonu Morza Martwego jest w posiadaniu Muzeum Biblii i Ziemi Świętej w Paryżu.

ne usta z odsłoniętymi zębami, ale są wśród nich i takie, które ust bądź zębów są pozbawione. I te wydają się najstarsze. Przeciętna ich waga to 1 do 2 kilogramów. W opinii naukowców z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, reprezentowały duchy przodków. Prawdopodobnie były zakładane przez plemiennych dostojników podczas rytualnych obrzędów. Na takie ich wykorzystanie wskazują małe, okrągłe otwory przewiercone na ich krawędziach, służące zapewne do mocowania na twarzy. Nie jest wykluczone, że służyły też do przyczepiania ewentualnych dodatków, na przykład włosów, albo do zawieszania na totemowych słupach lub innych konstrukcjach. Moja interpretacja twarzy posągu z Sanliurfy, a także jego wyraźnie widoczne pokrewieństwo z T-kształtnymi figurami uprawnia do przypuszczeń, że w Gobekli Tepe i w późniejszych centrach tej religii kult przodków odgrywał doniosłą rolę, oraz, że w tamtym okresie musiał istnieć ściślejszy niż zwykle się sądzić związek Gobekli Tepe z odległym od tego wzgórza o ponad 650 kilometrów mezolitycznym miastem założonym na południu Bliskiego Wschodu.

## FORTECA CZY SANKTUARIUM?

Mircea Eliade w swojej „Historii wierzeń i religii” tak opisał fenomen Jerycha: *Jest to, być może, najstarsze miasto świata (około 6830, 6770 przed Chr.). Fortyfikacje, masywna wieża, obszerne budowle publiczne, a przynajmniej jedna przeznaczona na rytualne ceremonie – wszystko to wskazuje na stopień społecznej integracji i ekonomicznej organizacji zapowiadający przyszłe państwa-miasta Mezopotamii*<sup>124</sup>. Dziś już wiemy, że na tym położonym na północ od Morza Martwego, ponad rzeką Jordan, stanowisku archeologicznym odnaleziono ślady około 20 osad, z których najstarsza – natufijska, datowana na ponad 9000 lat p.n.e., znajduje się obecnie na terenie Tell es-Sultan. Jerycho z całą pewnością nie jest już najbardziej wiekowym z mezolitycznych osiedli, jednak wciąż uchodzi za najstarsze z nieprzerwanie zamieszkiwanych, murowanych miast.

W latach 8350–5850 p.n.e. znajdowała się tam czterohektarowa, ufortyfikowana osada otoczona fosą głęboką na 2,75, szeroką na około 8 i długą na ponad 800 metrów, obwarowana masywnym murem (grubym na 3 metry i wysokim na 4), zbudowanym z solidnych bloków kamienia. Z ogromną wieżą kamienną o średnicy 10 metrów i wysoką na 8,5 metra. Wewnątrz tej fortalicji znaleziono ślady okrągłych domostw budowanych z suszonej na słońcu cegły. W tamtejszych świątyniach i przydomowych

<sup>124</sup> M. Eliade, *Historia wierzeń...*, op. cit., s. 32, 33.

kaplicach odnaleziono wiele figurek postaci kobiecych, zwierzęcych oraz większe tego typu artefakty. Ściany i podłogi malowano na czerwono lub beżowo, tworzone też freski. Zapewne kult *Magna Mater* i zwierząt jej przypisanych spletał się tu mocnymi więzami z wiarą w moc opiekuńczą duchów przodków, ponieważ najbardziej oryginalnym wyrazem kultury Jerycha są ludzkie czaszki, siedziby dusz przodków, z twarzami wymodelowanymi starannie zaprawą gipsową, barwionymi na czerwono chroniącą przed wszelkim złem ochrą. W oczodoły tych masek wkładano muszle jednego z gatunków ślimaków morskich – kauri, tzw. porcelanki. Te, uformowane na kształt rzeźb czaszki dają podstawy do przypuszczeń, że stosowano tu pośmiertną ekskarnację – układanie zwłok na specjalnych platformach lub w innych przeznaczonych do tego miejscach i pozostawianie ich na żer sępom i innym padlinożernym ptakom (kruk, wron, sokoł), które w tych obrzędach pełniły funkcję przewodników dusz – stworzeń nadnaturalnych, w języku greckim nazywanych „psychopompami”. Istot kojarzonych z boginią, ponieważ przypisanych do jej domeny. Tego typu praktyki pogrzebowe znane są z wielu późniejszych religii, na przykład tybetańskiego buddyzmu, a także zaratusztrianizmu rozwijającego się w Iranie, Armenii i częściowo w Indiach (pod nazwą parsyzmu). Okrągłe kamienne platformy, na których umieszczane są zwłoki, zaratusztrianie nazywają „Wieżami Milczenia”. Sądzę, że wieża w Jerycho pełniła taką funkcję służąc jednocześnie do celów obserwacyjno-obronnych. O tym, że w mezolocie takie praktyki na Bliskim Wschodzie kultywowano, dowiadujemy się również ze znalezisk z innych stanowisk, między innymi w oddalonym od Jerycha o jakieś 600–700 kilometrów na północny zachód anatolijskim Çatalhöyük.

Całkiem niedawne wykopaliska prowadzone około pięć kilometrów od Jerozolimy, na obrzeżach miasteczka Motza, ujawniły istnienie dużej rolniczej osady, której najstarsze warstwy datowane są na 8–7 tysięcy lat p.n.e. Osady zamieszkiwanej przez nie mniej niż 2–3 tysiące rolników, hodowców i rzemieślników. Według szacunków dr Jacoba Verdiego z Izraelskiego Urzędu Starożytności, ta osada mogła się rozciągać na obszarze od 30 do nawet 40 hektarów żyznej, równinnej doliny nawadnianej przez wody rzeki Sorek. W pobliżu Motza znaleziono liczne fundamenty solidnych kamiennych domostw ze ścianami i podłogami wyrównywanymi warstwą zaprawy gipsowej. *W pewnym oddaleniu od domów, ale nadal w granicach miasta, znajdowały się magazyny, w których do dziś zachowały się ślady po zapasach zbóż i roślin strączkowych, głównie soczewicy*<sup>125</sup>. Zmarłych chowano pod klepiskami domostw i ewentualnych kaplic z przedmiotami

<sup>125</sup> J. Grabowska, *Niezwykła osada sprzed 9 tysięcy lat*, „Gazeta Wyborcza” 26.07.2019, dodatek *Nauka*.

osobistego użytku i innym wyposażeniem przydatnym w pośmiertnym bytowaniu. *Obok narzędzi były to więc także naczynia gliniane lub rzeźbione w kamieniu figurki oraz biżuteria*<sup>126</sup>. Owe zwyczaje pogrzebowe to dowód na wyznawany w Motza kult przodków. Na tym stanowisku znaleziono kilka małych kamiennych figurek zwierząt, między innymi byka, znaczną ilość biżuterii, w tym wykonanej z alabastru oraz masy perłowej, co może wskazywać na związki handlowe z miastami Anatolii, bo przecież w okolicy Jordanu surowce te nie występują. Z pewnością jakaś część znalezionych tu naczyń pochodziła z terenów Syrii, a resztę z nich wykonano na miejscu. Muszelki używane do produkcji biżuterii pochodziły z Morza Śródziemnego i Czerwonego. Osada ta, według dr Hamoudiego Khalaily, była nieprzerwanie zamieszkiwana do drugiego tysiąclecia p.n.e. Na podstawie tych faktów i artefaktów oraz ich datowań skłonny jestem zaryzykować tezę, że to rolniczo-hodowlane miasteczko założono jako bazę mającą zaopatrzyć pielgrzymów odwiedzających jakiś pobliski (być może nieodkryty jeszcze) ośrodek świątynny albo, że w owym czasie taką funkcję pełniło znajdujące się zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od Motzy, oddzielone od sfery profanum głęboką i szeroką fosą, także solidnym murem, miasto Jerycho. I nie wykluczam, że dźwięk trąb, który jego mury, według znanej legendy rozsadził, nie był niczym innym, niż jazgotem nadciągającej tu nowej wiary i kultury. Czyli ów dźwięk był nie tyle historycznym faktem, co raczej poetycką przenośnią.

## METROPOLIA

W porównaniu z Jerychem i Motzą, zamieszkiwanymi przez około 2–3 tysiące ludzi, Çatalhöyük – „Rozdwojone Wzgórze”, zapisywane także jako: Catal Höyük, Çatal Hüyük tudzież Çatal Hüyük, było prawdziwą metropolią liczącą od pięciu do nawet dziesięciu tysięcy mieszkańców. Co niespotykane, jego konstrukcja urbanistyczna przypominała plaster miodu zbudowany z około tysiąca prostokątnych pomieszczeń bez okien i drzwi (wchodziło się do nich przez otwory w stropach), stykających się ze sobą ścianami. Dachy pełniły rolę tarasów – przestrzeni publicznej, po której się przemieszczano. Murem obronnym były skrajne ściany miasta. Standardowe powierzchnie mieszkalne miały wielkość około 25 metrów kwadratowych i łączyły się z mniejszymi – gospodarczymi. W obrębie tej aglomeracji (większej od średniowiecznego Krakowa) znajdowało się również kilkadziesiąt sanktuariów.

---

<sup>126</sup> Ibidem.

Ruiny Çatalhöyük założonego według szacunków około roku 7400–7300 p.n.e., znajdujące się na Wyżynie Anatolijskiej w odległości około 50 kilometrów na południowy wschód od stolicy prowincji Konya w Turcji centralnej, zostały odnalezione pod koniec lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku przez ekipę brytyjskich archeologów kierowaną przez Jamesa Mellaarta. On sam to odkrycie opisał tak: *Cywilizacja neolityczna, jaka objawiła się w Catal Hüyük, Iłniła niczym supernowa w raczej mrocznej galaktyce ówczesnych pasterskich kultur (...). Jej wpływy najsilniej odczyły się nie na Bliskim Wschodzie, lecz w Europie, gdyż właśnie na ten nowy kontynent neolityczne kultury Anatolii wprowadziły początki rolnictwa i hodowli zwierząt oraz kult Bogini Matki – podstawy naszej cywilizacji*<sup>127</sup>. W świetle późniejszych odkryć śmiało można z jego tezami polemizować<sup>128</sup>. Niemniej Mellaart miał absolutną rację w kwestii silnie zakorzenionego w Çatalhöyük kultu *Magna Mater* przedstawianej pod trzema postaciami: młodej dziewczyny, ciężarnej kobiety i staruchy. Świadczy o tym przeszło czterdzieści sanktuariów jej poświęconych, a także wiele znalezionych tam statuetek nagich Wenus, jota w jotę podobnych, z racji obfitych-pełnych kształtów oraz stylistyki, do klasycznych paleolitycznych „Królowych Stworzenia” tyle, że tutaj zasiadają na tronach monarszych (co jest widowym znakiem postępującej hierarchizacji społeczeństw), trzymając władczo dłonie na głowach dwóch lampartów stanowiących ich podłokietniki. Znaleziono też figury bogini rodzącej byki, barany i inne zwierzęta, a więc uwiecznionej w akcie Wszechstworzenia. W jednym z sanktuariów odnaleziono trójwymiarową, animalistyczną postać kobiety-lamparta z rozpostartymi rękami i nogami, rodzącą Boga-byka<sup>129</sup>. Lampart w symbiotycznym związku z boginią z pewnością odgrywał znaczącą rolę w tutejszym panteonie, nie wydaje się

<sup>127</sup> J. Mellaart, *Earliest Civilizations of the Near East*, Londyn 1978, s. 77.

<sup>128</sup> Z późniejszych archeologicznych odkryć wiemy, że nie tylko Jerycho i Motza poprzedzały narodziny tej metropolii, ale też mniejsze ludzkie osady zlokalizowane w Asikli Hoyuk w środkowej Anatolii (8000 p.n.e.) oraz Nevali Cori (8500 p.n.e.), także Cayonu (8630 p.n.e.) – obie w południowo-wschodniej Anatolii, Balıkligol (9500 p.n.e.) w środkowej Anatolii, Tell Quaramel w północno zachodniej Syrii (z pięcioma kolistymi wieżami o średnicy 7,5, grubości 1–1,5 i hipotetycznej wysokości 8 metrów, pochodzącymi z lat 10 700–9650 p.n.e., zamieszkiwane nawet przez około 1000 osób), wreszcie Hallan Cemi (10 250 p.n.e.) w górach Wschodniego Taurusu, obecnie zalane wodami sztucznego zbiornika, że wymienię tylko te stanowiska archeologiczne. Nie zgadzam się też z tezą, że wpływy Catalhöyük rzutowały głównie na neolityczną Europę, bo z pewnością odegrały znaczącą rolę w rozwoju mezopotamskich kultur poprzedzających cywilizację Sumerów (Halaf i Ubajd). Natomiast kult Bogini Matki sięga głęboko w górną paleolityczną przeszłość, co we wcześniejszych rozdziałach wyraźnie podkreśliłem.

<sup>129</sup> Zupełnie tak samo, jak będąca personifikacją Drogi Mlecznej egipska bogini Hathor. Nie można zatem wykluczyć, że lampart w tutejszych wierzeniach uosabiał kosmicznego boga, patrona Drogi Mlecznej związanego z boginią.

jednak, by całkowicie zdetronizował paleolitycznego Boga-byka, ponieważ w wielu tutejszych kaplicach, w ich centrum, ze ścian i podestów wylaniają się *bukraniony* czyli bycze głowy. lub tylko pary ich rogów. Ponadto, na freskach przedstawiono całe sylwetki tych zwierząt.

Postacie sępów – psychopompów oraz antropomorficznych sępów z ludzkimi nogami (zapewne szamanów w przebraniach) także są częstym motywem tutejszych malarskich przedstawień. W pobliżu obiektów kultu umieszczano też ludzkie czaszki, które, oczekując pośmiertnej transformacji, dopełniały wystrój świątyń. O tym, jak ważną rolę przypisywano tu sępom, świadczy też i to, że z sutków piersi niektórych wyobrażeń bogiń sterczą ich dzioby, zapewne jako symbol pośmiertnej przemiany, którym to procesem transformacji *Magna Mater* zawiadywała. W jednej świątyni widnieje fresk tę przemianę ilustrujący. Są na nim ukazane dwie wieże wyposażone w schody. Na ich szczytach ukazano pary boskich sępów. Na pierwszej platformie widzimy samą głowę zmarłej osoby – siedzibę jego duszy, na szczycie drugiej – pozbawione głowy ciało. Zmarły czy raczej jego duch, odbywa wędrówkę po schodach. Idzie najpierw w dół – niepewnie, na czworakach, od życia do śmierci. Potem mozolnie wspina się – wznosi na pierwszy szczyt, ku parze sępów. Dalsza jego wędrówka wiedzie znów w dół, i ponownie w górę, ku kolejnej platformie i drugiej parze sępów. Wreszcie, na koniec, kroczy po stopniach pośmiertnej transformacji, pewny już swego losu, bo w pełni wyprostowany. Wędruje do następnego istnienia, wcielenia, miejsca przeznaczenia?

Węże, paleolityczny symbol przemiany i odrodzenia, w Çatalhöyük z pewnością też odgrywały znaczącą kultową rolę; świadczy o tym to, że uwieczniono je na wielu ściennych malowidłach. One oraz ekskarnacyjne rytuały pozwalają sądzić, że niezachwiana wiara w życie pośmiertne była tu mocno zakorzeniona.

Oczyszczone przez psychopompy, wybielone przez palące Słońce, posypane ochrą, a więc odczarowane, kości zmarłych zakopywano pod glinianymi podłogami mieszkań i sanktuariów. W kilku pomieszczeniach odkryto ślady nawet sześćdziesięciu takich pochówków, co niewątpliwie jest świadectwem tego, iż duchy przodków przez pokolenia były tu wśród żywych obecne. Niekiedy zmarłych wyposażano na pośmiertną drogę. Kobiety obdarowywano biżuterią: naszyjnikami oraz naramiennikami z paciorków, a mężczyzn chowano z bronią. W najbardziej okazałych grobach znaleziono: perfekcyjnie oszlifowane obsydianowe lusterka, naszyjniki zrobione z cennych surowców, głowice maczug idealnie wypolerowane, krzemienne noże i sztylety osadzone w kunsztownie rzeźbionych kościennych rękojeściach, odznaczające się wielką elegancją naczynia kamienne i wiele innych cennych rzeczy.

Wykopaliska ujawniły jeszcze więcej przedmiotów świadczących o świetnie rozwiniętej technologii: setki kamiennych i obsydianowych noży, grotów strzał i włóczni, 50 rodzajów różnych dobrej jakości narzędzi, wypolerowane obsydianowe zwierciadła, eleganckie wyroby tekstylne, w tym dywany, wyplatane z precyzją kosze, kamienne naczynia, wreszcie wspaniałe naszyjniki. Nie podejmę się odpowiedzieć na pytanie, przy użyciu jakich metod oraz narzędzi tutejsi rzemieślnicy, ale także z Abu Hurajry nad Eufratem, Asikli Hüyük, w pobliżu Aksaray w Turcji południowej, Cayonu we wschodniej Anatolii, w Dżarmo znajdującym się w Kurdystanie irackim i w kilku innych miejscowościach, już ponad 7500 lat p.n.e. potrafili przewiercać mikroskopijne, nawet mniejsze niż 5 milimetrów otworki w płaskich, nie grubszych niż 7–8 milimetrów, wygładzonych idealnie paciorkach z krwawnika, agatu oraz kwarcu (których twardość w dziesięciostopniowej skali Mohsa wynosi 7, a więc naprawdę dużo), i to wzdłuż ich średnic, dochodzących nawet do 5,5 centymetra? Wiem tylko, bo to wynika z geologicznych badań, iż znaczna ilość z tych kamieni, niektóre rodzaje obsydianu i inne cenne surowce sprowadzano z oddalonych o setki kilometrów miejsc, zatem nie tylko rzemiosło, ale i wymiana handlowa była w tych ośrodkach szeroko rozwinięta.

Podstawowym zajęciem mieszkańców Çatalhöyük było z pewnością rolnictwo oraz hodowla bydła. Przeprowadzone specjalistyczne badania wykazały, że niektóre z najstarszych znanych odmian ziaren pszenicy, datowane na 8500 lat p.n.e., pochodzą właśnie z tego regionu. Oprócz pszenicy uprawiano tu również nagi jęczmień rzędowy (*Hordeum vulgare*), groch i groszek. Na pobliskich wzgórzach mieszkańcy zbierali migdały, żołędzie i pistacje. Pola, z powodu gorącego klimatu panującego na płaskowyżu Konya, musiały być nawadniane za pomocą rozległego systemu irygacji. W sąsiedztwie znajdowały się też pastwiska, ponieważ głównym źródłem mięsnego pożywienia dla ludności tej dużej metropolii było udomowione bydło. Wykopaliska ujawniły, iż ponad 90% odnajdywanych tu kości, to szczątki zwierząt hodowlanych.

Na podstawie tych wszystkich archeologicznych odkryć z dużą dozą prawdopodobieństwa można przyjąć, iż w Çatalhöyük przez niemal półtora tysiąca lat, aż do około roku 6000 p.n.e. (początku jego końca<sup>130</sup>),

<sup>130</sup> Przyczyną upadku tego miasta według różnych hipotez mogła być jego specyficzna konstrukcja, która utrudniała odbudowę zapadających się, posadowionych na niestabilnym podłożu budynków, lub postępujące rozwarstwienie społeczne, a więc dążenie elit do poprawy komfortu życia poprzez zwiększanie powierzchni mieszkalnych i odseparowywanie się od sąsiadów, czyli budowę domów wolno stojących przedzielonych ulicami. Wiązało się to też z opuszczaniem przez mieszkańców siedzib ich duchów opiekuńczych, czyli słabnięciem kultu przodków, który tę społeczność spajał. Miasto całkowicie wyludniało

funkcjonowało społeczeństwo typu matriarchalnego, w pewnym stopniu egalitarne, choć już dość rozwarstwione strukturalnie, zhierarchizowane, ze świątynnymi centrami teokratycznej władzy. Społeczeństwo dobrze zorganizowane, technologicznie rozwinięte i wyspecjalizowane, które z całą pewnością nie musiało się niczego uczyć od sumeryjskich ani też ich ubajdskich lub halafskich, chalkolitycznych, rybio-ludzkich antenatów – grupy siedmiu Apkallu (Abgal) z Oannesem, Uanną tudzież Agapą na czele. A może Anunnaki-Apkallu, owi Giganci, Tytani, Czuwający z Księgi Henocha... bogowie-cywilizatorzy, od których tutejsze plemiona niegdyś zaczerpnęły wiarę, kulturę i wiedzę, pojawili się jednak zupełnie gdzieś indziej i znacznie wcześniej?

## MEZOLITYCZNY PANTEON

Ręce i dłonie wszystkich idoli z Gobekli Tepe i z innych anatolijskich stanowisk niezależnie od tego, czy przedstawiono je schematycznie, czy figuralnie, zobrazowano dokładnie w ten sam sposób. Nie jest to, jak sądzę, zupełnym przypadkiem, jak i to, że ten sam ich układ, rodzaj gestykulacji, niemal identyczny sposób portretowania znaczących osób odnajdujemy w wielu rzeźbiarskich wyobrażeniach górnopaleolitycznych Wenus – opiekuńczych duchów plemiennych rodów. Co więcej, uważam, że zwierzęca symbolika wyrażona w postaci rytów i reliefów na około połowie odnalezionych do tej pory filarów-rzeźb odnosi się w znacznej mierze do opisanego przeze mnie wcześniej paleolitycznego panteonu z Bogiem-Bykiem i jego boską partnerką w centrum kultu, a także całą menażerią przypisanych do bogini stworzeń, z racji jej rozlicznych prerogatyw związanych z płodnością, chorobami, śmiercią, pośmiertną przemianą i mądrością. Fundament paleolitycznej wiary, jej podstawa – panteon bogów, na całym mezolitycznym Bliskim Wschodzie został w pełni utrzymany, jak mi się zdaje, choć w religijnej doktrynie dokonano dających się zauważyć retuszy. Z pewnością wiara w pośmiertną transformację oraz związany z nią kult przodków – duchów opiekuńczych plemiennych wspólnot – w mezolicie wyraźnie zyskały na popularności. Świadczą o tym ekskarnacyjne wieże odkryte w Tell Quaramel (było ich pięć, najstarsza datowana na 10 500 lat p.n.e.), także wieża w Jerycho (półtora tysiąca lat młodsza) i kilka podobnych budowli z innych bliskowschodnich stanowisk. Wzmacnia tę tezę związany ściśle z ekskarnacyjnymi wieżami symbol sępa – psychopompa, całkiem

---

dopiero około 3000 roku p.n.e. Większość komentatorów dystansuje się od hipotezy jego upadku w wyniku jakichś gwałtownych zdarzeń (najazdu lub kataklizmu).

nowy element teriantropicznego panteonu dodany do świty *Magna Mater* z racji uczestnictwa w procesie pośmiertnej przemiany. Jego wizerunki w formie malowideł, rytów, trójwymiarowych rzeźb, samych tylko dziobów wystających z nagich piersi bogini, odnaleziono we wnętrzach licznych oddalonych od siebie sanktuariów, również w Gobekli Tepe.

Ikonografia zwierzęca widniejąca na przeszło połowie do tej pory zbadanych T-kształtnych filarów, skłania do domysłów. Najczęstszymi motywami (według Collinsa) są tu: węże, skaczące lisy, dziki i żurawie. Nieco rzadziej pojawiają się tury, gazy, lwy i dzikie owce. Zobrazowano kilka jaszczurek, skorpionów, pajaków i mrówek, przynajmniej jednego niedźwiedzia, wilka oraz hienę. Asortyment ptasich gatunków poszerzają sępy (jako ptasio-ludzkie hybrydy), flamingi, ibisy oraz dziwne nietoly wyglądem przywodzące na myśl „pisklęta” dinozaurów. Na południowej, dłuższej krawędzi prostokątnej platformy, stanowiącej rodzaj piedestału dla jednego z centralnych filarów (wschodniego – nr 18) Okręgu D w Gobekli Tepe, wyrzeźbiono szereg tych nieporadnych, nieumiejących fruwać, a więc przywiązanych do ziemi stworzeń, uosabiających, jak przypuszczam, społeczeństwo, a więc tak zwane „owieczki” wymagające opieki ze strony wszechwładnych bogów i służących im kapłanów, czyli „pasterzy”. Co ważne, niemal ten sam sposób symbolicznego obrazowania zobaczyłem na dwóch podłużnych płytach z okresu znacznie późniejszego (3600 lat p.n.e.), znalezionych w jednym z megalitycznych sanktuariów na śródziemnomorskiej wyspie Malcie, obecnie eksponowanych w tamtejszym muzeum. Są to rzeźbione panele, w świątyniach z tego okresu pełniące funkcję frontów podestów – ołtarzy przeznaczonych do stawiania posągów bogiń lub bogów. Widnieją na nich rzędy równie bezradnych zwierząt tyle, że tu rolę nietolów pełnią na jednym panelu małe kaczki, a na drugim młode kozice. Szerokie spektrum ptasich gatunków, z pewnością kojarzonych z boginią, pozwala zakładać, że w mezolitycznej anatolijskiej ikonografii kultowej nieco poszerzono obszar obrazowanych pojęć i znaczeń. I tak – w egipskiej mitologii ibis stanowił alter ego Thota (boga mądrości), nie można więc wykluczyć, iż pierwotnie to właśnie tu, na „Wzgórzu Pępka”, postaci ibisa przypisano taki typ znaczeń. Z kolei żurawie i flamingi, jako ptaki wodne, prawdopodobnie symbolizowały obfitość oraz płodność, podobnie jak bocian przynoszący dzieci w naszych współczesnych baśniach. Hieny tak jak sępy, jako zwierzęta padlinożerne dołączyły zapewne do rozległej świty bogini z racji ich udziału w dokonywanej przez nią pośmiertnej przemianie. Współcześnie jaszczurki kojarzymy ze zwinnością, skorpiony i pająki z jadem i podstępny działaniem, choć te ostatnie też z pracowitością, podobnie mrówki. Niewykluczone, że ów system przypisywanych im znaczeń stworzono przed wieloma tysiącami lat na Bliskim Wschodzie. To, że w mezolitycz-

nym panteonie pojawiły się dzikie owce, wilki i dziki, nie powinno dziwić, bo przecież ich znaczenie dla ludzi systematycznie rośnie, w związku z ich udomowianiem. Największą zagadką wydają się skaczące lisy, na T-kształtnych filarach obecne. Wbrew pozorom jest to zwierzę, które w paleolicie również odgrywało ważną kultową rolę – przypomnę. Co prawda nie na obszarze franko-kantabryjskim, bo w jaskiniowym malarstwie lisów raczej nie uwieczniano, ale w rejonach na wschód od Moraw przez Kostienki aż po jezioro Bajkał (czyli w kulturach zbieraczy-łowców w pewnym stopniu już zhierarchizowanych) lis oraz wilk były ważnymi symbolami. Przecież pamiętamy z rozdziału pierwszego te pochówki ze stanowisk w Pavlov oraz w Dolnich Vestonicach, zawierające znaczne ilości kości i zębów arktycznego lisa, umieszczanych w formie naszyjników lub/i elementów zdobiących nakrycia torsu oraz głowy. Zagadkowa kobieta lat około czterdziestu, przez archeologów nazwana „Szamanką”, której grób odkryto na stanowisku Dolnie Vestonice 1, w prawej dłoni trzymała pięć nieprzewierconych kłów lisa, a w lewej dłoni kilka jego kości. A. Collins skomentował to tak: *Wprawdzie użycie jako ozdób kości lisa arktycznego oraz wilka w kulturze wschodniograweckiej, około 21 000 lat temu, można tłumaczyć faktem, że właśnie na te zwierzęta często polowano dla zdobycia ich mięsa i skór, lecz znaleziska nieprzewierconych kłów lisa w grobach wskazują na znaczenie lisa na poziomie kosmologicznym*<sup>131</sup>, z czym skłonny jestem się zgodzić. Szczątki tych zwierząt w wierzeniach stanowiły zapewne gwarancję bezpiecznej pośmiertnej wędrówki, zatem lisa oraz wilka traktowano jako zwierzęta zaświatowe. Również jako symbole władzy. Dobrym argumentem na tę tezę jest opisany w rozdziale trzecim pochówek sześćdziesięcioletniego mężczyzny i dwojga dzieci w wieku 13 oraz 7–9 lat ze stanowiska Sungir (datowanego na około 25 tysięcy lat wstecz), znajdującego się niedaleko miasta Władimir, jakieś 180 kilometrów na wschód od Moskwy, w którym odkryto łącznie aż 13 113 paciorków wymagających ogromnego nakładu pracy całej plemiennej wspólnoty. W większości zrobionych z zębów lisa. Inne groby z pobliskich stanowisk Sungir 1, 2, 3 oraz z Kostienek także zawierały spore ilości zębów i kości arktycznego lisa.

Główna para bogów, także lis, wilk oraz wiele innych zwierząt, mają z pewnością bardzo odległe korzenie sięgające czasu górnego paleolitu i kultur zbieraczy-łowców zasiedlających południowy, południowo-wschodni i wschodni skraj europejskiego lądolodu zlodowacenia Wurm, natomiast sęp i hiena są zapewne bliskowschodniego, a więc lokalnego pochodzenia. Wszak to tu pojawiły się pierwsze ekskarnacje platformy, „Wieże Milczenia”, i wiara w to, że ludzka dusza zamieszkuje czaszkę.

<sup>131</sup> A. Collins, *Pochodzenie...*, op. cit., s. 201.

Ten nowy składnik kultu oraz rytuału, obecny w Quaramel, Hallan Cemi, Balıklıgöl, Jerychu, Çatalhöyük, jak sądzę, wcześniej też wprowadzony do stworzonej w Gobekli Tepe religijnej doktryny<sup>132</sup>, w opinii kilku badaczy należy przypisywać epipaleolitycznej kulturze zarzyjskiej, rozwijającej się od 20 000 lat p.n.e. do 11 000 lat p.n.e. Jej nazwa wzięła się od archeologicznego stanowiska w jaskini blisko miejscowości Zarzi, w irackiej części Kurdystanu, którą Zarzyjczycy jako ostatnie z plemion zamieszkiwali. Podobnie jak schronisko Shanidar, zasiedlane nieprzerwanie przez ludzi od 48–44 tysięcy lat p.n.e. do dziewiątego tysiąclecia p.n.e. (a więc najdłużej ze wszystkich znanych jaskiń). Pamiętamy z rozdziału trzeciego, że to właśnie tu w najstarszych warstwach (na stanowiskach Shanidar I oraz IV) znaleziono 9 szkieletów neandertalczyków, w tym kaleki „Nandiego” i mężczyzny z ziarnami kilku gatunków kwiatów, a w młodszej warstwie (na poziomie Shanidar V) znajdowały się pochówki kilku *Homo sapiens* ze zniekształconymi przez obwiązywanie w okresie rozwoju czaszkami, które są bodaj najstarszymi przykładami tego typu rytualnych praktyk. Co ciekawe, opisany już w tym rozdziale posążek z Kilisik, jak i wszystkie T-kształtne filaro-postacie z pewnością też można postrzegać jako wizerunki osób z analogicznymi deformacjami głów. Podobnie jak wiele statuetek z mezopotamskich kultur Halaf i Ubajd, znacznie poprzedzających Sumerów, o tysiące lat młodszych od kultury zarzyjskiej, bo szacowanych na 6–4 tysiące lat p.n.e. Otóż właśnie tu – w pobliskiej osadzie Zawi Chemi Shanidar nad Wielkim Zebem, w górach Zagros w Iraku północnym, amerykańscy archeolodzy Ralph i Rose Solecki w latach pięćdziesiątych XX wieku odkryli skrzydła 17 dużych drapieżnych ptaków oraz czaszki około 15 kóz i dzikich owiec. *Kości – wiele wciąż w anatomicznym układzie – należały do orłosępa brodatego (Gypaetus barbatus), sępa płowego (Gypis fulvus) oraz różnych gatunków orłów. Znaleziono je przy murze kamiennej budowli, która prawdopodobnie pełniła funkcję kultową. Archeolodzy nie mieli wątpliwości, że skrzydła zostały odcięte martwym ptakom oraz, że stanowiły część rytualnego kostiumu. Innymi słowy, szamani używali ich jako „rytualnych perafernaliów”, aby przybrać postać sępa jako najważniejszego symbolu kultu zmarłych (warto dopowiedzieć, iż takiego sępio-ludzkiego teriantropa ukazano na tzw. „Sępiim Kamieniu” – filarze oznaczonym numerem 43 Okręgu D w Gobekli Tepe). Badania radiowęglowe wykazały, że skrzydła pochodzą z około 8870 roku p.n.e. (± 300 lat). Jednak współczesne metody rekalkibracji (oparte na najnowszych ocenach ilości węgla 14C w materii organicznej z przeszłości) prawdopodobnie pozwoliłyby je*

<sup>132</sup> O czym świadczą ludzkie czaszki znalezione na tamtejszych stanowiskach archeologicznych i groby ludzi pozbawionych głów.

*datować na koniec młodszego dryasu, około 9600 roku p.n.e., czyli tuż przed wzniesieniem wielkich okręgów w Gobekli Tepe, położonym w linii prostej 450 kilometrów na zachód od Zawi Chemi Shanidar*<sup>133</sup>. Co prawda tę osadę, a więc również to archeologiczne znalezisko należy przypisać młodszej od zarzyjskiej, protoneolitycznej kulturze, ale prawdopodobne jest, że kontynuowała ona wierzenia, a także obyczaje ludów zarzyjskich. Była to powszechna praktyka na całym Bliskim Wschodzie, czego dobrym przykładem są Sumerowie.

W eliptycznych okręgach Gobekli Tepe oprócz omawianych filarów i wielu innych artefaktów znaleziono także znaczną ilość trójwymiarowych rzeźb przedstawiających między innymi dziki, tury oraz przynajmniej trzy drapieżniki o wielkich zębach (obecnie przechowywane są w Muzeum Archeologicznym w Sanliurfie). Niektóre z nich wyglądają jak terianropy – ludzie z głowami dzików, albo budzących grozę niby-wilków, co dziwić raczej nikogo nie powinno, bo przecież również w paleolitycznej, ale też sumeryjskiej oraz egipskiej sztuce (że tylko te wymienię) bogów często przedstawiano w zwierzęcej postaci ich ziemskich awatarów, czyli szamanów tudzież kapłanów w odpowiednich zwierzęcych maskach i przebraniach. Wystarczy przypomnieć sobie prehistoryczne wyobrażenie Człowieka-Lwa z niemieckiego stanowiska Hohlenstein-Stadel (datowanego na 35–40 tysięcy lat temu) i wiele przedstawień Anunnakich przebranych za ryby lub z głowami, a także skrzydłami ptaków. Zresztą ten zwyczaj i dziś jest obecny choćby w środkowo-europejskim folklorze (myślę tu o kołędnikach).

Wśród rzeźb odkrytych przez archeologów w Gobekli Tepe jedna z pewnością zasługuje na osobne i bardziej dogłębne omówienie. Jest to masywny, zaiste „gotycki” totem wykuty w wapiennej bryle, obrazujący w niezwykle sugestywny sposób boskiego teriantropa łączącego w sobie oba pierwiastki – męski i żeński. Czyni to w nieco odmienny sposób niż rysunek byka z nogami i *vulvą* kobiety z jaskini Chauveta (datowanej na ponad 32 000 lat – przypomnę), umieszczony tam w komnacie najgłębszej, a więc najbardziej dla kultu znaczącej, na nawisie skalnym na tle „Panelu jaskiniowych lwów”. Odnaleziona w jednej ze świątyń w Gobekli Tepe ludzko-zwierzęca totemiczna figura głowę ma niestety odłamana, ale po kształcie zachowanych uszu można się domyślać, iż przedstawiała ona zwierzę z gatunku kotowatych, na przykład pumę lub lamparta. Ten ostatni przyszedł mi do głowy przez analogię do trójwymiarowego panelu z Çatalhöyük: przedstawia on kobietę z głową lamparta, rodzącą cielę byka. Analogia oczywista, bo przecież z brzucha omawianej hybrydy też wyłania się postać, której głowa również uległa zniszczeniu. Kto wie, być

<sup>133</sup> Ibidem, s. 107.

może była ona bycza? Ta mniejsza postać rodzi kolejną, ewidentnie już ludzką istotę, a może boginię? Trzyma przedmiot przypominający niewielkie naczynie, być może wypełnione wodą życia? Tej trzeciej – najmniejszej postaci z obu jej stron towarzyszą dwa węże z wielkimi głowami, stąd moje skojarzenie z boginią – symbole koła przemian, nieustannej transformacji, najważniejsze zwierzęta ze świąty Wielkiej Matki. Zwracam uwagę na tę niezwykłą rzeźbę nie tylko z tego powodu, iż unaocznia ona bardzo wyrażenie mezolityczne wyobrażenia związane z cyklem życia lub narodzinami bogów, ale też dowodzi nieprzerwanej ciągłości tych wierzeń i wyobrażeń, sięgających korzeniami niesamowicie głęboko w przeszłość. Panteistyczna (utożsamiająca Wszechświat z istotą boską), paleolityczna wiara na „Wzgórzu Pępka” została, w moim głębokim przekonaniu, w pełni podtrzymana. Przypisany do niej panteon zwierzęcych bóstw nieco rozszerzono, zapewne w związku z ideowym rozbudowywaniem i doprecyzowywaniem religijnej doktryny, a wiara w opiekuńcze duchy przodków uległa wzmocnieniu.

## AXIS MUNDI

Gobekli Tepe to miejsce o znaczeniu szczególnym – unikatowym w skali świata, fundamentalnym dla narodzin, kształtu i kierunków rozwoju wszystkich późniejszych kultur na terenach obecnej Turcji, i w położonym na północ od Morza Martwego Jerycho, także dla wczesnoneolitycznej kultury Dżarmo, istniejącej od siódmego tysiąclecia p.n.e. w północnej Mezopotamii lub kultury Hassuna, rozwijającej się nad górnym Tygrysem od początku szóstego do połowy piątego tysiąclecia p.n.e., i nieco od niej młodszych, chalkolitycznych kultur: Halaf (północna Mezopotamia) i Ubajd (południowa Mezopotamia) – bezpośrednich antenetek kultury Sumerów. Nie jest też niemożliwe, że promieniowanie Gobekli Tepe mogło mieć istotny wpływ na narodziny w siódmym tysiącleciu p.n.e. kultury Sesklo w północnej Grecji, oraz na założenie Nea Nikomedei – najstarszej macedońskiej osady z okresu wczesnego neolitu, datowanej na 6250–6050 p.n.e. Profesorowie Tjeerd Van Andel, z uniwersytetu w Cambridge i Curtis Runnels z uniwersytetu w Bostonie przeprowadzili badania dotyczące wyraźnie zauważalnego napływu rolniczych osadników u początku siódmego tysiąclecia p.n.e. w regionie miasta Larisy w Grecji. Ciekawostką jest to, że na tym tesalskim odcinku wybrzeża Morza Egejskiego w starożytności miało się ponoć znajdować legendarne królestwo-miasto mitycznego Deukaliona, greckiego Noego. Van Andel i Runnels w raporcie z badań napisali, że najbardziej prawdopodobnym miejscem, z którego przybyli tam rolniczy imigranci, są palestyńskie wyżyny albo południowa Anatolia. *To ostatnie*

*miejsce uważają za najbardziej prawdopodobne, ponieważ – jak twierdzą – tereny wokół Catal Hüyük są równiną zalewową, bardzo podobną do terenów, na których osiedli pierwsi imigranci w Grecji*<sup>134</sup>. Gdyby te domysły potwierdziły się w toku dalszych badań, oznaczałoby, że kultura helleńska miała anatolijskie korzenie. Niektórzy badacze doszukują się tych samych źródeł także w bałkańskiej kulturze Vinci. Do obu tych naukowych hipotez odnoszę się z życzliwą rezerwą, natomiast jestem niemal pewny, co chcę wyraźnie podkreślić, że kultura Gobekli Tepe miała największy wpływ na narodziny i rozwój Megalityzmu – pierwszej w naszych dziejach religii o zasięgu globalnym. Religii podtrzymującej wiarę naszych przaprzodków z epoki kamienia w panteistyczny porządek wszechrzeczy. Religii istniejącej nieprzerwanie najdłużej ze wszystkich nam znanych, bo od około siódmego tysiąclecia p.n.e. aż do pierwszych wieków chrześcijaństwa! Jej misjonarze docierali dosłownie wszędzie. Na wszystkich kontynentach zdobywali wyznawców wbrew i pomimo rozwijania w cywilizacyjnych centrach nowych – patriarchalnych religii. Megalitycy uparcie, z żarliwą pasją, przez kilka tysiącleci szerzyli prastarą wiarę na obrzeżach lub z dala od takich imperiów jak: Sumer, Egipt faraonów, Dolina Indusu-Saraswati, Grecja już antyczna oraz Cesarstwo Rzymskie. Temu zagadnieniu poświęcę piętnasty rozdział, a teraz wróćmy jeszcze do miejsca, gdzie to wszystko się rozpoczęło.

Okręgi skryte przez wiele tysiącleci pod sztucznie usypanym tellem w Gobekli Tepe i odnalezione tam artefakty: T-kształtne figury ustawione w kręgi, znaki i symbole wpisane w nie, ich usytuowanie względem siebie i wobec gwiazd, szczątki ludzkie, narzędzia, rzeźby i naczynia, w sposób oczywisty skłaniają wielu badaczy do prób najróżniejszych interpretacji. Wypada się chyba zgodzić z odkrywcą tego miejsca, prof. K. Schmidtem, że te megalityczne Okręgi pełniły rolę najpierw kultowych sanktuariów, a później grobowców i, że przed lub w trakcie budowy nowej świątyni, jej poprzedniczkę grzebano. Dowodzą tego szczątki ludzi tam znajdowane. Być może ten rytuał wiązał się z odnawianiem struktur władzy – oddawaniem jej następnym pokoleniom kapłanów wcielających się w bóstwa z mezolitycznego panteonu? Najprawdopodobniej była to pierwsza w historii teokracja o charakterze astronomicznym. Świadczą o tym wmontowane w mury niektórych świątyń płaskie filary bez głowic, za to z wydrążonymi w nich kilkunastocentymetrowymi otworami. Według niektórych archeoastronomów wzorniki te, obserwowane z centralnych miejsc świątyń, zorientowane były na gwiazdę Deneb (najjaśniejszą w Konstelacji Łabędzia) albo w kierunku trzech najjaśniejszych gwiazd z Pasa Oriona: Alnitak, Alnilam i Mintaki; zdania w tej kwestii są rozbieżne. Jak wiemy, w Egipcie piramidy Cheop-

<sup>134</sup> Ibidem, s. 100.

sa, Chefrena i Mykerinosa również odnosiły się do Pasa Oriona. Ponadto, praktycznie wszystkie megalityczne budowle z późniejszych okresów, zarówno kręgi, świątynie jak i grobowce czy kurhany, pełniły zarówno funkcję sakralną, jak i obserwatoriów astronomicznych wyznaczających daty letnich i zimowych przesileń. Tę astronomiczną hipotezę odnośnie Gobekli Tepe wzmacnia obecność w tym miejscu licznych wgłębień, określanych jako *cup marks*, wydrążonych na szczytach wielu głowic T-kształtnych filarów, również na pobliskich skałach. Są one, w moim przeświadczeniu, odbiciem na ziemi sfery niebieskiej. Są symbolami rozgwieżdżonego nieba, Drogi Mlecznej, żywego Absolutu. Wyobrażam sobie sceny wypełniania przez kapłanów-szamanów tych zagłębień „wodą życia”, w trakcie odprawianych tu przez nich obrzędów, lub rytualnego wkładania do nich zwierzęcych pokarmów pochodzących ze składanych ofiar w celu przywabienia z całej okolicy świętych ptaków: sępów, kruków, może również ibisów? I żerowania ich na szczytach filarów. Ten widok musiał być z pewnością zjawiskowy.

Najstarsze Okręgi C i D są najbardziej ze wszystkich rozbudowane. Do tego pierwszego prowadzą nawet schody wykute w skale (najstarsze z nam znanych!). Wejście ozdabia U-kształtna brama wykuta w bryle kamienia, dalej jest dromos – korytarz prowadzący do wnętrza świątyni. Jest tu też tzw. „obejście” – następny korytarz opasujący jej wewnętrzny krąg. Ewidentnie świadczy to o tym, że konstrukcja, charakter i styl tych sanktuariów od samego początku były gruntownie przemyślane. Jakby skądś przeniesione. Bo przecież w Gobekli Tepe, podobnie jak to już w historii wielokrotnie bywało, nie stwierdzono jakichkolwiek faz wstępnych lub pośrednich tworzenia tych kamiennych struktur.

Od samego zarania istniała tu również wyraźnie zhierarchizowana struktura religijnej władzy – z dwiema osobami w centrum (uosabianymi przez dwie centralne figury – męską i żeńską) i towarzyszącą tej parze „świętą”. Można tak sądzić, ponieważ środkowe filary wyraźnie górują nad pozostałymi. Ponadto osadzano je na wykutych w skale prostokątnych platformach – „królewskich” podestach. To, iż są to osoby płci odmiennej wnoszę z motywów ikonograficznych wyrzeźbionych na tych figurach. Motywów ewidentnie zaczerpniętych z paleolitycznego panteonu, takich jak byk i lew, które w epoce kamiennej symbolizowały Boga-Zwierza, a węże i symbole astralne były atrybutami *Magna Mater*. Dodatkowo, jak przypuszczam, w Gobekli Tepe ryty umieszczone na korpusach filarów mogły być także odniesieniami do pełnionych przez te osoby funkcji. Nie można również wykluczyć, że były ich imionami. Podobnie jak u Indian Północnoamerykańskich do niedawna bywało. Przykłady takich imion to: Skaczący Lis, Potężny Dzik, Górujący Lew, itp. Natomiast ikonografia umieszczona na głowicach filarów odnosi się najpewniej do kosmosu czyli

sakralnej sfery ducha. Tak uważam, bo nic na „Wzgórzu Pępka” nie jest przypadkowe, a przecież w tej kulturze czaszki były zamieszkowane przez wiecznotrwałe duchy. Czaszki uosabiane przez głowice tych figur. O tym, że głowice-czaszki odnoszą się do sfery kosmicznego sacrum, świadczy na domiar fakt, że ryty na nich umieszczano tylko po prawej stronie, zatem ich oglądanie – odczytywanie jest możliwe przez okrażanie świątyni idąc od lewej strony do prawej – zgodnie z ruchem wskazówek zegara i ciał niebieskich: Księżyca, planet, gwiazd i... oczywiście Boga-Słońca.

## SĘPI KAMIEŃ

Wśród T-kształtnych filarów jeden zwraca szczególną uwagę, bo jest nietypowy. Myślę tu o filarze oznaczonym numerem 43 z Okręgu D w Gobekli Tepe, zwanym „Sępi Kamieniem”. Ma głowicę powiększoną w stosunku do kolumny, na której jest ona osadzona, czym ewidentnie odbiega od normy, czyli reszty tutejszych wyobrażeń postaci. Ponadto cała jego powierzchnia wypełniona została płaskorzeźbami przywodzącymi na myśl jakąś opowieść. Co nieodparcie kojarzy się z późniejszymi o wiele tysiąceci sumeryjskimi stelami, sławiącymi „bohaterskich” władców i ich „heroiczne” czyny albo doniosłe zdarzenia. Sępi Kamień to, jak przypuszczam, coś na kształt religijnej przypowieści o pośmiertnej wędrówce ludzkiej duszy. Czy jest to historia tycząca konkretnej, ważnej dla tej społeczności osoby, czy raczej opowieść zuniwersalizowana, pojęcia nie mam, a dziś pewnie nie da się tego ustalić. W tej wrytej w kamieniu opowieści jakiemuś zmarłemu w jego pośmiertnej wędrówce pomagają antropomorficzne sępy, czyli szamani za nie przebrani. Na tej steli widnieje też gigantyczny skorpion, zapewne symbol śmierci. Ponadto są tu dwa węże odpowiedzialne za proces transformacji (jeden ukazano przy ciele zmarłego, drugi w pobliżu świętej najpewniej – oczyszczającej z grzechów – rzeki. Jej nurt ukazano schematycznie za pomocą zwielokrotnionego symbolu V i odwrotności tej litery. W wodach rzeki pławi się dziwny żuraw, flaming lub inny ptak z gatunku brodzących, zapewne następny kapłan odgrywający jakąś rolę. Nad rysunkiem rzeki przedstawiono trzy wiadra z półkolistymi uchwytyami – pojemniki na wodę, jak mi się zdaje. Co ciekawe, analogiczne torby lub wiadra widnieją w rękach kapłanów na wielu stelach, które przedstawiają ich w ceremonialnych przebraniach, a wywodzących się z religii znacznie późniejszych (i to nie tylko tych bliskowschodnich!)<sup>135</sup>. Wróćmy

<sup>135</sup> Przykładów można przytoczyć wiele. Na dużym, bazaltowym zbiorniku na wodę do oczyszczających ablucji, pochodzącym ze świątyni boga Aszura, opatrzonym inskrypcją

jednak do opisu – przedstawionym na Sępi Kamieniu trzem liturgicznym wiadro-torebkom patronują, czy może są do nich przypisane: do pierwszego – hybrydalny ptak brodzący (pewnie też teriantrop – kapłan w przebraniu), do środkowego – zwierz kotowaty z ogonem wygiętym nad grzbietem, a do ostatniego – salamandra lub ropucha. Czy są to wplecione w główny wątek trzy mniejsze opowieści o czerpaniu lub/i przynoszeniu wody życia? Można się tylko domyślać, natomiast z pewnością głównym bohaterem tej przypowieści jest zmarły, którego ciało pozbawione głowy ukazano u dołu lewej strony kompozycji. W centralnym miejscu, tuż nad ręką-skrzydłem naczelnego sępa-kapłana, niczym Słońce, unosi się głowa zmarłego, jego dusza. Głowa ukazana w postaci schematycznego dysku, piłki, gwiazdy lub planety. W tym, że jest to jego głowa, utwierdza mnie jednoznaczna opinia eksperta w dziedzinie prehistorycznej sztuki naskalnej Anatolii, Mu-vaffaka Uyanika (cytuję za A. Collinsem): *W mezolicie uświadomiono sobie, że człowiek ma duszę odrębną od ciała, a ponieważ wierzono, że dusza zamieszkuje głowę, pogrzeby urządzano jedynie czaszkom. Wiemy też, że ludzką duszę przedstawiano jako koło i taki symbol był później tradycyjnie umieszczany na nagrobkach bez inskrypcji*<sup>136</sup>. Jeżeli moja interpretacja jest prawidłowa i rzeczywiście Sępi Kamień jest pierwszą w historii stelą, to jest on jednocześnie Kamieniem Milowym w przemianach ludzkich kultur. Zatem Gobekli Tepe jest owym świętym miejscem – *Aksis mundi* – „Ośią Świata” – Magicznym Mostem łączącym przeszłość z przyszłością w chwili, gdy czas się zatrzymał na kilka tysięcy lat.

---

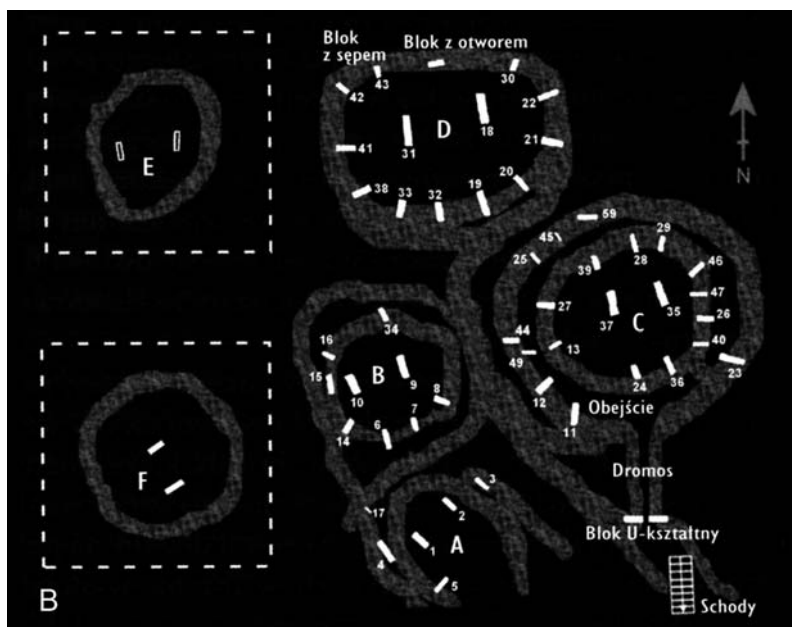
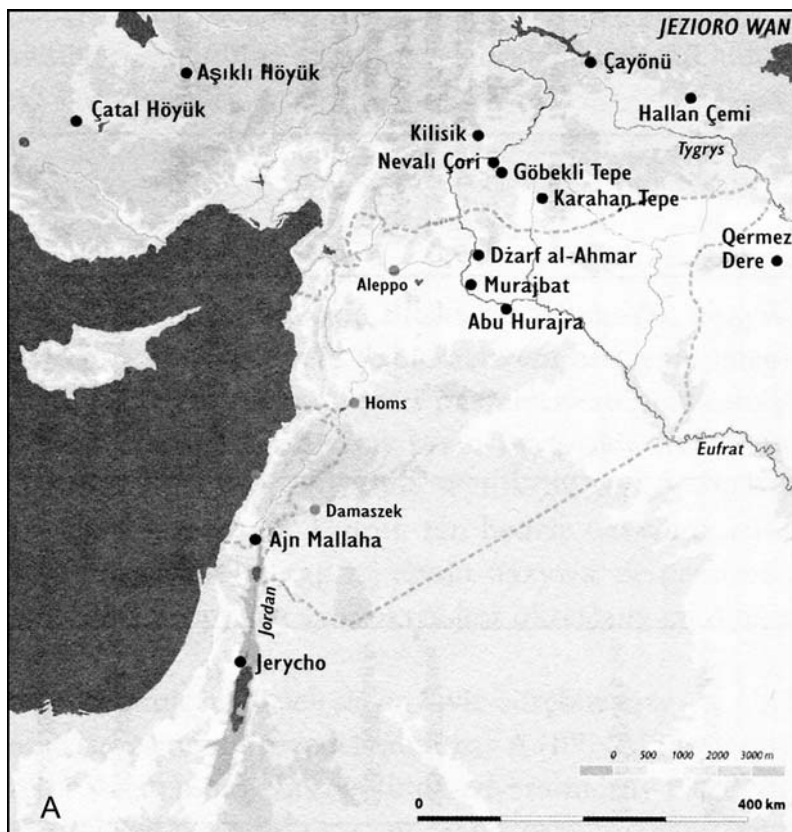
Sennacheryba (704–681 p.n.e.), obecnie znajdującym się w Vorderasiatisches Museum w Berlinie, ukazano kilku kapłanów boga Enki w ceremonialnych szatach w kształcie ryb. Trzymają oni w rękach podobne do tych przedstawionych na Sępi Kamieniu wiaderka liturgiczne oraz kropidła. Analogiczne wiadra liturgiczne widnieją w rękach skrzydlatych, a czasem też z głowami ptaków kapłanów, uosabiających bóstwa na asyryjskich reliefach pochodzących z Darszarrukin (koniec VIII wieku p.n.e., obecnie w Luwrze), z pałacu w Kalchu (obecnie Muzeum Brytyjskie w Londynie) oraz na kilku innych mezopotamskich stelach. Na tych przedstawieniach kapłani jako kropideł używają obiektów podobnych do szyszek. Co intrygujące i skłaniające do domysłów, analogiczne liturgiczne wiadro widnieje w ręku olomeckiego kapłana na steli „Pierzastego Węża”, pochodzącej z meksykańskiego stanowiska La Venta. Zarówno w Mezopotamii, jak i w Mezoameryce woda życia wiązała się z węzami, a także z wyobrażeniem Drzewa Kosmicznego. Trudno zatem te liczne zbieżności tłumaczyć wyłącznie konwergencją ludzkich wyobrażeń.

<sup>136</sup> Ibidem, s. 107.

## PODSUMOWANIE

Przedstawiona w tym rozdziale charakterystyka epipaleolitycznych, archeologicznych stanowisk Bliskiego Wschodu daje solidne podstawy do twierdzenia, że to tu i wtedy ukształtował się ideowo-religijny szkielet większości neolitycznych religii i kultur. To tu umocniła się wiara w duchy przodków i koncepcja duszy wraz z jej pośmiertnym bytowaniem. To tu w epipaleolicie zbudowano pierwsze kościoły i kurhany grobowe, prototypy piramid, sanktuaria łączące rozproszone plemiona we wspólnej wierze. Opracowano także tam i wtedy rytuały, i stworzono figury patronujących tej religii bogów. Ponadto wprowadzono do ceremonialnych obrzędów maski, liturgiczne naczynia i szaty kapłańskie. Z tego panteonu bogów, symboli i znaczeń liczne późniejsze religie czerpały pełnymi garściami. Wystarczy przypomnieć te wszystkie ptasie, bycze, krowie, lamparcie i hybrydalne sumeryjskie, egipskie, greckie oraz wiele innych wyobrażeń niebiańskich istot, w tym również biblijnych aniołów. Zapewne to wtedy i tam narodził się zwyczaj podnoszenia do majestatu bogów lub/i ciał niebieskich ważnych dla społeczności śmiertelników. Zwyczaj pokutujący niezmiennie długo, bo przecież dobrze pamiętamy tych „boskich” lub „najjaśniejszych” faraonów, królów i cesarzy jak, dla przykładu, egipski Horus, rzymski Cezar, a nawet francuski Ludwik XIV. Bodaj ostatnim z nich był japoński cesarz Hirohito. Wiara w oczyszczającą i uzdrawiającą moc „święconej” wody, również dziś kultywowana choćby w chrześcijaństwie, także z tego epipaleolitycznego źródła się wywodzi. Wynalazki rolnictwa oraz hodowli zwierząt również. Niestety należy na koniec skonstatować, iż niewątpliwe dokonania kultur mezolitu wciąż pozostają mocno niedoszacowane.

Mity wielu ludów, w tym bliskowschodnie, mówią o tajemniczych grupach boskich lub półboskich imigrantów – cywilizatorów przybyłych w rozmaite rejony świata: z wielkiej wody, ze wschodu, z północy albo z samego kosmosu. I że to właśnie im prymitywne plemiona zawdzięczają rozwój i dobrobyt. Wiele mitologicznych opowieści mówi także o potopie – apokaliptycznym Armagedonie, z którego uszli nieliczni, zwykle jedna para – kobieta i mężczyzna. I że to ci wybrańcy bogów odbudowali świat z popopopowych zgłiszczy. Przyjrzyjmy się zatem teraz tym ciekawym narracjom z bliska.



A – Mapa epipaleolitycznych stanowisk archeologicznych w południo-wo-zachodniej Azji. B – Schemat rozmieszczenia najważniejszych odkrytych Okręgów w Gobekli Tepe z usytuowaniem w ich obrębie T-kształtnych filarów (według A. Collinsa).



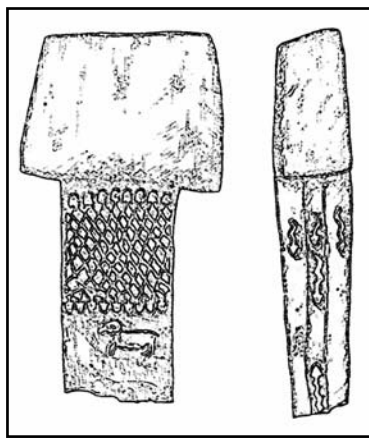
Wykopaliska w Okręgu C w Gobekli Tepe prowadzone przez naukowców z Niemieckiego Instytutu Archeologicznego we współpracy z Muzeum Archeologicznym w Sanliurfi.



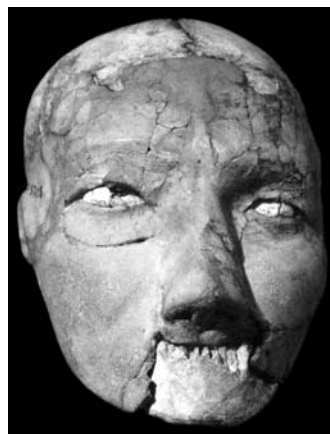
Filar 2 z Okręgu A w Gobekli Tepe z wizerunkiem tura, skaczącego lisa i jakiegoś brodzącego ptaka, być może żurawia. Po prawej Filar 10 z Okręgu B z reliefem skaczącego lisa.



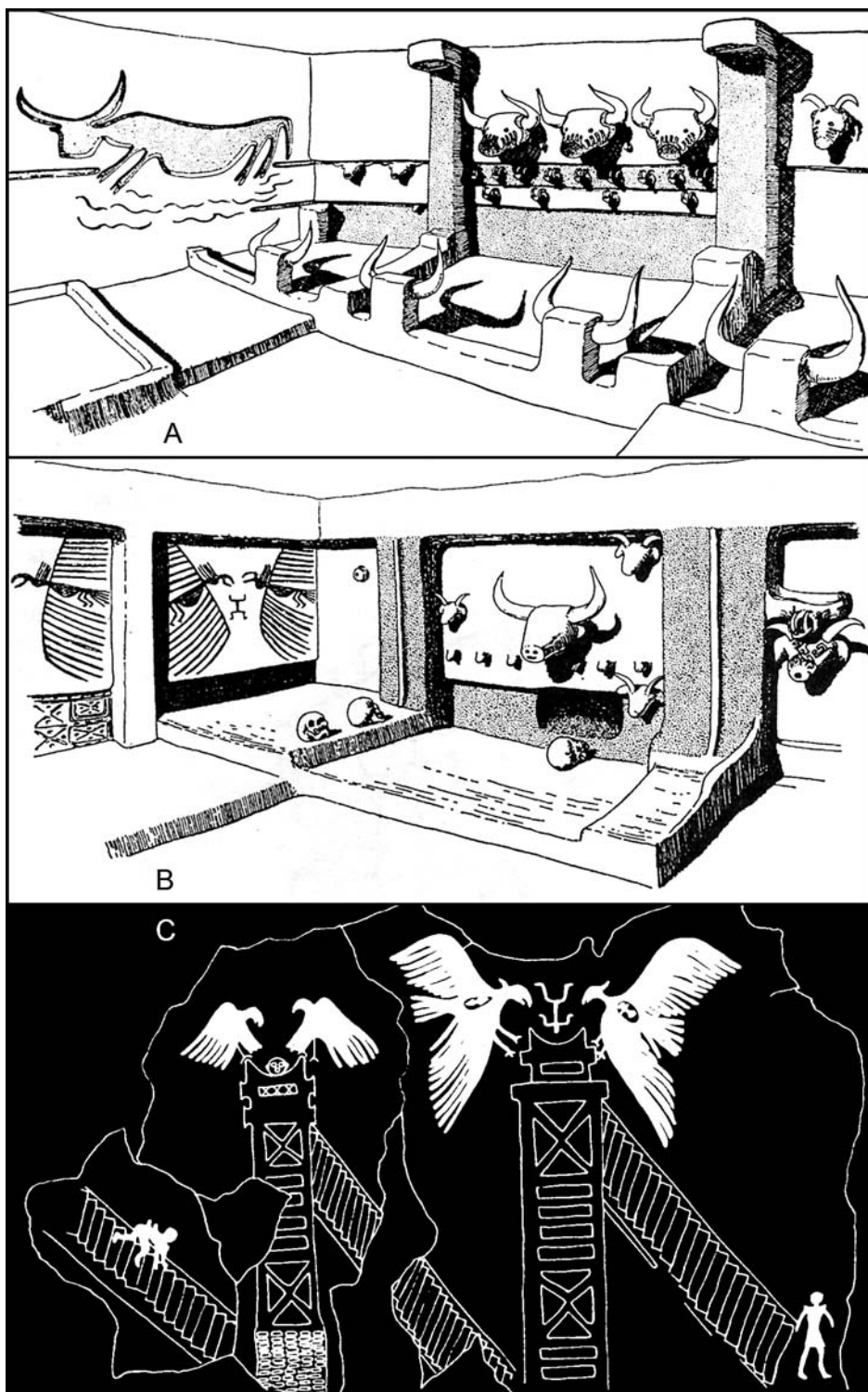
Venus z Catalhoyuk datowana na VIII-V tysiąclecie p.n.e. Z prawej kamienny T-kształtny posążek odkryty w Kilisik.



Naszyjnik znaleziony w Ashikli Huyuk datowany na około 7000 lat p.n.e. wykonany z płaskich, kilkucentymetrowych paciorków z bordowego agatu. Obok rysunek „Wężowego Filaru” nr 1 z Okręgu A w Gobekli Tepe.



Jerycho, czaszki zmarłych (siedziby ich duszy) malowane ochrą z wymodelowanymi w gipsie twarzami i oczami z muszli Kauri. VIII tysiąclecie p.n.e.



Catalhoyuk: A – Rekonstrukcja świątyni VI A8 (według M. Brezillona). B – Rekonstrukcja „Kaplicy Sępów” (za R. Rudgleyem). C – Wieże ekskarnacyjne ze zrekonstruowanego fresku datowanego na 7500–5700 lat p.n.e. (według J. Mellaarta).



A – „Człowiek z Urfy” odkryty w 1993 roku w najstarszej dzielnicy Sanliurfy. Jego szacunkowe datowanie to 9000 lat p.n.e. B – Ludzko-zwierzęca totemiczna figura z odłamaną głową znaleziona w jednym z mniejszych Okręgów w Gobekli Tepe. C – „Sępi Kamień”, filar oznaczony numerem 43 z Okręgu D w Gobekli Tepe.



## XII. Armagedon w trzech odsłonach?

Odnalezione w latach pięćdziesiątych XX wieku w grocie nad Morzem Martwym zwoje zwane *Tekstami z Qumran* (datowane na II i I wiek p.n.e.) mimo, że zachowane tylko we fragmentach, są intrygującym uzupełnieniem biblijnej Księgi Rodzaju. Jeden z odnalezionych rulonów opowiada o rodzinnych kłopotach Lameka, który podejrzewał żonę, Bat-Enosz, o zdradę i wiarołomstwo. Niedowierzał jej zapewnieniom, iż to on jest ojcem niedawno urodzonego przez nią syna, bardzo różniącego się od reszty jego dzieci wyglądem. Święcie oburzona Bat-Enosz zapierała się, przekonywała, że z żadnymi obcymi: żołnierzami ani synami niebios nigdy nie miała intymnych relacji. Lamek jednak wciąż jej niedowierzał i ze swoich małżeńskich zgryzot zwierzył się ojcu, Matuzalemowi. Ten, by tę kłopotliwą rodzinną kwestię wyjaśnić, udał się do mędrca Henocha. Opisał tamtemu wygląd chłopca – od czubków palców u nóg po włosy na głowie – nieprzypominającego nikogo z członków jego rodziny. A jeśli już kogoś, to raczej synów niebios niż ludzi. Henoch wysłuchał go z uwagą, po czym oznajmił mu, iż niebawem nadejdzie dzień ostatecznego sądu, zepsuta ludzkość zostanie przez boga wygubiona w wielkim potopie, a temu chłopcu przeznaczona jest rola ojca rodu tych, którym dane będzie przetrwać i odtworzyć rodzaj ludzki po zagładzie. Henoch zaproponował Matuzalemowi, by jego syn Lamek, nazwał to dziwne dziecko imieniem Noe i wychowywał troskliwie jak rodzonego syna. I tak się stało. Wiele lat później biblijny mędrzec Henoch odleciał do nieba na ognistym wozie, a Noe zbudował według precyzyjnych wskazówek otrzymanych od boga Jahwe ogromną łódź – arkę, na której wraz z rodziną, dobytkiem i zwierzęcym inwentarzem przetrwał potop. A wywiedziona od niego rasa ludzi zasiedliła ponownie spustoszoną Ziemię.

Z *Rulonu Lameka* wynika kilka ciekawych wniosków: Noe był, jak się zdaje, potomkiem jednego z synów niebios. Mędrzec Henoch był przybyłym z nieba (skoro tam odleciał). Biblijny potop został przez boga ukarowany wiele lat wcześniej, oraz – nie tylko Noe, ale również Matuzalem i jego syn Lamek byli wtajemniczeni w „boski” plan wyniszczenia ludzkiego

rodzaju. Pozostaje pytanie – kim byli i skąd się wzięli na Ziemi synowie niebios, tak wtedy powszechni, iż toczono o nich małżeńskie waśnie?

Nieco światła na tę ostatnią kwestię rzucają biblijne zapisy: *A kiedy ludzie zaczęli się mnożyć na ziemi, rodziły im się córki. Synowie Boga, widząc, że córki człowiecze są piękne, brali je sobie za żony, wszystkie, jakie im się podobały.* (Rodz 6, 1–2). I kolejny: *A w owych czasach byli na ziemi giganci; a także później, gdy synowie Boga zbliżali się do córek człowieczych, te im rodziły. Byli to więc owi mocarze, mający sławę w owych dawnych czasach* (Rodz 6, 4). Z tego wynika, iż Jahwe miał synów – gigantów! Pewnie z tego powodu, a nie z powodu swojej boskiej pychy, w Księdze Rodzaju wyraził się nie w liczbie pojedynczej, lecz mnogiej: *Uczyńmy człowieka na Nasz obraz, podobnego Nam.* Obecność na Ziemi „gigantów” vel „olbrzymów” tudzież „mocarzy” obwieszczą nam niemal wszystkie mitologie świata. Jedni ludziom życzliwie pomagali, inni byli groźni i okrutni bądź gnuśni i niechętni do jakiegokolwiek współpracy. Zastanawiające, że nie tylko bóg Jahwe, ale również grecki Zeus, rozsierdzony na niegodziwych ludzi z epoki brązu, postanowił ich wygubić. Helleński Noe nazywał się Deukalion, jego żoną była Pyrra, a z potopu uratowali się po dziewięciu dniach dryfowania na wielkiej łodzi.

Rozpatrując biblijne i mitologiczne dzieje Noego czyli Deukaliona, nie sposób nie zauważyć zastanawiających podobieństw tych przekazów z innym zapisem, znacznie od nich starszym, wyłoczonym na jednej z dwunastu znalezionych w Kujundżyk w Iraku (dawna Niniwa) glinianych tabliczek. Tekst pochodzi z biblioteki asyryjskiego króla Assurbanipala i jest napisany w języku akadyjskim (inny egzemplarz tej opowieści datuje się na czasy Hammurabiego). Jest to pełna przygód, frapująca opowieść o królu Gilgameszu, swoistym mieszkańcu (w 2/3 bogu, a tylko w 1/3 człowieku). Jedenasta tabliczka tego eposu jest relacją z jego zamorskiej podróży i spotkania w odległej krainie podobnego, też zapewne bosko-ludzkiego mieszkańca – Utnapisztima. Ocalił on siebie i swoją rodzinę z potopu na wielkiej łodzi, którą przed kataklizmem nakazali mu zbudować bogowie. Ten mit jota w jotę przypomina oba późniejsze, nawet wątek wypuszczania kruka a potem gołębia w celu odnalezienia stałego lądu jest identyczny z biblijną wersją.

Domysły nasuwają się same: W przepastnych bibliotekach egipskich faraonów ten późnobabiloński, mezopotamski epos był przypuszczalnie dostępny, choćby w przepisanych kopiach. Autorzy mitologii greckiej z pewnością go znali. Mojżesz, jako człowiek światły i członek egipskiego dworu, miał również dostęp do tych księgozbiorów, mógł zatem z nich czerpać inspirację. Mógł też być jednym z autorów Starego Testamentu. Niewątpliwie wielce zastanawiające jest to, że jego życie rozpoczęło się

w papirusowym koszyku puszczonej na wody Nilu, czyli identycznie tak samo jak życiorysy co najmniej kilku władców lub/i herosów: Tezeusza, Perseusza, Sargona, Romulusa, Cyrusa...

Starobabilońskie teksty mówią o ogromnej powodzi godnej miana potopu, która nawiedziła Starożytny Wschód kilka tysięcy lat temu. Przynajmniej ten szczegół wydaje się być dość wiarygodny. Przynajmniej on, ponieważ mit o Utnapisztimie też jest tylko adaptacją jeszcze starszej, akkadzkiej legendy o jakimś Atrahasisie. Ta z kolei zapewne wywiedziona została z eposu zapisanego na kilku sześćospaltowych tabliczkach odnalezionych w Nippur (pradawnej religijnej stolicy Sumeru), oddalonym około 150 kilometrów na południe od Bagdadu. Na tych tabliczkach znajduje się najstarszy z zachowanych opis potopu oraz opowieść o sumeryjskim Noem-Deukalionie-Utnapisztimie-Atrahasisie czyli Ziusudrze, władcy miasta Szuruppak (według legendy założonego przez boga Enki dla bogini Sud *vel* Ninlil, „Pani Wiatr”, żony boga Enlila). Do naszych czasów zachowały się niestety tylko fragmenty tego eposu. Autor poematu opisuje Ziusudrę jako króla świątobliwego, posłusznego bogom, wznoszącego dla nich świątynie i składającego im hołdy i ofiary. Pokornie oczekującego wskazówek oraz poleceń z nieba. No i po latach starań doczekał się on wreszcie spotkania z bogiem przy jakimś murze. Enki odezwał się do niego w te oto słowa:

*Stań przy murze po mojej lewicy...  
Przez mur rzeknę ci słowo, słuchaj mego słowa,  
Wysłuchaj moich zaleceń:  
Z naszej (...) potop zaleje ośrodki kultu,  
By zniszczyć nasienie człowiecze.  
Oto decyzja, słowo zgromadzenia bogów,  
Na rozkaz wydany przez Ana i Enlila  
Królestwu (ziemi), prawu (ziemi) zostanie położony kres<sup>137</sup>.*

W tym miejscu tekstu widnieje pierwsza kilkudziesięciowerszowa luka. Przypuszcza się, że brakujący fragment zawierał szczegółową instrukcję odnoszącą się do technicznych kwestii związanych z budową wielkiej łodzi. Potem mamy kolejny zachowany fragment:

*Wszystkie wichry o niezwyklej sile zaatakowały naraz,  
W tym samym czasie potop zalał ośrodki kultu.  
Gdy po siedmiu dniach i siedmiu nocach,  
Podczas których potop zalewał ziemię  
I ogromną łodzią miotaly wichry pośród wielkich wód,  
Pojawił się Utu, rozciągający blask na niebie i ziemi,  
Ziusudra otworzył okno ogromnej łodzi.*

<sup>137</sup> M. Bielicki, *Zapomniani...*, op.cit., str. 206.

*Bohater Utu wrzucił snop promieni do ogromnej łodzi.*

*Ziusudra, król,*

*Ukorzył się przed Utu,*

*Król wołu zabił dlań i zarznął owcę<sup>138</sup>.*

Tu następuje kolejna luka, a potem mamy ostatni fragment kończący ten najstarszy znaleziony tekst o potopie:

*Ziusudra, król,*

*Ukorzył się przed Anem i Enlilem,*

*An i Enlil upodobał sobie Ziusudrę,*

*Życie takie jak życie boga, mu dali,*

*Wieczne tchnienie, jak (tchnienie) boga, zanieśli mu.*

*Wówczas Ziusudra, król,*

*Wybawiciel imienia roślin i nasienia człowieczego,*

*Na wyżynie władzy, w krainie Dilmun, gdzie wschodzi słońce,*

*zamieszkał z ich woli<sup>139</sup>.*

Czy mogły istnieć jeszcze starsze zapisy z innym bohaterem w roli głównej? I czy kiedykolwiek je odnajdziemy? Na pierwsze pytanie nie ma odpowiedzi, ale nie jest to wykluczone, natomiast na drugie pytanie mogą odpowiedzieć, że mocno w to wątpię zważywszy, iż więcej ksiąg w historii ludzkości zniszczono niż zachowano. Przyczynili się do tego wszyscy: Władca Inków Bachacuti IV, Rzymianie, którzy zniszczyli bibliotekę Ptolemeusza Sotera w Aleksandrii. Ponadto spalono 200 tysięcy ksiąg w Pergamonie, również bibliotekę w świątyni w Jerozolimie. Także Kalif Omar metodycznie niszczył dzieła „niewiernych”. Ze względów politycznych, w 214 roku p.n.e., chiński cesarz Szi-Huang rozprawił się z wieloma filozoficznymi, historycznymi i astronomicznymi traktatami. Ile i jakich dzieł pozwolił zniszczyć Paweł z Tarsu?, a ile bezcennych ksiąg w religijnym szale spalili chrześcijańscy zakonnicy i misjonarze? Nie sposób tego ustalić.

## REKONSTRUKCJA ARMAGEDONU

Dzieje życia Noego-Deukaliona-Utnapisztima-Atrahasisa-Ziusudry to tylko jeden z wielu wątków opowieści o najtragiczniejszym doświadczeniu ludzkości – przerażającym globalnym ARMAGEDONIE, z którego uszli z życiem tylko nieliczni. Ciąg tych apokaliptycznych scen utrwalił się w naszej zbiorowej pamięci jedynie w postaci mitów ludów całego świata, przenoszonych z pokolenia na pokolenie. Ich wzajemne podobieństwa,

<sup>138</sup> Ibidem, str. 207.

<sup>139</sup> Ibidem, str. 207.

wyrazistość obfitująca w szczegóły, również ich powszechność bardzo są zastanawiające. Kwestią sporną pozostaje, czy możemy na nich polegać, czy da się z nich wydobyć choćby cień prawdy. Większość badaczy oficjalnego nurtu podziela pogląd wyrażony przez niemieckiego uczonego, profesora K. Zieglera: *Pamięć ludzka, jeśli nie wspiera się na zapisach, jest zadziwiająco krótka. Wspomnienie zachowuje się dość wiernie tylko przez niewiele pokoleń. Po upływie 100 lat wszystko z reguły staje się mglistą legendą(...).Bezważdne umiłowanie prawdy nie jest bowiem podstawową cechą ludzkiej duszy, lecz żmudnym wytworem wychowania intelektualnego i moralnego. Z natury, a więc jako dziecko lub pierwotny człowiek, każdy z nas jest kłamcą, fantastą i chwaliپیęią, częściowo świadomie, przeważnie jednak nieświadomie. Bohaterskie opowieści wszystkich ludów stanowią tego najwymowniejszy przykład. (...) możliwość zachowania wiernego wspomnienia o katastrofie przez 10 000 lat, a więc przez 300 pokoleń, można uznać za wykluczoną<sup>140</sup>. Z pewnością jest w jego opinii sporo racji, również uważam, że ludzie to urodzeni kłamcy. Tyle, że mówimy tu o najbardziej przerażającym doświadczeniu w dziejach, a przecież pamięć o największych traumach jest najtrwalsza. Można znaleźć na to wiele przykładów, choćby opowieść Indian Klamath z centralnego Oregonu: (...) bóg świata podziemnego, Llao, wyszedł spod ziemi przez początkowo niewielki krater wierzchołka góry Mazama i kilkakrotnie pojawił się na jej szczycie. Jednocześnie Skell, bóg świata nadziemnego, stanął na szczycie góry (Mount Shasta), kilkaset metrów na południe. Rozpoczęła się walka między bogami, będąca czasem wielkich wybuchów. Głazy śmigwały w powietrzu, ogień niszczył lasy i siedziby Indian. A siedem dni ciemności rozświetlało tylko oślepiające światło płonących gór. Koniec bitwy nastąpił, gdy zapadł się tron boga Llao, góra Mazama<sup>141</sup>. Otóż badania geologiczne wykazały, iż znajdujące się w centralnym Oregonie jezioro powstało po gigantycznej erupcji wulkanu stożkowego. Wybuch wysadził w powietrze wysoki na tysiąc metrów szczyt góry Mazama i spowodował jej zapadnięcie się. W wyniku czego utworzyła się szeroka na 10 kilometrów i głęboka na 1200 metrów kaldera (zagłębienie w kształcie kotła). Popiół z tej erupcji pokrył milion kilometrów kwadratowych, a gruba warstwa powstałego pumeksu sięga do 170 kilometrów od epicentrum eksplozji. Badania geologiczne oraz wykopaliska zaświadczaą, iż gigantyczne orkany ognia spaliły cały ten region. Ustalono, iż ta potężna erupcja miała miejsce około 4850 roku p.n.e., a więc jakieś 200 pokoleń temu! Warto też przypomnieć, że dzięki zaufaniu do mitologicznych przekazów Arthur Evans odnalazł pałac Minosa,*

<sup>140</sup> A. i E. Tollmannowie, *A jednak był potop*, Prószyński i S-ka. Warszawa 1999, str. 157.

<sup>141</sup> Ibidem, str. 158, 159.

a Heinrich Schliemann odkrył mityczną Troję. Postanowiłem zatem pójść w ich ślady i w oparciu o wybrane przekazy dokonać próby rekonstrukcji legendarnego potopu. Dla porządku dodam, że wszystkie przytoczone poniżej fragmenty mitów zaczerpnąłem z książki: „A jednak był potop” autorstwa prof. Alexandra Tollmanna, geologa z uniwersytetu wiedeńskiego i dr Edith Tollmann, mikropaleontologa, jego żony.

*Henoch ujrzał na krańcach nieba siedem gwiazd jak wielkie płonące góry* – głosi stara legenda żydowska. W indyjskiej Matsjapuranie jest mowa o *siedmiu chmurach zagłady świata oraz siedmiu bezlitosnych promieniach*. Tradycja babilońska (i nie tylko ona) wspomina o *siedmiu głowach wielkiego węża*. Persowie w Zend-Aweście odnotowali zdanie: (...) *od południa zaczął się wznosić ognisty smok; wszędzie siał spustoszenie, dzień zamieniał się w noc, gwiazdy znikaly, zodiak zakryty był jego przeogromnym ognem* (...). Pliniusz Starszy w swojej „Historii naturalnej” napisał: *Straszliwa kometa ukazała się mieszkańcom Etiopii i Egiptu, nazwana przez ówczesnego króla Tyfonem, świeciła ognistym światłem, była zwinięta spiralnie, wyglądała wstrętnie, raczej jak płonąca bryła niż gwiazda*. Z kolei w Objawieniu św. Jana czytamy: *I gwiazdy spadły z nieba na ziemię*. Podobnie relacjonuje jedna ze starogermańskich pieśni zawartych w Eddzie, cytuję: *Słońce ciemnieje, ziemia osuwa się w morze, / Spadają z nieba jasne gwiazdy, / Szaleją dymy i ogień, co życie ożywia, / Płomień i żar wysoko strzela pod niebo*. Ogromne słupy ognia były z pewnością pierwszymi symptomami eksplozji kosmicznych ciał: *Płomienie uderzyły aż w niebo, topiąc wiele gwiazd, spadających w dół deszczem płynnego metalu* – głosi mit Indian Waszo z plemienia Hoka. Wtedy też *wszystko się na ziemi kruszyło*, (według starej egipskiej legendy) *ludzie padali na twarz, a domy waliły się na nich; gwiazdy zderzały się na niebie, a ich szczątki pokrywały ziemię do wielkiej wysokości*. Hezjod w „Teogonii” przetworzył mity plemion przedhelleńskich: *Rzucił (bóg-ojciec) grom, piorun trząsł i ziemię wprawił w drżenie. / Od podstawy zadrżało i niebios sklepienie, / i ocean i morze i dno Tartarowe; (...) / Grom błysnął z góry, z dołu ogniste pociski (...) / Od ognia wszędy niebo, morze i ląd pała, / pałają wokół brzegi i łomoczą wały, / pod pociskami nieba szaleje świat cały (...). / A ziemia zadymiała i jak cynk topniała (...)*. Według indyjskiej Ksemendry (I, wiersz 34–35): *Potem ku zniszczeniu niebios uderzył w górę pierścień płomieni, wyglądający jak mnóstwo języków boga śmierci i świecących jak wschód dwunastu słońc. Gdy okrąg ziemi spaliło wiele straszliwych słońc, szereg światów, wraz ze wszystkim, co się poruszało i co było nieruchome, zamieniło się natychmiast w popiół*. Proroctwo natomiast z księgi Matsjapurany poetycko ten opis dopełnia: *Pod koniec jugi z morza wyrwie się ogień, a trujący płomień z ust Samkarsany buchnie z Patali, i ogień wystrzeli z trzeciego oka na*

czole Mahadewy. Tak podpalony świat ulegnie zniszczeniu (...) Potem siedem bezlitosnych promieni słońca, gotujących zgubę małym istotom, spuści deszcz rozżarzonych węgli drzewnych. Na jedenastej tabliczce eposu o Gilgameszu zapisano: *Anunnaki pochodnie podnieśli, / blaskiem ich straszliwym ziemię zażegli. / Wir pyłu Rammana nieba dosięga, / i światło wszelkie w mrok przemienia. / Pękła wielka ziemia jakoby garnek, a wkrótce potem: bogowie podziemi zatrzęśli światem.* W Apokalipsie św. Jan (Obj 9,2) stwierdził, że gwiazda otworzyła studnię Czułości, a dym się uniósł ze studni jak dym z wielkiego pieca, i od dymu studni zaćmiło się słońce i powietrze. O czeluściach wspomina również Koran (sura 11, wers 42): *gdym wydał rozkazy, i otworzyły się czeluście.*

Tym zdarzeniom towarzyszyły, rzecz jasna, niewypowiedziane dudnienie, huk i inne straszne odgłosy. Według starego peruwiańskiego mitu morze z potwornym łoskotem wdarło się na ląd. W tym samym czasie lub wcześniej: (...) *ziemia i skały tak się zatrzęsły, iż drzewa zostały wyrwane z korzeniami i skały zawałyły się z hukiem (głosi Edda).* Według Lapończyków: *Jubmal (ich bóg) wywracał świat w górę i w dół.* W jednym z wersów Koranu czytamy: *Ziemia była przedziurawiona na wylot jak sito, i wytrysnęły z niej potoki źródeł, wznosząc się w górę tysiącem strumieni.* To samo w Księdze Rodzaju (7/11): *trysnęły z hukiem wszelkie źródła Wielkiej Otchłani.* Księga Henocha (83, 3–5) też wspomina o rozchwianiu ziemi: *zawałyło się niebo i spadło na ziemię, i ziemia zapadła się w otchłani razem z górami, wzgórzami, drzewami.* Plemię Ami na Tajwanie przechowało opowieść o trzęsieniu ziemi, po którym wytrysnęła gorąca woda. W tym samym czasie waliły się góry, a ziemia się rozstępowała. Indianie Kato z Kalifornii opowiadają o pękaniu skał i rozszczepianiu drzew, a ich sąsiedzi – Indianie Waszo (Hoka) obrazowo twierdzą, iż *ziemia rzuciła się jak wzburzone morze, plując ogniem, dymem i popiołem. Płomienie sięgały aż do nieba.* Słynna Popol Vuh (Księga Wspólnoty) narodu Kiczów należącego do cywilizacji Majów (Gwatemala), zawiera opis chaotycznej paniki, jaka wszystkich ogarnęła: *Zrozpaczeni ludzie (...) uciekali, jak mogli najprędzej; chcieli wspiąć się na dachy swoich domów i dachy waliły się, zrzucając ich na ziemię; chcieli wejść na drzewa i drzewa strząsały ich daleko od siebie; chcieli schować się do pieczar, ale pieczary ich nie wpuszczały.*

Legendy wielu ludów zachowały pamięć również o apokaliptycznych nawałach ogniowych: *Wielki bóg Olelbis spojrział w dół na płonący świat. Nie mógł nic rozpoznać z powodu płomieni: skały płonęły, ziemia płonęła, wszystko płonęło. Potężne chmury dymu wznosiły się ku górze; pożary ulatywały w niebo – tak brzmi opowieść plemienia Wintunów z Ameryki Północnej.* W dalszej części ich mitu, z woli boga Olelbisa rozpoczęła się powódź, płynąca potężnym nurtem wody, zakrywająca ziemię po szczycy

*gór i gasząca pożar. Sąsiedzi Wintunów ze wschodu – Indianie Jana (Hoka) przedstawioną wersję zdarzeń potwierdzają: **Pałiło się wszędzie. Skały pękały z gorąca, woda parowała, góry pokrywał dym.** Te same „dantejskie” sceny zaobserwowano w Ameryce Południowej: **Hucząca rzeka ognia przetoczyła się po ziemi** (według plemienia Arawaków z Gujany). Również w Iranie pożar był tak wielki, że: **w wyniku nadnaturalnego gorąca wszystkie metale w górach rozpląły się i wylały rozpalonym strumieniem na ziemię** (opisują Wedy-Szaster). Natomiast Popol Vuh (święta księga ludu Kicze, należącego do cywilizacji Majów) wspomina o płonącej żywicy: **Obfity deszcz żywicy spadł z nieba. (...) Nad głowami dał się słyszeć wielki huk, jak od żywiołu ognia.***

Później nadeszła powódź w postaci spiętrzonych, wielkich jak góry, ryczących fal gnanych huraganowym wiatrem i wodospadów błotnistej wody spadającej potokami z nieba. W chińskiej Szu-Czing („Księdze dokumentów”) czytamy: ***niesłychana powódź zalała wszystko, i ulewne deszcze nie miały końca (...). Wielkie, bezbrzeżne wody czynią wszędzie spustoszenie, bezmiarem swoim otaczają góry, przelewają się ponad wzgórzami. Ogromne fale wspinają się aż do nieba.*** Australijscy aborygeni Narrinyeri fakt ten potwierdzają: ***Wówczas podniosła się straszliwa powódź, przelewała się dziko przez wzgórza, obalała uciekających i zatapiała ich swoimi wodami.*** Na Fidżi mówią, że obrażony bóg: ***Wyrzucił swą maczugę wysoko w niebo; chmury pękały i potworne deszcze zalały ziemię. Deszcze trwały wiele dni; nie były to takie deszcze, jakie dzisiaj padają na ziemię, wylewały się prawdziwymi strumieniami, podniosło się także morze i zalało ziemię.*** W starszej wersji Pięcioksięgu (Jahwisty) odnotowano: ***A gdy upłynęło siedem dni, wody potopu spadły na ziemię (...), przez czterdzieści dni i przez czterdzieści nocy padał deszcz na ziemię (...).*** Z eposu o Gilgameszu dowiadujemy się, że ***Przez dzień pierwszy południowa burza szaleje. / Wdarła się i górą wody pokryła, / powódź wpada na ludzi jak bitwa, / jeden drugiego już nie widzi / i z nieba także ich nie dojrzeć. / Bogowie sami zlekli się potopu, / wznieśli się, umknęli do nieba Anu, / (...). Burza idzie sześć dni, siedem nocy, / burza południowa ziemię równa potopem. / Kiedy dzień siódmy się uczynił, / poniechała burza południowa potopu.*** Natomiast Bundahiszn, część Awesty o stworzeniu/początkach, zawiera informację o jeszcze innych skutkach powodzi: ***Tistar (bogini) spuszczała deszcze z każdego swego ciała po dziesięć dni, a więc w sumie przez trzydzieści dni. Gdy w swojej pierwszej postaci spuszczała deszcze o kroplach wielkości spodka, to woda podniosła się na wysokość mężczyzny, i umrzeć musiały wszystkie szkodliwe stworzenia. Potem nadszedł wiatr z nieba i przegnał wodę. Ale nasienie wytępionych szkodliwych stworzeń pozostało na ziemi, powodując truciznę i zgniliznę. Po raz drugi***

*Tistar zstąpiła na ziemię (...), by od nowa spuścić deszcz. (...), a pozostała na ziemi trucizna szkodliwych zwierząt mieszała się z tą wodą, sprawiając, że stawała się słona. Od nowa zerwał się wielki wiatr, który tę wodę po trzech dniach przepędził na krańce ziemi (...), tym samym zatruwając nią nawet najdalsze źródła pitnej wody. Eskimosi z plemienia Czigit szczególowo relacjonują przebieg wydarzeń: Woda unosiła się coraz wyżej i wyżej, i fale zalewały skaliste góry. Potężna burza przewalała się nad ziemią, i huragan nie tracił na sile. Bez wątplenia ludzie mogli na początku suszyć się na słońcu, ale wkrótce zniknęli i świat wraz z nimi: zginęli bowiem zabici strasznym żarem, także wodami morza, wznoszącego się stale coraz wyżej. Nieszczęśni jęczeli i zawodzili, a na wodzie unosiły się wyrwane z korzeniami drzewa (...). Wśród Kurnajów z Australii żywa jest opowieść o tym jak to Mungan ngaua (Bóg Ojciec) zesłał ogień, który wypełnił całą przestrzeń między niebem a ziemią. Ludzie oszaleli ze strachu i zabijali się dzidami; ojcowie zabijali dzieci, mężowie żony, i bracia braci. Potem morze wdarło się na ziemię, i utonął prawie cały rodzaj ludzki. A ci, którzy przeżyli, dali początek rodowi Kurnajów, niektórzy z nich stali się jednak jak zwierzęta (oszaleli). Mitologiczna relacja kalifornijskich Nawahów jest taka: Wreszcie jednego ranka zdarzyło się, gdy wstawali, że na wschodzie coś się pojawiło, podobnie na południu, północy, zachodzie; była to jakby zwarta ściana wody bez żadnej szczeliny, która rozciągała się wokół nich. To była woda, to, co się wokół nich znajdowało, tego nie dało się przekroczyć, przejechać i wszystko uciekało. Biegali w kółko dopóty, aż dotarli do nieba. Tę wersję potwierdzają Czoktawowie z Oklahomy oraz z Missisipi: Zapanowały całkowite ciemności na długi czas nad ziemią. Czarownicy Czoktawów wypatrywali długo światła dnia, aż w końcu zwątpili, czy je kiedykolwiek jeszcze zobaczą. I cały naród był bardzo nieszczęśliwy. W końcu odkryto światło na północy, i urządzono wielkie święto radości, aż przekonano się, że były to wielkie góry napierających fal, które zabijały wszystkich ludzi. Mity plemienia Pimów relacjonują podobne zdarzenia: Wówczas w jednej chwili dał się słyszeć straszliwy grzmot i straszliwy huk, nad niziną uniosło się zielone wzgórze wody. Wydawało się przez sekundę, że stoi wyprostowane, potem jaskrawe światło błyskawicy przecięło je na pół i wody zaczęły sunąć naprzód jak wielkie zwierzę (...). Gdy nadszedł ranek, nie było widać nic żywego, poza jednym jedynym człowiekiem – o ile w ogóle był to człowiek.*

Świat cały pogrążył się w gęstym mroku. Światło wszelkie w mrok (się) przemieniło (...), jeden drugiego już nie widzi (czytamy w eposie o Gilgameszu). Słońce, księżyc i gwiazdy zgasły i panowała wielka ciemność – opowiadają mieszkańcy Kelantanu z Półwyspu Malajskiego. Dzień zamienił się w noc, gwiazdy pozniwały, mówi Zend-Awesta. Niebo

przesłaniały spiętrzone warstwy ciemno granatowych, zwalistych chmur, z których strugami o kroplach wielkości „spodków” lub (jak chcą inne mity) „wigwamów” wylewały się strugi wody oraz błota utworzonego z unoszącej się sadzy. U kaszmirskiego poety Ksemendry jest taki wymowny fragment: *Na to pojawiła się (...) masa czarnych jak węgiel chmur, przypominających spalony świat. Potem gwałtowne, nieprzerwane strumienie deszczu przysgniotły swoim ciężarem ziemię, jak (gdyby) strony świata (chciały wylać) strugi łez z bólu nad zagładą wszystkiego. Gdy (...) budowla świata rozpadła się pod naporem burz szalejących u schyłku epoki, świat przemieniony w bezkresne morze w jednej chwili połączył się z wodami deszczu, wylewających się z chmur Puskarawartaka. Mieszkańcy Fidżi opowiadają, że Niesamowita ulewa spadła na ziemię. Nie był to deszcz, jaki dzisiaj pada na ziemię, wylewał się prawdziwymi strumieniami, także morze wystąpiło z brzegów i zalało ląd. Czoktawowie z Luizjany twierdzą, iż Wiatr dął tak gwałtownie, że przewracał największe świerki. Ryki grzmotów były takie, jakich nikt nigdy jeszcze nie słyszał, a żywa jasność błyskawic oświeślała niekiedy wszystko jak światło dnia. Św. Jan napisał o gradzie ciężarem podobnym wadze talentu. Też o wodzie przemienionej w płynną masę ognia. O wodzie palącej się i wrzącej wspominają także Wogołowie i Ostiakowie z guberni tobolskiej, i plemię Kolh z Azji Południowej oraz Indianie Kato z Ameryki Północnej; słyszy się o tym również w Indonezji, na Tajwanie. Lud Salina z Kalifornii mówi, że od strony Pacyfiku morze było rozgrzane do wrzenia i zalewało całą ziemię. W wielu mitologicznych przekazach jest mowa o truciznach w wodzie i powietrzu: *Czysta trucizna opuszczała się w dół, każdy poryw wiatru był śmiercią* – twierdzą brytyjscy druidzi. Wąż – sprawca powodzi (według Eddy) *wypluwa tak (dużo) trucizny, iż spryskuje powietrze i wodę i (budzi) ogromne przerażenie*. Hinduska Matsjapurana w piątym wierszu wspomina o: *trującym ogniu*, a rdzenni Indianie z plemienia Apalaczi z Florydy twierdzą, że dopiero popotopowe słońce oczyściło ziemię z wszystkich szkodliwych wyziewów, które ten świat pogrążyły w strasliwym zamęciu. U św. Jana dowiadujemy się, iż *spadła z nieba wielka gwiazda, płonąca jak pochodnia, a spadła na trzecią część rzek i na źródła wód. A imię gwiazdy zowie się Piółun (...) i wielu ludzi pomarło od wód, bo stały się gorzkie*. O słonych, cierpkich – trujących wodach opowiada wiele mitów, podobnie jak o wodach, które stały się jak krew czerwone, przemienionych w krew (przykładowo tak stało się z Nilem). Sybillińskie przepowiednie (Księga 3) zawierają wers: *czerwone krople (wyplłynęły) ze skał*. Nordyckie mity opowiadają o *morzu krwi*, inne o *deszczu krwi* i o *palącym deszczu* (najpewniej żrącym). Spustoszenie było ogromne. Indianie z Kolumbii Brytyjskiej twierdzą, iż: *Tylko glina została w całym kraju (...) wszystkie rodzaje drzew wyrwały wiry wodne*.*

*A ciała ludzi, zwierząt, ptaków, węży, wszystko pochłonęła morska kipiela. Meksykańscy Mistekowie mówią o śluzowatej warstwie mułu pokrywającej wszystko. W chaldejskiej relacji czytamy: *Ja jednak przepłynąłem morze, głośno lamentując, że siedziby ludzi obróciły się w błoto, na wodzie jak pnie drzew unosily się wokół zwłoki ludzkie*. Rumuńscy Cyganie (wywodzący się z Indii) twierdzą, że dla tych, którym udało się przetrwać *trudem i męką* było od tej chwili ich życie; do tego doszły jeszcze choroby i śmierć, tak że rozmnażali się bardzo powoli, i trzeba było wielu, wielu tysięcy lat, żeby ludzie byli znów tak liczni, jak byli kiedyś i jak są jeszcze obecnie.*

Następstwem utrzymującej się bardzo długo grubej warstwy pyłowo-wodnych chmur było gwałtowne ochłodzenie klimatu. Północna wersja Eddy tak to zjawisko opisuje: *Morze wichrem gnane wznosi się ku niebu samemu,/ Rozlewa się po ziemi, sklepienie się zapada,/ stąd śnieżna zamieć (sinovar) i szalone sztormy. (...) przychodzi fimbulvetr (mroźna, długotrwała zima); wtedy miecie śniegiem ze wszystkich stron świata, mróz jest wtedy ogromny, i wicher ostry. I słońce nie świeci. Chodzi o trzy zimy jedna po drugiej bez lata między nimi. Ta olbrzymia zima zagraża wszystkiemu, co żyje na ziemi; tylko dwoje ludzi, Lif i Lifthrasis, pozostaje przy życiu*. Wogołowie z północno-zachodniej Syberii opowiadają o katastrofalnych opadach śniegu, a Czukczowie z Cieśniny Beringa o srogiej karze: *Z czasem ludzie stali się bardzo źli. Wtedy Dobry Duch zesłał straszliwą zamieć śnieżną na dotychczas nie podzielony kraj. Wichura zabiła nie tylko większość ludzi i rozproszyła innych w dal, ale rozdarła kraj na części i rozrzuciła je z dala od siebie*. Zend-Awesta zawiera opowieść o palącym morzu ognia sprowadzonym przez wielkiego smoka, a potem o nadejściu srogich zim: *Bardzo szybko nadszedł surowy czas zimy, początkowo trwała tylko pięć miesięcy, lecz powoli okres ten się wydłużał i doszedł do prawie dziesięciu miesięcy, i tylko dwa pozostały na lato. Wówczas ziemia nie mogła wyżywić swoich mieszkańców, i pociągnęli oni w dół ku nizinom południa*. Wschodni Atapaskowie – Czipewejowie z Ameryki Północnej również opowiadają, że po wielkim ogniu nastąpiła zima: *spadło tak dużo śniegu, że zupełnie pogrzebał ziemię i wystawały spod niego tylko czubki najwyższych jodeł. Nie można było tego wytrzymać (...) na ziemi, która była tylko kawałkiem lodu, wszystko umierało z głodu i zimna*. Podobną historię opowiadają Odżibuejowie: *Nastąpiła zima, jakiej jeszcze nikt nigdy nie przeżył. Śnieg leżał na wysokość domów w lasach i na preriach, a wszystkie rzeki i strumienie tak pozamarzały, że trudno było zdobyć wodę niezbędną do picia*. O erupcjach wulkanów, które poprzedziły czas mrozu wspominają Czejenowie z Gór Skalistych: *Tuż przed porą zimową zatrzęsa się ziemia i wysokie góry wyrzuciły z siebie ogień i dym. Gdy nastąpiła zima, nadeszły wielkie powodzie i gigantyczne śnieżyce*.

W apokaliptycznym potopie śmierć miała wiele koszmarnych twarzy. Szczęśliwi ci, co w jednej sekundzie wyparowali po eksplozji, lub zmiotły ich gigantyczne uderzeniowe fale kosmicznych pocisków. Wielu zginęło w trzęsieniach ziemi o niespotykanej mocy. Przygniatały ich walące się z hukiem domy, drzewa, całe góry. Potężnego spustoszenia dokonały strumienie lawy wydobywające się z licznych przebudzonych wulkanów, zabijały ich odłamki spadające z nieba, trujące gazy oraz opary, również kwaśne – żrące deszcze. Rzesze ludzkie na wszystkich kontynentach spłonęły żywcem w szalejących orkanach ognia. Wielu ugotowało się we wrzącej wodzie, usmażyło w rozżarzonym powietrzu lub udusiło z braku tlenu. Największa zagłada dokonała się za sprawą błotnistych i mętnych wód potopu, które do wielu miejsc ziemi dotarły w postaci monstrualnych fal. Umierano też masowo od odniesionych ran i zatrutej wody. Ci, którzy przetrwali pierwsze dni i tygodnie tego piekła na ziemi, w następnych miesiącach i latach ginęli z głodu, wycieńczenia, chorób i siarczystego mrozu. Nieliczni, którym dane było przetrwać i nie oszaleć, zdani byli na samotną poniewierkę.

## KATASTROFALNE SKUTKI

Taką sekwencję następujących po sobie dramatycznych zdarzeń mógł wywołać, tylko jeden czynnik – impakt – upadek dużej planetoidy lub komety. Według szacunków Nadine G. Barlow z teksańskiego Lunar and Planetary Institute NASA, oraz P. Broschego i S. Jansona, musiałby to być kosmiczny obiekt o średnicy przekraczającej 3 kilometry, albo kilka fragmentów dużej komety o łącznej wadze wielu milionów ton. W ocenie tych ekspertów tylko tak masywne obiekty mogą wywoływać opisane w mitach skutki: gigantyczne orkany ognia, długo utrzymującą się warstwę gęstych chmur pyłowo-wodnych, szczelnie przykrywających cały nieboskłon, trzęsienia ziemi o sile przekraczającej przyjętą dla nich skalę, zintensyfikowany, globalny wulkanizm, fale tsunami oraz huragany o niespotykanej sile, masowe wymieranie fauny i flory, gwałtowny efekt klimatyczny... *Ogromna ilość energii, jaka dostała się do atmosfery w wyniku impaktu, powodowała liczne procesy chemiczne, pociągające za sobą powstanie niesłychanej ilości substancji zatruwających środowisko, takich jak tlenek węgla, tlenek azotu, kwas azotowy, kwas siarkowy i solny oraz pirotoksyny (...)*<sup>142</sup>, będące skutkiem spalania w nawałach ogniowych ogromnej ilości biomasy. Są to substancje silnie rakotwórcze, mogące powodować również uszkodzenia

---

<sup>142</sup> Ibidem, s. 115.

genetyczne. W gęstych warstwach chmur wytworzyły się ogromne ilości tlenu azotu i kwasu azotowego, który pod postacią żrących, kwaśnych, „krwawych” deszczy spadał w następnych miesiącach na ziemię, zabarwiając zbiorniki wodne na kolor brunatno-czerwony. Powodował on oparzenia i ropiejące rany na skórze, wypłukiwał z gleby i skał metale ciężkie takie jak rtęć, arsen, selen, nikiel, antymon, ołów, po czym chemicznie je aktywował zwiększając tym samym i tak już ogromną ilość szkodliwych czynników. Proces tworzenia kwasu azotowego, a także tlenków azotu pochłoniął ogromne ilości tlenu z górnych warstw atmosfery, co skutkowało długotrwałym zmniejszeniem osłony ozonowej, chroniącej żywe organizmy przed zabójczym dla nich promieniowaniem ultrafioletowym Słońca. Jak wiemy, zwiększona dawka promieni uv wywołuje u ludzi oraz zwierząt raka i uszkodzenia komórek rozrodczych – jest to jeden z głównych czynników powodujących niepłodność albo nieprawidłowy rozwój embrionów, w wyniku czego po potopie, rodziło się z pewnością wiele przerażająco zdeformowanych istot. Mity całego świata: Wietnamu, Chin, Indii, Afryki i obu Ameryk opisują niezliczone przypadki narodzin poważnie zniekształconych istot – osobników: bez rąk i nóg albo tylko z jedną kończyną, bez głowy lub nawet w postaci: *obłych, bezkształtnych, krwawych kawałków mięsa* (opowieść nadmorskich ludów z Chin). Również na Tajwanie twierdzą, że po potopie na dziesięcioro rodziło się tylko jedno normalnie rozwinięte dziecko. W Malezji legendy mówią o *pólludziach, istotach, z których jedna dlatego otrzymała tak żalostną postać, że jej matka przeklęła ulewę*. W sztuce wielu narodów odnajdziemy przedstawienia rozmaitych potworów: ludzi z jednym okiem, dwiema głowami, zrośniętych ze sobą syjamskich bliźniąt albo całkowicie zdeformowanych osobników. Najeźdźcy i misjonarze przybywający do Ameryki w XVI wieku n.e. wielokrotnie słyszeli relacje o takich strasznych potwornościach. Stare mapy tego kontynentu, które zabierali do Europy, były ilustrowane licznymi monstrami, i trudno doprawdy uwierzyć, iż był to tylko wykwit wyobraźni dawnych kartografów – ludzi przecież pedantycznie dokładnych. Potworności były wtedy tak powszechne, że doczekały się specjalnych określeń, przykładowo: na Borneo „półciała” nazywają się *simpang-impang*, w Zairze *adroa*, a u Herero i Hotentotów *hai-uri*.

W wierzeniach Azteków przed obecnym – piątym – światem były cztery wcześniejsze. Wszystkie ulegały zagładzie w następujących po sobie globalnych kataklizmach. Pierwszy świat to czas „Słońca Jaguara” (*Ocelotanatíuh*) lub „Nocnego Słońca” (*Youaltónatíuh*). Zakończył się pożarciem ludzi przez jaguara – demona mroku. Świat następny, to czas „Słońca Wiatru” (*Ecatócoc*, czyli „wszystko porywa wiatr”). Przyczyną jego końca były gigantyczne cyklony. Świat kolejny odpowiadał „Słońcu Ognia” lub „Słońcu Deszczu” (*Quiauhtónatíuh*), wtedy miał spaść z nieba

ogień, a ludzkość spłonęła – zamieniła się w ptaki i uniosła z dymem do nieba. Czwarty świat to „Słońce Wody” (*Atonatiuh*). Przestał istnieć zalany wodami potopu, a ludzie zmienili się w ryby. Wtedy też zawało się niebo i spadły ulewne deszcze. Obecny świat odpowiada „Słońcu Trzęsienia Ziemi” (*Olintonatiuh*). Niestety i on, według Azteków, skończy się kiedyś potężnym kataklizmem.

Większość uniwersyteckich badaczy wciąż jeszcze deprecjonuje teorię „katastrofizmu”, w myśl której na historię rozwoju życia na naszej planecie kluczowy wpływ mają powtarzające się periodycznie *wielkie i straszne wydarzenia* następujące *nagle i bez stopni pośrednich*, jak pisał uchodzący za ojca tej teorii Georges Cuvier (1769–1832). Pogląd ten z trudem przebija się na oficjalne salony nauki, pomimo, iż na jego potwierdzenie znaleziono liczne dowody, z których najbardziej wymowny jest wielki impakt z końca kredy, sprzed 66,4 miliona lat. Zakończył on, jak pamiętamy, erę wielkich gadów umożliwiając tym samym ssakom i drzewom liściastym swobodny rozwój. Tamta planetoida miała (według szacunków ekspertów) średnicę rzędu 10 kilometrów, wagę około dwóch bilionów ton i uderzyła w Ziemię z prędkością nie mniejszą niż 14 km/s. Eksplozja wyzwoliła energię 400 tryliardów dżuli – 5 miliardów bomb atomowych takich jak ta zrzucona w Hiroszimie. Ta planetoida, wraz z częścią ziemskich skał, wyparowała w temperaturze 100 000 stopni C. *Jest rzeczą pewną, iż fala uderzeniowa i fala gorąca spowodowana zderzeniem kosmicznym z końca okresu kredowego nie tylko natychmiast oślepiła i ogłuszyła wszystkie organizmy znajdujące się na obszarze w promieniu ponad tysiąca kilometrów, lecz wraz z towarzyszącym jej opadem żarzącego się materiału oznaczała ich śmierć. W ciągu niecałych 18 godzin fala uderzeniowa okrążyła kulę ziemską jak orkan o niespotykanej prędkości, tracąc stopniowo na sile*<sup>143</sup>. Symulacja komputerowa przeprowadzona w 1988 roku przez D. Roddy’ego wykazała, iż w powietrze wyleciało wtedy około 90 tysięcy kilometrów sześciennych materii. Z kolei kanadyjski badacz Richard Grieve z Ottawy oszacował na podstawie liczby kraterów na starych tarczach Ziemi, że w ciągu ostatnich 600 milionów lat miało miejsce około 1500 impaktów planetoid o średnicy przekraczającej jeden kilometr. Dochodziło do nich średnio co jakieś 400 tysięcy lat. Kratery o średnicy kilometra statystycznie powstają, według niego, co około 1000 lat. Te o średnicy dziesięć razy większej, co 100 tysięcy lat. Upadki ciał tworzących kratery 100 kilometrowe i większe następują średnio co 50 milionów lat. Jego obliczenia z pewnością są niedoszacowane z uwagi na fakt, iż wciąż odkrywane są nowe kratery i poimpaktowe osuwiska. Większość z nich, 71%, znajduje się w morzach – powierzchnia

<sup>143</sup> Ibidem, s. 33.

wód jest znacznie większa niż lądów. Szacunki Grieva uprawdopodobniają teorię dużego impaktu potopowego, bo od impaktu w kredzie dzieli go dystans 66,4 miliona lat, czyli przeszło 30% dłuższy od prognozowanych 50 milionów lat dla upadku obiektów tworzących krater 100 kilometrowe i większe. Pozostaje jednak kwestią otwartą, kiedy do tego potopowego kataklizmu doszło... jeśli doszło? A może było więcej różnej wielkości impaktów wpływających na dzieje ludzkości?

## HIPOTEZA PIERWSZA

Od dawna próbowano rozwikłać zagadkę raptownego wymarcia pod koniec plejstocenu, około 13 tysięcy lat temu, co najmniej 35 gatunków dużych zwierząt. Ich szczątków nie znaleziono w późniejszych warstwach. Wtedy wyginęły między innymi mastodonty, niedźwiedzie krótkopyskie, megaterie, leniwce ziemne, koty szablozębne, wielbłądy amerykańskie oraz zdecydowana większość megafauny, w tym również mamutów i dzikich koni. Szacuje się, iż w Ameryce i w Europie gatunki o wadze ponad tony wymarły zupełnie. Wyginęła też trzecia część zwierząt o wadze ponad 100 kilogramów i połowa ssaków o wadze przeszło 5 kilogramów. Zagłada dotknęła też ludzi, zniknęło wtedy bezpowrotnie z areny dziejów rozwinięte społeczeństwo paleoindiańskie z Ameryki Północnej nazywane kulturą Clovis (lub Llano). Wkrótce potem nastąpiło ochłodzenie klimatu. Gwałtowny przebieg tych klimatycznych zjawisk a także ich globalne rozmiary pozwalają sądzić, iż przyczyną kataklizmu był znacznej wielkości obiekt. Ta hipoteza jest na tyle prawdopodobna, że kilkudziesięciu naukowców z całego świata podjęło badania w celu jej sprawdzenia.

Profesor Ken Tankersley z University of Cincinnati wraz z grupą współpracowników prowadził wykopaliska na terenach kultury Clovis. W jednej z jaskiń naukowcy odnaleźli szczątki ponad 60 gatunków roślin i zwierząt oraz kościane groty włóczni. Większość znalezisk nosiła ślady spalenia w temperaturze o wiele wyższej niż powstająca podczas nawet największych pożarów. Na tym stanowisku oraz w wielu innych miejscach Ameryki Północnej archeolodzy z Cincinnati odkryli też kilkucentymetrową warstwę gleby odmienną od pozostałych. Skład warstwy ciemnobrunatnej, pochodzącej z roku 10 900 p.n.e., to, między innymi, spore ilości pyłu powstałego w pożarach, kulki węgla wytworzone przez wielkie temperatury, diamenty wstrząsowe, jakie powstają wyłącznie przy ekstremalnie wielkim ciśnieniu, lonsdaleity (diamenty występujące tylko w meteorytach, nawet o 58% twardsze od zwykłego diamentu) i duża ilość mikrometeorytów – małych kawałeczków żelaza i niklu pochodzących z kosmosu, które w ogóle nie

występują w innych tamtejszych warstwach. Na podstawie zgromadzonych dowodów geolodzy z grupy Tankersleya stwierdzili, że w okolicy 10 900 roku p.n.e. musiało dojść do niewątpliwie gigantycznej eksplozji, porównywalnej jedynie z kataklizmem kosmicznym – wybuchem wywołanym przez kometę albo planetoidę o rozmiarze trochę tylko mniejszym od tej, która eksplodowała w kredzie 66,4 miliony lat temu. Ponieważ prof. Ken Tankersley nie odnalazł krateru, uznał, iż do eksplozji doszło wysoko nad powierzchnią Ziemi.

James Kennett, emerytowany profesor z UC Santa Barbara, wraz z wieloma naukowcami reprezentującymi 21 uniwersytetów z 6 krajów, spróbował oszacować na podstawie badanych próbek gruntu granice elipsy rozsiania wybuchu tego domniemanego obiektu kosmicznego. Nanodiamenty tworzące się wskutek takich eksplozji odnaleziono jedynie w warstwie pochodzącej sprzed około 12 800 lat (przypomnę, że ta data pokrywa się z początkiem gwałtownego ocieplenia klimatu, kończącego plejstocen). Nanodiamenty znaleziono na 32 stanowiskach w 11 krajach. Zespoły geologów odkrywały na badanych stanowiskach także materiał przypominający wytopione w piecu hutniczym szkło, który formuje się w temperaturach 1700–2200 stopni C, czyli temperaturach powstających podczas wybuchów jądrowych i w dużych impaktach. Nanodiamenty oraz poimpaktowe szkło występowały w tej warstwie gleby w obu Amerykach, Europie i na Bliskim Wschodzie – kolebce neolitycznych cywilizacji. Prof. Kennett na tej podstawie oszacował, że powierzchnia rozsiania eksplozji ogarnęła nie mniej niż 10% całej planety. Założył również (w związku z tą rozległością pola rażenia), że kometa albo planetoida składała się przypuszczalnie z trzech lub więcej dużych części.

W mojej opinii dowody na poparcie tej hipotezy (a zatem i datowania impaktu) są bardzo przekonujące. Niestety, wciąż jeszcze wielu badaczy głównego nurtu odnosi się do tych odkryć nader sceptycznie. I to nawet po tym, gdy w kilku rdzeniach arktycznego lodu z głębokich odwiertów wyodrębniono bardzo wyraźną kwasową warstwę powstałą niewątpliwie na skutek intensywnych, długotrwałych, globalnych opadów azotowych deszczy. Ta warstwa pochodzi oczywiście sprzed  $12\,900 \pm 100$  lat!

## HIPOTEZA DRUGA

Tollmannowie, małżeństwo naukowców z Wiednia, w swojej książce „A jednak był potop” opowiadają się za następującą wersją wydarzeń: *Z początkiem jesieni mniej więcej 9545 lat temu (około 7540 roku p.n.e.) z południowego wschodu zbliżyła się do Ziemi z kosmiczną prędkością*

(od 14 km/s do nawet 72,8 km/s) potężna kometa. Jej jądro miało pierwotnie kilkukilometrową średnicę. W pobliżu Słońca powstał jasny, długi pyłowy warkocz, który, oglądany z Ziemi, ciągnął się przez cały zodiak. Kometa, przelatując w pobliżu Jowisza, prawdopodobnie rozpadła się pod jego wpływem na siedem wielkich części i liczne małe fragmenty. Podczas zbliżania się komety ku Ziemi jasno świecąca otoczka (koma) wokół tych fragmentów przed samym spadkiem płonęła budzącym grozę, strasliwym, jaskrawym światłem, jaśniejszym niż tuzin słońc<sup>144</sup>. Jej największe części jedna po drugiej, w odstępach kilkugodzinnych, miały uderzyć w powierzchnie mórz i oceanów. Pierwsza blisko Tasmanii w okolicy południowo-wschodnich brzegów Australii; następna w Morze Południowochińskie, kolejne w: Ocean Indyjski, północny Atlantyk, blisko Skandynawii, w środkowy Atlantyk niedaleko Azorów (ten jej element, według Tollmannów miał jakoby zatopić Atlantydę). Największy fragment komety uderzył w Pacyfik, na wysokości Zatoki Meksykańskiej, a ostatni też w Ocean Spokojny, niedaleko Ziemi Ognistej. Z mniejszych, choć też całkiem dużych części komety, które miały uderzyć w lądy, autorzy tej hipotezy wymieniają tylko jedną lokalizację – Kofels-Umhausen w Tyrolu.

Niesamowita siła tych eksplozji miała ponoć powodować tworzenie się słupów – „mieczy”, „pochodni” lub „maczug” strzelających wysoko w niebo – a nie atomowych grzybów. Bezpośrednim skutkiem serii uderzeń były rozchodzące się po całym globie fale trzęsień ziemi, wieleset razy potężniejszych od najsilniejszych zwykłych wstrząsów. Żyjący wówczas ludzie odczuwali te trzęsienia całej kuli ziemskiej także z dala od miejsc uderzeń jako chaotyczne ruchy skorupy ziemskiej, zachowującej się jak wzburzone, rozfalowane morze. Na nizinach rzecznych zbudowanych z luźnych osadów woda gruntowa z głośnym hukiem wytryskiwała w górę tysiącami fontann, dziurawiąc ziemię jak sito w niezliczonych miejscach. Zapadały się rozległe obszary lądu, powstawały olbrzymie rozpadliny, pękały góry, tonęły wyspy. Na obszarach wulkanicznych dochodziło do wielkich erupcji, które pokrywały lawą okoliczne tereny, zwłaszcza w ciągnących się wzdłuż wybrzeży Pacyfiku łańcuchach górskich Ameryki Północnej, Środkowej i Południowej. W regionach górskich wzdłuż stref subdukcji (zasunięć) miejscami wypiętrzały się całe łańcuchy gór. Natomiast wzdłuż wielkich szwów między płytami skorupy ziemskiej, będących pod wpływem naprężeń rozciągających, w tak zwanych strefach ryftów (systemowych rowów tektonicznych) wzdłuż grzbietów śródoceanicznych, zapadały się tereny znajdujące się dotychczas nad powierzchnią morza, wśród nich wielka

---

<sup>144</sup> Ibidem, s. 141.

wyspa Atlantyda i sąsiadujące z nią wysepki, położone w strefie wpływu uderzenia w środkowy Atlantyk<sup>145</sup>.

Orkan ognia pędzący z prędkością 1000 kilometrów na godzinę miał wzniecać wszędzie pożary o temperaturze nawet 1800 stopni Celsjusza. Wody się gotowały, wyparowywały rzeki. Żar rozsadzał skały, wypalał głęboko ziemię, wytapiał metale z rozmaitych rud. Całe niebo, w ocenie Tollmannów, przesłaniały ciężkie brunatnoczerwone chmury, z których padały żrące deszcze azotowe, barwiące wodę oraz ziemię na brunatno-czerwono. Potem nadciągnęła z dużą prędkością i szerokim frontem fal o wielokilometrowej wysokości, wielka powódź. Fale miały sięgać nawet najwyższych pasm gór. Nawalne deszcze o kroplach jak spodki, czasem wrzące, innym razem przechodzące w gradobicia kilkukilogramowych brył lodu, dopełniły dzieła całkowitego zniszczenia. Zima, która po potopie nastąpiła: (...) *grzebała ziemię po czubki drzew, a nawet wyżej pod śniegiem, a potem pokrywała ją pancerzem firnu. Temperatura tak bardzo się obniżyła, że na większych szerokościach geograficznych zima trwała trzy lata, a w regionach górskich w strefie umiarkowanej kilka razy z rzędu po dziesięć miesięcy*<sup>146</sup>. Chemiczne skażenie środowiska i długotrwałe uszkodzenie warstwy ozonowej spowodowały, że jeszcze długo po potopie rodziły się, o czym już napomknąłem, uszkodzone embriony. Wreszcie, miało dojść na koniec do wyraźnego wzrostu temperatury, *utrzymującego się ponad cztery tysiące lat; temperatura osiągnęła wówczas nawet wartości wyższe o prawie 4,5 stopni Celsjusza. Najprawdopodobniej jest to wynik działania efektu cieplarnianego, podczas impaktu potopowego powstały bowiem także ogromne ilości gazów cieplarnianych, których pojawienie się również po innych impaktach da się udowodnić w analogiczny sposób*<sup>147</sup>.

Alexander i Edith Tollmannowie konstruując tę sugestywną wersję domniemanego potopu z roku 7540 p.n.e., oparli się na mitach i sztuce ludów całego świata oraz wnioskach płynących z kilkunastu znalezisk i badań naukowych. Nie są to niestety bardzo mocne dowody, ponieważ rozmaite opowieści mogły dotyczyć wydarzeń dziejących się w różnych okresach, natomiast wyniki wielu naukowych badań można przecież interpretować na wiele sposobów. Z mitów wywiedli koncepcję komety o siedmiu częściach, „siedmiu głowach smoka” lub „węża”, „siedmiu gwiazdach jak wielkie płonące góry”. Nie musiała to być jednak kometa, mógł to być rój dużych meteorów – rozbita na części spora planetoida. Datowanie tego kataklizmu

<sup>145</sup> Ibidem, s. 142.

<sup>146</sup> Ibidem, s. 144.

<sup>147</sup> Ibidem, s. 145.

ustalili na podstawie rozległych pól tektytów (produktów powstałych ze stopionych skał w impaktowych zderzeniach) znajdujących się w Wietnamie i w Australii. Badacze: C. Fenner w 1938 roku, G. Baker w 1959 roku oraz J. E. Johnson w roku 1965 określili ich wiek na prawdopodobnie wczesną współczesność – holocen, okres tuż po plejstocenie (niecałe 10 000 lat temu). Ich badania utrudniał jednak fakt, iż te młode tektyty mieszały się z polami tektytów powstałymi po dużym impakcie sprzed 700 tysięcy lat. Najmocniejszego geologicznego argumentu dostarczył Tollmannom profesor Hans E. Suess z wydziału chemii Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego, otóż w wykopanym w Melbourne pniu drzewa odnalazł on tektyt, który z wielką siłą uderzył w to drzewo. Ustalono metodą radiowęglową, że pień tego drzewa liczył  $8823 \pm 200$  lat, co po uwzględnieniu 8% poprawki (wprowadzonej przez B. Kromera z uniwersytetu w Heidelbergu oraz dendrochronologa ze Stuttgartu, B. Beckera) dla datowań skamielin drewna z wczesnego holocenu, pozwoliło Tollmannom określić wiek tego pnia na  $9520 \pm 200$  lat. Jest to z pewnością dowód na jakiś impakt, ale trudno określić na tej podstawie jego siłę i pole rażenia. Przypominam, że według obliczeń Grieve'a do impaktów wytwarzających kratery o średnicy przynajmniej jednego kilometra dochodzi raz na 1000 lat, zatem stosunkowo często, nie można zatem wykluczyć, iż pień Suessa z wbitym w niego tektytem jest znaleziskiem dowodzącym jakiegoś innego – mniejszego, lokalnego zderzenia. Podobnie rzecz się ma z kawałkiem drewna odnalezionym pod dużym poimpaktowym osuwiskiem w Kofels, w Alpach Centralnych. Niewątpliwymi dowodami na impaktowy charakter tych alpejskich osuwisk są elektronomikroskopowe zdjęcia minerałów z gnejsowej strefy uderzeniowej; wykazują one na powierzchniach skał rozmaite lamelacje – charakterystyczne faliste lub proste wyżłobienia, powstające wyłącznie podczas impaktów. Wiek dużego poimpaktowego osuwiska w Tschirgant (w pobliżu Kofels), geolog F. Purtscheller z Tyrolu określił radiowęglową metodą na 9570 lat, co w przybliżeniu odpowiada proponowanemu przez A. i E. Tollmannów datowaniu. Niestety, inny miejscowy geolog – G. Patzelt, dokładnie tą samą metodą oszacował wiek tego osuwiska (w 1990 roku) na przedział zaledwie 2820–3400 lat temu. Zdania ekspertów są więc bardzo rozbieżne. Mocniejszym argumentem na upadek dużej planetoidy albo komety w okolicach roku 7540 p.n.e. wydaje się rdzeń lodowy odwiercony w 1980 roku w Camp Century w północno-zachodniej Grenlandii, przez C. Hammera i jego zespół. Na tej długiej próbce lodu uwidoczniła się cienka warstewka świadcząca o większej intensywności kwaśnych opadów w tym czasie, w porównaniu z okresami późniejszymi. Nie jest to jednak tak wyraźna warstwa, jak te pochodzące sprzed  $12\,900 \pm 100$  lat, o których wspominałem przy okazji omawiania pierwszej hipotezy.

Autorzy książki „A jednak był potop” powołują się także na inne badania: dendrochronologiczne skamieniałych pni, próbek gruntu oraz znaleziska paleontologiczne. Nie będę ich jednak przytaczał i szerzej tu omawiał, bo można je, jak sądzę, interpretować dosyć dowolnie. W mojej ocenie Tollmannowie nie przedstawili wystarczająco mocnych dowodów na poparcie swojej hipotezy.

W połowie ósmego tysiąclecia p.n.e., w mojej ocenie, nie doszło do upadku kilku fragmentów dużej komety. Jeśli miał wtedy miejsce jakiś impakt, to jego skutki nie były odczuwalne na Bliskim Wschodzie ani w Grecji, ani też na Bałkanach, bo nic nie wskazuje na to, by tamtejsze chalkolityczne społeczeństwa (o których pisałem wcześniej) dokonywały w tym czasie masowych migracji, lub by coś przeszkodziło im w hodowli zwierząt i uprawie roli, czyli w tym, co zwykliśmy nazywać agrarnym rozwojem. Wzrostu poziomu mórz i oceanów w tym przedziale czasu również nie odnotowano. Ponadto mocno wątpię też, aby jakiś fragment komety zatopił w ciągu jednej doby domniemany ląd zwany Atlantydą (znany nam z dialogu „Timajos” filozofa Platona), cytując: (...) *potężnie zatrzęsa się ziemia i załamy ją powodzie, i wówczas w ciągu jednego złego dnia i jednej fatalnej nocy (...) zniknęła wyspa Atlantyda, pogrążając się w morzu*<sup>148</sup>. Przyznam, że jestem dość sceptyczny wobec przekazu Platona i opinii Tollmannów, którzy zatopienie tej legendarnej wyspy tłumaczą tym, iż: *leżała w jednym z najbardziej wrażliwych miejsc na ogromnie chwiejnym szwie skorupy ziemskiej, w strefie śródoceanicznego rowu tektonicznego*<sup>149</sup>. Nie wątpię, że prof. Tollmann jest specjalistą w swojej dziedzinie, ale w tej kwestii bardziej ufam zapewnieniom czeskiego geologa czwartorzędu, Zdenka Kukala, który w 1984 roku prowadził na środkowym Atlantyku wieloaspektowe, wnikliwe badania. Z jego raportu jednoznacznie wynika, że w tym rejonie żadnych podmorskich dużych kraterów nie ma. Kukal nie dopatrzył się tam też żadnych zakłóceń regularnego pola magnetycznego Ziemi, które po takim impakcie z pewnością by występowały. Ponadto stwierdził, że w tym rejonie oceanu jest o wiele za głęboko, żeby kiedykolwiek w historii mogła tam istnieć jakakolwiek wyspa.

## HIPOTEZA TRZECIA

Zacznę od biblijnej opowieści: *Słońce weszło już nad ziemią, gdy (uciekający przed zapowiedzianą przez wysłanników boga zagładą) Lot przybył do*

<sup>148</sup> Ibidem, s. 304;

<sup>149</sup> Ibidem, s. 304, 305.

*Soaru. A wtedy Jahwe spuścił na Sodomę i Gomorę deszcz siarki i ognia. I tak zniszczył te miasta oraz całą okolicę wraz ze wszystkimi mieszkańcami miast, a także roślinnością. Żona Lota, która szła za nim, obejrzała się i stała się słupem soli. Abraham, wstawszy rano, udał się na to miejsce, na którym przedtem stał przed Jahwe. I gdy spojrział w stronę Sodomy i Gomory i na cały obszar dookoła, zobaczył unoszący się nad ziemią gęsty dym, jak gdyby z pieca, w którym topią metal (Rodz 19, 23–28).*

Na stanowiskach archeologicznych odpowiadających zniszczonym miastom nad Morzem Martwym znaleziono (w warstwach z końca IV tysiąclecia p.n.e.) dużo popiołu i przeszło 20 tysięcy ludzkich szczątków rozsianych w nieładzie. Nie były to z pewnością skutki wybuchu wulkanu, bo śladów lawy w pobliżu nie stwierdzono. Skąd, zatem wziął się tam ognisty deszcz i temperatura: *pieca, w którym topią metal?*

Astronom Mark Hempsell oraz inżynier Alan Bond są przekonani, że rozwiązanie tej zagadki długie lata spoczywało w magazynach Muzeum Brytyjskiego w Londynie. Jest nim mały, okrągły, gliniany dysk – zabytek sumeryjski pokryty w całości pismem klinowym, symbolami oraz liniami przypominający mapę nieba. Dysk ten jest częściowo zniszczony, mimo to Hempsellowi udało się odczytać z niego kilka astronomicznych nazw, znanych też z innych źródeł, oraz rozpoznać położenie kilku konstelacji, w tym Bliźniąt i Ryb, a także planet Merkurego i Jowisza. Obaj badacze sądzą, iż tę profesjonalną planisferę (dokładną notatkę nieba) sporządził astronom posługujący się nieznanymi nam przyrządami obserwacyjnymi. Powodem jej wykonania wydaje się być widniejący na dysku tajemniczy obiekt, zaznaczony przerywaną linią, przecinający całe niebo. Kapłan-astronom – obserwator tego zjawiska, nie był najwyraźniej pewny, czy obserwuje przelot gwiazdy, planety, czy jakiegoś innego ciała astralnego. Obiekt pojawił się na tle Konstelacji Ryb (nazywanej przez Sumerów Api); dalsza trajektoria jego lotu wiodła przez konstelacje Pegaza potem Orła. Był widoczny na sumeryjskim niebie (według Hempsella i Bondy) przez około 4,5 minuty zanim zniknął za północno-zachodnim horyzontem. Badacze są przekonani, że przerywana linia na planisferze (wykonanej najpewniej na terenie obecnego południowego Iraku), to trajektoria lotu planetoidy. Hempsell wpisał dane z dysku do odpowiedniego programu komputerowego. Po kilku miesiącach porównań ustalił, że astronomiczna notatka została sporządzona 29 czerwca 3123 roku p.n.e. W opinii twórców tej hipotezy planetoida o średnicy około 1,5 kilometra (100 razy większa od meteorytu tunguskiego) szybowiała ku Ziemi po płaskiej trajektorii. Nad obecną Grecją weszła do ziemskiej atmosfery, by ostatecznie eksplodować nad Alpami.

Co to ma wspólnego z Sodomą i Gomorą? Ano to, że ta eksplozja wytworzyła podobno ogromny słup: dymu, pyłu, ognia i rozpalonych do

czerwoności szczątków, sięgający wysokości nawet 900 kilometrów. W powietrzu uniosły się z wielką prędkością miliardy ton materiału skalnego oraz gruntu, potem zaczęły opadać w postaci płonącego gradu. Spadały nawet na odległe o 2500 kilometrów od epicentrum wybuchu miasta w rejonie Morza Martwego. Autorzy tej hipotezy są przekonani, że starte na proch skały i duże osuwiska o pięciokilometrowej szerokości i głębokości niemal pół kilometra z okolicy Kofels w austriackim Tyrolu, są wynikiem tego, a nie wcześniejszego albo późniejszego impaktu. Zważywszy, że radiowęglowe datowania tego zdarzenia wykonane przez geologów F. Purtschellera oraz G. Patzelta, są bardzo rozbieżne, to także tej daty wykluczyć nie można.

Mimo, iż hipoteza zaproponowana przez Hemsella i Bonda nie ma zbyt mocnych naukowych podstaw, to zasługuje na uwagę również z tego powodu, iż mniej więcej w tym okresie z areny naszych dziejów zniknęły dobrze rozwinięte naddunajskie kultury chalkolityczne, czyli tzw. kultury „peryferyjne”. Myślę tu między innymi o kulturach Bojan oraz Gumelnica (funkcjonujących na terenach dzisiejszej Rumunii i Bułgarii) i Cucuteni oraz Trypole (obecna Mołdawia i Ukraina, na północny zachód od Morza Czarnego), znanych z intrygujących zabytków sztuki, przede wszystkim figurek ceramicznych i rzemiosła, w niczym nieustępujących jakością wykonania obiektom ubajdzkim i halafskim.

## UWAGI KOŃCOWE

W Księdze Rodzaju (1, 1–2) czytamy: *Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. A ziemia była bezładem i pustkowiem. I panowała ciemność.* W pierwszym dniu stworzył światło, w drugim niebo, w trzecim oddzielił morze od lądu i pojawiła się roślinność, w kolejnym dniu stworzył Słońce, Księżyc i gwiazdy, w następnym zwierzęta morskie i ptaki, wreszcie w dniu ostatnim powołał do istnienia zwierzęta lądowe i człowieka. Dziś już wiemy, że stworzenie świata przebiegało zupełnie inaczej. Natomiast, gdyby zawartą w *Biblii* sekwencję stwarzania świata potraktować jako opis odtworzenia życia po wielkim armagedonie, to ta kolejność odpowiadałaby prawdzie. Przytoczona wcześniej opowieść Indian Klamath z centralnego Oregonu: (...) *bóg świata podziemnego, Llao, wyszedł spod ziemi przez początkowo niewielki krater wierzchołka góry Mazama...* i geologiczne badania związane z erupcją tego wulkanu nie tylko są mocnym dowodem na długotrwałe przekazywanie w mitach informacji o przeszłych zdarzeniach, ale też stanowią dobry przykład, jak mity należy interpretować. Po prostu w naszej naturze tkwi irytująca skłonność do poszukiwania dróg na skróty, znajdowania wytłumaczenia dla zjawisk, które przerastają naszą aktualną

wiedzę i doświadczenie. Dlatego wersy z eposu o Gilgameszu: *Anunnaki pochodnie podnieśli,/ blaskiem ich straszliwym ziemię zażegli...* nie oznaczają, że to oni byli sprawcami tej monstrualnej hekatomby (zwłaszcza, że potem wpadli w popłoch: *Bogowie sami zlekli się potopu,/ wznieśli się, umknęli do nieba Anu*), a jedynie to znaczą, że kiedyś do niej doszło. Najpewniej jakieś 10 900 lat p.n.e. Nie można też wykluczyć, iż później mogły mieć miejsce impakty od tego mniejsze. Także potężne erupcje wulkanów i trzęsienia ziemi pustoszące pożogą pożarów i ogromnymi falami tsunami znaczne obszary lądów. Nie jest też wykluczone, a raczej pewne jest, iż przeszło 2000 znanych nam mitów i legend mówiących o potopie do nich się odnosi, a nie do tego globalnego armagedonu z początku holocenu.



## XIII. Zep Tepi

*Zep Tepi* (Czas Pierwszy), mityczny początek, „okres Re” nazywany też czasem Ozyrysa lub Horusa był w egipskiej mitologii złotym wiekiem od pojawienia się bogów aż po intronizację Horusa. *Kosmogonia egipska zaczyna się od wyłonienia się z pierwotnych wód pagórka. Pojawienie się owego „Pierwszego Miejsca” nad akwatycznym bezmiarem oznacza wyłonienie się ziemi, ale i powstanie światła, życia i świadomości. W Heliopolis miejsce nazywane „Wzgórzem Piasku”, będące częścią świątyni słońca, utożsamiano z prapagórkiem*<sup>150</sup>. W chwili stworzenia świata na to wzniesienie spadł z niebios święty kamień – Benben, na którym przysiadł ptak Benu (pierwowzór późniejszego Feniksa), będący wcieleniem boga-stwórcy Atuma. Z „Księgi o tym, co jest w Duat” (czyli w raju) dowiadujemy się, iż Benben przechowywano w świątyni na „Wysokim Piasku” – „Domu Feniksa”, gdzie był dostępny tylko dla wybranych i wtajemniczonych. Niestety, jeszcze w starożytności zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Przypuszcza się, na podstawie wielu źródeł pisanych, że chodzi o przedmiot obły lub piramidon albo coś o kształcie schodkowym. *W „Tekstach Piramid”, jak zauważył Henri Frankfort, jego determinatyw przedstawia spiczasty, nieco stożkowy kształt, który dla potrzeb architektury przybrał stylizowaną formę małej piramidki, piramidonu; pokryty złotą folią był uniesiony na szczycie masztu lub obelisku*<sup>151</sup>. Prawdopodobnie wieńczył też symbolicznie szczyty egipskich piramid. Piramid pierwotnie malowanych od wierzchołka do pewnej wysokości złotą farbą. Niektórzy przypuszczają, że ów magiczny kamień prapoczątku – „kropla nasienia boga Atuma” – mógł być meteorytem. Tak czy inaczej można zakładać, że z Heliopolis wiązano ciąg zdarzeń niezwykłych, bo potem, przez długie wieki, na to wzgórze wspinali się faraonowie idąc na spotkanie boga-słońca. Eliade, opierając się na „Księgach sarkofagów” oraz „Księgach umarłych”, wspomina również o innych wersjach egipskiej kosmogonii: *o pierwotnym jaju zawierającym „Ptaka światła” lub o lotosie z początków, który zrodził Dziecko-Słońce,*

<sup>150</sup> M. Eliade, *Historia wierzeń...*, op. cit., s. 63.

<sup>151</sup> G. Hancock, *Zwierciadło nieba*, Amber, Warszawa 2000, s. 86.

czy wreszcie o pierwotnym wężu (intrygująca analogia z paleolitycznymi i mezolitycznymi wierzeniami oraz z religią Majów), *pierwszym i ostatnim obrazie boga Atuma*<sup>152</sup>. Boga najwyższego, choć głęboko ukrytego, do złudzenia przypominającego sumeryjskiego Anu. Dawni Egipcjanie byli pewni, że Atum powróci, gdy na ziemi ponownie zapanuje chaos.

Trochę to wszystko zagmatwane, lecz kilka kwestii wydaje się bezspornych, otóż w pasterskim, pozbawionym większych osad Egipcie w pełni ukształtowana cywilizacja, sprawnie posługująca się pismem, z zaawansowaną techniką konstrukcji łodzi, sztuką budowy z cegły oraz kamienia, prawodawstwem, kulturą i religią pojawiła się (jak to już wcześniej bywało) nagle, około 4 tysiąclecia p.n.e. Przypuszcza się, na podstawie analizy motywów sztuki oraz odnalezionych cylindrycznych pieczęci, że musiała mieć związki z Sumerem, zwłaszcza, że i tu pierwsi władcy byli bogami, a ich następcy boskimi potomkami. Państwo zjednoczył faraon Menes. On także zbudował pierwszą stolicę w Memfis, niedaleko obecnego Kairu. Tam przez następne trzy tysiące lat odbywały się koronacje kolejnych władców Egiptu, zawsze związane z obrzędem odnowienia boskiej mocy stwórczej. Dane przez bogów prawa zawarte w *maat* (odpowiedniku sumeryjskiego *me*) określającym „dobry porządek” albo „sprawiedliwe prawo”, były nie-naruszalne i wiecznotrwałe, bo święte. Ich kultywowanie, według wierzeń, chroniło przed powrotem pierwotnego chaosu i upadkiem. Każdy faraon był wcieleniem *maat*. Zatem Egipcjanie starali się przez tysiąclecia niczego w strukturze społeczno-państwowej nie zmieniać, bo była im, tak jak religia, dana z nieba, a więc doskonała.

Egipski panteon był zbliżony do sumeryjskiego. Odnajdziemy w nim starych bogów: Atuma-Re (boga-słońce), który stworzył Szu i Tefnut – rodziców Geba (boga ziemi) i Nut (bogini nieba). Z ich kazirodczego związku narodzili się Ozyrys (według legendy pierwszy władca Egiptu) i jego żona Izida oraz Set i Neftysa. Potem pojawili się jeszcze młodszy bogowie (tamtejsi Anunnaki-Apkallu). Według egipskiej mitologii Set zabił podstępnie swego brata Ozyrysa (analogicznie jak biblijny Kain Abela). Później syn zamordowanego – Horus mści się na stryju i czynem tym „budzi” Ozyrysa, „wprawiając jego duszę w ruch”<sup>153</sup>. Zamordowany bóg-faraon odradza się do pośmiertnego, wiecznego życia jako „byt duchowy” promieniujący energią zapewniającą Egipcjom pomyślność. Zapewne z tego źródła możemy wywieść tradycję mumifikacji zmarłych władców, zawsze uosabiających tego boga: „Ozyrysie, odszedłeś, ale powróciłeś, spałeś, ale się zbudzi-

<sup>152</sup> M. Eliade, *Historia wierzeń...*, op. cit., s. 63.

<sup>153</sup> Ibidem, s. 70.

*leś, umarłeś, ale znów żyjesz*<sup>154</sup>. Śmierć jest przejściem ze strefy mniej znaczącej – ziemskiej do życia wiecznego w świecie niebiańskim (kolejna ciekawa analogia – tym razem z wiarą chrześcijańską), Ozyrys odszedł z tego świata, żeby zmartwychwstać. Odtąd w Duat (zaświatach) zasiada na niebiańskim tronie i sprawuje sąd nad duszami zmarłych. W ustalaniu ostatecznych wyroków pomagają mu Maat – bogini prawdy, prawości, sprawiedliwości i prostoty, oraz Thot, ibisogłowy bóg mądrości – uosobienie wszechobejmującej mocy nieba i ziemi, największy kapłan, wynalazca: astronomii, matematyki, geometrii, architektury, medycyny oraz nauk tajemnych; kronikarz dusz, rachmistrz gwiazd i mierniczy ziemi, żeglujący u boku boga stwórcy – Atuma-Re po niebiańskim oceanie.

Dwa najstarsze odnalezione teksty odnoszące się do prapoczątków cywilizacji w dolinie Nilu to: Kamień z Palermo, pochodzący z czasu piątej dynastii czyli XXV wieku p.n.e., oraz dokument z XIX dynastii (XIII wiek p.n.e.), znany pod nazwą Papirus Turyński. Oba zachowały się tylko we fragmentach, dlatego zmuszeni jesteśmy polegać na kronikarskiej rzetelności żyjącego w III wieku p.n.e. kapłana-skryby z Heliopolis o imieniu Manetho. Co prawda pełny tekst jego „Historii Egiptu” również nie dotrwał do naszych czasów, ale szczęśliwie fragmenty tej księgi cytowali późniejsi kronikarze: Józef Flawiusz (60 rok n.e.), Afrykan (300 rok n.e.), Euzebiusz (340 rok n.e.) i Jerzy Syncellus (800 rok n.e.). Manetho, co wiemy od Euzebiusza, sporządził pełną listę bogów: Re, Szu, Tefnut, Geb, Nut, Ozyrys i Izyda, Set i Neftyda, Horus i Anubis, oraz półbogów i faraonów: *Ci pierwsi dzierżyli berło w Egipcie. Później władza przechodziła z rąk do rąk w nieprzerwanej sukcesji... przez 13900 lat. Po Bogach władzę przejęli Półbogowie i rządili przez 1255 lat. Następna linia królów była u władzy przez 1790 lat. Po nich przyszło dziesięciu królów, którzy rządili przez 350 lat. Później przez 5813 lat władzę sprawowały Duchy Zmarłych*<sup>155</sup>.

Manetho oszacował dzieje cywilizacji egipskiej, liczone od początku do III wieku p.n.e. na 24925 lat. W porównaniu z mitologiczną historią Sumerów nie jest to bardzo długi czas. Kadencje pierwszych bogów nie mogły więc trwać dłużej niż 1500–2000 lat, czyli były zbliżone do okresów sprawowania władzy przez drugą oraz trzecią dziesiątkę sumeryjskich królów-bogów (następców Anunnakich-Apkallu). Nad Nilem, podobnie jak w Dwurzeczu, według relacji Manetho, po bogach sukcesję przejęli półbogowie, potem ich dzieci, a na koniec (w znanych nam historycznych okresach dynastycznych) rządili śmiertelnicy kierowani przez Duchy Zmarłych (czyli kontaktujących się z tymi duchami kapłanów).

<sup>154</sup> Ibidem, s. 70.

<sup>155</sup> G. Hancock, *Ślady palców bogów*, AMBER, Warszawa 1997, s. 311.

Z zachowanych fragmentów Papirusu Turyńskiego dowiadujemy się, iż w tzw. „Pierwszym Czasie” pośrednikami między bogami i ludźmi byli „Strażnicy”, pomniejsze bóstwa zwane Urszu. Rządy na Ziemi w imieniu bogów sprawowali Neteru – kobiety i mężczyźni o nadludzkich mocach, umiejętnościach i ogromnej wiedzy. Imiona dziesięciorga z nich, wpisane w herby, analogicznie jak znaki historycznych faraonów, znajdują się na tym papirusie. Zapewne to ich miał na myśli Manetho pisząc: *Po nich przyszło dziesięciu królów, którzy rządili przez 350 lat.*

Pierwszym faraonem pierwszej dynastii był Menes (3100 p.n.e.). Papirus Turyński wymienia jednak dziewięć „dynastii” poprzedzających znane okresy dynastyczne. Jest w nim mowa o „Czcigodnych z Memfis”, „Czcigodnych z Północy” i o tajemniczej grupie półboskich cywilizatorów – „Szemesu Hor”, z którymi Horus współdziałał w Heliopolis – „pierwszej części świata”. Według „Tekstów budowlanych z Edfu” jego doradcy byli mędrcami, budowniczymi i astronomami posiadającymi wiedzę o boskich początkach Egiptu. Z „Tekstów Piramid” dowiadujemy się, że *Towarzysze Horusa oczyszczą cię, wypowiedzą dla ciebie zaklęcie Tego, który wstępuje*<sup>156</sup>. Pełnili zatem rolę przewodników (tak jak i dzisiaj kapłani różnych monoteistycznych religii) torujących drogę do najwyższej prawdy i boskiego Ozyrysa. W okresie późniejszym tylko w Świątyni Benben w Heliopolis zatrudniano (według rozmaitych źródeł historycznych) aż 12 tysięcy kapłanów wyspecjalizowanych w rozmaitych dziedzinach nauki, sztuki i techniki. Najwyższym Arcykapłanem zawsze był ten noszący tytuł „szefa astronomów”. Znaczące miejsce, jakie w dawnym Egipcie kapłani zajmowali, jest wymownym świadectwem ich roli w strukturach państwa od początku jego istnienia. Szczególnie uprzywilejowaną pozycję mieli ci z nich, którzy znali astronomiczne i matematyczne reguły, wedle których można opisać ruch gwiazd i kuliste oblicze Ziemi.

## WSZECHOBECNA PRECESJA

Wiemy, że oś ziemską jest nachylona w stosunku do płaszczyzny, na której nasz glob porusza się wokół Słońca. To odchylenie w rocznym obiegu skutkuje zmianą pór roku oraz skracaniem się, a także wydłużaniem dni i nocy. Orientację naszej planety względem gwiazd komplikuje zjawisko precesji polegające na tym, iż oś Ziemi, niczym wielki żyroskop, zatacza raz na 25 920 lat pełne koło. Precesja przebiega więc powoli, w tempie jednego stopnia na 72 lata ( $360 \text{ stopni} \times 72 = 25\,920$ ). Zmiana pozycji gwiazd

<sup>156</sup> G. Hancock, *Zwierciadło...*, op. cit., s. 89.

na niebie jest w ciągu jednego życia niemal niezauważalna. Jeśli naszymi punktami odniesienia będzie 12 zodiakalnych konstelacji, to ich pozorne „przesunięcie” (w wyniku działania zjawiska precesji) o pełną godzinę na zegarze nieba nastąpi po upływie 2160 lat ( $25\,920$  podzielone przez  $12$ ). Wiemy też, że długość jednego boku sześciokąta regularnego ma identyczną długość jak promień koła opisanego na tym sześciokącie. Pozorny ruch gwiazd wzdłuż jednego jego boku trwa 4320 lat ( $6 \times 4320 = 25\,920$ ). Znając tę wartość, można posługując się wzorami, w których występuje stała  $\pi$  ( $3,141592653\dots$  albo wyrażona ułamkowo:  $22/7$ ), obliczyć wielkość Ziemi oraz jej kulistą powierzchnię. Ta wiedza, jeśli ma się odpowiednie przyrządy pomiarowe, umożliwia wytyczanie lądowych i morskich dróg, tworzenie kartograficznych map w odpowiedniej skali, określanie pozycji statków względem gwiazd i ustalonych na mapie punktów.

W podręcznikach i encyklopediach jako bezdyskusyjną podaje się informację, iż pierwszy zjawisko precesji zaobserwował w setnym roku p.n.e., grecki astronom Hipparch, twórca pierwszego astrolabium. Musi więc zdumiewać w najwyższym stopniu fakt, iż precesja, geometryczna „symbioza” koła z sześciokątem, przedstawione wyżej wyliczenia oraz stała  $\pi$ , niewątpliwie znane były również egipskim kapłanom! Zresztą nie tylko im, bo (co jeszcze bardziej szokuje) kapłanom-naukowcom wielu starożytnych religii świata!

Tę przedziwną historyczną anomalię jako pierwsi z przedstawicieli głównego nurtu nauki potraktowali poważnie dr Hertha von Dechend z uniwersytetu we Frankfurcie oraz profesor historii nauki z Massachusetts Institute of Technology – Giorgio de Santillana. *W swoim obszernym studium „Hamlet’s Mill”, opublikowanym w 1969 roku, dowodzili oni, że na naszym świecie istniał wielki korpus wiedzy astronomicznej już 6000 lat przed Wergiliuszem (czyli około 6000 roku p.n.e.) i że wiedza ta obejmowała precyzyjne opisy – utrzymane w konwencji mitologicznej – zjawisk astronomicznych, które, jak dowiodły współczesne obliczenia astronomiczne, miały miejsce około 6000 roku p.n.e. Niebywała dojrzałość owych konwencji, nawet w tak wczesnej epoce, nie dawała spokoju Santillanie i von Dechend, którzy w końcu i z ociąganiem przypisali pochodzenie tej wiedzy „jakieś niemal niewiarygodnie starej cywilizacji”<sup>157</sup>. Oboje uznali, że ta pierwsza cywilizacja rozumiejąca świat jako stworzony zgodnie z liczbą, miarą i wagą<sup>158</sup>, oparta na bezlitosnej metafizyce powiększającej umysł niemal nie do zniesienia<sup>159</sup>, wywarła ogromny wpływ na późniejsze,*

<sup>157</sup> Ibidem, s. 50.

<sup>158</sup> Ibidem, s. 50.

<sup>159</sup> Ibidem, s. 50.

rozrzucone w czasie i nierzadko bardzo odległe od siebie kultury. Z tego pierwotnego źródła miały się zrodzić: sumeryjskie państwa-miasta, Egipt faraonów, indyjskie pierwsze stolice, indiańskie kultury w Mezoameryce oraz wiele innych ośrodków opartych na tym samym kosmologicznym i ideowym wzorcu, i wynikającej z niego astronomicznej teokracji.

Najwięcej poszlak na lansowaną przez Dechend i Santillanę teorię odnajdujemy w liczbach wywiedzionych ze zjawiska precesji, a w opinii tych badaczy zaszyfrowanych w starożytnych mitach oraz budowlach. Główną liczbą tego kodu jest 72 (jeden stopień procesji – 72 lata). Inne liczby, które wciąż i wszędzie się powtarzają to: 6 – sześciokąt, 12 (miesiący i zodiakalnych konstelacji), 36 (1/2 stopnia precesji i dziesiąta część 360 stopni okręgu), 108 (36+72 i 432 podzielone przez 4), 54 (108 podzielone przez 2), 144 (2 × 72), 432 (4 × 108, dziesiątna liczby 4320) i tak dalej, i dalej. Oczywiście wielokrotności liczb procesyjnych również w tych kodach funkcjonują. Tezę zawartą w „Hamlet’s Mill” poparła Jane B. Sellers, archeoastronom i egiptolożka, autorka książki „The Meath of Gods in Ancient Egypt” („Śmierć bogów w starożytnym Egipcie”). Oto kilka przykładów zaczerpniętych z naukowych publikacji Dechend, Santillany i Sellers:

W kompleksie świątynnym w Angkor (Kambodża), oddalonym o 72 stopnie (ciekawe, bo to podstawowa liczba precesyjna) od Gizy, znajdują się 54 wieże Bayon oraz 54 dewów i asurów po obu stronach rampy prowadzącej do Angkor Thom. Są to liczby precesyjne, a ich suma  $54 + 54 = 108$  również. Składająca się z przekraczających nawet 1000 ton megalitycznych bloków (rzecz niewiarygodna) świątynia w Baalbek w Libanie ma sześciokątny dziedziniec, znajdują się tu 54 kolumny, 6 największych ma sześciokątny przekrój. Wszystko to liczby oraz figury precesyjne. Ozyrysa zamordował jego brat, Set, wraz z 72 spiskowcami. Świątynia Daniał-e Nabi wzniesiona przez Elamitów w Suzie ma sześciokątną kopułę. W Apadanie (również na terenach Elamitów) odnajdziemy 72 kolumny (nie 71 albo 73). Plemion Hebrajczyków było 12 (nie 13 lub 11). *Znakiem starożytnego hinduskiego boga Wisznu jest sześcioboczny sześciokąt, zaś heksagram świętej relikwii, jaką jest Saktona Yantra starożytnych Kamilów z południowych Indii, odzwierciedla związku między wielkim hinduskim bogiem, sześciokątem i tą najświętszą ze starożytnych relikwii; ma on wielką moc*<sup>160</sup>. Ów więc wykuty w czarnym kamieniu heksagram, którego bogiem jest Arumukam (istota o 6 twarzach), rzadko jest pokazywany publicznie. Dodajmy, że hinduskie ery (jugi) następują po sobie dokładnie co 43 200 lat (jest to stukrotność precesyjnej liczby związanej z sześciokątem Ziemi – 4320). W taoizmie symbolem Ziemi jest sześciokąt. We wszystkich kulturach Zodiak liczy

<sup>160</sup> J. I. Nienhuis, *Tajemnice epoki lodowcowej*, AMBER, Warszawa 2009, s. 67.

12 konstelacji. Olmekowie mieli kalendarz oparty na szóstce. Jednostki miary czasu Majów to: tun – 360 dni, baktun – 12 000 dni i katun – 144 000 dni ( $12 \times 12\,000$ ,  $360 \times 400$  lub  $144 \times 1000$ ) – wszystkie te liczby wynikają ze zjawiska precesji. Starożytne budowle, liczne artefakty, religijne symbole, mity oraz jednostki miar... we wszystkich kulturach są ponoć zapisane szyfry mówiące o wymiarach ziemskiego globu i precesyjnym wirowaniu jego osi.

Najwięcej tych kodów odnajdziemy w Egipcie. Wierzano tam, iż ptak prapoczątku Benu – Feniks odradza się z popiołów co 12 954 lat (jest to niemal 1/2 cyklu precesyjnego). Z liczb precesyjnych prawdopodobnie wyprowadzono przyjęty nad Nilem system jednostek miar: egipski łokieć królewski to nieco ponad pół metra (52,40528 cm), jeden bok Wielkiej Piramidy u jej podstawy mierzy 440 łokci królewskich (230,583232 metrów), cztery boki tej piramidy to 1760 ( $4 \times 440$ ) łokci królewskich, czyli 922,332928 metrów. I najważniejsze:

Proporcje Wielkiej Piramidy odwzorowują w wywiedzionej z precesji skali 1:43200 wymiary Ziemi – jej obwód (suma boków podstawy) oraz jej promień (wysokość piramidy). Przypominam, że liczba 43200 jest dziesięciokrotnością sumy lat 4320 potrzebnej, by zodiak „przesunął się” na firmamencie o jeden bok sześciokąta Ziemi. Z tego wynika, iż egipscy kapłani wywiedli długość łokcia królewskiego z liczb precesyjnych w taki sposób, by wymiary Ziemi (jej promień, średnica oraz obwód) mogły być wyrażane w liczbach całkowitych (bez kłopotliwych ułamków, na które dzisiejsze systemy miar nas skazują).

Piramida Chufu (Cheopsa), podobnie jak wiele innych egipskich budowli, została wzniesiona z niewiarygodną precyzją dorównującą w pełni współczesnym standardom. Badacze z Cambridge University ustalili, że margines błędu jej orientacji astronomicznej nie przekracza trzech minut kątowych! Tej dokładności egipski geodeta z okresu IV dynastii nie mógł z pewnością uzyskać bez odpowiednich przyrządów pomiarowych. Tylko jakich?

Ta zagadka od dawna nurtowała wielu naukowców. Pewien przełom w tej kwestii, jak się zdaje, nastąpił za sprawą Crichtona E. M. Millera – badacza alternatywnego, publicysty oraz nawigatora, który w 1997 roku opracował ręcznie, z materiałów dostępnych dla starożytnych Egipcjan, urządzenie do geometrii sferycznej. Przyrząd o marginesie błędu pomiarów nieprzekraczającym 3 minut kątowych. Jest to instrument lądząco podobny do krzyża celtyckiego. Miller odkrył, iż prosty kątomierz oparty na krzyżu z zawieszonym pionem pozwala precyzyjnie określać kąty. Co więcej, podczas prób mierniczych czynionych na morzu okazało się, że archeometr (pod taką nazwą to urządzenie opatentował w 2000 roku w Anglii) z powodzeniem może zastępować wynaleziony przez Johna Harrisona,

w 1761 roku chronometr – przyrząd nawigacyjny do ustalania długości geograficznej – odległości na wschód lub zachód od wybranej i łatwiejszej do ustalenia (według gwiazd) linii północ-południe. Jest to ważne odkrycie, bo gdy przyjmiemy za możliwe, że starożytni kapłani dysponowali archeometrem lub innym instrumentem podobnego typu (a wszystko wskazuje, że tak było), i jeśli znali wymiary Ziemi (w świetle istniejących dowodów wydaje się to oczywiste), i jeśli posługiwali się jednostkami miary i stałą pi – a przecież ewidentnie się posługiwali, i jeśli wyznaczyli południk zerowy (wszystko wskazuje na to, że przebiegał on przez szczyt Wielkiej Piramidy symbolizujący kamień prapoczątku – Benben). Zatem jeśli to prawda, a jest dość mocnych przesłanek, by tak przypuszczać, to z powodzeniem w starożytności można było wytyczać oceaniczne trasy żeglugowe, tworzyć zdumiewająco precyzyjne kartograficzne mapy świata, określać na nich dowolne punkty, dokonywać wyboru miejsc usytuowania ośrodków kultu i ich solarnej bądź lunarnej orientacji.

Mandaliczny motyw koła wpisanego w krzyż, charakterystyczny dla sztuki Celtów i przejęty od nich przez chrześcijan, był dobrze znany w starożytnych kulturach Wschodu. Odnajdziemy go również na freskach egipskich, w sztuce Majów i w schematach konstrukcyjnych niektórych megalitycznych grobowców. Pozostaje pytanie: czy krzyż ten był w tych kulturach wyłącznie symbolem religijnym?

Transoceanicznych wypraw dokonywano już w VI tysiącleciu p.n.e. (co spróbuję wykazać w rozdziale poświęconym megalitycznej teokracji), bezsprzecznie dokonywano takich podróży w połowie III tysiąclecia p.n.e. (najlepszym dowodem jest sztuka Olmeków). Trudno ocenić, dokąd i przy pomocy jakich map i instrumentów docierali Fenicjanie i starożytni Chińczycy (śladów w rozmaitych miejscach globu pozostawili po sobie wiele). Nie sądzę, że oni wszyscy pływali po świecie na ślepo, zdając się wyłącznie na łut opatrności lub przychylność bogów.

## KARTOGRAFICZNE PARADOKSY

W najwyższym stopniu zdumiewa fakt, konsekwentnie pomijany przez oficjalną naukę, a często podnoszony przez tzw. alternatywnych badaczy, iż najstarsze mapy, będące kopiami map starożytnych (być może wykradzionych z Biblioteki Aleksandryjskiej?) są dokładniejsze od późniejszych kopii! Jeszcze bardziej zadziwia to, iż te najstarsze kopie wykazują dokładną linię brzegową wysp i kontynentów sprzed końca epoki lodowcowej, a więc z czasów, gdy poziom mórz był niższy niż współcześnie o kilkanaście do nawet stu i więcej metrów (w zależności od miejsca). Ten fakt został po-

twierdzony przez symulacje komputerowe uwzględniające ową zmianę linii brzegowej lądów. Przypomnę, iż według większości oficjalnych badaczy ostatnia epoka lodowcowa skończyła się około roku 10 900 p.n.e. Niektórzy skłonni są przesunąć tę datę nawet o prawie pięć tysięcy lat, czyli do roku 6000 p.n.e., ale i tak to zagadki starożytnych map nie rozwiązuje. Wszystkich zainteresowanych tym tematem odsyłam do fascynującej książki „Maps of the Ancient Sea Kings” („Mapy starożytnych królów morza”) Charlesa Hapgooda oraz kilku innych publikacji poświęconych tym zagadnieniom. Warto wiedzieć (bo to istotne), że tureccy średniowieczni kopiści zamieszczali skrupulatnie na swoich kartograficznych planisferach informację, że opierali się na oryginałach pochodzących z Biblioteki Aleksandryjskiej lub z innych bardzo starych księgozbiorów. *Turecki admirał Piri Reis wykonał w 1513 roku mapę przedstawiającą linię wschodniego wybrzeża Ameryki Południowej, zachodniego wybrzeża Afryki oraz atlantyckiego wybrzeża Antarktydy, z dokładnością porównywalną z dzisiejszymi mapami*<sup>161</sup>. Wyzначył na niej pięć ujętych w łuk punktów odniesienia, usytuowanych w równych odległościach od piramidy Chufu, która w starożytności, jak się zdaje, wyznaczała pierwszy południk. *Mapa wykonana przez Turka Ibn Ben Zarę w 1487 roku, również skompilowana na podstawie starożytnych map precesyjnych, przedstawia z wielką dokładnością linię brzegową i wyspy Morza Śródziemnego. Wyspy greckie na Morzu Egejskim są narysowane w odpowiednich pozycjach, lecz ich powiększone linie brzegowe oraz obecność na mapie wysp, które dziś są zatopione, dowodzi, że ta część mapy Ibn Ben Zary powstała na podstawie starożytnej mapy Egei, wykreślonej w epoce lodowcowej, kiedy w tej części świata poziom mórz był o około 100 stóp niższy*<sup>162</sup>. Profesjonalizm mapy Piri Reisa, ulubionego artefaktu Von Dänikena, jest stanowczo kwestionowany przez gremia profesjonalnych naukowców, zwłaszcza w kontekście przedstawionej na niej linii brzegowej Antarktydy (jak przecież wiadomo z oficjalnych źródeł, odkryli ją Rosjanie dopiero w 1818 roku n.e.). Kłopot w tym, że niemal identyczna linia brzegowa Antarktydy znajduje się też: na mapie Orontiusa Finaeusa z 1532 roku i na mapie sporządzonej według starożytnych map przez Buache’a w XVIII wieku, i wreszcie na mapie największego szesnastowiecznego kartografa, Gerarda Kremiera, zwanego Marcatorem, który z pietyzmem podchodził do starożytnych źródeł. Pei Hsiu był sławnym kartografem chińskim żyjącym w III wieku n.e. Oto, jaką intrygującą informację zamieścił we wstępie do swojego atlasu: *Początki map i traktatów geograficznych sięgają daleko*

<sup>161</sup> Ch. H. Hapgood, *Maps of the Ancient Sea Kings*, Adventures Unlimited Press, Illinois 1996, s. 20.

<sup>162</sup> J. I. Nienhuis, *Tajemnice...*, op. cit., s. 29.

w przeszłość. Za panowania trzech dynastii, Hsia, Shang i Chou (2000 do 1000 p.n.e.), zajmowali się tym specjaliści urzędnicy (kuo shih). Potem, kiedy lud Han splądrował Hsien-yang, Hsiao Ho zebrał wszystkie mapy i dokumenty Chin. Dziś nie sposób już znaleźć starych map w tajnych archiwach, a nawet te, które znalazł Hsiao Ho, zaginęły, mamy jedynie mapy, ogólne i szczegółowe, z późniejszych czasów Han. Żadna z nich nie ma stopniowej skali (fen lu) i żadna z nich nie jest zorganizowana w prostokątnej siatce<sup>163</sup>. Z tego komentarza jasno wynika, że stare mapy sporządzano w oparciu o siatkę południków i chyba też równoleżników? Ale, żeby to zrobić, trzeba było przecież znać kulisty kształt Ziemi, jej wielkość, precesję, stałą pi i... mieć oczywiście odpowiedni przyrząd pomiarowy – chronometr lub jakiś jego ekwiwalent.

Co z tego, że już w roku 1872 w ukrytym szybie piramidy Chufu Waynman Dixon znalazł kilka połamanych obiektów przypominających kij, pion i hak<sup>164</sup> (zabranych potem do Muzeum Brytyjskiego). Co z tego, że inne elementy pasujące do znalezionych przez Dixona artefaktów, znajdujące się wciąż jeszcze w tej piramidzie, dało się złożyć z tamtymi w spójną całość, a tą całością okazał się archeometr Millera! Co z tego wynika? Nic. Domniemany model starożytnego chronometru oraz wszystkie kopie starożytnych map są wciąż konsekwentnie deprecjonowane – pomijane przez większość luminarzy nauki. Prawdopodobnie są zbyt kłopotliwe, by je brać na serio. Przykładowo: *Wolne od lodu wybrzeże Ziemi Królowej Maud, widoczne na mapie* (admirala Reisa) *jest niesłychaną zagadką, gdyż badania geologiczne wykazują, że warunki takie występowały tam ostatnio cztery tysiące lat przed naszą erą*<sup>165</sup>. To przecież niemożliwe, żeby ktoś to odnotował. Inne średniowieczne kopie starożytnych map też wykazują cechy świadczące o tym, że te źródłowe mapy sporządzono w ostatniej epoce lodowcowej! Na mapie tureckiego kartografa Hadjiego Ahmeda, sporządzonej w 1559 roku, widoczny jest w miejscu obecnej Cieśniny Beringa skrawek lądu łączący Alaskę z Syberią (co potwierdza przypuszczenia, iż w epoce lodowcowej taki międzykontynentalny most lądowy istniał). Profesor Hapgood uznał, co zrozumiałe, że Hadji Ahmed miał najwidoczniej dostęp do „wręcz nadzwyczajnych map źródłowych”. Precyzja wielu z nich dorównuje mapom współczesnym: na portolanie Angellina Dulcerta z 1339 roku, obejmującym obszar Europy i północnej Afryki, długość geograficzna odległych od siebie punktów została wymierzona bezbłędnie, a wielkości mórz Śródziemnego oraz Czarnego przedstawiono w odpowiedniej skali,

<sup>163</sup> G. Hancock, *Underworld*, Crown Publishing Group, New York 2002, s. 663.

<sup>164</sup> J. I. Nienhuis, *Tajemnice...*, op. cit., s. 147.

<sup>165</sup> G. Hancock, *Ślady...*, op. cit., s. 12.

z zachowaniem dokładności odwzorowania nieprzekraczającej pół stopnia błędu! Hapgood zauważył, iż taką precyzję można uzyskać jedynie posiadając informacje o odległościach dzielących liczne punkty rozmieszczone „od Galway w Irlandii do wschodniego zakola rzeki Don w Rosji”. *Kolejna zagadka to mapa nawigatorów weneckich Antonia i Nicola Zeno z 1380 roku. Z nieprawdopodobną dokładnością pokazuje ona długość i szerokość geograficzną wielu miejsc na rozległych obszarach północnej półkuli aż do Grenlandii*<sup>166</sup>. Również wybrzeża Antarktydy przedstawione na mapie Orontiusa Finaeusa odwzorowane są z precyzją godną współczesnych kartografów. A przecież pochodzi ona ze średniowiecza, gdy ponad wszelką wątpliwość nie potrafiono ustalać długości geograficznych! Lorenzo Burroughs, dowódca Sekcji Kartograficznej Ósmego Oddziału Rozpoznania Technicznego z bazy lotniczej w Westover, któremu prof. Hapgood przedstawił niektóre z tych map do ekspertyzy, jednoznacznie stwierdził: *świadczy to o wysokiej wiedzy matematycznej twórców map. Kształt Antarktydy nasuwa przypuszczenie, iż mapy źródłowe zostały sporządzone z wykorzystaniem odwzorowania stereograficznego lub środkowego, które wymagają znajomości trygonometrii przestrzennej*<sup>167</sup>. Z jego ekspertyzy jasno wynika, że aby wytyczać mapy – przekładać krzywiznę globu na płaszczyznę kartki, konieczna jest specjalistyczna wiedza o kulistości Ziemi, jej rozmiarach i dobra znajomość trygonometrii przestrzennej. A przecież to niemożliwe, by osiem, czy nawet dziesięć tysięcy lat p.n.e. opanowano takie matematyczne umiejętności! A jednak, w jakiś zagadkowy sposób te mapy niewątpliwie sporządzono. Książka profesora Hapgooda mimo, iż opatrzył ją życzliwym wstępem sam Albert Einstein, jest od wielu lat konsekwentnie ignorowana przez świat oficjalnej nauki. Jest deprecjonowana i pomijana, tak jak wiele innych „gorących kartofli”, od których najlepiej trzymać się z daleka, by się nie sparzyć.

## KOLEJNE ZAGADKI

W rozżarzonym „popiele ogniska” starożytnej cywilizacji Egiptu tkwią przysypane całe kopy takich „gorących pytań”. Jednym z nich, co wielu badaczy alternatywnych podnosi do znudzenia, jest wciąż okryta mgłą tajemnicy kwestia transportu w starożytności wielotonowych bloków kamiennych i podnoszenia ich na wysokości dziesiątków metrów za pomocą niezwyklej mocy lub/i zaawansowanej techniki (niepotrzebne skreślić).

<sup>166</sup> Ibidem, s. 32.

<sup>167</sup> Ibidem, s. 33.

Co prawda w sztuce egipskiej (podstawowy argument wielu archeologów) odnajdziemy przedstawienia obrazujące transport dużych ciężarów z wykorzystaniem barek rzecznych, także ich przesuwania na oliwionych rolkach po drewnianych szynach, przy udziale dziesiątków i setek zaprzężonych do tej pracy robotników. Przeprowadzone symulacje z kilkudziesięciotonowymi głazami potwierdziły, iż jest to wykonalne, przynajmniej na twardej, poziomej i gładkiej powierzchni. A jednak jakoś tej oficjalnej wersji naukowej nie specjalnie dowierzam. Owszem, mogę sobie wyobrazić nasypy ziemne, po których te bloki wciągano do góry z wykorzystaniem systemu prostych dźwigni, przeciwwag oraz przekładni, ale, o ile mi wiadomo, nikt nie przeprowadził symulacji ładowania oraz rozładunku tych wielkich ciężarów na i z barek, statków lub tratw. Jakich dźwigów portowych do tego używano?

Do tych ciekawych kwestii powrócę jeszcze przy innej okazji, a teraz przejdźmy do narastających ostatnio kontrowersji dotyczących wieku egipskich piramid oraz ich funkcji, a więc powodów, dla których je wzniesiono.

Opinia egiptologów od lat jest niezmienna: budowle te stworzono w połowie III tysiąclecia p.n.e., są grobowcami megalomańskich faraonów, a wzniosły je w trudzie i znoju zastępy tysięcy robotników dysponujących prostą techniką opartą na kamiennych i miedzianych narzędziach, przy użyciu rozmaitych rolek, przeciwwag, prostych przekładni, płóz, itp.

Warto więc pamiętać, iż ta wersja została ukształtowana w oparciu o relację greckiego historyka Herodota, który w V wieku p.n.e. zwiedzał piramidy w Gizie w towarzystwie egipskich przewodników i na podstawie ich opowieści sporządził notatkę (cytuję za Hancockiem): *Dowiedziałem się od nich, że Cheops rządził przez pięćdziesiąt lat, a w dniu zaś jego śmierci władzę w królestwie przejął jego brat, Chefren. On także wybudował piramidę (...). Jest o dwanaście metrów niższa niż piramida brata, lecz pod innymi względami dorównuje wielkością tamtej (...). Chefren rządził przez pięćdziesiąt sześć lat (...). Po nim nastał Mycerinus, syn Cheopsa (...). Zbudował piramidę znacznie mniejszą niż piramida ojca*<sup>168</sup>.

Faraonowie IV dynastii: Chufu, Chafre i Menkaure panowali w latach 2575–2467 p.n.e., zatem informacje Herodota pochodziły od osób żyjących dwa tysiące lat później. W tak długim okresie przekazywane przez pokolenia opowieści mogą podlegać nieuchronnemu procesowi mitologizacji. No, bo czy to możliwe, by brat faraona Cheopsa – Chefren, oczekujący na sukcesję do tronu przez pół wieku, był w stanie rządzić Egiptem przez kolejne 52 lata i potem jeszcze sukcesję po nim objął syn Cheopsa – Menkaure? Wszak obaj musieliby żyć grubo ponad 100 lat! Szczęśliwie dziś nie musimy już polegać wyłącznie na relacji Herodota, ponieważ całkiem

<sup>168</sup> Ibidem, s. 241.

niedawno, w pustynnej wiosce Wadi Al-Jarf nad brzegiem Nilu, około 250 kilometrów od Gizy, będącej w czasach faraonów bazą zaopatrzeniową dla robotników zatrudnionych przy budowie Wielkiej Piramidy, wykopano z piasków pustyni najstarszy ze znanych papyrus zapisany hieroglifami, pochodzący z okresu IV dynastii. Manuskrypt zrekonstruował, odczytał i przetłumaczył archeolog Pierre Tallet. Okazało się, iż jego autorem był urzędnik średniego szczebla o imieniu Merer – inspektor, zarządca, nadzorca czy raczej dowódca grupy 40 robotników obsługujących jedną z wielu transportowych łodzi, którymi dostarczano z dwóch kamieniołomów bloki kamienia pod budowę piramidy Chufu. Jego brygada przewoziła do Gizy również inne produkty oraz grupy robotników. Wcześniej byli zatrudnieni przy budowie zapory na Nilu. Zapora była nieodzowna do regulowania poziomu wody w korytach sztucznych kanałów tej kapryśnej rzeki. Kanały i ich odnogi poprowadzono do portu utworzonego kilkaset metrów od placu budowy Wielkiej Piramidy. Poziom wody przy nabrzeżu portu musiał być przy pomocy śluz tak precyzyjnie regulowany, żeby rozładunek kamiennych bloków i innych materiałów oraz produktów spożywczych potrzebnych do żywienia tysięcy robotników przebiegał bez zakłóceń. Z relacji Merera wiemy, że jego szefem – głównym zarządcą i koordynatorem wszelkich prac związanych z budową Wielkiej Piramidy, tych pomocniczych też, był przyrodni brat faraona Chufu – Ankaf. To zgodnie z jego koncepcją utworzono system brygad, grupujący robotników w wyspecjalizowane w różnych zakresie, czterdziestoosobowe brygady. Niedawne wykopaliska prowadzone w pobliżu piramidy Chufu, między innymi przez archeologa Marka Lehnnera oraz jego zespół, potwierdziły zawarte w manuskrypcie Merera informacje dotyczące istnienia w Gizie w tamtym okresie portu przeładunkowego, utwardzonego nabrzeża, sztucznego kanału i dużej osady przeznaczonej dla tysięcy robotników, dlatego nie ma podstaw, by autorowi nie wierzyć, że jego jednostka pływająca mogła jednorazowo zabierać na pokład od kilkunastu do nawet kilkudziesięciu kilkutonowych kamieni. Przypuszczalnie miała wyporność około 70 ton! Jest to wynik zaiste imponujący zważywszy na fakt, iż egipskie łodzie konstruowano wyłącznie z desek oraz belek łączonych ze sobą sznurami, bez użycia gwoździ, kleju, spawów lub nitów, co wiemy z serii fresków ilustrujących szczegóły procesu ich budowania, które zdobią grobowiec dostojnika o imieniu Ti – fryzjera faraona, znajdujący się w Sakkarze. Niestety, Merer w swoim manuskrypcie nic nie wspominał o metodach rozładunku oraz załadunku wielotonowych głazów z i na transportowe barki. Wspominał tylko, że po ładzie ciągnięto je przy wykorzystaniu lin. Przypuszcza się, że umieszczane były na drewnianych płozach, które przesuwano po szynach wykonanych z twardego, akacjowego drewna przy udziale rolek.

Jak się domyślam, całe egipskie społeczeństwo zostało zjednoczone (czytaj: zaprzęgnięte) do pracy przy tym gigantycznym przedsięwzięciu budowlanym. Kupcy dostarczali najnowocześniejszy sprzęt oraz towary z całego świata. Poborcy podatkowi ściągali obowiązkowe kontrybucje w postaci plonów oraz bydła z każdej, najmniejszej nawet osady. Nieodparcie kojarzy mi się to z okresem budowy Wielkiego Muru w III wieku p.n.e. przez chińskich cesarzy, czy kopaniem Białomorkanału, lub elektryfikacją kraju za czasów Stalina, czyli generalnie z nieliczącymi się z prawami jednostek tyraniami. Można też dostrzec wyraźną analogię z ideą jednoczenia rozproszonych, mezolitycznych plemion wokół budowy świątynnych kręgów kamiennych w Gobekli Tepe. Tak czy inaczej, dzięki manuskryptowi Merera i archeologicznym znaleziskom wiemy już z całą pewnością, kiedy te trzy wielkie piramidy powstały. Ale czy na 100% były one grobowcami faraonów? Wszak w budowlach przypisywanych Chafre i jego bratankowi Menkaure nie znaleziono inskrypcji świadczących o tym, że je zbudowali. Co wydaje się nieco dziwne zważywszy, że ponoć byli „megalomanami”. Ponadto znaki znalezione przez Howarda Vyse – ich odkrywcę, w 1837 roku, w czterech z pięciu komór kompensacyjnych Wielkiej Piramidy zawierające jakoby imię Chufu, już na pierwszy rzut oka wydają się wielu badaczom fałszerstwem. Niektóre z tych hieroglifów są nieczytelne, inne zapisano do góry nogami, a jeszcze inne zawierają błędy gramatyczne i ortograficzne! Ponadto inskrypcje były tylko w tych pomieszczeniach, które znalazł Vyse. W piątej komorze kompensacyjnej, odkrytej 70 lat wcześniej przez Davisona, żadnych inskrypcji nie było. W żadnej z trzech piramid w Gizie nie stwierdzono też śladów pochówków. Mimo to większość egiptologów „odkryciom” Vyse wierzy bezkrytycznie. Uznano, że skoro inne piramidy z III oraz V dynastii były bez wątpienia grobowcami, to te trzy z IV dynastii pełniły z pewnością tę samą funkcję, zwłaszcza, że w niektórych z tzw. „komór grobowych” odnaleziono puste pojemniki wydrążone w litych blokach kamiennych, które wyglądają jak sarkofagi. Moim zdaniem są to zbyt wątpliwe przesłanki, by jednoznacznie przesądzać o funkcji tych obiektów.

John West, autor książki „Serpent in the Sky” („Wąż na niebie”) zwrócił uwagę na ciekawą anomalię: *Piramida Schodkowa Dżosera w Sakkarze (trzecia dynastia) jest imponującą budowlą, lecz zbudowano ją ze stosunkowo małych, poręcznych bloków, które pięciu lub sześciu mężczyzn mogło bez trudu przenieść, a jej wewnętrzne komory były źle skonstruowane. Piramidy piątej i szóstej dynastii, chociaż ozdobione wewnątrz przepięknymi „Tekstami Piramid”, zbudowane były tak lichy, że rozpadły się zupełnie i większość z nich wygląda dziś jak sterty gruzu. Piramidy czwartej dynastii w Gizie natomiast zbudowane zostały tak doskonałe, że przetrwały tysiące*

lat w stanie niemal idealnym<sup>169</sup>. West przyrównał to do hipotetycznej sytuacji, w której przemysł samochodowy, po skonstruowaniu forda modelu T, nagle zbudowałby kilka egzemplarzy porsche 93, a później, zapominając o tej świetnej technologii, powrócił do masowej produkcji forda T! *Tak się po prostu nie dzieje*, żaden rozwój cywilizacyjny, w opinii Westa, nie przebiega w ten sposób.

Skrupulatny i wnikliwy badacz historii, Graham Hancock, autor kilku światowych bestsellerów, w książce „Ślady palców bogów” stwierdził: *Nie znaleziono ani jednego pozbawionego ozdób miejsca pochówku egipskiego faraona. W całej historii Egiptu obowiązywał zwyczaj bogatego zdobienia grobowców faraonów, malowania ich od góry do dołu (jak w Dolinie Królów w Luksorze) i pokrywania gęsto rytualnymi zaklęciami i formułkami modlitewnymi, które miały towarzyszyć zmarłemu w jego drodze do wieczności (jak w piramidach faraonów piątej dynastii w Sakkarze, trzydzieści kilometrów na południe od Gizy). W konkluzji zawarł zatem kilka kłopotliwych pytań: Dlaczego Chafre i Menkaure postąpili inaczej? A może w ogóle nie budowali piramid jako grobowców? Może, jak chce jedna z arabskich tradycji ezoterycznych, piramidy w Gizie zostały wzniesione na długo przed panowaniem czwartej dynastii, przez architektów jakiejś wcześniejszej, wyżej rozwiniętej cywilizacji?*<sup>170</sup> Dzięki papirusowi z Wadi Al-Jarf już wiemy, że nie ma sensu podważać ich wieku. Ale pierwsze dwa pytania Hancocka nadal są aktualne.

Francuski archeolog, August Mariette, odnalazł w XIX wieku w Gizie stelę pokrytą hieroglifami, później nazwaną Stelą Dziedzictwa (obecnie znajduje się w Muzeum Kairskim). *Z zapisanego na niej tekstu wynikało jasno, że zarówno Wielki Sfinks, jak i Wielka Piramida (a także kilka innych budowli na płaskowyżu obok Gizy) istniały na długo przed wstąpieniem Chufu na tron królewski. W inskrypcji pojawiło się też imię Izydy tu określonej „Władczynią Piramidy” (...). W inskrypcji znalazł się też ustęp sugerujący, iż prawdziwą piramidą Chufu jest jedna z trzech pomniejszych budowli, usytuowanych wzdłuż wschodniej flanki Wielkiej Piramidy*<sup>171</sup>. Manuskrypt Merera zaświadcza, że tę piramidę budowano w okresie panowania Chufu, ale inne kwestie pozostają otwarte.

O tym, że starożytni Egipcjanie mogli swobodnie podróżować, nawet przepłynąć ocean, najlepiej świadczą znaleziska w Gizie i Abydos. Oto notatka z 21.12.1991 roku zamieszczona w „The Guardian”, cytując: *W odległości trzynastu kilometrów od Nilu znaleziono flotyllę królewskich*

<sup>169</sup> Ibidem, s. 338.

<sup>170</sup> Ibidem, s. 248, 249.

<sup>171</sup> Ibidem, s. 250.

*okrętów sprzed pięciu tysięcy lat. Amerykańscy i egipscy archeolodzy odkryli dwanaście dużych łodzi w Abydos (...). „Odkrycie flotylli jest dla nas kompletnym zaskoczeniem, zwłaszcza w takiej odległości od Nilu” – powiedział Dawid O’Connor, szef wyprawy i kustosz sekcji egipskiej muzeum Uniwersytetu Pensylwanii (...)*<sup>172</sup>. Okręty tej flotylli, przysypane piaskiem, „przycumowane” do skał, liczyły od 15 do 18 metrów długości. Z kolei w Gizie, w dwóch wykopach znaleziono: pełnomorską jednostkę z wysokim dziobem o długości około 30 metrów i inny, jeszcze solidniejszy statek, zbudowany z cedrowego drewna o wyporności 40 ton i długości 42 metrów, obecnie prezentowany w egipskim Muzeum Łodzi. Jeden z ekspertów uznał, iż był on *lepiej przystosowany do podróży morskich niż te, którymi dysponował Kolumb*<sup>173</sup>. Konstruktorami owych pełnomorskich jednostek pływających raczej nie byli pasterze i rolnicy z doliny Nilu, ale biegli w swoim fachu szkutnicy i cieśle.

## PIRAMIDY CZWARTEJ DYNASTII

W 1993 roku Robert Bauval, belgijski inżynier i pasjonat astronomii, odkrył, że kompleks trzech piramid w Gizie zorientowany jest względem Nilu analogicznie jak pas trzech gwiazd Konstelacji Oriona względem Drogi Mlecznej z okresu 10 450 lat p.n.e. Co może dziwić zważywszy, że wiemy już z całą pewnością, że zbudowano je w okresie IV dynastii. Czy to możliwe, że egipscy astronomowie wyliczyli tę, o 8 tysięcy lat młodszą orientację gwiazd Pasa Oriona? Bauval w książce „Piramidy – brama do gwiazd” stwierdził: *cztery wąskie tak zwane szyby wentylacyjne Wielkiej Piramidy (jakie nie występują w żadnej innej budowli) powinny się raczej nazwać „szybami gwiazdnymi”, ponieważ zostały one zorientowane, około 2500 roku p.n.e., na cztery ważne gwiazdy, którym starożytni Egipcjanie przypisywali wielkie znaczenie. Szyby te są „południkowe”, to znaczy dwa z nich są skierowane dokładnie na północ, a dwa na południe, i były wycelowane na punkty nocnego przejścia tych gwiazd przez północny i południowy południk nieba. Około 2500 p.n.e. gwiazdami wskazywanymi przez północne szyby były: Kochab (Beta Ursa Minor) w konstelacji Małego Wozu i Thuban (Alpha Draconis) w konstelacji Smoka – zwanej Smokiem lub Wężem. W tym samym okresie południowe szyby celowały w Syriusza (jasną gwiazdę w konstelacji Małego Psa, którą starożytni Egipcjanie uważali za gwiazdny odpowiednik bogini Izdydy) i Alnitak (Zeta Orionis),*

<sup>172</sup> Ibidem, s. 331.

<sup>173</sup> Ibidem, s. 233.

*najjaśniejszą z trzech gwiazd pasa Oriona*<sup>174</sup>, utożsamianego przez nich z Ozyrysem – bogiem zmartwychwstania. Szyby, tak myślę, nie służyły do wentylacji, bo niby co miały wentylować, skoro prowadziły do pustych komór? Ponadto wykonano je z ogromnym trudem, a także z wielkim piecizmem, według skomplikowanego architektonicznego projektu! Można więc zakładać, iż były to „szlaki gwiazdne” dla czwórki głównych bogów prowadzące z i do Wielkiej Piramidy, która bywała ich ziemskim domem.

Obiekty w Gizie *leżą na 30 równoleżniku – na 30 stopniu szerokości geograficznej północnej – a zatem dokładnie w jednej trzeciej odległości między równikiem a biegunem północnym naszej planety. Z podobnie zadziwiającą precyzją ich północne boki są zwrócone dokładnie ku biegunowi północnemu, południowe dokładnie na południe, wschodnie – na wschód, a zachodnie na zachód*<sup>175</sup>. Błąd orientacji na osi północ-południe Wielkiej Piramidy nie przekracza 3/16 stopnia. Ten fakt, jak i jej geograficzne usytuowanie, nie mogą być, moim zdaniem, przypadkowe. Świadczą zapewne o tym, iż była ona również rodzajem obserwatorium i mogła wyznaczać (konieczny dla potrzeb żeglugowych) południk zeroowy. Obecnie jest to Greenwich w Anglii. Biorąc to wszystko pod uwagę, jak i to, że jej rozmiary odwzorowują, w wyprowadzonej z precesji skali 1:43 200, rozmiary Ziemi, można zakładać, że zbudowano ją z powodów zarówno religijno-artystycznych jak i praktycznych oraz naukowych (tych sfer w starożytnych kulturach nie rozdzielano). A zatem Wielka Piramida mogła być jednocześnie:

1. Grobowcem faraona, jak twierdzą egiptolodzy, który za życia uosabiał Horusa, a po śmierci Ozyrysa.
2. Świątynią niebiańskich bogów zstępujących do niej przez „gwiazdne szyby”. Jest to wyraźna i nieprzypadkowa, jak przypuszczam, zbieżność z funkcjami piramid budowanych w Mezoameryce.
3. Obiektem symbolizującym najjaśniejszą gwiazdę z Pasa Oriona.
4. Astronomicznym obserwatorium i pierwszym geograficznym punktem odniesienia dla wszystkich innych punktów zaznaczanych na mapach.
5. Była też, być może, uosobieniem naszej planety, wszak wpisano w nią jej wymiary.

Cywilizacja Egiptu rodzi dziesiątki pytań, na które wciąż nie ma w pełni satysfakcjonujących odpowiedzi. Na przykład: po co budowniczym piramid w Gizie potrzebna była ta kłopotliwa do uzyskania precyzja nieprzekraczająca 1/10 procenta? Przecież tolerancja rzędu 1–2 procent ułatwiłaby im zadanie, a efekt końcowy byłby niemal identyczny. Albo: dlaczego

<sup>174</sup> G. Hancock, *Zwierciadło...*, op. cit., s. 76, 77.

<sup>175</sup> Ibidem, s. 52.

kamienne stopnie Wielkiej Piramidy układano tak dziwnie? Od pierwszej do siedemnastej warstwy wysokość, a więc i wielkość bloków maleje (od 141cm – pierwszy stopień, do 59 cm – siedemnasty), co wydaje się logiczne i racjonalne, ale dziewiętnasta i niektóre inne, wyżej położone warstwy, znowu rosną do 90 i więcej centymetrów, co oznacza, że ciężar składających się na nie kamieni wzrasta ponownie aż do nawet kilkunastu ton każdy! Szacuje się, iż piramidę Chufu, składającą się z 2,3 miliona monolitów, ukończono w ciągu 20 lat. Tempo zaiste imponujące, bo jeśli robotnicy pracowali przez okrągły rok po 10 godzin dziennie, to musieli układać jeden blok co dwie minuty! Jak te prace koordynowano? Jak unikano wypadków, które mogły przecież postęp robót opóźnić? Jak pokonywano fizyczne i techniczne bariery? Większość egiptologów podzielało do niedawna pogląd byłego kustosa sekcji starożytności Muzeum Brytyjskiego i profesorów I. E. S. Edwardsa oraz Johna Bainesa z uniwersytetu w Oksfordzie, iż: *Starożytnym Egipcjanom znany był jeden i tylko jeden sposób podnoszenia dużych ciężarów, a mianowicie za pomocą ramp utworzonych z cegieł i ziemi, wznoszących się od poziomu gruntu do właściwej wysokości*<sup>176</sup>. Gdy zwiększała się wysokość, na którą trzeba było wciągnąć bloki kamieni, rampę rozbudowywano, także wydłużano (według J. Bainesa) w sposób, by nigdy nie przekraczała nachylenia 1/10, umożliwiającego ich wciąganie. W przypadku Wielkiej Piramidy ta równia pochyła, żeby zachować odpowiedni kąt, musiałaby mieć prawie półtora kilometra długości i masę ponad trzy razy większą od samej piramidy! Taka rampa zbudowana z samych cegieł i ziemi, w ocenie współczesnych ekspertów, zawaliłaby się pod własnym ciężarem. Budowano ją zatem z kamieni. Pytanie brzmi: gdzie te osiem milionów metrów sześciennych gruzu wywieziono i zakopano? I czy te rampy, być może wznoszone także wokół piramidy, nie przeszkadzały geodetom w zachowaniu precyzji, którą cechują się budowle w Gizie?

Piramida znana jako „grobowiec” faraona Chafre – pozornie mniej konstrukcyjnie skomplikowana od piramidy Chufu – też zawiera w sobie wiele zagadek. Jest to budowla od tamtej nieco niższa. Boki jej podstawy są o 15 metrów krótsze, kąt nachylenia jej ścian to 53 stopnie 7’28” (w przypadku Wielkiej Piramidy jest to 52 stopnie). Czy te liczby i rozmiar coś znaczą? Pomyślałem, że jeżeli te trzy piramidy w Gizie symbolizują gwiazdy z Pasa Oriona, to może jest to pokazana w jakiejś skali różnica między masą gwiazd Alnitak, Alnilam i Mintaka? Nie wątpię, doceniając matematyczną obsesję egipskich uczonych, że proporcje, geometria i liczby wpisane w ich budowle nie są bez znaczenia. Z piramidy Chafre

---

<sup>176</sup> G. Hancock, *Ślady...*, op. cit., s. 236.

proceedzi przejście do Wielkiego Sfinksa, czy te dwa gigantyczne obiekty były dla Egipcjan jakoś ze sobą znaczeniowo spokrewnione? W centrum podstawy piramidy Chafre zbudowano jedną tylko komorę zwieńczoną płytami stropu, nachylonymi pod tym samym kątem, co boki piramidy. Nie znaleziono w niej „szybów wentylacyjnych” – „niebiańskich kanałów”, zatem ta piramida raczej nie była (w przeciwieństwie do piramidy Chufu) ziemskim domem gwiazdnych bogów. Czy przypisano jej inną funkcję? Gotów jestem zaryzykować tezę, że ta świątynia symbolizowała świat ziemski.

Tzw. „grobowiec Menkaure” z wykutymi w litej skale – głęboko pod piramidą – komorami oraz prowadzącymi do nich korytarzami, według mnie, mógł być świątynią świata podziemnego – mieszkaniem bogów śmierci. Ta wysoka na ponad 60 metrów, z podstawą o bokach długich na 108,5 metra budowla *Wydaје się mała w porównaniu z dwiema wielkimi piramidami; lecz oglądana z bliska wzbudza w wyobraźni dziwny niepokój i nie sposób jej podziwiać bez bólu (...)*<sup>177</sup>, zanotował Abdul Latif – arabski pisarz z XII wieku. Nikt pewnie nie wie, dlaczego szesnaście jej najniższych stopni ułożono z bloków wyciętych z czerwonego granitu. Jest to kamień tak twardy, że trudno go zarysować nawet stalowym ostrzem. Jednak w III tysiącleciu p.n.e. (w epoce brązu, a nie żelaza) przycięto te bryły tak precyzyjnie, że łączenia między nimi są niemal niedostrzegalne. W wielu miejscach płaszczyzny kamieni oszlifowano i wypolerowano. Sklepienie jednej z podziemnych komnat jest łukowe, złożone z szeregu wklęsłych płyt. Z pewnością tego twardego granitu nie obrabiano miedzianymi narzędziami, więc jakimi? J. I. Nienhuis i kilku innych badaczy twierdzi, że na wykonane z miedzi lub brązu ostrza pił nakładano zęby z twardych minerałów. Chętnie uwierzę, jeżeli któryś z nich odtworzy taką piłę i dokona nią próby przecięcia bloku czerwonego granitu. Wklęsłe płyty stropowe z piramidy Menkaure świadczą o tym, iż starożytni Egipcjanie posługiwali się piłami tarczowymi. To pewne, bo w Gizie znaleziono porzuconą, granitową płytę z wyraźnie widocznym na niej śladem ostrza okrągłej tarczy tnącej. Intryguje mnie jak te maszyny działały? Niektórzy naukowcy twierdzą, że rozpędzano je strumieniem rzeki. Napędem było podobno łopatkowe koło młyńskie, Mam w tej kwestii duże wątpliwości, bo operowano nimi przecież dość swobodnie – tnąc i szlifując w różnych miejscach i pod różnymi kątami. No, ale nie od dziś wiadomo, że *diabeł tkwi w szczegółach*.

---

<sup>177</sup> Ibidem, s. 254.

## KAMIENNE ARTEFAKTY

W Gizie odnaleziono niewielki, zagadkowy walec z twardego granitu, długi na 40–45 cm, o średnicy kilku – kilkunastu centymetrów (obecnie w zbiorach Muzeum Kairskiego). Przez całą jego długość na obwodzie biegną płytkie, spiralne rowki mechanicznie wydrążone w równomiernych odstępach około 1–2 centymetrów. Jest ich kilkadziesiąt. Walec na końcu jest odłamany. Tajemniczy artefakt, jak się okazało, idealnie pasował do okrągłego, wydrążonego otworu w jednej ze ścian Wielkiej Piramidy. Inżynierowie są pewni, że ten otwór wykonano przy użyciu wiertła w formie pustej w środku rury. Granitowy walec został nim wycięty, później odłamany i wyjęty z otworu. Dzisiejsza zaawansowana technika ma do dyspozycji bardzo wytrzymałe wiertła rurowe zaopatrzone w diamentowe ostrza. Na zrobienie otworu w twardym granicie o głębokości około 40 centymetrów współcześnie potrzebne jest kilka tysięcy obrotów takiego ostrza i wywarcie na skałę siły nacisku takiej, by wiertło weszło w nią nie uszkadzając się w trakcie pracy. Rowki na obwodzie omawianego walca świadczą o tym, że budowniczowie piramid posługiwali się wiertłami oraz wiertarkami doskonalszymi od dzisiaj stosowanych. Starożytne walcowe ostrze, dociśnięte do skały z siłą nie mniejszą niż 1–2 tony, weszło w nią jak w masło na pożądaną głębokość ledwie po kilkadziesiąciu obrotach! 50–100 razy szybciej niż dzieje się to obecnie! Wątpię, by ten rezultat uzyskano za pomocą wiertła odlanego z miedzi lub z brązu. *Nacisk tych pił i wiertel, który można ocenić na podstawie szybkości, z jaką obrabiały kamień, był doprawdy zadziwiający. Dziesięciocentymetrowe wiertło tnące w granicie musiało wywierać nacisk jednej lub dwóch ton. Na próbie granitu nr 7 (tak ten artefakt nazwano) spirala nacięcia zagłębia się o dwa i pół centymetra na obwodzie piętnaście centymetrów, co jest niesamowitą prędkością (...). Spiralne rowki nie mogły powstać inaczej niż w wyniku działania świdrem o potężnym nacisku (...)*<sup>178</sup> – napisał w XIX wieku specjalista w tej dziedzinie, Flinders Petrie, po zbadaniu różnych obiektów znalezionych w Gizie. Jednym z nich była też kamienna kaseta, wydrążona wewnątrz owym świdrem o potężnym nacisku, określana jako sarkofag Chufu, znajdująca się w tzw. Komorze Królewskiej, w sercu Wielkiej Piramidy. Jest to sześciian długi na 227,63 centymetrów, o wysokości 104,93 centymetrów i szerokości 97,8 centymetrów. Wymiary wydrążonej w nim niszy to analogicznie: 199,65 – długość, 87,43 – głębokość i 68,1 – szerokość. Ów blok, wycięty z twardego, ciemnego granitu, wniesiono do wnętrza piramidy w trakcie jej budowy. Nie mogło być inaczej, ponieważ jego szerokość jest o kilka

<sup>178</sup> Ibidem, s. 272.

centymetrów większa niż szerokość korytarza prowadzącego do tej komory. Zdumiony Petrie oszacował, iż ów kamienny sześcián przycięto z wielką precyzją za pomocą długich, prostych pił o ostrzach prawdopodobnie wykonanych z brązu, nabijanych o wiele twardszymi od niego kamieniami szlachetnymi. Niszę wydrążono świdrami rurowymi o podobnych ostrzach. Ich średnica, w jego ocenie, mogła wynosić od pół do nawet kilkunastu centymetrów. Tę niezwykle twardą, granitową kostkę jakimś innym narzędziem idealnie oszlifowano. Nie jestem specjalistą, nie będę zatem w tej sprawie się wypowiadał, przyznam jednak, że bardziej od technicznych oraz technologicznych kwestii zaciekały mnie proporcje wyrażone w jednostkach objętości. Otóż, po dokonaniu dokładnych pomiarów, Flinders Petrie stwierdził, że jej objętość zewnętrzna to 2331,8 litra, a pojemność wewnętrzna: 1166,4 litra, czyli dokładnie połowa objętości całkowitej. Podejrzewam, że ten stosunek liczbowy nie jest przypadkowy, wiemy przecież, jaką obsesję na tym punkcie mieli budowniczowie piramid okresu IV dynastii. Gdyby tę idealnie matematycznie zrównoważoną proporcję wielkości sześcianu i objętości pustki, zespolonych w nim, przenieść na język symbolicznych wyobrażeń, można by uznać, że „sarkofag” Chufu z Komory Królewskiej opowiada o idealnej symbiozie i doskonałej równowadze materii i ducha, istnienia i nieistnienia, pełni i próżni, Id i Ego, a także wszelkich innych dwoistości. Być może jest on po prostu głęboko mistycznym przekazem filozoficznym wyrażonym uniwersalnym językiem geometrii?

Dioryt to skała twardsza od żelaza, zdumiewa więc niezmiernie, iż w Egipcie, nie tylko w okresie IV dynastii, ale też dużo później, używano tego surowca do masowej produkcji naczyń. Potwierdzają ten fakt liczne znaleziska. Co więcej, zdobiono je hieroglifami: *Hieroglify wykonano swobodnie poruszającym się ostrzem punktowym; nie są ani wydrapane, ani mozolnie wyrte, lecz precyzyjnie wycięte w diorycie (...)*<sup>179</sup>, stwierdził Petrie po ich dokładnej analizie. Ten logiczny inżynier nie potrafił sobie w żaden sposób wyobrazić cienkiego jak igła lub skalpel, twardszego od kwarcu, wytrzymującego ogromny nacisk instrumentu grawerskiego, którym posługiwali się starożytni egipscy rzemieślnicy z wielką wprawą i łatwością<sup>180</sup>. Z krystalicznego kwarcu, diorytu, łupków metamorficznych

<sup>179</sup> Ibidem, s. 272.

<sup>180</sup> W tym miejscu nieodparcie nasuwają mi się skojarzenia z równie zdumiewającą technologią obróbki twardego krwawnika, agatu i kwarcu, w tym przewiercania otworków w płaskich paciorkach wzdłuż ich kilkucentymetrowych średnic, stosowaną już pięć tysięcy lat przed okresem IV Dynastii w Abu Hurajrze, Catalhoyuk, Asikli Hoyuk, Cayonu oraz w Dżarmo. Warto też dodać, że współczesny ekspert w zakresie techniki i technologii obróbki kamienia, Christopher Dunin, który również zajmował się analizą egipskich artefaktów, w wielu kwestiach podziela opinię i też zdumienie Flindersa Petrie.

i bazaltu, w jakiś przedziwny sposób produkowano wtedy puste w środku, eleganckie wazy i fiolki o cienkich jak papier ściankach, długich szyjkach i szerokich korpusach, z zakręconymi czasem fikuśnie uchwytami. *Nie wynaleziono jak dotąd żadnego narzędzia, którym można by wyrzeźbić taki kształt, ponieważ musiałoby ono być wystarczająco wąskie, aby przecisnąć się przez wąską szyjkę, a przy tym dość silne (...)*, stwierdził Graham Hancock i dodał jeszcze, że *tej technologii nie dorówna żaden współczesny garncarz, nawet gdyby posługiwał się najnowocześniejszymi narzędziami z węglików wolframu*<sup>181</sup>. Przypomnę, że tą technologią obróbki kamienia posługiwali się egipcscy rzemieślnicy i rzeźbiarze też w tysiącleciach późniejszych. Co w jawny sposób przeczy opinii Johna Westa, że po zbudowaniu kilku porsche 93, powrócono w Egipcie do produkcji przestarzałego modelu ford T. Tak się z pewnością nie stało. Wystarczy spojrzeć choćby na monumentalne rzeźby i reliefy ze świątyni Abu Simbel, pochodzące z czasu Ramzesa II, na wykonany z czarnego granitu posąg Senusereta III, na perfekcyjnie wygładzoną, złotą maskę mumii Tutanchamona albo na wyrzeźbioną z niezwykle twardego kwarcu przepiękną głowę królowej Nefertiti i na wiele innych wspaniałych dzieł sztuki egipskiej. Nie są to co prawda Wielkie Piramidy, ale w kolejnych okresach dynastycznych „megalomańscy” władcy Egiptu najwidoczniej przestawili się na tworzenie okazałych pomników i świątyń.

## POCHODZENIE SFINKSA

Profesor Robert Schoch z uniwersytetu w Bostonie, geolog, ekspert w dziedzinie erozji skał, na dorocznej konferencji Amerykańskiego Stowarzyszenia Wspierania Postępu Naukowego (AAAS) w roku 1992 przedstawił raport ze swoich badań w Gizie. Wystąpienie zakończył znamienne konkluzją: *Powtarzano mi wielokrotnie, że mieszkańcy Egiptu, jak nam wiadomo, nie posiadali w czasach predynastycznych ani odpowiedniej techniki, ani społecznej organizacji, pozwalającej na uformowanie ciała Sfinksa... Nie jest to jednak mój problem, ponieważ jestem geologiem. Nie próbuję zrzucić z siebie odpowiedzialności, lecz naprawdę wydaje mi się, że to egiptolodzy i archeolodzy powinni odpowiedzieć na pytanie, kto zbudował Sfinksa. Jeśli moje odkrycia stoją w sprzeczności z ich teorią powstania cywilizacji, być może nadszedł czas zrewidowania teorii. Nie twierdzę, że Sfinksa wyrzeźbili mieszkańcy Atlantydy czy przybysze z Marsa. Idę*

---

<sup>181</sup> Ibidem, s. 273.

*jedynie tropem nauki, a ona prowadzi mnie do wniosku, że Sfinks powstał znacznie wcześniej, niż dotąd sądzono (...)*<sup>182</sup>.

Fakty wynikające z badań kompetentnego i racjonalnie myślącego Schocha, które skłoniły go do wysunięcia tej kłopotliwej dla wielu jego uniwersyteckich kolegów tezy, były następujące:

1. Sfinks oraz ściany otaczającego go rowu są głęboko skorodowane. Ta widoczna erozja ma niewątpliwie przekrój falujący. Owo falowanie, o czym wie każdy paleontolog oraz stratograf, jest bez wątpienia skutkiem erozji typu opadowego, czyli splukiwania. Ponieważ pionowe pęknięcia i falujące wyrwy widoczne w tej wapiennej skale są bardzo głębokie, można z całą pewnością zakładać, iż ów monument był wystawiony na długotrwałe, intensywne, ciągłe opady deszczu. *Woda zabierała ze sobą słabsze fragmenty skał i żłobiła takie właśnie wyrwy. Dla mnie jako geologa jest to widomy znak, że mamy do czynienia ze splukiwaniem*<sup>183</sup>, stwierdził Schoch stanowczo.

2. Wielka jak kamienica skała wapienna, z której uformowano ciało Sfinksa, wyrasta z zagłębienia terenu; to powoduje, że niesiony wiatrem piasek pustyni nieustannie zasypuje jego korpus aż po samą szczyt.

3. Gruba otulina piasku chroniąca tę ogromną rzeźbę przed działaniem atmosferycznych żywiołów: porywów wiatru, palącego słońca i deszczu, była w okresie ostatnich czterech tysięcy lat usuwana tylko kilka razy, i to na krótko. Pierwszym, który to zrobił, był faraon Totmes IV. Umieścił on wtedy na zrobionej z tej okazji *Steli Sfinksa* herb swojego poprzednika – Chafre, któremu przypisał autorstwo tego dzieła. Monument ponownie odkopał (w celach badawczych) kapitan Caviglia w roku 1818. Kolejny badacz – Gaston Maspero przybył do Gizy w 1886 roku. On także musiał ciężko pracować łopatą, bo nad poziom terenu znów wystawała jedynie głowa Sfinksa. 39 lat później, w roku 1925 korpus monumentu odkopala z nawianego piasku Egipska Służba Starożytności.

4. W czasach Totmesa IV (1400 p.n.e.) oraz późniejszych z pewnością w Egipcie nie było długotrwałych, intensywnych opadów deszczu. A nawet gdyby występowały, to przecież gruba warstwa piasku, przez tysiąclecia skutecznie chroniła monument przed falową i każdą inną erozją.

5. Wyrwy widoczne na całym korpusie Sfinksa, spękania i liczne pionowe wyżłobienia powstały niewątpliwie w długim okresie, gdy wapienny tors rzeźby był odsłonięty i poddany działaniu atmosferycznych sił. Musiał wtedy panować klimat wilgotny obfitujący w gwałtowne, ulewne deszcze użyźniające całą środkową i północną Afrykę. Takie warunki klimatyczne,

<sup>182</sup> Ibidem, s. 342.

<sup>183</sup> Ibidem, s. 341.

według ostrożnych szacunków Schocha, mogły w Egipcie występować najwcześniej jakieś 5 do 7 tysięcy lat p.n.e., czyli w okresie neolitycznej ery deszczowej. Znaczyłyby to, że Sfinks jest starszy od piramid w Gizie o nie mniej niż 2,5 do 4 tysięcy lat. Choć niewykluczone, że dużo więcej!

W ostatnich latach kilku alternatywnych badaczy zwróciło uwagę na proporcje anatomiczne Sfinksa. Uważają oni, poniekąd słusznie, że jego korpus jest nieproporcjonalnie za wielki w stosunku do bryły głowy. Stąd przypuszczenia, że w okresie późniejszym, nie jest wykluczone, że za panowania Chafre, głowa Sfinksa mogła zostać poddana przeróbce, by zadowolić tego „megalomańskiego” faraona. Wątpię by tak się stało, przecież tak wielkiej świętości raczej żaden z późniejszych władców nie ośmieliłby się tykać. Moim zdaniem ta pozorna nieproporcjonalność wzięła się z pierwotnego kształtu skały, z której ten monolit uformowano. Dobry rzeźbiarz (wiemy to od H. Moore’a) swoje działania dostosowuje do materiału, z którego wyprowadza formę, to kwestia artystycznego wyczucia, a genialnym autorom Sfinksa z pewnością tego nie brakowało.

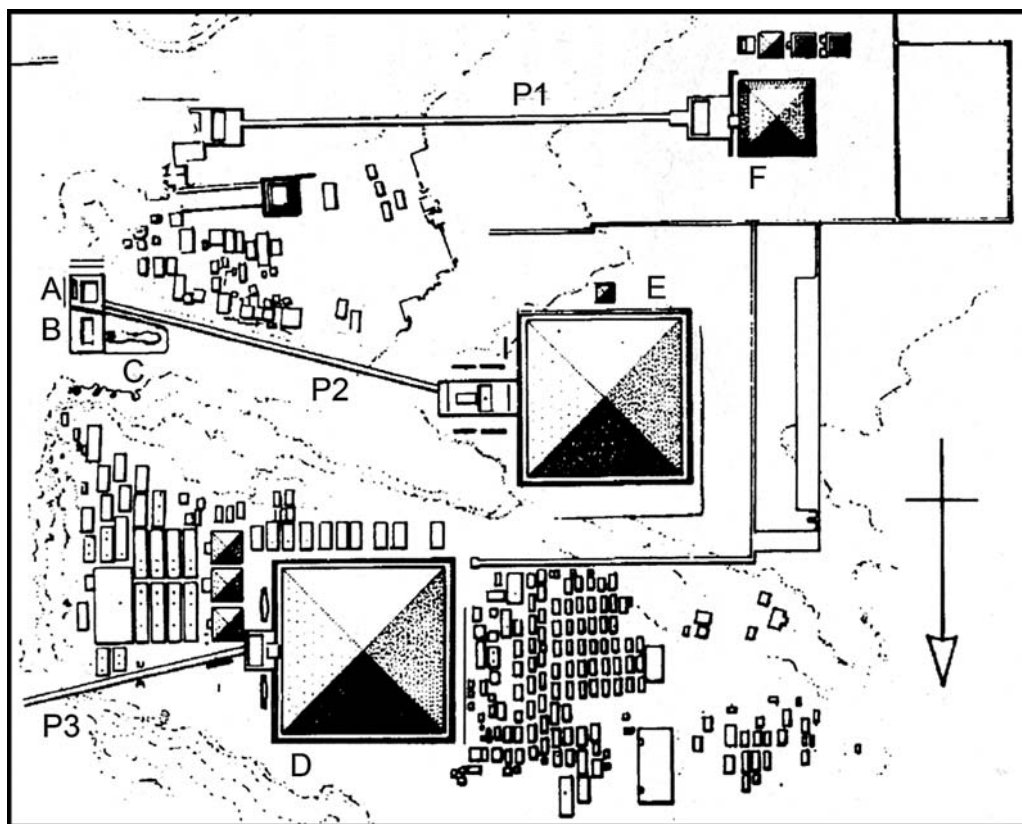
Nie jest też wykluczone, że ci sami twórcy zbudowali w sąsiedztwie tzw. Dolną Świątynię – obiekt architektoniczny na planie kwadratu o boku 45 metrów, wkomponowany w zbocze tego płaskowyżu. Budowla ta, podobnie jak Wielka Piramida, zorientowana jest z wielką precyzją na osi północ-południe, jej błąd pomiarów nie jest większy niż 12 minut kątowych. Trudno ustalić, jakie było jej przeznaczenie, bo nie ma w niej żadnych ozdób ani inskrypcji. Jedyne, co z całą pewnością udało się ustalić, to fakt, że dwustutonne wapienne bloki składające się na dwunastometrowej wysokości mur budowli, mają identyczną strukturę geologiczną co skała, w której wyrzeźbiono Sfinksa. Owe gigantyczne ciosy wapienne w jakiś cudowny sposób w to miejsce przetransportowane i precyzyjnie tu ustawione, również noszą widoczne ślady falowej erozji.

Ozyrejon w Abydos, wchodzący obecnie w skład kompleksu budowli składających się na świątynię Setiego I, wykazuje znaczne konstrukcyjne i stylistyczne podobieństwo do Dolnej Świątyni w Gizie. W tej budowli również dominuje prostota i surowa, pozbawiona jakichkolwiek ozdób i inskrypcji geometria gigantycznych bloków. Zatem nie można wykluczyć, że i Ozyrejon mógł zostać stworzony przed początkiem ery dynastycznej, czyli przed 3100 rokiem p.n.e. Artefakty znalezione w latach 1930–35 na archeologicznym stanowisku w Maadi *vis a vis* Gizy, na drugim brzegi Nilu, zdają się potwierdzać moje domysły. Albowiem w trakcie prowadzonych tam, na obszarze około 18 hektarów, wykopalisk znaleziono fragmenty kamiennych budowli i podziemnych pomieszczeń z dużą ilością zasobowych naczyń, narzędzi, broni oraz miedzianych sztab, będących świadectwem zaawansowanej kultury, zajmującej się metalurgią, rzemiosłem,

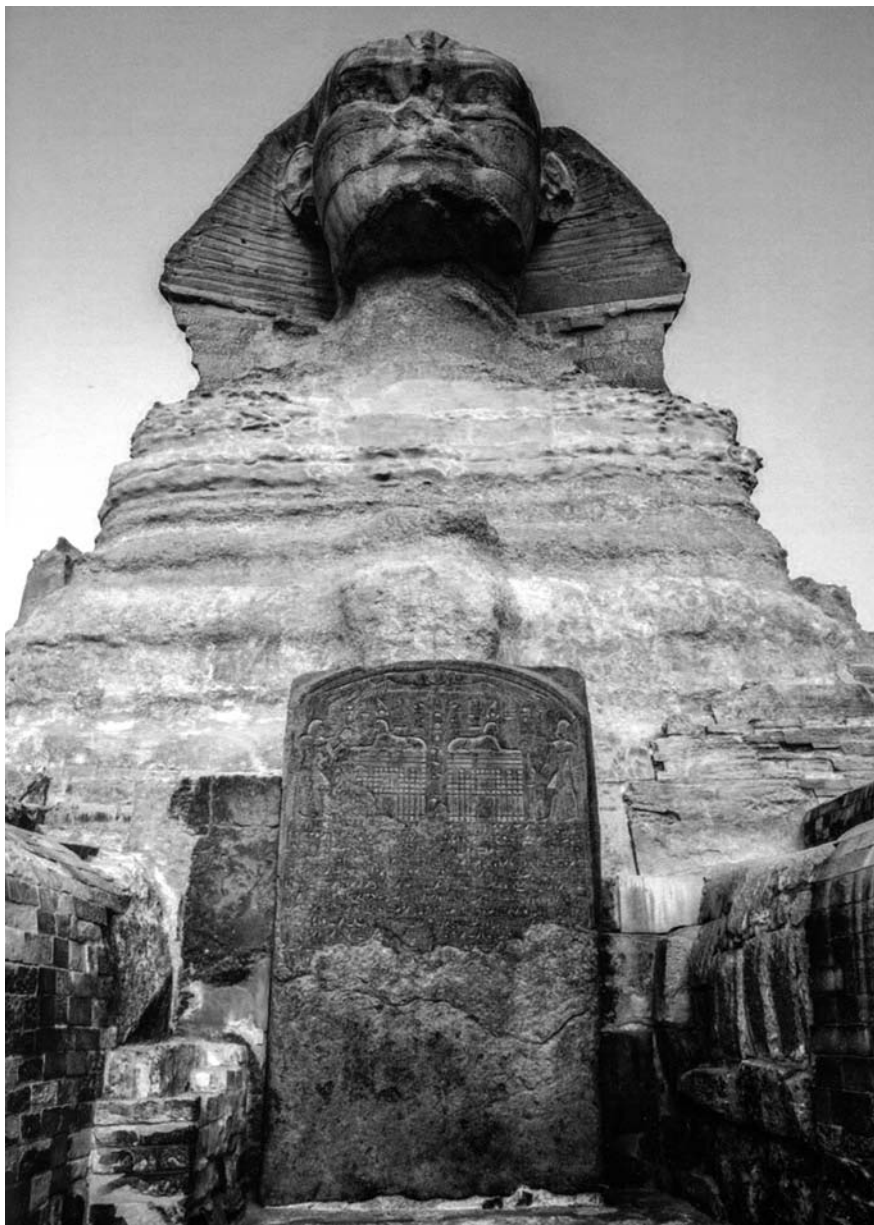
obróbką kamienia, utrzymującej intensywne kontakty handlowe z innymi regionami świata. Stanowisko w Maadi jest datowane na pierwszą połowę IV tysiąclecia p.n.e. (minimum 3600 rok p.n.e.). Te wczesne ślady dobrze zorganizowanego społeczeństwa bardzo też uprawdopodobniają twierdzenia głoszące, że przed Menesem rządili Egiptem inni cywilizatorzy. Być może to im albo jeszcze wcześniejszym przybyszom, legendarnym *Szemesu Hor* należy przypisać autorstwo obu tych świątyń i Wielkiego Sfinksa – wapiennego „Cerbera”, psa-lwa-faraona, od tysięcy lat wypatrzonego na wschodnim horyzoncie swojego Pana, Re-Atuma-Ozyrysa? A może jego twórcy umieścili go tu, by strzegł tajemnic bogów, pilnował wejścia do Re-setau – „Bramy zaświatów”, obecnie nazywanej Gizą?



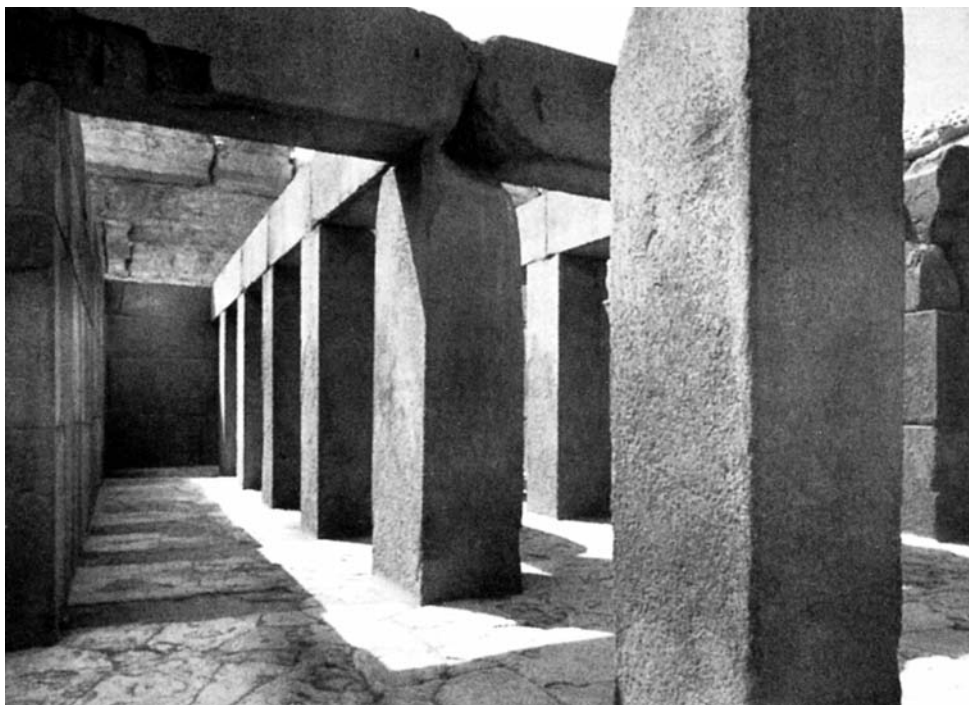
Widok kompleksu trzech Wielkich Piramid IV Dynastii w Re-setau.



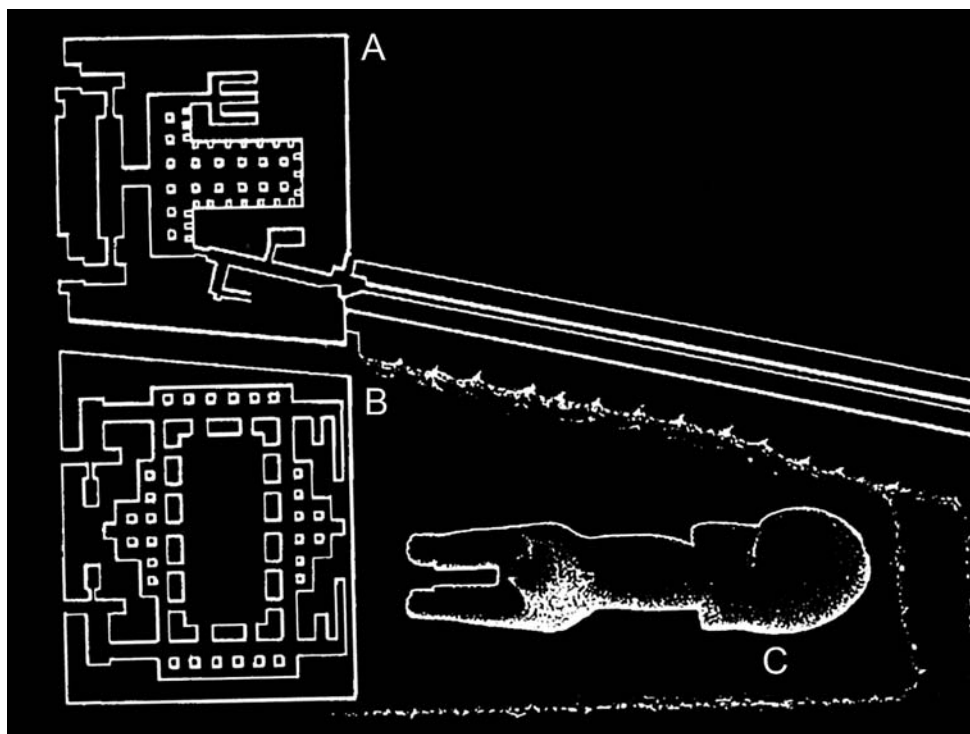
Schematyczny plan kompleksu świątynnego w Gizie (za G. Hancockiem). A – Dolna Świątynia, B – Świątynia Sfinksa, C – Wielki Sfinks, D – Piramida Cheopsa, E – Piramida Chefrena, F – Piramida Menkaure, P1, P2, P3 – Przejścia.



Kompleks świątynny Sfinksa widziany z lotu ptaka i Wielki Sfinks oglądany z poziomu ziemi od strony Steli Sfinksa.



Dolna Świątynia w Gizie zbudowana z bloków kamieni pochodzących ze skały, w której później wyrzeźbiono Wielkiego Sfinksa.



Schemat rozmieszczenia (według G. Hancocka) w odpowiedniej skali w ramach kompleksu w Gizie: A – Dolnej Świątyni, B – Świątyni Sfinksa, C – Monumentu Sfinksa.

## XIV. *Nawaprabhramsana*

Jaskiniowe „katedry” ze schyłkowej fazy górnego paleolitu, myślę tu zwłaszcza o kulturze magdaleńskiej, będące wymownym świadectwem zaawansowanego rozwoju artystycznego oraz duchowego pradawnych plemion zbieraczy-łowców, stworzono niewątpliwie przed nagłą zmianą klimatu. Pierwsze megalityczne kręgi świątynne powstały w Gobekli Tepe już po tej hekatombie. Ideowo-duchowy wzorzec panteistycznych, matriarchalnych wierzeń, z Bogiem-Zwierzem i Wielką Matką w centrum, jej zwierzęcą świtą oraz opiekuńczymi duchami przodków, uformowany w paleolicie, został, jak się zdaje, podtrzymany przez bliskowschodnie kultury epipaleolitu. Pozostaje jednak pytanie: kto i gdzie jako pierwszy opanował zasady uprawy roślin, nawadniania pól, budowy miast z ich infrastrukturą, lądowych szlaków komunikacyjnych, żeglugi morskiej? Ewidentnie przed 9600 rokiem p.n.e. musiały gdzieś na świecie istnieć jakieś centra rozwiniętej społecznej organizacji. Problem w tym, iż zmiotł je najpewniej i zatopił w wodach oceanów i pomroce dziejów jeden albo nawet kilka kataklizmów. Skutkowały one, jak pamiętamy z rozdziału XII, trzęsieniami ziemi i erupcjami wulkanów o ogromnej niszczycielskiej sile, wynikłymi z tektonicznych ruchów skorupy ziemskiej, nawałami pożarów, kwaśnymi deszczami, co przełożyło się na gwałtowny wzrost temperatur. Przypomnę, że to ocieplenie trwało nieprzerwanie przez dwa tysiące lat – od 12 700 p.n.e. do 10 900–10 700 p.n.e., i że w jego wyniku nastąpiło topnienie lodowców pokrywających znaczną część północnej półkuli oraz czap lodowych w wysokich partiach gór. Spowodowało to nagły przybór wód: *Geolodzy wyliczyli, że blisko 5% powierzchni Ziemi – czyli tereny o powierzchni 25 000 000 kilometrów kwadratowych – od końca ostatniej epoki lodowcowej zostały pochłonięte przez wznoszące się morze. Jest to obszar równy Stanom Zjednoczonym (9 600 000 kilometrów kwadratowych) i całej Ameryce Południowej (17 000 000 kilometrów kwadratowych), teren trzykrotnie większy od Kanady i rozleglejszy od Chin i Europy razem wziętych*<sup>184</sup>. Później nastąpiła trwająca przeszło tysiąc lat, od mniej więcej

<sup>184</sup> G. Hancock, *Tajemnice podwodnych miast*, AMBER, Warszawa 2002., s. 38.

10 900–10 700 do 9700 roku p.n.e., późnoglacialna faza klimatyczna charakteryzująca się ponownym ochłodzeniem klimatu. Te procesy dokonywały się wszędzie. Na Półwyspie Indyjskim również.

## HINDUSKIE HYMNY

Wedy są najstarszymi i najświętszymi przekazami hinduizmu. Słowo *veda* tłumaczy się jako: wiedza, gnoza, intuicja, wtajemniczenie. Wedy składają się z czterech głównych *saṃhitōv* (kompilacji hymnów): „*Rygwedy*” (najstarszej i najbardziej poważnej), „*Samawedy*”, „*Jadźurwedy*” oraz „*Atharwawedy*”. Język, którym operują, to archaiczna forma sanskrytu. Sama „*Rygweda*” zawiera około 450 000 słów ułożonych w 1028 hymnów składających się z 10 589 wersetów. Całość Wed liczy prawie dwa razy tyle słów. Ale najbardziej zadziwiająca nie jest całkowita długość tych pieśni, lecz fakt, iż prawdopodobnie nigdy w dziejach nie istniała ich pisemna wersja – i to nie dlatego, że nie mogły być spisane, ale dlatego, iż kapłani religii wedyjskiej, która przekształciła się w hinduizm, uważali, że nie powinny zostać spisane, lecz należy je przechowywać w ludzkiej pamięci<sup>185</sup>.

Stworzenie Wed, według powszechnie przyjętej i zaakceptowanej przez większość oficjalnych badaczy chronologii, datuje się na: *Rygweda* – od 1500–1400 do 1100–800 roku p.n.e., *Samaweda* i *Jadźurweda* – od 1200 do 1000 roku p.n.e., *Atharwaweda* – od 1300 do 900 roku p.n.e. Dodam, iż młodsze od nich, ale sięgające do ich korzeni inne indyjskie teksty powstały w latach: *Aranjaki* 700–500 p.n.e., *Satapathabrahmana* 600 rok p.n.e., *Upaniszady* 600 do 400 p.n.e., *Mahabharata* między 350 rokiem p.n.e. a 350 rokiem n.e., *Ramajana* od 250 p.n.e. do 200 n.e., *Purany* – od 200 do 1500 roku n.e.

Faktem jest, że Wedy zachowały wszędzie identyczną – archaiczną formę sanskrytu oraz, że w hinduizmie niezwykle silnie zakorzeniona jest tradycja ustnych przekazów (obecnie zapamiętywanych przez braminów, a dawniej przez kapłanów wedyjskich), nie można zatem wykluczyć, iż wersy te sięgają do mitów i zdarzeń niesamowicie odległych. Nawet o tysiące lat dawniejszych niż powszechnie się sądzi. *Rigweda* i wszystkie przekazy późniejsze zawierają wyobrażenia na temat stworzenia świata i jego cyklicznego odradzania się w następujące po sobie jugach – erach Ziemi. Obecną – *kalijugę* – poprzedziły trzy niezmiernie długie epoki: *krytajuga*, *tretajuga* i *dawaparakajuga*. Każdą kończył kataklizm (*pralaja*).

<sup>185</sup> Ibidem, s. 78.

A więc najpierw był czas rozkwitu – wiek złoty, później okres staczania się, po nim nastąpiła era kłamstwa i głupoty, a teraz jest czas nikczemności, zła powszechnego, deprawacji ludzi, ich ostatecznego upadku. Obecny cykl czterech er Ziemi zakończy, według Wed, największy z kataklizmów, po którym życie odrodzi się w następnym cyklu czterech jug. I tak dalej i dalej, aż do końca świata. W taki, praktycznie nieskończony bieg dziejów wierzą Hindusi. Wierzą też w nieustanną reinkarnację wszelkich bytów, w tym również naszej planety, i w mit o ojcu Manu – pierwszym patriarsze i prawodawcy wedyjskiego ludu. *Ralph Griffith, tłumacz Wed na angielski, określa go jako „symbol człowieczeństwa i ojca ludzkiej rasy, który jako pierwszy wprowadził ceremonie religijne”*<sup>186</sup>. Legenda o Manu, co intrygujące, jest także indyjską wersją mitu Noego-Deukaliona-Utnapisztima-Atrahasisa-Ziusudry, bohatera, który uratował się z potopu na wielkiej łodzi. Jednocześnie, co jeszcze ciekawsze, łączy on w sobie cechy zbawcy ludzkości – odkupiciela, czyli jest kimś w rodzaju Ozyrysa i Oannesa zarazem, bo przewodził grupie Siedmiu Mędrców (*Saptaryszi*) – dobrych, czystych, szlachetnych, oświeconych ascetów zwanych także Potomstwem Manu. Są oni protoindyjską wersją Anunnakich-Apkallu. Obie te grupy – indyjską oraz bliskowschodnią – łączy nie tylko rola, jaką odegrali w historii jako pierwsi nauczyciele, przewodnicy duchowi, także prawodawcy, ale też rybia symbolika, bo przecież Apkallu byli rybio-ludzkimi istotami, a Manu o nadciągającym potopie dowiedział się, jak głosi hinduska legenda, od małej rybki, którą uratował i przechował, a gdy podrosła, wrzucił z powrotem do oceanu. Odegrała ona zatem rolę boga Enki, który, jak pamiętamy z sumeryjskiej wersji, przepowiedział potop Ziusudrze. Rybka nakazała Manu zbudować solidną łódź i zabrać na jej pokład wyselekcjonowane nasiona roślin (warto zauważyć, że nic o zwierzętach nie wspomniała), aby mógł po potopie odtworzyć życie na Ziemi. Według jednej z kilku wersji tego mitu, towarzyszyło mu Siedmiu Mędrców (*Saptaryszi*), a wedle innych uratował się z kataklizmu sam. *Satapathabrahmana* nawiązująca do *Jadźurwedy* głosi, że ojciec Manu, aby odtworzyć nasz gatunek: *oddał się nabożności i żył surowo. W tym czasie ofiarował też wodom roztopione masło, kwaśne mleko, serwatkę i twaróg. Po roku powstała z tego kobieta. Wraz z nią oddał się nabożności i surowemu życiu, prosząc o potomstwo. Z nią począł rasę, która jest rasą Manu*<sup>187</sup>. W innej wersji rybka po wypuszczeniu jej do oceanu, odezwała się do niego w te słowa: *Wielki Panie, udało ci się mnie uchronić, teraz słuchaj, co powinienes zrobić, gdy nadejdzie czas. Wkrótce wszystkie*

<sup>186</sup> Ibidem, s. 114.

<sup>187</sup> Ibidem, s. 116.

ziemskie istoty zostaną zatopione. Nadszedł czas, aby oczyścić świat. Powiem ci, co będzie (...). Zbuduj dla siebie potężny statek, do którego doczepisz linę. Wejdź na jego pokład z Siedmioma Mędrcami, zabierz też skrupulatnie dobrane nasiona. Gdy już znajdziesz się na pokładzie, poszukaj mnie, przybędę, a poznasz mnie po moim rogu. Nie pokonasz tej wielkiej wody bez mojej pomocy<sup>188</sup>. Mała rybka po jakimś czasie stała się wielką rybą, tak jak obiecała zjawiała się u Manu i kilka lat holowała jego łódź przez wzburzone niczym *odurzona kobieta* bezkresne wody potopu. Wreszcie dopłynęli do najwyższego szczytu Himawat, Himalajów, hinduskiego Araratu. Ten szczyt, dla upamiętnienia ocalenia Manu, według *Atharwawedy*, nazwano *Nawaprabhramsana*, co tłumaczy się jako „Miejsce Zstąpienia Statku” lub „Miejsce Osunięcia się Statku”, a wedle późniejszej *Mahabharaty* określany jest *Naubandhaną*, co oznacza „Przywiązanie Statku”, „Cumowanie Statku”. Gdy wreszcie wody opadły, a arka osiadła na twardym gruncie u podnóża Himalajów, protoindyjski Noe dzięki niezwykłym zdolnościom odtworzył wszystkie żywe istoty, za co *bogowie nagrodzili Manu* możliwością „poznania tajników duszy”, opanowaniem „wszelkiej wiedzy” oraz *nadludzką siłą i życiem trwającym miliony lat*<sup>189</sup>, zatem, jak protosumeryjskiemu Ziusudrze: *życiowi* (niemal) *równy bogom mu dali*. Przynajmniej według późniejszych niż Wedy przekazów, bo te najstarsze tylko coś mgliście o tym wspominają. Warto bowiem pamiętać, iż Wedy są przede wszystkim poetyckimi wersami, w których słowa mają wiele znaczeń i metaforycznych odniesień. Znany lingwista David Frawley zauważył, że w sanskrycie „łódź” (*nav*) oznacza także „słowo” lub „Słowo Boga”, a „myśl” (*dhi*), tłumaczy się też jako „statek”, zatem nazwę himalajskiego szczytu, do którego zacumowała arka Manu, *Naubandhana*, można również odczytywać jako „Miejsce Ochrony Słowa lub Myśli”, czyli przechowania wiedzy, a nie „Przywiązania Statku”, co wydaje się niemal tożsame z użytym w *Atharwawedzie* określeniem *Nawaprabhramsana* („Miejscem Zstąpienia Statku”, czyli „Wiedzy”). A w sposób dosłowny pojmowanej arki-łodzi, w pierwotnej protoindyjskiej wersji mitu o ocaleniu z potopu, być może, wcale nie było! Należy też, jak sądzę, brać pod uwagę i to, że twórcy *Rygwedy* i innych hymnów w pierwszym rzędzie zwracali się do bogów, czyli, że te strofy są przede wszystkim modlitwą i mistyczno-filozoficzną medytacją, a jedynie gdzieś obok – marginalnie – nawiązują do historycznych i mitologicznych zdarzeń. Wydarzenia ukazują w sposób poetycko zuniwersalizowany, a wszelkie zjawiska natury są w nich deifikowane (jak słusznie podaje

<sup>188</sup> Ibidem, s. 116,117.

<sup>189</sup> Ibidem, s. 120.

Wikipedia): *na przykład jutrzeńka w postaci bogini Uszas, ogień w osobie boga Agniego itp.* Ta praktyka, o czym też warto pamiętać, jest również obecna w mitologicznych przekazach innych ludów. Dobrym przykładem deifikacji jest przytoczony w rozdziale XII mit Indian Klamath traktujący o potężnej erupcji wulkanu, jak to: *bóg świata podziemnego, Llao, wyszedł spod ziemi przez początkowo niewielki krater wierzchołka góry Mazama i kilkakrotnie pojawił się na jej szczycie. Jednocześnie Skell, bóg świata nadziemnego, stanął na szczycie góry (Mount Shasta), kilkaset metrów na południe, i jak to rozpętała się między nimi bitwa, będąca w istocie opisem następujących po sobie sekwencji erupcji wulkanu. Dlatego wersów z Mahabharaty, opiewających starcie wojsk Karny z oddziałami Ardżuny:*

*(...) pocisk  
naładowany całą energią Wszechświata,  
świecąca kolumna dymu i płomieni  
tak jasna jak tysiąc słońc  
wzniosła się w swojej całej okazałości.  
Skutkiem czego  
Ciała były tak spalone,  
iż nie dało się ich rozpoznać,  
wypadały im włosy i paznokcie.  
Naczynia pękały bez przyczyny,  
a ptaki stały się białe,*

z pewnością nie należy interpretować dosłownie. Co niestety czyni wielu zwolenników paleoastronautycznej teorii, twierdząc z przekonaniem, iż w tej „bitwie” użyto jakiejś „broni astralnej”, w domyśle – nuklearnej (która ponoć zniszczyła miasto Mohendżo Daro). W mojej opinii jest to raczej bardzo sugestywny, metaforyczny opis upadku planetoidy lub fragmentu komety. A monstrualny potwór Garuda (hinduski odpowiednik greckiego Tyfona) *mający skrzydła z metalu*, który po tej „bitwie” ukazał się ponoć na niebie, symbolizował zapewne groźną, ciężką chmurę, która wkrótce potem zawisła nad światem.

Aleksander Kondratow w „Zaginionych cywilizacjach” napisał: (...) *najstarszy język Rigwedy, okazuje się spokrewniony z łaciną, greką i językami słowiańskimi. Więcej, język ten być może jest najbliższy „protojęzykowi”, z którego pochodzą języki licznej rodziny, zwanej indoeuropejską (językami tymi posługuje się obecnie ponad miliard ludzi. Należą do niej angielski, francuski, hiszpański, niemiecki, polski, portugalski, hindi, rosyjski, perski i wiele innych, w których wypowiadają się ludzie we wszystkich częściach świata).* A w konkluzji dopowiedział: *Spółeczeństwa używające najstarszego języka indoeuropejskiego nazywały siebie „Ariami”, o ich przybyciu do Indii opowiadają święte księgi Hindusów – Wedy*

(...). Po sforsowaniu płaskowyżu irańskiego i Indusu wtargnęły wojownicze plemiona Ariów do Pendżabu, aby później rozszerzyć swoją władzę na wschód, na dolinę Gangesu, i na południe na teren Dekanu<sup>190</sup>. Jest to również w mojej ocenie mocna podstawa do przypuszczeń, iż autorzy Wed (albo ich przodkowie) mogli przybyć na te tereny z północnego zachodu, czyli z Europy. Nie sądzę jednak, by do tej migracji doszło dopiero w drugim tysiącleciu p.n.e. Jeśli już, to raczej gdzieś u progu holocenu, czyli około 9700 roku p.n.e. Prawda, że Wedy mówią o przybyciu ludzi nazywających siebie „Ariami”, co w sanskrycie oznacza: „szlachetnych”, „oświeconych”, „czystych”, „dobrych”, ale Wedy nie precyzują, kiedy to się stało. Uważam też, że przypisywanie autorstwa tej mistycznej kultury jakimkolwiek wojowniczym, a więc prymitywnym ludom, wydaje się bezpodstawne, by nie powiedzieć absurdalne.

Z pewnością sumeryjskie źródła pisane są starsze od indyjskich, ale trudno rozstrzygnąć, które sięgają głębiej do ustnej tradycji. W moim przekonaniu Wedy są pod tym względem starsze. Tak uważam zarówno z racji na silnie zakorzenioną w Indiach tradycję ustnych przekazów, do dziś zachowanych w wersji archaicznego sanskrytu, jak też ustanowienia tam swoistej „instytucji *Saptarysz*” wywiedzionej od owych pierwszych Siedmiu Mędrców – towarzyszy Manu, które to decyzyjno-doradcze gremia (mogło ich działać w rozmaitych regionach Hindustanu nawet kilka w jednym czasie) decydowały o duchowych wartościach, wyborze władców, obyczajach, rytuałach, prawodawstwie, ekonomii i organizacji społeczeństw. Nie powinno to nikogo dziwić, bo, jak zauważył wybitny znawca przedmiotu, dr John Mithiner, z University of London, w książce „Traditions of the Seven Rsis” (używając sanskryckiej wersji słowa *rysz*): *Siedmiu Rsi określa się częstokroć jako tych, którzy zawarli całą znaną sobie wiedzę w Wedach, są ich twórcami, znawcami i mistrzami (...). Uważa się ich za autorów wedyjskich hymnów, którzy od czasu do czasu przybywają na ziemię, by odświeżyć wiedzę o nich wśród ludzi. Określa się ich ponadto jako nauczycieli mądrości zawartej w Wedach i innych pismach, którą przekazali swoim uczniom. Byli też propagatorami uczenia się tych tekstów, studiowania ich i recytacji*<sup>191</sup>. Bezspornym faktem jest przepływ najstarszych narracji do tradycji późniejszych indyjskich kultur i religii, co dobitnie świadczy o płynnym przekazywaniu idei już na wczesnym etapie ich kształtowania.

<sup>190</sup> A. Kondratow, *Zaginione...*, op. cit., s. 107.

<sup>191</sup> G. Hancock, *Tajemnice...*, op. cit., s. 123.

## CYWILIZACJA PROTOINDYJSKA

Ta intrygująca cywilizacja w swoim największym rozkwicie – około połowy III tysiąclecia p.n.e. – *wzniosła co najmniej sześć ogromnych miast (inne czekają na odkrycie), których ludność przekraczała 30 000. Metropolie były połączone z setkami mniejszych miast i wiosek, a także kilkoma portami – jak Lothal i Dholawira – leżącymi w strategicznych punktach wybrzeża i w górę żeglownych rzek* – napisał Graham Hancock posiłkując się informacjami zaczerpniętymi z książki „The Indus-Saraswati Civilisation”, opublikowanej w Delhi w 1996 roku przez profesora S. P. Guptę, eksperta z Muzeum Narodowego w New Delhi – *Terytorium tego państwa przewyższało kraje zachodniej Europy: obejmowało 1 500 000 kilometrów kwadratowych (archeolodzy szacują, że mogło to być nawet 2 500 000 kilometrów kwadratowych), rozciągając się od Iranu na zachodzie oraz Turkmenii i Kaszmiru na północy po dolinę Godawari na południu i poza Delhi na wschodzie. Posiadało też odległe placówki – na przykład w Zatoce Perskiej – sieć kontaktów handlowych oraz wielką flotę*<sup>192</sup>. Wynika z tego, iż cywilizacja Indusu-Saraswati w swoim rozkwicie funkcjonowała na obszarze ponad dziesięciokrotnie większym niż kultury Egiptu oraz Międzyrzecza, a przecież poszukiwania archeologów trwają, zatem obszar ten może okazać się w przyszłości jeszcze większy.

Według szacunków z końca XX wieku w jej obrębie funkcjonowało 2600 miejskich oraz wiejskich ludzkich skupisk. Najbardziej z nich znane i przez archeologów dobrze przebadane, to miasto Harappa, położone w centrum Pakistanu, oraz oddalone od niego o około 560 kilometrów na południe Mohendžo Daro („Kopiec Zmarłych”). Oba założono w połowie III tysiąclecia p.n.e., czyli w okresie budowy wielkich piramid w Gizie. Prace wykopaliskowe rozpoczęto w nich już w latach dwudziestych XX wieku. Nieco później ekipy archeologów odkrywały w dorzeczu Indusu wiele innych, nieco starszych osad<sup>193</sup>. Jednak prawdziwy przełom w badaniach kultury Harappy nastąpił w roku 1974. Stało się to za sprawą francuskiego archeologa, Jean François Jarrige’a i jego zespołu. Odkryli oni bowiem w Beludżystanie, około 200 kilometrów na północny zachód od Indusu, w obecnym Pakistanie na równinie Kači w dolinie rzeki Bolan, „świętego Graala” tej kultury – jej strefę zarodkową – osadę Mehrgarh, założoną mi-

<sup>192</sup> G. Hancock, *Tajemnice...*, op. cit., s. 93.

<sup>193</sup> Między innymi w Kot Didži (oddaloną od Mohendžo Daro o 40 kilometrów), Amri, Balakot, Banawali, Bhagatrav, Chanhudaro, Daimabad, Dholavira, Dvarka, Ganeriwara, Gola Dhoru, Kot Bala, Kot Diji, Kalibangan, Lakhmirwala, Lothal, Nausharo, Pir Shih Jurio, Pirak, Rakhigarhi, Rangpur, Rehman Dheri, Rojdi, Rupnagar, Shortugai, Sokhta Koh, Sothi, Sutkagan Dor i wielu innych miejscach.

nimum 6800 lat p.n.e. (ponad 4000 lat przed Harappą i Mohendźo Daro). Wkrótce archeolodzy odnaleźli na tej równinie pozostałości innych, równie starych osad w Nauszuro, Kili Gul Mohammad i w Rana Ghundai.

## STREFA ZARODKOWA

Trzeba wyraźnie zaznaczyć, bo to fakt bardzo ciekawy, iż aluwialna, nąpływowa równina Kači leży poniżej podgórskiej przełęczy Bolan u stóp pasm Hindukuszu, Karakorum oraz Himalajów, a więc nieopodal wedyjskiej *Nawaprabhramsany* – „Miejsca Zstąpienia Statku” – jako „Wiedzy”, ma się rozumieć. *Rygweda* głosi, że po ustąpieniu wód potopu, „arka” Manu oraz towarzyszących mu *Saptarysi* osiadła na twardym gruncie, gdzie miało zacząć się dzieło odtwarzania życia. Kači to żyzna, osłonięta równina. Wiódł przez nią szlak handlowy między górskimi pasmami. Rejon Beludżystanu oddalony jest od brzegu morza o około 500 kilometrów, był zatem zabezpieczony przed jego wylewami, co w tamtym czasie mogło mieć istotne znaczenie. Ponadto panował tam wtedy klimat umiarkowany. Było to idealne miejsce do założenia rolniczej osady. A tak – rolniczej, bo (jak twierdzą archeolodzy) Mehrgarh, Nauszuro i inne odnalezione okoliczne ludzkie siedliska od ich założenia na początku VII tysiąclecia p.n.e. zamieszkiwali rolnicy. I to rolnicy świetnie zaznajomieni z uprawą roli. Siali głównie chlebową pszenicę, tzw. płaskurkę, pszenicę samopszą, dwurzędowy oplewiony jęczmień i sześciorzędowy. Uprawiali też rośliny strączkowe: soczewicę, fasolę i groch. To ważne odkrycie, bo, jak zauważył Gregory Possehl, specjalista w tej dziedzinie: *Strączkowe rośliny jednoroczne, uprawiane dla nasion, potrafią wychwytywać z atmosfery azot dzięki symbiozie ze znajdującą się w ich korzeniach bakterią zwaną „Rhizobium”. W ten sposób dodają azot do gleby, nie zużywając go. Jeśli rośliny te uprawia się naprzemiennie ze zbożami spożywczymi, te ostatnie dają dorodniejsze i obfitsze zbiory, gdyż rosną w ziemi zasobnej w nawóz azotowy*<sup>194</sup>. W przekonaniu tego eksperta, które podziela też wielu innych specjalistów, taką wiedzę nabywa się po wiekach praktyki. Co oznacza, że w osadzie Mehrgarh nie zapoczątkowano produkcji rolnej z końcem VIII lub u zarania VII tysiąclecia p.n.e., ale była ona tam obecna i doskonale rozwinięta od samego początku. Co znów nasuwa skojarzenia z wedyjskim mitem o Manu, jego skrupulatnie wyselekcjonowanych nasionach i oczywiście z łodzią czyli „arką”, jako przedpotopową skarbnicą wiedzy (pewnie też rolniczej). Zwłaszcza, że G. Possehl stwierdził również, że: *W Mehrgarh*

<sup>194</sup> G. Hancock, *Tajemnice...*, op. cit., s. 157.

odkrywamy sekwencję zdarzeń, która świadczy o udomowieniu zwierząt. Owce, kozy i bydło początkowo pasły się dziko, później stada podlegały selekcji. Zwierzęta z czasem zaczęły przypominać zwierzęta domowe (były mniejsze, miały charakterystyczne dla zwierząt domowych szkielety)<sup>195</sup>. Pamiętamy, że Manu nie zabrał na łódź żadnych zwierząt, zatem proces udomowiania musiał zacząć od początku. Potwierdzają to badania Richarda Meadowa, zooarcheologa z uniwersytetu Harwarda, przeprowadzone w Mehrgarh w 1980 roku. Odkrył on, że warstwa z najwcześniejszego okresu (1A), zawierała wyłącznie kości zwierzyny łownej, jej dwunastu gatunków, w tym: *barasingi*, antylopy *garna*, dzikiej kozy i dzikiej świni, natomiast warstwa 1B (z końca VII tysiąclecia p.n.e.) odzwierciedliła niemal wyłączną konsumpcję udomowionych kóz, owiec, a także bydła. W jego ocenie trudno o bardziej wymowny przykład dynamicznego przejścia od łowiectwa do hodowli. Nieco zaskakuje, iż pierwsi osadnicy nie znali ceramicznych naczyń (weszły one do użytku dopiero w okresie 1B, czyli tysiąc lat później), natomiast prostokątne budynki mieszkalno-magazynowe, podzielone na wiele pomieszczeń, stawiano tu od samego początku wedle przemyślanego planu, bardzo solidnie – ściany z trzech, czasem nawet czterech warstw suszonych na słońcu cegieł, a podłogi najpierw z warstwy trzciny, potem z otoczków. Niektóre z budynków wykazują znaczne podobieństwo do budowli cywilizacji harappejskiej (o przeszło cztery tysiące lat młodszej – przypomnę), zwłaszcza do tzw. „spichlerzy” z Mohendżo Daro. Przypuszczalnie budynki nie posiadały okien i drzwi, zatem wchodziło się do nich przez otwory w dachu, czym przywodzą na myśl budowle z Anatolii (być może od nich starsze), ale nie ma, jak sądzę, sensu na tej nikłej podstawie opierać hipotezy o ewentualnym wpływie anatolijskiej kultury na rolniczą społeczność z równiny Kači. W osadzie Mehrgarh nie stwierdzono wyodrębnionych miejsc kultu – przydomowych kaplic lub jakichkolwiek sakralnych struktur kamiennych, natomiast, oprócz krzemiennych i kościanych narzędzi, znaleziono tu płaskie paciorki z czarnego steatyту, beczułkowate korale z kalcytu, także bransolety z polerowanych muszli i inne ozdoby z muszli mięczaków występujących w odległej Zatoce Kambajskiej.

Archeolodzy znaleźli też przeszło półtora setki grobów i, co bardzo ciekawe, te najstarsze pochówki okazały się ze wszystkich najokazalsze. Zmarłych chowano odświętnie przystrojonych, z ozdobami z paciorków. Układano ich na boku w pozycji embrionalnej, z głową skierowaną na wschód a stopami na zachód. W grobach stwierdzono także obecność osobistych przedmiotów, ślady ofiar z pożywienia i napojów dodawane

<sup>195</sup> Ibidem, s. 157, 158.

zmarłym na drogę oraz grudki ochronnej ochry. A więc wyposażano ich w identyczny sposób, jak czyniono to w paleolicie. Co tylko potwierdza przypuszczenia, iż wierzenia oraz rytuały tej mezolitycznej społeczności w niezmienionej postaci zostały przeniesione na równiny Beludżystanu od plemion zbieraczy-łowców zasiedlających w odległej przeszłości skraj lądolodu zlodowacenia Wurm. Te i inne znaleziska pozwalają sądzić, że już w najstarszym okresie 1A w Beludżystanie funkcjonowała dobrze rozwinięta, zorganizowana i zdyscyplinowana społeczność praktycznych rolników. Społeczność utrzymująca kontakty handlowe z nadmorskimi regionami, o czym świadczą paciorki z muszli. Dlatego w pełni podzielam pogląd prof. S. P. Gupty wyrażony niemal ćwierć wieku temu: *Nie można już powtarzać, że Beludżystan był czymś w rodzaju „korytarza”, przez który kultury z terenów Iranu czy Turcji przenikały do Doliny Indusu, by stworzyć tam kulturę Indusu-Saraswati, ani też, że w dzikich górskich rejonach istniało „tyle kultur, ile gór”* (takie stwierdzenia też swego czasu padały). *Wiemy natomiast, że góry i podwzgórza Beludżystanu stały się czymś w rodzaju „strefy zarodkowej”, która zrodziła wiele następujących po sobie kultur, poczynwszy od preceramicznego neolitu z VIII tysiąclecia p.n.e., po początki kultury Indusu-Saraswati w połowie IV tysiąclecia p.n.e.* Innymi słowy to, co niegdyś wydawało się luźnym łańcuchem niezależnych kultur neolitu i epoki brązu, inspirowanych kulturą zapożyczoną z terenów Iranu, dziś jawi się nam jako część doskonale zintegrowanego systemu kulturowego działającego w całym podgórskim terytorium, obrzeżonym pasmami górskimi Kirthar i Sulejman oraz basenami rzek Indus, Rawi, Czenab, Satledż i Saraswati wraz z ich dopływami. To właśnie ten system dał w końcu początek kulturze Indusu-Saraswati na równinach wzdłuż tych rzek<sup>196</sup>. Kultury głębokiej i bardzo oryginalnej, kształtowanej przez grupy mędrców (następców Manu oraz pierwszych Siedmiu Ryszi), kultury praktycznej, przyjaznej ludziom, w znacznej mierze egalitarnej, opartej na wzajemnym szacunku, zaufaniu i współpracy, a nie na rabunkowych podbojach i autokratycznych rządach uprzywilejowanych elit. Zasadnicza odmienność tego modelu od kultur Sumeru i Egiptu polegała na integracji rozsianych na wielkim obszarze skupisk ludzkich poprzez współpracę ekonomiczną, a tym samym poprawę warunków ich bytowania i szeroką wymianę dóbr – rozwój handlu (a nie przez tworzenie megalitycznych ośrodków kultu), co jawi się jako bardzo prekursorskie. Archeolożka Uzma Rizvi z Pratt Institute twierdzi, iż handel miał tu większy wpływ na rozwój cywilizacji niż gdziekolwiek indziej.

---

<sup>196</sup> Ibidem, s. 151.

Co prawda ideał powszechnej równości, wolności i braterstwa nie jest (z racji ludzkiego *ego*) w pełni osiągalny, ale przecież idee, podobnie jak góry, nie istnieją po to, by się na ich szczyty wspiąć, ale by próbować to czynić. Aby wbrew i pomimo przeciwności iść we właściwym kierunku – rozwijać się, również w wymiarze społecznym. Myślę, że już pierwsi *Sap-taryszi* z równiny Kači tę zasadę wyznawali. Kultura Harappy w ocenie wielu badaczy wciąż uchodzi za trzecią zaledwie z wielkich kultur neolitu, z racji mniej spektakularnych architektury i zabytków sztuki, ale przyznam szczerze, że gdybym miał wybierać, gdzie chciałbym mieszkać w połowie III tysiąclecia p.n.e., to bez chwili wahania wybrałbym Harappę lub Mohendzo Daro.

## PROTOINDYJSKIE STOLICE

Mohendzo Daro i Harappę zbudowano, jak wielu archeologów sądzi, wedle ściśle przemyślanych planów – z zabudową ciągnącą się wzdłuż osi północ-południe. Każde z tych miast podzielono na dzielnice, wysoko położoną tzw. „cytadelę” i dolne miasto. Ich główne aleje, szerokie nawet na 10 metrów, co mniej więcej 180 metrów przecinały poprowadzone pod kątem prostym przecznice biegnące z zachodu na wschód. Tę sieć głównych ulic uzupełniała płatanina wąskich uliczek rozmieszczonych nieregularnie. Prywatne budynki mieszkalne i publiczne wznosiły się na wysokość minimum dwóch pięter. Od strony ulic ich parterzy pozbawiono drzwi oraz okien z uwagi na komfort i bezpieczeństwo ich użytkowników: eliminację hałasu, przykrych zapachów, ochronę przed włamaniami, wścibskimi sąsiadami, a także wylewami Indusu, co zdarzało się często (dowodzą tego wykopaliska). Dodam, iż ten rodzaj zabudowy spotyka się również dziś na Bliskim Wschodzie. Wejścia do budynków umieszczano w ich części tylnej, od strony uliczek. Obszerne przedsionki wiodły na wewnętrzne dziedzińce, a z nich do pomieszczeń mieszkalnych na parterze i dalej schodami do izb mieszkalnych na piętrach i na płaskie dachy. Okna wyposażono w drewnianą, terakotową, nawet alabastrową kratę (zależnie od zamożności właścicieli). Budynki miały zwykle na piętrze drewniane balkony montowane od strony wewnętrznej. Wiele domów posiadało prywatne studnie na dziedzińcach wewnętrznych, a przy głównych ulicach rozmieszczono w regularnych odstępach studnie publiczne – ogólnodostępne. Po zmierzchu szlaki komunikacyjne miast oświetlały latarnie umieszczane w przeznaczonych do tego wnękach fasad domów. Sieci wodno-kanalizacyjne obejmujące swoim zasięgiem całe miasta świadczą o niesamowicie wysokim poziomie cywilizacyjnych

rozwiązań służących komfortowi życia. Było to niewątpliwie osiągnięcie wyprzedzające swój czas o kilka tysięcy lat.

Archeologom nie udało się do tej pory zlokalizować na terenie tych aglomeracji żadnych miejsc kultu: okazałych kaplic, świątyń, pałaców ani choćby urzędów, a więc śladów świadczących o istnieniu jakiejś społecznej albo religijnej elity. W Mohendżo Daro jedynym obiektem, który można by do tej kategorii zaliczyć była tzw. Wielka Łaźnia – basen ze schodami długi na 11,89, szeroki na 7,01 i głęboki na 2,44 metra. Zbudowano go z wypalanych cegieł i uszczelniono wapienną oraz bitumową warstwą. Miał praktyczny system doprowadzania i odprowadzania wody. Pierwotnie umieszczono go w centrum otoczonej portykami obszernej galerii. Nie można wykluczyć, iż służył do obrzędowych obmywań, oczyszczających kąpeli itp., co w hinduskiej religii i dziś jest praktykowane. W Harappie podobnego obiektu nie znaleziono. Mimo to urbanistyczne i budowlane analogie między tymi oddalonymi od siebie o około 560 kilometrów aglomeracjami są mocną przesłanką do twierdzenia, że zbudowali je twórcy – cywilizatorzy reprezentujący identyczny sposób myślenia.

W sanskryckich tekstach jest mowa o grupach – stowarzyszeniach *Saptaryszi* przypisanych różnym epokom i regionom tej rozległej kultury. *Spośród wielu grup najczęściej powtarzają się we wczesnej literaturze (cytuję za Hancockiem) imiona Wiśwamitra, Dżamadagni, Bharadwadża, Gotama, Atri, Wasistha i Kaśjapa jako „główna” grupa Siedmiu Mędrców, czasem wymieniane jest też imię Agastaya jako ósmego członka grupy. Lecz oto istnieje też inna grupa siedmiu Wielkich Mędrców (powtarzają się tu tylko imiona Atri i Wasistha), która miała równorzędne znaczenie: Merici, Atri, Angiras, Pulastja, Pulaha, Kratu i Wasista*<sup>197</sup>. Ta druga grupa, wedle legendy, miała działać na południu. Czyżby to byli założyciele tych aglomeracji? Ciekawe jest też to, czy wśród nich były jakieś kobiety? Tak mi przyszło do głowy, bo na wykazie sumeryjskich władców (tamtejszych założycieli miast) kobiety figurowały. Podobnie na liście „Szemesu Hor” – towarzyszy Horusa – egipskiej wersji *Saptaryszi*. Jeśli te wszystkie grupy cywilizatorów faktycznie kiedyś działały, to zdecydowanie opowiadam się za naukami indyjskich Mędrców, którzy od zarania protoindyjskiej kultury konsekwentnie uczyli pokory wobec Mocy Sprawczej i Natury. Namawiali do duchowego rozwoju, wzajemnego szacunku oraz skromności, o czym świadczy wspomniany przed chwilą brak jakichkolwiek pałaców albo okazałych budynków kultu na terenie harappejskich miast<sup>198</sup>. Unikali przemocy

<sup>197</sup> Ibidem, s. 126.

<sup>198</sup> Czego nie można powiedzieć o ich następcach – twórcach hinduistycznej, dzijjskiej i budyjskiej religii, którzy wzorem Egipcjan rozbudowali panteon bogów i tworzyli dla nich

– sztuka kultury Indusu-Saraswati nie upamiętniła żadnych scen orężnych podbojów, krwawych wojen, triumfów władców, a wśród znalezionych artefaktów prawie nie było broni. *Saptarysi* z pewnością piętnowali chciwość, kłamstwo, spryt i obłudę pleniące się niestety w społeczeństwach bazujących na handlu, jako motorze postępu, co i dziś jest dużym mankamentem liberalnych demokracji. Co prawda nie uchronili Hindusów przed rozwarstwieniem społecznym, a w okresie późniejszym przed podziałem na kasty, ale i tak wolę ich duchowe i moralne przesłanie od nauk egipskich i sumeryjskich „mędrców”, którzy w III tysiącleciu p.n.e. perfidnie i cynicznie przerabiali panteistyczno-animalistyczne, w znacznej mierze egalitarne wierzenia paleolitu i mezolitu, w hieratyczno-patriarchalne, monoteistyczne religie, w ramach i na mocy których namaszczano teokratycznych władców do rangi wszechwładnych bogów, ich wcieleń bądź potomków.

Nie wiadomo dlaczego Mohendžo Daro nazwano „Osadą Zmarłych” lub „Kopcem Zmarłych”, skoro przecież znaleziono tu zaledwie trzydzieści kilka ludzkich szkieletów rozrzuconych w nieładzie, a metropolia w okresie jej rozkwitu liczyła z grubsza aż 40–60 tysięcy obywateli. Mieszkańców, którzy zniknęli nagle w okolicy roku 1900 p.n.e. Jakby zmiotł ich jakiś kataklizm. Wygląda na to, że opuścili miasto bez walki. Ten zagadkowy fakt wciąż jest pożywką do stawiania rozmaitych, nawet absurdalnych hipotez. Dziś już wiemy, że kilka z odnalezionych szkieletów nosiło ślady przemocy. U innych, jako przyczynę zgonu stwierdzono trąd, a u kolejnych gruźlicę. Niewątpliwie są to pierwsze w historii świadectwa wystąpienia zarazy w dużej miejskiej populacji. No cóż, parający się handlem harappejczycy z racji swojej mobilności narażali się na ryzyko przywleczenia z odległych krain chorób zakaźnych. Teoria raptownego załamania się tej kultury na skutek zarazy wygląda prawdopodobnie. Sekwencja zdarzeń mogła więc być taka: w Mohendžo Daro pojawiła się epidemia. Nastąpiła panika także w osadach z nim kooperujących. Z tej przyczyny raptownie załamała się wymiana handlowa, włącznie z dostawami żywności. Zapanował głód, a wraz z nim chaos, bezprawie i przemoc – rozboje i kradzieże, nad którymi utracono kontrolę. Mieszkańcy pozostawili swoje domy i w popłochu uciekli.

Należy brać również i to pod uwagę, że po wielu wiekach istnienia i setkach niszczycielskich wylewów Indusu, obie te aglomeracje nie były

---

imponujące świątynie w miejscach, gdzie „królowie spotykali się z bogami”. Najlepszym tego przykładem jest zespół 34 wykutych w bazaltowej skale świątyń w Ellorze. Spośród nich 17 to świątynie hinduistyczne (w tym sanktuarium Kailasy – jedno z dwóch wolno stojących), 12, to świątynie buddyjskie, a 5 – dżinijskie. Wszystkie one nieodparcie przywodzą na myśl egipskie skalne świątynie: Abu Simbel zbudowaną przez Ramzesa II na Pustyni Nubijskiej, oraz monumentalne sanktuarium Hatszepsut górnolotnie zwane „Świątynią Milionów Lat” w Der el-Bahari (Teby), że tylko te dwa przykłady wymienię.

w początkach II tysiąclecia p.n.e. w idealnym stanie. Z archeologicznych badań wynika, że nowe budynki (stawiane na fundamentach zawalonych domów) były gorszej jakości niż te pierwotne, co dowodzi tego, że obie indyjskie stolice okres świetności miały już za sobą i nieuchronnie zbliżał się ich kres. Mogła się też do tego przyczynić klęska nieurodzaju związana z długotrwałym pasmem susz, które w tym czasie (co wiemy z archeologicznych badań) nawiedziły cały region. Była to tak nagła i dotkliwa zmiany klimatyczna, że duża rzeka Saraswati zniknęła z mapy świata – wyparowała.

Zanim jednak do tego doszło, przez ponad siedemset lat cywilizacja Indusu-Saraswati świetnie się rozwijała. Handel kwitł, kupcy docierali drogami morskimi i szlakami lądowymi do bardzo odległych miejsc. Dowodzi tego choćby odkrycie Jefa Rose, archeologa z Ronin Institute. Otóż znalazł on w górach Omanu, oddalonych od Indusu o niebagatelne 1600 kilometrów, petroglif liczący około czterech tysięcy lat. Przedstawia on schematycznie ujętego człowieka trzymającego za uzdy dwa woły. Niby nic niezwykłego, ale te byki mają garby, zatem są rasy *zebu*. Rasy powszechnie występującej nad Indusem, a w Omanie wcale! Wiemy z niewielkiej rzeźby, odnalezionej przez przypadek w Dekanie, wykonanej z brązu, przypuszczalnie pochodzącej z późnego okresu harappejskiego, że indyjscy kupcy poruszali się dwukołowymi wozami zaprzężonymi w pary wołów *zebu*. Dla ludów Omanu widok takiego egzotycznego gościa musiał być czymś niezwykle, skoro uwiecznili jego przyjazd na skale. Warto też zauważyć, iż bydło tej rasy w późniejszym czasie stało się dla Hindusów święte. Kto wie, może nie tylko z powodu wierzeń, ale też roli, jaką w dziejach rozwoju tutejszych kultur odegrało?

## CYWILIZACJA KUPCÓW

Znakiem rozpoznawczym cywilizacji Indusu-Saraswati są wykonane ze steaty albo terakotowe cylindryczne pieczęcie oraz ich odciski na wypalanych glinianych tabliczkach. Wiele z nich to prawdziwe perełki z dziedziny gliptyki. I to właśnie one pozwoliły ustalić terytorialny rozmiar i skalę kontaktów handlowych na terenach obrzeżonych pasmami górskimi Kirthar i Sulejman oraz basenami rzek Indus, Rawi, Czenab, Satledż i Saraswati wraz z ich dopływami, ale również w Ur i w królestwie Kisz – w ruinach świątyni boga wojny, Ilbaby (datowanej na rok 2300 p.n.e.) i na wielu innych sumeryjskich stanowiskach. Te odległe kontakty poświadczą też klinowy tekst na mezopotamskiej tabliczce, pochodzący z około roku 2350 p.n.e. Jest to relacja o cumujących w sumeryjskim porcie Agade ogromnych statkach, których ładownie, według autora, po brzegi wypełnione były bogactwami przywie-

zionymi z krain o egzotycznych nazwach: Dilmun, Magan oraz Meluhha. Po długotrwałych analizach porównawczych i licznych badaniach archeologom udało się ustalić, że Dilmun to wyspa Bahrajn w Zatoce Perskiej, natomiast kraina Magan leżała na terenie obecnego Omanu – rozciągała się wzdłuż północnych i południowych brzegów tej Zatoki. Z kolei Meluhha była indo-irańskim pograniczem i częścią doliny Indusu na wybrzeżu Morza Arabskiego. Opisane na tej sumeryjskiej tabliczce bogactwa to zapewne cenne przedmioty i surowce przeznaczone dla wąskiej mezopotamskiej elity władzy: wyroby z miedzi, złota i lapis lazuli, rzadkie gatunki drewna (na przykład cedrowego), inkrustowane meble, żywe małpki, kunsztowna biżuteria, tkaniny, perły, karneol do wyrobu ozdób, grzebienie oraz spinki z kości słoniowej i inne luksusowe dobra. Niemal wszystko to mogło pochodzić z doliny Indusu, wszystko z wyjątkiem szlachetnych kamieni lapis lazuli, które, według Henry-Paula Francforta i zespołu francuskich archeologów, sprowadzano między innymi z Szortugai – górniczej osady położonej nad jednym z dopływów rzeki Oksos (Amu Darii), oddalonej o jakieś 800 kilometrów w kierunku północnym od doliny Indusu. Na wzmiankowanym stanowisku znaleziono wielką ilość przedmiotów przynależnych do kultury Indusu-Saraswati, między innymi krzemienne ostrza oraz wiertła do wyrobu paciorków, gliniane tygle, grudki złota i ołowiu, znaczną ilość lapis lazuli, agatu i karneolu. Znaleziono też wiele fragmentów ceramiki i pieczęci z wizerunkami nosorożca, świadczących dobitnie, z kim ta górnicza osada w owym czasie się kontaktowała. Inne źródło harappejskiego lapis lazuli odkryto w Beludżystanie, a jeszcze inne w Omanie – z drugiej strony Morza Arabskiego, gdzie również odkryto wiele charakterystycznych dla kultury Harappy obiektów będących przedmiotem wymiany handlowej. Pozyskane surowce i inne towary ładowano na zwierzęta juczne: woły, słonie oraz do zaprzężonych w *zebu* kupieckich wozów. Karawany transportowały te bogactwa do doliny Indusu. Część ładunku przewożono statkami do portów takich jak Lothal albo Dholawira, a niektóre wysyłało jeszcze dalej – na mityczną wyspę Dilmun. Przypuszcza się, że w owym czasie pełniła ona rolę portu przeładunkowego. Archeolodzy znaleźli tu oprócz wielu innych ciekawych przedmiotów dwanaście okrągłych – nietypowych pieczęci z inskrypcjami wykonanymi w stylu kultury Indusu-Saraswati, co może być mocną przesłanką do przypuszczeń, iż kupcy żyjący nad Zatoką Perską mogli pełnić funkcję pośredników w handlu między harappejskimi miastami i Mezopotamią. Z tego płynie wniosek, że rozległy system pozyskiwania najsłynniejszych surowców, produkcji z nich szerokiego asortymentu towarów użytkowych i dóbr luksusowych, ich dystrybucji do nawet bardzo odległych odbiorców, był świetnie zorganizowany i działał podobnie jak obecnie. Warto też przypomnieć, skoro już jesteśmy przy przeładunkowej wyspie

Dilmun (obecnym Bahrajnie), iż to właśnie ta baśniowa kraina bogactwa, szczęścia i długowieczności uchodziła w sumeryjskim eposie, „Legendzie o Enkim i Ninhursag”, za mityczny Raj:

*W Dilmun kruk nie woła głosem kruka,  
Ptak-ittudu (przypuszczalny zwiastun śmierci) nie woła głosem ittudu,  
Lew nie zabija,  
Wilk nie porywa jagnięcia,  
Nieznany jest dziki pies pożerający koźlęta,  
Nieznany jest pożerający ziarno...  
Nieznana... wdowa...*

## PIECZĘCIE, AMULETY, RZEŻBY I WIERZENIA

Pieczęcie w głównej mierze służyły celom handlowym – oznaczaniu partii przesyłanych towarów. Jak się przypuszcza, mogły zawierać: dane właściciela, jego profesję, status społeczny, przydomki, przynależność rodową oraz inne informacje wyrażone za pośrednictwem ilustracyjnych motywów, takich jak: byk *zebu*, figowiec pagodowy, jednorożec, gawiał czyli krokodyl gangesowy, słoń, nosorożec, bawół wodny, tygrys, łódź, które uzupełniane były inskrypcjami złożonymi z umownych znaków – piktogramów. Najkrótsza sekwencja owych „liter” (według G. Hancocka) składała się z pięciu, a najdłuższa z dwudziestu sześciu. Na podstawie znalezionych do końca XX wieku około 4200 przedmiotów: pieczęci (z których najstarsze pochodzą z 2600 roku p.n.e.), mniejszych od nich, rzeźbionych lub odciskanych w formach tabliczek – „amuletów” (odkryto je w obu protoindyjskich stolicach) i od nich dużo starszych terakotowych naczyń (na których piktogramy też umieszczano), nieżyjący już lingwista, Walter A. Fairservis Junior z Vassar College w Nowym Jorku, wyodrębnił zestaw 419 powtarzających się „liter”. Jest to, w jego ocenie, zbyt mało, by uznać je za pismo logograficzne typu chińskiego, a o wiele za dużo, żeby traktować je wyłącznie jako formę zapisu sylabicznego typu indyjskiego. Twierdził, że owe notacje mają cechy logosylabiczne, czyli jedno z „liter” reprezentowały słowa, a inne dźwięki lub sylaby. Założył też, podobnie jak wielu innych badaczy, iż reprezentowały one język drawidyjski, którym obecnie porozumiewa się ponad 100 milionów ludzi w południowych Indiach, a także niewielkie społeczności w górskich rejonach Beludżystanu. Tak czy inaczej, nikomu dotychczas nie udało się tych inskrypcji odczytać ani też udowodnić, że była to w pełni rozwinięta forma pisemnej komunikacji. Z drugiej strony, kwestią chyba bezsporną jest fakt, iż ułożone w ciągi znaczeniowe, były one w III tysiącleciu p.n.e. czytelne dla wszystkich, nawet tych najodleglejszych kontrahentów

i kooperantów harappejskich kupców. Najpewniej uznali oni, że bardziej złożona forma zapisu nie jest im potrzebna. W tym względzie podzielałam pogląd Hancocka: *Można również przyjąć, że kultura Indusu-Saraswati nie uznawała dokumentów pisanych za odpowiednie medium do utrwalania literatury i koncepcji religijnych. Rozumiem to tak, że pismo miało służyć ściśle określonym handlowym i biurokratycznym celom, jak znaczenie towarów, wpisywanie nazwiska właściciela, określanie zawartości naczynia itp. Być może, społeczność ta uważała, iż używanie pisma w innych celach jest świętokradztwem: na przykład wykorzystywanie go do rejestrowania wszystkiego, co uznawano za szczególnie szacowne i święte, jak opowieści z dawnych czasów, modlitwy, hymny i pieśni religijne*<sup>199</sup>.

Z pewnością ilustracyjne motywy zobrazowane na pieczęciach i w innych harappejskich zabytkach można uznać za szczególnie szacowne i święte nawiązania do bóstw lub mitów, które wyodrębnionym osobom, grupom, profesjom, „firmom”, stowarzyszeniom lub klanom patronowały. Nie mogło być inaczej, mamy tu przecież do czynienia z w pełni rozwiniętą cywilizacją miejską, merkantylną i „teokratyczną” zarazem<sup>200</sup>, jak już wiele lat temu zauważył Mircea Eliade, w obrębie której, na przestrzeni całego okresu jej funkcjonowania nie wprowadzano żadnych zmian czy ulepszeń (podobnie jak działo się w Sumerze oraz w Egipcie faraonów), co oznacza, że również tutaj wiedza, prawodawstwo, władza i religia zostały „objawione”. Według Eliadego, z czym chyba wypada się zgodzić: *Ich unifikacja i kulturowa ciągłość da się wytłumaczyć jedynie przy założeniu istnienia ustroju opartego na jakimś rodzaju władzy religijnej*<sup>201</sup>. Oczywiście, wyraźnie odmiennej religii (i wynikającej z niej władzy) od tych krzewionych i obowiązujących w dwóch istniejących po sąsiedzku cywilizacjach. Jak już wspomniałem wcześniej, odrębność tej kultury wynikała z faktu, iż w okresie harappejskim nie stawiano pałaców, zigguratów ani żadnych świątyń ku chwale bogów i władców, skupiano się natomiast wyłącznie na duchowych, filozoficzno-kontemplacyjnych aspektach wiary oraz komforcie życia mieszkańców. Ponadto nie dokonywano tu innych podbojów niż tylko te ekonomiczno-handlowe (dla wszystkich stron w nich uczestniczących korzystnych). Być może z tego powodu miasta harappejskie a zwłaszcza porty uchodziły w oczach Sumerów za krainy przysłowiowym mlekiem i miodem płynące – wyśnione raje.

Jak się zdaje, religie wszystkich trzech wspomnianych kultur wyrosły z tego samego paleolitycznego pnia. Tyle, że w dolinie Indusu panteon bo-

<sup>199</sup> Ibidem, s. 75.

<sup>200</sup> M. Eliade, *Historia wierzeń...*, op. cit., s. 88

<sup>201</sup> Ibidem, s. 88

gów zachował się bardzo długo w pierwotnej postaci – z Bogiem-Zwierzem w centrum (uosabianym przez byka) i *Magna Mater*, opiekunką domowego ogniska, gwarantującą pomyślność we wszystkich aspektach życia. W domach tej cywilizacji archeolodzy wykopali niezliczoną ilość małych figurek kobiet z wielkimi biustami i szerokimi biodrami, łudząco podobnych do paleolitycznych figurek *Wenus*. Były nagie, miały kunsztownie ufryzowane włosy, często ich talie podkreślały eleganckie pasy, a szyje i ramiona zdobiła biżuteria z paciorków. Dobrym przykładem tego stylu jest statuetka *Wenus* z Mehrgarh na Płaskowyżu Kači w Beludżystanie, datowana na jakieś pięć tysięcy lat (warto dodać, iż Mehrgarh był nieprzerwanie zamieszkiwany aż do pierwszego tysiąclecia p.n.e.). Wizerunki owych „Pramatek” uwieczniono też na niektórych pieczęciach i „amuletach” jako boginie tańczące – płaśjące wśród drzew. Najpewniej drzew uosabiających „Drzewo Życia”. Tak myślę, bo na jednym z rytów zobrazowano *Magna Mater* rodzącą drzewo istnienia. Specjaliści sądzą, że jest to akacja, bo ten gatunek drzewa harappejczyści ukazywali na wielu przedmiotach i sadzili wewnątrz ceglanych kręgów cytadel swoich miast. John Marshall, jeden z pierwszych archeologów badających kulturę Harappy, dopatrywał się w tej protoindyjskiej *Magna Mater* pierwowzoru dla Kali, Sakti i Durgi, hinduskich patronek płodności, pomyślności i bogactwa. A nawet dla hinduistycznego boga Śiwy, zwykle ukazywanego w indyjskiej sztuce w identycznej pozie, którą ta protoindyjska Pramatka wszelkich stworzeń przybierała. Prastary motyw „Drzewa Życia” zakorzeniony silnie w tej kulturze, mnie zupełnie nie dziwi, ponadto warto zauważyć, że jest on też ważnym elementem sumeryjskiej i egipskiej religii. Na trzech pieczęciach z Harappy widnieje on w połączeniu z rogatą, byczoludzką postacią męską (zapewne uosabiającą głównego Boga-Zwierza). Podobną hybrydę przedstawiono na pieczęci znalezionej w Mohendźo Daro. O boskim statusie tej zoomorficznej istoty świadczy fakt, iż jej ramiona od nadgarstków aż po pachy zdobią bransolety, a człowiek siedzący w jej pobliżu wznosi do niej ręce w geście błagalnym. Ponadto jego dłoń jest zaciśnięta na gałęzi świętego drzewa z trzema ściśniętymi liśćmi (swoim lub/i swoich bliskich życiem?), które składa Najwyższemu Bogu w darze.

Bogactwo bransolet i zdobny naszyjnik uwidoczniło w wykonanej z brązu figurce nagiej tancerki-bogini, jednym z największych osiągnięć rzeźbiarskiej twórczości cywilizacji Indusu-Saraswati. Odnaleziono ją w Mohendźo Daro, a pochodzi przypuszczalnie sprzed czterech tysięcy lat. Ta piękna, dumna i władcza, pełna gracji tancerka jako żywo kojarzy się z grecką Eurynome. Do złudzenia przypomina również tańczącą Fanny – *Wenus* z Galgenbergu sprzed 31 tysięcy lat (którą opisałem w rozdziale VI). I to najpewniej ona swoim hipnotycznym tańcem wieszczy narodziny Śiwy – hinduskiego boga muzyki i tańca. Boga podtrzymującego, czy ra-

czej wznawiającego swoim transowym wirowaniem, w płomiennym kręgu kosmicznej energii, wiecznotrwały ruch Wszechświata. Z Śiwą – hinduistycznym bogiem łączącym w sobie taniec i mądrość płynącą z oświecenia – przebudzenia umysłu, którego symbolem jest trzecie oko widniejące na jego czole, wiąże się też, w moim głębokim przekonaniu, inna bezcenna figurka znaleziona w Mohendźo Daro w 1927 roku. Ma ona zaledwie 20 centymetrów wysokości. Przedstawia eleganckiego, brodatego mężczyznę z półotwartymi, migdałowymi oczami i spiętymi z tyłu, długimi włosami. Dodam, że podobną, siedzącą postać wyrzeźbiono w alabastrze na jednym z odnalezionych w Harappie naczyń. O jego nadzwyczajnym statusie świadczy zarzucony na lewe ramię płaszcz zdobiony wzorem trójlistnej koniczyny, symbolem gwiazd, czyli kosmosu. To, że ten motyw należy interpretować w ten właśnie sposób, wiemy między innymi dzięki dziełom sztuki dawnej Krety, Egiptu i Mezopotamii, przedstawiającym bóstwa oraz święte zwierzęta. Archeolodzy uznali, że statuetka mężczyzny przedstawia jakiegoś dostojnika – króla-kapłana z Mohendźo Daro, w co wątpię, z uwagi na fakt, iż *Saptarysi* władający indyjskimi stolicami byli uduchowionymi, skromnymi mędrkami, którzy pomników raczej sobie nie stawiali. Sądzę, że ta ważna postać, również ukazywana na pieczęciach i „amuletach” w pozie joginicznej medytacji, to nie kto inny tylko sam Manu, największy z *Ryszi*, Wybraniec Boga – pierwszy indyjski Budda. O tym, że „Ojciec Manu” miał status osoby oświeconej, świadczy opaska spinająca jego włosy. Jedynym elementem ozdobnym jest tu kolisty pierścień na środku jego czoła, najpewniej symbol trzeciego oka przenikającego zagadki bytu. I to oko właśnie łączy figurę dostojnika z wirującym w tańcu śmierci i narażeniem Śiwą – Buddą będącym indyjską wersją tancerki Fanny-Eurynome.

Łódź czasem uwieczniona na glinianych tabliczkach kultury Harappy też można odczytywać jako powiązany z Manu motyw „arki”, ale również jako symbol wędrówki przez życie, pośmiertnej podróży w zaświaty lub zwyczajnie – jako środek transportu towarów, którym jakiś klan lub grupa kupców posługiwała się w handlowej działalności. Analogicznie można interpretować woły *zebu* i słonie widniejące na wielu pieczęciach – jako juczne albo zaprzęgowe zwierzęta symbolizujące rodzaj – typ profesji bądź stowarzyszenia kupców podróżujących lądem. Z tego tytułu, jak możemy się domyślać, status tych zwierząt dla kultury Harappy urósł z czasem do rangi świętości. Co wyraźnie widoczne jest w hinduskim panteonie. Nie podejmę się interpretacji postaci nosorożca na niektórych pieczęciach. Kto wie, może uosabiał siłę i potęgę jakiejś gildii lub klanu? Postać jednorożca, częsty ikonograficzny motyw pieczęci (z których aż 64% odnaleziono w Mohendźo Daro, mieście uważanym za centrum tej kultury, 20% w Harappie, a pozostałe na terenie mniejszych osad), według Shereena Ratnagara,

indyjskiego antropologa, mogła być symbolem klanu zajmującego najważniejszą pozycję w społeczeństwie, bowiem według indyjskiej legendy z I tysiąclecia p.n.e. jednorożec oznaczał nadludzką, niemal boską moc płynącą z duchowej czystości. Na tej podstawie Ratnager oparł hipotezę, iż ów znak mógł należeć do kapłańskiej elity. Dodam od siebie, że Boga-Byka jednorożec raczej nie zdetronizował, Tak uważam, bo w sztuce Indusu-Saraswati, podobnie jak w kreteńskiej, ukazano sceny przeskakiwania przez grzbiet byka, a nie jednorożca, ale tutejszego jednorożca bycza, a nie końską, jak w wielu innych kulturach, sylwetka jest wielce zastanawiająca. Tak czy inaczej, przedstawiciele grupy, profesji lub klanu przypisanych do jednorożca prowadzili wymianę handlową z bardzo odległymi krainami, bo około tuzina pieczęci z jego wizerunkiem archeolodzy wykopali na stanowiskach w Iranie i w Mezopotamii.

Bardzo intrygująca jest rozbudowana scena umieszczona na jednej z tabliczek – „amuletów”, będąca przypuszczalnie ilustracją jakiegoś mitu: *od dołu widzimy rząd siedmiu kobiecych postaci, które zapewne są prototypem tak zwanych siedmiu matrik, do dziś mających swoje miejsce w hinduizmie* (napisała Joanna Żak-Bucholc w eseju „Kultura Indusu i mity indyjskie” umieszczonego na jej stronie internetowej), *w centrum sceny w przykłęku postać jakby w rogatym hełmie na głowie i z rękami zwróconymi ku Bóstwu z rogami (?) (zapewne Bogu-Bykowi) stojącemu pomiędzy czymś, co wygląda jak rogi zakończzone liściem, z kolei za klęczącą postacią (do tej pierwszej wznoszącą modły) widnieje krowa o falistych rogach (krowa, jak wiemy z wierzeń innych kultur, bywa symbolem bogini), ponad jej grzbietem znak ryby (zapewne tej, co pomogła Manu przetrwać potop). U jego stóp widnieje skorpion czy rak... Nie jest wykluczone, że cała ta scena musi być odczytana z astrologicznym kluczem... Potem, w hinduizmie Śiwa bywa przedstawiany w towarzystwie 7 matrik<sup>202</sup>. Co mnie nieodparcie kojarzy się z Manu i jego Siedmioma Mędrkami oraz z gwiazdozbiorem Plejad. Na innej tabliczce (pisze dalej Żak-Bucholc): *interesująca jest grupa postaci skupionych wokół centralnie przedstawionego zwierzęcia ujętego w rzadkim rzucie z góry, wyglądającego na krokodyla, otaczają go zwierzęta: słoń, antylopa oraz postacie ludzkie. Co jest ciekawe, podobne sceny można odnaleźć w Egipcie – na ceramice okresu nagadyjskiego widnieje w identyczny sposób przedstawione centralne zwierzę w rzucie z góry otoczone innymi zwierzętami, nieraz wyraźnie jest to skorpion, nieraz nie. Zapewne także rodzaj prezodiaku. Z kolei z mezopotamską sztuką, a ściślej z mitem Gilgamesza, kojarzy się płaskorzeźba przedstawiająca postać, jak się zdaje kobiecą, najpewniej Wielką Matkę, zmagającą się,**

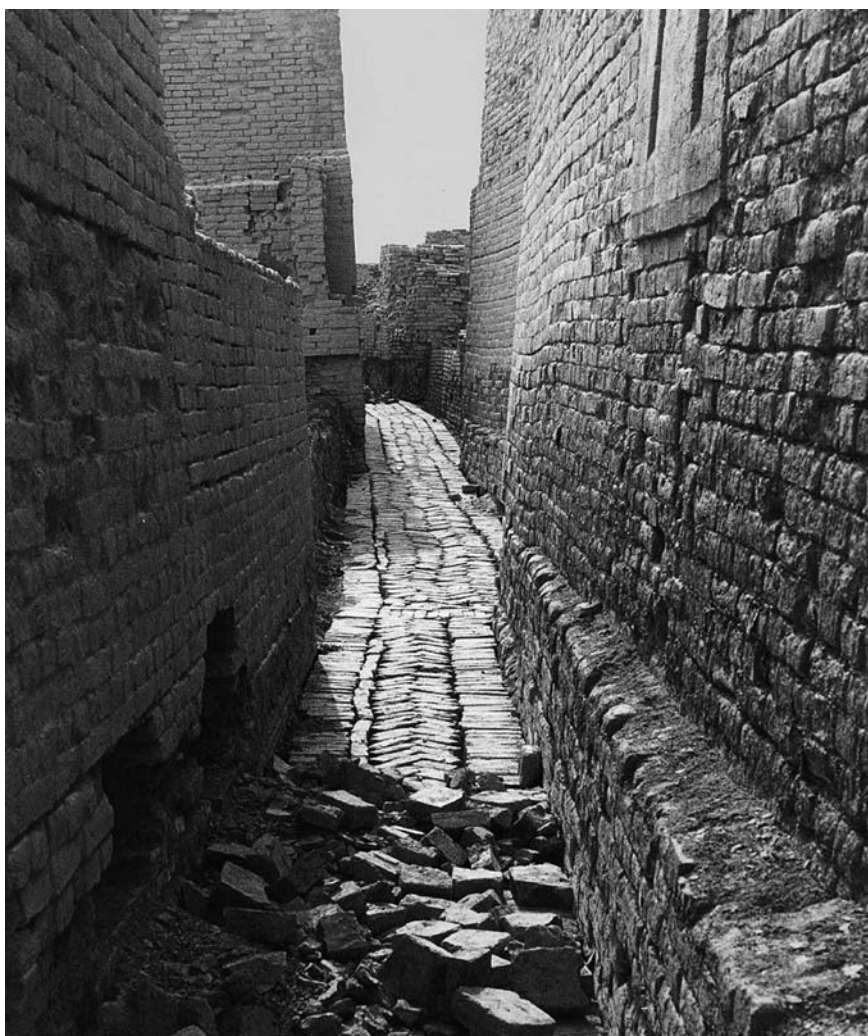
<sup>202</sup> J. Żak-Bucholc, *Kultura Indusu i mity indyjskie*, WWW.racjonalista.pl

a raczej połączoną, z dwoma tygrysami. Nad tą sceną wiruje kosmiczne koło przemian, a pod ich stopami wędruje święty słoń. Na koniec dodam, że wśród wielu arcy ciekawych znalezisk z Mohendżo Daro jest jedna tabliczka – pieczęć, na której przedstawiono antylopę o trzech głowach, co cytowanej autorce skojarzyło się z postacią Dakszy: *Jedną z najciekawszych postaci mitologii indyjskiej i jednocześnie sprawiających wrażenie jednej z najstarszych jest Daksza. (...) Nie wnikając szczególnie głęboko w charakterystykę tej postaci, która jest dość złożona, skupmy się tylko na kilku jej cechach. Oto Daksza zwany jest Władcą Stworzeń. Ale jest też ofiarnikiem. Bóg Rudra nie zaproszony na uroczystość ofiarną odprawianą przez Dakszę zastrzelił z łuku ofiarę, która zmieniła się w antylopę i wzniosła się do gwiazd, stając się gwiazdozbiorem o nazwie Głowa Antylopy – Mrigasirsa. Gwiazdozbiór odpowiada częściowo Orionowi i składa się z trzech gwiazd*<sup>203</sup>. Mowa tu oczywiście o Pasie Oriona. Mnie ta figuralna scena z trzygłową antylopą i mit o Dakszy skojarzył się z kolei z greckim Zeusem i trzema jego opiekunkami – nimfami-kozami: Amalteą, Adrasteą i Io (o których pisałem w rozdziale X, tu dodam zaś przy sposobności, iż nazwa Adrastea była stosowana, zwłaszcza przez orfików, jako zamiennik lub przydomek takich bogiń, jak Rea, Kybele, Ananke, Dike i Nemesis), co pozwala przypuszczać, że w kulturze Harappy, podobnie jak w antycznej Grecji, z przyczyny podziału roku na trzy pory: czas siewów, zbiorów i zimy, *Magna Mater*, tu pod postacią antylopy, dorobiła się trzech głów, a omawiana pieczęć należała pewnie do jakiegoś klanu handlowców-rolników.

Można by długo jeszcze wielką cywilizację Harappy, jej religię i mity rozpatrywać w kontekście podobieństw z innymi wierzeniami i kulturami, ale jedno chyba nie ulega kwestii – mimo jej rozległych kontaktów, także z ludami Anatolii oraz Egiptu, zachowała swoją pełną autonomię. Tu megalityzm globalny zawitał kilka wieków po jej upadku – w pierwszym tysiącleciu p.n.e., czyli niezmiernie późno.

---

<sup>203</sup> Ibidem.



Widok na „Wielką Łażnię” w Mohendžo Daro. Poniżej typowa dla protodynastycznych stolic boczna uliczka.



Steatytowy wizerunek „kapłana-króla”, domniemanego Manu, znaleziony w Mohendżo Daro.



Terakotowa statuetka bogini-matki z Mohendżo Daro datowana na lata 2300–1750 p.n.e. Po prawej wykonana z brązu figurka tancerki-bogini pochodząca z tego samego okresu i miejsca.



Przykłady pieczęci cywilizacji Indusu-Saraswati. U dołu z prawej strony tabliczka-amulet ilustrująca przypuszczalnie jakiś mit.

## XV. Megalityczna teokracja

W manuskrypcie „Historia Regum Britanniae” napisanym w okolicy roku 1136 n.e., średniowieczny skryba Geoffrey of Monmouth opowiada, jak to władca Brytów, Aurelius Ambrosius, zapragnął postawić okazały pomnik, który upamiętniałby jego zwycięstwo nad zbuntowaną szlachtą. Niestety nie miał dobrej koncepcji, udał się zatem po radę do mędrca i maga Merlina. Ten opowiedział królowi o niezwyklej budowlu utworzonej z ogromnych głazów przyniesionych przez gigantów aż z głębi Czarnego Łądu, a znajdującej się na terenie Irlandii. Zaproponował, by król nakazał poddanym zdemontować ten monument i przenieść pochodzące z niego kamienie do Stonehenge, gdzie posłużyłyby do budowy magicznego kręgu. Pomysł, według kronikarza Geoffrey’a, Aureliusowi przypadł do gustu. Jego wysłannicy wyprawili się przez morze, lecz nie potrafili tych głazów nawet poruszyć. W tym stanie rzeczy mag Merlin zmuszony był osobiście w to przedsięwzięcie się zaangażować i z pomocą czarów podnieść je i przenieść do Brytanii.

Gdyby zawierzyć średniowiecznemu skrybie, to przynajmniej jedna z wielu zagadek megalitycznych budowli zostałaby rozwiązana. Niestety, „Historia Regum Britanniae” nie jest źródłem wiarygodnym, bo przecież użyte do budowy Stonehenge kamienie, co ustalili archeolodzy, nie pochodzą z odległej Afryki. Ponadto wątpię, by gigantom chciało się je dźwigać aż stamtąd do Irlandii, bo wiemy z innych legend, iż byli to (jeśli byli?) osobnicy zdemoralizowani i gnuśni (choć wątek afrykański, jak się okaże później, godny jest uwagi). Ponadto, w III tysiącleciu p.n.e., gdy Stonehenge wznoszono, w Brytanii żadnej szlachty, ani tej pokornej – królowi wiernej, ani zbuntowanej próżno było szukać. Ktoś jednak na równinie Salisbury w obecnym Wiltshire 50 kilometrów na zachód od Londynu, utworzył z 30 pionowo ustawionych, 25–30 tonowych wielkich menhirów wkopanych w ziemię na głębokość 1,5 metra, a wysokich na ponad 4 metry, krąg o wewnętrznej średnicy 29,6 metrów. Ktoś te głazy przykrył dopasowanymi perfekcyjnie, zakrzywionymi kamiennymi płytami, każda o wadze 7 ton, mocowanymi na półkoliste czopy. Ktoś wewnątrz ustawił 5 monumentalnych sersenowych „bram” – trylitonów (konstrukcji złożonych z 3 głazów),

z których największe ważyły 50 ton! W obrębie sanktuarium znajdował się krąg zbudowany z mniejszych, kilkutonowych, błękitnych kamieni (pochodzących z oddalonej o 360 kilometrów Walii) i konstrukcja podkowiasta z tego samego materiału. Ponadto wykopano trzy kręgi zewnętrznych otworów w ziemi i rów. Usypano też wał ziemny i dwa symetryczne kopce oraz przywleczono tu i ustawiono na osi alei prowadzącej do tej budowli dwa monumentalne menhiry: Heel Stone oraz Slaughter Stone (ważące nie mniej niż 50 ton każdy).

## „KATEDRA”, CZYLI OBSERWATORIUM

Stonehenge to z pewnością jeden z najważniejszych ośrodków kultu – „katedra” megalityzmu, ale również coś więcej. Współcześnie wysnuto wiele mniej lub bardziej sensownych teorii. Ktoś w tej budowlu dopatrywał się Nowego Jeruzalem z Objawienia św. Jana i zakodowanych w niej rozmiarów globu ziemskiego. Panowie F. Tieroszin i W. Awinskij twierdzili, iż kręgi Stonehenge odwzorowują nasz system planetarny. A. Watkins powiązał ten obiekt z liniami *leys* używanymi w geomancji (oficjalni naukowcy uznali to za nonsens). Pewien pasjonat z Ameryki dostrzegł w tym sanktuarium coś na kształt „maszyny seksualnej” – zewnętrzny system otworów (tzw. „otwory Aubreya”) w jego przekonaniu reprezentował cykl menstruacyjny kobiety, a ustawiony w centrum szerokiej alei Heel Stone („Kamień Pięty”), to według niego symbol boskiego fallosa. No cóż – wysoki 4,7 metra i w najwęższym miejscu gruby na 2,4 metra tyle, że odchylony od pionu pod kątem 27 stopni... Znana to prawda – niektórym wszystko kojarzy się z seksem. Inni komentatorzy twierdzili, że Stonehenge było: sanktuarium węzowego bóstwa, salą zgromadzeń lub balową, namiotem Cezara, wybiegiem dla bydła, ołtarzem do składania ofiary z ludzi, rynkiem targowym, cmentarzyskiem, pałacem władcy, no i wreszcie „skrzynką przełącznikową” magnetyzmu Ziemi. Dla mnie najbardziej przekonująca jest hipoteza znane go amerykańskiego astronoma, G. S. Hawkinsa (cytuję za profesorem Z. Krzakiem): *Stonehenge było obserwatorium astronomicznym, niezawodnym kalendarzem do określania pór roku, umożliwiało też przewidywanie zaćmień słońca i księżyca*<sup>204</sup>. Hawkins uważał, że w tym obiekcie zawiera się *cud wiedzy i inżynierii prehistorycznej*<sup>205</sup>. Co niewątpliwie jest prawdą. Liczba „otworów Aubreya” w jednym z trzech zewnętrznych kręgów to 56, a przecież zjawiska księżycowe powtarzają się co 56 lat. W opinii tego

<sup>204</sup> Z. Krzak, *Megalithy Europy*, PWN, Warszawa 1994, s. 29.

<sup>205</sup> Ibidem, s. 29.

naukowca ówcześni kapłani stosowali rachubę 19–19–18 dającą łączną sumę 56, z czego wysnuł wniosek, że okrężne układy kamieni i otworów były czymś w rodzaju neolitycznego protokomputera, umożliwiającego dokonywanie złożonych astronomicznych obliczeń. Tę hipotezę poparł inny astronom, F. Hoyle: *Krąg Aubreya można potraktować jako rodzaj kątomierza, a nawet jako model ekliptyki czy nieba, dzięki któremu można było określić położenie słońca i księżyca*<sup>206</sup>. Z przeprowadzonych przez niego symulacji wynika, że kapłani prawdopodobnie dzielili rok na 364 dni, obliczali dość precyzyjnie cykl lunarny, potrafili również przewidywać zaćmienia i wprowadzać korekty do swoich kalendarzowych obliczeń. *Podkreślając geniusz budowniczych, F. Hoyle napisał, że przy pracy w Stonehenge był zatrudniony prawdziwy neolityczny Newton czy Einstein*<sup>207</sup>.

Jeśli tak w istocie było, to geniusz ten objawił się tu na jakieś 400 lat przed wykopaniem okalającego krąg rowu i kolejne kilkaset lat wcześniej przed ustawieniem w Stonehenge pierwszych głazów (owych górujących nad opasującym je kręgiem, wewnętrznych pięciu trylitonów ułożonych w podkowę). Kilka lat temu fakt ten ustaliły połączone zespoły archeologów w ramach programu „Ukryte krajobrazy”. Grupy operujące między innymi nowoczesną metodą teledetekcji. Program ich badań objął swoim zasięgiem ogromny obszar wokół Stonehenge, a nawet odległe od niego miejsca w Wielkiej Brytanii, co umożliwiło opracowanie wieloletniej mapy cyfrowej rozwoju megalityzmu w Anglii i Irlandii<sup>208</sup>. Szokujące a jednocześnie dające wiele do myślenia jest to, iż około 250 metrów od Stonehenge naukowcy odkryli ślady po trzech ustawionych blisko siebie w rzędzie, kamiennych słupach – „totemach”: menhirach datowanych na około 12 700 lat p.n.e.! A więc na początek interstadiału Allerod, ocieplenia wiążanego (nie tylko przeze mnie) z owym mitycznym Potopem, wywołanym najpewniej przez potężny impakt. Archeolog David Jacques z uniwersytetu w Birmingham odkrył w bliskim sąsiedztwie dowody istnienia równie starej mezolitycznej osady obronnej, czyli ślady pozostawione przez twórców owych trzech zagadkowych „totemów”. Ciekawe i bardzo wymowne jest, że po ich ustawieniu ustała wszelka aktywność kulturowo-religijna na tym terenie, i dopiero po paru tysiącach lat (mniej więcej w roku 4000 p.n.e.) powstał tu megalityczny grobowiec korytarzowy. Grobowiec, którego konstrukcja oparta była na szkieletach z bali drewnianych. Odnaleziono w nim szczątki przeszło 50 osób. Warto

<sup>206</sup> Ibidem, s. 30.

<sup>207</sup> Ibidem, s. 30.

<sup>208</sup> Brytyjski filmowiec, Jeremy Tuner, przedstawił wyniki tych badań w dwuczęściowym filmie dokumentalnym *Operation Stonehenge – What lies beneath?* (Stonehenge – Podróż w głąb historii?), wyprodukowanym w 2014 roku, a pokazywanym na kanale Planet+.

zauważyć, iż przed pochówkiem poddano ich ekskarnacji, co oczywiście nasuwa skojarzenia z o wiele starszymi znaleziskami z mezolitycznego Bliskiego Wschodu (opisanymi przeze mnie wcześniej). David Jacques przypuszcza, że: 1) duża obfitość zwierzyny na równinie Salisbury, 2) zaiste „magiczne” właściwości skały krzemowej, która po wrzuceniu do pobliskich stawów w ciągu ledwie paru godzin zmienia radykalnie barwę z szarej na intensywnie różową (z powodu chemicznej reakcji wywoływanej przez glony w tych zbiornikach występujące). I wreszcie a raczej przede wszystkim: 3) odwieczne istnienie w tym miejscu owych prastarych totemów kamiennych mogło być czynnikami sprawiającymi, iż równina Salisbury, w oczach kocujących tu plemion, od wielu tysięcy lat uchodziła za wyjątkowy – „uświęcony” w ustnych przekazach region.

To, że kamienny krąg Stonehenge poprzedziła budowa grobowca, a nawet większej ich ilości, dziwić nie powinno, ponieważ w zgodnej opinii ekspertów przeważnie to one są od kromlechów starsze. Podobnie jak kamienne aleje. Zaskakuje natomiast to, co odkryto w 2007 roku dzięki pomiarom teledetekcyjnym i później przeprowadzonym wykopalskom, iż przed wytyczeniem kręgu pod świątynię-obserwatorium, około roku 3630–3375 p.n.e. – niemal tysiąc lat przed budową egipskich piramid w Gizie i miast w dolinie Indusu – w Stonehenge znalazł się Ktoś (ów geniusz na miarę Newtona), kto to wszystko wyliczył i zaprojektował. W pierwszej kolejności wytyczył aleję długą na około trzy kilometry, a szeroką na 100 do 150 metrów – trasę procesyjną, tzw. „bieżnię”, przez zespoły archeologów zwaną dwójako: Stonehenge Cursus albo Greater Cursus, otoczoną rowem. Na końcach tej alei odkryto dwa doły, w których pierwotnie umieszczono słupy. Z analiz wynika, że posłużyły one budowniczym do wyznaczenia centrum przyszłego świątynnego kręgu w relacji do pozycji Słońca w trakcie letnich i zimowych przesileń. Punkt ten znajduje się dokładnie w miejscu przecięcia linii prostych poprowadzonych w tych dniach roku przez owe słupy-znaczniki. Ustalona przez tego genialnego astronoma-geodetę-architekta długość promienia okręgu posłużyła do precyzyjnego rozmieszczenia 30 drewnianych bali, a parę wieków później kamiennych filarów otaczających krąg Stonehenge. Wyliczono to za pomocą pięciu przesuniętych o równe odcinki, wpisanych w ten okrąg sześciokątów o bokach równych jego promieniowi. Ciekawe, że dopiero 400 lat później wykopano wokół sanktuarium rów i z wydobytej z niego ziemi utworzono wał. I, że dopiero po kolejnej przerwie, liczącej sobie pół tysiąca lat, mniej więcej w okresie budowy piramid w Gizie, przystąpiono wreszcie do transportu ogromnych sersenów. Według archeolożki Katy Whitaker pochodziły z oddalonego o 48 kilometrów na północ Marlborough Downs, a nie z Irlandii lub Czarnego Łądu. Czyli od powstania pierwotnego, drewniano-ziemnego „kościoła” do przekształce-

nia go w monumentalną kamienną „katedrę” minęło niebagatelne 900 lat. Wymownie świadczy to o tym, że stworzona tu religijno-astronomiczna idea żywa była, a nawet umacniała się przez wiele wieków.

Tak jak początki Stonehenge owiane są mgłą tajemnicy, tak też jego nagły kres około 1500 roku p.n.e. jest zagadkowy. Podobnie jak raptowny upadek pierwszych indyjskich stolic, który miał miejsce w zbliżonym okresie. W ramach programu „Ukryte krajobrazy” archeolodzy odkryli na równinie Salisbury jeszcze 20 innych – mniejszych budowli na planie kręgów, co tylko wzmacnia tezę o trwałym znaczeniu tego miejsca dla wielu pokoleń. Na obszarze między Orkadami i Kornwalią naliczono z grubsza 1000 megalitycznych struktur różnego typu. A potem? Potem, około II tysiąclecia p.n.e. na ich miejscach i w ich sąsiedztwie zaczęły tworzyć się osady mieszkalne, co wcześniej byłoby niedopuszczalnym świętokradztwem.

Warto też zauważyć, że wciąż nie wiemy, do jakich obliczeń służyły dwa inne, oprócz Aubreya, kręgi zewnętrznych otworów zintegrowane z blokami kamieni wewnątrz tego neolitycznego „komputera”. Mnie inne jeszcze nurtuje pytanie: jak i na czym zapisywano uzyskane z obserwacji wyniki? Bo chyba nie trzymano ich w zbiorowej pamięci pokoleń? A jeśli je rejestrowano, to jakim operowano systemem: piątkowym, dziesiętnym czy może dwudziestkowym?

Polski specjalista od megalitów, profesor Zygmunt Krzak, do którego książek często sięgam, bo naprawdę warto, skrupulatnie wyliczył liczbę osobodniówek potrzebnych do przetransportowania, obrobienia, a także ustawienia w Stonehenge tych wszystkich bloków kamieni. Wyszło mu niemal półtora miliona dni roboczych. Oznacza to, że jakieś 1000 osób pracowało nieprzerwanie przy tej budowlі przez cztery pełne lata. A jeśli oddawali się temu zajęciu jedynie przez dwa jesienne miesiące w roku, wszak prowadzenie gospodarstw rolnych również wymaga masy czasu, to uporali się z tą robotą w jakieś ćwierć wieku.

Według zgodnej opinii wielu naukowców transport wodny dokonywał się przy pomocy barek lub tratw, a lądowy przy użyciu sań i oliwionych tłuszczem rolek. Stąd rodzi się oczywiste pytanie: jaki religijno-społeczny system potrafił nakłonić rzesze ludzi do tej dobrowolnej, katorżniczej harówki? I to nie tylko w Stonehenge, ale na całym świecie, bo przecież megalityzm w epoce neolitu miał zasięg globalny.

## PIERWSZA RELIGIA POWSZECHNA

Na wszystkich kontynentach i na wielu wyspach, a też na zalanych przez morza i oceany obszarach dawnych łądów znajdują się i wciąż są odkry-

wane setki tysięcy pojedynczych obiektów oraz skomplikowanych struktur, których podstawowym budulcem były wielkie kamienie.

Do prostych konstrukcji zaliczamy menhiry (kamienie wysmukłe – męskie) oraz betyle (kamienie niskie i krępe – kobiece), także pionowo ustawiane wieloboczne ortostaty i stele. Z kilku wielotonowych kamieni składają się trylitony i taule (kamienne słupy zwieńczone płaskimi płytami z kamienia), dolmeny – „pomnikowe” świątynie prostego typu złożone z kilku mniejszych oraz jednego większego głazu na nich wspartego. Do konstrukcji bardziej skomplikowanych należą między innymi uformowane w regularne szeregi, często ciągnące się kilometrami, szerokie kamienne aleje. Najbardziej z nich znana znajduje się w Carnac w departamencie Morbihan na wybrzeżu Bretanii. Utworzono ją około 4500 roku p.n.e. z 3000 ogromnych głazów, z których największe ważą podobno od 100 do nawet 350 ton. Do megalitycznych struktur archeolodzy zaliczają również cyklopie mury i świątynie, jak te na śródziemnomorskiej wyspie Malcie, z portalami, postumentami, ołtarzami i bocznymi nawami, również wykute w skale hypogea, podziemne pomieszczenia zwykle na planie koła. Dosłownie wszędzie na świecie odkrywano pozostałości kręgów kamiennych (kromlechów), zwykle odgradzonych, jak w Stonehenge, od sfery profanum głębokimi fosami i ziemnymi nasypami. Odkrywano także karny – kopce z kamieni – proto-piramidy, i tysiące tumulusów (kurhanów) skrywających grobowce rozmaitych rodzajów, w tym przypominające ul pszczeli, nazywane tolosami, w których długie korytarze wiodą do komór zwieńczonych wspornikowymi kopułami, utworzonymi z nasuniętych na siebie ciężkich płyt kamiennych. *Należy podkreślić (napisał Krzak), że na świecie poza Europą podstawowe typy struktur megalitycznych wykazują formalną, typologiczną zbieżność z tymi, które znamy w Europie; są to dolmeny, grobowce korytarzowe, skrzynki, menhiry, kromlechy, a nawet tolosy, ale bywają też formy odmienne, lokalne, nieznane w Europie. Powszechnym zjawiskiem są kurhany grobowe. Czy za zbieżnością form kryją się takie same treści ideowe, czy tam są one wynikiem wpływów z Europy, czy też powstawały w różnych centrach niezależnie od siebie?*<sup>209</sup> Autor przytoczonych słów jest zdania, iż megality na całym świecie są zjawiskiem jednorodnym i, że wywodzą się z tego samego ideowego źródła. Choć nie przeczy, iż część uniwersyteckich naukowców opowiada się za zjawiskiem konwergencji (podobieństwa ludzkich myśli i wyobrażeń) jako główną przyczyną tych zbieżności.

Zasięg występowania megalitycznych ośrodków kultu jest globalny a czas ich budowy, czyli krzewienia tej religii, rozciąga się na tysiąclecia

---

<sup>209</sup> Z. Krzak, *Megality Europy*, op. cit., s. 12.

i jest różny dla rozmaitych regionów kuli ziemskiej. *W Europie koncentrują się głównie w rejonie południowo-zachodnim, zachodnim i północnym, zajmują strefę nadatlantycką i nadbałtycką; z rzadka mamy je w krajach południowych, a liczne są na wyspach śródziemnomorskich na zachód od Malty. W Afryce występują przede wszystkim w części północnej, ale także jest ich wiele w północno zachodniej, środkowej i wschodniej części tego kontynentu, a prawie nie ma ich Afryka Południowa, natomiast Madagaskar jest przez nie zajęty całkowicie. Azja ma je wyspowo we wszystkich rejonach południowych, którymi są Palestyna, Kaukaz, Półwysep Arabski, duże obszary Indii (budowano je tam od połowy II tysiąclecia p.n.e. – już po upadku kultury Indusu-Saraswati, a więc w porównaniu z innymi regionami świata bardzo późno), Indochiny, Półwysep Koreański, Japonia, a rzadziej występują w Tybecie, Mongolii i Chinach. Wielkie ich centrum mieści się na wyspach Indonezji i na wyspach Pacyfiku, szczególnie na Polinezji. W Ameryce występują przeważnie wyspowo, i to zaledwie w kilku miejscach*<sup>210</sup>. Moją uwagę przykuł fakt, że megalitczycy szczególną aktywnością w ekspansji swojej religii wykazali się na peryferiach, w odosobnionych miejscach, na kilku wyspach Morza Śródziemnego, Madagaskarze, w Japonii, na wyspach Indonezji oraz Pacyfiku (Polinezja), a też na Wyspach Brytyjskich oraz w oddalonych od centrów cywilizacyjnych neolitu rejonach świata, albo już po tych kultur upadku (jak zdarzyło się to na Półwyspie Indyjskim), co może być mocną przesłanką do przypuszczeń, iż megalitczycy mogli być przez nowo powstające religie: sumeryjską, egipską oraz harappejską prześladowani – wypychani daleko poza obręb wpływów tych cywilizacji. Nie mogli też, jak przypuszczam, bezpiecznie działać w rejonach świata opanowanych przez wojownicze plemiona. Mam tu na myśli zwłaszcza Chiny i Mongolię.

Dziś większość badaczy jest zgodna co do tego, że megalityzm był pierwszą w historii ludzkości wiarą o charakterze ogólnoswiatowym. Był również najtrwalszą ze znanych nam religii. W samej Zachodniej Europie funkcjonował nieprzerwanie od około V do połowy II tysiąclecia p.n.e., dwa razy dłużej niż chrześcijaństwo! Archeolodzy szacują, że samych grobowców zachowało się tu ponad 50 tysięcy, a mogło ich być więcej. Wraz z innymi strukturami megalitycznymi nawet pół miliona! W Afryce Środkowej a także na obszarze obecnej Sahary, dawniej żyznej krainy, pozostałości megalitycznych ośrodków kultu jest wielka ilość, nie sposób oszacować ile, bo wiele przykrywa piasek pustyni. Pierwsze pojawiły się tu wcześniej niż w Europie, już w VI tysiącleciu p.n.e. Potem, w IV i w III tysiącleciach p.n.e. stawiali je Berberowie (co do tego archeolodzy są

<sup>210</sup> Z. Krzak, *Megality świata*, Ossolineum, Wrocław 2001, s. 8.

zgodni), w późniejszym okresie, niemal do współczesności, elementy tej doktryny zachowały się w wierzeniach, budowlach oraz sztuce kolejnych ludów zasiedlających te ziemie. Najstarszymi megalitycznymi strukturami w Ameryce Północnej są kopce. *W 1973 r. odkryto karn na Labradorze w l'Anse Amour składający się z 300 głazów. Jest to kopiec o średnicy 8 m i wysokości 1 m. Tkwi w nim skrzynka kamienna (łudzko podobna do tych odnalezionych na innych kontynentach). W niej, w pozycji wyprostowanej, leżał szkielet ludzki wzdłuż kierunku wschód-zachód, nakryty płytą kamienną. Stwierdzono przy nim narzędzia kamienne, harpun, kilka przedmiotów z kości, liczne ślady ochry między głazami karnu i dużo ochry obok czaszki. Radiowęglowe datowanie grobu dało rewelacyjne dane: 7530 plus/minus 140 lat temu oraz 7225 plus/minus 85 lat temu, a więc – po kalibracji – VI tysiąclecie p.n.e., to tyle, ile liczą megality Afryki*<sup>211</sup>. Podobnie datowane są megalityczne stanowiska wysp śródziemnomorskich. Tumulusy i karny oraz monolity i trylity o wysokości ponad 3 metrów rozsiane są w dużych ilościach od Kentucky w USA po Kanadę. Ciągi neolitycznych karnów odnajdziemy w stanach Wyoming i Montana. W samym New Hampshire istniało ich przeszło 100 000. Później Indianie zakładali je aż do przybycia białych osadników. Na Dalekim Wschodzie megality zaistniały dopiero na przełomie er. W I i II tysiącleciu n.e. megalityczycy wypierani przez nowe religie osiedlali się na wyspach Oceanii. Etnografowie twierdzą, że ci ostatni misjonarze byli stowarzyszeni w tajnych, elitarnych organizacjach, co może być cenną wskazówką dla zrozumienia funkcjonowania megalitycznego „kościoła” powszechnego na całym świecie, na przestrzeni wielu tysięcy lat.

## GENEZA I EKSPANSJA MEGALITYZMU

Co do narodzin tej religii zdania archeologów długo były podzielone. Współcześnie (cytuję za Z. Krzakiem): *zdecydowana większość badaczy uważa, że megality świata miały jedno wyjściowe, a tylko nieliczni twierdzą, że pojawiły się one w kilku miejscach niezależnie od siebie. W świetle najnowszych badań nie ulega wątpliwości, że tym centrum wyjściowym była Afryka, a konkretnie: Sahara i Afryka Środkowa, gdzie megality pojawiły się już w VI tysiącleciu p.n.e.*<sup>212</sup>

Pogląd o jednym wyjściowym centrum wydaje się bezsporny, wszak wszystkie późniejsze religijne doktryny tworzone były przez pojedyncze osoby, które potrafiły zgromadzić wokół siebie uczniów i wyznawców

<sup>211</sup> Ibidem, s. 487.

<sup>212</sup> Ibidem, s. 528.

gotowych z poświęceniem życia propagować idee głoszone przez tego lub innego mistrza bądź proroka. Tworzył on nową doktrynę w oparciu o systemy wcześniejszych wierzeń, coś asymilował, modyfikował, zmieniał, dodawał lub odrzucał. Nowe ideologie ewidentnie zawsze ewoluowały z wcześniejszych. Mam jednak spore wątpliwości, czy taki proces mógł się dokonać w miejscu, gdzie (o ile mi wiadomo) nie istniał nawet załączek protocywilizacji. W moim głębokim przeświadczeniu Afryka Środkowa nie była miejscem narodzin megalityzmu. Równie dobrze można by twierdzić (na podstawie datowań zabytków), iż doktryna ta zrodziła się w Ameryce Północnej, na przykład na Labradorze, w l'Anse Amour – równie starym jak te afrykańskie – ośrodku megalitycznej wiary. Nie wykluczam jednak, że kontynent afrykański mógł w neolicie pełnić rolę bardzo znaczącego centrum religijnego, a misjonarze stamtąd docierali do regionów bardzo od Afryki odległych. Świadczy o tym chociażby szkielet mężczyzny rasy czarnej (negroida) zmarłego w wieku 70 lat, znaleziony na Kujawach w Polsce, w miejscowości Wieniec, w grobowcu pochodzącym z trzeciego tysiąclecia p.n.e. Ponadto, w tym samym tysiącleciu p.n.e. lub może nieco wcześniej *jakiś grupy megalitczyków przeniknęły przez Atlantyk także do Ameryki Środkowej, o czym świadczy obecność tam ras armenoidalnej i negroidalnej*<sup>213</sup> (patrz kultura Olmeków).

Z dawnych teorii dotyczących dróg migracji megalitczyków najbliższy jest mi pogląd głoszony już w latach siedemdziesiątych XX wieku przez E. MacKie (oczywiście z koniecznymi, wynikającymi z ostatnich badań poprawkami). Lansował on tezę o *decydującej roli teokratycznej warstwy zawodowych kapłanów (uczonych, mędrców, magów), która to warstwa być może przybyła z zewnątrz, najprawdopodobniej z Bliskiego Wschodu, gdzie w Mezopotamii pojawiła się najwcześniej (przed 5000 r. p.n.e.), wcześniej niż megality (przynajmniej te europejskie), następnie we wczesnym neolicie uformowała się na Półwyspie Iberyjskim. Kapłani ci mieli stamtąd przemieszczać się ku Francji, Wyspom Brytyjskim i Skandynawii, osiedlając się w kilku stadiach migracyjnych hybrydizacyjnych wśród tubylczej ludności rolniczej, z którą asymilowali się przy zachowaniu swojej elitarnej, kierowniczej pozycji i organizowali ludność do wznoszenia wielkich budowli, zaszczipiając jej religię i związane z nią instytucje. Oprócz religii ważną rolę w ich wędrówkach odgrywał motyw gospodarczy poszukiwania surowców*<sup>214</sup>. Nie sądzę, aby ten ostatni czynnik był szczególnie istotny, bo krzewiciele megalityzmu raczej nie rozwijali handlu, nie zakładali miast, nie wpływali w znaczący sposób (choć mogli, zważywszy na ich poziom inte-

<sup>213</sup> Ibidem, s. 529.

<sup>214</sup> Z. Krzak, *Megalithy Europy*, op. cit., s. 271.

lektualny) na rozwój cywilizacyjny plemion, do których docierali. Zasadniczo ograniczali się do działalności „duszpasterskiej” i dbania o własne interesy, czyli zdobycia i utrzymania nadrzędnej pozycji w hierarchii społecznej. Mimo, iż MacKie wykluczył ze swoich domysłów Afrykę i Amerykę Północną, to przyznać trzeba, że intuicję miał dobrą, typując już przed pół wiekiem jako strefę zarodkową megalityzmu Bliski Wschód. Oczywiście dziś wiemy, że to nie w Mezopotamii przed 5000 rokiem p.n.e., ale w anatolijskim Gobekli Tepe niemal pięć tysięcy lat wcześniej pojawiły się pierwsze nam znane megalityczne „kościółki” w formie kręgów utworzonych z wielkich kamieni (kromlechów) sukcesywnie przekształcanych w grobowce, czyli kurhany – prototypy późniejszych grobowców korytarzowych i ziemnych piramid. Ponieważ ta religia od początku była w Gobekli Tepe w pełni rozwinięta, nie można całkowicie wykluczyć, że została skądś przyniesiona. Tak czy inaczej jest to najstarszy z odnalezionych ośrodków megalitycznej religii. To stąd wywodzą się obrzędy, liturgiczne naczynia i ceremonialne szaty. I to tu przeniesiono w przyszłość rdzeń – fundament paleolitycznej wiary w Boga-Zwierza i *Magna Mater* w centrum kultu, oraz jej świętę zwierzęcą i wiarę w pośmiertną wędrówkę wiecznotrwałej duszy oraz związany z nią kult przodków – duchów opiekuńczych, które, jak się zdaje, zyskały na znaczeniu w porównaniu z paleolitycznymi wierzeniami, podobnie jak kult żeńskiej Bogini odpowiedzialnej za wszelkie aspekty życia, też tego wiekuistego – pośmiertnego, o czym dobitnie świadczy niezliczona liczba grobowców korytarzowych rozsianych po wszystkich zakątkach świata. Grobowców uosabiających Jej *vulwę*, drogi rodne i macicę. Analogicznie jak kultowe jaskinie w górnym paleolicie. Trudno ustalić, kiedy i gdzie, bo raczej nie w Gobekli Tepe, dokonała się bardzo ciekawa transformacja Boga-Zwierza w Boga-Słońce, ale z pewnością trzeba podkreślić fakt, że astronomiczne aspekty tej wiary, podobnie jak wszystkich innych religii neolitu, bardzo zyskały na znaczeniu. Wątpię, by doktrynę megalityzmu stworzono w mezolicie na Bliskim Wschodzie, raczej opowiadałbym się za jej górnopaleolitycznymi korzeniami sięgającymi końca ostatniej epoki lodowcowej. Utwierdzają mnie w tych przypuszczeniach najnowsze badania i odkrycia archeologiczne, które ujawniły w Stonehenge istnienie w przeszłości sięgającej roku 12 600 p.n.e. trzech kamiennych słupów – kultowych „totemów” ustawionych w rzędzie. Natomiast Gobekli Tepe z całą pewnością miało kluczowy wpływ na rozprzestrzenienie się tej religii po wszystkich kontynentach. Przypomnę, że to z Bliskiego Wschodu pochodzi legenda Oannesa i jego rybio-ludzkiego towarzyszy (Apkallu), którzy przybyli na łodziach. A przecież megalitycy byli doskonałymi żeglarzami, skoro bez problemu zasiedlili wiele wysp, a nawet w kilku migracyjnych stadiach dotarli do obu Ameryk. Najpierw, około połowy VI tysiąclecia p.n.e., do

Ameryki Północnej. O czym świadczą znaleziska w l'Anse Amour. W mojej opinii kolej ich ekspansji przebiegała mniej więcej tak: najpierw opanowali Anatolię, czego dowodzą megalityczne budowle w Balıklıgöl (9500 p.n.e.), Cayonu Tepesi (8630 p.n.e.), Nevalı Cori (8500 p.n.e.), Asikli Hüyük (8000 p.n.e.), że tylko te wymienię. W następnych tysiącletniach, możliwe, że wypierani przez inne religie, a też może być, że z misjonarskiej potrzeby krzewienia wiary, dotarli do Afryki Środkowej oraz Ameryki Północnej. Kilka wieków później pojawili się na wyspach Morza Śródziemnego (na Cyprze już w połowie VI tysiąclecia p.n.e.). Kilka stuleci później – przez Północną Afrykę dotarli na Półwysep Iberyjski. Następnie – płynąc wzdłuż zachodniego wybrzeża Europy – w połowie V tysiąclecia p.n.e. znaleźli się na wybrzeżu Francji. Jakies 500 lat później na Wyspach Brytyjskich. Potem w Skandynawii, Niemczech i w Polsce. W Indiach pojawili się (o czym już wspominałem) w połowie II tysiąclecia p.n.e. Indonezję i Polinezję oraz Madagaskar opanowali na przełomie starej i nowej ery.

Dodam, że teorię o anatolijskich korzeniach globalnego megalityzmu wzmacnia arcyciekawe archeologiczne stanowisko w Sisian w Armenii, 250 kilometrów na południe od Erewana, nazywane Zorac Karer lub Kara Chumi, co się tłumaczy jako „Kamienie Mocy”. Określane jest również jako „armeńskie Stonehenge”. Zorac Karer powstało jakies trzy tysiące lat przed Stonehenge. Składa się z 203 bazaltowych głazów, w tym kilku o wadze nie mniej niż 50 ton. Badający to stanowisko zespół naukowców z Oksfordu ustalił, że było ono zdecydowanie odmiennym typem astronomicznego obserwatorium niż wiele innych kręgów. Otóż w aż 85 monolitach pod rozmaitymi kątami wywiercono otwory – niczym teleskopy skierowane na różne partie rozgwieżdżonego nieba, skupiając się najpewniej na obserwacji ruchu wielu ciał niebieskich, a nie wyłącznie na ustalaniu przesileń letnich lub zimowych, zaćmień Słońca oraz innych praktycznych obliczeniach. Kromlech Zorac Karer stanowi też ciekawy trop do rozwiązywania zagadki obecności na początku III tysiąclecia p.n.e. w Ameryce Środkowej, ludzi nie tylko rasy negroidalnej, ale także armenoidalnej.

## CIĄGI SKOJARZEŃ I WYOBRAŻEŃ

Megalityczny „kościół” i szerzona przez jego misjonarzy wiara w moc *Magna Mater* i duchy przodków zaklęte w kamieniu, rozwijały się wbrew i pomimo oficjalnych religii zrodzonych i propagowanych w neolitycznych centrach cywilizacyjnych. Godne podziwu jest, że ta sięgająca głęboko w przeszłość wiara przetrwała panteony bogów sumeryjskich, egipskich i cywilizacji Harappy. A potem, w okresie ich stopniowego upadku, religia

wielkich kamieni osiągnęła apogeum swojej popularności i potęgi. W wiekach rozkwitu cywilizacji Asyrii i Babilonu oraz w okresie późniejszym – rozwoju wielkich kultur wywiedzionych z antycznej Grecji i Cesarstwa Rzymskiego – megalityzm funkcjonował na ich obrzeżach. Ta wiara była tak popularna wśród mas, że inne religie ją asymilowały. Świadczą o tym ślady wtórnego wykorzystywania megalitycznych obiektów przez kultury wczesnej i późnej epoki brązu, a też wczesnej epoki żelaza. Są one w Europie wszędzie dostrzegalne. Na przykład *W Knowth (hrabstwo Meath, Irlandia) wokół potężnego kopca neolitycznego, któremu towarzyszyły mniejsze grobowce megalityczne, zostało założone cmentarzysko z około 20 pochówkami z różnych stuleci z epoki żelaza. W I tysiącleciu n.e. Knowth było ważnym centrum, a zapiski historyczne informują, że mieściła się tu rezydencja królów. Osadnictwo przetrwało tu do XII w. Między innymi byli tu Normanowie, którzy na szczycie kopca wzniesli jakąś murowaną strukturę kamienną. Inny, jeszcze ważniejszy ośrodek w Irlandii znajdował się w Tara (hrabstwo Meath), gdzie inicjalną strukturą był grobowiec korytarzowy pod dużym kopcem. Później pojawiły się kurhany, menhiry, forty i cmentarzysko z wczesnej epoki brązu. W pogańskim okresie, w epoce żelaza, znajdowało się tu ważne celtyckie centrum religijno-polityczne oraz rezydencja królów Irlandii*<sup>215</sup>. Dopiero ekspansja chrześcijaństwa, a potem też islamu, położyły kres tej asymilacji. Kult Wielkiej Matki stał się ostatecznie pogańską herezją, jego wyznawców i krzewicieli okrzyknięto czarownikami i czarownicami rodem z piekła. Jeszcze później zapłonęły stosy inkwizycji, święte kamienie z megalitycznych kromlechów i karnów posłużyły do budowy katolickich kościołów. Zapewne jako widomy znak zwycięstwa nad szatańskim pomiotem.

To zwycięstwo nie było jednak absolutne, bo przecież megalityczna „herezja” przetrwała w niezliczonej ilości nawarstwiających się na siebie legend i ludowych opowieści przekazywanych z pokolenia na pokolenie, i wciąż była, i nadal jest pożywką dla naszej zakorzenionej w przeszłości wyobraźni. W mitologiach Brytów, Celtów, Germanów, Normanów oraz ludów o rodowodzie romańskim odnajdziemy opowieści o gigantach i gigantkach – mitycznych twórcach megalitycznych struktur. Powszechnie wierzone, że w dawnych czasach roilo się od barbarzyńskich, okrutnych istot: *potomków ludzi, o strasznym wyglądzie, potężnej sile i zwierzęcej dzikości, nie bojących się ani boga, ani ludzi i pozostających w stosunku wrogości do rodzaju ludzkiego*<sup>216</sup>. Te wyobrażenia i zabobony przekuły się w przekonania o diabelskim rodowodzie tych budowli. Określano je więc:

<sup>215</sup> Z. Krzak, *Megality Europy*, op. cit., s. 298.

<sup>216</sup> Ibidem, s. 344.

*Ołtarzem diabła, Amboną diabła, Kryjówką diabła, Maczugą diabła, Domem diabłów... Ale jakimś cudem przetrwała także pamięć o dobrych, życzliwych ludziom postaciach. O królach, magach, herosach, siłaczach i siłaczkach, księżniczkach, boginiach... W krajach Europy Południowej i Zachodniej spotykamy się z wielką postacią żeńską określaną jako „Bogini śmierci”, „Silna dama”, „Potrójna bogini”, „Stara czarownica”, znaną też pod imionami, które brzmią: Anna, Annia, Ana, Anu, Anan, Aine, Ankou, co oznacza śmierć<sup>217</sup>. Najczęściej nazywano tę postać „Białą boginią” i „Białą damą”. Była owa bogini piękną, wysmukłą kobietą z hakowatym nosem, śmiertelnie białą twarzą, wargami czerwonymi jak owoc jarzębiny, wstrząsającymi niebieskimi oczami i długimi włosami. Jej cechą była białość i regułą było, że właśnie czarownice były ubrane na biało<sup>218</sup>. W Callanish na Hybrydach istniał kult boga zwanego „Jaśniejącą jednością”. W Slieve Mis, w hrabstwie Kerry, pochowano podobno starożytną królową Irlandii, która miała tu przybyć ongiś z Hiszpanii, co by potwierdzało przypuszczenia dotyczące dróg migracji megalitczyków. Wśród dawnych podań roi się od żeńskich postaci: olbrzymek, wrózek, bogiń, ale też upiornych wiedźm. Wiele megalitów nosi ich imiona, są: *Kamienie dzikich kobiet, Krzesło wiedźmy, Kurhan królowej, Monument trzech dam, Zamek Ariadny, Wrzeczono czarownicy Margot, Łoże Cailleac, Kamień Krymhildy, Łoże Brunhildy...* Jeden z kromlechów w Anglii nazywano: *Długa Meg i jej córki*. Grobowiec korytarzowy w Knockmany (hrabstwo Tyrone) potocznie jest określany *Jaskinią Annu*. Można by długo jeszcze mnożyć tego rodzaju przykłady. Menhiry oraz betyle uosabiały też legendarnych królów, wodzów, rycerzy i olbrzymów. Zaklęte w nie bywały pary kochanków, a także różne zwierzęta. Miały też w powszechnej opinii magiczne moce. Nazywano je zatem: *Kamieniem trzech kuracji, Kamieniem szczęścia, Kamieniem płodności, Bolesnym skurczem...* Według wierzeń chroniły przed chorobami i nieszczęściami, miały właściwości uzdrawiające, jedne wzmacniały męską potencję, inne zapewniały pomyślność w życiu, małżeństwie, miłości i w interesach. *Zwłaszcza kamienie i menhiry dziurawe odznaczały się mocą magiczną. Przez otwór menhiru, zwanego „Kamieniem Odyna” w Stennes (Orkady) przeciągano małe dzieci, by uchronić je od chorób; miał on też leczyć różne schorzenia osób dorosłych. Dziurawy kamień w Men-an-tol w zachodniej Kornwalii (Wielka Brytania) też służył do przeciągania dzieci; trzeba było uczynić to 9 razy, potem trzeba było je tyleż razy położyć naprzeciwko słońca, co miało je chronić przed bolesnym skurczem szyi<sup>219</sup>. Inny głaz chronił przed odrą**

<sup>217</sup> Ibidem, s. 346.

<sup>218</sup> Ibidem, s. 347.

<sup>219</sup> Ibidem, s. 348.

oraz kokluszem, a inny zapewniał nowo narodzonemu dziecku szczęście w życiu. Jak z tego wynika, do naszych czasów przetrwała w ludycznej, nieco karykaturalnej formie, megalityczna wiara w ich magiczne moce... i połączona z nią wiara w magiczną siłę oddziaływania promieni Boga-Słońca. Zachowało się też wiele opowieści o menhirach, które same się obracają, przemieszczają w blasku księżyca, a nawet tańczą – wirują pod dyktando czarownic w niektóre dni roku (pewnie te związane z przesileniami). W New Grange – najważniejszym grobowcu w Irlandii – miał ponoć przebywać „Lud bogini Danu” (*Tuatha De Danann*). Według podań byli to nieśmiertelni „bogowie światła”, którzy rezydowali w tym tolosie i innych irlandzkich kurhanach. Grobowcach, o których mówiono, że nikt w nich nie umiera (co zdaje się potwierdzać ich pierwotne przeznaczenie). Jedną z ważniejszych postaci wywodzących się z tego ludu był wszechwiedzący Dagda określany jako „bóg wielkiej wiedzy”. Jego żoną była Boann, z którą miał syna Oengusa. Zwróćmy uwagę, że w brzmieniu jest to podobne imię do sumeryjskiego Oannesa. Oengus według legendy stał się personifikacją dnia, bo w New Grange urodził się o poranku kosmicznie przedłużonego dnia, czyli w momencie zimowego przesilenia.

To wszystko utwierdza mnie w przeświadczeniu, że w kulcie kamieni ogromną rolę odgrywał Kosmos oraz boski pierwiastek żeński. Misjonarki i misjonarze tej religii mieli wiedzę i posiadali umiejętności zadziwiające społeczności, do których przybywali. Czasem budzili lęk, częściej jednak podziw i szacunek należny wysłannikom *Magna Mater*.

Religia wielkich kamieni głęboko wryła się w naszą podświadomość. Najlepiej świadczy o tym fakt, że na współczesnych nekropoliach roi się od kamiennych nagrobków, steli, pomników i sarkofagów. I, że w święta zmarłych kłębią się na nich tłumy pielgrzymów. Wielu z nich przed odejściem od grobów swoich nieżyjących bliskich czule gładzi kamienne płyty skrywające ich doczesne szczątki. Zastanawiam się: po co to robią, skoro monoteistyczne kościoły dominujące obecnie, stanowczo twierdzą, że dusze zmarłych przebywają w odległych zaświatach? A może pomimo tych zapewnień religiom późniejszym nie udało się ze szczętem wypłenić z nas prastarej wiary w opiekuńcze duchy przodków, gdzieś tuż obok, wśród żywych stale obecnych?

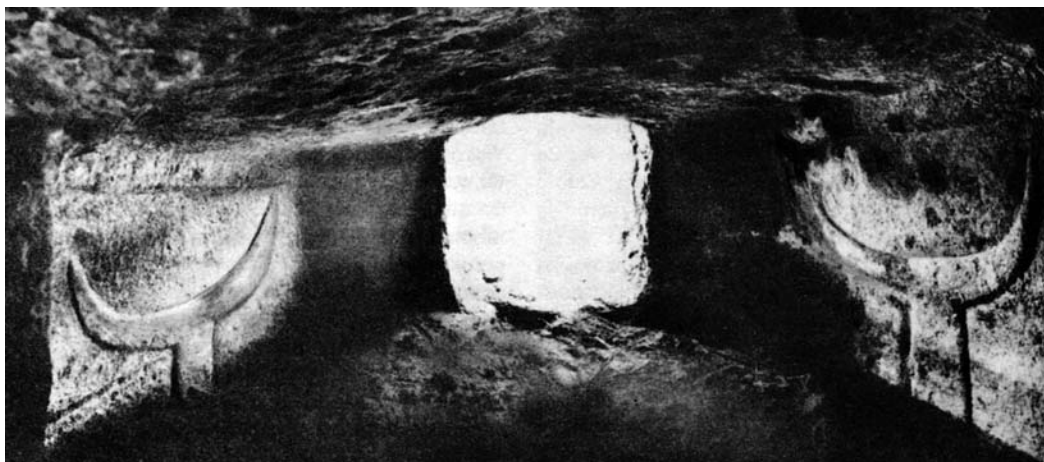
Na koniec przypomnę jeszcze, że główne chrześcijańskie święta: Boże Narodzenie i Wielkanoc pokrywają się niemal dokładnie z dniami zimowych i letnich przesileń, które w religii wielkich kamieni również były najważniejszymi świętami kalendarzowego roku. Jak sądzę, ta zbieżność nie jest całkiem przypadkowa.



Kamień z rytami spiral prawo i lewoskrętnych w chalkolitycznym grobowcu New Grange w pobliżu Drogheda (Irlandia).



Stonehenge, megalityczna „katedra” w rejonie Salisbury (Wielka Brytania).



Anghelu Ruju (Sardynia). Westybul skalnego grobowca z wyobrażeniem byczych rogów (za C. Zervosem).



Carnac w departamencie Morbihan na wybrzeżu Bretanii (Francja). Aleja utworzona z 3000 ogromnych głazów, z których największe ważą od 100 do nawet 350 ton. Jej datowanie to około 4500 lat p.n.e.

## XVI. Przybyli tu licznymi gromadami

Między granicą południową, wytyczoną od ujścia rzeki Motagua do Atlantyku i Zatoką Nicoya nad Pacyfikiem a granicą północną, sięgającą rzek Panuco oraz Sinola, rozciąga się terytorium nazwane przez znanego amerykańistę Paula Kirchhoffa, Mezoameryką. Obszar ten obejmuje Gwatemalę, Belize, część Hondurasu, Salwadoru, Nikaragui, Kostaryki i niemal cały Meksyk (bez części jego północnych prowincji). W „Mitologii Azteków” Maria Frankowska tak zwięźle opisała kulturowy tygiel ludów zamieszkujących ten region świata: *Na całym terytorium Mezoameryki, na długo przed naszą erą, żyjące tam ludy mieszały się ze sobą, wypierały z zajmowanych terenów, oddziaływały na siebie wzajemnie, rozwijały się i ginęły bądź, pod wpływem nowych bodźców, tworzyły nowe treści kulturowe. Do najważniejszych spośród tych ludów należą Olmekowie, Totonakowie i Huastekowie, twórcy kultur ukształtowanych na wschodnich obszarach, nad Zatoką Meksykańską, następnie Majowie z Gwatemali, Hondurasu i Jukatany, Zapotekowie i Mistekowie z południowo-zachodniej części Meksyku, Teotihuakanie, Toltekowie i Aztekowie z Wyżyny Meksykańskiej*<sup>220</sup>. Starsze plemiona nie tyle „ginęły”, co raczej znikwały w zagadkowy sposób. Ci, którzy przychodzili na ich miejsca, zwykle przejmowali kulturalne i teozoficzne dziedzictwo swoich antenatów dokonując w nim rozmaitych modyfikacji i przeróbek.

### MEZOAMERYKAŃSKI TYGIEL

Nowy Świat był zamieszkanym przez ludzi od dziesiątków tysięcy lat. Szkielet prehistorycznego myśliwego odnaleziony w Tlapacoya w stanie Meksyk, oszacowano na 20 000 lat, *czaszkę znalezioną na stanowisku archeologicznym w Otavalo w Ekwadorze datowano metodą węglową na ponad*

<sup>220</sup> M. Frankowska, *Mitologia Azteków*, WA i F, Warszawa 1987, s. 16.

30 000 lat p.n.e.<sup>221</sup> Znalezione na kontynencie amerykańskim groty strzał są od tych szczątków podobno jeszcze starsze. Najwcześniejsze ślady rolnictwa pochodzą z V tysiąclecia p.n.e. Pierwsze kilkustopniowe piramidy wzniesiono w okresie preklasycznym zwanym też formatywnym (liczonym od połowy III tysiąclecia p.n.e. do 1300 roku p.n.e.). Dobrym przykładem takiej wczesnej konstrukcji jest okrągła piramida w Cuicuilco (obecnie jest to jedna z peryferyjnych dzielnic miasta Meksyk). Budowla ta składa się z trzech ziemnych stopni-poziomów wyłożonych okładziną z kamienia wulkanicznego. Jest całkiem sporym sztucznym wzniesieniem. Pierwszy jej poziom ma 9 metrów wysokości, drugi 5, a trzeci 4 metry. Średnica jej podstawy wynosi 135 metrów. Zwracam uwagę, iż na III i II tysiąclecia p.n.e. przypada okres wzmożonej aktywności zagadkowych grup cywilizatorów-migrantów, przybywających tu przypuszczalnie z Egiptu, Bliskiego Wschodu, Afryki oraz Azji. Brazylijski historyk Alfredo Brabdao w książce „A Escripção da Pré-história do Brasil” stwierdził: *Egipcjacy żeglarze pozostawili ślady wszędzie, od ujścia Amazonki po zatokę Guanabara. Ślady mają wiek 4000–5000 lat, z czego możemy wnioskować, że komunikacja morska między dwoma kontynentami została zerwana w późniejszym czasie*<sup>222</sup>. Natomiast W. Volkrodt napisał: *Od dawna podejrzewano, że na długo przed Kolumbem istniały ścisłe kontakty między mieszkańcami Azji i Ameryki. Już w 1961 roku boński etnograf, prof. dr Herman Trimbom, ustalił, że istnieje zbyt wiele podobieństw wysokich indiańskich kultur z kulturami wschodniej i południowo-wschodniej Azji*<sup>223</sup>. Takie są konkluzje wynikające ze znalezisk i badań porównawczych. Misjonarze wielu religii przybywali tu ze starego kontynentu i upowszechniali wśród Indian swoje idee. Zaprzęgali ich do zakrojonych na wielką skalę prac budowlanych, a w ich efekcie powstały gigantyczne budowle sakralne w kilku miejscach Mezoameryki. Nikt się nie buntował, wszyscy bez szemrania pracowali i składali bogom daniny. Nie potrzebowano zbrojnych regimentów albo oddziałów przewencji. Dla zachowania posłuchu wystarczał nadludzki – boski – bezdyskusyjny autorytet władzy. Monumentalna ziemno-kamienna, tarasowa piramida w Cuicuilco jest jednym z dowodów na taki przebieg zdarzeń.

Z braku jakichkolwiek źródeł pisanych nasze wyobrażenia o życiu nienazwanych społeczeństw zamieszkujących Mezoamerykę w tamtym odległym czasie możemy kształtować niemal wyłącznie w oparciu o ich doskonale rozwiniętą twórczość rękodzielniczą. *Ceramika okresu prekla-*

<sup>221</sup> D. H. Childress, *Zaginione miasta i pradawne tajemnice Ameryki Południowej*, AMBER, Warszawa 2000, s. 14.

<sup>222</sup> Ibidem, s. 224.

<sup>223</sup> W. Volkrodt, *Było zupełnie ...*, op. cit., s. 106.

sycznego w Dolinie Meksyku wyróżniała się wielką różnorodnością form, technik zdobniczych i motywów ornamentacyjnych. Wytwarzano różnego rodzaju naczynia – użytkowe i obrzędowe, a także figurki ludzi oraz rzadziej zwierząt. Te niewielkie statuetki gliniane stanowią swego rodzaju plastyczne dokumenty ilustrujące różne dziedziny życia i kultury miejscowej ludności. Najczęściej są to postacie kobiet obnażonych całkowicie lub ubranych tylko w krótkie spódniczki wykonane, jak można sądzić z wyglądu, z tkaniny lub luźnych włókien roślinnych. Szczególnym wdziękiem i starannością wykonania wyróżniają się statuetki z Tlatilco, zwane „pięknymi paniami”, o delikatnych rysach twarzy i foremnych kształtach ciała. Są również figurki o dwóch głowach, podwójnych ustach i potrójnych oczach. Rzadsze są figurki mężczyzn, zwykle przepasanych tylko opaską biodrową, czasem w turbanach lub hełmach na głowie, bądź z maskami na twarzy. Są wśród nich statuetki przedstawiające graczy w piłkę, akrobatów i starych przygarbionych mężczyzn, stanowiące być może wyobrażenie tak zwanego Starego Boga, Boga Ognia, którego wizerunki występują często w sztuce późniejszych okresów<sup>224</sup>. Skłonność do przedstawiania zdeformowanych istot ludzkich – syjamskich bliźniaków, osobników ze szczątkowymi kończynami, dwiema głowami lub przerośniętym tułowiem nie dziwi, bo i dziś fascynują nas gabinety osobliwości prezentujące anatomiczne anomalie. Ten rodzaj przedstawień może świadczyć zarówno o wybujałej wyobraźni twórców, jak i o tym, że takich genetycznie zdefektowanych osobników widywano wtedy często. Powstrzymam się jednak od nasuwającej się karkołomnej tezy o skażeniach radioaktywnych lub eksperymentach na ludziach jako przyczynie owych wynaturzeń, bo byłaby stanowczo za daleko idąca. Spośród wielu odnalezionych w Tlatilco figurek jedna zwróciła moją szczególną uwagę – przedstawia bardzo sugestywnie, choć nieco schematycznie, stojącego mężczyznę z hełmem astronauty, a może to tylko dziwny turban – ochrona przed owadami?

Konia z rzędem temu, kto choćby w ogólnym zarysie poustala daty najstarszych południowoamerykańskich kultur i przynależnych do nich dzieł. Prawda jest taka, że o ich twórcach wiemy tylko tyle, iż były to grupy wykształconych cywilizatorów, świetnych budowniczych i geodetów, artystów i astronomów przybyłych najpewniej z innych części świata. Docierali na kontynent amerykański przywożąc tu jednorodne, spójne wzorce religijno-kulturowe, które stały się bazą mentalną dla tutejszych plemion. W kulturach Mezoameryki i Andów próżno doszukiwać się jakichś etapów wstępnych, faz rozwojowych – okresów formatywnych. Zaimportowane tu dzieła i idee od samego początku były w pełni ukształtowane.

<sup>224</sup> M. Frankowska, *Mitologia...*, op. cit., s. 20, 21.

Kim byli ich twórcy? Skąd przybywali w kolejnych stadiach migracji i z jakiej przyczyny? Kiedy do tego doszło? Dlaczego pod budowę swoich baz, osad i ośrodków kultu wybierali te, a nie inne lokalizacje?

## OLMEKOWIE

Narodziny cywilizacji w Nowym Świecie według uniwersyteckich historyków związane są z Olmekami. Zamieszkiwali oni nisko położone, porośnięte dżunglą obszary dzisiejszych meksykańskich stanów Veracruz i Tabasco. Działo się to podobno w latach 1200–300 p.n.e., choć wielu innych badaczy sądzi, że początki tej kultury mogą sięgać nawet okresu formatywnego (pierwsza połowa III tysiąclecia p.n.e.), a nawet jeszcze dalej. Olmekowie (lub nieznanego z nazwy lud ich poprzedzający) stanowili silne, scentralizowane i bardzo elitarne społeczeństwo. Uprawiali ziemię i powszechnie stosowali system irygacji pól. Zbudowali także rozległą sieć szlaków handlowych przecinających cały kontynent. Ponadto stworzyli dwa rodzaje kalendarza – religijny (liczył 260 dni) i praktyczny (dzielący 365 dni roku na 18 miesięcy). Ale to dokonanie, podobnie jak wynalazek zapisu hieroglificznego, wciąż jeszcze oficjalni naukowcy przypisują ich następcom – Zapotekom z Monte Alban (zapewne z tego powodu, żeby stworzyć pozory ewolucji, lepiej pasującej do wciąż obowiązującej teorii systematycznego rozwoju?). Pierwszą datą ich kalendarza, zapisaną przemyślnym systemem kropek i kresek, jest 13.08.3114 p.n.e. Sądzę, iż mógł to być dzień przybycia ich przodków do Ameryki Środkowej. Religia Olmeków wiązała się z kultem Matki Ziemi (czczonej pod postacią szkaradnego potwora), kultem Pierzastego Węża oraz Boga Kukurydzy. Olmekowie pierwsi ustalili i spopularyzowali reguły rytualnej gry w piłkę i organizowali jej rozgrywki na przeznaczonych do tego celu boiskach.

Najbardziej znane olmeckie dzieła to zdumiewające, gigantyczne bazaltowe głowy, których wysokość dochodzi do 3 metrów, a waga waha się od 6 do 30 ton. Mimo pewnych cech wspólnych: płaskie, szerokie nosy, grube wargi i szeroko otwarte oczy, rzeźby różnią się między sobą – każda ma inny hełm z insygniami wskazującymi na pozycję społeczną lub przynależność do tej lub innej grupy-drużyny. Kilku sportretowanych dostojników (wielkich graczy?) z całą pewnością reprezentuje typ rasy negroidalnej, której na kontynencie amerykańskim w owym czasie raczej być nie powinno. Portrety wykonane ze skał pochodzących z gór Tuxtla zostały w jakiś niezwykle sposób przetransportowane poprzez wzgórza, gęste lasy, bagna i rwące rzeki do oddalonych o przeszło 100 kilometrów centrów ceremonii w miastach-portach La Venta, San Lorenzo i Tres Zapotes nad Zatoką Meksykańską.

Wizerunki te jeszcze dziś wzbudzają niepokój, a nawet przerażenie. Oprócz monumentów Olmekowie (albo ich poprzednicy) tworzyli też pokryte wyrafinowanymi płaskorzeźbami trony oraz stele. W La Venta odnaleziono ich sporą ilość. Jest tu na przykład zagadkowa płaskorzeźba przedstawiająca mężczyznę siedzącego z uniesionymi nogami we wnętrzu „Pierzastego Węża” – czegoś na kształt „maszyny latającej”. Plecy tego „pilota”, wygięte w łuk, dopasowują się do jajowatej „kabiny” „pojazdu-węża”. Jego głowę opina coś, co byśmy dziś określili słuchawkami zintegrowanymi z mikrofonem umieszczonym przy brodzie. W wyciągniętej ręce trzyma rodzaj torebki-wiadra, dobrze znanej też z wielu sumeryjskich przedstawień (tam dzierżą je w rękach brodaci, rybio-kształtni lub o ptasich głowach kapłani uosabiający Anunnakich-Apkallu). Staram się być bezstronny i racjonalny, ale tej dziwnej sceny nie potrafię inaczej zinterpretować. Zresztą nie tylko ja, bo również G. Hancock, który nie jest przecież zwolennikiem paleoastronautycznej teorii. Obaj nie wiemy, czym była i do czego służyła ta zagadkowa torebka-wiadro, mogę jedynie zakładać, że jako liturgiczne naczynie używano jej do odprawiania ceremoniałów związanych z kultem świętej wody, a więc odradzania życia. Natomiast, co oznaczają widniejące nad głową „pilota” krzyże (znane też ze sztuki egipskiej i scen rzeźbionych w Tiahuanaco w Andach) nie mam bladego pojęcia. Inna płaskorzeźba – wysoka na cztery metry, szeroka na dwa i gruba na metr – upamiętnia spotkanie dwóch dostojników. Figura jednego z nich jest całkowicie zniszczona, druga postać pozostała nietknięta: *W sposób nie budzący najmniejszej wątpliwości przedstawia mężczyznę rasy kaukaskiej (armenoidalnej) z wysoko sklepionym nosem i długą falującą brodą*<sup>225</sup>. Inne znalezione stele przedstawiają mężczyzn z brodami o anglosaskich rysach – zdumiewa mnie to, bo przecież rdzenni mieszkańcy Ameryki Południowej z całą pewnością nie pasują do tych wizerunków. Wszystkie olmeckie dzieła: gigantyczne bazaltowe głowy, inne rzeźby figuratywne oraz stele zostały celowo zakopane w ziemi (podobnie jak świątynie w Gobekli Tepe). Czy w ten symboliczny sposób ich twórcy pochowali swoich antenatów?

Zarówno w La Venta, jak i w San Lorenzo Olmekowie zbudowali też gigantyczne, przeszło 30 metrowe, kopce-piramidy, które w przeszłości wchodziły w skład większych architektonicznych kompleksów. W tym drugim mieście zespół archeologów pod kierownictwem Coe’a dokonał kilku ciekawych odkryć, a wśród nich ponad 20 zbiorników na wodę, połączonych ze sobą siecią bazaltowych rynien. Zapewne był to przemyślny system wodociągów. W obu wymienionych miastach i w Tres Zapotes zespół Coe’a odnalazł też przepiękne miniatury z jadeitu, zdobione naczy-

<sup>225</sup> G. Hancock, *Ślady palców bogów*, AMBER, Warszawa 1997, s. 115.

nia, kunsztowną biżuterię i dziecięce zabawki w postaci psów na kółkach. Zaskakuje mnie to, bo przecież oficjalni badacze wciąż jeszcze uparcie twierdzą, iż zasady koła w Mezoameryce nie rozumiano.

## MIASTO, GDZIE LUDZIE STALI SIĘ BOGAMI

Według oficjalnej archeologii miasto Teotihuacan na Meksykańskiej Wyżynie zbudowała kultura Teotihuacan... I trudno się z tym nie zgodzić, choć niczego to nie wyjaśnia. Kiedy to miało miejsce? Kto to zrobił? Czy ci ludzie mieli jakieś związki z Olmekami?

Frankowska napisała: *Nazwa miasta, Teotihuacan, jest pochodzenia azteckiego i oznacza „miejsce, w którym ludzie stają się bogami”.* Lud, który zbudował Teotihuacan już dla Azteków był społecznością legendarną. Uważali oni, jak podają kronikarze hiszpańscy, że to wielkie miasto, leżące za ich czasów od dawna w gruzach, było dziełem olbrzymów, zwanych *quinametin*, żyjących przed pojawieniem się ludzi i zniszczonych w jednej z katastrof, jakie według wierzeń azteckich kolejno nawiedziły świat<sup>226</sup>. Wiadomo, że azteccy kapłani prowadzili w swoich centrach religijnych uczelnie zwane *celmecac*. Kształcono w nich wybrane elity przeznaczone do pełnienia najwyższych funkcji sakralnych i świeckich. Podobnie jak działo się to w Egipcie faraonów. W szkołach tych przekazywano między innymi wiedzę o prehistorii Meksyku. Część wiedzy uzyskanej od ostatnich absolwentów *celmecac* spisał kronikarz, Bernardino de Sahagun (1499–1590), franciszkanin. Od niego dowiadujemy się, iż twórcy kultury Teotihuacan:

*Przybyli tu wodą na swoich łodziach,  
licznymi gromadami  
i dobili do brzegu północnego.  
A miejsce, gdzie pozostawili swe łodzie,  
nazywa się Panutla,  
co oznacza „gdzie przychodzi się z wodą”.  
Dziś mówi się Panutla (Panuco).  
I natychmiast ruszyli brzegiem wody,  
szli, poszukując gór,  
gór o białych szczytach  
i gór dymiących.  
I wędrując tak brzegiem wody  
dotarli do Quauhtemalla (Gwatemala)<sup>227</sup>.*

<sup>226</sup> M. Frankowska, *Mitologia...*, op. cit., s. 38.

<sup>227</sup> Ibidem, s. 38, 39.

Drogę wskazywał im bóg Ometeotl („Pan dwoistości”). Najpierw dotarli do miejsca zwanego Tamoanchan, co znaczy „Szukamy naszego domu”. Żyli tu przez dłuższy czas. Potem ośrodek władzy przenieśli do Xomiltepec. Tam „Pan bliskości oraz sąsiedztwa” (jest to inne określenie Ometeotla) kazał wszystkim kapłanom, panom i starcom, żeby zarządzili dalszą wędrówkę w celu znalezienia świętej ziemi. Cały lud: kobiety, dzieci, mężczyźni i starcy wraz z inwentarzem, obładowani dobytkiem szli wolno, aż dotarli do Teotihuacan – celu wyznaczonego przez boga. Tu wybrano tych, którzy mieli tym świętym miejscem władać, *wybrano także mędrców i wróżów, i tych którzy znali tajemnice czarów. I po wyborze panów zaraz wszyscy wyruszyli stamtąd, każdy pan z ludem tego samego co on języka, a każdą gromadę prowadził jej własny bóg*<sup>228</sup>.

Jeśli wierzyć informatorom Sahaguna, przybyłe na łodziach ludy były liczne, składały się z wielu narodowości (według mitologii Azteków było to osiem plemion, być może zróżnicowanych etnicznie). Po ustanowieniu stolicy w Teotihuacan, grupy te rozproszyły się po całym kontynencie i stworzyły zręby cywilizacji w Andach oraz w Mezoameryce. Ciekawe czy z tych pierwotnych plemion wywodzili się też twórcy i architekci państwa założonego na terenach dzisiejszych meksykańskich stanów Veracruz i Tabasco, znanego jako kultura Olmeków?

Z całą pewnością możemy jednak stwierdzić, że położone około 50 kilometrów na wschód od obecnego miasta Meksyk Teotihuacan przez długie wieki (a może i tysiąclecia?) było dla wszystkich tutejszych ludów miejscem wyjątkowym, niezwykłym i świętym. Wszak to tu, według mitu, po śmierci czwartego słońca zebrali się bogowie i dzięki ich zbiorowym wysiłkom oraz poświęceniu narodziło się obecne – piąte słońce, a wraz z nim objawił się Quetzalcoatl – Pierzasty Wąż – twórca nowej rasy ludzi. Istot powstałych z wykradzionych przez niego kości, a także jego własnej boskiej krwi. Przechytrzył on podobno pana śmierci Mictlantecuhtli, gdyż wykrał ze świata podziemnego szczątki ludzi żyjących w minionych światach. W okresie późniejszym Quetzalcoatl objawił się ludziom pod postacią brodatego, białego i wysokiego mężczyzny, Wielkiego Mędrca – Nauczyciela prowadzącego cywilizacyjną misję wśród ludów piątej epoki.

*W latach 450–650 Teotihuacan osiągnęło największą świetność i ocenia się, że zaludnienie miasta zajmującego powierzchnię około 22 kilometrów kwadratowych mogło dochodzić do 125 tysięcy mieszkańców (późniejsze szacunki mówią nawet o 200 tysiącach). Do głównej ulicy przylegały niemal wyłącznie rozmaite świątynie i grobowce dygnitarzy. Święte miasto nie mogło być zamieszkiwane przez „zwykłych” obywateli, przynajmniej*

---

<sup>228</sup> Ibidem, s. 40.

w centralnej części<sup>229</sup> – napisał Jacek Walczak opierając się na ustaleniach uniwersyteckich badaczy. Mam spore wątpliwości co do precyzji tego datowania, ale zabytki świadczą niezbicie, iż była to prawdziwa metropolia. Oprócz obiektów sakralnych pobudowano tu rozległe kwartały domów należących do rzemieślników, kupców i urzędników oraz liczne pałace: Pałac Motyli, Pałac Jaguarów, Pałac Pierzastych Muszli i inne.

Centralną oś stanowi Aleja Umarłych (Miccaotli) o długości przeszło 2 kilometrów (jak twierdzi J. Walczak) lub 4 kilometrów (według oceny G. Hancocka). Na północy otwiera ją tzw. Piramida Księżycy, a na południu zamyka kompleks otoczony wysokim murem zwany Cytadelą, z górującą nad tym placem obłożoną blokami kamienia Piramidą Quetzalcoatl. *Na płaskich fragmentach ścian umieszczono na przemian wizerunki boga deszczu i wody – Tlaloca i boga Pierzastego Węża – Quetzalcoatl. Wolne powierzchnie uzupełniają cielska węży, ryb, muszli oceanicznych i innych symboli związanych z kultem wody*<sup>230</sup>. Dlatego można by ją także nazywać Świątynią Wody. Pomiedzy budowlami, po lewej stronie Traktu Umarłych (patrząc od strony Piramidy Księżycy) znajduje się największa z tutejszych piramid – Piramida Słońca.

G. Hancock zwrócił uwagę na zaskakujące zbieżności: *Podobnie jak w Gizie, w Teotihuacan wzniesiono trzy piramidy (...). Tak samo jak w Gizie, rozmieszczono je nie na planie symetrycznym, jak można by się spodziewać, lecz w układzie, gdzie dwie są ze sobą bezpośrednio związane (równoległą osią do tzw. Alei Umarłych), trzecia zaś wydaje się umyślnie przesunięta w jedną stronę. I wreszcie, wierzchołki Wielkiej Piramidy i Piramidy Chefrena są równe, choć ta pierwsza jest wyższa od drugiej. W Teotihuacan natomiast wierzchołek Piramidy Słońca znajduje się na tej samej wysokości co wierzchołek Piramidy Księżycy, choć ta pierwsza z budowli jest wyższa*<sup>231</sup>. W obu urbanistycznych układach wynika to z różnicy poziomów terenu, w obu też przypadkach wydaje się to zamierzonym zabiegiem. Wiemy również, co w precesyjnej skali 1:43 200 symbolizowała wysokość Piramidy Chufu w Re-setau (Gizie) – „bramie do zaświatów”. Z Piramidą Słońca w Teotihuacan – „miejsu, w którym ludzie stają się bogami” jest podobnie – w jej wymiary twórcy wpisali analogiczny matematyczny szyfr! Ponadto w przypadku piramidy Chufu, w której ściany nachylone są pod kątem 52 stopni, stosunek jej pierwotnej wysokości (146,73 metrów) do obwodu u podstawy (921,46 metrów) wynosi tyle samo, co stosunek promienia i obwodu okręgu, czyli 2 pi (bo stała pi to stosunek długości okręgu do jego średnicy, a wiemy,

<sup>229</sup> J. Walczak, *Aztekowie i tajemnica kalendarza*, Świat Książki, Warszawa 2006, s. 61.

<sup>230</sup> Ibidem, s. 61.

<sup>231</sup> G. Hancock, *Ślady...*, op. cit., s. 142, 143.

że promień koła jest połową jego średnicy). Ściany Piramidy Słońca w Teotihuacan nachylone są pod kątem 43,5 stopnia, jej wysokość to 71,2 metrów, suma długości jej boków liczonych u podstawy wynosi 893,9 metrów. Tu wzór  $2\pi$  nie ma zastosowania, ale gdy wartość wysokości tej piramidy wstawimy do wzoru  $4\pi$ , to uzyskamy właściwy rezultat:  $71,2 \times 4 \times 3,14 = 893,9$ . Wynika z tego, że jej wysokość jest połową promienia okręgu o długości równej sumie boków piramidy. Nie będę wyliczał skali, w której Piramida Słońca odwzorowuje wielkość naszej planety, ale matematyczne wymiary obu tych piramid (Chufu i Słońca), ich wzajemne podobieństwa z pewnością nie mogą być przypadkowe. Architektom obu tych budowli znana była wartość stałej  $\pi$ ... i kuliste oblicze Ziemi.

Dodam jeszcze, dla pełnej jasności, że piramidy w Mezoameryce często budowano w ten sposób, że na pierwotną budowlę nawarstwiano następną, potem kolejną – niczym rosyjskie matryoszki – mogły zawierać w sobie kilka wcześniejszych budowli. Piramida Słońca składa się, według szacunków archeologów, aż z pięciu takich warstw. Przy czym budowla najstarsza była ponoć najlepiej wykonana. Ukierunkowanie tej piramidy nie jest z pewnością przypadkowe – w dniach obu równonocy (20 marca i 22 września), w samo południe *przesuwające się na północ promienie słoneczne powodują stopniowe zanikanie idealnie prostego cienia biegnącego wzdłuż dolnej części zachodniej fasady. Proces ów trwa dokładnie 66,6 sekundy*<sup>232</sup>. Zatem była ona najprawdopodobniej również znacznikiem kalendarzowym.

„Droga Umarłych” (Miccaotli) została, jak się zdaje, z rozmysłem skierowana 15 stopni 30 sekund na wschód od geograficznej północy. Wielu badaczy przypuszcza, że rozmieszczenie tych trzech piramid i innych znajdujących się w Teotihuacan budowli było zamierzone. Prof. G. Hawkins twierdzi, iż oś Syriusz-Plejady może tu odgrywać kluczową rolę. Z kolei Hugh Harleston po przeprowadzeniu wszechstronnych analiz matematycznych uznał, iż miasto to zostało zaprojektowane jako precyzyjny model układu słonecznego. Ta hipoteza wydaje mi się trochę naciągana. Swoją teorię wysunął również Stansbury Hagar, sekretarz Wydziału Etnologii w brooklińskim Instytucie Nauki i Sztuki, który w osi Miccaotli – jej odchyleniu na wschód i powiązanych z nią świątynnych budowlach dopatrzył się odniesienia do Drogi Mlecznej. Wydaje się to całkiem sensowne z uwagi na fakt, że Drogę Mleczną dawne plemiona Mezoameryki utożsamiały z kosmicznym drzewem i Osią Świata – *Axis mundi*, a trzy piramidy: Słońca, Księżycy i Quetzalcoatlą, podobnie jak te w Gizie, nawiązują do trzech gwiazd Pasa Oriona.

Jeszcze inną ciekawą hipotezę przedstawił w 1971 roku Alfred A. Schlemmer, amerykański inżynier, specjalista od trzęsień ziemi. Według

<sup>232</sup> Ibidem, s. 148.

niego Miccaotli niegdyś była wypełniona wodą, która spływała ze śluz w Piramidzie Księżyca i Piramidzie Słońca, czyli cała Aleja Umarłych była szeregiem zbiorników refleksyjnych. Jeśli tak, to widok centrum tego magicznego miasta musiał zapierać dech w piersiach.

Podczas wykopalisk prowadzonych w latach siedemdziesiątych XX wieku natrafiono w Teotihuacan na intrygującą osobliwość: *Świątynia Miki znajduje się w grupie budynków rozmieszczonych wokół patio położonego około trzystu metrów od zachodniej ściany Piramidy Słońca. Pod podłogą z ciężkich płaskich kamieni archeolodzy z Fundacji Vikinga natrafili na dwie okazałe warstwy miki umieszczone tam bardzo dawno przez kogoś, kto doskonale opanował obróbkę tego materiału. Mają powierzchnię dziesięciu metrów kwadratowych i znajdują się bezpośrednio jedna nad drugą*<sup>233</sup>. W latach późniejszych warstwy miki znaleziono również w kilku innych świątynnych budowlach, w tym w Piramidzie Słońca. W pobliżu Teotihuacan występują pokłady miki, ale te odkryte przez archeologów warstwy utworzono z niewystępującego w sąsiedztwie rodzaju surowca. Najbliższe pokłady wykorzystanej w tych budowlach miki znajdują się w oddalonej o aż 3000 kilometrów Brazylii. Z jakiej przyczyny zadano sobie trud sprowadzenia tego surowca z tak odległego miejsca, no i ułożenia go pod podłogą świątyni? Współcześnie wykorzystuje się właściwości chemiczne miki do budowy kondensatorów, a także rozmaitych izolatorów termicznych oraz elektrycznych. Mika jest także spowalniaczem w reakcjach jądrowych. I tylko tyle mogę stwierdzić na ten temat.

Jeszcze większą konsternację wzbudziło odkrycie dokonane przez zespół archeologów pod kierownictwem Sergio Gomeza w kwietniu 2015 roku. Otóż pod podstawą Piramidy Słońca znaleźli nie tylko korytarze i jaskinie kryjące wiele cennych terakotowych artefaktów, ale też w centrum tego podziemnego kompleksu odkryli zbiornik płynnej rtęci! Warto dodać, że rtęć w stanie ciekłym nie występuje w naturze, że się ją wyodrębnia w skomplikowanym procesie produkcji, w wysokich temperaturach, z minerału zwanego cynober. Jest to pierwiastek silnie toksyczny i nadprzewodnik (pierwszy z odkrytych). Jako nadprzewodnik ma rtęć taką specyficzną właściwość, że schłodzona do odpowiednio niskiej temperatury, umieszczona w elektromagnetycznym polu unosi się w powietrzu – lewituje. Trudno doprawdy odpowiedzieć na pytanie: czy jezioro rtęci umieszczono pod Piramidą Słońca po to, żeby jej toksyczne opary zabezpieczały przed złodziejami zgromadzone tam skarby, czy raczej w związku z jej nadprzewodnikowymi lub innymi właściwościami?

---

<sup>233</sup> Ibidem, s. 147.

Dwa lata wcześniej (w maju 2013 roku) ten sam zespół archeologów odkrył pod Piramidą Pierzastego Węża korytarz, którego strop, ściany i podłogę zdobiły setki drobnych, metalicznych, nieregularnych kulek o średnicach od 2,5 do 13 centymetrów. W świetle połyskiwały złościście niczym rozgwieżdżone niebo. Wykonano je z gliny pokrytej pirytem. Jest to niewątpliwie jeszcze jeden dowód na wysoką chemiczną wiedzę oraz poziom technologicznego rozwoju Teotihuacan.

Suma tych wszystkich najnowszych odkryć – warstwy miki, jezioro rtęci, pirytowe kulki – może prowokować do snucia rozmaitych, nawet bardzo daleko idących wniosków. Nie dziwi mnie więc, że w przekonaniu zwolenników teorii o starożytnych astronautach to mezoamerykańskie miasto pełniło funkcję bazy obcej cywilizacji i/lub elektrowni produkującej energię elektromagnetyczną dla statków powietrznych. Te domysły wzmacnia fakt, że w pobliżu Piramidy Słońca stwierdzono także ślady gwałtownego pożaru, być może wywołanego przez eksplozję, choć uniwersyteccy naukowcy twierdzą, iż miasto to zostało spalone przez barbarzyńskie plemię Chichimeków w połowie VIII wieku n.e. To oczywiście tylko dwie z możliwych wersji zdarzeń. Ja skłaniam się do scenariusza ostrego konfliktu na szczytach władzy, czyli wewnętrznej rebelii – ostrej walki elit o wpływy i znaczenie. Ta hipoteza wydaje mi się najbardziej prawdopodobna również z tego powodu, że koczowniczy Chichimekowie byli przypuszczalnie przodkami plemienia Tolteków, a ci nie ośmieliliby się podnieść ręki na to najświętsze dla wszystkich ludów Mezoameryki miejsce: *Wszystkie następne społeczności zamieszkujące centrum Meksyku uznawały Teotihuacan za dzieło boskie i nigdy nie ośmieliły się sprofanować „miasta bogów”. Toltekowie i Aztekowie, którzy (potem) stworzyli prawdziwe imperia, skwapliwie wykorzystali zdobycze swoich „świętych” poprzedników*<sup>234</sup>. W Teotihuacan nie toczono wojen. Na zachowanych pałacowych freskach nie odnajdziemy batalistycznych scen, a nieliczne wizerunki uzbrojonych wojowników są przypuszczalnie portretami myśliwych. Teotihuacan, podobnie jak egipska Giza, nigdy nie posiadało fortyfikacji, bo ich najzwyczajniej nie potrzebowało. Do jego obrony przez długie wieki (a może nawet tysiąclecia) wystarczał boski, bezdyskusyjny autorytet tutejszych władców.

## AVATAR QUETZALCOATLA

Koczowniczy lud wojowniczych Chichimeków zawojował (podobno w okresie 650–900 n.e.?) tereny przynależne do imperium Teotihuacan.

<sup>234</sup> J. Walczak, *Aztekowie...*, op. cit., s. 62.

W pierwszych latach po tym podboju zwycięzcy nauczyli się od miejscowej ludności zarówno rzemiosła, jak i sztuki budowlanej, a że okazali się bardzo pojętni, wielu z nich zasłużyło na zaszczytny przydomek *toltecas*, co tłumaczy się jako: „rękodzielnik” lub „artysta”: *Po dłuższym pobycie w zrujnowanym Teotihuacanie, który stracił bezpowrotnie dawną świetność, Chichimekowie, już jako Toltekowie, opuścili miasto w poszukiwaniu innych siedzib. Dotarli wówczas do Tullantzingo, gdzie żyli przez wiele lat, „czego świadectwem – jak pisze Sahagun – liczne ślady ich obecności i świątynia, zwana Uapalcalli. Stamtąd znowu wyruszyli i osiedlili się na brzegu rzeki, obok osady Xicocotitlan, która teraz nazywa się Tula”*<sup>235</sup>. Ich mityczna stolica Tula znana również pod wcześniejszą nazwą Tollan, nieco później zyskała przydomek Mamenhi – „miasto o wielu mieszkańcach”. Wychowankowie tolteckiej uczelni poznali reguły astronomii i innych nauk, posiedli również biegłość w przyrodolecznictwie i magii. Niewykluczone, że stało się to za sprawą ich pierwszego wodza – Wielkiego Nauczyciela pochodzącego z Teotihuacan, boskiego władcy – Quetzalcoatl. Azteccy informatorzy Sahaguna twierdzili, że:

*Toltekowie byli mędrkami (...)  
to, co czynili było wspaniałe,  
niezwykłe cenne, godne uznania.  
Toltekowie byli mędrkami,  
prowadzili rozmowy z własnym swym sercem,  
dali początek rachubie roku  
rachubie dni i przeznaczeń (...)  
Toltekowie byli mędrkami,  
mieli wiedzę pełną doświadczenia o gwiazdach,  
które znajdują się na niebie.  
Nadali każdej imiona.  
Znali ich wpływ.  
Wiedzieli dobrze, jak się porusza niebo,  
jakie robi obroty,  
to wiedzieli po ruchach gwiazd.  
Uważnie troszczyli się o sprawy boskie,  
a mieli tylko jednego boga,  
uważali go za jedyne boga,  
jego wzywali,  
do niego zwracali prośby,  
a imię jego Quetzalcoatl*<sup>236</sup>.

<sup>235</sup> M. Frankowska, *Mitologia...*, op. cit., s. 65, 67.

<sup>236</sup> Ibidem, s. 72, 73.

Pierzasty Wąż (Quetzalcoatl) – kapłan i wódz – ziemskie wcielenie tego boga, w azteckich legendach przedstawiany jest jako: *biały człowiek o krzepkiej budowie ciała, z szerokim czołem, dużymi oczami i falującą brodą, który przybył z morza w łodzi płynącej bez wiosel*<sup>237</sup>. U Tolteków uzyskał nadrzędną pozycję porównywalną jedynie do tej, jaką cieszył się Horus w Egipcie. W Tuli jego lud ufundował mu wspaniałą świątynię ustrojoną różnobarwnymi kamieniami, jaspisem, morskimi muszlami oraz piórami rzadkich gatunków ptaków. Od informatorów Sahaguna wiemy, że ów mityczny przywódca był wielkim mędrce i mistykiem:

*(...) Quetzalcoatl wzywał i czynił swym bogiem  
tego, który znajduje się w głębi niebios,  
przyzywał tę w spódnicy z gwiazd i tego,  
który przydawał blasku rzeczom,  
Panią naszego ciała, Pana naszego ciała,  
tę, która ubrana była w czerń i tego,  
który okryty był czerwienią,  
tę, która nadaje stałość ziemi  
tego, który jest działaniem na ziemi.  
I tam, jak wiadomo,  
kierował swe słowa,  
do Miejsca Dwoistości (Omeyocan),  
do dziewięciu sfer  
z jakich składa się Niebo (...)  
I jak wiadomo,  
wzywał tego, który tam miał siedzibę,  
do niego kierował prośby  
żywąc w odosobnieniu, oddany rozmyślaniom*<sup>238</sup>.

Mniej więcej w roku tysięcznym n.e. na jukatańskiej scenie pojawił się wojowniczy lud Itza utożsamiany przez wielu badaczy z Toltekami. Toltecy-Itza przybyli na tereny dawnego imperium Majów z odległej o około 1300 kilometrów Tuli. Podobno to Quetzalcoatl, we własnej osobie, prowadził ich na podbój Jukatanu. Badacz majańskich mitów, biskup Landa, tak pisał na ten temat: *Wśród Indian panuje przekonanie, że ludem Itza, który zajął Chichen Itza, dowodził wielki władca, imieniem Kukulcan, a główna budowla, nazywana jego imieniem, potwierdza to (chodzi o El Castillo, czyli Świątynię Kukulkana). Mówili, że nadszedł z Zachodu; różnią się jednak w opinii co do tego, czy przybył przed plemieniem Itza, czy po nim, czy też wraz z nim. Mówią, że był życzliwie usposobiony, że nie*

<sup>237</sup> G. Hancock, *Zwierciadło...*, op. cit., s. 18.

<sup>238</sup> M. Frankowska, *Mitologia...*, op. cit., s. 81, 82.

*miął żony ani dzieci, i że po swoim powrocie uważany był w Meksyku za jednego z ich bogów i nazywany Quetzalcoatlem; również na Jukatanie uważano go za boga, gdyż był wzorem męża stanu, co uwidaczniało się w porządkach, jakie zaprowadził na Jukatanie po śmierci panów (czyli po obaleniu przez Itza rządów Majów), w celu uspokojenia niezgody, jaką ta śmierć (poprzednich władców) wprowadziła w kraju<sup>239</sup>. To jemu Toltekowie-Itza zawdzięczali swoje zwycięstwa i rozwój, to dla niego założyli nową stolicę w Chichen Itza, i ku jego chwale wzniesli w niej wspaniałą świątynię-piramidę. Po jej balustradzie w dniach przesilen letniego oraz zimowego, „schodzi” z nieba na ziemię świetlisty wąż symbolizujący tego boga. W panteonie Tolteków-Itza również zajmował najwyższą pozycję mimo, że miał przecież ludzkie ciało, a inni ich bogowie byli bezcieleśni. Przypomnę, że azteckie opisy przedstawiają Quetzalcoatla-Kukulcana jako brodatego mężczyznę o jasnej skórze (wypisz wymaluj sumeryjski Anunnaki): *W czasie swoich rządów podróżował on podobno po całym kraju, szerząc zasady tolerancji i poczucia sprawiedliwości wśród swoich poddanych, którzy otaczali go uwielbieniem. Inne źródła natomiast podają, że jego potęga opierała się na wręcz przeciwnych podstawach i że zasłynął z czynów wojennych i terytorialnych podbojów<sup>240</sup>. Tak czy siak Chichen Itza stało się w owym czasie centrum politycznej dominacji ludu Itza na cały półwysep Jukatan. A potem?**

Potem tajemniczy bóg, władca, wódz, mędrzec, nauczyciel, kapłan i prawodawca Quetzalcoatla-Kukulcan uciekł z Doliny Meksyku wygnany przez zazdrosnych bogów wojny. Według legend, to jego humanistyczne poglądy – sprzeciw wobec składania ofiar z ludzi – stały się zarzewiem ostrego sporu z trzema potężnymi magami, których wychowankowie azteckich uczelni określili jako „nigromantów” (ciekawe czy z powodu ich koloru skóry?). Spiski owych kapłanów-czarowników miały doprowadzić do upadku Quetzalcoatla-Kukulcana oraz do jego śmierci na *niebiańskim brzegu boskiej wody*<sup>241</sup>. Mówiono też, że zniknął w morzu koło Veracruz. Inni twierdzili, że odleciał w niebiosa i zmienił się w gwiazdę poranną, a jeszcze inni są zdania, że nikt go nie wypędził, że odszedł z własnej woli drogą prowadzącą na Wschód i zniknął na brzegu Coatzacoalco, bo był zniechęcony tym, że tak mało dobrych owoców przyniosły ludziom jego nauki. Obiecał jednak (jak wielu bogów przed nim), że kiedyś powróci.

Po jego odejściu (wiemy to z historii), Toltekowie-Itza i ich następcy – Aztekowie, nie mieli już żadnych oporów, żeby na licznych kamiennych

<sup>239</sup> C. Gallenkamp, *Majowie*, PWN, Warszawa 1968, s. 227.

<sup>240</sup> Ibidem, s. 228.

<sup>241</sup> Ibidem, s. 93.

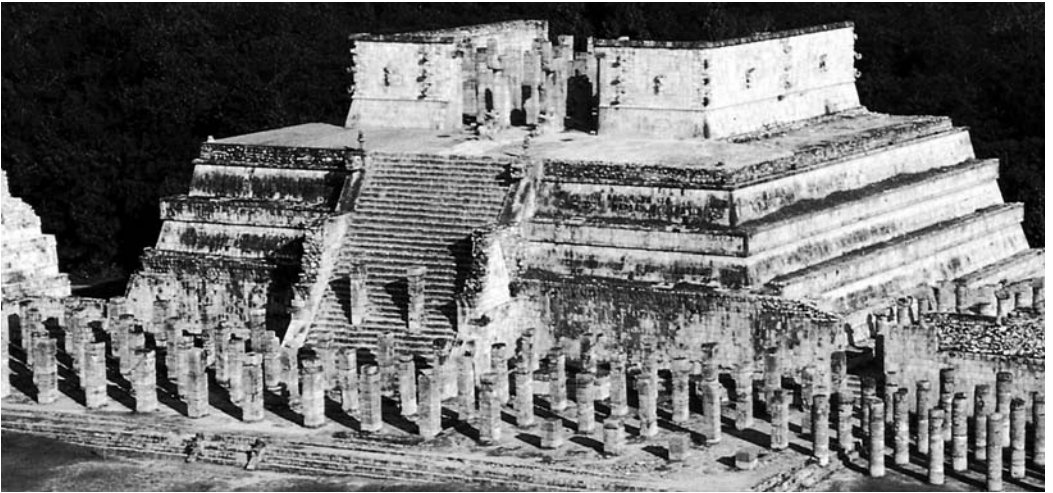
ołtarzach świątyń składać bogom ofiary z ludzi. Kultywowali te bestialskie rytuały systematycznie, często, z byle powodu i na masową skalę, z niewątpliwym sadystycznym upodobaniem i okrucieństwem.

## PODOBIENSTWA WYOBRAŻEŃ I WIERZEŃ

Myślę, że już dziś istnieje wystarczająca ilość dowodów i poszlak, by z przekonaniem twierdzić, iż zamorscy imigranci wkrótce po swoim przybyciu wprowadzili w Ameryce Środkowej oraz Południowej system rządów opartych na astronomicznej teokracji, znany nam bardzo dobrze ze starego kontynentu. Pierwotną siedzibą ludzi-bogów było Teotihuacan z Piramidą Słońca – kolejnym mitycznym „prapagórkiem” umieszczonym w centrum tego świętego miasta oraz kultu. Mezoamerykański panteon bogów zadziwiająco podobny jest do sumeryjskiego i egipskiego. Tu odpowiednikiem Anu i Atuma-Re (bogów obecnych, choć ukrytych) jest bóg stwórca Ometeotl, „Pan dwoistości” określany też jako „Pan bliskości i sąsiedztwa”, jak tamci ukryty i niewidoczny. Parę boskich antagonistów – Enkiego i Enlila lub Ozyrysa i Seta zastąpili tu bogowie o podobnych cechach: światły i miłujący ludzi Quetzalcoatl („Upierzony Wąż”) oraz wszechwładny i bardzo przebiegły Tezcatlipoca, posiadający przydomek „Dymiące Zwierciadło”, ponieważ potrafił przenikać przyszłość. Według rozmaitych teogonii potężny i zły Enlil pokonał miłosiernego Enkiego, a zazdrosny Set zabił miłującego rodzaj ludzki Ozyrysa. W Mezoameryce było podobnie: Tezcatlipoca (dzięki podstępnyim fortelom) przegnał, a potem zdręczył Quetzalcoatla. W starożytnym Egipcie faraonowie za życia byli awatarami Horusa, natomiast po śmierci Ozyrysa. W Ameryce Środkowej też najwięksi królowie i kapłani uosabiali boga Quetzalcoatla, przez Majów nazywanego Kukulcanem. Zarówno na starym kontynencie jak i w nowym świecie bogom-królom towarzyszyli niezwykli doradcy. Myślę, że na koniec warto również przypomnieć o egipskim: *pierwotnym jaju zawierającym „Ptaka światła” lub o lotosie z początków, który zrodził Dziecko-Słońce, czy wreszcie o pierwotnym wężu pierwszym i ostatnim obrazie boga Atuma*, o których wspominał Eliade. I tu, i tam praktycznie identyczna symbolika – latające węże, świetliste ptaki, boskie Słońce... Doprawdy trudno zaprzeczyć, że te wszystkie kosmogonie i oparte na nich struktury władzy wywodzą się z tego samego ideowego źródła.



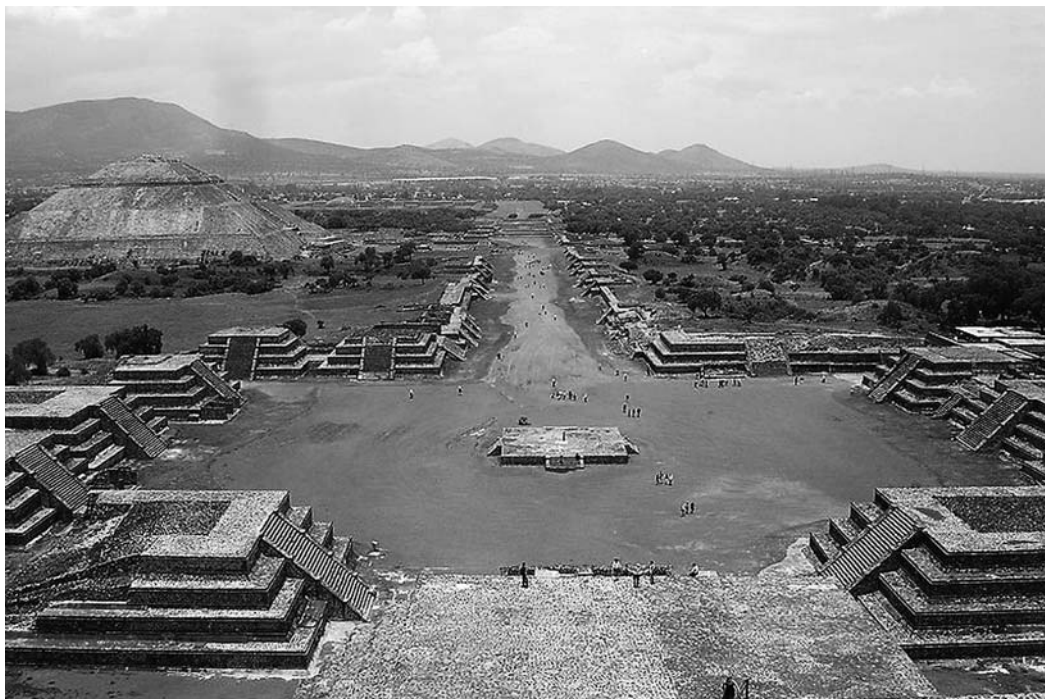
Przykładowe olmeckie bazaltowe głowy o wadze od 6 do 30 ton.



Świątynia Wojowników w Chichen Itza (Meksyk).



Olmecska jadeitowa figurka o rysach człowieka-jaguara trzymająca przed sobą pochodnię jako symbol statusu elity. Po prawej „Smoczy monolit” z La Venta przedstawiający postać ludzką we wnętrzu Pierzastego Węża.



Teotihuacan – miejsce, w którym zwykli śmiertelnicy stawali się bogami.

## XVII. *Wakah Chan*

Na granicy zachodniej dawnego królestwa Majów, w Meksyku na obszarze obecnego stanu Chiapas, leżą ruiny imponującego rozmiarami miasta Palenque, jednego z najważniejszych ośrodków religijnych oraz centrów kulturowych okresu klasycznego majańskiego imperium. Prace wykopaliskowe rozpoczęto tam w roku 1923. Archeolog Alberto Ruz Lhuillier przybył do Palenque dwadzieścia dwa lata później, aby zastąpić przedwcześnie zmarłego kierownika ekipy archeologów – Miguela Fernandez. Niemal od początku skupił się na badaniu intrygującej go Świątyni Inskrypcji – wspartej budowli stojącej na szczycie przeszło 20 metrowej piramidy. W jej posadzce zaciekała go kamienna płyta. I słusznie, bo, jak się okazało, przykrywała ona wejście do korytarza prowadzącego w dół, szczelnie zasypanego kamiennym gruzem. Zespół archeologów cztery lata przebijał się w trudzie przez 20 metrową ścianę głazów związanych wapienną zaprawą. Najpierw schodami tego wąskiego korytarza dotarli do kamiennej skrzyni. Znaleźli w niej ozdoby z jadeitu, paciorki, wisiorki, kolczyki, guziki, dwa pięknie malowane duże talerze i piękną perłę o średnicy 1,25 centymetra. Po sforsowaniu kolejnego masywnego – 3,5 metrowego muru dotarli do kolejnej, tym razem zwykłej skrzyni. Okazała się trumną-sarkofagiem dla 6 ludzi. Późniejsze badania antropologiczne ich szczątków wykazały, iż zmarli w młodym wieku. Archeolodzy uznali, że były to szkielety ofiar złożonych po to, by ich duchy strzegły spokoju osoby, dla której tę piramidę wzniesiono. W ogromnych emocjach ekipa Ruza pracowała dalej. Przedarli się przez następny sklepiony korytarz ze schodami. Na jego końcu był mur, a w nim tkwił gigantyczny głaz. Po jego wykruszeniu ukazał się ich oczom trójkątny otwór prowadzący do zatopionej w mroku komnaty. Lhuillier zajrzał do wnętrza. Gdy jego wzrok oswoił się z ciemnością oniemiał z wrażenia. Później tak opisał swoje doznania: *Z mglistych mroków wyłoniła się wizja baśniowa, fantastyczna feeria nie z tego świata. Jakby ogromna zaczarowana grota wyrzeźbiona w lodowej bryle, ze ścianami lśniącymi i połyskującymi, jak śnieżne kryształy. Delikatne girlandy stalaktytów zwieszały się jak frędzle od kotary, a stalagmity na podłodze wyglądały jak okap z wielkiej świecy. Całość robiła wrażenie opuszczonej kaplicy. Wzdłuż ścian widniały stiukowe*

*reliefy, na których kroczyły wyrzeźbione postacie. Potem oczy moje spoczęły na podłodze: była ona niemal całkowicie przykryta wielką rzeźbioną płytą kamienną, znajdującą się w doskonałym stanie. (...) Byliśmy pierwszymi ludźmi od przeszło tysiąca lat, oglądającymi ten fascynujący widok*<sup>242</sup>.

Ściany krypty ozdabiało 9 ludzkich figur wspaniale wymodelowanych w stiuku. Odkrywczy zorientowali się, iż zachwycająca płaskorzeźba-płyta zakrywająca podłogę spoczywa na dużym bloku kamiennym. Za pomocą lewarów wywindowali ją ostrożnie w górę (nie było to łatwe, bo długa na 3,8 m i szeroka na 2,2 m płyta ważyła 5,5 tony). Pod nią znaleźli kolejną – wewnętrzną, gładko wypolerowaną pokrywę o wymiarach 2,1 × 0,75 metra. Podnieśli również ją. 15 tonowy blok kamienny w środku miał wydrążoną niszę. Lhuillier pochylił się nad tym otworem: *Moje pierwsze wrażenie – to mozaika zieleni – czerwieni i bieli. Potem zauważyłem jak ułożony jest ten wzór: zielone ozdoby jadeitowe, malowane na czerwono zęby i kości szkieletu, i fragmenty maski. Spoglądałem w zmarłe oblicze tego, dla kogo wykonano całą tę zdumiewającą pracę, zasklepiono kryptę, wyryto rzeźby, zbudowano schody i wzniesiono ogromną piramidę ze świątynią na szczycie... Był to więc sarkofag, pierwszy sarkofag, jaki znaleziono w piramidach Majów*<sup>243</sup>. Z pewnością dokonał wtedy przełomowego odkrycia, z którego można było wywieść oczywistą analogię pomiędzy zwyczajami pogrzebowymi Majów i Egipcjan epoki faraonów, a przecież obie te kultury, oddzielone od siebie bezmiarem czasu i oceanem słonej wody, nic o sobie wiedzieć podobno nie mogły!

Rozmiar oraz kształt sarkofagu, a także to, że do komory prowadziło jedno tylko wejście przez wąskie, strome schody, oznaczało, że piramidę wraz ze świątynią wzniesiono już po wybudowaniu krypty. Przy zmarłym znaleziono liczne przedmioty z jadeitu: *pierścienie na każdym palcu, bransolety, kolczyki i pięknie rzeźbione figurki w kształcie kwiatów, małych tykw, głów węży i ludzkich postaci o cechach charakterystycznych dla niektórych bogów z panteonu Majów. Zmarły trzymał jadeitowe ozdoby w obu rękach, a także w ustach. Jego szyja i ramiona osłonięte były ogromnymi naszyjnikami z jadeitowych paciorków. Na twarzy widniały szczątki maski z jadeitowej mozaiki... Oczy maski były z muszelek, a tęczówki utworzone przez inkrustację skrawkami obsydianu*<sup>244</sup>. Wszystkie te ozdoby kontrastowo wyrysowywały się – bajecznie migotały i lśniły na tle pokrytego czerwonym barwnikiem wnętrza sarkofagu. Czerwień to krew, czyli życie, ale też barwa wschodu słońca, ożywczej energii – symbol odrodzenia,

<sup>242</sup> C. Gallenkamp, *Majowie*, PWN, Warszawa 1968, s. 164, 165.

<sup>243</sup> Ibidem, s. 169.

<sup>244</sup> Ibidem, s. 170.

zmarłychwstania. Yax – niebieskoturkusowy kolor jadeitowych figurek oraz ozdób – uosabia z kolei zieleń roślinności, lazur słodkich wód, błękit nieba. Dla Majów to barwa wieczności. Jadeitowy kamień w ustach zmarłego miał pomóc duszy króla w drodze do transcendentalnej krainy bogów.

Tożsamość majańskiego „faraona” udało się ustalić na podstawie odnalezionych hieroglifów dopiero ćwierć wieku później. Okazał się nim K'inich Hannab Pacal, syn królowej Zak Kuk, urodzony w 603 roku n.e. W wieku 12 lat wstąpił na majański tron i rządził w Palenque przez 68 lat. Z odnalezionych w tym mieście rzeźb portretowych wiemy, iż wyróżniał go nietypowy kształt nosa – jego grzbiet sięgał aż do szczytu czoła. Dla poddanych był to z pewnością widomy znak jego boskiej natury. Jeszcze ciekawszym odstępstwem od anatomicznej normy mógł się poszczycić jego syn, urodzony w roku 635 n.e., K'inich Kan Balam II (Wąż-Jaguar). Miał on sześć palców w jednej ręce i sześć w jednej stopie. Ten szczegół wydaje się intrygujący z uwagi na fakt, iż WSZYSTKIE ocalałe kamienne figury znalezione w Tiahuanaco mają również po 6 palców u nóg i rąk.

## KUKURYDZA, POJAZD LUB CEIBA

Rozpisuję się o Pacalu, ponieważ scena przedstawiona na pokrywie jego sarkofagu jest od lat przedmiotem niesłabnącego sporu pomiędzy archeologami, zwolennikami paleoastronautycznej teorii i wielu innymi badaczami. Ta mistrzowska płaskorzeźba tak jest intrygująca, że każdy postrzega ją według własnego uznania, widzi w niej to, co chce zobaczyć – to, co pasuje do jego hipotezy. Na przykład Henri Stierlin w książce „Majowie. Pałace i piramidy w dżungli” scenę z płyty sarkofagu Pacala opisał tak: *Na środku płaskorzeźby widać władcę Pacala unoszącego się w pozycji na wznak, lub tonącego w głębi, gdzie rozwarta paszcza świata podziemnego, przypominająca olmecką maskę jaguara, gotowa jest go pożreć. Ponad nim wznosi się święte drzewo Majów w kształcie krzyża, którego gałęzie przeobrażają się w stylizowanego smoka. Symbolizują one krew, ważny element w rytuale Majów i religii większości kultur prekolumbijskich. Na świętym drzewie siedzi ptak niebiański, będący jednocześnie wężem i bogiem. Nad skrzyżowanymi gałęziami drzewa wisi dwugłowy wąż. Z jego rozdziawionych paszczy wymykają się głowy dwóch bóstw*<sup>245</sup>. Nieco inaczej zinterpretował ją Charles Gallenkamp w książce „Majowie” (bazując na hipotezach Lhuilliera): *Na środku znajdowała się postać mężczyzny bogato ustrojonego klejnotami, w wyszukany nakryciu głowy,*

<sup>245</sup> H. Stierlin, *Majowie. Pałace i piramidy w dżungli*, MUZA S.A., Warszawa 1998, s. 80.

*opierającego się o coś w rodzaju tronu. Obok wznosił się wielki krzyż, którego ramiona utworzone były z dwugłowych węzów, na wierzchołku zaś umieszczony był pięknie upierzony ptak quetzal. Krawędzie płyty były pokryte hieroglifami odnoszącymi się do Słońca i Księżycy, jak również do planety Wenus i gwiazdy Polarnej*<sup>246</sup>. Lhuilliera intrygował motyw krzyża, ponieważ w pobliskiej Świątyni Krzyża i tzw. Świątyni Krzyża Liściastego odnaleziono również inne płaskorzeźby ten motyw zawierające. Odkrywca krypty sądził, iż jest to odniesienie do rosnącej kukurydzy, rośliny dla Majów szczególnie cennej. W 1953 roku w artykule zamieszczonym w specjalistycznym czasopiśmie *Archaeology* stwierdził: *Możemy zakładać, że scena ta oddaje syntezę podstawowych koncepcji Majów: cześć dla kukurydzy, rośliny, która do swego wzrostu wymaga pomocy człowieka, a w zamian go żywi; przeznaczeniem człowieka jest śmierć, a z jego ofiary powstaje życie wyobrażone motywem krzyża...; ścisłe powiązanie pomiędzy deszczem a rolnikiem; otaczające egzystencję człowieka kosmiczne ramy, w których gwiazdy rządzą niezmiennym biegiem czasu*<sup>247</sup>. Człowiek przedstawiony na reliefie, w przekonaniu Lhuilliera *wpatruje się żarliwie w krzyż, symbol kukurydzy, a tym samym symbol samego życia*<sup>248</sup>.

Wyznawcy paleoastronautycznej teorii widzą tę słynną płaskorzeźbę diametralnie odmiennie: jest ona dla nich najbardziej sugestywnym (ze wszystkich dotąd odkrytych) przedstawieniem astronauty siedzącego w pozycji motocyklisty na fotelu kosmicznego wehikułu. Jego pilot trzyma dłonie na drążkach oraz sterach, spogląda w skupieniu na przyrządy i wskaźniki skomplikowanego pulpitu sterowniczego. Lewą nogą wciska dzwignię gazu. Za plecami ma silnik z płataniną jakichś rur, cylindrów i agregatów. Z dysz wylotowych wydobywają się płomienie jak w chwili startu rakiety. Pojazd mknie przez kosmos ukazany metaforycznie przez gwiazdy i planety. Jego zwężony dziób kieruje się w niebo – wprost do Quetzalcoatl (Pierzastego Węża) – statku-bazy bogów-astronautów.

Dr inż. Wolfgang Volkrodt, alternatywny badacz, autor hipotezy zakładającej możliwość projektowania i konstruowania przez ludzi we wczesnej epoce brązu, silników parowych i napędzanych nimi urządzeń latających, również dopatrzył się w tym przedstawieniu elementów maszynierii. Według niego: *Trzy łoki napędzają ornitoskrzydła. Prawdopodobnie łoków tych było cztery, ale jednego nie przedstawiono na rysunku, bo nie znalazłby się na nim wtedy Pacal*<sup>249</sup>. Volkrodt na stronach swojej książki „Było zu-

<sup>246</sup> C. Gallenkamp, *Majowie*, op. cit., s. 166.

<sup>247</sup> Ibidem, s. 166.

<sup>248</sup> Ibidem, s. 167.

<sup>249</sup> W. Volkrodt, *Było zupełnie inaczej*, Wydawnictwo Prokop, Warszawa 1996, s. 117.

pełnie inaczej. Inteligentna technika w prehistorii” przeprowadził interesującą analizę porównawczą tej płaskorzeźby i dużo wcześniejszej, równie intrygującej steli Raimondiego przypisywanej kulturze Chavin de Huanter (Chavin), istniejącej w epoce Wczesnego Horyzontu (1400–400 p.n.e.) na północy górskich obszarów dzisiejszego Peru.

Nie podejmę się rozstrzygnięcia tych interpretacyjnych rozbieżności. Szczerze przyznam, iż nie potrafię w reliefie z Palenque dostrzec symboli krwi, krzyża ani wpisanej weń kukurydzy. Ktoś obdarzony techniczną wiedzą i wyobraźnią mógł oczywiście dopatrzeć się schematu jakiejś maszyny-cheruba przeznaczonej do latania albo kosmicznego pojazdu obcych, jednak w mojej ocenie centralną oś tej płaskorzeźby stanowi Wielka Ceiba (w czym zgadzam się ze Stierlinem), roślina dzikiej bawełny – Wakah Chan – „Kosmiczne Drzewo Świata”. Na jego wierzchołku siedzi Niebiański Ptak. Dodam, że Majowie zawsze w swojej sztuce umieszczali go na czubku Świętej Ceiby. Wiszące nad jej skrzyżowanymi gałęziami dwugłowe węże symbolizują niebiańskie istoty (u Majów słowo „chan” oznaczało zarówno „niebo” jak i „węża”). Według majańskich legend *Wakah Chan oddzieliło niebo i ziemię na początku stworzenia(...). Korona drzewa sięgała nieba, pień przecinał świat ziemski, a korzenie docierały w głąb świata podziemnego* (cytuję za B. Tuszyńską, autorką książki „Majowie”, wydanej w serii „Mitologie świata”). *W ten sposób nadprzyrodzona moc przepływała przez ceibę stanowiącą drogę komunikacji pomiędzy tymi trzema strefami. Z jednej strony dusze zmarłych udawały się tędy do krainy śmierci i dlatego też Majowie metaforycznie opisywali śmierć wyrażeniem „wstąpić na drogę”. Z drugiej strony tą samą drogą przybywały do ziemskiego świata bóstwa i dusze przodków przywoływane podczas rytuałów*<sup>250</sup>. Przypuszczam, że odkryty przez ekipę archeologów Lhuilliera wąski kanalik łączący kryptę – magiczną sztuczną jaskinię – Xibalbę, świat podziemny – ze świątynią na szczycie piramidy (pałacem bogów) służył kapłanom do przywoływania bezcennej duszy Pacala – boskiej pośredniczki między światami podziemnym, ziemskim i niebiańskim. Analogicznie jak to działo się z duszą Ozyrysa w Egipcie.

## WPŁYWY CZY KONWERCENCJA WYOBRAŻEŃ?

Henri Sterlin zwrócił uwagę na uderzające podobieństwa rozwiązań architektonicznych i artystycznych sztuki Majów do wysoko rozwiniętych kultur innych rejonów świata, z którymi nie mogli przecież (przynajmniej według większości uniwersyteckich badaczy) mieć żadnej styczności. Odkryte

<sup>250</sup> B. Tuszyńska, *Majowie. Mitologie świata*, NMC, Warszawa 2007, s. 30.

w dżunglach północnej Gwatemali i w południowo-wschodnim Meksyku rozległe miasta budziły ogromny zachwyt, ale wywoływały też u ich odkrywców sporą konsternację. Wielu z nich uważało, że *Majowie nauczyli się architektury od starożytnych Egipcjan lub Babilończyków. Na podstawie pewnych podobieństw między budowlami Majów i Khmerów w Angkor, jeszcze w latach pięćdziesiątych naszego stulecia przypuszczano, że to transoceaniczne kontakty wpłynęły na sztukę Majów. Dla obu wspólne są bowiem: sklepienia wspornikowe, świątynie ze schodami stawiane na wysokich piramidach i kamienne balustrady. Zaokrąglone trzony podpór pałaców jukatańskich formalnie zbliżone są do kolumn greckich, a reliefy ze scenami rytualnymi przypominają sztukę faraonów. Także osoby przedstawione w tych scenach zachęcają do porównań. Czyż dostojnicy na płasko-rzeźbach w Palenque do złudzenia nie przypominają dostojników z Memfis i Teb? W obu przypadkach nogi i twarze przedstawione są zwykle z profilu, plecy zaś frontalnie. Porównywalne są także gesty kapłanów oraz brak głębi przestrzennej, a także połączenie obrazu i hieroglificznych inskrypcji*<sup>251</sup>. Doskonale rozplanowanie kompleksów w Tikal, Chichen Itza, Mayapan, Uaxactun, Cerros, Copan, Nakum, Naranjo, Rio Azul, Altun Ha, Xultun, Palenque i w wielu innych świętych miejscach Majów, niewątpliwie świadczy o *długoterminowym planowaniu, którego ostateczna realizacja wymagała niekiedy wieków*<sup>252</sup>. Niemal wszystkie budowle miały charakter sakralny. Siedziby bogów budowano z największym pietyzmem i rozmachem, nie licząc się z kosztami, podczas gdy prosty lud gnieździł się w wilgotnych lepiankach lub prymitywnych szałasach. Czyż nie są to kolejne analogie do obyczajów rodem zza wielkiej wody? I tu, i tam władców czczono na równi z bogami. I tu, i tam struktury społeczne przybrały formę sztywnej teokracji. Wyłącznie kapłani mieli prawo porozumiewać się z bogami i ogłaszać ich wyroki. A te były bezdyskusyjne, bo święte.

Wiele podobieństw odnajdziemy też w wierzeniach. Panteon Majów jest liczny i zhierarchizowany. Na jego czele stoi stwórca świata, Hunab Ku; był on niewidoczny oraz zbyt zajęty, by osobiście angażować się w ziemskie sprawy. Natomiast wśród bogów niższej rangi poczesne miejsce zajmował syn stwórcy – Itzamnaah, wyobrażany jako bezzębny starzec o zapadłych policzkach i wydatnym nosie. Jemu przypisywano wynalazek ksiąg i pisma, dlatego nadano mu przydomek „skryba”. Był panem dnia, nocy i niebios, nazywano go więc też „władcą” i „mędrce”. Był uznawany za pierwszego kapłana i prawodawcę (zupełnie jak egipski Thot). Pojawiał się zwykle w towarzystwie bogini księżyca – Ixchel oraz boga kukurydzy.

<sup>251</sup> H. Stierlin, *Majowie...*, op. cit., s. 17.

<sup>252</sup> Ibidem, s. 52.

Uważano, że Itzamnaah rezydował zarówno w świecie niebiańskim, jak i ziemskim. Wiązany był z narodzinami, stworzeniem, ogniem, kukurydzą i drzewami, zwłaszcza z Drzewem Świata. Pojawiał się też pod postacią niebiańskiego ptaka Itzam Yeh – będącego prawdopodobnie awatarem (personifikacją) boga. Wizerunek niebiańskiego ptaka, zamieszkującego na koronie Drzewa Świata, pojawił się już na początku cywilizacji Majów<sup>253</sup>. Taki spersonifikowany wizerunek Itzamnaaha został przedstawiony na szczycie i na gałęziach Świętej Ceiby wyrzytych na pokrywie sarkofagu Pacala. Majowie wierzyli, że w dniu stworzenia świata (13.08.3114 roku p.n.e.) zostały ustawione trzy święte kamienie – Kamienne Trony, będące odpowiednikami trzech gwiazd z pasa konstelacji Oriona. Należały one do trzech bogów, którzy wtedy zstąpili na Ziemię. Jednym z nich był Itzamnaah. On również miał udział w stworzeniu z kukurydzy i boskiej krwi pierwszych czterech ludzi. Dodam, że wcześniejsza próba lepienia ich z gliny tutaj się nie powiodła. Lista pozostałych bogów (majańskich Anunnakich-Apkallu) jest długa. Znaleźli się na niej bogowie dobrzy, przychylni ludziom i niszczycielscy. Bogowie niebios, podziemi, śmierci oraz bogowie-wioślarze. Zwróciłem na tych ostatnich uwagę, bo przecież cywilizatorzy-imigranci przybyli tu licznymi gromadami na łodziach. Majowie, podobnie jak starsze od nich plemiona, wierzyli: że duszę czeka po śmierci niezmacona szczęśliwość lub też wieczne tortury, w zależności od uczynków człowieka za jego życia i od stopnia oddania dla ideałów religijnych<sup>254</sup>. Do Mintal (piekła) trafiali wszyscy niepokorni i nieposłuszni boskim przykazaniom (skąd my to znamy?), a więc i tu kapłani stosowali metodę kija i marchewki. W tej religijnej doktrynie, podobnie jak w sumeryjskiej, wyraźnie zapisano, że przeznaczeniem człowieka jest pokorna służba bogom.

## OBSESJA CZASU

Kapłani-astronomowie Majów mieli osobliwą obsesję na punkcie upływu czasu. Opracowywali kalendarze, obchodzili rocznice, obserwowali uważnie ruchy planet, gwiazd i konstelacji. Prawdopodobnie jako pierwsi (obok Hindusów) operowali pojęciem zera, które w Europie znane jest dopiero od średniowiecza. Rachuby prowadzili za pomocą systemu dwudziestkowego, który lepiej niż system dziesiętny sprawdzał się przy operowaniu wielkimi liczbami i dużymi przedziałami czasowymi. *Poprzez wielokrotne mnożenie za pomocą „baktun”* z (odpowiadającymi mu precesyjnymi liczbami)

<sup>253</sup> B. Tuszyńska, *Majowie...*, op. cit., s. 46.

<sup>254</sup> C. Gallenkamp, *Majowie*, op. cit., s. 140.

144 000 dni można było liczyć jednostkami 20 „baktun”,  $20 \times 20$  i tak dalej. Jeden „baktun” razy 160 000 ( $20 \times 20 \times 20 \times 20$ ) dawał jeden „alautun”, który odpowiadał czasowi 23 miliardów i 40 milionów dni, co daje nieco więcej niż 63 miliony lat. Takie wyobrażenie liczbowe byłoby niewątpliwie bardzo trudne dla Greków i Rzymian<sup>255</sup> (zauważył H. Stierlin). Ta metoda rachowania z pewnością dobrze by się sprawdziła w dzisiejszej astronomii do obliczania międzygwiazdnych lub nawet międzygalaktycznych odległości, ale Majowie przecież (podobno?) prowadzili tylko zwykłą rachubę lat, miesięcy i dni. Po co więc potrzebny był im system liczenia aż takich wielkości? Astronomowie z Chichen Iza, Copan i innych miast z VII wieku n.e., za pomocą dwóch skrzyżowanych prętów (w taki sprzęt pomiarowy, według archeologów, zaopatrzone były ich obserwatoria) dokonali pomiarów nieba, z których wynikało, że faktyczny czas trwania roku słonecznego wynosi 365,2420 dni. Według dzisiejszych obliczeń jest to 365,2422. Zaledwie dwie dziesięciotysięczne różnicy! Cykl przemieszczania się na niebie planety Wenus oszacowali na 584 dni. Faktycznie wynosi on 583,92 dni. Zatem różnica pomiarów to tylko 8 setnych! Podobnie z obiegami księżyca i innych ciał niebieskich. To najzwyczajniej NIEMOŻLIWE, by Majowie bez chronometrów, lunet astronomicznych i specjalistycznych przyrządów do mierzenia kątów dokonali tak precyzyjnych obliczeń. I nie przekonuje mnie tłumaczenie, że swoje obserwacje, także notatki prowadzili systematycznie przez setki lat, a potem wyciągnęli z nich arytmetyczne średnie.

Pod koniec VIII wieku n.e. Majowie osiągnęli szczyt swoich dokonań intelektualno-artystycznych. A potem? Potem zniknęli. Stało się to nagle – w ciągu jednego stulecia. Wszystkie ich miasta zostały opuszczone. *Opustoszały świątynie, z których uszli gdzieś ich strażnicy – kapłani, przestało dymić przed ołtarzami kadzidło z kopalu, zamilkło echo głosów na polach. Miasta jednak pozostały nienaruszone, nie dotknęło ich zniszczenie ani przemiany – wszystko trwało tak, jakby mieszkańcy mieli wkrótce tu powrócić*<sup>256</sup>. Tylko drzewa rozsadzały szpary piramid, tylko trawą zarosły boiska do rytualnej gry w piłkę, dżungla wdarła się na dziedzińce. Liany oraz gałęzie drzew opłoty kamienne stele i świątynie. *Ogromna cisza spowiła opuszczone osiedla i spłynęło na nie milczenie, z którego miały się już nie obudzić*<sup>257</sup>. Archeologia nie potrafi sensownie tego wyjaśnić.

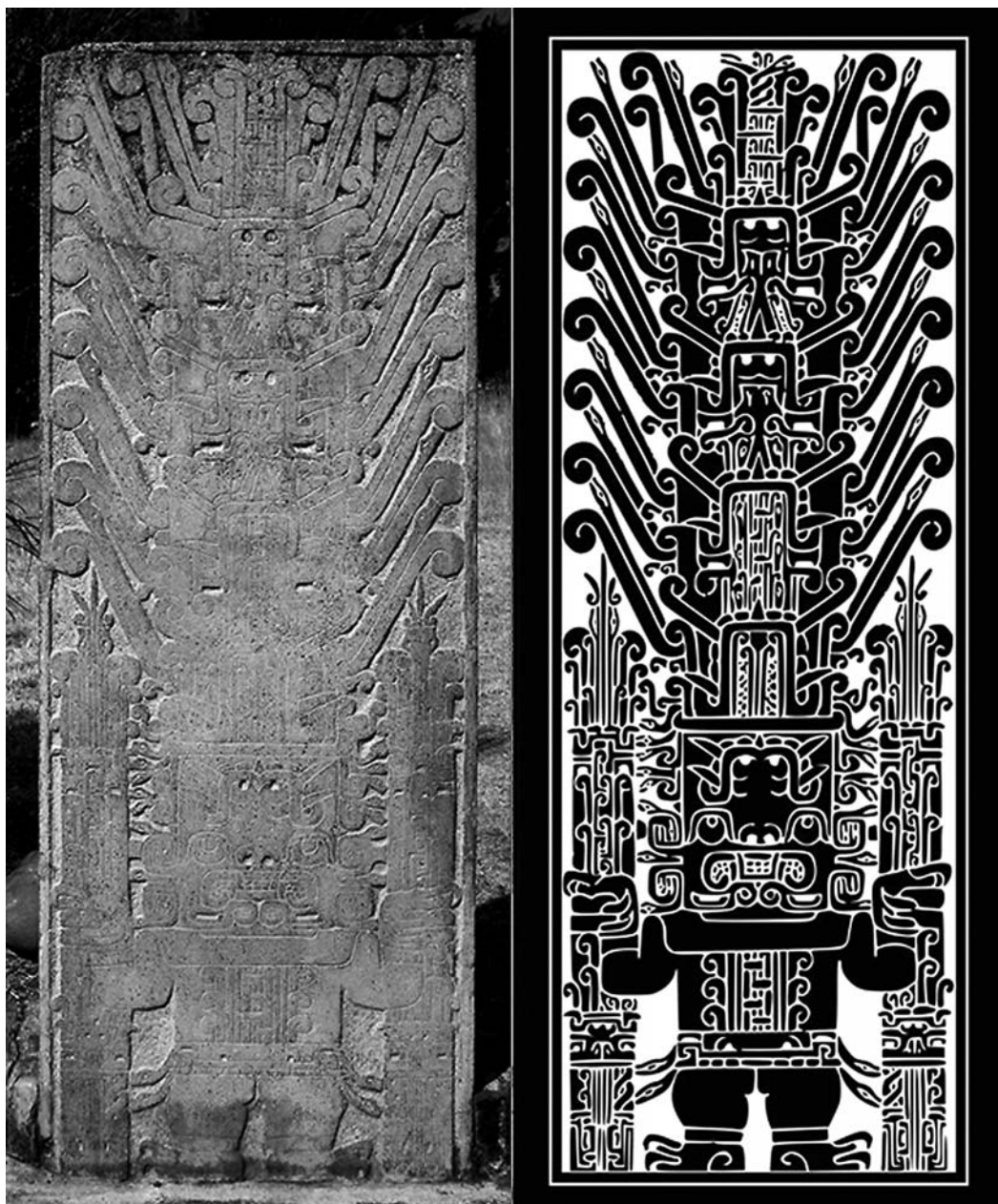
<sup>255</sup> H. Stierlin, *Majowie...*, op. cit., s. 65.

<sup>256</sup> C. Gallenkamp, *Majowie*, op. cit., s. 196.

<sup>257</sup> Ibidem, s. 196.



Odrys płaskorzeźby z płyty sarkofagu K'inicha Hannaba Pacala odkrytego w Palenque w krypcie pod piramidą zwieńczoną Świątynią Inskrypcji. Obok rzeźba głowy Pacala oraz jego jadeitowa maska pośmiertna.



Kultura Chavin de Huantar. Wizerunek boga-jaguara przedstawiony na „Steli Raimondiego” datowanej na okres Wczesnego Horyzontu (1400–400 lat p.n.e.).

## XVIII. Kuriozum

*To zdumiewające kuriozum leży na autostradzie panamerykańskiej, w odległości około pięciuset kilometrów na południowy wschód od Limy i osiemdziesiąt kilometrów od wybrzeża. Jest to płaska, bezwodna równina, położona wysoko ponad dwiema nawodnionymi dolinami, zamknięta podgórzem Kordyliierów Andyjskich. Równinę, Pampa de Ingenio, pokrywa cienka warstwa piasku i kamieni, która utleniła się na powierzchni, osiągając ciepłą brązową barwę. Pod warstwą piasku i kamieni o fakturze bezy znajduje się podłoże z białawego aluwium. Wystarczy, że przejdiesz się po pampie, a zostawisz białe ślady, które przetrwają całe wieki<sup>258</sup>... o ile ktoś ich nie zادةpcze! Pozwoliłem sobie na ten ironiczny wtęret do zacytowanego opisu płaskowyżu Nazca, autorstwa Bruce'a Chatwina, z tej racji, iż bodaj najstarsze z istniejących geoglifów, zaskakujące tematyką, rozmachem i stylem, przecięte panamerykańską autostradą, w żaden sposób niezabezpieczone przed zmotoryzowanymi tłumami turystów i samozwańczych artystów, współczesnych wandalii, znikają w błyskawicznym tempie pod pozostawianymi przez nich śladami tysięcy opon, butów i dorysowań.*

*Ta zagadka intryguje, bo przecież figury geometryczne współistnieją tu z przedstawieniami o charakterze figuralnym (najpewniej starszymi od tamtych). Oprócz figur geometrycznych znajduje się tam cały ogród zoologiczny, złożony ze zwierząt i ptaków, przypominających rysunki Steinberga na gigantyczną skalę. Jest tam wieloryb. Jest ptak guano, pelikan, koliber, inne nierozpoznawalne ptaki oraz ptak-fregata z rozciągniętą torbą pod dziobem. Jest pies. Jest czeplak amazoński z chwytnym ogonem wyciągniętym spiralnie w górę. Jest pajęk (gatunku „Ricinulei”, który kopuluje za pomocą tylnej nogi). Jest bezcielesna postać z samą tylko głową, a także kwiat – dziwna odmiana wodorostów, oraz bestia będąca skrzyżowaniem ptaka z wężem (Pierzasty Węz – Quetzalcoatl?). Jest też jaszczurka, której ciało przecina autostrada<sup>259</sup> – panamerykańska (znów sarkastycznie przypominam), niewętpliwie dzieło współczesnych drogowców. Na tej pustynnej*

<sup>258</sup> B. Chatwin, *Co ja tu robię*, PIW, Warszawa 2006, s. 100.

<sup>259</sup> Ibidem, s. 101.

równinie o powierzchni 300 kilometrów kwadratowych, z której usunięto tysiące ton czarnych kamieni wulkanicznych, stworzono liniami różnej grubości nieprzekraczającymi głębokości kilkunastu centymetrów, ponad 1000 geoglifów rozrzuconych bez widocznego planu. Większość z nich odnajdziemy między rzekami Rio Ingenio na południu oraz Rio Nazca na północy. Długość jaszczurki z przeciętym autostradą ogonem, to jakieś 200 metrów, kondor i pelikan od dziobów do ogonów mierzą po 130 metrów, pająk – 45, a koliber – 50. Trójkąty, romby i linie równoległe, kojarzące się kilku zwolennikom paleoastronautycznej teorii z pasami startowymi międzyplanetarnych wahadłowców, są zbliżonych rozmiarów. Ogon czepiaka (amazońskiej małpy) wspinającego się po jakichś schodach (schodkowej piramidzie?) przedstawiono w postaci spirali. Gdzie indziej jest coś na kształt spiralnej muszli, a jeszcze dalej (w pobliżu Pierzastego Węża) między ramionami wielkiego „cyrkla” narysowano kolejną spiralę oraz jakieś czworonożne, wydłużone zwierzę z krótkimi kończynami. Zwracam uwagę na motyw spirali, bo to przecież ważny symbol paleolityczny odnoszący się do kosmosu, charakterystyczny również dla sztuki megalitycznej. Jest to trop interpretacji równie dobry jak każdy inny. Na równinie Nazca nie ma wzniesień, z których te rysunki można by w całości objąć wzrokiem. A z poziomu wzrostu człowieka sprawiają wrażenie chaotycznej płataniny.

Najstarsze znalezione tu szczątki organiczne datowano na 350 rok p.n.e., ale geoglify są przypuszczalnie znacznie starsze. D. H. Childress, powołując się na opinię T. Morrisona napisał: *Stworzenie linii przypisuje się kulturze Nazca, ludu zaludniającego południowe wybrzeże Peru w latach 2350–1400 p.n.e. Archeolodzy są jednak zgodni co do tego, że nie była to pierwsza cywilizacja, jaka zamieszkiwała ten obszar*<sup>260</sup>. Nie wiem, skąd ten znany alternatywny badacz wzięł przytoczone datowanie, ale faktem jest, że większość tutejszych grobowców miejscowa ludność rozkopała czyli zdewastowała. Jeden z nielicznych, który udało się ocalić przed „hienami cmentarnymi”, odkryty w pobliskiej Chauchilla, pozwolił ustalić (na podstawie analizy szczątków), iż ostatni przedstawiciele tego ludu zmarli około 1200 lat temu.

Childress słusznie zwraca uwagę na fakt, że geoglify z płaskowyżu Nazca nie są zjawiskiem odosobnionym. *Symbole podobne do tych z Nazca można znaleźć pomiędzy Nazca i Pisco, a także w środkowych Andach w Chile, a nawet w tak odległych miejscach jak Kalifornia i Wyoming*<sup>261</sup>. Przykłady to wyryta w zboczu osamotnionej góry, na pustyni Atacama w Chile, duża figura dwunożnej istoty sprzed prawdopodobnie tysiąca lat.

<sup>260</sup> D. H. Childress, *Zaginione...*, op. cit., s. 33.

<sup>261</sup> Ibidem,, s. 33.

Uderzająco podobna do geoglifów z Nazca jest też 55 metrowa postać ludzka widniejąca na pustyni w pobliżu kalifornijskiego Blythe. Jeszcze wcześniejsze geoglify odnajdziemy w Ohio, w Australii, a także w Wielkiej Brytanii – „Długi Człowiek” z Wilmington, „Olbrzym” z Cerne wyciosany w kredowej skale, w Dorset, i kilka innych. Do tej kategorii niektórzy badacze zaliczają również słynny 250 metrowy „Kandelabr” andyjski, wykuty od strony morza na skalnej płaszczyźnie urwistych klifów półwyspu Paracas w Peru, w pobliżu miasta Paracas. Nie jest wykluczone, iż był to znak nawigacyjny dla żeglarzy, symbol wznoszącej się nad nim konstelacji Krzyża Południa.

## KORELACJE ASTRONOMICZNE I WYKOPALISKA

Znana badaczka geoglifów z Pampa de Ingenio (Równiny Nazca), Maria Reiche, przez pół wieku poszukiwała ich związku z matematyczną logiką i z rozgwieżdżonym niebem. W książce „Mystery on the Desert” wydanej w 1968 roku, niczego pewnego (z wyjątkiem niewiadomych) się nie doszukiwała: *Rysunki geometryczne kojarzą się z szyfrem cyfrowym, w którym te same słowa są raz napisane dużymi, a raz małymi literami. Liczne układy linii oraz kształty powtarzają się wielokrotnie w różnych rozmiarach. Wszystkie rysunki składają się z pewnej liczby elementów podstawowych (...).* Jaki to miał być szyfr i jakie wpisane w niego słowa? Nie wiadomo. Natomiast ta niestrudzona badaczka podważyła wszelkie spekulacje sugerujące, że część z linii równoległych mogła pełnić funkcję pasów startowych. Swoje stanowisko w tej kwestii wyraziła tylko jednym, za to dosadnym zdaniem: *Obawiam się, że kosmici by tutaj ugrzęźli*<sup>262</sup>.

Astronomiczne pomiary prowadzili w Nazca również bardziej od niej utytułowani astronomowie: znany z badań w Stonehenge, prof. Gerard Hawkins i dr Phillis Pitluga z Obserwatorium Astronomicznego Adlera w Chicago. Ten pierwszy żadnych korelacji astronomicznych w rysunkach się nie doszukiwał, natomiast drugi w rysunku pająka zobaczył konstelację Oriona, a łączące się z nim linie w formie strzały, jego zdaniem, mogły ewentualnie wskazywać pozycję trzech gwiazd Pasa Oriona.

Więcej ciekawych danych przyniosły badania gruntu i wykopaliska. Z testów przeprowadzonych przez niemiecki zespół archeologów wynika, że ziemia pod liniami jest tu dużo bardziej zbита niż poza nimi. Jak gdyby poddano ją naciskowi tysięcy stóp. Co skłania do przypuszczeń, że linie służyły do odbywania po nich rytualnych procesji. Był to więc najpewniej

<sup>262</sup> G. Hancock, *Ślady...*, op. cit., s. 39.

ośrodek pielgrzymkowy dla peruwiańskich ludów. Jak wiemy, pielgrzymki i procesje stanowią również obecnie istotny element obrzędowy wielu religii. Przypuszczalnie był to główny powód do rysowania tak wielkich figur – pielgrzymi nie musieli ich podziwiać, wystarczało, że wiedzieli od kapłanów, po której z nich się przemieszczają.

Amerykański archeolog Kevin Vaughn na liniach w Nazca oraz w ich pobliżu znalazł dużą ilość drobnych fragmentów potłuczonych naczyń ceramicznych i wiele oceanicznych muszli. Jest on zdania, że naczynia rozbijano tu celowo – rytualnie. Natomiast muszle, w jego ocenie, mogą świadczyć o tym, że odprawiane tu ceremonie w jakiejś mierze wiązały się z kultem wody. Dodam, że na tej spalonej słońcem, jałowej równinie, gdzie roczny opad obecnie nie przekracza 15 milimetrów deszczu, woda zawsze musiała być cenna. Domysły K. Vaughn’a wzmacnia odkrycie dokonane w pobliskiej Cahuachi, dużym świątynnym ośrodku – centrum pielgrzymkowym założonym 1700 lat temu, ze schodkową piramidą oraz budynkami przeznaczonymi dla kapłanów i rzemieślników. Archeolodzy ustalili, że wiele terakotowych naczyń znalezionych na całym południu Peru w promieniu setek kilometrów od Cahuachi, pochodziło z tej osady. Z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy zakładać, że pielgrzymi kupowali je jako cenne pamiątki z tego świętego miejsca. Podobnie jak czynią to współcześni pielgrzymi, przywożąc w specjalnych buteleczkach wodę z Lourdes. Na ocalałych naczyniach widnieją rysunki zwierząt wzorowane na geoglifach z Pampa de Ingenio, co tylko potwierdza tezę, iż uczestnicy ceremonialnych procesji doskonale wiedzieli, po obrysie której z figur się poruszają.

Wiele naczyń wyprodukowanych w Cahuachi znaleziono w Chavin de Huántar („świątyni zagłady”), innym kultowym ośrodku, oddalonym od Nazca o kilkaset kilometrów na północ. Jak się zdaje, oba te religijne centra były gałęziami tej samej kultury i religii.

## KULTURA CHAVIN DE HUANTAR

Jeszcze do niedawna była to nieprzenikniona zagadka. Skąd kultura ta się wzięła? Jaki lud ją stworzył? Kiedy to było? Szacunki dotyczące jej wieku są bardzo rozbieżne, oscylują w granicach od 1000 do 1500 lat p.n.e. Kilku badaczy alternatywnych sądzi, że jest nawet półtora tysiąca lat starsza.

Kultura Chavin de Huántar pojawiła się nagle, w pełni uformowana, na wysokim płaskowyżu w Andach peruwiańskich (3100 metrów n.p.m.), u zbiegu rzek Mosne i Wacheksa, w granicach obecnego departamentu Ancash w Peru, w niewielkiej odległości od Huaraz. Znajdują się tu ruiny

świątynnej Cytadeli, intrygujące stele z wyobrażeniami czegoś na kształt humanoidalnych jaguarów (słowo *chavin* oznacza w lokalnych językach jaguara) oraz kondorów (do tego wątku wróć w XX rozdziale). Wykuto tu także w skałach rozległy, podziemny kompleks grot połączonych ze sobą korytarzami na siedmiu idących w głąb poziomach (obecnie udostępnia się turystom tylko dwie najwyższe kondygnacje). W opinii D. H. Childressa: *Te ruiny można porównać tylko do podziemnych miast w Derenkuyu, w środkowej Turcji (...). Osobliwe ryty zdobią ściany, dziwaczne motywy widoczne podczas schodzenia do katakumb ciągną się pod ziemią przez kilkaset metrów*<sup>263</sup>. Można je pewnie też porównać do maltańskiego Hypogeum, które jest mniejsze, ale także kilkupoziomowe. Na stelach i kolumnach zespołu świątynnego przedstawiono wyobrażenia „latających bogów”. Na przykład jest tu ukazany: „człowiek-ptak z pyskiem pumy”, „uczułowiczona pierzasta puma” i „anioł ze zwierzęcym pyskiem”. (...) *ta ikonograficzna koncentracja symboli w postaci jednego bóstwa świadczy o tym, że jest to istota mająca władzę nad ludźmi, zwierzętami i roślinami, nad niebem i ziemią, nad wszystkim, co dzieje się w świecie*<sup>264</sup>. Tak opisał te obrazy peruwiański archeolog, F. Kauffmann Doig. I trudno jego interpretacji przeczyć. Bez wątplenia te hybrydy są niepokojąco groźne, władcze i wzbudzające respekt. Nie bez powodu miejsce to nazwano świątynią zagłady. Amerykański archeolog John W. Rick uważa, że w katakumbach Chavin de Huántar odbywały się obrzędy inicjacyjne oraz inne rytuały, w których istotną rolę pełnił wywar z kaktusa zwanego *San Pedro* – silny halucynogen, do dziś będący w użyciu tutejszych szamanów; napój ten jest im pomocny w duchowej podróży między obecnym, przeszłym i przyszłym światem – także światem wewnętrznym i zewnętrznym. Podobno poszerza stany umysłu, wzmacnia moc *paqo*, przynosi wizje, dzięki którym można kontaktować się z bogami i duchami przodków. Co ciekawe – kaktus *San Pedro* był na tyle cenny, że został uwieczniony na dziełach zarówno w Chavin jak i na jednym z rysunków płaskowyżu Nazca. I tu, i tam był też rytualny zwyczaj rozbijania naczyń. W Chavin istniała służąca do tego celu kamienna studnia. John W. Rick przypuszcza, że naczynia mogły być wypełnione wywarem z tego halucynogennego kaktusa – jako darem dla bogów. Odkryto też tu (podobnie jak w Nazca) muszle oceaniczne tego samego gatunku. Zbieżności stylistyczne steli i innych dzieł sztuki z ośrodka w Chavin z wyrytymi w warstwie białego aluwium rysunkami z Pampa de Ingenio są na tyle wyraźne, że śmiało można zaryzykować tezę, iż są to

<sup>263</sup> D. H. Childress, *Zaginione...*, op. cit., s. 315.

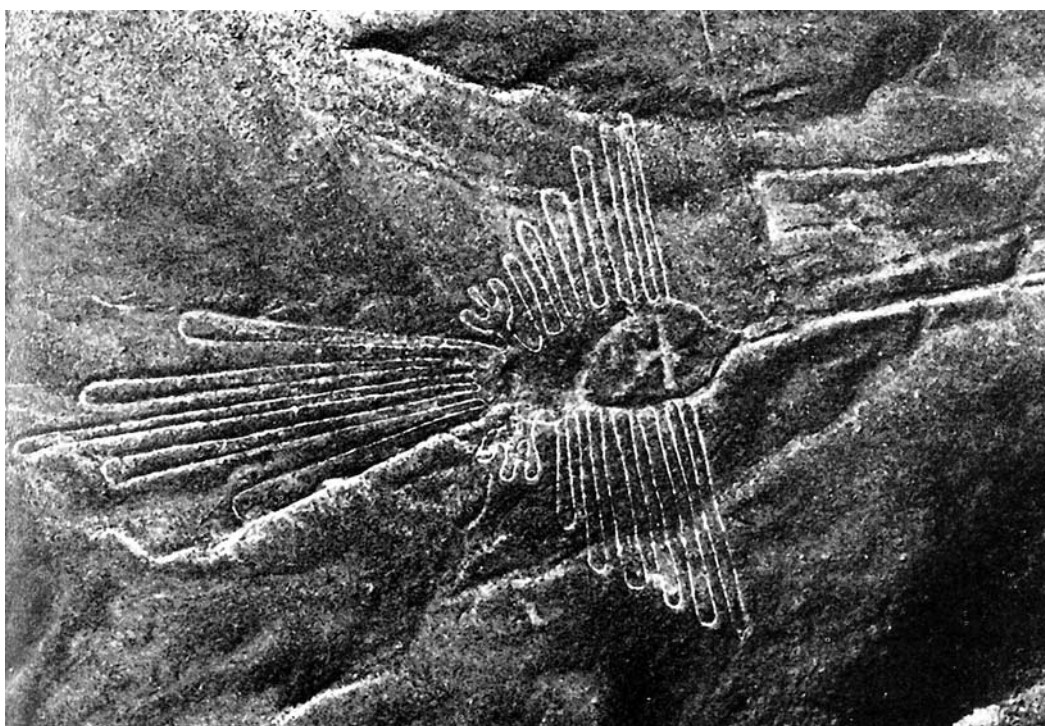
<sup>264</sup> W. Volkrodt, *Było zupełnie...*, op. cit., s. 55, 57.

centra religijne należące do tej samej kultury. Pozostaje pytanie: kto i kiedy ją zapoczątkował?

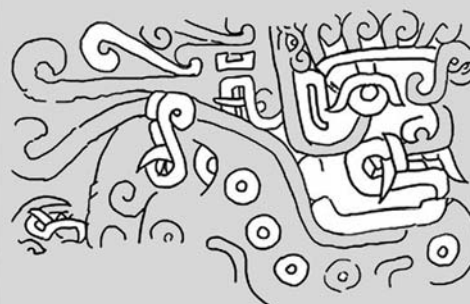
Jak już nadmieniałem, w Nazca pośród 1000 geoglifów znajdziemy duży atlas zwierząt. Na przykład wieloryba, również czepiaka z odległej amazońskiej dżungli, 18 gatunków ptaków żyjących w różnych rejonach Mezoameryki, a nawet bardzo rzadkiego pająka z gatunku *Ricinulei* oraz wiele geometrycznych struktur. Na tej podstawie można zakładać, że twórcy tych dzieł byli osobami inteligentnymi, którzy kawałek świata zwiedzili i jakieś pojęcie o zoologii oraz geometrii mieli, a także o przenoszeniu szkiców na wielokrotnione do setek metrów skale (zapewne za pomocą miar ze sznurów i kołków drewnianych). Można powiedzieć, że dobrze opanowali zasady planowania i geodezji. W świetle dotychczasowych badań trudno jednoznacznie stwierdzić, czy w tych rysunkach mogą być zawarte jakieś cyfrowe kody – odwołania do niebiańskich sfer lub precesyjnych liczb (co podejrzewała Maria Reiche oraz kilku innych badaczy). Tak czy inaczej, byli to z pewnością wykształceni, inteligentni ludzie. Pierwotnym centrum kultury i religii przez nich krzewionej było Chavin de Huánter, a centrum pielgrzymkowe w Cahuachi oraz geoglify na Pampa de Ingenio powstały później. Rytuał chodzenia w procesjach po liniach wyobrażających różne zwierzęta był zapewne rodzajem składanego im hołdu jako bóstwom, lub naturze jako całości w jej nieskończonej różnorodności.

Skąd mogli przybyć twórcy tych dzieł i religijnych praktyk?

Jedyne, co przychodzi mi na myśl, to dwie przytoczone wcześniej legendy. Ta aztecka, o przybyciu do Mezoameryki: *licznymi gromadami zamorskich osadników, którzy zbudowali miasto Teotihuacán, a potem, po wyborze panów zaraz wszyscy wyruszyli stamtąd, każdy pan z ludem tego samego co on języka, a każdą gromadę prowadził jej własny bóg*. I nieco podobna do niej inkaska opowieść o posłańcu boga Wirakoczy przybyłym w Andy w czasie chaosu, gdy już wody potopu wyschły, wraz z grupą *hayhuaypanti*, „błyszczących”, mędrców, magów, budowniczych, architektów oraz artystów. I którzy potem się rozeszli w te strony świata, które wskazał im bóg. Kto wie, może do Chavin de Huánter przybyło kilku *hayhuaypanti*?



Przykładowe geoglify na płaskowyżu Nazca. Powyżej „Pajak” długości 45 metrów. Poniżej „Koliber” o pięć metrów dłuższy od „Pajaka”.



Kultura Chavin de Huanter. Dwie płaskorzeźby z przedstawieniami boga-jaguara.

## XIX. *Pacaritanpu*

W Andach, kilka kilometrów od Cuzco, stolicy dawnego imperium Inków, na wzgórzu za miastem znajdują się cyklopie mury tzw. „Twierdzy Sascayhuaman”, jednej z najbardziej zdumiewających budowli. Złożona jest z tysięcy ogromnych, doskonale obrobionych i dopasowanych, jakby „zespawanych” ze sobą w wysokiej temperaturze, przedtem (być może?) poddanych „zmiękczeniu”, ogromnych brył granitu. Budowla wzbudzała podziw i zdumienie już u pierwszych przybyłych tu ze starego kontynentu w XVI wieku „turyستów”, czyli hiszpańskich konkwistadorów. Sanchez de Hoz tak opisał swoje wrażenia: *Jest ona (Sascayhuaman) rzeczą najpiękniejszą, jaką można zobaczyć w tym kraju. Mury są zrobione z kamieni tak dużych, że nikt patrząc na nie, nie przypuszcza, aby mogły być umieszczone ludzką ręką. Są one tak ogromne jak skały, a znajdują się i takie, które mają 30 pędzi wysokości lub 30 pędzi szerokości...*<sup>265</sup>

Długie na przeszło pół kilometra, wysokie na 18 metrów, potrójne mury w formie zębatych uskoków robią na każdym wielkie wrażenie. Zwłaszcza oszałamia ich najstarsza – dolna – warstwa utworzona z bloków wysokich nawet na 5 metrów, każdy o ciężarze 100 ton i więcej! Archeolodzy twierdzą, że te praktycznie niezniszczalne mury Inkowie zbudowali w pierwszej połowie II tysiąclecia n.e., jako obronne. A więc przeciwko wrogom dysponującym jedynie włóczyniami, procami i kamieniami... bo przecież taką bronią posługiwano się w średniowieczu. Co więcej – w razie sforsowania pierwszej linii umocnień, ci sami Inkowie (znów według opinii uniwersyteckich badaczy) zbudowali na zboczu góry Pinkuylluna następną niezniszczalną foralicję – Ollantaytambo. Ją również stworzyli z masywnych bloków, idealnie obrobionych i „zespawanych” ze sobą. Te pięćdziesięciotonowe głązy jakimś dziwnym sposobem dostarczono na strome zbocze Pinkuylluny z kamieniołomów oddalonych o przeszło 100 kilometrów. Odległość wyliczono na mapie w linii prostej, a więc bez uwzględniania gór, przepastnych dolin, gęstych lasów tropikalnych, rzek,

<sup>265</sup> J. Białostocki, *O sztuce dawnej Ameryki*, Wydawnictwo artystyczne i filmowe, Warszawa 1972, s. 49, 51.

mokradeł i innych terenowych przeszkód. Ponoć Inkowie zbudowali też świątynną osadę na szczycie Machu Picchu, odnaniezoną przez Hiram Bingham, amerykanistę z Yale University, w 1911 roku, a datowaną przez oficjalnych badaczy na 1500 rok. Swoje wrażenia z tej ekspedycji Bingham zawarł po latach w książce „Zagubione miasto Inków”. Cytuję: *Naprawdę pozostawałem bez tchnienia. Co mogło być w tym miejscu? Dlaczego nikt nie przekazał żadnej wieści o nim? Jedno zaskoczenie zastępował widok następnej panoramy. Potem, idąc wzdłuż jednej ze ścieżek, dotarliśmy do niewielkiego ogródka, gdzie Indianie uprawiali warzywa. Wkrótce znaleźliśmy się przed frontem najpiękniejszych i najciekawszych budowli antycznej Ameryki. Wykonane z białego granitu ściany pokazywały ogromne bloki cyklopie, wyższe od człowieka. Ich widok mnie oczarował*<sup>266</sup>. Dodam, że w ramach prowadzonych tu w latach 1911–15 prac archeologicznych odsłonięto cyklopie mury spasowane ze sobą idealnie, obserwatorium astronomiczne, strażnice, sanktuaria, tzw. „pałac księżniczki”, „mauzoleum”, „kamień ofiarny”, suche fosy, kanały, tarasy, bramy, domy... i wykuty w litej skale megalityczny postument ze sterzącą z niego kamienną iglicą – *Intihuatana* – „miejszem, które wiąże słońce”.

## CYKLOPIE MURY

Podobno Inkowie sami te wszystkie miasta-cytadele zaprojektowali i zbudowali – tak twierdzili i wciąż uparcie twierdzą. Co prawda przyznają skromnie, że pomagali im tutejsi giganci (*quinametin*), bo działa się to w zamierzchłych, przedpotopowych czasach, gdy ci ostatni wciąż jeszcze istnieli na świecie. Doprawdy, nie wiem, czy można im ufać, przecież *quinametin*, według mitologicznych przekazów, wyginęli przed tysiącami lat – Bóg wygubił ich w potopie, bo byli pijakami i gnuśnymi nierobami, więc od ciężkich robót kamieniarskich z pewnością trzymali się z daleka.

Okres panowania Inków przypada na XII–XVI wiek, pytam zatem: do czego były im w średniowieczu potrzebne umocnienia zdolne chronić przed raketowym atakiem? A może nie były to umocnienia? Czego się tak panicznie bali? Jak poradzili sobie z transportem tych gigantycznych głazów? I z ich obróbką? A może budowniczymi cyklopich murów nie byli Inkowie, lecz inna, o wiele od nich starsza, niesamowicie zaawansowana w rozwoju cywilizacja techniczna?

---

<sup>266</sup> J. Walczak, *Inkowie i tajemnica Machu Picchu*, Świat książki, Warszawa 2003, s. 143, 144.

Erich von Däniken zauważył, że *sposób budowy cyklopowego wału obronnego Hetytów pokrywa się z tym, co widzimy w twierdzy Inków w Peru. Zarówno tu, jak i tam potężne, wielopłaszczyznowe głązy ciosowe obrobione są i spasowane w jeden i ten sam sposób. Na spadzistym terenie między Hattusas a skalnym sanktuarium Yazilikaya leżą, jakby rzucone ręką olbrzyma, bloki skalne podobnie zagadkowo porożcinane jak te powyżej Sascayhuaman. I tu, i tam widzimy takie same niepojęte krawędzie, nisze, gabloty, schody, prostokąty. (...) Brama Sfinksa z Alacahuyuk, położonego niedaleko Hattusas miasta z epoki brązu, zupełnie spokojnie mogłaby znajdować się w wysokich Andach*<sup>267</sup>. Według niego konstrukcyjne i estetyczne podobieństwa w obu tych oddalonych o tysiące kilometrów miejscach nie mogą być przypadkowe. Też tak sądzę, tyle, że von Däniken sugeruje wpływy hetyckie na zagadkową cywilizację Andów, a ja twierdzę, iż dolną część murów Sascayhuaman i niektóre fragmenty Ollantaytambo oraz świątynnego miasta na szczycie Machu Picchu wzniesiono w tak zamierzchłej przeszłości, że jeszcze nikomu nawet nie śniło się, żeby w pobliżu obecnego Bogazköy budować stolicę Hattusas i wznosić wokół niej analogiczny do andyjskich, cyklopi mur.

Już w latach trzydziestych XX wieku profesor Rolf Muller – astronom z uniwersytetu w Poczdamie, badając najważniejsze budowle Machu Picchu stwierdził, że charakteryzują się one znaczącymi korelacjami astronomicznymi. *Po wykonaniu skomplikowanych obliczeń dotyczących układu gwiazd w poprzednich tysiącletniach, Muller doszedł do wniosku, iż miasto mogło zostać zaprojektowane wyłącznie „pomiędzy 4000 a 2000 rokiem p.n.e.”*<sup>268</sup> Co uwiarygodnia inne inkaskie przekazy o tym, że wkrótce po wielkiej powodzi pojawiła się w Andach grupa bardzo inteligentnych, białych, brodatych przybyszów – półbogów, i że to oni są autorami tych wszystkich zdumiewających budowli.

## „DZIECI SŁOŃCA”

„Inkami” nazwali peruwiańskich górali Hiszpanie. Oni sami uważali się za lud Dzieci Słońca. Według jednej z ich legend *najpierw był czas wielkiego chaosu i barbarzyńskich zwyczajów. Bóg słońca – Inti – największe bóstwo, aby uratować ludzkość zesłał z podobłocznej jaskini Domu Świtu dwoje swoich dzieci, brata i siostrę, męża i żonę zarazem, a byli to Manco Capac*

<sup>267</sup> E. von Däniken, *Ślady istot pozaziemskich*, Świat Książki, Warszawa 1995, s. 42, 43.

<sup>268</sup> G. Hancock, *Ślady palców bogów*, AMBER, Warszawa 1997, s. 57.

i *Mama Ocllo Huaca*<sup>269</sup>. Zgromadzili oni wokół siebie andyjskich górali, a nieco później założyli w dolinie Urubamba stolicę Cuzco.

Inna, dużo dokładniejsza, ciekawsza wersja tej legendy również jest związana z ogromną piramidalną formacją skalną zwaną Pacaritanpu, co oznacza „Dom Świtu” albo „Dom Pierwszy”, znajdującą się w pobliżu Ollantaytambo. W dolnej części południowej ściany tej wysokiej na 34 metry tarasowej piramidy znajdują się wgłębienia przypominające okna. Najstarsi *Quipucamayoc* (oficjalni historycy inkascy) twierdzą:  *pewnego dnia o świecie ziemia na piramidzie Pacaritanpu otworzyła się w miejscu nazywanym Tanputtoco lub Capacttoco. Jest to jedno z dwóch okien w południowej ścianie piramidy. Manco Capac zrodził się z promienia słonecznego, który w tym momencie oświetlił wytworzoną niszę. Wkrótce pojawili się bracia Manca: Ayar Cachi, Ayar Auca i Ayar Uchu. Niemal jednocześnie pojawiły się siostry-żony braci Ayar: Mama Ocllo, Cura, Ragua i Huaco*<sup>270</sup>. Dość prędko (jak to między bogami) zapanowały w tej grupce waśnie, niesnaski, wreszcie doszło do bezwzględnej rywalizacji o przywództwo, w wyniku której Cachiego (tego co potrafił rzutem z procy rozłupywać skały) pozostali bogowie podstępnie zamurowali w jaskini. Kłótliwego Uchu bóg Inti zamienił w kamień, a zwycięskiego Capaca uczynił głową rodziny. Pewnego dnia, zdarzyło się to podobno w dolinie Urubamba, nad wędrowcami ukazała się tęcza, która objawiła im środek świata. I to tam przybysze z gwiazd zbudowali andyjską stolicę Cuzco.

Dopowiem, że piramida Pacaritanpu uważana jest przez lud „Dzieci Słońca” za miejsce magiczne: okno do innego świata lub wymiaru, drogę wiodącą do gwiazd – most łączący ich z bogami. Uznawana jest za miejsce szczególne także z powodu cykliczne tam zachodzących zjawisk astronomicznych. Otóż w dniu przesilenia zimowego, co tu ma miejsce 21 czerwca, wschodzące słońce oświetla wiązką promieni powierzchnię jednej ze ścian pod kątem zgodnym z jej nachyleniem. To samo zjawisko zachodzi podczas przesilenia letniego, 22 grudnia, tyle, że na sąsiedniej ścianie, mającej inny kąt nachylenia. Natomiast podczas zrównań dni z nocami: 21 marca i 23 września, wiązka promieni wschodzącego słońca wędruje wzdłuż krawędzi łączącej ściany piramidy Domu Świtu.

Inkowie tak jak Aztekowie byli świetnymi astronomami. Pamiętali zatem, że w 650 roku n.e. most łączący ludzi z bogami został przerwany, skutkiem czego nastął ponury czas wojen, upadku i chaosu. W 1432 roku n.e. zaobserwowali ponownie to samo zjawisko. W dniu przesilenia

<sup>269</sup> Ibidem, s. 14.

<sup>270</sup> Ibidem, s. 125.

zimowego konstelacja Plejad nie pojawiła się już nad punktem wschodu Słońca, ponadto Saturn i Jowisz były w koniunkcji na tle gwiazdozbioru Bliźniąt – inkaskiej bramy do świata bogów. Na tej podstawie orzekli, iż ich państwo upadnie dokładnie za sto lat (podczas kolejnego przerwania łączności z bogami). I tak jak wyliczyli się stało! W roku „Pańskim” 1532 hiszpańscy konkwistadorzy pojмали trzynastego, ostatniego wodza Inków, Atahualpę. Może był to zwykły przypadek, zbieg okoliczności, ale datę następnego zerwania mostu wyliczyli bezbłędnie, co w roku 1990 udowodnili naukowcy z uniwersytetu w Bostonie. Przeprowadzili tam na zlecenie dr Willama Sullivana komputerową symulację obrazu nieba nad tą częścią świata. Okres badań obejmował wieleset lat i dotyczył głównie dni przesilenia zimowego (druga połowa czerwca). Wyniki wykazały, że do precesji doszło tam w latach 650, 1432 i 1532<sup>271</sup>. Ciekaw jestem, czy podobną symulację komputerową przeprowadzili inkascy astronomowie, bo skąd wiedzieli o tej precesji z 650 roku n.e.? No chyba, że już wtedy ich przodkowie istnieli i mogli ją sami zaobserwować... A jeśli tak było, to daty ustalone przez uniwersyteckich historyków dla ich państwowości (XII – XVI wiek n.e.) trzeba chyba diametralnie zrewidować. Nie jest też wykluczone, że Inkowie wywodzą się z Indian zaliczanych do grupy Aymarów lub z jeszcze starszych plemion. Ich kosmogonia i wierzenia zdają się to potwierdzać. A jeśli tak, to zachowali pamięć o Tiahuanaco, jednej z najstarszych na tym kontynencie kultur. I to być może stamtąd wynieśli wiarę w Wirakoczę, drugiego po Inti największego z bogów przebywającego w niebiosach. Boga, na którego cześć układali hymny:

(...)

*O Wiraccocha. Panie wszechświata!*

*Kim jesteś, żeńską czy męską istotą?*

*O sprawco wszechrzeczy, kim jesteś?*

*O wyrocznio świata, gdzie przebywasz?*

*Czy może nade mną, czy może pode mną?*

*Czy może za tym wspaniałym tronem?*

*Wysłuchaj mnie...*<sup>272</sup>

Na początku królestwo było w Tiahuanaco. Przynajmniej według ludów andyjskich. To tam zaczęto uprawiać rośliny, zbudowano ośrodek kultu, określono zasady religii, stworzono struktury władzy państwowej, rozwijano sztukę, rzemiosło i handel. Aż nagle... Kataklizm zwany przez Indian *Unu Pachacuti* zmiotł tę kwitnącą cywilizację z powierzchni Ziemi.

<sup>271</sup> Ibidem, s. 136.

<sup>272</sup> Ibidem, s. 22, 23.

## WIRACCOCHAN

O bogu Wirakoczy Indianie mówią, że stworzył świat z nicości bądź z chaosu. Potem zesał na ziemię gigantów – *quinametin*, którzy mieli mu służyć. Niestety okazali się nieposłuszni. Przemienił ich więc w kamienie i sprowadził potop na ziemię. Gdy woda wyschła, przysłał do ocalałych ludzi swojego pełnomocnika zwanego Wiraccochan, znanego również jako Huaracocha, Tanupa, Taapac, Tupaca i Kon Tiki. Jacek Walczak opierając się na tekstach Fernando E. Elorrieta Salazara oraz Edgara Elorrieta Salazara, ponadto pracach dr Willama Sullivana, tak tę mityczną postać scharakteryzował: *Był to człowiek ogromnej postury i o jeszcze większym autorytecie. Twarz miał jasnej karnacji, brodę, włosy krótkie i wyciągnięte, długie uszy, które były symbolem szlachetności. Ubrany był w długą tunikę aż do kostek. Miał koronę na głowie w formie chuku (nakrycie głowy z wełny, z czterema wieżyczkami, używane później przez inkaskich kapłanów i astronomów). Na ramionach niósł worek z darami dla tych, którzy go wysłuchali, a w ręku dzierżył złotą laskę-pastorał. Posiadał ogromną wiedzę i dar porozumiewania się z ludźmi i zwierzętami*<sup>273</sup>. Zdumiewający portret, bo skąd u śniadych, czarnowłosych Indian wzięło się wyobrażenie białego boskiego wysłannika? Podczas swojej wędrówki przez Andy Wiraccochan ponazywał podobno wszelkie rośliny i zwierzęta, a napotkanym ludziom przekazał wszechstronną wiedzę na temat upraw, ziołolecznictwa i sprawiedliwego prawa: *Na koniec pielgrzymowania Wiraccochan dotarł do Tambo (Ollantaytambo), gdzie akurat trwało wesele. Tam spotkał się z wodzem (curaca) Apotambo, który wysłuchał boskiego wysłannika z najwyższą atencją. Wiraccochan przekazał mu złotą laskę-pastorał, na której były wygrawerowane wszystkie nauki przekazane ludziom. Po czym udał się na północ i w okolicach równika odszedł przez morze za horyzont*<sup>274</sup>. Na tym swoją misję zakończył. Lecz obiecał, że wkrótce po nim pojawią się wysłannicy bogów, którzy zamieszkają wśród ludzi.

Inny wariant tej samej inkaskiej legendy mówi: *Z południa nadszedł niespodziewanie jakiś mężczyzna, biały, wysokiego wzrostu, o władczym wyglądzie. Moc jego była tak wielka, że potrafił zmieniać wzgórza w doliny, a doliny we wzgórza. Umiał sprawić, że woda płynęła z kamienia (...)*<sup>275</sup>. Podobno przybył wraz z grupą towarzyszących mu *hayhuaypanti* („błyszczących”) – mędrców, magów, budowniczych, architektów i artystów. Otaczali go też *huaminca* („wierni żołnierze”). Wszyscy oni byli

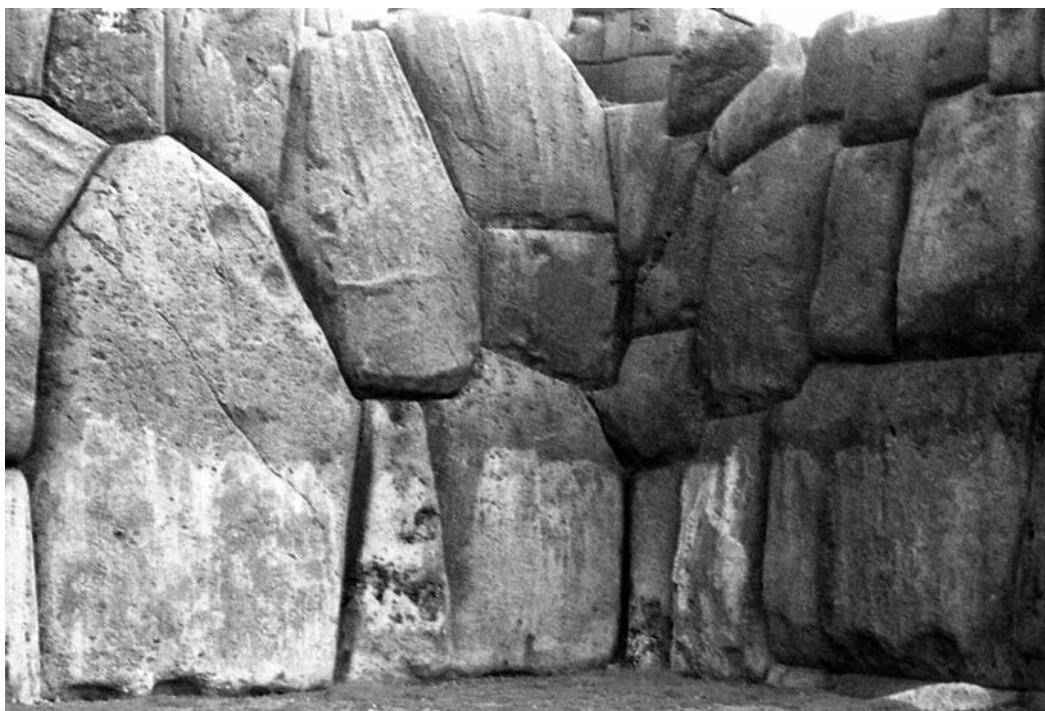
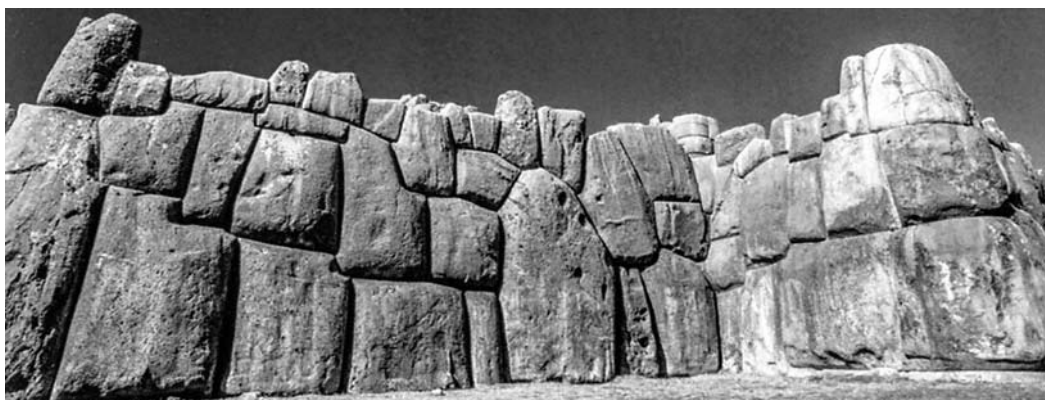
<sup>273</sup> Ibidem, s. 122.

<sup>274</sup> Ibidem, s. 122, 123.

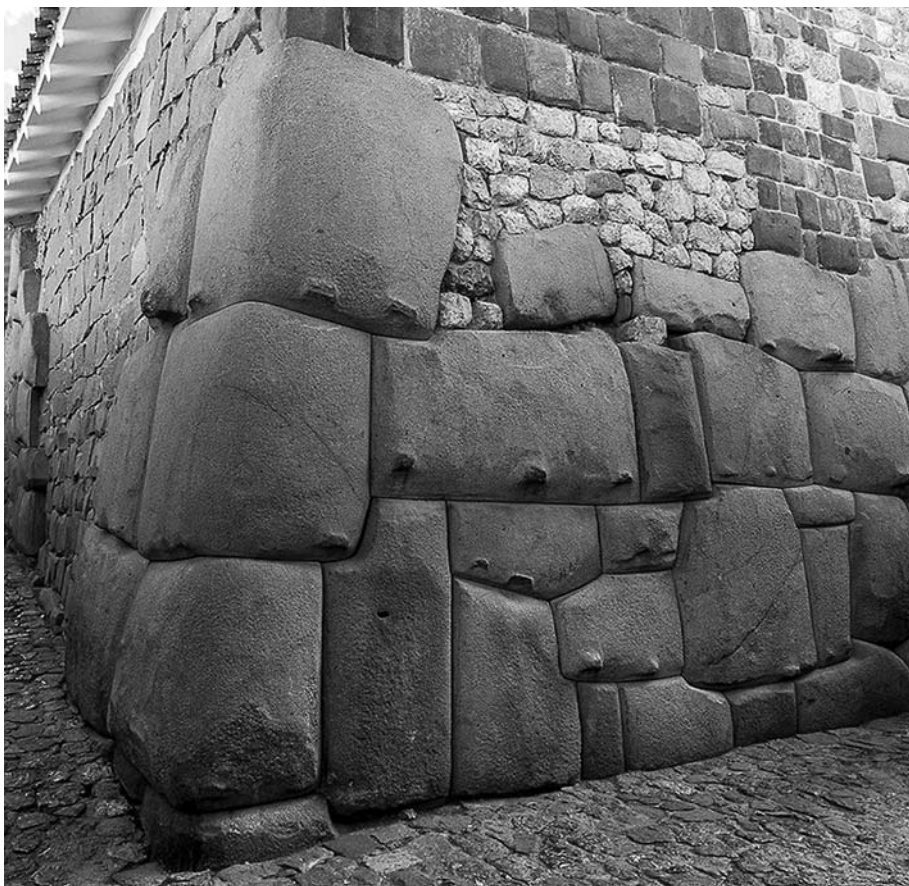
<sup>275</sup> Ibidem, s. 46.

posłańcami boga Wirakoczy. Mnie ewidentnie nasuwa się analogia do indyjskiego Manu i jego Siedmiu Mędrców oraz do egipskich Szemesu Hor („towarzyszy Horusa”). „Błyszczący” to wszak odpowiednik Neteru, a „wierni żołnierze”, to przecież „strażnicy” – Urszu. Tym niemal boskim, białym mężczyznom Inkowie przypisują też budowę megalitycznych warowni Sascayhuaman, Ollantaytambo, Machu Picchu, Puma Punku i dwóch długich na ponad 20 000 kilometrów, brukowanych traktów przecinających Andy – równoległych dróg ciągnących się wzdłuż wybrzeża. Dodam, iż wiele na nich wykuto tuneli i przerzucono przez rzeki i doliny kamiennych mostów. Ponoć Wiraccoche (bo tak ich Inkowie określają) wraz ze swoim przywódcą przybyli w czasach chaosu, wkrótce po tym gdy wody potopu ustąpiły. Potem rozeszli się w różne strony świata, które wskazał im bóg Wirakocza, by innym ludom nieść wiedzę.

Dodam na koniec, bo to bardzo intrygujące, iż w inkaskiej tradycji odnajdziemy również elementy filozofii buddyjskiej (czyżby jedna z nauk mędrca Wiraccochan – Tanupy?). Swoje przekonanie opieram na tym, że w Andach w bliskości Ollantaytambo znajduje się naturalna skała kształtem przypominająca piramidę – Pacaritanpu. Według kosmogonii Inków skupia ona w sobie trzy światy lub stany świadomości: aktualny – *Kay Pacha*; nieznany (wewnętrzny) – *Uyu Pacha* i zewnętrzny – *Hanan Pacha*. Dla zrozumienia tego metafizycznego trójpodziału konieczne jest posiadanie mocy zwanej przez Inków *paqo*. Dostęp do niej mogą tylko wielcy mistycy obdarzeni nadzwyczajnymi zdolnościami. Moc *paqo* daje im ponoć wizje, dzięki którym potrafią przenikać czas i wznosić się poza doczesność. Słowem *Paqo* określano także kapłanów-pustelników, którzy osiągnęli najwyższy stopień duchowego wtajemniczenia. Byli oni łącznikami z Wszechświatem, przez co cieszyli się wielkim autorytetem w państwie Inków. Całkiem podobnie jak mędrzy *Ryszi* w dolinie Indusu-Saraswati.



Cyklopie mury tzw. „twierdzy” Sacsayhuaman. Ich dolna warstwa została utworzona z bloków wysokich nawet na 5 metrów o wadze przeszło 100 ton.



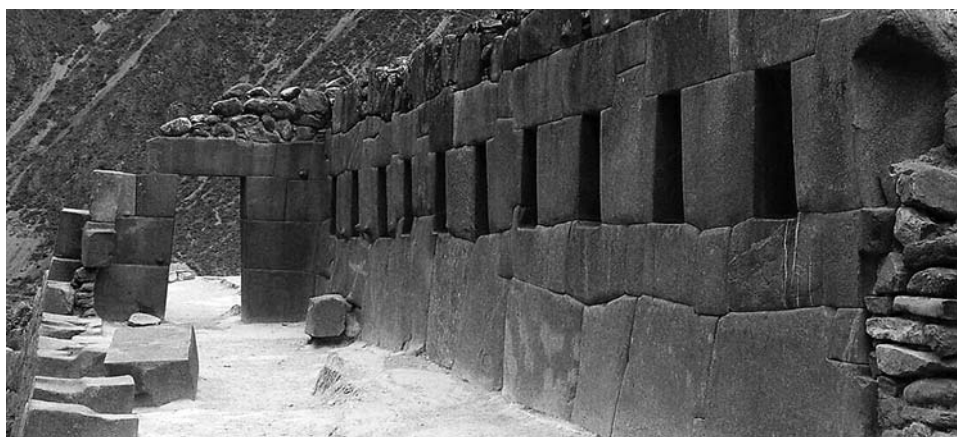
Zabytkowy fragment muru domu w prastarej stolicy Inków, Cuzco.



Dwunastokątny kamień w jednym z murów Cuzco.



Cuzco. Fragment inkaskiej Świątyni Coricancha oraz detal niszy z tej budowli.



Forteca Ollantaytambo wzniesiona na stromym zboczu Pinkuylluny w północnej części Świętej Doliny Inków w Peru.



Ollantaytambo. Mur złożony z sześciu pięćdziesięciotonowych kamiennych bloków sprowadzonych tu z kamieniołomów odległych od zbocza Pinkuylluny o przeszło 100 kilometrów. Niżej dwa ujęcia bram tego fortu.

## XX. Zagadka Smoczego ogona

W Chavin de Huántar pośród wielu innych bardzo intrygujących dzieł odnaleziono rzeźbioną granitową płytę, nazwaną przez archeologów stelą Raimondiego. Ma wymiary 125 na 75 centymetrów. Obecnie znajduje się w Museo Nacional de Antropologia y Arqueologia w stolicy Peru – Limie. Przedstawiono na niej humanoidalnego boga-jaguara ujętego w pozycji frontalnej. Nad jego głową widnieją trudne do opisanie, symetrycznie rozmieszczone ornamenty. Czy są to „anielskie” skrzydła? A może jest to wachlarz utworzony ze skośnie ułożonych i skręconych na końcach piór, czy raczej węży? Albo, jak sądzi Kauffmann Doig, jest to widziana z góry peleryna ozdobiona ornamentem z węży, w którą ten ptak-jaguar jest ubrany? Ja w tej scenie dopatrzyłem się kaskady liści wyrastających z niebotycznych łodyg tworzących Drzewo Świata (*Wakah Chan*) zespolone z drapieżnym bogiem-hybrydą. Z pewnością ta płaskorzeźba stwarza pole do wielu rozmaitych skojarzeń i interpretacji. Na przykład według autora książki „Było zupełnie inaczej”, dr inż. Wolfganga Volkrotda, wynalazcy, posiadacza wielu technicznych patentów, stela Raimondiego, gdy ją oglądać w odwróconej o 180 stopni pozycji, przedstawia schemat latającej maszyny parowej: *system jest stosunkowo nowoczesny z technicznego punktu widzenia, mający w sumie dwa razy po osiem dźwigni roboczych i obrotowych tłoków. Dziś powiedzielibyśmy, że był to szesnastocylindrowy dwutakt. Kocioł główny zaopatrywał w parę cztery systemy cylindrów, każdy o czterech dźwigniach roboczych, które z kolei za pośrednictwem ornitoskrzydeł umożliwiały unoszenie się i poruszanie w określonym kierunku sterowca*<sup>276</sup>. W innych płaskorzeźbach z Chavin de Huántar dopatrzył się on *operatora sterującego cherubem* (prostym mechanicznym robotem) *przy pomocy przycisków, a także nawigatora, który przez zespół dźwigni ustawia kąt nachylenia ornitoskrzydeł*<sup>277</sup>. W tym miejscu muszę z pokorą przyznać, że do tej pory nie doceniałem potęgi wyobraźni niektórych ścisłych umysłów.

<sup>276</sup> W. Volkrodt, *Było zupełnie ...*, op. cit., s. 61, 62.

<sup>277</sup> Ibidem, s. 59.

## KARTOGRAFICZNE ANOMALIE

Książka: „Das Geheimnis des Drachenschwanzes” („Sekret, zagadka/tajemnica Smoczego Ogona”) prof. Paula Galleza, dyrektora Instituto Patagonico w Buenos Aires, jest owocem jego wieloletnich, wnikliwych porównań map pochodzących z czasów najwcześniejszych z mapami powstałymi do roku 1570 n.e. Analizy tego szanowanego naukowca dotyczyły południowego krańca Ameryki Południowej nazywanego z racji kształtu Smoczym Ogonem. Badania doprowadziły go do szokujących wniosków. Otóż kartografowie późniejsi okazali się mniej precyzyjni od wcześniejszych. Inaczej mówiąc – im mapa starsza, tym dokładniejsza! Skąd my to znamy? Profesor Gallez napisał między innymi: *W Chavin de Huántar powstały mapy Ameryki Południowej, na których znalazły się rzeki, a nawet został we właściwy sposób ukazany południowy „Smoczy ogon” tego kontynentu*<sup>278</sup>. Już to jest wysoce zagadkowe, przecież rozkwit tej kultury to, według obowiązujących datowań, lata 800–200 p.n.e. Ale jeszcze większym szokiem dla Galleza był fakt, iż w *niewyjaśniony już dziś sposób dane z tej mapy wpadły w ręce Marinosa z Tyru, uczonego mieszkającego w greckiej podówczas Aleksandrii, który około 50 r. po Chr. po raz pierwszy opublikował dane dotyczące linii brzegowej Ameryki Południowej*<sup>279</sup>. Przypomnę, iż miało to miejsce przeszło 1400 lat przedtem Kolumbem. Co więcej, w roku 1489, czyli dziewięć lat przed dotarciem galeonów Kolumba do brzegów Ameryki, niemiecki kartograf Heinrich Hammer stworzył „Londyńską ptolemejską mapę z Hammer”. Profesor Gallez stwierdził zdumiony, że *Przedstawia ona prawdziwy bieg rzek interioru Ameryki Południowej*<sup>280</sup>. Sprawdził te dane porównując bieg rzek: Orinoko, Parany, Rio Colorado oraz Rio Negro. Pewne długo jeszcze pozostanie zagadką, jakim cudem działający we Florencji i Rzymie Hammer wszedł w posiadanie tych porównywalnych z XIX wiecznymi, dokładnych danych kartograficznych. Nie dowiemy się też, kto sporządził oryginał tej mapy, kiedy to zrobił i w jaki sposób? Przecież przed wiekami (według zgodnej opinii większości archeologów) kontynent Ameryki Południowej porastała dziewicza dżungla, nie było dróg i dostępu do rzek, zatem prowadzenie geodezyjnych pomiarów na ziemi pozostawało niewykonalne. Przyjmując to za naukowy pewnik, autorowi „Das Geheimnis des Drachenschwanzes” nie pozostało nic innego, jak zaproponować wysoce kontrowersyjną tezę, że autorzy oryginałów map kontynentu

<sup>278</sup> Ibidem, s. 115.

<sup>279</sup> Ibidem, s. 115.

<sup>280</sup> Ibidem, s. 113.

południowoamerykańskiego kartograficzne dane uzyskali z powietrza... I to ze znacznej wysokości!

Czy dokonali tego bogowie-kosmici lub ich przedstawiciele z Chavin de Huántar? Ta hipoteza wydaje się nieco sensowniejsza niż teoria dr inż. W. Volkrodta, mówiąca o parowych sterowcach pilotowanych przez dawnych indiańskich władców-bogów-kapłanów. A może oficjalna nauka najzwyczajniej myli się w ocenie stopnia cywilizacyjnego zaawansowania pradawnych ludów z rejonu Smoczego Ogona?

## ELDORADO

Najnowsze badania przy zastosowaniu nowoczesnych metod teledetekcji ujawniły obecność na obszarze Ameryki Południowej dziesiątków tysięcy (to nie pomyłka) nieprzebadanych do tej pory, porośniętych gęstą, nieprzebytą dżunglą struktur: piramid, miast, mniejszych osad, fortów, kanałów melioracyjnych, rozległej sieci dróg i murów obronnych długości nawet setek kilometrów. Zgromadzono wielką ilość dowodów świadczących o tym, że w przeszłości kontynent południowoamerykański był zurbanizowaną, dobrze zagospodarowaną, kwitnącą rolniczą krainą z siecią dróg umożliwiających swobodną komunikację i transport towarów. A jeśli tak, to przypuszczalnie można też było wykonywać geodezyjne pomiary na lądzie i wykreślać na ich podstawie mapy bez konieczności posługiwania się maszynami latającymi. Przeprowadzone analizy gruntu wykazały, iż glebę pod uprawy pierwotne ludy wzbogacały za pomocą nieznanymi nam obecnie metod i technologii. Badacze nadali tej zdumiewająco żyznej glebie miano *terra preta de Indio*. Wszystko to skłania do przewartościowania utrwalonych wyobrażeń na temat przeszłości Smoczego Ogona, gdzie wielokrotnie dochodziło do styku tutejszych neolitycznych kultur z kulturami znanymi nam ze starego świata. Z Mezopotamii, Egiptu, doliny Indusu-Saraswati. I nie tylko z nimi, bo także, co najbardziej fascynujące, z największą zagadką historii – szokującą cywilizacją techniczną, która najwięcej materialnych śladów pozostawiła na andyjskich płaskowyżach sięgających ponad linię wegetacji drzew.

## SAME ZAGADKI

Niedaleko Santa Cruz w Boliwii znajduje się miasteczko Samaipata. Na wschód od niego w pobliskich górach znajdziemy El Fuerte (Fort), nazywany przez miejscową ludność „Siedzibą olbrzymów”. Na płaskim szczycie tego

wzgórza z czerwonej piaskowej skały ktoś wykuł rozmaite struktury: baseny, zbiorniki, kanały odpływowe, rowy i inne wyżłobienia, schody, trójkątne i prostokątne „ławy”, kamienne „siedziska” z oparciami i bez, „trybuny” okalające coś na kształt amfiteatru. Na okolicznych skałach widnieją petroglify: sylwetka zwierzęcia o wyglądzie lamparta lub pumy i geometryczne symbole. W wielu miejscach wydrążono okrągłe dołki głębokie na 30 centymetrów, które mogły służyć do mocowania filarów jakichś budowli. W oddali, po drugiej stronie doliny, znajduje się wzniesienie La Muela del Diablo (Diabelski Dołek), z podobną kamienną strukturą. Na szczycie El Fuerte znaleziono też jamę o średnicy dwóch metrów prowadzącą w głąb wzgórza. Boliwijscy archeolodzy oczyścili ten otwór z ziemi oraz kamiennego gruzu na głębokość 30 metrów. D. H. Childress przypuszcza, iż te oddalone platformy mogły być w przeszłości połączone podziemnym korytarzem. Jeśli ma rację, to ów tunel liczyłby jakieś 15 kilometrów długości.

Nieopodal znajduje się Cerro de las Rueditas – krąg megalityczny utworzony z wielkich kamieni. Co ciekawe, w jego pobliżu odnaleziono amfory wyglądem przypominające rzymskie lub kartagińskie, ponadto kamienne a także żelazne narzędzia. Trudno oszacować, ile lat mogą liczyć te mało znane zabytki, i do jakich kultur należałoby je przypisać.

Erich von Däniken dostrzegł zadziwiające techniczne podobieństwo geometrycznych kolein i innych wykuć z Samaipata do tych znajdujących się w San Agustín (godzinę jazdy od miasteczka Pitalito w Kolumbii i aż 2500 km od El Fuerte). Stwierdził: *Tam, pośród dolmenów, menhirów i podziemnych świątyń stoją rozsiane po okolicy przerażające posągi bogów, z którymi nikt nie wie, co począć. No i jest jeszcze „źródło do rytualnych obmyć stóp”* (tak zinterpretowali to znalezisko archeolodzy) – *właśnie bliźniak kompleksu z Samaipata. Splantowana, brunatna skała ma na powierzchni około 300 m kwadratowych całą skomplikowaną sieć sztucznie wykutych kanalików rozmaitej szerokości. Są wąskie rowki wijące się po skale niby węże, są ułożone w systematycznym porządku mniejsze i większe zagłębienia i okrągłe zbiorniki. W skale i na skrajach zagłębień tłoczą się reliefy przedstawiające jaszczurki, salamandry i przypominające małpy zwierzęta*<sup>281</sup>. Największe z kamiennych zagłębień ma 3,2 metra długości i 1,4 metra szerokości. Sięga w głąb skały na 81 centymetrów. Mnie, podobnie jak jemu, te struktury kojarzą się raczej z jakimiś funkcjami przemysłowymi: wytopem metali, filtrowaniem czegoś, a nie z religijnymi rytuałami.

Płaskowyż Maracahuasi położony jest w pobliżu Marcapomacochy w prowincji Junín na północny wschód od Limy. Znajduje się na wysokości 3810 metrów n.p.m., a rozciąga na przestrzeni 2,5 kilometrów kwa-

<sup>281</sup> E. Von Däniken, *Ślady...*, op. cit., s. 56.

dratowych. Daniel Ruzo, który w 1952 roku dotarł w te górskie ostępy, ku swojemu zdumieniu odkrył tu naskalne rytę przedstawiające nie tylko ludzi, ale też lwy, żółwie, wielbłądy oraz coś, co w jego ocenie przypomina wymarłego przed milionami lat stegozaura. Odnalezione petroglify są bardzo stare – zatarte przez erozję, dlatego jego domysły w kwestii prehistorycznego gada pominę milczeniem, natomiast wizerunki afrykańskich zwierząt, zwłaszcza lwa i wielbłąda, wyryte w peruwiańskich skałach, z pewnością dają do myślenia. Zwłaszcza, że inne tutejsze dzieła również są bardzo wymowne. Otóż specjalnością nieznanego ludu zamieszkującego w przeszłości płaskowyż Maracahuasi były ogromne niczym kamienice rzeźby wykuwane w skałach. Jedna z nich, widziana z profilu, kształtem i wielkością przypomina głowę Wielkiego Sfinksa z Gizy. Podobnie jak on ma wysunięty podbródek i cofnięte czoło, tyle, że usta ma rozchylone i jest bez królewskiego nakrycia głowy. Stylistyki obu tych monumentalnych dzieł i sposoby kształtowania ich formy, zdają się, według Ruzo, wykazywać znaczne podobieństwa. Dodam, że nie tylko on, ale również pisarz G. Hunt Williamson, który w 1957 roku odwiedził płaskowyż Maracahuasi, w tamtejszych rytach dopatrywał się podobieństw ze sztuką egipską okresu faraonów.

Dolina rzeki Moche w Peru przez wiele tysięcy lat była miejscem, gdzie rozmaite plemiona i kultury (przeważnie bezimienne) pojawiały się i znikwały w pomroce dziejów. Przypuszcza się, że przed Inkami, w latach 900–1475, istniało tam imperium ludu Chimu, ze stolicą w Chan Chan, mieście znajdującym się w sąsiedztwie ważnego centrum świątynnego o nazwie Trujillo. Lud Chimu, według historyków, stworzył system murów obronnych rozciągniętych na przestrzeni setek kilometrów na południe – wzdłuż oceanicznego wybrzeża. Inkom z kolei przypisuje się budowę potężnej linii fortyfikacji w Boliwii: *Inkaski mur miał około 250 kilometrów długości, ciągnął się na skraju Altiplano na wysokości od 2500 do 4000 metrów n.p.m. Ustawiony był wzdłuż grani, w strategicznych punktach najeżony kamiennymi fortami*<sup>282</sup>. Te umocnienia i powiązane z nimi setki kilometrów szerokich grobli oraz kamiennych traktów są prawdopodobnie starsze niż przyjęło się sądzić.

Zdjęcia lotnicze ujawniły, że w sąsiedztwie imponujących ruin Gran Pajaten (odnalezionych przez Gene'a Savoya w 1964 roku) znajduje się około 3000 architektonicznych struktur rozsianych na siedmiu wzgórzach. Kiedyś łączyła je szeroka droga. W sąsiedztwie znajdują się pozostałości miasta Congona, nieco dalej odkryto ruiny otoczonego wysokim murem Kuelapu, grodu przypisanego przez archeologów ludowi Chachapoyas.

---

<sup>282</sup> D. H. Childress, *Zaginione...*, op. cit., s. 317.

Odkryte tam kamienne konstrukcje oraz geometryczne ornamenty niektórym badaczom kojarzą się ze starożytnymi ruinami z Zimbabwe w Afryce, a inni dopatrzyli się pokrewieństwa z neolitycznym fortem kamiennym zbudowanym na irlandzkiej wyspie Aran.

Bodaj największy w Ameryce Południowej kompleks budowli odkryto w 1985 roku: *Wspaniałe ruiny Gran Vilaya, składające się z ponad 80 połączonych mniejszych kompleksów miejskich, złożonych w sumie z 23 950 budowli, tworzą niewątpliwie największe starożytne miasto w obu Amerykach*<sup>283</sup>, stwierdził Savoy (jeden z odkrywców tej wielkiej górskiej aglomeracji). Zajmowała ona obszar około 310 kilometrów kwadratowych płaskowyżów sięgających 2500–2750 metrów n.p.m., usytuowanych w północno-wschodnim Peru (dziś porośniętych nieprzebytą dżunglą). Na górskich graniach rozmieszczono 10 350 obronnych baszt, pozostałe zaś 13 600 kamiennych budowli tworzy trzy warstwy rozległej cytadeli. Postawiono je na szczytach tarasów, które pną się po zboczach niczym schody. Według miejscowych przekazów imperium Gran Vilaya stworzyli wysocy, jasnowłosi i niebieskoocy Chachapoyasowie. Podobno pokonali ich Inkowie w okresie poprzedzającym hiszpańską konkwistę.

Chachapoyasom przypisano również odnalezione w sierpniu 2007 roku ruiny starożytnego miasta nazwanego przez zespół peruwiańskich i amerykańskich archeologów Gran Saposoa. Odkryto je w północnym Peru na wysokości 2800 metrów n.p.m. *Na obszarze o powierzchni 15,6 hektara znajduje się pięć cytadel wzniesionych pośród wodospadów i stawów; wszystko otoczone jest masywnymi murami obronnymi (o wysokości nawet 10 metrów), porośniętymi gęsto tropikalną roślinnością. Splątane zarośla dżungli przysłaniają też liczne płaskorzeźby (...)*<sup>284</sup>. Odkryto tam również dobrze zachowane cmentarze ze z mumifikowanymi szczątkami pierwotnych mieszkańców Gran Saposoa.

Nie sposób oszacować, ile jeszcze starożytnych ruin i dróg spowija gęsta roślinność lasów deszczowych. F. Joseph, autor książki „Tajna archeologia dawnej Ameryki”, przypuszcza, że tylko w obecnej Brazylii, w odległej przeszłości: *znajdowały się tereny o powierzchni co najmniej 77 000 kilometrów kwadratowych ze stworzonymi ręką człowieka wałami ziemnymi, otoczone tarasowymi polami i połączone drogami biegnącymi po groblach. Nieznany lud przekształcił całe dorzecze Amazonki w prehistoryczny ogród*<sup>285</sup>. Według kilku gleboznawców kilkanaście procent niezalewowych ziem amazońskiej dżungli nosi cechy antropogeniczne,

<sup>283</sup> Ibidem, s. 319.

<sup>284</sup> F. Joseph, *Tajna archeologia dawnej Ameryki*, AMBER Warszawa 2009, s. 149, 150.

<sup>285</sup> Ibidem, s. 150, 151.

czyli były wprowadzane pod uprawy. Trzeba również wspomnieć, że Tenochtitlán, dawna stolica imperium Azteków, jeszcze na początku XVI wieku była większą metropolią od ówczesnego Paryża. Konkwistador hiszpański, Ferdynand Cortez, który przybył do tego miasta w 1519 roku, był oszołomiony poziomem jego cywilizacyjnego rozwoju. Zdumiały go i zachwyciły liczne ogrody botaniczne, warsztaty rzemieślnicze, składy kupców i rozległe kwartały domów. Był także pełen uznania dla sprawnie działających służb komunalnych.

Jedną z najbardziej zadziwiających zagadek Wyżyny Meksykańskiej jest prehistoryczny kompleks świątynny Malinalco. Jest to wykuta w litej skale „katedra” z prostokątnym dziedzińcem otoczonym chodnikiem, z niszami i wyrzeźbionymi w tych skałach ogromnymi ptakami. Są one wszędzie: na ścianach, w centrum posadzki i na podwyższeniu w postaci kamiennej podkowy. Perfekcja obróbki kamienia niemal taka jak w Puma Punku, formy rzeźbiarskie stylem przypominają Sumer lub Egipt... a może Hetytów? Nikt nie wie, jakich bogów tu kiedyś czczono. Nikt też nie ma pojęcia: kiedy i kto stworzył to sanktuarium.

Przed tysiącami lat plemiona zasiedlające obszar od Ziemi Ognistej aż po północne granice obecnego Meksyku utrzymywały ze sobą kontakty handlowe. Ponadto, co jasno wynika z badań profesora Galleza i licznych odnajdowanych artefaktów, rozmaite kultury powstawały tu za sprawą zagadkowych, świetnie wykształconych imigrantów.

## „KAMIEŃ ŚRODKA”

Cyklopie mury Cuzco i Sascayhuaman (jej dolne warstwy), monolity Ollantaytambo, kamienne miasto-świątynia na szczycie Machu Picchu z wiążącą słońce Intihuatana, granitowe „moduły” Puma Punku, platformy ze wzgórz w bliskości Samaipata oraz część wykutych w skale struktur San Agustín, to w moim przekonaniu jedno z najwymowniejszych śladów pozostawionych przez rozwiniętą technicznie i technologicznie cywilizację. Cywilizację tak zadziwiającą i odmienną od pozostałych, że nie sposób jej przypisać jakiegokolwiek znanej nam społeczności i kulturze. Natomiast monumentalne rzeźby z płaskowyżu Maracahuasi, wykute w litej skale sanktuarium w Malinalco, dzieła rzeźbiarskie i budowle kultury Chavín de Huántar oraz te przypisywane ludom Chimú i Chachapoyasom, wydają się wyrastać z jednego kulturowego pnia. Ich narodzinom przyświecała najpewniej ta sama religijna ideologia, a do tworzenia dzieł sztuki stosowano zbliżone techniki i technologie. Moim zdaniem, centrum tych kultur znajdowało się w Tiahuanaco, dawniej nazywanym Taypicala, co tłumaczy się

jako „Kamień środka”, w świątynnym mieście położonym w pobliżu Puma Punku nad brzegiem andyjskiego jeziora Titicaca. To tam, według legendy *Nasz Ojciec Słońce wysłał dwójkę swoich dzieci* (w innej wersji ósemkę) *na Ziemię*, z misją cywilizacyjną. Najpierw (w ciągu jednej zaledwie nocy) zbudowali oni miasto-świątynię w Tiahuanaco, a następnie wyruszyli na poszukiwania nowej stolicy. Znaleźli ją w miejscu nazywanym Cuzco, co tłumaczy się jako „Pępek świata”. Według Indian Aymara żyjących w pobliżu Tiahuanaco powstało ono wkrótce po potopie. Szesnastowieczny historyk Garcilaso de la Vega, który odwiedził je tuż po konkwiście, tak opisał to, co zobaczył: *Musimy teraz rzec słów kilka o ogromnych, prawie niewyobrażalnej wielkości budowlach Tiahuanaco. Jest tam sztuczne wzgórze wielkiej wysokości wzniesione na kamiennych fundamentach (...), i gigantyczne posągi wyrzeźbione z kamienia. Są one bardzo zniszczone, co dowodzi ich starożytności. Oglądałem mury zbudowane z kamieni tak olbrzymich, że trudno sobie wyobrazić, jaka ludzka siła mogła je tam umieścić, i szczątki dziwnych gmachów, zwłaszcza kamiennych portali wyciosanych z jednej skały. Stoją one na podstawach o długości dochodzącej do dziesięciu metrów, szerokości pięciu i grubości dwóch metrów. Portal i podstawa zrobione są z tej samej skały (...). Jakimi narzędziami i w jaki sposób wykonano te ogromne dzieła, nie umiem powiedzieć (...). Nie potrafimy też sobie wyobrazić, jak przetransportowano tutaj te gigantyczne kamienie (...)*<sup>286</sup>. Mimo, że w okresie późniejszym szarańcza złodziei: zbieraczy pamiątek, kolekcjonerów, turystów i firm budowlanych rozgrabiła niemal wszystko, co wpadło im w ręce, to megalityczne ciosy i największe z posągów (zbyt ciężkie, żeby je przenosić) nadal możemy tu podziwiać. Na przykład ogromną kolumnową rzeźbę przedstawiającą zapewne władcą postać Wirakoczy-Tanupy i dwa mniejsze obeliski upamiętniające jego towarzyszy. Ich stylistyczne pokrewieństwo z toltecką figurą awatara Quetzalcoatl – króla Azteków z Tuli, jest bardzo wymowne. Kalasasaya, co tłumaczy się jako „Miejsce Pionowych Kamieni”, to rodzaj dziedzińca – basenu utworzonego w zagłębieniu, otoczonym kamiennym murem z wznoszącymi się na wysokość czterech metrów trapezoidalnymi monolitami. Dalej znajduje się Piramida Acapana (przez szabrowników ogółocona z większości andezytowych płyt, pierwotnie ją okrywających). Zorientowana jest, jak wszystkie ważniejsze starożytne budowle, według kierunków geograficznych. *Wszystko wskazuje na to, że mogła być czymś w rodzaju skomplikowanego urządzenia lub nawet maszyny. W jej głębi archeolodzy odkryli wymyślną sieć zygzakowatych kanałów, wyłożonych gładkimi kamiennymi płytami, ustawionych bardzo precyzyjnie, z tolerancją*

<sup>286</sup> G. Hancock, *Ślady...*, op. cit., s. 66.

do pół milimetra. Woda zebrana w dużym zbiorniku na szczycie budowli spływała przez nie do fosy otaczającej całe miasto, której część biegła wzdłuż południowego boku piramidy<sup>287</sup> – napisał G. Hancock w „Śladach palców bogów”. Natomiast archeolodzy sądzą, iż ten hydrauliczny system stworzono w związku z kultem boga wody lub boga deszczu, znanym też z Teotihuacan i Chavin de Huántar. W języku Indian Aymara słowo *apana* znaczy „ginać”, zatem Piramida Acapana, zawierająca w swojej nazwie to słowo, mogła być poświęcona bogu śmierci. Tiahuanaco znane jest głównie z wyciosanej z jednego bloku kamienia, monumentalnej Bramy Słońca, uszkodzonej podczas jakiegoś kataklizmu. Niektórzy widzą w niej kalendarz, inni twierdzą, że przedstawione w równych rzędach figury są kroniką wymarłych zwierząt, jeszcze inni w tych rytach dopatrują się szyfru zawierającego przestrożę albo przesłanie dla przyszłych pokoleń. Niewątpliwie jest zagadkowa, a większy od pozostałych centralny fryz, według kilku badaczy, uosabia płaczącego nad nieszczęsnym światem jego stwórcę – boga Słońce – Wirakoczę.

## „BRAMA PUMY”

Półtora kilometra od Tiahuanaco znajdują się ruiny Puma Punku – „Bramy Pumy”, rozrzucone w nieładzie. Nie ma tu posągów, dziedzińców i piramid. Być może był tu kiedyś port. Poziom wód jeziora Titicaca mógł być w odległej przeszłości o przeszło 30 metrów wyższy od obecnego. Faktem jest, że wyschły sąsiadujące jeziora, w tym leżące na południe Poopó, które było trzecim pod względem wielkości wysokogórskim jeziorem na Ziemi; zaczęło znikać w latach 90 XX wieku i obecnie na jego miejscu znajduje się pustynia. Titicaca to jezioro tektoniczne, powstałe prawdopodobnie w miocenie. Ślady dawnej linii brzegowej wskazują, że w przeszłości było większe. Jest pozostałością śródlądowego morza nazwanego Lago Ballivian, które niegdyś pokrywało całe Altiplano. Prof. Posnansky wraz z zespołem: *odkrył tam dwa sztucznie wykopane doki, rozdzielone „imponującym molo, gdzie możliwe było ładowanie i rozładowywanie setek statków jednocześnie”*<sup>288</sup>. Według tego archeologa barki rzeczne mogły tu przyplывать z okolic położonych nad Jeziorem Poopó. Oba te akweny łączy rzeka Desaguadero. Co bardzo zastanawiające, region ten James M. Allen, jeden z alternatywnych badaczy, w książce „Atlantyda w Andach”, identyfikuje jako ojczyznę opisanego przez Platona mitycznego

<sup>287</sup> Ibidem, s. 69.

<sup>288</sup> Ibidem, s. 78.

ludu Atlantów. Nie da się zaprzeczyć, że płaskowyż Altiplano był niegdyś kwitnącą rolniczą krainą, bo świadczą o tym pozostałości wytyczonych tam szerokich kanałów irygacyjnych. Nie można też podważyć poglądu, że ta prowincja utrzymywała ściśle związki handlowe z Tiahuanaco, ale cała reszta hipotezy Jamesa M. Allena wydaje się mało prawdopodobna zważywszy, że nie uwzględnia pełni historycznego kontekstu. Wróćmy jednak do Puma Punku i znalezisk prof. Posnansky'ego. Bloki kamienne tworzące w przeszłości, w jego opinii, portowe nabrzeże, są gigantyczne. Jeden waży nawet 400 ton, inne od 100 do 150 ton. Większość z tych monolitów zespalają metalowe klamry w formie ogromnych zszywek do papieru. Archeolodzy przypuszczają, że budowniczowie posługiwali się przenośnymi hutami, bo klamry łączące andezytowe bloki powstawały poprzez wlewanie roztopionego metalu w już wykute w nich rowki oraz w już wywiercone otwory. Dodam, że tą techniką posługiwano się także przy wznoszeniu murów Ollantaytambo i, co jeszcze bardziej zaskakuje, przy tworzeniu portowych konstrukcji na wyspie Elefantynie na Nilu w Górnym Egipcie oraz w kilku innych miejscach starego świata. W gruncie rzeczy Puma Punku to kilkukilometrowe rumowisko, z poprzewracanymi, rozrzuconymi w nieładzie bryłami, przypominającymi dzisiejsze budowlane moduły. Cały ten obszar wygląda, jakby zmiotła go potężna eksplozja. Profesor Posnansky przypuszcza, że doszło tu do katastrofy naturalnej: *Potężne ruchy sejsmiczne spowodowały wylanie się wód jeziora oraz wybuch wulkanu(...). Możliwe, że pękły brzegi jezior położonych wyżej i bardziej na północy (...). Ich wody runęły wówczas rwącym potokiem, zmiatając wszystko na swej drodze*<sup>289</sup>. Liczne szkielety ryb i ludzi znalezione na tym terenie zdają się jego hipotezę potwierdzać. Co ciekawe, jedynym dziełem w pobliskim Tiahuanaco, które ucierpiało w wyniku tego domniemanego kataklizmu jest Brama Słońca (pękła wzdłuż jednego z filarów). Znaczy to, że prawdopodobnie jest starsza od pozostałych zabytków Tiahuanaco. Upewnia mnie w tym przekonaniu też jej charakterystyczna konstrukcja z geometrycznymi wycięciami i wgłębieniami, tożsama niemal ze stylistyką modułów znajdujących się w Puma Punku. Nie można zatem wykluczyć, iż bóg na niej przedstawiony nie jest Wirakoczą-Słońcem, lecz „Świątą Pumą” – andyjskim „Sfinksem”. Gigantyczne andezytowe moduły sprowadzono do Puma Punku z oddalonej o 80 kilometrów wulkanicznej góry Cerro Capira. Ustalili to archeolodzy. Nie sposób sobie doprawdy wyobrazić, przy zastosowaniu jakich technik przemieszczano te ponad 100 tonowe gązdy w tak trudnym terenie i na taką odległość. Nikt też nie ma bladego pojęcia, do czego mógł służyć osobiście obrobiony, niebieskawy blok porfiru,

---

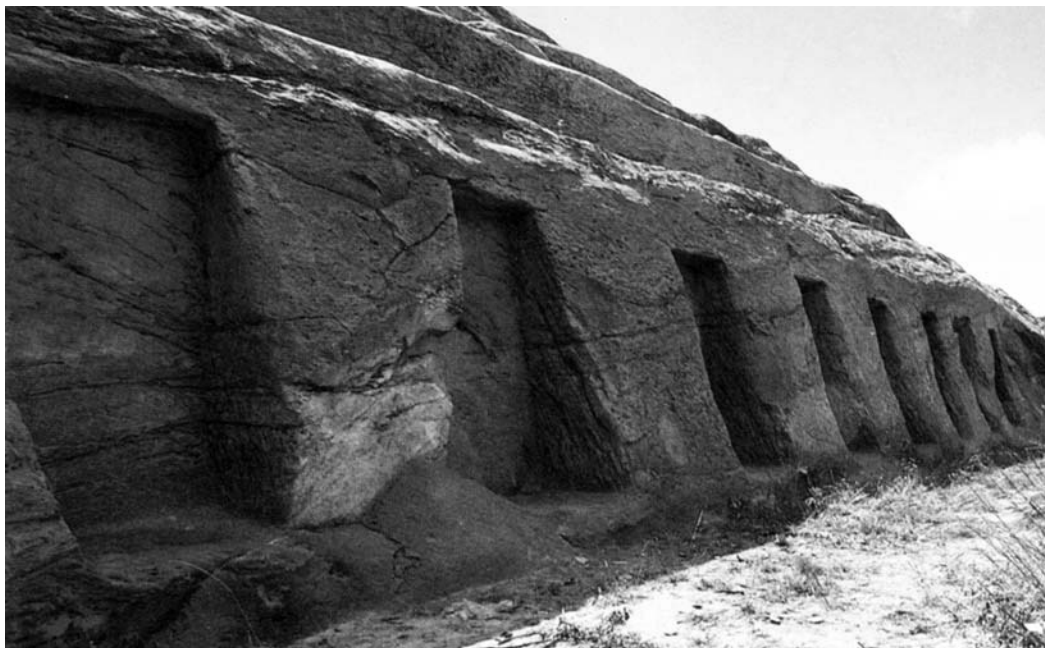
<sup>289</sup> Ibidem, s. 79.

rodzaju kamienia, którego poza tym jednym miejscem nie spotkamy – oto, co napisał o nim w roku 1889 Johann Jakob von Tschudi: *W drodze do Puma Punku napotkaliśmy w polu zagadkowy monolit o wysokości 155 cm i szerokości 182 cm, mający 52 cm grubości u podstawy i 45 cm grubości na szczycie. Są w nim dwa rzędy pótek. U dołu dwie duże, umieszczone po bokach, podłużne, pośrodku dwie mniejsze, czworokątne, jedna nad drugą. W górnym rzędzie, oddzielonym od dolnego zwykłymi gzymsami, cztery prostokątne. Monolit znany jest pod nazwą „El Escritorio” – biurko<sup>290</sup>*. Niemieccy archeolodzy Stubel oraz Uhle dopatrzyli się w nim części składowej jakiegoś ołtarza. W moim przeświadczeniu ten dziwny blok porfiru nie miał nic wspólnego z jakąkolwiek religią. Nie dostrzegam w nim tego typu konotacji. Był on raczej obiektem typu przemysłowego – elementem jakiejś industrialnej konstrukcji. Konstrukcji niezrozumiałej dla nas zupełnie, ponieważ stworzył ją najpewniej ów tajemniczy Czynn timer X, na tym terenie operujący. A on, jak sądzę, obywatel się bez jakichkolwiek wierzeń, co możemy wnosić na podstawie analizy pozostawionych przez niego budowli – konstrukcji kamiennych pozbawionych (być może z wyjątkiem Bramy Słońca) figuralnych wyobrażeń, ornamentów, ozdób, umownych znaków lub inskrypcji. Najwidoczniej idea boga nie była tym twórcom do niczego potrzebna.

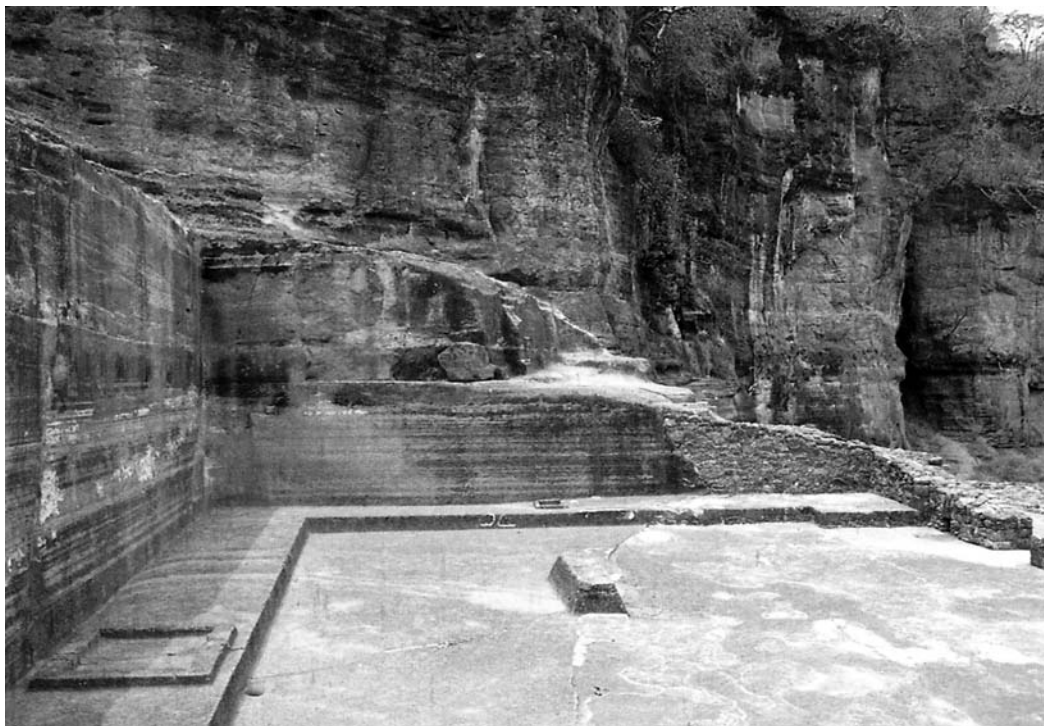
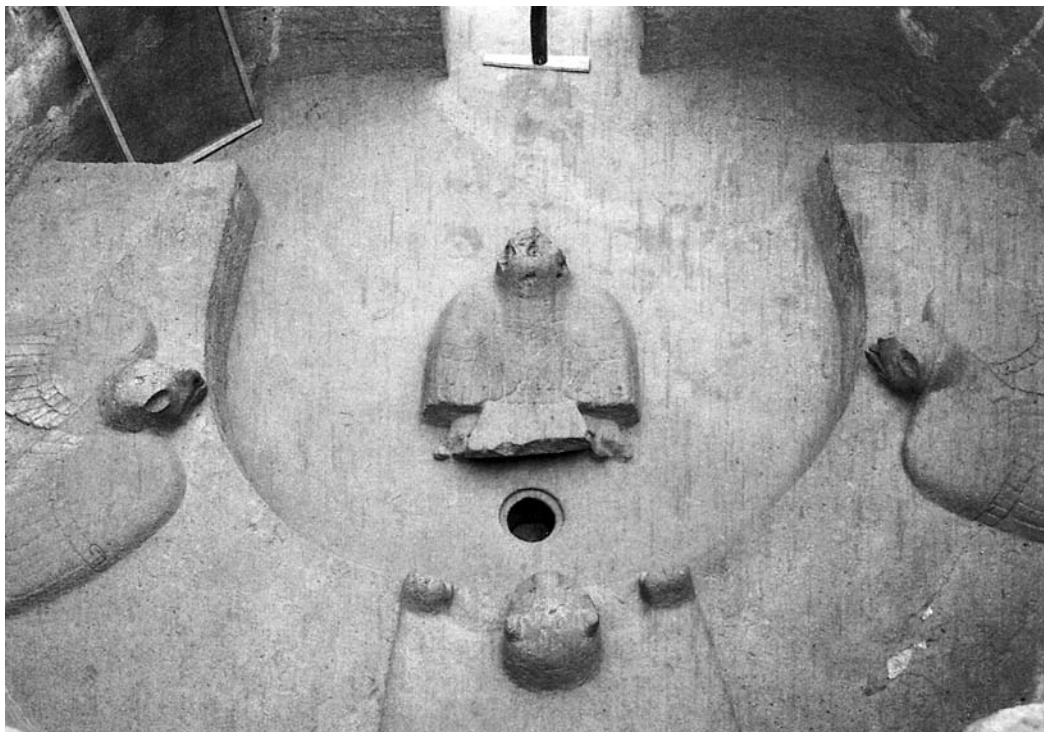
Czynnik X to największa niewiadoma, brakujący element niezbędny do rozwikłania łamigłówki naszej przeszłości. To najgorętszy z „kartofli” tkwiących w rozżarzonym popiele ogniska dziejów ludzkości. Skąd ta dziwna cywilizacja techniczna się wzięła? Czym była? Czy miała znaczący wpływ na rozwój innych, lepiej od niej znanych kultur? Kiedy się pojawiła? Czy mogła ukształtować nasze wyobrażenia i wynikające z nich wierzenia? Tego rodzaju pytania oficjalna nauka bagatelizuje – pomija milczeniem próbując jakoś łątać liche szwy, przetarcia i dziury naszej historii powszechnej. Naturalną więc kolejną rzeczą Czynn timer X stał się kanwą do tworzenia przez liczne grono alternatywnych badaczy mniej lub bardziej kontrowersyjnych hipotez. Najpopularniejsze to: 1) teoria dopuszczająca możliwość istnienia w przeszłości zaginionego lądu, na którym rozwinęła się zaawansowana cywilizacja i: 2) hipoteza przybyłej z kosmosu cywilizacji, która mogła mieć istotny wpływ na przemiany dokonujące się w obrębie ludzkich kultur, a nawet na procesy ewolucyjne dokonujące się na Ziemi. Obie zyskały wielu zagorzałych popularyzatorów i wyznawców, dlatego, jak sądzę, warto przyjrzeć się ich sensowności z bliska.

---

<sup>290</sup> E. Von Däniken, *Ślady...*, op. cit., s 51.



Zagadkowy „El Fuerte” w górach nieopodal miasteczka Samaipata w rejonie Santa Cruz w Boliwii, nazywany przez miejscową ludność *Siedzibą olbrzymów*.



Jedna z zagadek Wyżyny Meksykańskiej – wykute w litej skale sanktuarium Malinalco z wyobrażeniami ptaków.



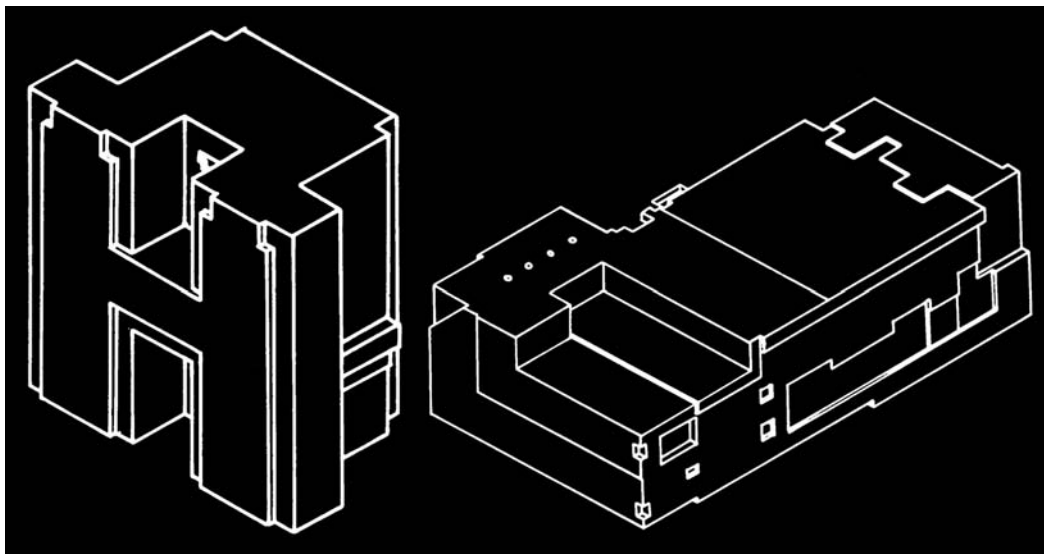
Świątynne miasto Tiahuanaco dawniej nazywane Taypical (co się tłumaczy jako „Kamień Środka”, czyli *Axis mundi*), założone na andyjskim płaskowyżu Altiplano położonym na wysokości 3300–3800 metrów n.p.m., nad brzegiem jeziora Titicaca i około półtora kilometra od ruin Puma Punku.



Tiahuanaco. Schody wiodące do Kalasasayi – *Miejsca Pionowych Kamieni* – dziedzińca, czy raczej basenu otoczonego kamiennym murem z posągami wysokości nawet czterech metrów upamiętniającymi postacie Wirakoczy-Tanupy i jego towarzyszy. Obok i poniżej jedna z takich kamiennych figur.



Awers i rewers wyciosanej z jednego bloku kamienia Bramy Słońca w Tiahuanaco.



Schematyczne rysunki dwóch kamiennych modułów występujących w Puma Punku (według E. Danikena).



Widok na ruiny „Bramy Puma” znajdujące się na andyjskim płaskowyżu Altiplano, na wysokości 3800 metrów n.p.m., około półtora kilometra od Tiahuanaco („Kamienia Środka”).



A – Ruiny Puma Punku. B – Geometryczne wycięcia w jednym z kamiennych modułów tu występujących. C – Ślady po metalowych klamrach łączących andezytowe bloki ważące od 100 do 400 ton każdy, które przypuszczalnie stanowiły elementy konstrukcyjne nabrzeża portu.

## XXI. Zaginiony ląd?

Przypuszczalnie to Ateńczyk Solon jako pierwszy z Europejczyków usłyszał od kapłana Sonchisa z egipskiego Sais legendę o domniemanej „matce” wszystkich cywilizacji – zatopionym lądzie zwanym Atlantydą. Arystokles, znany nam jako Platon, żyjący w V i IV wieku p.n.e., miał wejść w posiadanie zapisków Solona poprzez swojego pradziadka. Potraktował je jako faktograficzne źródło. W dialogu „Timajos” zrelacjonował je tak: *Dziewięć tysięcy lat temu na Oceanie Atlantyckim, prawdziwym oceanie, za Słupami Heraklesa, była wyspa większa niż Libia i Azja razem wzięte. Jej królowie utworzyli sojusz, który władał nie tylko swoją własną wyspą, ale także wieloma innymi krajami.* Platon przekazał także informację, że żeglarze z tego imperium przedostawali się na inne wyspy: *a z wysp na cały kontynent, który obejmował z drugiej strony ten prawdziwy ocean*<sup>291</sup>. Ocean, a więc nie Morze Śródziemne. Niezależnie od potencjalnej wiarygodności tego przekazu, pozwala on zakładać, iż egipscy kapłani, przynajmniej ci ze świątyni wojowniczej bogini Neit, w V wieku p.n.e. wiedzieli coś o istnieniu obu Ameryk ograniczających Atlantyk z *drugiej strony*. Ile to wieków przed Kolumbem? Przeprowadzone współcześnie symulacje dotyczące poziomu wód mórz i oceanów w epoce lodowcowej, poziomu wiele metrów niższego niż obecnie, zdecydowanie wykluczyły możliwość istnienia w przeszłości na Atlantyku lądu, który miałby być tak wielki jak *Libia i Azja razem wzięte* – ani nawet dużo mniejszego, jakiegokolwiek lądu. W tym miejscu warto przypomnieć stanowisko czeskiego geologa czwartorzędu, Zdenka Kukala, zawarte w raporcie z przeprowadzonych przez niego w 1984 roku wieloaspektowych badań dna na środkowym Atlantyku. Jak już wspomniałem w rozdziale XII, nie dopatrzył się on na tym obszarze żadnych zakłóceń regularnego pola magnetycznego Ziemi, występujących po impaktach. Stwierdził też, że ten akwen jest zbyt głęboki, żeby kiedykolwiek w historii mogła tam istnieć jakakolwiek dodatkowa wyspa. Nie odnajdziemy jej zresztą na żadnej kopii dawnych map. A jednak platońska wersja historii ma do dzisiaj wielu zwolenników. *Do grona atlantologów należeli i należą*

<sup>291</sup> Platon, *Timajos*, Warszawa 1986.

uczni, zwykli amatorzy-entuzjaści, artyści-pisarze, malarze, kompozytorzy, poeci: minister oświaty z czasów Mikołaja I, znawca starożytności, Abraham Norow i znakomity poeta XX wieku – Walery Briusow; jeden z pierwszych badaczy kultury przedkolumbowej Ameryki, opat Brasseur de Bourbourg i autor powieści fantastycznych Jules Verne; uczony-encyklopedysta jezuita Athanasius Kircher i etnograf-afrykanista Leo Frobenius; oceanograf Rene Malaise i pisarz Artur Conan-Doyle; humanista włoski Girolamo Fracastoro, szkocki etnograf Lewis Spence, rosyjski poeta Mikołaj Zabłocki i okultysta Scott Elliot; znany archeolog-historyk Bogajewski, założycielka Towarzystwa Teozoficznego Helena Bławatska i koryfeusz radzieckiej geologii akademik W. Obruczew...<sup>292</sup> Według szacunków A. Kondratowa tylko do roku 1920 ukazało się przeszło 1700 książek o charakterze naukowym, popularnonaukowym, par naukowym, a także i mniejszych utworów literackich poświęconych Atlantydzie. A w szacownej paryskiej Sorbonie powołano do życia Stowarzyszenie Studiowania Atlantydy, które grupuje badaczy na serio zajmujących się rekonstrukcją cywilizacji atlantydzkiej i wnikliwym porównywaniem kultur, które zachowały jej cechy. Do nich atlantolodzy zaliczyli (według Kondratowa): *starożytnych Egipcjan, Majów, Etrusków, Basków, Guanczów, Inków, Jorubów i innych*. Ciekawe czy wśród tych *innych* uwzględnili też starożytnych Sumerów, Azteków i Olmeków? Do atlantyckich cech zaliczono między innymi: *kult Słońca, mumifikację zwłok, pismo hieroglificzne oraz alfabetyczne, hołdowanie bogu morza, budownictwo piramid, dwunastomiesięczny kalendarz, ofiary z dziewic-kapłanek, obróbkę metali, budownictwo z wielkich bloków kamienia...*<sup>293</sup>

W drugiej połowie XX wieku mit o Atlantydzie reanimowała dwójka kanadyjskich pisarzy: Rand oraz Rose Flem-Ath. W ich przeświadczeniu położona między dwoma kontynentami Antarktyda, którą rysowano na kopiach starych map bez czapy lodowej (a więc nieco pomniejszoną), w pełni odpowiada opisowi Atlantydy w „Timajosie”. M. Baigent, autor książki „Ślady sprzed milionów lat”, tę teorię zrelacjonował tak: *Flem-Athowie przypuszczali, że koniec antarktycznej Atlantydy (domniemanej „matki” późniejszych cywilizacji) nadszedł, kiedy nastąpiło katastrofalne topienie lodowców, co wywołało potężne fale przyptywów na „światowym” oceanie. Wraz z rozprzestrzenianiem się wielkich mas zimnej wody nastąpiło obniżenie temperatury na całym świecie, co z kolei pociągnęło za sobą nagłe zamarzanie. Zwrócili uwagę, że na Syberii znajdowano zamarznięte mamuty, mające jeszcze świeżą trawę w żołądkach. Wszelkie formy życia na mniejszej (z racji braku lodowej czapy) Antarktydzie (Atlantydzie) spotkał*

<sup>292</sup> A. Kondratow, *Zaginione...*, op. cit., s. 21.

<sup>293</sup> Ibidem, s. 28, 29.

*ten sam los. Ci, którym udało się ocaleć, rozeszli się po całym świecie, niosąc ze sobą dar swojej wiedzy: rolnictwo, architekturę i astronomię*<sup>294</sup>. Zwolennikiem teorii Flem-Athów jest również Graham Hancock, szanowany badacz alternatywny, autor światowych bestsellerów. On też nie wyklucza, iż Antarktyda mogła być siedzibą tej zaginionej protocywilizacji, z której wywodzili się mędrcy-bogowie-kapłani implikujący tworzenie rozsianych po całym neolitycznym świecie teokratycznych struktur religijnych, a także złożonych organizacji społecznych. Wspominam tylko Hancocka, ale przecież koncepcja Flem-Athów, mimo, że niezmiernie daleko odbiega od relacji Platona (wszak Antarktydy nie zatopiła *w ciągu jednego złego dnia i jednej fatalnej nocy* toń oceanu), wywołała kolejną lawinę spekulacji na temat lokalizacji tej zaginionej wyspy i jej hipotetycznego istnienia. Zaowocowało to, rzecz jasna, setkami następnych publikacji. Oczywiście żaden z ich autorów nie przejął się specjalnie opinią K. Zieglera, którą wciąż przypominam, a mianowicie: *Pamięć ludzka, jeśli nie wspiera się na zapisach, jest zadziwiająco krótka (...) Po upływie 100 lat wszystko z reguły staje się mglistą legendą(...) Możliwość zachowania wiernego wspomnienia o katastrofie przez 10 000 lat, a więc przez 300 pokoleń, można uznać za wykluczoną*. A przecież żyjący w V-IV wieku p.n.e., filozof Platon relacjonuje zdarzenia, do których jakoby miało dojść 9000 lat temu z hakiem! Gdzie zatem mieściły się uniwersytety, ośrodki naukowo-badawcze lub inne centra oświatowe tych zagadkowych bogów-cywilizatorów-kosmitów poprzedzających narodziny atlantyckich kultur: *Egipcjan, Etrusków, Majów, Basków, Guanczów, Inków, Jorubów* i kilku innych, typowanych przez znawców z Sorbony?

Być może odpowiedź jest banalnie prosta – Atlantyda to ów „Smoczy ogon”, Ameryka Południowa, której tajemnice opisałem w poprzednim rozdziale. Wszak znajduje się za Słupami Heraklesa (co prawda daleko od Cieśniny Gibraltarskiej), jest: *większa niż Libia i Azja razem wzięte*, leży na Oceanie Atlantyckim, przynajmniej graniczy z nim wschodnim obrysem, a Pacyfik w czasach Platona niekoniecznie był przez kapłanów z Sais tak nazywany, no i, co już wykazałem, tysiące lat przed Platonem była to zagospodarowana i zurbanizowana, kwitnąca rolnicza kraina, utrzymująca rozległe kontakty ze światem. Ponadto, na płaskowyżach wysokich Andów w Puma Punku, Cuzco, Sascayhuaman, Ollantaytambo, w San Augustin, na szczycie Machu Picchu, w sąsiedztwie Samaipati i w jeszcze kilku innych, mniej znanych miejscach, zachowały się wyraźne ślady aktywności Czynnika X – owych mitycznych Atlantów lub kosmitów-cywilizatorów. Nie może być chyba zupełnym przypadkiem, że nie gdzie indziej, ale właśnie

<sup>294</sup> M. Baigent, *Ślady sprzed milionów lat*, AMBER, Warszawa 2000, str. 113, 114.

tu, na położonej na wysokości 3800 metrów n.p.m., rozległej boliwijskiej równinie Altiplano, w pobliżu Jeziora Poopó, połączonego rzeką z jeziorem Titicaca oraz miastem świątynnym Tiahuanaco, a także z rumowiskiem zdumiewających modułów kamiennych w Puma Punku, że tu właśnie (co wydaje się mało logiczne z racji tej wysokości n.p.m.) w Ameryce Południowej, około połowy IV tysiąclecia p.n.e., rozpoczęła się rewolucja agrarna. Rewolucja, która po kilku wiekach ogarnęła swoim zasięgiem cały kontynent. Co prawda Smoczy Ogon nie zatonął w *ciągu jednego złego dnia i jednej fatalnej nocy*, ale ów zagadkowy lud Atlantów albo kosmitów, mógł przecież ten gwałtowny los spotkać. Pamiętamy opinię profesora Posnansky'ego na temat katastrofy naturalnej w Puma Punku: *Potężne ruchy sejsmiczne spowodowały wylanie się wód jeziora (Titicaca) i wybuch wulkanu(...). Możliwe, że pękły brzegi jezior położonych wyżej i bardziej na północy (...). Ich wody runęły wówczas rwącym potokiem, zmiatając wszystko na swej drodze*. Gdy porównamy ten scenariusz z relacją Platona: *potężnie zatrzęsała się ziemia i zalały ją powodzie*, to wszystko staje się jasne – wersja platońska, jak to z mitami i plotkami bywa, może być nieco udramatyzowana (czytaj: przesadzona), bo nie o zatopieniu wyspy jest w niej właściwie mowa, a o raptownej zagładzie tej „matki” wszystkich cywilizacji.

Po tej niezbędnej, jak sądzę, zmianie lokalizacji mitycznej Atlantydy – z Antarktydy na Amerykę Południową, nie mogę wykluczyć, że Flem-Athowie przynajmniej w tym się nie mylili: *Ci, którym udało się ocaleć, rozeszli się po całym świecie, niosąc ze sobą dar swojej wiedzy: rolnictwo, architekturę i astronomię*. Choć przed tym kataklizmem mogło być odwrotnie, to do nich ludzie ze wszystkich stron świata przybywali po wszechstronną wiedzę, pomoc i wynalazki techniczne.

Czy ta niezwykła cywilizacja mogła wziąć się z kosmosu?

## XXII. Przybyli z gwiazd?

Prastare mity i legendy, a też te współczesne – paleoastronautyczne są zgodne: bogowie (kosmici) przybyli z nieba. Niektóre z zachowanych przekazów opisują nawet ich wygląd, dokładną liczbę, imiona, płeć i pełnione przez nich funkcje. Stacjonowali podobno w wielu miejscach globu. Poruszali się po niebie w ognistych wozach, rydwanach, w powietrznych barkach, na świetlistych tarczach, wimanach lub w trudnych do opisanie obiektach latających przypominających jakieś stwory: ptaki, smoki, pierzaste węże. Mity mówią, że dysponowali wiedzą i technologią, która zadziwiała, i że pozostawili ślady w postaci megalitycznych struktur z zapisaną w nich siecią matematycznych i astronomicznych kodów, którą dopiero teraz zaczynamy rozsupływać. Bogowie-przybysze z kosmosu współdziałali w grupach. Bywało, że toczyli między sobą wojny. Wiele mitów opowiada o bogach podobnych do ryb, węży, ptaków, owadów albo olbrzymów obdarzonych nadludzką siłą. Łączyli się ponoć z ludźmi, a zrodzone z tych związków potomstwo dało początek naszemu gatunkowi. Przekazali nam część swojej wiedzy i technicznych umiejętności przyczyniając się do cywilizacyjnego postępu. Ustanowili nienaruszalne – święte – prawa dla ludzkich społeczeństw, by sprawować nad nimi kontrolę. Byli pierwszymi królami-kapłanami. W późniejszym okresie mieli wpływ na wybór swych następców. Przez długie tysiąclecia władza pochodziła z Nieba. Do dziś ten archetyp mocno jest zakorzeniony w naszej mentalności, psychice i wyobrażeniach. Zanim odlecieli, obiecali, że kiedyś powrócą.

Tak w największym skrócie wyglądałaby historia ludzkości, gdyby z powagą traktować dawnych kronikarzy oraz współczesnych zwolenników paleoastronautycznej teorii. W przypadku tych ostatnich nie mam chyba innego wyboru, ponieważ ich wyobrażenia, wizje i wywiedzione z nich teorie generują przemysł pisania tysięcy popularnonaukowych książek i produkowania dokumentalnych filmów nieustannie zalewających nasze podatne na baśniowo-sensacyjne sugestie umysły.

## RYS HISTORYCZNY

Paleoastronautyka według definicji zamieszczonej w Wikipedii, to *Paranauka zajmująca się badaniem przeszłości ludzkiej cywilizacji w kontekście jej kontaktów z cywilizacjami pozaziemskimi. Jej główna hipoteza zakłada, że niegdyś lub wciąż istniejąca cywilizacja, bądź cywilizacje pozaziemskie kontaktowały się w przeszłości z ludźmi, wywierając wpływ na ich rozwój i kulturę lub nawet sztucznie powołując gatunek ludzki do istnienia*. Przypomnę, iż korzenie paleoastronautyki, przez Jacobiego nazywanej kosmoteizmem, sięgają epoki Oświecenia. Jej pierwszymi zwolennikami byli: Thomas Paine – angielski pisarz i myśliciel, autor „Zdrowego rozsądku” i „Wieku rozumu”, z przekonania deista; Benjamin Franklin – drukarz, polityk, wolnomularz, uczony, także filozof, podobnie jak Paine, z przekonania deista; Thomas Jefferson – prawnik i architekt, trzeci prezydent USA, działacz niepodległościowy, archeolog amator; William Herschel – astronom, odkrywca Urana; Jules Verne – pisarz i dramaturg uznawany za protoplastę fantastyki naukowej, także działacz społeczny, kawaler Orderu Legii Honorowej; Herbert George Wells – pisarz *science fiction*. Entuzjastami tej teorii było również wielu ówczesnych masonów (zastrzegam, iż słowa: „mason” oraz „deista” nie wywołują we mnie złych emocji). Obecnie do najbardziej znanych postaci tego nurtu należą: Erich von Däniken – hotelarz, badacz alternatywny, autor światowych bestsellerów, oraz David Hatcher Childress, Robert Charroux, Giorgio A. Tsoukalos, Linda Moulton Howe, Zecharia Sitchin, Louis Pauwels, Jason Martella, George Noory, David Wilcock, Lucjan Sawicki (publikujący pod pseudonimem „Znicz”), Bill Birnes, George Hunt Williamson i wielu innych, mniej znanych badaczy alternatywnych.

Przyznam, że popularność tej teorii specjalnie mnie nie dziwi, bo jak przykładowo racjonalnie wytłumaczyć: dlaczego niemal wszystkie kultury pojawiały się nagle, bez żadnych faz wstępnych i pośrednich, w pełni rozwinięte? Albo jak sensownie odnieść się do kopii starożytnych map sporządzonych (przypominam ekspercką opinię Lorentzo Burroughs’a, szefa Sekcji Kartograficznej VIII Oddziału Rozpoznania Technicznego z bazy w Westover) z *wykorzystaniem odwzorowania stereograficznego lub środkowego*, a więc takiego: *które wymaga znajomości trygonometrii przestrzennej*. Planisfer uwzględniających linię brzegową lądów z okresu epoki lodowcowej, z naniesionymi w przyjętej skali siatkami południków! Kto je wykorzystywał, skoro według oficjalnych uczonych nikt w tamtym czasie nie podejmował transoceanicznych wypraw? Albo, jak rozwiązać techniczną zagadkę przemieszczania w zamierzchłej przeszłości (często w podmokłym i grząskim albo górzystym terenie) ważących dziesiątki i setki ton kamiennych głazów, z których transportem nawet współczesna technika miałaby problem. Przyznam, że dotychczasowe

tłumaczenia są dla mnie mało przekonujące. Nie tylko zresztą dla mnie, bo dla Kurta Vonneguta (autora „Rzeźni nr 5”) również. Z braku logicznych wyjaśnień zaproponował on własną, przewrotną hipotezę: *Piramidy i Stonehenge zbudowano w czasach słabowitej grawitacji, kiedy blokami skalnymi można było rzucać jak poduszkami, i ludziom strasznie się to podobało*<sup>295</sup>. Mogę to tylko skwitować kolejnym z niego cytatem: *bim-bam-bom*<sup>296</sup>. Idąc tym tropem, pozwolę sobie na równie sarkastyczną uwagę, iż w tamtych czasach nie tylko grawitacja była minimalna, ale również struktura skał przypominała ewidentnie plastelinę, bo jak inaczej racjonalnie tłumaczyć technologiczną zagadkę konstrukcji cyklopich murów w Sacsayhuaman, Ollantaytambo i na podniebnym szczycie Machu Picchu (przypisywanych niesłusznie Inkom przez archeologów głównego nurtu). Wszystko to jest tak dziwaczne i zagadkowe, że trudno całkowicie wykluczyć hipotezy, iż w starożytności technologia i technika były dziełem przybyszów z jakiejś innej planety.

Przyjęcie scenariusza historii uwzględniającego ingerencję kosmitów jest literacko bardzo pociągające, ale niestety rodzi natychmiast szereg niezmiernie kłopotliwych pytań, bo, jak kiedyś słusznie napisał Goethe, *Każde rozwiązanie problemu zawiera nowy problem*. Przyjmując bowiem założenie, że było to prawdopodobne, w pierwszej kolejności musimy ustalić, skąd domniemani kosmici przybyli? Z jakiego powodu? Jak tego dokonali? I wreszcie – Kim byli?

## SKĄD KOSMICI PRZYBYLI?

Jeżeli już na początku odrzucimy, jako zbyt absurdalne, hipotezę marsjańską, podróże w czasie i to, że mogli pochodzić z innej galaktyki, to pozostają tylko konstelacje naszej Drogi Mlecznej. Najwięcej poszlak wskazuje na cztery lokalizacje:

1. Okolice Syriusza – najjaśniejszej po Słońcu gwiazdy nieba widzianego z Ziemi, wchodzącej w skład gwiazdozbioru Wielkiego Psa, zwanej Psią Gwiazdą;
2. Gromada otwarta zwana Plejadami, znajdująca się w obrysie łba byka, w Konstelacji Byka;
3. Konstelacja Łabędzia czyli Krzyż Północy;
4. Konstelacja Oriona, a dokładniej jego Pas utworzony przez trzy blisko siebie położone na firmamencie gwiazdy: Alnitak, Alnilam oraz najślabiej z nich świecącą Mintakę.

<sup>295</sup> K. Vonnegut, *Trzęsienie czasu*, AMBER, Warszawa 1997, s. 193.

<sup>296</sup> Ibidem, s. 193.

## 1.

Za Syriuszem przemawia dzieląca go od nas stosunkowo niewielka odległość – 8,6 roku świetlnego. W starożytnym Egipcie nosił imię Sotis. Był świętą gwiazdą o ogromnym znaczeniu dla tamtejszej cywilizacji. Tak był ważny, że według niego (a nie Słońca albo Księżyca) stworzono kalendarz, co wydaje się dziwne. Reguluje się go według wschodu tej znaczącej gwiazdy. Pierwszy Tot wypada 19 lipca. Znaleziony w Egipcie starożytny kalendarz podaje cykle roczne aż od 32 tysięcy lat wstecz! Pewnie nigdy nie zrozumiemy, czym starożytni Egipcjanie się kierowali, opracowując tak niepraktyczny sposób porządkowania czasu.

Nie dowiemy się również, skąd Dogoni z Mali wiedzieli o istnieniu niewidzialnego towarzysza tej gwiazdy – białego karła nazwanego przez astronomów Syriuszem B. Że to wiedzieli, ustalili etnografowie, a potem wycofali się z tego odkrycia i przeszli na z góry upatrzone, bezpieczne pozycje naukowe, bo przecież Syriusza B można dostrzec tylko przez duże teleskopy! Kto Dogonom przekazał taką wiedzę? Na marginesie dodam, że przypuszczalnie istnieje jeszcze jeden obiekt wchodzący w skład zespołu Syriuszy, o którym plemię Dogonów kompletnie nic nie wie. Jest to mała gwiazda lub masywna planeta zakłócająca tor ruchu tamtych. Czym jest ów obiekt, dowiemy się nie wcześniej niż za jakieś 300 tysięcy lat. Wtedy, gdy sonda *Voyager 2* minie oba Syriusze i to trzecie ciało niebieskie w odległości niespełna 4,2 lat świetlnych, i w tej kwestii nas oświeci. Choć śmiem wątpić, żeby do tego czasu jeszcze sprawnie działała, a i przetrwanie gatunku *Homo* do tego momentu też nie jest zagwarantowane.

Astronomiczny kalendarz Majów był stanowczo bardziej praktyczny od egipskiego, bowiem oparto go zasadniczo na Układzie Słonecznym, ale i on, z niezrozumiałych powodów, skrupulatnie uwzględniał położenie Syriusza i Konstelacji Oriona.

## 2.

W pobliżu wsi Kokino w północno-wschodniej Macedonii, na zboczu góry Tatikew Kamen, w 2001 roku odkryto megalityczne obserwatorium astronomiczne, datowane na mniej więcej 1800 rok p.n.e. Umieszczono je na dwóch wystęпах skalnych położonych na różnych wysokościach. W zachodniej części stoją w rzędzie cztery kamienne „trony” zorientowane w kierunku północ-południe, co pozwalało usadowionym na nich ludziom obserwowanie przemieszczających się wzdłuż wyższej platformy ciał niebieskich. Siedem precyzyjnie wyciętych w blokach skalnych wgłębień

służyło do ustalania wschodu Słońca i Księżyca w trakcie przesilen letniego i zimowego oraz równonocy jesiennej i wiosennej, także do wyznaczania kalendarza lunarne. Obserwatorium to zajmowało się też śledzeniem ruchu Plejad.

Podobne kamienne „trony” przeznaczone do obserwacji Księżyca, Słońca oraz gromady otwartej Plejady odnaleziono w Grecji, Włoszech, Peru i w kilku innych miejscach.

Plejady z pewnością były ważne i dla Sumerów, ponieważ obok danych odnoszących się do konstelacji Wielkiego Wozu znalazły się w pierwszych znanych nam zapiskach pismem klinowym na glinianych tabliczkach – w notacjach świadczących o dokonanych podziale nieba na konstelacje. Co więcej, te wyodrębnione grupy gwiazd uwieczniano tam na słupach granicznych i na pieczęciach. Kto wie, może jako informację o pochodzeniu władających tymi ziemiami kosmitów-bogów?

Oddalone od Ziemi o 444 lata świetlne Plejady nazywano w różnych kulturach i regionach świata Siedmioma Siostrami, Babami, Kurczętami, Kokoszkami albo Kościołem Masońskim (najwidoczniej również masoni przywiązywali do nich znaczenie). Plejady w mitologii greckiej były córkami tytana Atlasa – Atlantydami. Po ich samobójczej śmierci Zeus przeniósł je na niebiański firmament.

### 3.

Konstelacji Łabędzia z moich rozważań wykluczyć nie mogę głównie za sprawą grobowca korytarzowego Newgrange nad rzeką Boyne w Irlandii, pochodzącego z 3150 roku p.n.e., starszego więc od Wielkiej Piramidy. W opinii kilku alternatywnych badaczy zbudowano go w oparciu o kształt tej konstelacji, zwanej też Krzyżem Północy. Jego komora wewnętrzna ma kształt krzyża. Odpowiednio więc, opatrzone kamieniem z potrójną spiralą wejście do tego grobowca – dziób Łabędzia, to przepiękna podwójna gwiazda Albireo. Centrum świątyni uosabia gwiazda Sadr, a jej wierzchołek to nadolbrzym Deneb. Końce ramion krzyża wieńczą gwiazdy Gienah i Cyg. Grobowiec przez cały rok zatopiony jest w gęstym mroku, jedynie w dniu przesilenia zimowego, przez ledwie kwadrans, jego korytarze rozświetlają promienie słońca: umożliwiają one duszom zmarłych (których doczesne szczątki umieszczano w trzech kamiennych misach) podróż do innego, zapewne lepszego świata. Takich megalitycznych świątyń, zorientowanych na podobieństwo gwiazdozbioru Łabędzia, odkryto więcej.

Przypomnę, iż według greckiej mitologii Zeus pod postacią łabędzia miał pikantny romans z królową Sparty – Ledą. W jego wyniku zniósł-

-urodziła ona dwa jaja. Z pierwszego wykłuli się bliźniacy Kastor i Polluks, a z drugiego Helena Trojańska.

#### 4.

Wiele świątynnych budowli rozsianych po wszystkich kontynentach nawiązuje do Pasa Oriona, choć jest on przecież oddalony od Ziemi o niebagatelne 1550 lat świetlnych. Dlatego w tych rozważaniach pominąć go nie sposób.

Najpełniejsze odniesienie do układu gwiazd Alnitak, Alnilam i Mintaki odnajdziemy w Egipcie w rozmieszczeniu trzech Wielkich Piramid: Chufu (Cheopsa), Chafre (Chefrena) oraz najmniejszej z nich – Menkaure (Mykerinosa). Ponadto układ zespołu tych budowli względem Nilu bardzo sugestywnie odtwarza (w odpowiedniej skali) usytuowanie Pasa Oriona względem Drogi Mlecznej z roku 10 450 p.n.e. Egipcjanie twierdzili, że to z tej konstelacji przybyli bogowie. Pas Oriona uosabiał w ich wierzeniach duszę Ozyrysa.

Także w Teotihuacán („Miejscu, w którym ludzie stają się bogami”), zbudowanym ponoć przez olbrzymów zwanych *quinametín*, pośród wielu innych zabytków pochodzących (według uniwersyteckich archeologów) z pierwszych wieków naszej ery, znajduje się zespół piramid usytuowany w identyczny sposób jak kompleks w Gizie. Majowie twierdzą, że w dniu stworzenia świata pojawiły się w tym świętym miejscu trzy kamienne trony należące do trójki przybyłych na Ziemię bogów. Odpowiadały one trzem najjaśniejszym gwiazdom z Pasa Oriona. Również układ trzech piramid w Palenque miał upamiętniać to doniosłe wydarzenie.

Dodam, iż podobieństwa do Pasa Oriona możemy się też doszukać w pochodzącym sprzed przeszło 5 tysięcy lat neolitycznym kompleksie Thornborough Henges, znajdującym się w hrabstwie Yorkshire w Anglii.

Natomiast całą konstelację Oriona podobno dokładnie odwzorowuje rozmieszczenie kompleksu wiosek Indian Hopi (rdzennych mieszkańców Arizony). Hopi wierzą, że ich przodkowie przybyli z konstelacji Syriusza. Co dziwić raczej nie powinno, bo przecież w greckiej mitologii Orion, syn Posejdona, był myśliwym zakochanym w córkach Atlasa – Plejadach. Wraz ze swoim psem – Syriuszem goni je po nieboskłonie. I tak aż trzy z proponowanych przeze mnie lokalizacji splotły się w jednym micie.

## PRZYCZYNA ICH MIGRACJI

Powyżej Pasa Oriona w tym gwiazdozbiorze znajduje się Betelgeza – czerwony olbrzym zmierzający do swojego kresu. Może eksplodować

w rozbłysku supernowej dziś, za sto tysięcy lat, mogło to nastąpić tysiące lat temu. Od dawna zagraża całej okolicy – tamtejszym gwiazdom, planetom i ewentualnym formom życia je zamieszkującym. W konstelacji Łabędzia do takiej gigantycznej eksplozji doszło już przed jakimiś 10 tysiącami lat, czyli stosunkowo niedawno, o czym świadczy piękna Mgławica Cirrusowa (pozostałość po tej supernowej) zwana też Pętlą Łabędzia. Z kolei jedna z „siostr” Plejad to układ podwójny zwany Aldebaranem – czerwony olbrzym i karzeł również bliskie swojego końca. Natomiast w Konstelacji Byka jest Mgławica Kraba, ślad po supernowej, którą chińscy astronomowie zaobserwowali i odnotowali w 1054 roku n.e. Ten rozbłysk był ponoć widzialny nawet w ciągu dnia. Okolice układu Syriusza wydają się nieco bardziej stabilne, nie zmienia to jednak mojego przekonania, że prawdopodobną przyczyną migracji domniemanych gości z kosmosu mogła być ich egzystencjalnie trudna sytuacja.

## JAK TEGO DOKONALI?

Z powodu ogromnych odległości, aby do nas dotrzeć, przybysze z innych planet musieliby dysponować techniką opartą na pozyskiwaniu energii ze źródeł, o których pewnie nie mamy bladego pojęcia (mnie przychodzi na myśl abstrakcyjna koncepcja ujarzmienia pól elektromagnetycznych). Trudno też sobie wyobrazić podróżowanie z prędkościami większymi od prędkość światła. Teleportacja możliwa jest obecnie tylko w bajkach. Zwolennicy teorii o starożytnych astronautach gubią się w domysłach, powołują na Einsteina i jego teorię względności, która nie wyklucza istnienia i konstruowania tuneli czasoprzestrzennych. Niestety, kosztem gigantycznych porcji energii. Albert Einstein wraz z Nathanem Rosenem już w 1935 roku taki model teoretycznie wyliczyli. Nazwano go *Mostem Einsteina-Rosena* lub *Tunelem Schwarzschilda*, od nazwiska astrofizyka, który tym zagadnieniem też się zajmował. Intrygujące, że już Wikingowie wierzyli w astralne połączenia Ziemi z innymi światami. Bifröst w ich mitologii był płonącym, tęczowym mostem, przerzuconym między naszym światem (*Midgardem*) i ojczyzną bogów (*Asgardem*). Niestety, według Wikingów Bifröst zostanie bezpowrotnie zniszczony – zapadnie się w trakcie Ragnaröku – wojny między bogami i gigantami – zawali się pod ciężarem tych ostatnich oraz towarzyszących im potworów. Oba te światy ulegną wtedy niemal doszczętniej zagładzie.

W peruwiańskich Andach, około 100 kilometrów na północny zachód od Cuzco, na wysokości przeszło 2100 metrów n.p.m. znajdują się XV – wieczne (według datowania oficjalnych badaczy), inkaskie ponoć, w co

nie wierzę, ruiny Machu Picchu. Zespołu świątyń i pałaców. Wśród wielu innych budowli, w południowo zachodnim rogu centralnego dziedzica, twórcy tego kompleksu zbudowali Świątynię Trzech Okien. Składa się z trzech trapezoidalnych otworów umieszczonych w kamiennym murze. Murze tak pomyślanym, by promienie wschodzącego Słońca podczas przesileni letnich padały dokładnie na te wnęki. Kilku badaczy sądzi, że świątynia upamiętnia mit o trzech braciach przybyłych na Ziemię przez trzy otwory, w domyśle portale czasoprzestrzenne, które otworzyły się w zboczu góry. Według inkaskiego mitu trzej bracia – dzieci boga Słońca, Wirakoczy, przybyli z niebios, żeby edukować tutejszą ludność.

Peruwiańskie Andy pełne są również innych tajemnic. Odnajdziemy tam między innym wykute w skale trapezoidalne drzwi zwane Aramu Muru („Bramą bogów”), prowadzące według Indian do innych wymiarów.

Podobne „Wrota bogów” miały się podobno też znajdować w pobliżu meksykańskiego Casas Grandes, w pochodzącym z XIII wieku mieście Paquime w górach Sierra Madre. Według przekazywanej tradycji było to święte miejsce, w którym pojawili się przed wiekami wysocy, jasnowłosi „gwiazdni” ludzie. Wyłonili się z otworów kształtem przypominających te z Peru. Cztery wieki później cała ludność Paquime (przeszło 10 tysięcy) gdzieś się zapodziała – wyparowała. Przypuszczalnie udali się do piekła – pomyślałem, bo przecież istnieją legendy, w których drzwi prowadzące do innych wymiarów tudzież światów nazywa się „Wrotami piekieł”. Takie wrota zagradzające wejście do jaskini zwanej Plutonium odkryto w 2013 roku w Pamukkale, w Turcji. Znajdują się tam ruiny frygijskiego miasta i sanktuarium zwanego Hieropolis, datowanego na III wiek p.n.e. Według tamtejszych podań wrota Plutonium wiodły do innego świata, a wejścia strzegła Kybele. Wpuszczała do podziemi tylko wybranych.

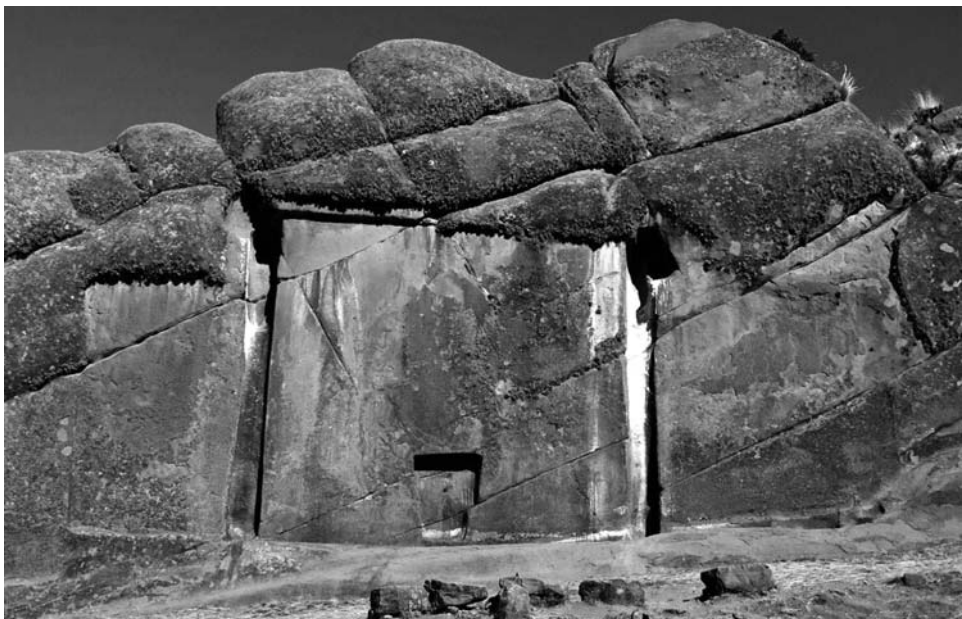
Niektórzy zwolennicy paleoastronautycznej teorii głoszą, iż portalem czasoprzestrzennym mogły być także: inkaska Brama Słońca, brytyjskie sanktuarium Stonehenge, jezioro Michigan w USA i Morze Sargassowe (zwłaszcza ten jego wycinek, który styka się z Trójkątem Bermudzkim). Doprawdy nie wiem, jak do tych wyobrażeń się odnieść. Przypominam, że ja tu tylko dedukuję, by nie powiedzieć – sprzątam.

Pozostało jeszcze jedno przypuszczenie, z pozoru irracjonalne, lecz zdecydowanie najprostsze – astronauta bardzo długo żyli. Niemożliwe? Czemu nie? Wystarczy przecież zerknąć na zapisaną pismem klinowym listę królów Sumeru – domniemanych bogów-kosmitów. Rządy ośmiu pierwszych sumeryjscy kronikarze oszacowali na niebagatelne 241 200 lat! Przykładowo: Alulim, pierwszy władca Eridu rządził 28 800 lat, jego następca Alagar 36 000 lat. W porównaniu z nami byli niemal

nieśmiertelni, mogli zatem odbywać długodystansowe, międzygwiazdne podróże bez korzystania z portali czasoprzestrzennych, mostów, tuneli albo diabelskich wrót... Rzecz jasna pod warunkiem, że dysponowali niemal wiecznotrwałym, bezawaryjnym sprzętem.



Megalityczne obserwatorium astronomiczne datowane na około 1800 lat p.n.e., znajdujące się w sąsiedztwie wsi Kokino na zboczu góry Tatikew Kamen w Macedonii. Zdjęcie górne to cztery „trony”, z których dokonywano obserwacji ruchu ciał niebieskich, a dolne to siedem wgłębień w blokach skalnych służących do ustalania wschodu Słońca i Księżycy w trakcie letnich i zimowych przesileń.



Aramu Muru („Brama Bogów”) w peruwiańskich Andach.

## XXIII. Czynniki X

Nauka dopuszcza możliwość ewolucji życia na innych niż Ziemia planetach, nawet formowania się na nich rozwiniętych cywilizacji. Tylko w naszej galaktyce może ich istnieć od kilkunastu do wielu milionów. Ich szacunkowa liczba zależy od surowości kryteriów, które przyjmujemy dla możliwości rozwoju organizmów żywych. Jeżeli założymy, że warunki muszą być identyczne jak ziemskie, to ich liczba będzie znikoma, lecz jeśli kryteria złagodzimy uznając, że warunki mogą być tylko przybliżone, to ilość tych domniemyanych cywilizacji diametralnie wzrośnie. Wiele z nich może być od naszej starszych, ponieważ Słońce jest stosunkowo młodą gwiazdą. Z dużym prawdopodobieństwem można więc założyć, iż wyprzedziły *Homo sapiens* w rozwoju nawet o miliony lat. Niektóre z nich znajdują się w formatywnym stadium rozwoju, wiele jest na wyższym niż nasz poziomie, a zdecydowana ich większość już dawno wymarła.

### TEORIA MARTINA REESA

Przywykło się myśleć o kosmitach jako o podobnych do nas żywych organizmach. Tymczasem niekoniecznie tak być musi.

Jako pierwszy zwrócił na to uwagę poważany w kręgach naukowych astrofizyk, profesor Martin Rees, który po przejściu na emeryturę zajął się rozwikłaniem tego ciekawego zagadnienia. Z grubsza oszacował, iż procesy ewolucyjne na Ziemi trwały miliardy lat nim wyodrębnił się *Homo sapiens* – gatunek potrafiący analitycznie myśleć. Następne setki tysięcy lat upłynęło zanim ten gatunek osiągnął zaawansowany stopień rozwoju. A potem? Potem dokonało się błyskawiczne, trwające zaledwie dwa-trzy stulecia, co w skali kosmicznych miar jest niedostrzegalne, przejście od etapu maszyn parowych oraz telegrafu do cybernetyki – komputeryzacji umożliwiającej tworzenie zaawansowanych robotów, czyli SI – sztucznej inteligencji. W opinii prof. Martina Reesa, im ta SI jest doskonalsza, tym bardziej stajemy się od niej zależni. Najprościej to ujmując – większość z nas nie rozumie działania komputerów, ale potrafi się nimi posługiwać,

co czyni bardzo chętnie, bo ewidentnie usprawniają one i uatrakcyjniają nasze życie. Pełnią również ważną rolę baz danych, czyli wspomagania pamięci, co oznacza, że zaczynają zastępować niektóre funkcje naszych mózgów. Z tych powodów sukcesywnie podwyższamy ich złożoność, wszechstronność i wydajność, a w konsekwencji prowadzi to do tego, że sztuczna inteligencja rozwija się w szalonym tempie, biologiczna natomiast, która ją stworzyła, popada w regres – degeneruje się – „głupieje”. Rees przewiduje, że w krótkim czasie kilku dosłownie dziesięcioleci (wszak proces ten ma niesamowicie dynamiczny przebieg) inteligentne roboty osiągną na tyle wystarczająco wysoki poziom zaawansowanego rozwoju, by najpierw nas zdominować, zmarginalizować, zastąpić w wielu obszarach, a na koniec (czego wykluczyć nie można) całkowicie wyeliminować jako już nieprzydatną (czytaj: gorszą) formę egzystencji. Podobnie jak my uczyniliśmy z większością innych gatunków zwierząt. Rees sądzi, że ten schemat ewolucyjnych przemian może być wszędzie w kosmosie regułą. Ponadto, z dużym prawdopodobieństwem można też zakładać, dodam od siebie, że wysoko zaawansowane roboty wykonane z trwałych materiałów, mogą funkcjonować wielokrotnie dłużej niż biologiczne organizmy. Mogą działać nawet w skrajnych warunkach skażenia środowiska, braku tlenu i warstwy ozonowej, wysokich oraz niskich temperatur, podwyższonego ciśnienia, nieważkości, radioaktywności, itp. Na koniec z żalem muszę stwierdzić, że z ogólnej teorii ewolucji Reesa wynika, iż prawdopodobieństwo zetknięcia się ludzi z kosmiczną formą wysoko rozwiniętej sztucznej inteligencji robotów jest wielokrotnie większe niż z jej twórcami – żywymi organizmami.

## ŚLADY POZOSTAWIONE PRZEZ OBYCH

Teoria Reesa znacznie uprawdopodobnia możliwość pojawienia się obcej formy inteligencji na Ziemi, a zatem i paleoastronautyczną teorię, bo przecież zaawansowana w rozwoju SI z pewnością może odbywać długodystansowe podróże kosmiczne. A najlepszym dowodem na tezę, że domniemani kosmici-bogowie, o których mówią liczne legendy, to były roboty (reprezentujące nieznaną nam formę życia), są zdumiewające budowle kamienne – techniczne konstrukcje pozbawione wszelkich ozdób i inskrypcji, do których wciąż w swoich rozważaniach powracam, czyli:

Kilkusettonowe andezytowe moduły, sprowadzone do Puma Punku z oddalonej o 80 kilometrów od tego miejsca Cerro Capira (wulkanicznej góry), przemysłnie łączone metalowymi klamrami (zapewne odlewanyymi z przerośniętych hutniczych tygli). No, i nie zapominajmy również o znaj-

dującym się tu arcyzagadkowym obiekcie wykonanym z bloku porfiru, nazywanym przez miejscowych El Escritorio, czyli „Biurko”.

Cyklopie mury Cuzco i tzw. „twierdzy” Sascayhuaman (przynajmniej ich dolne warstwy) utworzone z ogromnych megalitów tak spasowanych – zespalanych ze sobą, że kartki nie da się w te łączenia wcisnąć.

Kilka budowli w Ollantaytambo, przez archeologów przypisywanych niesłusznie, jak przypuszczam, Inkom. Zwłaszcza konstrukcja złożona z sześciu ogromnych kamiennych płyt, cudem jakimś tam włączonych, o wadze nie mniej niż 50 ton każda.

Czynnikowi X można też przypisać autorstwo niektórych obiektów w Machu Picchu oraz geometrycznej niszy ze Świątyni Coricancha.

Doprawdy, nie mam pojęcia, czy do dzieł stworzonych przez obcą SI zaliczyć także wycięte w skale wgłębienia w kształcie równoległych szyn, stopni, basenów, platform, zbiorników, kolistych fundamentów lub może innych industrialnych struktur zwanych El Fuerte – fort (zapewne z braku lepszej nazwy?), znajdujących się na szczycie boliwijskiej góry w pobliżu Samaipata. Datowane przez archeologów (żartem chyba?) na 1430 rok.

W innych miejscach globu też można by się dopatrzeć działalności tej formy pozaziemskej sztucznej inteligencji. Na przykład w sąsiedztwie wyspy Yonaguni w prefekturze Okinawa, gdzie ekipa japońskich archeologów pod kierunkiem Masaaki Kimury z Uniwersytetu Riukiu przeprowadziła kilkuletnie badania podwodne. Przedmiotem ich zainteresowania była zatopiona budowla: *Wyglądem przypomina nieco piramidę schodkową ze świętym wierzchołkiem* (stwierdził Kimura w wywiadzie udzielonym pismu „Ancient American” w 2001 roku); *jest podobna do cokołu. Rozmiary podstawy wynoszą 250 metrów wzdłuż osi wschód-zachód oraz 150 metrów wzdłuż osi północ-południe. Ma kształt prostokąta, wysokość od podstawy do szczytu sięga 26 metrów, podstawa zanurzona jest 25 metrów pod wodą, zatem nad poziom wody wystaje tylko jeden metr*<sup>297</sup>. Dookoła tej konstrukcji biegnie „ulica”, są tam również inne ślady budowlanej aktywności: *Na gładkim licu skał widoczne są w wielu miejscach ślady narzędzi. Jest tam coś, co przypomina kanał odpływowy biegnący z góry do dołu. Ponadto ściany zbiegają się pod kątem bardzo zbliżonym do 90 stopni. Ciągną się one na odcinku kilkudziesięciu metrów w kilku miejscach. To, co znajduje się na zewnątrz, przypomina schody, nie tylko od strony południowej, lecz także od pozostałych. Północna strona obiektu najwyraźniej wskazuje na rękę człowieka (lub jest przejawem działania maszyn, dodam od siebie). Co więcej, część budowli ma formę kamiennych stopni*<sup>298</sup>. Ten wycięty

<sup>297</sup> F. Joseph, *Tajna archeologia dawnej Ameryki*, AMBER, Warszawa 2009, s. 108.

<sup>298</sup> Ibidem, s. 107.

z jednorodnej skały kamienny artefakt, w opinii japońskich archeologów, mógł pełnić funkcję warowni, miejsca kultu, kamieniołomu albo piramidy. Znalezione tam również szereg skalnych bloków dwa razy większych od człowieka, ułożonych regularnie wzdłuż linii prostej, tworzących rodzaj ściany lub muru. Wyłowiono też z wody zagadkowe kamienne tabliczki (z pewnością wykonane ludzką ręką) z wyrytymi na nich symbolami lub znakami przypominającymi nieco litery. Wśród nich relief na ogromnym kamieniu, przedstawiający sylwetkę dziwnego zwierza. Ponadto:

W odległej o 2,5 kilometra od Arakawabany, znajdującej się obok podwodnego stanowiska Yonaguni, w pobliżu miejscowości San'ninu-dai, znaleziono na łądzie podobną do tej zatopionej formację wykutych w skale tarasów, a także relief postaci ptaka stylistycznie pokrewny do tego zatopionego petroglifu zwierzęcia. Profesor Kimura ostrożnie szacuje (bo inaczej mu nie wypada, jako przedstawicielowi oficjalnego nurtu nauki), iż konstrukcje w pobliżu wyspy Yonaguni zatonięły jakieś 3000 lat p.n.e., lub jeszcze wcześniej, w wyniku globalnego ocieplenia, gdy poziom wód podniósł się w różnych rejonach świata o kilkadziesiąt do nawet 130 metrów. Swoją opinię oparł na fakcie, że w tym rejonie nie stwierdzono dowodów na występowanie ruchów skorupy ziemskiej, które mogłyby spowodować osunięcie się tego fragmentu lądu w morze. Jego szacunki są ostrożne, ale i tak odpowiadając na pytanie dziennikarza z „Ancient American”: *Załóżmy, że ta struktura skalna oficjalnie zostanie uznana za zatopiony artefakt. Jakie miałyby to znaczenie?*, Kimura bez wahania stwierdził: *Historia człowieka, dzieje cywilizacji musiałyby zostać napisane na nowo ze względu na istnienie tego rodzaju kamiennej konstrukcji w Azji Wschodniej, w bardzo zamierzczłych czasach*<sup>299</sup>.

Według mnie historia musi być napisana na nowo też z wielu innych powodów, które opisuję w tej książce. Niestety nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, czy struktury w pobliżu Yonaguni powinniśmy przypisać do spuścizny światowego megalityzmu (z uwagi na odkryte tam petroglify), czy może jednak są dziełem tego pozostającego zagadką Czynnika X?

Warto też zauważyć, że w innej japońskiej miejscowości – Masuda No Iwafune, w rejonie Asuka, odkryto owalną, kamienną bryłę, z wyciętą w jej wnętrzu parą prostokątnych gniazd przeznaczonych, jak się zdaje, do mocowania w nich czegoś, może filarów?

Wszystkie wymienione wyżej artefakty łączy i cechuje perfekcja wykonania przy wykorzystaniu zdumiewających technik oraz technologii najwyższej klasy, nijak niepasujących do epoki brązu. Ponadto budowle te sprawiają wrażenie obiektów industrialnych, a nie artystycznych lub religijnych. Struktur stworzonych przez racjonalne, praktyczne roboty, a nie przez

<sup>299</sup> Ibidem, s. 110.

żywe istoty kierujące się emocjami, uczuciami, wyobrażeniami, poczuciem estetyki i egotyzmem. Budowniczkowie nie zdobili ich w żaden sposób, ani ich nie opatrywali inskrypcjami. Pewnie nie odczuwali takiej potrzeby... Albo ich program zachowań tego nie uwzględniał.

Z poprzednich rozdziałów wiemy, że istnieją bardzo mocne poszlaki uprawniające do przypuszczeń, że w różnych kulturach i rejonach świata Czynniki X mógł mieć znaczący wpływ na rozwój wiedzy i kształtowanie idei, a także mógł w jakimś stopniu uczestniczyć w realizacji niektórych przedsięwzięć budowlanych. Na przykład w Egipcie. Myślę tu zwłaszcza o zastosowaniu niezwykle wydajnych i wytrzymałych pił tarczowych oraz rurowych przy wznoszeniu egipskich piramid za czasu IV dynastii. Wielce zagadkowe są także warstwy miki znalezione w piramidach Teotihuacán (miasta, „gdzie ludzie stawali się bogami” – przypomnę), a sprowadzonej z oddalonej o niebagatelne 3000 kilometrów Brazylii. To, w jakim celu je w piramidach umieszczano, pozostaje zagadką. Równie zagadkowe jest jezioro rtęci odnalezione pod tamtejszą Piramidą Słońca przez zespół archeologów pracujący pod kierunkiem Sergio Gomeza. Wiemy tylko tyle, że rtęć w postaci płynnej nie występuje w przyrodzie, czyli była tu wytwarzana. I wiemy też, że jest ona pierwszym z odkrytych półprzewodników.

Te i wiele innych zdumiewających artefaktów pochodzących z czasu neolitu, nie da się najzwyczajniej tłumaczyć inaczej niż współpracą ludzi z niezwykle rozwiniętą, być może pozaziemską cywilizacją.

Zdaję sobie sprawę, że jako zwolennik teorii Martina Reesa i twórcza hipotezy dopuszczającej możliwość ingerencji obcej SI czyli Czynnika X w procesy społeczno-kulturowe dokonujące się w przeszłości na Ziemi, w pewnym sensie (ograniczonym do tego czynnika) wspieram też swoimi przypuszczeniami teorię o starożytnych astronautach. Stanowczo zatem zastrzegam, że w mojej ocenie, przytłaczająca większość wyznawców tej hipotezy, w poszukiwaniu niezbitych dowodów posuwa się często o wiele za daleko w swoich domysłach. Przejawia się to zwłaszcza w zbyt dosłownym interpretowaniu mitów, legend i innych starych przekazów.

## KOSMICI, A MITOLOGICZNE PRZEKAZY

Zakładam, a argumentów na to można zebrać niezliczoną ilość, że zdecydowana większość mitografów ograniczała się do przetwarzania – kompilowania zasłyszanych gdzieś lub przeczytanych opowieści. Sądzę, że wszystkie mitologie, teogonie i kosmogonie późniejszych kultur i religii są z reguły adaptacjami przekazów wcześniejszych. Dobrym przykładem tego powszechnego proceduru może być permanentne modyfikowanie legendy

o Noem-Deukalionie-Utnapisztimie-Atrahasisie, która po analizie porównawczej okazała się opowieścią o Ziusudrze. Można też zestawić, jak to uczynił Kondratow, jakiś wybrany mit, choćby biblijny, z jego pierwowzorem. Na przykład ten opisany w Ewangelii wg św. Łukasza (2, 46–47), cytuję: *Jeżus, kiedy miał dwanaście lat, przybył z rodzicami do Jerozolimy na święto Paschy i zgubił się w wielkim mieście. Dopiero po trzech dniach, odnaleźli Go w świątyni, gdzie siedział między nauczycielami, przysłuchiwał się im i zadawał pytania. A wszyscy, którzy Go słuchali, byli zdziwieni bystrością Jego umysłu i odpowiedziami.* A oto pierwowzór – staroegipska opowieść o chłopcu imieniem Si-Usire, synu Cha-em-wese: *Kiedy Si-Usire podrósł i okrzepł, oddano go do szkoły. Po niedługim czasie jego wiedza przerosła wiedzę uczącego go skryby. Mały Si-Usire razem ze skrybami Domu Życia przy świątyni Ptaha zaczął czytać modlitwy błagalne, a wszyscy, którzy go słuchali, byli zdumieni*<sup>300</sup>. Podobnie rzecz ma się z licznymi opowieściami o bratobójczych wojnach toczonych między bogami, zadziwiająco podobnymi w kosmogoniach i teogoniach ludów całego świata. Niezmiernie łatwo dałoby się wykazać, iż sumeryjski epos o półboskim Gilgameszu zaowocował w późniejszych wiekach niezliczoną liczbą heroicznych zmaganiań mitycznych bohaterów z przeraźliwymi smokami, potworami, olbrzymami, cyklopami lub nawet wysłannikami samego piekła. Walka dobra ze złem opisana w sumeryjskich legendach, jak świat długi i szeroki, stała się kanwą wielu późniejszych heroicznych narracji. Pamiętamy, co na ten temat napisał (cytowany tu już wcześniej) prof. Ziegler: *Bezwzględne umiłowanie prawdy nie jest podstawową cechą ludzkiej duszy, lecz żmudnym wytworem wychowania intelektualnego i moralnego. Z natury, a więc jako dziecko lub pierwotny człowiek, każdy z nas jest kłamcą, fantastą i chwalipiętą, częściowo świadomie, przeważnie jednak nieświadomie. Bohaterskie opowieści wszystkich ludów stanowią tego najwymowniejszy przykład.* Wniosek z tego płynie taki, iż na podstawie mitycznych opowieści o wiele łatwiej jest odpowiedzieć na pytanie: kim bogowie-astronaucci nie byli, niż kim byli.

Z przykrością zatem muszę stwierdzić (mam nadzieję, że zwolennicy teorii o starożytnych astronautach mi to wybaczą), iż latający spodek nie stacjonował na Olimpie. Niestety – analizy porównawcze wykluczają taką ewentualność. Mitologia grecka podobnie jak: rzymska, hebrajska i wiele innych jest w znacznej mierze tylko literacką adaptacją wcześniejszych przekazów. Zeus nie pokonał Kronosa i tytanów, i nie zamknął ich w Tartarze. Nie przygniótł górą Etną Tyfona – pojazdu kosmicznego – skrzydlatego olbrzyma sięgającego gwiazd, który od pasa w dół (według legendy) składał się ze skłębionych żmij (albo kabli), a zamiast palców miał sto smoczych

<sup>300</sup> A. Kondratow, *Zaginione cywilizacje*, PIW, Warszawa 1988, s. 70.

głów. Nie miał ich i nie zionął ogniem z oczu (silników odrzutowych), bo go w Grecji nigdy w rzeczywistości nie było. Podobnie zresztą jak bogów-astronautów: Kronosa, Posejdona, Zeusa, Hery (jego żony), Irydy (boskiej posłanki), Afrodyty, Persefony, Aresa (boga wojny), Dejmosa oraz Fobosa (bóstw grozy i przerażenia), Hefajstosa, Artemidy, Hekate... To nie byli nieśmiertelni bogowie ani przybysze z gwiazd (o czym przekonywali nas w jednym z paranaukowych filmów zwolennicy paleoastronautycznej teorii), lecz sugestywne kompilacje sumeryjskich, egipskich i wcześniejszych bogów. Naprawdę żałuję, że przy tej okazji Helena Trojańska (bodaj jedyna w tym gronie postać historyczna, co już udowodniono) straciła swój nimb półboskości. Ale skoro nie było Zeusa (astronauty-łabędzia), to przecież nie mogła się wykluc z niezniesionego przez nieistniejącą Ledę jaja. Podobnie sprawa ma się z Heraklesem, Odyseuszem oraz Bellerofontem. To nie półboscy synowie kosmitów, a jedynie adaptacje wcześniejszych bohaterów.

Dodam jeszcze na marginesie, iż Jezus – nowsza wersja egipskiego boga-kosmity Ozyrysa (mam nadzieję, że za to bluźniercze stwierdzenie nie spłonę już wkrótce na hejterskim stosie?) – nie był pierwszym z ludzi, którzy uważali się za syna boga, albowiem lista boskich potomków jest niezmiernie długa. Najpierw dziećmi bogów albo ich wnukami było wielu władców Dwurzecza i Egiptu (Apkallu, Anunnaki, faraonowie). Potem Lipitesztar głosił, że jest zrodzony przez Enlila. Hammurabi twierdził, że zrodził go Sin, Bóg-Księżyc, ojciec także Szamasza, boga-Słońce. Synami i córkami bogów było wielu dawnych herosów, nawet ostatni król Inków, Atahualpa (XVI wiek n.e.) twierdził, że jest synem Inti.

Daleki jednak jestem (jako artysta) od naukowego radykalizmu, i nie upieram się przy stwierdzeniu, że przynajmniej w niektórych mitach i legendach nie da się odnaleźć jakiejś głęboko zakamuflowanej, ubarwionej skojarzeniami relacji o rzeczywistych zdarzeniach. Myślę tu zwłaszcza o mitach ludów Ameryki Południowej, gdzie mowa o latających, upierzonych węzach-bogach, także o dziwnych ptakach przenoszących w dziobach płyn zmiękczający skały. Egipski ptak prapoczątku Benu, będący wcieleniem boga-stwórcy Atuma, też bardzo intryguje. Podobnie jak Thot – bóg-pisarz-mędrzec-nauczyciel ludzaco podobny do południowoamerykańskiego Wirakoczy.

## KIEDY TO BYŁO?

Niestety nie ma metody datowania kamieni (choć potrafimy ustalać z jakich formacji skalnych pochodzą), nie sposób zatem określić, kiedy ani jak długo ten domniemany Czynniki X na naszej planecie ewentualnie gościł, ani w jakim stopniu mógł wpłynąć na kształt ludzkich kultur.

Platon żyjący na przełomie V i IV wieku p.n.e. napisał w dialogu *Timajos*, że Atlantyda istniała 9 tysięcy lat wcześniej, co by z grubsza pokrywało się z początkiem holocenu (9700 rok p.n.e.) – ocieplenia klimatu wywołanego najpewniej przez globalny kataklizm. W tym samym mniej więcej czasie, jak pamiętamy, rozpoczęto budowę pierwszych megalitycznych struktur w Gobekli Tepe. Przypomnę, iż Tollmannowie oszacowali, że do potopu wywołanego przez siedem części komety doszło około roku 7540 p.n.e., a więc przeszło 2000 lat później. Natomiast dr Hertha von Dechend oraz prof. Giorgio de Santillana w „Hamlet’s Mill” dowodzili (o czym piszę w rozdziale XIII): że *na naszym świecie istniał wielki korpus wiedzy astronomicznej już 6000 lat przed Wergiliuszem (około 6000 roku p.n.e.)*, a niezwykła dojrzałość tej wiedzy, w tak zamierzczłym czasie (mowa o znajomości kulistości Ziemi i liczby pi, umiejętności obliczania precesji, tworzenia profesjonalnych kartograficznych map) skłoniła oboje autorów do przypisania pochodzenia owej niezwykłej jak na tamte czasy wiedzy *jakiejś niemal niewiarygodnie starej cywilizacji*. Cywilizacji, która postrzegała świat *jako stworzony zgodnie z liczbą, miarą i wagą*, opartej na bezlitosnej wiedzy, *powiększającej umysł niemal nie do zniesienia*. Wiedzy, która według Dechend i Santillany wywarła znaczący wpływ na późniejsze, rozrzucone w czasie i odległe od siebie kultury: sumeryjską, Egiptu, Indusu-Saraswati, najstarsze kultury w Mezoameryce i wiele innych opartych na tym samym ideowym i kosmologicznym wzorcu oraz wynikającej z niego astronomicznej teokracji. Z kolei Walter Emery, szanowany egiptolog z Uniwersytetu Londyńskiego, wyraził taką opinię: *Około roku 3400 przed Chrystusem w Egipcie nastąpiły gwałtowne zmiany, w wyniku których kraj raptownie przeszedł z okresu neolitu ze złożonym systemem plemiennym do wysoko zorganizowanej monarchii(...). Równolegle pojawiły się rzemiosło i sztuka, a także umiejętność pisanie i wznoszenia potężnych budowli, co świadczy, że w owym czasie w Egipcie istniała wielka cywilizacja*. Dodał również, iż *Wszystko to zdarzyło się w stosunkowo krótkim czasie. Jako że nie są znane żadne ślady wcześniejszych przykładów tych ogromnych osiągnięć, jakimi było pismo i architektura*<sup>301</sup>. Emery wnikliwie analizował też współzależności zachodzące między kulturami Egiptu i Sumeru, a we wnioskach z tych badań stwierdził: *Doznajemy wrażenia wpływu pośredniego, co mogłoby wskazywać na istnienie trzeciej cywilizacji, której cechy promieniowały zarówno na dolinę Eufratu, jak i Nilu(...). Współczesna nauka nie brała jak dotąd pod uwagę możliwości imigracji do obu tych regionów z jakiegoś hipotetycznego trzeciego, jeszcze nie odkrytego obszaru kulturowego. Gdyby jednak okazało się, iż cywilizacja taka przekazała swe*

<sup>301</sup> G. Hancock, *Ślady...*, op. cit., s. 118.

*osiągnięcia niezależnie do Egiptu i Mezopotamii, to byłoby to najlepsze wytłumaczenie zarówno podobieństw, jak i zasadniczych różnic pomiędzy tymi dwiema cywilizacjami*<sup>302</sup>. Podobnego zdania jest badacz alternatywny J. A. West: *Cywilizacja egipska nie powstała w wyniku rozwoju, lecz była spadkobierczynią innej cywilizacji*<sup>303</sup>. W jego przeświadczeniu tylko to może tłumaczyć bezsporny fakt, że tak złożone dzieło literackie, jakim jest „Księga Umarłych”, istniało od zarania okresów dynastycznych.

No cóż, zgadzam się z tym w pełni. Wysoko zaawansowana wiedza, technika i technologia, także umiejętności inżynieryjne oraz idee, których przyswojenie powinno trwać długie tysiąclecia, wchodziły w Egipcie do użytku niemal z dnia na dzień! Wielki Sfinks, Dolna Świątynia i kilka innych zagadkowych budowli, w świetle dowodów zgromadzonych przez prof. R. Schocha, są prawdopodobnie znacznie starsze niż zwykło się sądzić. Podobny przebieg zdarzeń miał miejsce w kulturach Sumeru, Indusu-Saraswati i w Mezoameryce. Z pewnością *Zep Tepi* – mityczny początek wszystkich ludzkich cywilizacji nie miał miejsca ani w egipskim Heliopolis, ani w sumeryjskim Eridu, lecz gdzieś indziej, i wcześniej. W moim głębokim przeświadczeniu, tym miejscem swoistego prapoczątku były płaskowyże Andów, gdzie najwcześniej w Ameryce Południowej, bo około połowy IV tysiąclecia p.n.e., rozpoczęła się rewolucja agrarna. Nie jest też, jak sądzę, przypadkiem, że fenomenalni astronomowie Majów liczyli czas swojego kalendarza od dokładnej daty *13.0.0.0. 4. ahau 8. cumhu*, która w naszym systemie kalendarzowym może równie dobrze oznaczać dzień: 10.02.3641 p.n.e. lub 11.02.3374 p.n.e. (według korelacji Makemsen, opracowanej w 1946 roku), albo 15.10.3374 p.n.e. (korelacja Spindena, z roku 1930), albo 14.10.3373 p.n.e., ewentualnie 10.08.3214 lub: 11, 12 albo 13 dzień sierpnia 3114 roku p.n.e. (według korelacji Goodmana z 1905, Martineza z 1926 oraz Thompsona z 1927 roku). Obecnie najpoważniej przyjmowaną przez majologów jest korelacja Martineza-Thompsona (GMT, 1935), według której data zerowa to 11 sierpnia (według ekstrapolowanego wstecz kalendarza juliańskiego) 3114 p.n.e. (-3113, według przyjętej w 1740 astronomicznej notacji Cassiniego)<sup>304</sup>. Z pełną premedytacją wdałem się w te zagmatwane i zapewne nużące dla czytelników kwestie, żeby wyraziście zobrazować ogromne trudności, z jakimi borykają się eksperci w przekładaniu dat majańskiego kalendarza na stosowany dziś w naszym kulturowym kręgu. Ponadto zrobiłem to również (a raczej przede wszyst-

<sup>302</sup> Ibidem, s. 118.

<sup>303</sup> Ibidem, s. 117.

<sup>304</sup> Wszystkie te daty, korelacje i cytaty zaczerpnąłem z internetowej strony: [pl.m.wikipedia.org](http://pl.m.wikipedia.org) dnia 21.10.2019 roku n.e.

kim) z tego powodu, iż w moim przekonaniu dzień *13.0.0.0.0. 4. ahau 8. cumhu*, to data zerowa – początek nowej ery, czy wręcz nastanie nowego świata. Data przyjęta przez Majów, i nie tylko przez nich, bo także przez inne plemiona Mezoameryki (Nahua, Tolteków oraz Azteków), upamiętnia najpewniej dzień pojawienia się na Ziemi obcej cywilizacji – Czynnika X, bogów-kosmitów, przybyszy z innej planety. Wydarzenie to musiało być tak szokujące i doniosłe dla wszystkich plemion Ameryki Południowej, że od tego momentu liczyli dni nowego początku (analogicznie jak czynią to chrześcijanie licząc czas od narodzin domniemanego mesjasza-boga). Utwierdza mnie w tym przekonaniu również kalendarz żydowski. Otóż zaczyna się on od stworzenia świata – nowego początku (jak możemy się domyślać) który, wedle obliczeń religijnych autorytetów żydowskich, nastąpił dnia 7 października 3761 roku p.n.e. Zatem ledwie 120 lat przed najstarszą zaproponowaną przez ekspertów datą początku rachuby czasu Majów i innych ludów Mezoameryki. Ponadto zwróćmy uwagę i na to, że okresy dynastyczne w Egipcie, zapoczątkowane przez pierwszego faraona Menesa, zaczęły się około 3100 roku p.n.e., a więc zaledwie 14 lat od proponowanej przez Martinezę i Thompsona korelacji (3114 rok p.n.e.), *najpoważniej przyjmowanej* przez większość ekspertów.

Niezależnie od tego, które z zaproponowanych przez majologów wyliczenie daty *13.0.0.0.0. 4. ahau 8. cumhu* odzwierciedla zagubioną w pomroce neolitu prawdę, to ze znacznym prawdopodobieństwem można założyć, że jeśli do styku ludzi z obcą cywilizacją doszło, to najpewniej wydarzył się on w drugiej połowie IV tysiąclecia p.n.e., a fakt ten mógł mieć niebagatelny wpływ na proces dynamicznych przemian, który w pierwszej połowie III tysiąclecia p.n.e. dokonał się w wielu rozproszonych po całym świecie społeczeństwach.



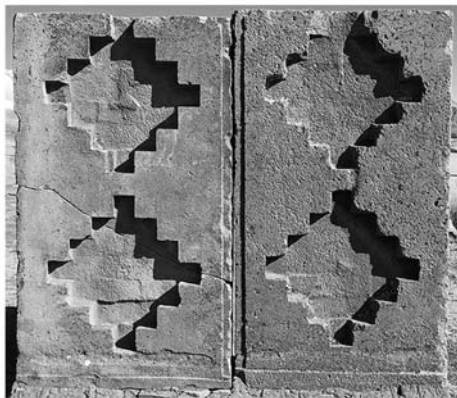
1



2



3



4



5



6



7



8

1, 2, 3, 4, 5 – Różne kamienne moduły znalezione w ruinach Puma Punku. 6 – Blok porfiry znany pod nazwą *El Escritorio* (biurko). 7, 8 – Ślady po klamrach (odlewanych z przenośnych hutniczych tygli) spinających 100–400 tonowe bloki domniemanego portu w Puma Punku.



Nisza i jej dwa detale ze Świątyni Coricancha (Słońca) poświęconej najważniejszemu bóstwom inkaskiego panteonu. Było to najświętsze miejsce Inków, czyli ludu „Dzieci Słońca”. Obecnie znajduje się w obrębie kompleksu katolickiego kościoła San Domingo w Cuzco. Dawniej dokonywały się tu koronacje i pochówki władców Inków. Nisza z tej świątyni wykazuje zadziwiające stylistyczne i techniczne podobieństwo do modułów z Puma Punku, co nie powinno dziwić, wszak według legend ludów andyjskich na początku królestwo było w sąsiadującym z „Bramą Pumi” Tiahuanaco.



1



2



3



4



5



6

1, 2 – Megalityczne fortyfikacje Sascayhuaman. 3 – Cyklopi mur jednego z budynków w Cuzco. 4 – Duża owalna bryła kamienia z wyciętymi w niej prostokątnymi gniazdami, prawdopodobnie przeznaczonymi do osadzania w nich innych budowlanych elementów, znajdująca się w japońskiej miejscowości Masada No Iwafune w rejonie Asuka. 5 – Dolna Świątynia w Gizie uformowana z bloków kamieni wyciętych ze skały, z której wyrzeźbiono monumentalnego Sfinksa. 6 – „Siedziba olbrzymów”, czyli *El Fuerte* (Fort) w pobliżu boliwijskiej Samaipatii w rejonie Santa Cruz.



## XXIV. Wielkanocna apokalipsa

Piątego kwietnia roku Pańskiego 1722 około godziny siedemnastej flotylla trzech holenderskich statków przemierzających bezkresny Pacyfik dostrzegła na horyzoncie wyspę. Ponieważ był to dzień Wielkiej Nocy, dowódca owej małej armady, komandor Jacob Roggeveen, nadał widocznej w oddali ziemi nazwę związaną z tym kalendarzowo katolickim świętem.

Rapa Nui, od przybycia Holendrów zwana Wyspą Wielkanocną, to w istocie niewielki, zagubiony na środku oceanu skrawek lądu pochodzenia wulkanicznego. Od położonych na wschodzie wybrzeży Chile w Ameryce Południowej, wysp Galapagos na północy, archipelagu Markizów oraz kontynentu australijskiego na zachodzie oddziela ją bez mała 3500 i więcej kilometrów oceanicznych przestrzeni. Jest to z pewnością jedno z najbardziej odseparowanych od reszty świata miejsc zasiedlonych przez ludzi.

Skupiłem swoją uwagę na tym skrawku Ziemi tylko z tego powodu, iż jest on jednym z koronnych argumentów zwolenników teorii o starożytnych kosmonautach. Ale czy słusznie? Na to pytanie spróbuję teraz odpowiedzieć.

### ZASIEDLENIE RAPA NUI

Nie wiemy, czy koloniści pod wodzą legendarnego króla Hotu Matu'y przyплыли tu z własnej woli, czy raczej coś ich do tego zmusiło – jakaś katastrofa, przegrana wojna, konflikt plemienny, kara banicji... Faktem jest, że przybyli tu z rodzinami, z inwentarzem zwierzęcym: drobiem, świniami, psami, szczurami (które także były podstawą ich wyżywienia) i z nasionami roślin. To wskazuje na migrację zaplanowaną.

Kiedy do niej doszło?

*Badając listy genealogiczne, opisujące imiona kolejnych wodzów i sięgające czasów Hotu Matu'a, Sebastian Englert doszedł do wniosku, że Hotu Matu'a i jego towarzysze przyплыli na Wyspę Wielkanocną nie wcześniej niż w XVI wieku. Tymczasem Metraux na tej samej podstawie umieścił ich przybycie w XII wieku. Później jednak archeologia udowodniła, dzięki datowaniu metodą radiowęglową, że ludzie byli na wyspie już w 640 roku*

*n.e., a być może nawet w IV wieku (choć pojedyncze daty należy zawsze traktować bardzo ostrożnie). To zgadzałoby się z inną legendą, według której od czasów Hotu Matu'y było 57 pokoleń władców, co przy założeniu przeciętnie 25 lat na jedno pokolenie dawałoby nam rok 450 n.e.*<sup>305</sup> – napisali John Flenley i Paul Bahn, współautorzy książki „Tajemnice Wyspy Wielkanocnej”. Zatem ogromna rozpiętość powyższych dat dowodzi tylko tego, że ostrożnie należy podchodzić do wszelkich naukowych szacunków. Przyznam, że proponowane przez Flenley'a i Bahn'a datowanie wydaje mi się najwłaściwsze. Przekonuje mnie również ich pogląd, iż kolonizacja była jednorazowa – rozłożenie jej na kilka etapów (jak niektórzy badacze sugerują) wydaje się mało realne z uwagi na znaczne oddalenie wyspy od innych lądów i niesprzyjające żegludze prądy oceaniczne. Ponadto, takie wydarzenia z pewnością pozostawiłyby trwałe ślady w miejscowych legendach.

Dłuższy czas toczyły się naukowe debaty odnośnie kierunku tej migracji. Największym orędownikiem szlaku wschodniego, wiodącego z Ameryki Południowej, był sławny podróżnik i pisarz Thor Heyerdahl. Uważał on, że tutejsze rzeźby (*moai*), kamienne platformy (*ahu*), na których wiele *moai* umieszczono, ryty naskalne przedstawiające profile człowieka-ptaka, kamienne mury domów z ceremonialnej wsi Orongo i wiele innych artefaktów świadczą o ich boliwijskim rodowodzie – wiązał je z kulturą Tiahuanaco. Niemal na pewno się mylił. Późniejsze, bardzo wszechstronne i wnikliwe badania (również genetyczne) dotyczące tej populacji dowiodły jej wyraźnych i wielorakich związków z obszarem Polinezji. W opinii większości naukowców, na wyspę Rapa Nui koloniści przybyli z zachodu, być może z Hawajów lub Markizów. Według tutejszych ustnych przekazów Hotu Matu'a i jego współplemieńcy mieli pochodzić z dużej, zielonej, ciepłej wyspy położonej daleko na zachodzie, nazywanej przez nich Marae Renga. Mogło tu chodzić o Mangarevę lub jakąś inną wyspę z archipelagu Markizów. Inne legendy głoszą, że ich ojczyzną była wyspa Hiva. Wiemy, że na oddalonych o 3641 kilometrów Markizach są: Nuku Hiva, Fatu Hiva oraz Hiva Oa. Na tej ostatniej wyspie znajduje się kamienny posąg zwany Takaii, o wysokości 2,83 metra, umieszczony na platformie. Monolityczne rzeźby związane z ceremonialnymi platformami odnajdziemy również na wielu innych wyspach Polinezji i w Australii, co prawda: *nie są one podobne do rzeźb z Rapa Nui, lecz niewątpliwie zdradzają cechy wspólnego dziedzictwa i tradycji rzeźbiarskiej*<sup>306</sup>.

<sup>305</sup> J. Flenley, P. Bahn, *Tajemnice Wyspy Wielkanocnej*, AMBER, Warszawa 2003, s. 79.

<sup>306</sup> Ibidem, s. 105.

## NARODZINY I UPADEK RELIGII

Niezależnie od tego, skąd ludzie Hotu Matu'y przybyli, ich historię w największym skrócie można streścić tak: przyłynęli, jak chcą legendy, na przeszło 30 metrowej łodzi przypominającej katamaran. Rozbili się na skałach klifu. Ci, co przeżyli, pobudowali chaty, domy i ośrodki kultu. Po kilku wiekach ich potomkowie, ogarnięci żarliwą religijną obsesją, w XI-XII wieku rozpoczęli stawianie na brzegach wyspy kamiennych platform, na których umieszczali *moai* – figury uosabiające wodzów oraz innych prominentnych członków tego społeczeństwa. Zarówno osoby żyjące, jak i zmarłe. Flenley i Bahn uważają, że różne klany zamieszkujące rozmaite rejony wyspy rywalizowały ze sobą w monumentalizmie i wspaniałości tworzonych obiektów kultu. Proces wznoszenia *ahu* oraz rzeźbienia *moai* z wulkanicznego tufu i rzadziej z innych rodzajów kamieni: czerwonej scorii, bazaltu i trachitu, trwał nieprzerwanie aż do końca XV wieku, kiedy powstały największe i najokazalsze monumenty. W XVI wieku zaczął się regres, nastały wieki ciemne, zapanował długotrwały kryzys gospodarczy i demograficzny. Drzewa, z których, jak się sądzi, wytwarzano liny, rusztowania, dzwignie i rozmaite płozy potrzebne do transportu gigantycznych rzeźb, zostały, do ostatniego wycięte. Zatem nic nie zatrzymywało wilgoci, brakowało cieple, wyjąłowiona gleba nie dawała plonów, środowisko naturalne zostało bezpowrotnie, kompletnie zdegradowane, wyginęły endemiczne gatunki ptaków, a to oznacza pustoszenie upraw przez owady. Zaczęło brakować żywności, nastał głód, zniechęcenie i zbiorowa apatia, w ślad za nią upadek wiary. Pod koniec XVIII wieku, po przeszło tysiącletnim okresie pokoju, rozpoczęły się wojny. Archeolodzy znaleźli duże ilości szczątków ludzkich, tysiące obsydianowych sztyletów *mataa* i grotów włóczni z tego okresu. W roku Pańskim 1770 (pół wieku po Holendrach) przyłynęli hiszpańscy żeglarze. *Gonzalez wręczył miejscowym wodzom i kapłanom proklamację aneksji, aby „podpisali ją znakami w kształcie ich pisma”<sup>307</sup>*. Znaki postawione na tym akcie bezwarunkowej kapitulacji przypominały tutejsze rytzy naskalne. Pierwszego marca 1774 roku u wybrzeży wyspy zacumowały dwa angielskie okręty: *Resolution* i *Adventure*, dowodzone przez kapitana James Cooka. Po zlustrowaniu okolicy Cook napisał: *Żaden naród nigdy nie będzie domagał się chwały odkrycia Wyspy Wielkanocnej, trudno bowiem znaleźć na tym morzu wyspę oferującą mniej możliwości wytchnienia i udogodnień dla żeglugi niż ona*<sup>308</sup>. Mylił się, na ten wątpliwy splendor połaskili się wszak Hiszpanie. Nie jest wykluczone, że między tymi trzema

<sup>307</sup> Ibidem, s. 175.

<sup>308</sup> Ibidem, s. 21.

wizytami Europejczyków, a także przed nimi i po nich, mogli tu docierać piraci, statki wielorybnicze i galeony handlarzy niewolników. Czy była to owa przysłowiowa kropla przepełniająca czarę goryczy? Kropla przesądzająca o losie tutejszych pomników? Stało się bowiem tak, że niedługo po utracie przez wyspę niepodległości, w ciągu paru zaledwie tygodni lub miesięcy, *moai* zostały przewrócone, a niektóre z nich nawet z premedytacją pokałkowane. Jak wiemy z historii, obalanie pomników zawsze wiązało się z wojnami, buntami, rewoltami przynoszącymi gwałtowne przemiany społeczno-ustrojowe. W tamtym burzliwym okresie, jak można przypuszczać, kult przodków został przez ludność wyspy odrzucony. Później zastąpiono go wiarą w boga-stwórcę Makemake (znanego z Markizów) i kultem człowieka-ptaka. Wierzeniom tym towarzyszyły obrzędy odnoszące się do płodności i urodzaju (tak pożądanym w tych niespokojnych czasach). W wieku XIX pojawili się na wyspie katoliccy misjonarze, a w wieku XX turyści – przedstawiciele skomercjalizowanego, zewnętrznego świata. To dla nich pobudowano luksusowe hotele, infrastrukturę, również lotnisko, i sprowadzono dźwigi, które na powrót ustawiły *moai* na *ahu*... Rzecz jasna jako największą miejscową atrakcję.

## AHU, MOAI I PUKAO

W czasie rozkwitu (między XI a XV wiekiem) wzniesiono tu nie mniej niż 313 platform ciągnących się gęstym kordonem wzdłuż linii brzegowej wyspy. Największe z *ahu* są długie na ponad 150 metrów i wznoszą się na wysokość ponad 4 metrów. Ustawiano na nich od kilku do piętnastu *moai* mierzących od dwóch do prawie dziesięciu metrów. Niemal 10 metrów liczy posąg zwany Pero, niegdyś ustawiony na Ahu Te Pita Kura. Jest szeroki na 3,2 metra i waży 82 tony! Niektórym z umieszczonych na platformach posągów dodano swoisty rodzaj nakrycia głowy – *pukao*, znany też z wysp Polinezji. Symbolizował on wysoką pozycję społeczną wyrzeźbionych postaci. *Pukao* były wytwarzane z czerwonego kamienia, a ich waga często przekraczała 2 tony. Na przybrzeżnych platformach stoi 164 *moai*; do tej pory na wyspie zinwentaryzowano ich 887, z czego niemal połowa (397) znajduje się w kamieniołomie w obrębie wygasłego wulkanu Rano Raraku (leżą na plecach, większość z nich nieodcięta z macierzystej skały). Wiele *moai* jest zakopanych w ziemi po szyję, znajdują się na zewnętrznych stokach Rano Raraku oraz na innych zboczach wyspy.

Czy produkowano je na społeczne lub prywatne zamówienie? Czy ich rzeźbieniem zajmowały się wyspecjalizowane w tej profesji klany (co zas-

gerowali w swojej książce Flenley i Bahn)? *Największy posąg, jaki kiedykolwiek wyrzeźbiono, nazywany El Gigante, był 20-metrowym olbrzymem o masie 270 ton; uważa się jednak powszechnie, że jego przetransportowanie, a tym bardziej podniesienie, wykraczało poza i tak godne podziwu możliwości mieszkańców wyspy (...). Niedokończony i porzucony w kamieniołomie Rano Raraku sam w sobie stanowi zagadkę: czy został wykonany na rozkaz jednego, opętanego manią wielkości człowieka, czy też grupy? Czy robotnicy porzucili go, kiedy zdali sobie sprawę, że rzeźbiąc posąg, którego nie dadzą rady ustawić, trudzą się na darmo? Mieszkańcy wyspy powiedzieli Thomsonowi w 1886 roku, że platforma Takimi była ostatnia, jaka została zbudowana, i miał na niej stanąć ten właśnie posąg. A może, jak sądzą niektórzy naukowcy, rzeźba ta nie miała nigdy być ustawiona, lecz stanowiła (jak wiele innych leżących posągów) rodzaj gigantycznego petroglifu, podobnie jak leżące postacie na nagrobkach w europejskich katedrach?*<sup>309</sup>

Na wyspie Rapa Nui roi się od zagadek i związanych z nimi hipotez. Naukowcy przeprowadzali próby transportu tych wielotonowych rzeźb umieszczając je w pozycji horyzontalnej – na plecach lub brzuchu, na rozmaitych płozach i rolkach, których tarcie niwelowano podkładaną trawą, albo przemieszczano je na stojąco – za pomocą chwiania (tak jak przesuwamy lodówkę). Wymyślono też rozmaite pochylnie, umożliwiające umieszczanie *moai* na wysokich platformach, a potem kilkutonowych *pukao* na ich głowach. Niektóre z tych eksperymentów były obiecujące, nie wyjaśniły jednak, jaką metodą przetransportowano i ustawiono na wysokim *ahu* 82 tonowego kolosa zwanego Paro. Niedawno odkryto na zboczach rodzaj rynnowych traktów o przekroju liter U i V prowadzących do kamieniołomu w Rano Raraku. Flenley i Bahn przypomnieli, iż: *naukowcy zawsze zakładali, że drogi na wyspie były płaskie i poziome, i (w tej sytuacji) żadna z proponowanych dotychczas technik (transportu) nie pasuje do struktury odkrytych dróg!*<sup>310</sup> Technologie płóz, rolek i sań, czy nawet przesuwanie za pomocą chwiania z pewnością nie nadają się do stosowania na tych wykutych w skale szlakach komunikacyjnych. Stwierdzili zatem, iż kwestię transportu *moai* trzeba przemyśleć na nowo, czyli uznać, że w chwili obecnej jest nierozstrzygnięta.

Można natomiast w pełni zgodzić się z ich poglądem, iż prawie 900 znajdujących się na wyspie *moai* wykuto w ciągu połowy tysiąclecia. Dokonano tego za pomocą kamiennych siekier i ostrych, bazaltowych *toki* (pięściaków). W kamieniołomie znaleziono ogromne ilości tych narzędzi.

<sup>309</sup> Ibidem, s. 107.

<sup>310</sup> Ibidem, s. 131.

Naukowcy obliczyli, że grupa 6 ludzi rozmieszczonych co pół metra była w stanie ukończyć pięciometrowy posąg w 12–15 miesięcy. Wynika z tego, że 20 lub 25 doświadczonych rzeźbiarzy zatrudnianych do tej pracy przez 450–500 lat było w stanie wykuć wszystkie znalezione na wyspie posągi.

## ARINGA ORA

Większość platform biegnie równolegle do wybrzeża, blisko morza. Kilkanaście najbardziej okazałych *ahu* ma ukierunkowanie solarne bądź lunarne uwzględniające dni letnich i zimowych przesilen lub równonocy. Przypuszcza się, że szczyt Poike był znacznikiem kalendarzowym, bo w dniu przesilenia zimowego słońce widziane z ceremonialnej wioski Orongo wschodziło dokładnie nad nim. Na północno-zachodnim krańcu wyspy, w Matariki, znajduje się zespół 56 małych dołkowych zagłębień, tzw. *cup marks*, kojarzących się z megalitycznymi kręgami, będących przypuszczalnie rodzajem astronomicznej mapy. Wszystkie *moai* z nadbrzeżnych szpalerów skierowane są twarzami do lądu. Na widocznych od strony oceanu plecach wielu z nich wyryto „tatuaze” przedstawiające schematyczny kształt maski z oczami. Motyw widywany także często w sztuce naskalnej Hawajów oraz na Markizach (być może symbol ducha?). Dzięki odkryciu archeolożki Soni Haoa wiemy, że *moai* pierwotnie miały oczy zrobione z białego koralu i krążka czerwonej scorii, a ich wzrok skierowany był w niebo.

*Nigdy nie natknęliśmy się na ślad jakiegokolwiek kultu i nie sądzę, żeby ktoś uważał te posągi za idole, choć wyspiarze okazują im szacunek*<sup>311</sup> – napisał de La Pérouse w 1786 roku. *Nawet dzisiaj każdy starszy mieszkaniec Rapa Nui dobrze zna nazwy wszystkich posągów, niezależnie od tego, czy wciąż jeszcze stoją, czy zostały przewrócone, i okazuje im wielki szacunek*<sup>312</sup> – stwierdził z kolei, w 1882 roku, Geiseler. Marynarze Cooka słyszeli, że wyspiarze określali *moai* zbiorową nazwą *aringa ora* („żyjące twarze”), niektóre z nich terminem *ariki* („wódz”), były też takie, które miały przydomki, a nawet dowcipne przezwiska typu: Skręcona Szyja, Wytatuowany, Śmierdziel itp.

*Te wznoszące się pionowo ku niebu rzeźby na poziomych platformach wokół wybrzeża stanowiły świętą barierę oddzielającą dwa światy, były pośrednikami między ludźmi a bogami, między życiem a śmiercią. Tego rodzaju strefy przejściowe mają ogromne znaczenie rytualne we wszystkich ludzkich społecznościach. Figury przodków, zwrócone twarzami w głąb*

<sup>311</sup> Ibidem, s. 109.

<sup>312</sup> Ibidem, s. 110.

*ładu, ku wsioom, a plecami w stronę morza, zapewniały prawdopodobnie ochronę i bezpieczeństwo. Analogii można szukać na przykład na indonezyjskiej wyspie Sulawesi (Celebes), gdzie na wysokich klifach ustawia się drewniane figury zmarłych, z inkrustowanymi oczami, ubrane w szaty i nakrycia głowy, aby ich duchy mogły zawsze czuwać nad wioską<sup>313</sup> – napisali autorzy „Tajemnic Wyspy Wielkanocnej”. I nie sposób się z nimi nie zgodzić.*

## TRAGIKOMICZNA ODMIANA MEGALITYZMU

W podsumowaniu pozwolę sobie na własną interpretację zdarzeń. Uważam, że społeczność Rapa Nui wykształciła na przestrzeni setek lat jedyną w swoim rodzaju odmianę megalitycznej teokracji. Jak pamiętamy, w megalityzmie kult Wielkiej Matki związany z płodnością i odradzaniem się życia, łączył się z kultem przodków zapewniającym ciągłość trwania wspólnoty. Menhiry i betyle symbolizowały konkretne osoby; często ustawiano je w święte kręgi, żeby odgradzały wewnętrzną przestrzeń – ochronną, uświęconą, sakralną od tej zewnętrznej – wrogiej i groźnej – obcej. Niektóre z tych głazów przekształcano czasem w stele przedstawiające symboliczne wizerunki kapłanek i kapłanów oraz wielkich wodzów. Kręgi pełniły również istotne dla społeczności funkcje kalendarzowe. Podobieństwa są oczywiste. Wyspa Wielkanocna była dla jej mieszkańców magicznym kręgiem – sferą sakralną chronioną przez duchy przodków. Menhirów ani betyli na wyspie nie było. Ich rolę pełniły stele-pomniki wykuvane przede wszystkim z tufu wulkanicznego. Zakładam, że tutejszy odłam megalityzmu stworzyli mężczyźni, bo kult Wielkiej Matki (o proveniencji matriarchalnej) został tu zupełnie wyparty bądź zmarginalizowany (tylko w nielicznych *moai* można się dopatrzeć wizerunków kobiet). Podstawę religii stanowił kult przodków reprezentowanych głównie przez wodzów-mężczyzn. Ta ryzykowna modyfikacja – „amputacja” żeńskich elementów religijnej doktryny, tych związanych z płodnością i urodzajem, skutkowałą w okresie późniejszym całkowitą dewastacją środowiska naturalnego wyspy. Był to zaiste tragikomiczny finał. Co więcej, wygląda na to, iż w powszechnym odczuciu tubylców, duchy przodków opasujące wyspę szczelnym kordonem, zawiodły ich oczekiwania – przestały chronić przed zewnętrznym światem. Zatem bezużyteczne idole zostały przez rozsierdzonego lud obalone. Stało się to wkrótce po podpisaniu przez kapłanów i wodzów dokumentu aneksji wyspy przez katolickie Królestwo Hiszpanii, w drugiej połowie XVIII wieku.

<sup>313</sup> Ibidem, s. 111.

Koncepcja przyjęcia nowej wiary – z bogiem-stwórcą Makemake w centrum, postacią człowieka-ptaka, kultem płodności i urodzaju, była z pewnością słuszną, ale niestety, o kilka stuleci spóźnioną. Ekologicznej katastrofy żadne, najżarliwsze nawet modły, czary i zaklęcia cofnąć już nie mogły. Tak zwykle dzieje się, gdy porządki wyobrażone – fikcje brane za prawdę – stają się wbrew racjonalnym przesłankom, głównym czy wręcz jedynym motorem kształtowania społecznych norm i płynących z nich zachowań. Na tym odseparowanym od reszty świata skrawku lądu paradoksalnie uzyskano efekt odwrotny od zamierzonego, co na ironię zakrawa – duchy przodków, w postaci *moai* ustawianych w religijnym oblędzie na *ahu*, zamiast ludność wyspy chronić przed wyimaginowanym zewnętrznym złem, sprowadziły na *Rapa Nui* zło: w postaci realnej ekologicznej zagłady. Bo przecież, o czym tutejsi przywódcy duchowi najwidoczniej nie wiedzieli albo nie chcieli wiedzieć, zło bierze się z wewnątrz – z każdego z nas – z naszej głupoty, pazerności, braku umiarkowania i przewidywania – z ludzkiej, nieliczącej się z niczym i nikim hydry egotyzmu.

Dla mnie Wyspa Wielkanocna nie tyle jest zagadką, co raczej naszą planetą w miniaturze. Jej tragiczna historia może być dla nas przestrogą na nadchodzącą przyszłość. Z tą jednak różnicą, że nie liczyłbym na to, że jacyś „turyści” z zewnętrznego świata, gdy już katastrofa ekologiczna Ziemi stanie się dla wszystkich oczywistym faktem, przybędą nam – jej sprawcom – na ratunek.



Rapa Nui. Figury *moai* ustawione na *ahu* z *pukao* na głowach oraz *moai* zakopane po szyję w ziemi na zboczu wygasłego wulkanu Rano Raraku.



## XXV. Pułapki procesu domestykacji

*To rośliny udomowiły homo sapiens, a nie vice versa*<sup>314</sup> stwierdził prof. Yuval Noah Harari. I trudno się z nim nie zgodzić. Przecież to nie rośliny, ale ludzie zmienili koczowniczy tryb życia ukształtowany na przestrzeni milionów lat ich ewolucji, na egzystencję osiadłą, całkowicie sprzeczną z ich genetycznym kodem. To nie rośliny zrezygnowały z funkcjonowania w swoim naturalnym środowisku zasobnym w różnorodne pokarmy. I to nie one skoszarowały się w ciasnych, zatęchłych lepiankach, po czym zaprzęły do pełnej znoju i cierpienia katorżniczej harówki od bladego świtu do zmierzchu w myśl znanego, choć na wskroś kłamliwego hasła: *Arbeit macht frei*.

Do rangi dogmatu urósł pogląd, do znudzenia powtarzany przez wieki, iż przejście od zbieracko-łowieckiego trybu życia do planowej gospodarki rolno-hodowlanej było milowym krokiem w rozwoju gatunku *Homo sapiens*. Przełomem wynikłym z niezwyklej inteligencji ludzi, dzięki której przeniknęli zagadki przyrody, a zrobili to, żeby poprawić swój byt.

A jak było naprawdę?

### REWOLUCJA AGRARNA

Przypuszczalnie jako pierwsza udomowiła nas dziko rosnąca trawa zwana samopszą. Miało to miejsce około 9500 roku p.n.e. w pobliżu Gobekli Tepe. Można z dużym prawdopodobieństwem zakładać, iż rozciągnięta na ponad tysiąc lat budowa megalitycznych świątyń na tym anatolijskim wzgórzu siłami okolicznych plemion zbieraczy-łowców, szacowanymi przez archeologów na około 1000 osób, a także tutejsze cyklicznie obrzędy, gromadzące jeszcze liczniejsze tłumy pielgrzymów, które prócz stawy duchowej potrzebowały przecież też tej konkretnej – roślinnej oraz mięsnej,

<sup>314</sup> Y. N. Harari, *Od zwierząt...*, op. cit., s. 106.

zainicjowały i zdynamizowały przebieg procesu domestykacji ludzi przez rosnącą tu dziką pszenicę, a w późniejszym czasie też przez dzikie do tej pory owce. Przypuszczam, iż pierwsze osady rolnicze były tworzone w celu zapewnienia aprowizacji dla setek budowniczych tego ośrodka kultu i dla przybywających do niego tłumów pielgrzymów. I tak oto *Homo sapiens* za przyczyną swoich wybujałych wyobrażeń wygenerował spektakularny sukces ewolucyjny tej zupełnie przeciętnej, jeśli jej smak i wartości odżywcze obiektywnie oceniać, trawy. Wszak samopsza, która w owym czasie występowała tylko w pobliżu niewielkiego łańcucha górskiego na Bliskim Wschodzie, już po upływie zaledwie kilku tysiącleci, co w ewolucji jest mikroskopijną chwilką, była obecna, a nawet dominująca na całym globie. Z pewnością do jej sukcesu i generalnie – do upowszechnienia koncepcji upraw roślin i hodowli wybranych gatunków zwierząt walnie przyczynili się misjonarze megalityzmu.

*Proces przechodzenia do rolnictwa rozpoczął się mniej więcej w okresie 9500–8500 p.n.e. w górzystym regionie południowo-wschodniej Turcji, zachodnim Iranie i Lewancie. Początkowo postępował powoli i miał ograniczony zasięg geograficzny (podobnie jak megalityzm). Około 9000 roku p.n.e. udomowiono pszenicę i owce, w 8000 p.n.e. – groch i soczewicę; w 5000 p.n.e. – drzewa oliwne; w 4000 p.n.e. – konie, a 500 lat później – winorośl. Niektóre zwierzęta i rośliny, jak wielbłądy czy nerkowce, udomowiono jeszcze później, aczkolwiek w 3500 roku p.n.e. proces domestykacji zasadniczo był zakończony. Nawet dziś, przy całej naszej wysoko rozwiniętej technice, przeszło 90 procent żywiących ludzkość kalorii dostarcza garstka roślin, które nasi przodkowie udomowili (a raczej odwrotnie: to one ich, jeśli mamy być konsekwentni) w latach 9500–3500 p.n.e.: pszenica, ryż, kukurydza, ziemniaki, proso i jęczmień. Żadna roślina o istotnym znaczeniu nie została udomowiona w ciągu ostatnich dwóch tysiącleci – stwierdził Harari w książce „Od zwierząt do bogów”, dodając jeszcze w konkluzji: *Może i mamy umysły zbieraczy-łowców, ale żywimy się tak samo jak pradawni rolnicy*<sup>315</sup>. To oczywiście w największym skrócie, nie wdając się w niuanse genetycznej modyfikacji wielu odmian lokalnych: zbóż, warzyw, owoców, drobiu, owiec, bydła etc.*

O skali tej transformacji najlepiej świadczą liczby. Otóż 12 000 lat temu na naszej planecie żyło (według Angusza Maddisona, brytyjskiego ekonomisty i historyka makroekonomii) od 5 do 8 milionów koczowników parających się zbieractwem oraz łowiectwem, a w I wieku naszej ery ich liczba spadła do zaledwie 1, góra 2 milionów zamieszkujących głównie

---

<sup>315</sup> Ibidem, s. 104.

Australię, Afrykę oraz obie Ameryki, natomiast pojawiło się na świecie aż 250 milionów rolników<sup>316</sup>.

Koncepcja uprawy roślin i hodowli zwierząt na pierwszy rzut oka wydaje się genialną innowacją, przełomowym krokiem w rozwoju *Homo sapiens*, bo po co błąkać się po lasach i łąkach w poszukiwaniu kępek dzikich zbóż, bulw jadalnych i owoców, albo uganiać się tygodniami za zwierzyną w pełnym niebezpieczeństwie terenie, skoro można w jakimś wybranym do tego i przystosowanym miejscu obsiewać pola, zakładać warzywniki, sadzić drzewa i krzewy owocowe, a w zagrodach – niczym w spiżarniach – trzymać zwierzęta hodowane dla mięsa, mleka, jaj, wełny i skór? Jaki jest sens w ciągłym przemieszczaniu obozowisk z miejsca na miejsce, skoro zamiast w prowizorycznych szałasach można zamieszkać w solidniej zbudowanych, wygodniejszych, całorocznych chatach?

Niestety, to z pozoru racjonalne myślenie od początku kryło w sobie wiele pułapek w postaci nieprzewidywanych a katastrofalnych skutków tego dziejowego eksperymentu.

## **ARBEIT MACHT FREI?**

Na dobrą sprawę nikt się nie spodziewał, że uprawa roli i hodowla zwierząt może być tak kłopotliwa, uciążliwa i obciążona ryzykiem związanym z kłeskami żywiołowymi, szkodnikami dewastującymi plony i innymi problemami. Najpierw trzeba było wykarczować pola pod uprawy, usunąć z nich tony kamieni, potem użyźnić i zorać ziemię, bo przecież obfitsze zbiera się plony, gdy zasiane nasiona przykryje warstwa gleby wzbogaconej obornikiem. Zatem należało nawóz bydłęcy gromadzić, na pola dostarczać, rozrzucać, a potem przekopywać z glebą. Zauważmy, jak wiele mozolnych, ciężkich fizycznie, czasochłonnych i przykrych prac ta nowinka kosztowała. W kolejnych tygodniach całe chłopskie rodziny, w przygarbionej pozycji usuwały z pól chwasty. Musieli też likwidować robaki i pleśnie roznoszące zarazy. Dla wzrostu roślin niezbędne jest ich nawadnianie. Taszczono zatem wiadra wody czerpanej z rzek, jezior lub strumieni. Zajęcie to było tak męczące i uciążliwe, że prędko zastąpiono je nawadnianiem za pomocą systemu melioracji. Wymagało to jednak żmudnego kopania rowów, kanałów i studni. Wiele wysiłku i czasu zajęło też grodzenie pól i pastwisk w celu ochrony

<sup>316</sup> Angus Maddison, *The World Economy*, t. 2, Paris: Development Centre of the Organization of Economic Co-operation and Development, 2006, s. 636; *Historical Estimates of World Population*, U.S. Census Bureau, dostęp 10.12.2010; <http://www.census.gov/ipc/www/worldhis.html>.

przed dziką zwierzyną i złodziejami. Był czas żniw i sianokosów, młócenia ziarna, ponownego nawożenia pól, orki, siania, bronowania, plewienia... I tak dzień w dzień, w kółko, bez końca.

Nie da się zaprzeczyć, iż żywot setek pokoleń rolników był fizycznie i psychicznie trudny do wytrzymania, obarczony nieustannym niepokojem o zbiory i troską o bliższą i dalszą przyszłość. Upływał na wykonywaniu wciąż tych samych czynności, w tym samym monotonnym krajobrazie pól, pastwisk, rowów i płotów. W tym samym obejściu, w otoczeniu tych samych ludzi – rodziny i sąsiadów. Doprawdy trudno pojąć, dlaczego ktokolwiek, kiedykolwiek, na taki podły los się dobrowolnie zgodził mając do wyboru wcześniejszą, lżejszą i ciekawszą opcję bytowania.

Zbieracko-łowiecka forma życia z pewnością także była obciążona licznymi trudami, ale w toku ewolucji Matka Natura świetnie ludzi do niej przystosowała. Zaopatrzyła w adekwatne geny, zdolności i umiejętności. Dała nam wyostrzone zmysły i kondycję fizyczną, zatem zaopatrzyła w cechy umożliwiające życie w różnych klimatycznych i środowiskowych warunkach. Od arktyczno-polarnych przez gęste lasy, wysokogórskie równiny, tropikalne dżungle, stepy, aż po obszary półpustynne i pustynne. Ta zdolność przystosowawcza ludzi wydaje się największą ich zaletą. I do czasu, gdy to *Homo sapiens* dostosowywał się do środowiskowych warunków, odnosił same sukcesy, natomiast, gdy postanowił naturę nagiąć do swoich wymagań, zaczął ponosić sromotne klęski.

Nie jest bowiem prawdą ani to, że rolniczo-hodowlany model życia był lżejszy od zbieracko-łowieckiego, ani też to, że rewolucja agrarna przyniosła poprawę jakości życia, i że rolnicy osiągnęli wyższy stopień rozwoju od plemion koczowników, bo byli od nich mądrzejsi. Wierutne to są brednie i zakłamywanie oczywistych faktów. Na co baczna uwagę zwrócił profesor Harari: *Podczas gdy obywatele dzisiejszych zamożnych społeczeństw przeciętnie pracują 40–45 godzin tygodniowo, a mieszkańcy krajów rozwijających się nawet 60–80 godzin (w przybliżeniu tyle ile pracowali dawni rolnicy), dzisiejsi zbieracze-łowcy zamieszkujący najbardziej nieprzyjazne środowisko – pustynię Kalahari – poświęcają na pracę 35–45 godzin tygodniowo. Polują tylko raz na trzy dni, a zbieractwo zajmuje im 3–6 godzin dziennie. W normalnych warunkach wystarcza im to do wyżywienia gromady. Jest wysoce prawdopodobne, że pradawni zbieracze-łowcy bytujący na terenach zasobniejszych w pokarm potrzebowali jeszcze mniej czasu na zdobywanie pożywienia i surowców. A przy tym byli mniej obciążeni obowiązkami domowymi*<sup>317</sup>. No i czynności przez nich wykonywane były o wiele bardziej urozmaicone, ciekawsze i nie powodowały przepukliny, dyskopatii,

<sup>317</sup> Y. N. Harari, *Od zwierząt...*, op. cit., s. 69, 70.

zwyródnień stawów, żylaków i artretyzmu (powszechnych dolegliwości dawnych rolników). Ponadto: *Pradawni zbieracze-łowcy byli także mniej podatni na choroby zakaźne. Większość chorób infekcyjnych nękających społeczeństwa rolnicze i przemysłowe (takich jak oспа, odra czy gruźlica) pochodziła od udomowionych zwierząt i przeszła na ludzi dopiero po rewolucji agrarnej. Pradawnych zbieraczy-łowców, którzy udomowili jedynie psa, podobne nieszczęścia omijały. Co więcej, w społeczeństwach rolniczych i przemysłowych większość ludzi żyła w ciasnych, niehigienicznych, stałych osiedlach – idealnych siedliskach chorób*<sup>318</sup>. Chorób, które omijały niewielkie (liczące nie więcej niż 150 osób) plemiona zbieraczy-łowców. Przeważnie omijały, bo warto wiedzieć, że wynalazek osiadłego trybu życia wcale nie wynika z procesu domestykacji – był on praktykowany przez paleolityczne plemiona zbieraczy-łowców w rejonach nieustannie zasobnych w obfitość pokarmów. Do takich należały osady rybackie. Najstarsze z nich, liczące ponad 45 tysięcy lat, archeolodzy odkryli na wybrzeżach indonezyjskich wysp. Nieco od nich młodsze, ale też paleolityczne osady odnaleziono w rejonach arktycznych. Bytowanie w nich było możliwe dzięki opanowaniu przez te pradawne społeczności rybackie metod suszenia, wędzenia, zasalania i mrożenia żywności.

## STRATEGIE PRZETRWANIA

Dieta większości koczowniczych gromad była bardzo urozmaicona. Zbiactwo z racji wartości odżywczych i kalorycznych pokarmów oraz pozyskiwania niezbędnych surowców było, jak się zdaje, od łowiectwa ważniejsze. Zdrowa dieta oparta na setkach różnorodnych pokarmów skutecznie chroniła te społeczności przed chorobami i niedożywieniem. Zbieracze-łowcy umieli, w razie konieczności (pogorszenia się warunków bytowych), przedstawiać się elastycznie na zbieranie innych gatunków roślin i odławianie innych niż wcześniej zwierząt, bądź przenosili się na tereny zasobniejsze w pokarm. Pod tym względem przewyższali dawne społeczności rolników, których podstawą wyżywienia stało się zaledwie kilka uprawianych roślin i hodowanych zwierząt, ich dieta była zatem uboższa o wiele niezbędnych dla zdrowia składników.

*Revolucja agrarna z pewnością pomnożyła zasoby żywnościowe pozostające do dyspozycji człowieka, ale większa ilość żywności nie przekładała się na lepszą dietę czy dodatkowy czas wolny. Przyniosła raczej eksplozję demograficzną (zakłócającą równowagę ekosystemu planety) i rozpasane*

<sup>318</sup> Ibidem, s. 71, 72.

*elity* (czyli zepsucie norm społecznych zachowań i hierarchii wyznawanych wartości). *Przeciętny rolnik pracował ciężiej niż typowy zbieracz-łowca, a w nagrodę dostawał gorsze pożywienie. Rewolucja agrarna była największym oszustwem historii*<sup>319</sup>. Ponadto ta strategia życia, w okresach nieurodzaju powodowanych przez zdarzenia losowe: susze, powódzie, pożary, zarazy i klęski wywołane przez innych ludzi (takie jak wojny), skazywała przednowoczesnych rolników na długie okresy głodu.

Z antropologicznych badań wynika, iż poczynając od epoki rewolucji agrarnej do chwili obecnej, statystyczna, uśredniona pojemność mózgów *Homo sapiens* uległa zmniejszeniu! Obecnie, co prawda, mamy większy zasób informacji od naszych koczowniczych przodków, jednak to oni bili nas na głowę pod względem wszechstronnej, praktycznej wiedzy oraz szerokiego spektrum opanowanych umiejętności. *Świadcstwa uzyskane ze skamieniałych szczątków kostnych wskazują, że pradziejowi zbieracze-łowcy rzadziej borykali się z głodem i niedożywieniem i na ogół odznaczali się wyższym wzrostem oraz lepszym zdrowiem niż późniejsi rolnicy*<sup>320</sup>. Także ich zmysły, intuicja, refleks, wyczucie, zwinność i spostrzegawczość oraz kondycja fizyczna były na wyższym poziomie niż statystycznie ma to miejsce obecnie. Dawniej: *ludzie nie poszukiwali tylko jedzenia i surowców. Gnał ich również głód wiedzy. Aby przeżyć musieli tworzyć szczegółowe pamięciowe mapy własnego terytorium* (i to bardzo rozległe, bo nieustannie przenosili swoje obozowiska). *Do jak najbardziej skutecznego codziennego poszukiwania pożywienia potrzebowali informacji o procesach życiowych każdej rośliny, a także o zwyczajach każdego zwierzęcia. Musieli wiedzieć, jakie pokarmy są pożywne, jakie szkodzą, a jakie mają zastosowanie lecznicze. Musieli znać przemianę pór roku i wiedzieć, jakie znaki zapowiadały burzę bądź suszę (...). Każdy osobnik musiał umieć wyrabiać kamienne noże, łątać podarte odzienie, zastawiać sidła na zająca, radzić sobie z lawinami, ukąszeniami węży czy wygłodniałymi lwami*<sup>321</sup>. I tylko ktoś obdarzony tymi wszystkimi zaletami mógł się cieszyć wzięciem u płci przeciwnej, a więc miał szansę nie tylko na przetrwanie i szacunek współplemieńców, ale również na przekazanie genów przyszłym pokoleniom. Podczas gdy w dawnych ośrodkach rolniczych, a także w obecnych – przemysłowych, byle nosiwoda lub robotnik przykręcający śrubki na taśmie montażowej, pozbawieni krzty inteligencji, są w stanie jakoś przetrwać, a nawet liczyć na sukces reprodukcyjny. Dlatego śmiało można zaryzykować tezę, iż od zmiany trybu życia ze zbieracko-łowieckiego na rolniczo-hodowlany

<sup>319</sup> Y. N. Harari, *Od zwierząt...*, op. cit., s. 106.

<sup>320</sup> Ibidem, s. 70.

<sup>321</sup> Ibidem, s. 67, 68.

i później przemysłowy, kopie *helis* ludzkiego DNA uległy w skali globalnej znacznemu pogorszeniu. Na ten stan rzeczy wpływ miał też fakt, iż to rolnicy-hodowcy odnotowywali zdecydowanie większy przyrost urodzeń niż koczownicze ludy, ponieważ ich tryb stacjonarnego życia bardziej temu sprzyjał. Wiadomo – każda para rąk przyda się w gospodarstwie. Tyle, że im więcej gęb było do wyżywienia, tym większe rodziło to problemy – jakość życia chłopskich rodzin sukcesywnie się pogarszała. Oto kolejna z pułapek uruchomienia procesu domestykacji. Prawda, że z powodu prowizorycznych warunków nomadycznego życia śmiertelność niemowląt w gromadach zbieraczy-łowców była większa niż u rolników, no i kobiety rodziły dzieci nie częściej niż raz na 3–4 lata (a nie rok w rok, jak to bywało u rolników), to jednak każdy osobnik, któremu udało się przetrwać trudne lata wczesnego dzieciństwa, mógł liczyć na stosunkowo długie (przekraczające 60 lat), ciekawsze od wiejskiej wegetacji życie. Zatem, jeśli sukces ewolucyjny oceniać wyłącznie pod kątem ilościowym, czyli ile dana populacja pozostawi po sobie kopii *helis* DNA, nie wnikając w to, jakimi cechami te osoby są obdarzone, ani czy są one szczęśliwe, to niewątpliwie rolnicy-hodowcy odnieśli niebywały sukces, skoro w ciągu niespełna dziesięciu tysięcy lat ich liczba od niemal zera poszybowała do 250 milionów, podczas gdy liczba zbieraczy-łowców radykalnie zmalała w tym samym czasie z 8–5 do zaledwie 1–2 milionów. Ale czy naprawdę w ewolucji chodzi o to, kto kogo liczbowo zdominuje, czy raczej, aby genotypy wszystkich gatunków zwierząt podlegały ciągłej jakościowej poprawie? No, bo co z tego, że w wyniku wykoncypowanej planowej gospodarki hodowlanej świat zwierzęcy zdominowały krowy, świnie, owce, króliki, konie i drób, skoro ich życie toczy się zwykle w koszmarnych warunkach, a w sensie ewolucyjnym bardzo daleko im do ich żyjących w naturalnym środowisku przodków (bo radykalnie zmodyfikowaliśmy ich formowane przez miliony lat geny, a ich cechy i zdolności przystosowaliśmy do naszych potrzeb). *Dziś na świecie występuje około miliarda owiec, miliarda świń, przeszło miliard sztuk bydła i ponad 25 miliardów kur. Spotykane są wszędzie. Udomowiona kura jest najpowszechniej występującym ptakiem w historii. Udomowione bydło, świnie i owce zajmują po homo sapiens kolejno drugie, trzecie i czwarte miejsce na liście najliczniejszych dużych ssaków. Z wąskiej perspektywy ewolucyjnej, która sukces mierzy liczbą kopii DNA, rewolucja agrarna była dla kur, bydła, świń i owiec darem losu<sup>322</sup>. Darem, którego nikomu nie wypada życzyć. Uważam natomiast, że wśród wszystkich gatunków zwierząt największy sukces wynikający z procesu domestykacji ludzi przez florę i faunę odniosły psy, których populacja sięga obecnie 400 milionów,*

<sup>322</sup> Ibidem, s. 121.

oraz koty. Zwłaszcza te ostatnie. Wszak to one dzięki swojej niebywalej inteligencji błyskawicznie przystosowały się do zmodyfikowanych przez *Homo sapiens* warunków, oswajając nasz dominujący gatunek, co pozwoliło im uplasować się w połowie pierwszej dziesiątki najliczniejszych zwierząt świata, z wynikiem 600 milionów, z których znaczna część, co warto docenić, wiecie beztroski żywot. Nikt nie policzył, bo zwyczajnie się nie da, ogromnej armii myszy i szczurów. Zwierząt bardzo inteligentnych, sprytnych, niesamowicie wytrzymałych, godnych najwyższego uznania z racji ich cech przystosowawczych do stworzonych przez ludzi warunków, choć w przeciwieństwie do psów i kotów, konsekwentnie pozostających wobec nas w opozycji.

## EKSTERMINACJA NATURY

*W rzeczywistości ludzie zawsze żyli w epoce postprawdy. Homo sapiens to gatunek żyjący w środowisku postprawdy, którego władza zależy od tworzenia fikcji i wiary w nie*<sup>323</sup>. Odnalezione przez archeologów ceremonialne pochówki neandertalczyków świadczą o tym, że również ten gatunek ludzi posiadał ową unikalną zdolność. Tyle, że opanował ją w niewystarczającym stopniu, by przetrwać w konfrontacji z naszą drapieżną odmianą człowieka. Przyznam, że nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jaką intersubiektywną fikcję wymyśliły paleolityczne plemiona zbieraczy-łowców *Homo sapiens*, by do mniej więcej początku holocenu ze szczętem wybić wszystkie inne gatunki *Homo*, czyli całą konkurencję. Tłumaczyli to koniecznością dziejową, albo wyrokami bogów? Wiele mitów opowiada o planowej eliminacji mniej udanych, czytaj: „gorszych”, wcześniejszych ras ludzi, do czego ponoć przyczyniały się sprowadzane przez wykoncypowanych bogów potopy oraz inne kataklizmy. Nie sądzę jednak, żeby działały one na tyle wybiórczo, aby wytepiły te mniej udane odmiany ludzi bez szkody dla naszej populacji. Z pewnością w tym holokauście mieliśmy swój aktywny udział. Podobnie jak w całkowitym wytępieniu wielkiej liczby dużych ssaków oraz gadów. Nie jest przecież przypadkiem to, że wkrótce po pojawieniu się na kontynencie australijskim pierwszych osobników gatunku *Homo sapiens*, co miało miejsce jakieś 45 tysięcy lat temu, w ciągu zaledwie kilku tysiącleci tamtejsza fauna została radykalnie przetrzebiona. I trudno zwać winę na „boskie” lub naturalne kataklizmy, bo w tym przedziale czasu żadnych innych, poza przybyciem drapieżnych „ludzi myślących”, nie odnotowano. Żyły w Australii, między innymi, podobne do strusi, tyle

<sup>323</sup> Y. N. Harari, *21 lekcji na XXI wiek*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018, s. 300, 301.

że dwukrotnie od nich większe nietolne ptaki i lwy workowate wielkości tygrysa, ogromne jaszczurki oraz pięciometrowe węże. W lasach można było się natknąć na gigantyczne diprotodony (były wielkości nosorożca białego – do 2 metrów) oraz dwuipółmetrowe wombaty. Wśród ssaków królowały tam torbacze kompletnie nieznane w Azji i Afryce. W krótkim czasie z zamieszkujących Australię 24 gatunków zwierząt o masie przekraczającej 45 kilogramów (100 funtów) wymarły 23. Zniknęła też znaczna liczba gatunków mniejszych. W toku najbardziej doniosłej transformacji ekosystemu Australii zerwaniu i przeformowaniu uległy łańcuchy pokarmowe całego kontynentu<sup>324</sup>. I to przeformowaniu niemal całkowitemu, bo doszczętnemu wyćpieniu uległo 90% tamtejszych wielkich zwierząt. To samo spotkało florę tego kontynentu. Koczownicze plemiona ludzkie, którym wygodniej i bezpieczniej było odławiać zwierzynę na otwartych przestrzeniach, już dziesiątki tysięcy lat przed wprowadzeniem planowej gospodarki rolnej stosowały system żarowy, czyli wypalanie dużych połaci lasów. *Pogląd ten znajduje potwierdzenie w szczątkach roślin kopalnych. 45 tysięcy lat temu eukaliptus należał w Australii do rzadkości, lecz przybycie homo sapiens zapoczątkowało okres niezwykle rozprzestrzeniania się tego drzewa. Eukaliptus, niezwykle odporny na ogień, rozrastał się wzdłuż i wszerz kontynentu, podczas gdy inne drzewa i krzewy znikły. Te przeobrażenia szaty roślinnej nie pozostały bez wpływu na zwierzęta roślinożerne i żywiących się nimi mięsożerców. Koala, żywiące się wyłącznie liśćmi eukaliptusa, w krótkim czasie opanował nowe terytoria. Wiele łańcuchów pokarmowych uległo przerwaniu, a to skazało na wyginiecie ich najsłabsze ogniwa*<sup>325</sup>.

Do analogicznego spustoszenia gatunków doszło mniej więcej 15–14 tysięcy lat temu na kontynencie amerykańskim. Stało się to wkrótce po dotarciu tam ze wschodniej Syberii lodowym mostem łączącym w owym czasie Azję z Alaską, hord *Homo sapiens*. Następcy tych koczowników w ciągu ledwie dwóch tysięcy lat dotarli aż do Ziemi Ognistej. W trakcie tej inwazji Ameryka Północna utraciła 34 z 47 zamieszkujących ją rodzajów wielkich ssaków, Ameryka Południowa zaś 50 z 60. Wymarł tygrys szablozęby, który mieszkał tu od 30 milionów lat. Jego los podzieliły też gigantyczne leniwce naziemne (ważące do ośmiu ton i długie nawet na sześć metrów), niespotykanej wielkości lwy, rodzime amerykańskie konie i wielbłądy, olbrzymie gryzonie i mamuty (również mastodonty) oraz tysiące gatunków mniejszych ssaków, gadów, ptaków, a nawet owadów i pasożytów<sup>326</sup>. Co prawda, nie można całą winą za masakrę 75% gatunków

<sup>324</sup> Y. N. Harari, *Od zwierząt...*, op. cit., s. 88.

<sup>325</sup> Ibidem, s. 92.

<sup>326</sup> Ibidem, s. 95, 96.

dużych ssaków i wielkiej ilości mniejszych zwierząt obu Ameryk obciążyć wyłącznie koczowniczych hord ludzi, ponieważ działo się to w czasie, gdy przypuszczalnie doszło do impaktu planetoidy albo kilku fragmentów dużej komety. Katakлизmu, w którym, jak piszę wyżej, doszczętnie wyginięło wtedy liczne, dobrze rozwinięte plemię Clovis w Ameryce Północnej. Nie zmienia to faktu, iż wytrzebienie leniwca naziemnego na wyspach Kubie i Haiti z pewnością jest wyłączną winą człowieka. Nastąpiło około 5000 roku p.n.e., zatem wkrótce po przeprowadzeniu się naszych przodków przez Morze Karaibskie (fakt ten potwierdzają odkrycia paleontologów i archeozoologów), a w tym przedziale czasu zdarzeń żywiołowych na tym obszarze geolodzy nie stwierdzili. Podobnie zresztą jak znacznie później, na wielu wyspach Pacyfiku, gdzie faunę i florę wyniszczyli polinezyjscy rolnicy, którzy sukcesywnie je zasiedlali: Fidżi, Wyspy Salomona i Nową Kaledonię około 1500 roku p.n.e., Samoa i Wyspy Tonga (1200 p.n.e.), Markizy na przełomie starej i nowej ery, Wyspy Cooka, Hawaje i Wyspę Wielkanocną około 500 roku, Nową Zelandię około 1200 roku. Unikalną faunę i florę Madagaskaru (wielkiej wyspy położonej 400 kilometrów na wschód od Afryki) spustoszyli najpewniej megalitczycy, którzy tam dotarli około 500 roku. Żyły tu między innymi mamutniaki – wielkie nielotne ptaki ważące niemal pół tony, mierzące przeszło 3 metry długości, i lemury olbrzymie – największe z pradawnych naczelnych, a także wiele innych endemicznych gatunków zwierząt, po których pozostały tylko odkrywane przez archeozoologów kości.

Niestety smutna prawda jest taka, i inną zwyczajnie być nie chce, że do wymarcia przeszło połowy wielkich ssaków lądowych naszej planety i niezliczonej ilości gatunków roślin, w ogromnej mierze przyczyniły się hordy zbieraczy-łowców. Ale faktem jest i to, że spośród 200 gatunków dużych zwierząt (o masie przekraczającej 45 kilogramów), które jakimś cudem przetrwały do rewolucji agrarnej, po jej zakończeniu pozostało zaledwie 100. Zatem zmiana trybu życia gatunku *Homo sapiens* nie miała zbawionego wpływu na powstrzymanie tego holokaustu.

## OD ANIMIZMU DO POLITEIZMU

*Pierwsza fala wymierania, jaka towarzyszyła ekspansji zbieraczy-łowców, w parze z drugą, związaną z rozprzestrzenianiem się rolników, dają nam ważną perspektywę na trzecie wymieranie, które wywołuje dziś działalność przemysłowa. Nie wierzymy idealistycznym ekologom (napisał Harari) twierdzącym, że nasi przodkowie żyli w harmonii z przyrodą. Bo żyli z nią w dysharmonii. Na długo przed rewolucją przemysłową homo sapiens*

był wśród wszystkich organizmów sprawcą wymarcia największej liczby gatunków roślin i zwierząt. Mamy wątpliwy zaszczyt bycia najbardziej morderczym gatunkiem w annałach biologii<sup>327</sup>.

Przyznam, iż mnie, jako *idealistycznemu ekologowi* darzącemu dużą sympatią górnopaleolityczne plemiona zbieraczy-łowców, nie jest łatwo zaakceptować fakt potwierdzony przez liczne badania, iż do najbardziej niszczycielskiej fali spustoszenia planety doszło na długo, zanim komukolwiek przyszedł do głowy innowacyjny pomysł siania i sadzenia jakichkolwiek roślin. Wydaje się to sprzeczne z systemem wierzeń tych koczowniczych gromad. Wszak generalnie, w górnym paleolicie (o czym pisałem wcześniej) dominowała politeistyczna wiara w Boga-Zwierza, jego boską wybrankę, *Magna Mater*, i w sukcesywnie powiększający się orszak jej zwierzęcych pomocników. Wiara ta najpewniej wyewoluowała z animizmu (od łacińskiego słowa *anima*, oznaczającego duszę), a więc z przeświadczenia, iż świat zasiedlony jest istotami obdarzonymi osobowością, które mogą się ze sobą komunikować, wchodzić w różne interakcje, a nawet wzajemnie się przenikać. Dla animisty wszelkie byty: zwierzęta, ludzie, rośliny, lasy, polany, skały, góry, wulkany, strumienie, a nawet żywioły takie jak deszcz, wiatr, mróz i ogień mają podobne do ludzkich emocje, potrzeby i pragnienia. Są obdarzone świadomością. Na przykład mogą się rozgniewać, ale można je udobruchać ceremonialnym tańcem i śpiewem, można też prosić je o przychyłność, przysługę albo wybaczenie, czyli wchodzić z nimi w bezpośrednie związki. Animista do tworów ożywionych zalicza również byty niematerialne – duchy zabitych zwierząt albo zmarłych przodków, które mogą być przyjazne lub wrogie, przybierać postać dobrych nimf, opiekuńczych duchów, lub przeciwnie – groźnych demonów lub upiorów. Wszystkie one mogą się wcielić w byty istniejące: głazy, zwierzęta, drzewa lub płomień ogniska, albo wizerunek wykonany na piasku lub wyryty na ścianie jaskini. Animista mógł zatem prosić jakieś zwierzę przed wyruszeniem na łowy o ofiarowanie siebie w darze, a po polowaniu zakończonym sukcesem dziękować jego duszy i prosić ją o wybaczenie poprzez zaklęcia lub rytualne obrzędy. Każde z koczowniczych plemion, w związku z własną tradycją, przekazywanymi opowieściami i zwyczajami, mogło kultywować inne uświęcone miejsca oraz inne opiekuńcze duchy uosabiane przez konkretne byty – jakiś głaz, ogień, drzewo lub szamankę. Z biegiem czasu część z tych spirytualnych bytów przeobraziła się w lokalne bóstwa, patronujące różnym plemionom. Animizm sukcesywnie przeradzający się w politeizm, od greckiego *polis* – liczny, *theos* – bóg), był nieograniczoną przestrzenią do tworzenia i przekształcania wielkiego spektrum wierzeń

<sup>327</sup> Ibidem, s. 98, 99.

lokalnych, które w późniejszym czasie stały się bazą uniwersalnej religii obejmującej swoim zasięgiem większą liczbę plemion.

W animizm wpisany jest szacunek do innych istnień, w tym zwierząt i roślin, a także lęk przed niechybną zemstą pośmiertną tych bytów za nieuzasadnione stosowanie wobec nich przemocy, czyli za złamanie norm obowiązujących w przyrodzie. Jak zatem tłumaczyć paradoksalny fakt, iż to nie kto inny, ale właśnie animiści dopuścili się największego w dziejach spustoszenia natury? Jedyne, co mnie przychodzi do głowy, to (jakże charakterystyczny dla ludzi) brak przewidywania długofalowych skutków podejmowanych działań. Przecież, jeśli każde z plemion zabiło rocznie ledwie jedno zwierzę więcej niż ich przyszło na świat w stadzie, to już zaledwie po kilku stuleciach te stada zniknęły z powierzchni Ziemi. Ich zagłada przebiegała zatem dla tych plemion niemal niezauważalnie. I dokonała się bez jakiegokolwiek z ich strony premedytacji. Nieco trudniej wytłumaczyć powszechnie praktykowaną przez nich gospodarkę żarową, czyli wypalanie wielkich połaci lasów. Zakładam, że mogli nie czuć się osobiście odpowiedzialni za te czyny, bo przecież to ich przyjaciel ogień, potężny żywioł, a jednocześnie konkretny, obdarzony własnym rozumem i emocjami byt, zapewne poproszony o to w ceremonialnym tańcu, czynił to spustoszenie za nich. Tak już jest, że ludzie każdą sprzeczność i nielogiczność podejmowanych przez siebie działań zawsze potrafili sami przed sobą wytłumaczyć.

## OD POLITEIZMU DO MONOTEIZMU

Wszystkie religie wywodzą się z tego samego pnia – z animizmu. Jego wyraźne ślady odnajdziemy w każdej z nich w postaci: duchów opiekuńczych, nieśmiertelnej duszy i demonów. Kosmiczne drzewo życia nazywane czasem rajskim drzewem lub drzewem mądrości – dobra i zła – też wywodzi się z tego źródła. We wszystkich politeistycznych religiach utrzymywały się długo paleolityczne panteony zwierząt towarzyszących Matce Stworzenia. Co prawda na przestrzeni wielu tysięcy lat podlegały one znacznym modyfikacjom wynikłym ze społecznych przeobrażeń, ale żadnej z późniejszych religii nie udało się ich całkowicie wygumkować z naszej zbiorowej pamięci i wyobraźni. Przykładowo: w chrześcijaństwie najważniejszą paleolityczną postać Boga-Byka przerobiono na diabła – jego biegunowe przeciwieństwo, a z węża (głównego pomocnika Wielkiej Gospodyni, odpowiedzialnego za pośmiertną transformację) uczyniono ośliszły pomiot szatański – wcielenie zła. Ją samą zresztą też wszystkie religie patriarchalne zdegradowały do roli obmierzłej, groźnej czarownicy

lub więdźmy. Doprawdy pokrętnę są ścieżki naszych intersubiektywnych wyobrażeń i wynikających z nich wierzeń.

Pierwotny typ animistycznych religii, sukcesywnie przeobrażający się w bardziej uniwersalny politeizm, postrzegał, by tak rzec, egalitarnie wszelki byt, czy zaliczano go do sfery materii, czy też ducha. Rewolucja agrarna uruchomiła niekontrolowaną przez nikogo lawinę przemian również w tym zakresie ludzkiej aktywności. Najlepiej to ilustruje przykład ludu Najaka z tropikalnego lasu południa Indii – zbieraczy-łowców, którzy całkiem niedawno przyswoili sobie uprawę roli i hodowlę zwierząt. Danny Naveha, który prowadził antropologiczne badania tego plemienia, stwierdził, że przed wprowadzeniem rolniczo-hodowlanej gospodarki wszystkie bez wyjątku rośliny i zwierzęta były dla ludu Najaka *mansan*, czyli obdarzone duszą (czujące i myślące, mające świadomość), po jej wprowadzeniu już nie wszystkie. Na przykład krzewy herbaty uprawiane przez nich dla zysku przestały być *mansan*, podobnie hodowane krowy i kury zostały w ich mentalności zdegradowane – uprzedmiotowione. Stało się tak, bo nie wolno czujących istot poddawać cynicznym manipulacjom, wykorzystywać do własnych celów, ograniczać im wolności, a zwłaszcza zabijać ich bez uzgodnienia. To kolejna pułapka procesu domestykacji, bo przecież lud Najaka obecnie nie zdaje sobie sprawy, że to pozornie błahe rozróżnienie bytów na „osoby” i „przedmioty” w dalszej konsekwencji doprowadzi ich do pozbawienia statusu *mansan* także wszystkich pozostałych roślin, które trzeba przecież eliminować, żeby zyskiwać przestrzeń pod więcej upraw, i oczywiście zwierząt dziko żyjących, które staną się dla nich niebawem szkodnikami zagrażającymi ich kurom, stadom bydła i polom uprawnym. Tak to już jest – gdy pojawia się pęknięcie w dotychczas wyznawanym systemie norm, o czym aż nadto dobrze wiemy z historii, powoduje ono kolejne pęknięcia, rysy i szczeliny, aż w końcu wali się cały gmach do tej pory wyznawanych wierzeń i wartości. Zatem, po roślinach i zwierzętach cechę *mansan* musiały w następnej kolejności utracić nadal żyjące w zgodzie z naturą koczownicze plemiona zbieraczy-łowców: od czasu rewolucji agrarnej stały się dla rolników prymitywnymi dzikusami – barbarzyńcami. Później uprzedmiotowiono kobiety, które stały się własnością mężczyzn. Niczym zaraza rozpleniły się nierówności i dysproporcje społeczne, pojawiły się: kasty, warstwy, rasy „gorsze” (pozbawione wszelkich praw) i te „lepsze” – uprzywilejowane. Z pojmanych wrogów i schwytanych ludzi czyniono niewolników, również wielu wolnych do tej pory ludzi stało się chłopami pańszczyźnianymi, siłą roboczą, którą można było bezkarnie handlować.

Tej lawiny niszczycielskich przemian ideowych w sercach, umysłach, mentalności, a także w konkretnych działaniach, uruchomionej przez

rewolucję agrarną, nie można już było w jakikolwiek sposób tłumaczyć i usprawiedliwiać nie tylko na gruncie animistycznych wierzeń, ale nawet politeizmu. Nowe typy wyobrażeń i zachowań potrzebowały nowej religii – monoteizmu (jedynobóstwa) – usankcjonowanej wiary, w myśl której jednemu bytowi obdarzonemu duszą – człowiekowi (ma się rozumieć tylko temu posiadającemu nadane sobie prawa i przywileje, bo przecież nie barbarzyńcom przez niego zdehumanizowanym) sprzyjałby jedyny prawdziwy, „sprawiedliwy” (dla swoich wyznawców, i tylko dla nich), bezwzględny dla niewiernych, Bóg-Ojciec. Do religii sankcjonujących rolniczy układ monoteistycznego, patriarchalnego Boga-Stwórcy z ludźmi należą między innymi: judaizm, chrześcijaństwo i islam, wciąż cieszące się wielką popularnością, których wspólny mianownik zawiera się w hasle „Czyńcie sobie ziemię poddaną”. Nie przypuszczam, żeby jakiegokolwiek z licznych odgałęzień monoteizmu występowało w czystej postaci. Ewidentnie religie te zaczerpnęły wiele elementów z politeizmu (prorocy, synowie bogów, ich rodzicielki, święci, błogosławieni) oraz animizmu (duch przenikający Wszechświat, rajski ogród, drzewo mądrości, nieśmiertelne dusze).

## WŁASNOŚĆ, NIERÓWNOŚĆ, PRZEMOC

Prof. Harari ma absolutną rację twierdząc, iż *Nierówność datuje się od epoki kamienia. Trzydzieści tysięcy lat temu grupy zbieraczy-łowców cho- wały niektórych swoich członków we wspaniałych grobach pełnych tysięcy paciorków z kości słoniowej, bransoletek, klejnotów i wyrobów rękodzieła artystycznego, podczas gdy inni musieli się zadowolić zwykłą dziurą w zie- mi. Niemniej jednak pradawne grupy zbieraczy-łowców i tak były dużo bardziej egalitarne niż jakiegokolwiek późniejsze ludzkie społeczeństwo, ponieważ miały niewiele własności. Własność jest warunkiem wstępnym trwałej nierówności*<sup>328</sup>. Trzeba w tym miejscu wyraźnie zaznaczyć, że w społeczeństwach zbieraczy-łowców ograniczano się do posiadania możliwie jak najmniejszej ilości osobistych przedmiotów: narzędzi, broni, odzieży i ozdób z uwagi na koczowniczy tryb życia, z którym wiązało się częste przenoszenie dobytku. W tych wspólnotach cechy osobowości miały znaczenie pierwszorzędne, to one wyznaczały pozycję społeczną, a nie dobra materialne. W społeczeństwach rolniczych ta kwestia uległa zasadniczej zmianie. Osiadły tryb życia sprawił, iż posiadanie, a nawet pomnażanie dóbr materialnych przestało być obciążeniem, a przeciwnie, stało się wyznacznikiem społecznego statusu – przedmiotem podziwu

<sup>328</sup> Y. N. Harari, *21 lekcji...*, op. cit., s. 106.

i zazdrości innych – uboższych członków społeczności. Teraz to majątek dawał rękojmię dostatniego, a nawet komfortowego życia. I mniej istotne było, czy w jego posiadanie weszło się ciężką, wytrwałą pracą, w wyniku inteligencji lub dziedziczenia, czy raczej zawdzięczało się go sprytowi lub zwykłej grabieży. Oto kolejna pułapka wynikająca ze zmiany sposobu myślenia i trybu życia. Skoro możliwe stało się to, co dawniej było nie do pomyślenia, a więc posiadanie na własność części planety w postaci pól uprawnych, sadów, pastwisk, zwierząt hodowlanych, to w nieodległej przyszłości było już powszechną normą podbijanie narodów i kupowanie wszelkich dóbr, w tym niewolników, chłopów pańszczyźnianych, nawet całych wsi i miast. I to w majestacie ustanowionego przez samego Boga-Stwórcę prawa. Bo pamiętajmy, że nowe religie monoteistyczne poprzez głoszące je instytucje kościelne, aktywnie uczestniczące w przejmowaniu i podziale tego łupu, owe nierówności i dysproporcje społeczne, przemoc i podboje sankcjonowały. Z pewnością we wspólnotach epoki kamiennej również dochodziło do aktów przemocy, ale niewątpliwą prawdą jest też, że rewolucja agrarna tę spiralę zła znacznie spotęgowała. Wynika to z tej przyczyny, że o ile koczownicze plemiona zbieraczy-łowców, w razie napaści silniejszego rywala, zawsze miały wybór: mogły stanąć do walki albo salwować się ucieczką, przenieść swoje obozowisko na teren mniej sprzyjający do życia a mimo to przetrwać, to chłopci takiego wyboru nie mieli. Za wszelką cenę musieli bronić swoich osad, rodzin i zgromadzonych zasobów: *Liczne badania antropologiczne i archeologiczne wskazują, że w prostych społecznościach rolniczych, których struktury polityczne ograniczały się do wioski i plemienia, przemoc z ręki człowieka odpowiadała za 15 procent zgonów, w tym 25 procent zgonów mężczyzn. Na Nowej Gwinei przemoc stanowi przyczynę 30 procent zgonów mężczyzn z plemienia Dani oraz 35 procent zgonów mężczyzn z plemienia Enga. W Ekwadorze nawet 60 procent ginie gwałtowną śmiercią z ręki drugiego człowieka. Z czasem przemoc międzyludzką ograniczył rozwój większych struktur społecznych – miast, królestw i państw. Zbudowanie tak rozległych i skutecznych struktur politycznych zajęło jednak tysiące lat*<sup>329</sup>. Nie wyeliminowało to jednak bezpardonowych wojen toczonych między tymi rozleglejszymi i skuteczniejszymi strukturami społecznymi, i nie wyrugowało niesprawiedliwości, bo przecież polityczno-religijne elity rządzące tymi miastami-państwami, udzielnymi księstwami, królestwami i wielkimi imperiami, w zamian za ochronę bezlitośnie łupiły poddanych wysokimi podatkami, kontrybucjami i innymi obowiązkowymi dostawami niczym dobrze zorganizowane mafie.

<sup>329</sup> Y. N. Harari, *Od zwierząt...*, op. cit., s. 109.

## WIDMO „POSTĘPU”

*Okolo 8300 roku p.n.e. największymi skupiskami ludzkimi były wioski w rodzaju Jerycha liczące po kilkuset mieszkańców. W 7000 roku p.n.e. miasto Catal Huyuk w Anatolii liczyło między 5 a 10 tysięcy (albo i więcej) mieszkańców i być może było w tamtym czasie największym osiedlem ludzkim na świecie. W piątym i czwartym tysiącleciu p.n.e. w regionie Żyznego Półksiężycy powstały miasta skupiające dziesiątki tysięcy mieszkańców i panujące nad wieloma okolicznymi wioskami. W 3100 roku p.n.e. cała Dolina Dolnego Nilu została zjednoczona (przez Mene-sa) w pierwsze egipskie królestwo. Panujący w nim faraonowie władali terytorium o powierzchni sięgającej tysięcy kilometrów kwadratowych i setkami tysięcy ludzi. Okolo 2250 roku p.n.e. Sargon Wielki zbudował pierwsze imperium – akadyjskie. Szczytło się przeszło milionem poddanych i stała armia w sile 5400 żołnierzy. Między 1000 a 500 rokiem p.n.e. na Bliskim Wschodzie pojawiły się pierwsze wielkie imperia: asyryjskie, babilońskie i perskie. Władaly wieloma milionami poddanych i rozporządzały dziesiątkami tysięcy żołnierzy.*

*W 221 roku p.n.e. dynastia Qin dokonała zjednoczenia Chin, a niedługo potem Rzym scalił Basen Morza Śródziemnego. Podatki ściągane z 40 milionów poddanych dynastii Qin pokrywały koszty utrzymania wielotysięcznej armii i rozbudowanego aparatu biurokratycznego zatrudniającego przeszło 100 tysięcy urzędników. W szczytowym okresie rozwoju cesarstwo rzymskie ściągało podatki z blisko 100 milionów obywateli. Wpływy z nich finansowały stałą armię w sile od 250 do 500 tysięcy żołnierzy, sieć dróg, która znajdowała się w eksploatacji jeszcze 1500 lat później, a także teatry i amfiteatry, w których do dziś urządzane są widowiska.*

*To doprawdy imponujące (podsumował swoją dogłębną analizę Harari), ale należy wystrzegać się idealizowania takich „sieci masowej współpracy” jak Egipt faraonów czy cesarstwo rzymskie. „Współpraca” ma wydźwięk wysoce altruistyczny (i o takiej możemy ewentualnie mówić w przypadku kultury Indusu-Saraswati), ale nie zawsze jest dobrowolna, a już rzadko egalitarna. Większość ludzkich sieci współpracy była ukierunkowana na ucisk i eksploatację. Rolnicy płacili za te żywnościowo rozrastające się sieci kooperacji swoimi cennymi nadwyżkami żywnościowymi, z przerażeniem obserwując, jak jednym pociągnięciem cesarskiego pióra poborca podatków niweczy ich całoroczny znoj. Sławne rzymskie amfiteatry często były budowane rękami niewolników po to, by zamożni i wiodący próżniacze życie Rzymianie mogli oglądać, jak inni niewolnicy – gladiatorzy toczą mordercze pojedynki. Nawet więzienia i obozy koncentracyjne są sieciami (tak pojętej) współpracy i funkcjonują tylko dlatego, że tysiące nieznamymy sobie ludzi*

*potrafią jakoś koordynować ich działanie*<sup>330</sup>. Koordynują je połączeni siecią jednej z ideologii: religijnej, nacjonalistycznej, komunistycznej, faszystowskiej lub jakiejś innej. Normy prawne ujęte w Kodeksie Hammurabiego – króla, którego Anu, Enlil oraz Marduk – najwyżsi bogowie mezopotamskiego panteonu powołali, żeby: *Sprawiedliwość w kraju zaprowadzić, aby złych i nikczemnych wytracić, aby silny słabego nie krzywdzić*<sup>331</sup>, dają wyraziste pojęcie takiej ideowej, w tym wypadku „boskiej”, sprawiedliwości, która nawet po upadku babilońskiego imperium była stosowana:

*Paragraf 196. Jeśli obywatel oko obywatelowi wybił, oko wybija mu;*

*Paragraf 197. Jeżeli kość obywatela złamał, kość mu złamają.*

*Paragraf 198. Jeśli oko muśkenowi (niepełnoprawnemu obywatelowi) wybił lub kość muśkena złamał, 1 minę srebra zapłaci.*

*Paragraf 199. Jeśli oko niewolnika obywatela wybił lub kość niewolnika obywatela złamał, połowę ceny jego zapłaci*<sup>332</sup> (oczywiście obywatelowi, a nie jego niewolnikowi).

*Paragraf 209. Jeśli obywatel córkę obywatela uderzył i sprawił, że płód swój poroniła, 10 szekli srebra za płód jej zapłaci;*

*Paragraf 210. Jeśli kobieta ta zmarła, córkę jego zabiją.*

*Paragraf 211. Jeśli sprawił, że córka muśkena w (wyniku) uderzenia płód swój poroniła, 5 szekli srebra zapłaci;*

*Paragraf 212. Jeśli kobieta ta zmarła, 1/2 miny srebra zapłaci.*

*Paragraf 213. Jeśli niewolnicę obywatela uderzył i sprawił, że płód swój poroniła, 2 szekle srebra zapłaci;*

*Paragraf 214. Jeżeli niewolnica ta zmarła, 1/3 miny srebra zapłaci*<sup>333</sup>.

Równie kuriozalne, patrząc z dzisiejszej perspektywy (zwłaszcza dla niewolników, obywateli gorszych kategorii, w tym oczywiście kobiet), były prawa ustanowione dla innych patriarchalnych społeczeństw agrarnych, zapisane w ich świętych księgach. Na przykład w Biblii zapisano: *Jeśli mężczyzna znajdzie młodą kobietę – dziewicę niezaślubioną – pochwyci ją i śpi z nią, a znajdą ich, odda ten mężczyzna, który z nią spał, ojcu młodej kobiety pięćdziesiąt syklów srebra i zostanie ona jego żoną* (Pwt, 22,28–29). A więc i w judaizmie przemoc wobec kobiet podpadała pod naruszenie „świętych” praw własności ich ojców lub braci. Zatem nie one były ofiarami przestępstw, ale mężczyźni, którzy je posiadali. Nie sądzę, by ten rodzaj norm prawnych kiedykolwiek funkcjonował we wspólnotach zbieraczy-łowców.

<sup>330</sup> Y. N. Harari, *Od zwierząt...*, op. cit., s. 132–133.

<sup>331</sup> Roth, *Kodeks Hammurabiego*, Warszawa, Wydawnictwo Alfa-Wero, 2000, s. 11.

<sup>332</sup> Ibidem, s. 59..

<sup>333</sup> Ibidem, s. 60.

Gobekli Tepe jest dobrym przyczynkiem do twierdzenia, że prędkiej lub później, tak czy inaczej, w tym lub w innym miejscu globu, ktoś, jakaś grupa religijnych misjonarzy przeprowadziłaby zamysł polegający na zintegrowaniu wielu koczowniczych plemion, rozsianych na obszarze setek kilometrów kwadratowych, wokół idei budowy wspólnego miejsca kultu – stworzenia pierwszej w naszej historii sieci kooperacji opartej na jakimś religijnym porządku wyobrażonym. W teorii ta idea miała ludzi łączyć, niwelować plemienne konflikty, ale cóż, w praktyce wyszło, jak to z ideami przeważnie bywa, całkiem na opak. Ten eksperyment uruchomił gigantyczną lawinę niekontrolowanych przez nikogo, katastrofalnych dla człowieka i całej planety zdarzeń. Przyspieszył rozwój rolnictwa i hodowli zwierząt, przyczynił się do powstawania większych skupisk typu miejskiego z ich rozwarstwieniem społecznym. To z kolei nieuchronnie doprowadziło do stworzenia księstw, królestw, a wreszcie imperiów z ich wielotysięcznymi armiami, potężną kastą kapłańską oraz koszmarnie rozplenioną biurokracją. O ile międzyplemienne wojny o tereny zasobne w pokarmy pochłaniały od kilku do maksymalnie kilkudziesięciu ofiar, to podboje imperialne zwiększyły te liczby więcej niż tysiąckrotnie. Ponadto stawały się coraz bardziej okrutne. Dawne wartości i religie rozpadły się. W ich miejsce pojawiły się nowe, którym patronował gromowładny Bóg sankcjonujący rolniczy układ i wiarę w niezwykłość *Homo sapiens*. Od tej pory głównym celem ludzi stały się bogactwo, sława, władza i zaszczyty. Badania przeprowadzone w USA w 2012 roku przez Instytut Gallupa, świadczą o tym, że popularność porządków wyobrażonych głoszonych przez wielkie monoteistyczne religie: chrześcijaństwo, islam i judaizm, wciąż utrzymuje się na wysokim poziomie: *zaledwie 15 procent Amerykanów uważa, że gatunek homo sapiens wyewoluował wyłącznie na drodze doboru naturalnego, bez jakiegokolwiek boskiego udziału; 32 procent twierdzi, że być może ludzie wyewoluowali z wcześniejszych form życia w trakcie trwającego miliony lat procesu, ale cały ten program został zaaranżowany przez Boga; 46 procent wierzy, że Bóg stworzył ludzi w obecnej postaci w pewnym momencie w ciągu ostatnich 10 tysięcy lat, tak jak mówi Biblia. Trzyletnie studia w college’u nie mają absolutnie żadnego wpływu na te poglądy. W ramach tego samego badania ustalono, że 46 procent absolwentów studiów licencjackich wierzy w biblijną opowieść o stworzeniu, podczas gdy tylko 14 procent sądzi, że ludzie powstałi w wyniku ewolucji bez żadnego boskiego nadzoru. Nawet wśród posiadaczy stopni magistra czy doktora 25 procent wierzy Biblii, podczas gdy tylko 29 procent stworzenie naszego gatunku przypisuje doborowi naturalnemu*<sup>334</sup>. I tak jest to znaczny postęp, przecież pamięta-

<sup>334</sup> Y. N. Harari, *Homo...*, op. cit., s. 133.

my z rozdziału pierwszego, że jeszcze niespełna 200 lat temu naukowym kanonem było dzieło Lombardczyka Cesare Cantu, publikowane w latach 1837–1846, a zatytułowane *Historia powszechna*. Ten poważany w owym czasie historyk z wielkim przekonaniem twierdził (przypomnę), że: *Chrystus zaś według obrachowania, jeżeli nie najgruntowniej udowodnionego, przynajmniej najpowszechniej przyjętego, narodził się roku 4004 po stworzeniu człowieka*. Niewątpliwie teoria ewolucji jest największym wrogiem religii agrarnych, bo stanowczo przeczy metafizycznej wyjątkowości ludzkiego gatunku. Tym samym odbiera nam prawo manipulacji naturą. Ponadto wynika z niej, że: *homo sapiens po prostu nie ma żadnych naturalnych instynktów współpracy z wielką liczbą nieznajomych. Ludzie przez miliony lat ewoluowali w niewielkich gromadach składających się z kilkudziesięciu osobników. Kilka tysięcy dzielących rewolucję agrarną od powstania wielkich miast, królestw i imperiów to zbyt krótki czas, by mogły wyewoluować instynkty współpracy na masową skalę*<sup>335</sup>. Zatem nie tylko odżywiamy się jak dawni rolnicy, w niewłaściwy sposób, ale również żyjemy niezgodnie z naszą zbieracko-łowiecką naturą. Nie dziwi zatem, że liczba samobójstw w obecnym czasie względnego pokoju i dobrobytu, zamiast maleć rośnie: *W 2012 roku na całym świecie zmarło około 56 milionów osób; 620 tysięcy z nich zginęło w wyniku ludzkiej przemocy (wojna pochłonęła 120 tysięcy ofiar, a przestępczość kolejnych 500 tysięcy). Natomiast 800 tysięcy popełniło samobójstwo, a 1,5 miliona zmarło na cukrzycę*<sup>336</sup>. *W 2014 roku ponad 2,1 miliarda ludzi miało nadwagę, gdy tymczasem niedożywieniem było dotkniętych 850 milionów. Przewiduje się, że do 2030 roku nadwagę będzie miała połowa ludzkości. W 2010 roku głód i niedożywienie łącznie spowodowały śmierć mniej więcej miliona ludzi, podczas gdy otyłość zabiła trzy miliony*<sup>337</sup>.

Jeśli taki jest efekt rozwoju *Homo sapiens*, to doprawdy nie mam pojęcia, co można nazwać jego degeneracją.

## ZAGINIONA WIEDZA

Z końcem IV i początkiem III tysiąclecia p.n.e. nastąpiło gwałtowne przyspieszenie procesów prowadzących do powstania pierwszych w naszych dziejach imperiów, w opracowaniach historycznych określanych jako cywilizacje. Czy do ich powstania mógł się przyczynić domniemany Czynniki

<sup>335</sup> Y. N. Harari, *Od zwierząt...*, op. cit., s. 131.

<sup>336</sup> Y. N. Harari, *Homo...*, op. cit., s. 24.

<sup>337</sup> Ibidem, s. 12.

X? Sądzę, że nie można wykluczyć, iż jakieś grupy ludzi dzięki kontaktowi z pozaziemską wiedzą i technologią uzyskały nadzwyczajną przewagę. Przewagę umożliwiającą im zdobycie autokratycznej, niemal boskiej władzy nad ciemnym ludem. Być może taka jest przyczyna narodzin różnych, choć w zasadniczym kształcie bardzo podobnych do siebie, astronomicznych teokracji. Oraz religii i zrodzonych z nich kultur, które eksperci z paryskiej Sorbony określili jako atlantyckie. Jeśli tak w istocie było, to Czynniki X niebezpiecznie zaburzył – zdestabilizował naturalne procesy społecznych przekształceń. Zakłócił je w sferach ideowo-religijnej, obyczajowej i naukowej. Zadziałał niczym gwałtowny kataklizm, trzęsienie ziemi o niespotykanej sile, destrukcyjnie raczej, a nie konstruktywnie.

Bardzo intrygujące jest także to, że jeszcze około 1400 roku rolnicze tereny: wsie, pola, sady oraz pastwiska zajmowały zaledwie około 7,3% powierzchni wszystkich łądów, czyli 11 milionów spośród 150 milionów kilometrów kwadratowych<sup>338</sup>. A przecież to czasy niemal nam współczesne! Zatem historia pierwszych cywilizacji toczyła się najpewniej na obszarze rolniczym nie większym niż 2 do 3% wszystkich łądów planety. O tym, co działo się na powierzchni 98–97% Ziemi w okresie neolitu, nie wiemy prawie nic. Ponadto, wygląda na to, że znaczna część korpusu wysoko zaawansowanej wiedzy technicznej, technologicznej, astronomicznej, kartograficznej i innej, żywej mniej więcej do początku pierwszego tysiąclecia p.n.e. wyparowała – została zagubiona w pomroce dziejów. I do epoki renesansu zapanowały wieki ciemne. Pierwsze galeony zdolne do oceanicznej żeglugi, dorównujące tym egipskim z III tysiąclecia p.n.e., zbudowano dopiero w czasach Kolumba i Magellana. Liczbę pi, czyli tzw. *ludolfinę*, niewątpliwie znaną kapłanom z Gizy i Teotihuacán, odtworzył Archimedes dopiero w III wieku p.n.e. Trzeba jednak dodać, iż wartość tej matematycznej stałej obliczył tylko do drugiego miejsca po przecinku. Dopiero wykładowca w XVI wieku n.e. na uniwersytecie w holenderskiej Lejdzie Ludolph van Ceulean uzyskał jej dokładność do 35 miejsca po przecinku. Podobnie rzecz miała się z odtwarzaniem precyzji dawnych map, pomiarów astronomicznych, a nawet z kulistością Ziemi, która w naszych – ludzkich wyobrażeniach uległa ponownemu spłaszczeniu jeszcze przed nastaniem średniowiecza.

---

<sup>338</sup> Robert B. Mark, *The Origins of the Modern World: A Global and Ecological Narrative*, Lanham, MD: Rowman & Littlefield Publishers, 2002, s. 24.

## XXVI. Trzeci wymiar

*Homo sapiens* w przeciwieństwie do innych zwierząt żyje nie tylko w świecie obiektywnie istniejących rzeczy i zjawisk oraz swoich instynktów i doświadczeń, czyli w przestrzeni dwuwymiarowej, ale również, a raczej przede wszystkim, w trzecim – nieskończonym wymiarze – wirtualnym – świecie swoich wyobrażeń, przesłaniającym mu szczelnie te dwa wymiary pierwsze. A więc lwią część swojego życia spędza w przestrzeni pełnej rozmaitych: wizji, przeczuć, omamów, urojeń objawień, obsesji i innych fantasmagorii, będących pożywką dla snutych przez niego opowieści i konstruowanych z nich nadwartościowych porządków wyobrażonych – idei opisujących świat i nadających życiu sens. Bo tylko *Homo sapiens*, z racji posiadania nadaktywnego umysłu, zmuszony jest to czynić. Wada ta, najpewniej spowodowana przez jakąś genetyczną mutację u jednego z gatunków małp, z pewnością dała nam kolosalną przewagę nad całym zwierzęcym światem, ale też, jak to zwykle bywa (w końcu nic nigdy nie jest za darmo, a zawsze coś za coś) skazała nas na ciąg niezliczonych psychologicznych dylematów oraz psychicznych zawirowań związanych z samym istnieniem, jak też z funkcjonowaniem w obszarze wytworzonych przez ludzi społecznych struktur. Żeby wyraziście skalę tego stanu rzeczy zobrazować, pozwolę sobie przytoczyć fragment XV rozdziału mojej artystyczno-naukowej książki: „TO COŚ... bez nazwy”, utrzymanej w satyrycznym czy raczej sarkastycznym tonie:

*Samych obsesji na punkcie:*

- *swoim,*
- *zdrady męża lub żony,*
- *teściowej (bo raczej nie teścia),*
- *seksu,*
- *romantycznej miłości,*
- *śmierci,*
- *wiecznej młodości,*
- *jakiejś idei (na przykład Boga, sprawiedliwości lub ojczyzny),*
- *motocykla (najlepiej na wyobraźnię działają harleye),*
- *samochoду,*

- zdrowia,
- wyglądu (zwłaszcza tuszy, piersi i łysiny),
- higieny,
- cholesterolu,
- niskobiałkowej diety,
- kosmetyków,
- biegania, pływania, aerobiku, jazdy na bicyklu...
- czytania wszelkich poradników,
- ocieplenia klimatu,
- ekologicznej żywności,
- chodzenia do kościoła, kina, teatru lub na ligowe mecze,
- modlenia się do Boga lub innego kogoś,
- regularnego imprezowania,
- przebywania w knajpach w towarzystwie pijanych koleś,
- gier komputerowych,
- portali społecznościowych i w nich aktywnego udziału,
- lajkowania, streamowania, szerowania, followowania oraz hejtowania wszelkich wygłaszanych przez innych treści,
- robienia sobie z kim popadnie selfi,
- uczestnictwa w życiu społecznym,
- wychowywania dzieci,
- działki,
- daczy za miastem,
- telewizyjnych seriali,
- alkoholu,
- narkotyków,
- plotek,
- polityki,
- pornografii,
- UFO,
- najmodniejszych ciuchów,
- kupowania niepotrzebnych rzeczy...

Samych tylko obsesji jest niepoliczalne mrowie, a przecież są jeszcze rozmaite fobie. No i zadziwiająca skłonność do gromadzenia dóbr wszelakich (...), poczynając od zbierania znaczków, kapsli po piwie, szklanych kul lub figurek słoni, komiksów, książek, płyt, filmów, lalek, noży, starych monet, karabinów i pistoletów (o ile ktoś ma pozwolenie), biżuterii... kończąc na antykach, bezcennych obrazach starych mistrzów, wyścigowych koniach arabskich, limuzynach, samolotach, zamkach i pałacach.

O nawykach i przyzwyczajeniach powiem tylko tyle, że niektóre z nich (jak jeżdżenie na wakacje zawsze w to samo miejsce) stają się nałogami.

*Inne wiele dające do myślenia meandry naszych umysłów ocierają się wręcz o patologię. Myślę tu o skrajnym sknerstwie, seksoholizmie, przesadnym lizusostwie, psychopatii, niepohamowanej żądzy władzy, bogactwa lub uwielbienia (jakby to były jakieś istotne wartości).*

*W tym kontekście warto zauważyć, a nawet podkreślić, że inne zwierzęta, powiedzmy koty, doskonale obywają się bez przesadnych zachowań, głębszych sensów, nadwartościowych idei oraz mitów i mnogich Wszechświatów. Poprzestają jedynie na prawdach przydatnych do życia, na świecie ograniczonym do własnego ogrodu, domu lub podwórka. Nie gromadzą niczego oprócz doświadczeń i nigdy nie modlą się do Słońca lub innych bogów tylko, najzwyczajniej pod słońcem, opalają się na różnych parapetach, murkach lub pagórkach... mruczając z rozkoszy. Przysnam z żalem, że nam ludziom do tego ideału (z racji posiadania nadaktywnego umysłu) jest bardzo, ale to bardzo daleko<sup>339</sup>.*

Do rewolucji agrarnej ludzie snuli opowieści w niewielkich grupach plemiennych. Ich wizje i wyobrażenia miały ograniczony zasięg. Każde z plemion szukało wsparcia u swoich bóstw, bało się własnych demonów i oddawało się pod opiekę duchom swoich przodków. Z drugiej jednak strony, co wiemy na podstawie odkrywanych artefaktów, już wtedy miała miejsce wymiana handlowa między oddalonymi od siebie regionami, co pozwala zakładać, że musiało istnieć jakieś ideowe porozumienie ponad różnicami. Wspólnota na poziomie uniwersalnym w zakresie przyjętych norm zachowań społecznych oraz kanonu nadrzędnych, politeistycznych panteonów Bogów. Rewolucja agrarna najpierw przetworzyła, a potem zupełnie zanegowała tę ideową konstrukcję, wprowadzając w jej miejsce jedynowładczego boga. Oczywiście proces tych fatalnych dla planety i ludzi przekształceń, zwanych przez oficjalnych historyków postępem, toczył się wolno niczym ciężki drogowy walec, na przestrzeni dziesiątków pokoleń i wieków.

## REWOLUCJA POZNAWCZA

Aż do epoki renesansu nauka nie była do niczego ludziom potrzebna. Byli głównymi bohaterami wielkiego kosmicznego planu stworzonego dla nich przez Boga, a wszelkie istotne do życia „prawdy” i „odpowiedzi” były zawarte w świętych księgach: Biblii, Koranie i Wedach. Czerpano z nich wiedzę, jak żyć i co jest w życiu ważne, bo przecież sam Bóg te zalecenia

<sup>339</sup> Janusz Jaroszewski, *TO COŚ... bez nazwy*, Biblioteka Pisma Artystycznego *Format*, Wrocław 2017, s. 86–87.

przekazał. Gdy na jakieś pytania nie znajdowano w nich odpowiedzi, na przykład: „Co powoduje, że ciała podrzucone w górę zawsze spadają, ale ptaki, pszczoły, motyle i inne skrzydlate owady z łatwością potrafią wzbić się w powietrze?”, odpowiadano standardowo: „Bo tak chciał Bóg” albo: „Bogu tak się podobało i nie nam – maluczkim jest w te kwestie wnikać”. Zbywano je wzruszeniem ramion, traktowano jako błahe, nieistotne, czy zgoła nieestosowne, bo skoro nieomylny Bóg uznał, że zasad mechaniki i termodynamiki lotu nie ma potrzeby ludziom objawiać, to taka była jego wola – amen. Ta sprytna, lecz bardzo zachowawcza strategia działania księży pozwalała im przez pokolenia utrzymywać całkowity monopol na Boga, wiedzę i „prawdę”, hamując tym samym rozwój nauki.

Żaden porządek wyobrażony nie trwa jednak wiecznie. Prędzej czy później musieli się pojawiać intelektualisci w rodzaju Leonarda da Vinci, którzy chcieli poznać odpowiedzi na wiele z tych „błahych” pytań. I tak oto rozpoczął się nowy rozdział w historii – epoka odkryć naukowych oraz wynalazków usprawniających i uatrakcyjnających życie możliwych tego świata (wiemy przecież, że wiele machin Leonardo stworzył dla rozrywki dworskiej elity). Hierarchowie kościoła działali wedle zasady: „Wiem, że wszystko, co istotne jest mi wiadome, bo zostało przez Boga objawione”, natomiast naukowcom przyświecała sentencja Sokratesa: „Wiem, że nic nie wiem”. Co prawda, nauce do tej pory nie udało się przejąć zawłaszczzonego przez instytucje kościelne monopolu na wiedzę i prawdę, o czym dobitnie świadczą statystyki przytoczone w poprzednim rozdziale, ale fundament tego monopolu około XV wieku został podkopany. Stało się tak z tej przyczyny, że odpowiedzi na nieestosowne (z punktu widzenia kościoła) pytania, szybko przyniosły wymierne efekty. Między innymi w architekturze (również w tej sakralnej, co warto zauważyć, bo zakrawa na kpinę), w tworzeniu lepszych dróg, mostów, wygodniejszych i szybszych pojazdów, w infrastrukturze miejskiej, urbanistyce, w biologii i medycynie. Do rozwoju wiedzy walczyli przyczynili się również odkrywcy – podróżnicy. Na przykład Magellan i załogi jego okrętów, które po długich trzech latach żeglugi i po pokonaniu 72 tysięcy kilometrów, w roku 1522 okrążyły Ziemię. Dodam, że ta wyprawa kosztowała życie większości jej uczestników.

Niewątpliwie przełomowym dziełem tej drugiej po agrarnej rewolucji zmieniającej świat oraz system wyznawanych wartości, okazały się „Podstawy matematyczne filozofii przyrody” Isaaca Newtona, opublikowane w 1687 roku w Londynie. Dzieło, które w klarowny sposób objaśniło teorię ruchu, a także zmiany wszelkich materialnych obiektów. Równania Newtona stały się Świętym Graalem nauki, bo za ich pomocą można obliczać trajektorię ruchu zarówno spadających jabłek, kul armatnich, jak też planet, gwiazd i galaktyk. Do innych przełomowych odkryć z pewnością zaliczyć trzeba:

1. Wynalazek ruchomej czcionki, Johanna Gutenberga (szacowany na lata 1440–50), twórcy także pierwszej przemysłowej metody druku.

2. Odkrycie ogromnego świata mikroorganizmów, które stanowią 99,99% wszystkich zamieszkujących Ziemię istot żywych, o których Biblia, Koran i Wedy ani słowem nie wspominają. Tego odkrycia dokonał holenderski przyrodnik Anton van Leeuwenhoek w 1674 roku, obserwując przez skonstruowany przez siebie mikroskop istne kłębowisko drobnoustrojów żyjących w kropli wody. Przeszło 300 lat zajęło następnym badaczom wyodrębnianie ich niezliczonych gatunków i ustalenie długiej listy chorób zakaźnych, które wywołują. Obecnie drobnoustroje wykorzystuje się w służbie medycyny, również przemysłu: za pomocą inżynierii genetycznej zaprzęga się różne bakterie do produkcji leków, biopaliw albo zwalczania pasożytów.

3. Wynalazek atmosferycznego silnika parowego Thomasa Newcome-na (1664–1729), na bazie którego James Watt skonstruował w 1763 roku pierwszą w dziejach maszynę parową, która zrewolucjonizowała świat.

4. Dzieło „Studia nad kosztownymi szczątkami kopalnymi” Georges’a Cuviera (1769–1832). Ten obdarzony świetną intuicją antropolog (jak pisałem już w rozdziale I) sformułował teorię kataklizmów (katastrofizmu), zakładającą, że *epoki geologiczne były oddzielone od siebie wielkimi katastrofami, zmieniającymi budowę Ziemi i niszczącymi istniejący świat organiczny, powstający w każdej epoce na nowo.*

5. Wynalazki z zakresu elektryczności: generatora elektrostatycznego, piorunochronu, ogniwa, żarówki oraz innych elektrycznych urządzeń. Nie będę wymieniał długiej listy ich twórców. Przypomnę tylko, że badania z zakresu elektryczności i tworzenie podstaw elektromagnetyzmu zaczęły się z początkiem XVII wieku.

6. Wynalazek telegrafu przypisywany Samuelowi Morse’owi (1791–1872) z tej racji, że opracował również system kropek i kresek zwany alfabetem Morse’a, usprawniający działanie tego urządzenia. Ale warto wiedzieć, iż różne źródła podają rozmaitych twórców.

Można by tę listę rozwijać jeszcze długo, nie zapominając oczywiście o: teorii ewolucji Alfreda Wallace’a i Karola Darwina, po raz pierwszy przez nich wspólnie przedstawionej w roku 1858 na zebraniu członków Towarzystwa Linneuszowego, a opublikowanej przez Karola Darwina rok później w sławnym dziele: „O powstawaniu gatunków”, i oczywiście o ogólnej teorii względności Alberta Einsteina, ogłoszonej w roku 1915. Wszak teorie te nie tylko zakwestionowały dotychczasowe porządki wyobrażone, ale wysadziły je w powietrze. Bo skoro *Homo sapiens* jest tylko jednym z niezliczonej ilości gatunków zwierząt zasiedlających niewielką planetę krążącą wokół jednej z przeogromnej liczby gwiazd znajdujących się na

peryferiach jednej z około 350 miliardów dużych galaktyk, to przecież nie było żadnego kosmicznego planu Boga w stosunku do ludzi, i nie są oni jego wybrańcami – „koroną stworzenia”. A infantylne wyobrażenie boga jako króla zasiadającego na niebiańskim tronie w otoczeniu wszystkich świętych, nijak się ma – kompletnie nie przystaje – do teorii względności i teorii ewolucji. Z chwilą ich ogłoszenia prawdy nauki i religii monoteistycznych radykalnie się rozeszły.

Wróćmy jednak jeszcze na chwilę do XV wieku, gdy pozycja nauki nie była tak ugruntowana.

Ci z władców, którzy jako pierwsi dostrzegali wielki potencjał tkwiący w nauce i dla korzyści inwestowali w jej rozwój, stosowali się do zasady: „I bogu świeczkę i diabłu ogarek”. Bogiem był kościół autoryzujący ich autokratyczne rządy oraz podboje czynione w imię nawracania pogan na jedyną słuszną wiarę (a nie przecież z powodu chciwości: żądzy władzy, sławy i bogactw); natomiast diabła uosabiali naukowcy wspierający ich ambitne (czytaj: nieczne) zamierzenia między innymi przez doskonalenie starych i konstruowanie nowych rodzajów broni, umożliwiających walkę z liczniejszym lecz gorzej uzbrojonym przeciwnikiem. Zatem na wojenne podboje oprócz regimentów bitnych żołnierzy zabierano misjonarzy oraz naukowców wykreślających mapy anektowanych ziem, zajmujących się astronomią, etnografią i badaniami przyrody. Dzięki tej taktyce, w krótkim czasie, pod płaszczykiem religii oraz nauki stworzono imperia kolonialne. Oto jeden z przykładów: *Najeżdżając w 1798 roku na Egipt, Napoleon zabrał ze sobą 165 uczonych, którzy między innymi stworzyli zupełnie nową dyscyplinę badawczą, egiptologię, oraz w istotny sposób posunęli do przodu studia z zakresu lingwistyki, religioznawstwa i botaniki*<sup>340</sup>.

Rewolucji poznawczej zawdzięczamy zarówno poszerzenie wiedzy, jak i skali przemocy, grabieży, ucisku, niewolnictwa, rozwarstwienia ludzi z uwagi na pochodzenie albo stan majątkowy. Skala tych negatywnych zjawisk nieustannie rosta również z uwagi na dynamiczny przyrost liczby ludności w ostatnich stuleciach. O ile w 1500 roku Ziemię zamieszkiwało około 500 milionów *Homo sapiens*, to dzisiaj (pod koniec 2020 roku) ludzi jest już przeszło 7,6 miliarda, a więc piętnastokrotnie więcej niż było w czasach Kolumba. W samej carskiej Rosji pamiętnego roku 1914 *trzy miliony rosyjskich arystokratów, urzędników i przedsiębiorców tyranizowały 180 milionów chłopów i robotników*<sup>341</sup>. Ten absurdalny z etycznego punktu widzenia stan rzeczy w oczywisty sposób doprowadził do największych w dziejach wojen i rewolucji, w trakcie których doszło do gwałtownego

<sup>340</sup> Y. N. Harari, *Od zwierząt...*, op. cit., s. 344.

<sup>341</sup> Y. N. Harari, *Homo...*, op. cit., s. 171.

ścierania się dawnych porządków wyobrażonych z trzema odłamami nowej *quasi* religijnej ideologii znanej pod nazwą humanizmu.

## HUMANIZM W TRZECH ODSŁONACH

Rewolucja poznawcza, jak wspomniałem wcześniej, systematycznie podważała monopol monteistycznych religii na objawioną przez agrarnego boga prawdę. Wraz z początkiem XX wieku ten boski porządek świata nauka ostatecznie zakwestionowała. Kłopot w tym, że bez sugestywnych porządków wyobrażonych – fikcji branych za prawdę (uniwersalną, przez boga lub naturę objawioną) ludzkie społeczeństwa nie potrafią ze sobą współpracować. Zatem skoro „bóg umarł”, czy raczej został odsunięty na drugi plan, to na plan pierwszy wysunął się człowiek. Inaczej być nie mogło, bo przecież po długich tysiącletniach wiary w to, że jest on koroną stworzenia, unikalnym gatunkiem, mającym prawo a nawet obowiązek *czynienia sobie Ziemi poddanej*, nikt z tego przywileju nie miał zamiaru dobrowolnie rezygnować. I tak oto z monoteistycznych religii agrarnych wyewoluował humanizm.

*Humanizm to wiara, że homo sapiens ma niepowtarzalną i świętą naturę, która jest fundamentalnie różna od natury wszelkich innych zwierząt i wszystkich innych zjawisk. Humanisci wierzą, że unikatowa natura homo sapiens jest najważniejszą rzeczą na świecie i że determinuje znaczenie wszystkiego, co dzieje się we wszechświecie. Najwyższym dobrem jest dobro homo sapiens. Reszta świata i inne byty istnieją tylko dla dobra tego gatunku. Wszyscy humanisci otaczają czią człowieczeństwo, ale nie zgadzają się co do jego definicji*<sup>342</sup>. Podzielili się zatem na trzy skłócone ze sobą sekty: humanizm liberalny, socjalny oraz ewolucyjny – odgałęzienia interpretujące tę doktrynę na różne sposoby. Podobnie jak działo się to w ramach religii chrześcijańskiej, tyle, że jej sekty toczyły zażarte, bezpardonowe boje o definicję boga i prerogatywy jego domniemanego syna, Jezusa Chrystusa, a humanistyczne odłamy toczą spory o definicję człowieczeństwa.

Liberalny humanizm (przynajmniej w teorii) głosi świętość i mądrość każdej istoty ludzkiej godnej stanowienia o własnym losie i losie świata, bo obdarzonej wewnętrznym światłem (dawniej zwanym duszą). Dlatego wolność każdego osobnika względnie „osoby ludzkiej” i gwarantujące ją prawa stawia ponad wszystko (przynajmniej w teorii). Liberalna polityka rządzi się regułą, iż to wyborca wie najlepiej. Liberalna sztuka uważa, że piękne nie

<sup>342</sup> Y. N. Harari. *Od zwierząt...*, op. cit., s. 280–281.

jest to, co piękne, ale to, co się komuś podoba. Liberalna ekonomia głosi hasło: „klient ma zawsze rację”. Liberalna etyka radzi wszystkim słuchać „głosu własnego serca”. Liberalna edukacja nakłania nas do samodzielnego myślenia, a odpowiedzi na trudne pytania radzi szukać we własnym wnętrzu. Ten najstarszy nurt humanistyczny nie kwestionuje ani też nie podważa istnienia boga, tę transcendentną kwestię pozostawia odczuciom i przekonaniom poszczególnych ludzi. Stwarza to nieograniczone pole do zrzeszania się w ramach najróżniejszych kościołów i ich odłamów, a także skutkuje tworzeniem nowych religii, choćby takich jak New Age.

W XIX i na początku wieku XX radykalnie zaostrzyły się nierówności społeczne, co przyniosło skutki w postaci stworzenia dwóch nowych sekt humanistycznej ideologii: humanizmu socjalnego, propagowanego przez szerokie spektrum rozmaitych nurtów socjalistycznych, komunistycznych i anarchistycznych, oraz humanizmu ewolucyjnego. Najśłynniejszymi, a też najżarliwszymi orędownikami tej ostatniej ideologii byli naziści. Obie te sekty wyrosły z pnia humanizmu liberalnego i zgadzały się z nim, że niekoniecznie transcendentna idea boga, ale ludzkie doświadczenie jest najgłębszym źródłem sensu istnienia i władzy nad światem. Humanisci socjalni całkowicie zaprzeczali istnieniu transcendentnej Siły Wyższej twierdząc, iż jest to szkodliwy, oglupiający ludzi zabobon – „opium dla mas”. Zwalczali zaciekle wszelkie religie, burzyli świątynie lub przerabiali je na domy kultury. Prześladowali duchownych i po części siłą oraz przy użyciu instrumentów propagandy szerzyli ateizm. Nie byli w tym jednak w pełni konsekwentni, bo gdy zostali przyparci do muru – gdy zagony pancerne Hitlera stały już pod Moskwą – komuniści złagodzili politykę zrozumiawszy, że ludziom łatwiej jest ginać za „Matuszkę Rosję” mając nieśmiertelną duszę, niż w imię narodu, Stalina i komunistycznej utopii. Naziści ten aspekt od początku brali pod uwagę, dlatego powołali, czy raczej wskrzesili, własne wersje sprzyjających im (i tylko im) bogów.

*Tak jak humanizm liberalny, tak i humanizm socjalistyczny ma monoteistyczne podwaliny. Idea, że wszyscy ludzie są równi, stanowi udoskonaloną wersję monoteistycznego poglądu, że wszystkie dusze są równe wobec Boga (wyłącznie ludzkie dusze, bo w tej religii pozostałe zwierzęta dusz nie mają). Jedyną humanistyczną sektą, która faktycznie zerwała z tradycyjnym monoteizmem, jest humanizm ewolucyjny (...). Tym, co odróżniało nazistów od innych sekt humanistycznych, jest odmienna definicja „człowieczeństwa”. Naziści znajdowali się pod silnym wpływem teorii ewolucji. W odróżnieniu od innych humanistów wierzyli, że rodzaj ludzki nie jest czymś uniwersalnym i wiecznym, ale raczej podlegającym mutacjom gatunkiem, który potrafi ewoluować bądź degenerować się. Człowiek jest zdolny zarówno przeistoczyć się w nadczłowieka, jak i wyrodzić*

w podczłowieka. Główną ambicją nazistów było chronienie ludzkości przed wynaturzeniem i sprzyjanie jej ewolucji. To dlatego naziści twierdzili, że rasę aryjską, najbardziej zaawansowaną formę ludzkości, należy wspierać, a zwyrodniałe formy *homo sapiens*, jak Żydów, Cyganów (Słowian, Azjatów i Murzynów), homoseksualistów i chorych psychicznie – izolować, a nawet eksterminować. Naziści tłumaczyli, że *homo sapiens* ukształtowali się w wyniku ewolucji jednej „wyższej” rasy praludzi, której towarzyszyło wyginięcie ras „niższych”, takich jak neandertalczyki. Te odrębne populacje początkowo były tylko odrębnymi rasami, lecz ewoluowały sobie tylko właściwymi ścieżkami rozwojowymi. Taki scenariusz może się powtórzyć. Według nazistów *homo sapiens* w przeszłości podzielił się na kilka odrębnych ras, z których każda miała sobie tylko właściwe cechy. Jedną z tych ras, rasa aryjska, odznaczała się cechami najdoskonalszymi: racjonalizmem, pięknem, prawością i pracowitością. Rasa aryjska zdolna jest zatem do przekuwania człowieka w nadczłowieka. Inne rasy, jak Żydzi i Murzyni, to współcześni neandertalczyki, czyli ludzie gorsi. Gdyby pozwolono im rozmnażać się, a w szczególności koligacić z Aryjczykami, degradowałoby wszystkie ludzkie populacje i doprowadzili *homo sapiens* do wymarcia<sup>343</sup>. W imię tych „wzniosłych” ideałów, dla dobra *Homo sapiens*, w trakcie największej z dotychczasowych wojen, wymordowali dziesiątki milionów ludzi, a z życia kolejnych setek milionów uczynili piekło. Co ciekawe, bo wiele mówi o naturze naszego gatunku, w latach trzydziestych ubiegłego wieku koncepcje rasowe były wśród elit Zachodu bardzo popularne. Szerokie gremia naukowe w wielu krajach dowodziły wyższości rasy białej nad pozostałymi. Był to najważniejszy argument dla ograniczania imigracji z Azji i Afryki, a nawet z Włoch do krajów „aryjskich”, takich jak: USA, Wielka Brytania i Australia. Był to też główny argument do utrzymywania długo po zniesieniu niewolnictwa segregacji rasowej w USA.

Podobne piekło na Ziemi stworzyli humaniści socjalistyczni. Oni też działali w imię wzniosłych haseł i szczytnych idei, kierując się dobrem ludzkości, ale zauważyli, że na poglądy i decyzje ludzi przemożny wpływ mają: pochodzenie – warstwa społeczna, w której dorastają i z którą się utożsamiają, nabyte od rodziców poglądy i wierzenia, i szkoła, do której uczęszczają, czyli wszyscy od dzieciństwa poddani są praniu mózgu. Z tej przyczyny są nieczuli na krzywdę innych, pozbawieni empatii. Zatem należy zdecydowanie potępiać ich poglądy, a nawet izolować od zdrowej tkanki społeczeństwa, umieszczając ich w gułagach, koloniach karnych, obozach pracy przymusowej i poddawać resocjalizacji. Natomiast władzę należy przekazać w ręce mas pracujących miast i wsi, czyli najlepszym

---

<sup>343</sup> Ibidem, s. 282–283.

z najlepszych – ideowym członkom partii robotniczo-chłopskiej. Humanisci socjalni są przekonani, że liberalna demokracja jest w istocie listkiem figowym mającym skrywać bezwzględny, oparty na bezpardonowym wyzysku system rasistowski wcale nie lepszy od tego nazistowskiego.

*Komuniści, podobnie jak buddyści, wierzyli w ponadludzki porządek naturalnych i niezmiennych praw, które powinny wskazywać ludziom drogę postępowania. Podczas gdy buddyści są przekonani, że prawo natury zostało odkryte przez Siddharthę Gautamę, komuniści uważali, że odkrycia tego dokonali Karol Marks, Fryderyk Engels i Włodzimierz Iljicz Lenin. Ale podobieństwa na tym się nie kończą. Tak jak inne religie, tak i komunizm miał własne święte teksty i prorocze księgi, takie jak „Das Kapital” („Kapi-tał”) Marksa, który zapowiadał, że historia rychło zakończy się niechybnym zwycięstwem proletariatu. Komunizm miał swoje święta i uroczystości, takie jak Pierwszy Maja czy rocznica rewolucji październikowej. Miał też teologów biegłych w marksistowskiej dialektyce, a każda jednostka radzieckiej armii miała swojego kapelana, zwanego komisarzem, który kontrolował pobożność żołnierzy i oficerów. Miał też komunizm męczenników, święte wojny i herezje, na przykład trockizm. Sowiecki komunizm był religią fanatyczną i misjonarską. Pobożny komunista nie mógł być chrześcijaninem ani buddy-stą – oczekiwano od niego, że będzie głosił prawdy Marksa i Lenina nawet za cenę własnego życia<sup>344</sup>. A czym ten globalny eksperyment się zakończył i jaką cenę przyszło nam za niego zapłacić, bardzo dobrze wiemy. Nawet dziś odbija się czkawką w postaci totalitarnych reżimów w rodzaju Korei Północnej, Kuby, czy takiej dziwacznej efemerydy wszystkich trzech sekt humanizmu, jaką są współczesne Chiny.*

Bilans rządów wywiedzionych z ideałów humanizmu ewolucyjnego oraz socjalnego jest w podręcznikach dobrze opisany i przeanalizowany, natomiast pierwotny, liberalny pień drzewa humanizmu i stworzony przez niego system liberalnej demokracji są przez większość komentatorów przedstawiane w daleki od obiektywizmu sposób. Dominuje przekonanie, że może ten system nie jest doskonały, może nawet jest zły, ale nie ma lepszego, zatem jest najlepszy ze wszystkich. Tymczasem ten najlepszy z systemów nie tylko podtrzymał kult mamony jako miernika wartości ludzi oraz ich pozycji społecznej, zapoczątkowany przez rewolucję agrarną, ale podniósł go do rangi świętości.

Spróbujmy na to zagadnienie spojrzeć bez różowych okularów.

---

<sup>344</sup> Ibidem, s. 278–279.

## REPERKUSJE LIBERALNEGO HUMANIZMU

Teoretycznie humanizm liberalny dba o wolność wszystkich ludzi do samostanowienia, realizowania ich potrzeb i marzeń. Jednak w praktyce system ten zawsze działał wedle praw wolnego handlu i bezpardonowej rywalizacji, będących jakoby najlepszą metodą rozwoju rozumianego jako permanentny wzrost gospodarczy. Wzrost z pewnością poprawia komfort życia uprzywilejowanych klas społecznych, lecz kosztem innych, zepchniętych na margines ubogich warstw i krajów tzw. trzeciego świata. Ten wzrost dokonuje się także kosztem równowagi ekologicznej planety, bo opiera się w ogromnej mierze na nieskrępowanym niczym rozwoju przemysłu. Jest to ideologia zachęcająca bogatych, żeby bogacili się jeszcze bardziej – w nieograniczony praktycznie sposób – co nieustannie zwiększa i tak już kuriozalnie dysproporcje i rozwarstwienie społeczne. Dziś żyjemy w świecie rządzonego przez wielkie korporacje, a skutek jest taki, że: *Na początku 2016 roku sześćdziesięciu dwóch najbogatszych ludzi świata miało w swoich rękach aktywa warte tyle, co majątek 3,6 miliarda najbiedniejszych! Skoro liczba ludności świata wynosi 7,2 miliarda, oznacza to, że tych sześćdziesięciu dwóch miliarderów ma łącznie tyle bogactwa, ile cała najgorzej uposażona połowa ludzkości*<sup>345</sup>. I nadal w majestacie prawa się bogacą! Jasno z tej statystyki wynika, że humanizm liberalny jest wyłącznie przykrywką dla drapieżnego kapitalizmu, a w jego credo zamiast „wolności” należy widzieć „własność”, jako fundament tej ideologii. Liberalowie już kilka stuleci przed socjalistami oraz nazistami odkryli, że ta jakoby niezwykła natura człowieka – jego Ja, nieśmiertelna dusza, „prawda wewnętrzna” – w rzeczy samej sprowadza się do tego, że jest on niezwykle podatny na sugestywne bodźce i narracje: zachęty, emocjonalne podniety, slogany, puste obietnice, demagogiczne frazesy, opinie znanych i różnej maści autorytetów. Jednym słowem niezmiernie łatwo daje sobą manipulować. I na tym jest oparty system działania liberalnych humanistów. Ponadto bazuje on na naszych najgorszych skłonnościach i instynktach: braku empatii, egoizmie, egotyzmie, pazerności... Dobrym tego przykładem są podboje kolonialne.

Lista tylko hiszpańskich konkwistadorów jest bardzo długa (warto też zauważyć, że słowo *conquista* oznacza podbój, zdobycie, zawłaszczenie czyjejś własności). Otwiera ją Hernán Cortés (Ferdynand Cortez), który zapisał się na kartach historii jako zdobywca Meksyku i nieustraszony pogromca Azteków, a za nim plasują się inni pogromcy Indian: Francisco Pizarro, zdobywca andyjskiego imperium Inków; Diego de Almagro zdobyw-

---

<sup>345</sup> Y. N. Harari, *Homo...*, op. cit., s. 441.

ca ziem dziś znajdujących się na terytorium Chile; Francisco de Orellana,, bezwzględny gubernator Nowej Andaluzji, pierwszy biały, któremu udało się spłynąć rzeką Amazonką do Oceanu Atlantyckiego; Vasco Nunez de Balboa, założyciel pierwszej europejskiej kolonii na kontynencie amerykańskim, w obecnej Panamie; Juan Ponce de Leon, gubernator Borriquen (obecne Porto Rico), odkrywca lądu nazwanego Florydą; Alonso de Hojeda, krwawy gubernator oraz konkwistador, badacz Gujany, Wenezueli, Kolumbii i wysp Indii Zachodnich, europejski odkrywca Jeziora Maracaibo; Pedro de Valdivia, pierwszy królewski gubernator Chile... Można by jeszcze długo rozwijać tę czarną listę hiszpańskich zbrodniarzy-odkrywców na przełomie XV i XVI wieku. Trzeba również pamiętać, że Portugalia, Wielka Brytania, Francja, Holandia oraz inne kraje europejskie w tych imperialnych podbojach z Hiszpanią zaciekle konkurowały. W teorii czyniły to w imię chrześcijańskich ideałów i dla dobra nauki, a w praktyce z chęci zysku i splendoru władzy. A potem? Potem było jeszcze gorzej.

Co prawda podboje przynosiły krociowe zyski, ale żeby je prowadzić, potrzebne były armady solidnych, pełnomorskich okrętów i liczne, dobrze uzbrojone oddziały najemników, a więc były niezmiernie kosztochłonne. Wybrnięto z tego problemu w ten sposób, iż powołano do istnienia spółki akcyjne – kompanie – duże korporacje zrzeszające tysiące inwestorów. I taka jest geneza narodzin kapitalizmu. Warto też wiedzieć, że to te spółki handlowe, a nie narodowe państwa, tworzyły na zagrabionych terenach kolonie, zakładały plantacje bawełny, trzciny cukrowej, kopalnie srebra, złota, diamentów i innych cennych surowców, że to dzięki inwestycjom bogobojnych mieszczan z Lizbony, Antwerpii, Amsterdamu, Londynu lub Paryża rozwijał się handel niewolnikami na niespotykaną w historii skalę, i że to te kompanie toczyły bezpardonowe wojny w imię wolności handlu.

*Indonezja to największy archipeląg na świecie. Na początku XVII wieku jej niezliczone wyspy znajdowały się pod władzą królestw, księstw, sultanów i plemion. Pierwsi kupcy Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej przybyli do Indonezji w 1603 roku wyłącznie w celach handlowych. Mając jednak na uwadze ochronę swoich interesów i maksymalizację zysków akcjonariuszy, kupcy kompanii zaczęli walczyć z miejscowymi potentatami, którzy narzucili im zaporowe cła, a także z europejską konkurencją. Kompania zaczęła zbroić swoje statki w działa, werbować europejskich, indyjskich i indonezyjskich najemników, budować forty, angażować się w regularne bitwy i oblężenia. Dziś takie postępowanie może nam się wydawać nieco dziwne, w istocie jednak nie było w tym nic niezwykłego. Tak jak współcześnie istnieje międzynarodowy popyt na telemarketing, tak też wtedy istniał międzynarodowy popyt na wojnę. Prywatne firmy mogły najmować nie tylko żołnierzy, ale także generałów i admirałów, działa*

*i statki, a nawet całe armie. Społeczność międzynarodowa uznawała to za rzecz oczywistą, toteż ze wzruszeniem ramion przyjęła fakt, iż prywatna firma zbudowała imperium*<sup>346</sup>. I tak się działo wszędzie przez kilka stuleci. Na przykład w Chinach, w pierwszej połowie XIX wieku, gdzie Brytyjska Kompania Wschodnioindyjska zbijała fortuny na wwozie do tego kraju narkotyków, zwłaszcza opium w ogromnych ilościach, a gdy rząd chiński wprowadził całkowity zakaz handlu używkami, to Kompania, wspierana przez własny rząd, w imię liberalnego humanizmu i wpisanej w niego wolności handlu, wytoczyła Chinom w 1840 roku wojnę znaną pod nazwą „opiumowej”. Kompania Wschodnioindyjska pokonała Chiny w 1842 roku. W wyniku czego do końca tamtego wieku aż 40 milionów Chińczyków (1/10 całej populacji) było uzależnionych od opium i innych narkotyków. Innym, jeszcze tragiczniejszym skutkiem wojny opiumowej było rozgoryczenie i wściekłość milionów Chińczyków na nieudolność ich rządzących, które wykorzystał niejaki Hong Xiuquan, podający się za młodszego brata Jezusa Chrystusa, któremu ponoć Bóg – jego ojciec – powierzył misję ustanowienia *Taipingtianguo* (Niebiańskiego Królestwa Wielkiego Pokoju). Hong nie poprowadził jednak rodaków do pokoju, lecz do rewolty przeciwko mandżurskiej dynastii Qing, rządzącej w tym czasie Chinami. Powstanie tajpingów trwało od roku 1850 do 1864 i jest uznawane przez historyków za najkrwawszą wojnę XIX wieku. W jej wyniku życie straciło nie mniej niż 20 milionów ludzi.

Kilkadziesiąt lat wcześniej zachłanność innej z brytyjskich kompanii stała się przyczyną ponurych zdarzeń, które miały miejsce na Półwyspie Indyjskim: *Brytyjczycy podbili Bengal, najzasobniejszą prowincję Indii, w 1764 roku. Nowi władcy byli zainteresowani niemal wyłącznie bogactwem się. Zaprowadzili destrukcyjną politykę gospodarczą, która kilka lat później, w 1769 roku, utorowała drogę wybuchowi w regionie wielkiego głodu, który w 1770 osiągnął katastrofalne rozmiary i trwał do 1773 roku. Klęska ta pochłonęła wśród Bengalczyków około 10 milionów ofiar śmiertelnych*<sup>347</sup>, czyli 1/3 całej populacji tego regionu. Na rozwój kapitalizmu jako najskuteczniejszej formy prowadzenia gospodarki nastawionej na wzrost, czyli poprawę jakości życia niektórych (czytaj: zaangażowanych w ten system) społeczeństw imperialnych, miał ważny wpływ traktat szkockiego ekonomisty Adama Smitha, wydany w 1776 roku, zatytułowany „Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów”. Do dziś jest on biblią dla spółek akcyjnych, inwestorów i giełdowych graczy w krajach o profilu liberalnych demokracji. Autor tego przełomowego dla ekonomii i całej świa-

<sup>346</sup> Ibidem, s. 389.

<sup>347</sup> Ibidem, s. 364–365.

towej gospodarki dzieła, podniósł do rangi zbawców ludzkości bogatych przedsiębiorców, którzy inwestując swoje zyski, mają przemożny wpływ na poprawę dobrostanu wszystkich. Twierdził, że ich chciwość to największa z zalet, a egoizm to w gruncie rzeczy altruizm. Czyli świat moralnych oraz etycznych wartości Smith przewrócił do góry nogami. Od tej pory przysłowiowe odwracanie kota ogonem stało się normą postępowania w liberalnych gospodarkach. Daje zielone światło dla nieograniczonego bogacenia się bogaczy, światło, którego nikomu, nawet zatwardziałym komunistom, nie udało się zgasić. I to pomimo, iż nienasycona zachłanność napędlą gigantyczne balony kolejnych spekulacyjnych baniek, wznosi finansowe piramidy, co chwilę demolując światowe gospodarki. Nie co innego, ale wyrachowane i cyniczne oszustwa „białych kołnierzyków” (bankierów, spółek akcyjnych i innych giełdowych graczy) doprowadzają zwykle do krachów giełdowych i globalnych kryzysów gospodarczych, które z kolei są przyczyną społeczno-politycznych zawirowań: buntów, powstań, rewolucji, a nawet globalnych wojen. Bez tego paliwa niemieccy faszyci z pewnością nigdy nie zyskaliby na tyle dużego poparcia, by przejąć władzę w kraju. Podobnie jak bolszewicy w Rosji oraz komunistyczny Kuomintang w Chinach. Wojny i rewolty społeczne niemal zawsze mają podłoże ekonomiczne, religijne lub/i narodowo-wyzwoleńcze. Rodzą się z niesprawiedliwości, oszustw, chciwości i zakłamania elit rządzących. Wynikają z patologii liberalnego humanizmu. Znamiennym przykładem świetnie ilustrującym tę tezę może być gigantyczna bańka spekulacyjna rozdęta w latach 1717–1719 przez Kompanię Missisipi, spółkę zarejestrowaną we Francji. Planowała ona budowę w dolinie rzeki Missisipi kolonialnego imperium ze stolicą w Nowym Orleanie: *Dla sfinansowania tego ambitnego projektu kompania, mająca rozległe kontakty na dworze króla Ludwika XV, sprzedała swoje udziały na paryskiej giełdzie. John Law, zwierzchnik kompanii, był także zarządcą francuskiego banku centralnego. Co więcej, król mianował go intendentem generalnym finansów, który to urząd był mniej więcej odpowiednikiem współczesnego ministra finansów. W 1717 roku dolina dolnej Missisipi oferowała niewiele atrakcji poza bagnami i aligatorami, a mimo to Kompania Missisipi szerzyła pogłoski o bajecznych bogactwach i nieskończonych możliwościach. Francuscy arystokraci, ludzie interesu i trzeźwo myślący przedstawiciele zamożnego mieszczaństwa dali wiarę tym zmyśleniom, w wyniku czego ceny akcji kompanii zaczęły gwałtownie rosnąć. Początkowo udziały oferowano po 500 liwrów za sztukę. 1 sierpnia 1719 roku ich cena sięgała 2750 liwrów. W ciągu następnych 30 dni podskoczyła do 4100 liwrów, a 4 września płacono za nie 5000 liwrów. 2 grudnia cena akcji Kompanii Missisipi przekroczyła granicę 10 tysięcy liwrów. Na paryskich ulicach zapanowała ogólna gorączka. Ludzie spieniężali swoje*

*majątki i zaciągali ogromne pożyczki na zakup udziałów kompanii. Wszyscy wierzyli, że odkryli cudowny sposób na szybkie wzbogacenie się*<sup>348</sup>. No, i jak to zwykle bywa, parę dni później zaczęła się gorączkowa panika. Inwestorzy rzucili się gremialnie do wyzbywania się swoich udziałów. Ich wartość raptownie spadała, potem leciała na łeb, na szyję. Law, główny ekonom króla, chcąc ustabilizować rynek, skupywał akcje własnej spółki za pieniądze banku centralnego Francji, ale wkrótce w skarbcu państwa ich zabrakło, tym samym akcje Kompanii Missisipi stały się bezwartościowe, a bank królewski praktycznie zbankrutował. Zresztą podobnie jak tłum drobnych inwestorów, bo magnaci finansjery (dzięki swoim układom zawsze lepiej od innych zorientowani w sytuacji) porobili ogromne fortuny na wahaniach kursu. Ten krach na giełdzie akcji był jednym z największych w historii i miał dalekosiężne skutki. Francuski system bankowy i fiskalny przestały być wiarygodne na arenie światowej. Ludwik XV zadłużał się na wysoki procent u innych monarchów, stracił reputację u rozsierdzonych poddanych, Francja odstąpiła swoje zamorskie kolonie Brytyjczykom. Ludwik XVI, który objął tron po śmierci ojca, zastał skarbiec królewski niemal pusty. Dowiedział się również, iż połowa rocznego budżetu Francji idzie na obsługę samych tylko odsetek od zaciągniętych przez Ludwika XV długów, zatem nie miał praktycznie innego wyjścia niż po 150 latach przerwy zwołać Stany Generalne, czyli francuski parlament. Działo się to w pamiętnym 1789 roku. Pamiętnym, bo deputowani zamiast coś uchwalić, włączyli zapalniki rewolucji. Dziesięć lat później Napoleon Bonaparte ogłosił się pierwszym konsulem. Jak dalej potoczyła się historia dobrze wiemy. Dla Napoleona (podobnie jak dla Hitlera) jedynym rozwiązaniem kryzysu finansowego państwa i odbudowy jego imperialnej potęgi okazała się wojna. Pierwsza światowa, bo przecież w rozmaitych konfiguracjach uczestniczyły w niej wszystkie europejskie potęgi. W szeregu bitew: pod Marengo, Ulm, Austerlitz, Frydlandem, Somosierrą, Wagram, Abu Kirem, Trafalgarem, Jeną, Auersredt, Dreznem, Budziszynem, Smoleńskiem, Borodino... wreszcie pod Waterloo poniosło śmierć przeszło 3 miliony ludzi, a dla milionów innych (okaleczonych, zgwałconych lub ograbionych z majątku, czci i wiary) życie stało się koszmarem. Warto zatem dobrze zapamiętać, choćby ku przestrodze, postać Johna Law – wymuskanego dandysa, w peruce i w eleganckim surducie, z urodzenia Szkota, nadwornego ekonoma króla Ludwika XV a jednocześnie pozbawionego skrupułów cynika, spekulanta i hazardzisty (tu kłania się z amerykańskiego więzienia skazany na 150 lat odsiadki Bernard Madoff, zapewne jego aktualne wcielenie). John Law był tym pierwszym kamyczkiem, który uruchomił lawinę

---

<sup>348</sup> Ibidem, s. 391.

kryzysu finansowego Francji, a za nią lawinę zdarzeń składających się na naszą historię powszechną.

Jeszcze potworniejszy koszmar zgotowali milionom ludzi przeciętni, bogobojni, dobrodusznymi mieszczanie, zwykli akcjonariusze z Londynu, Amsterdamu, Paryża i innych europejskich miast, którzy z banalnej chęci pomnożenia majątku inwestowali swoje pieniądze nadwyżki w intratne udziały spółek aukcyjnych wyspecjalizowanych w handlu niewolnikami. *Od XVI do XIX wieku przewieziono do Ameryki około 10 milionów afrykańskich niewolników. Siedemdziesiąt procent z nich pracowało na plantacjach trzciny cukrowej – dodać trzeba, że w opłakanych warunkach. Większość tych niewolników zmarła w męczarniach, a kolejne miliony straciły życie w wojnach o niewolników bądź podczas długiej podróży z wnętrza Afryki do wybrzeży Ameryki. A wszystko po to, by Europejczycy mogli cieszyć się słodzoną herbatą i słodyczami, a magnaci cukrowi krociowymi zyskami*<sup>349</sup>. Oto prawdziwa twarz liberalnego humanizmu i propagowanej przez niego idei wolnego rynku, kierującego się prawem podaży i popytu.

A jak w praktyce wyglądał humanitaryzm w wykonaniu zwolenników liberalizmu?

*W 1876 roku król Belgów Leopold II powołał do życia organizację humanitarną, której rzekomym celem była eksploracja środkowej Afryki i walka z handlem niewolnikami w dorzeczu rzeki Kongo. Miała też za zadanie polepszać warunki życia tubylców poprzez budowanie dróg, szkół i szpitali. W 1885 roku europejskie mocarstwa zgodziły się przekazać tej organizacji kontrolę nad dorzeczem Konga o powierzchni 3,6 miliona kilometrów kwadratowych. Odtąd terytorium to, 75-krotnie większe od obszaru Belgii, nosiło nazwę Wolnego Państwa Konga. Rzecz jasna nikt nie pytał o zdanie 20–30 milionów mieszkańców tego obszaru. W krótkim czasie ta organizacja humanitarna stała się przedsiębiorstwem handlowym, którego prawdziwym celem były wzrost i zysk. O szkołach i szpitalach zapomniano, zamiast nich w dorzeczu Konga zaczęły wyrastać kopalnie i plantacje, przeważnie zarządzane przez belgijską kadrę kierowniczą, która bezwzględnie eksploatowała miejscową ludność. Najgorszą sławą cieszyła się produkcja kauczuku. Kauczuk robił podówczas błyskawiczną karierę jako podstawowy surowiec przemysłowy, a jego eksport stanowił najważniejsze źródło dochodu Konga (czyli belgijskich okupantów). Afrykańscy wieśniacy zatrudnieni przy zbiorze kauczuku zobowiązani byli dostarczać coraz większe jego ilości. Ci, którym się to nie udawało, byli brutalnie karani za swoje „lenistwo”. Odcinano im ręce, a niekiedy masakrowano całe wioski. Według ostrożnych szacunków w latach 1885–1908 pogoń za wzrostem*

---

<sup>349</sup> Ibidem, s. 400.

*i zyskami kosztowała życie 6 milionów ludzi (co najmniej 20 procent ludności Konga). Niektóre szacunki sięgają 10 milionów ofiar*<sup>350</sup>. Jednym słowem, nie tylko komuniści epoki Stalina, ale nawet dynastia Kimów z Korei Północnej mogliby pobierać lekcje od tej „humanitarnej” spółki akcyjnej, jak stworzyć gułag, czy raczej wielki obóz koncentracyjny o zaostrzonym rygorze bezpośrednio u kogoś w domu, bez kosztownego transportu skazanych na dożywotnie roboty przymusowe więźniów. Relacje uczestników tych wydarzeń jeżą włosy na głowie.

Rewolucja poznawcza podważyła, czy wręcz zanegowała poprzedni intersubiektywny porządek – rolniczy układ z monoteistycznym bogiem. Przyniosła niewątpliwy rozwój badań naukowych, a te przełożyły się na odkrycia i wynalazki techniczne, których następstwem był dynamiczny rozwój przemysłu. Przemysł i podboje kolonialne zrodziły z kolei hydrę kapitalizmu. Oto niezakłamate oblicze potwora zwanego liberalizmem.

*W 1938 roku ludzie mieli do wyboru trzy globalne opowieści, w 1968 tylko dwie, w 1998 wydawało się, że zapanowała jedna, a w 2018 roku liczba dostępnych nam opcji spadła do zera*<sup>351</sup>.

## POWSZECHNA ENTROPIA

Prawdopodobnie ogólnoswiatowy kryzys gospodarczy na rynkach finansowych i bankowych, którego szczyt przypadał na lata 2007–2009, wywołany spekulacyjnym zeppelinem pożyczek hipotecznych wysokiego ryzyka w Stanach Zjednoczonych, był tą ostatnią kroplą, która przełamała czarę goryczy odczuwanej od dawna przez wielu ludzi wobec kłamliwej ideologii liberalnego humanizmu. W teorii głoszącej wolność, równość i prawa jednostek do samostanowienia, a w praktyce szerzącej cyniczny, nieliczący się z niczym i z nikim, bezpardonowy kapitalizm. Pierwsze symptomy odwrotu lub/i rezygnacji z tego porządku wyobrażonego już są widoczne. W wielu krajach, w demokratycznych wyborach wygrywają populiści – partie konserwatywne propagujące narodowo-religijne treści odwołujące się do najróżniejszych resentymentów. Na przykład w Rosji Władimir Putin, były funkcjonariusz KGB, stworzył, a raczej odtworzył oligarchiczny system do złudzenia naśladowujący rządy carów i bojarów, wcześniej reaktywowany przez Stalina i członków biura politycznego KC komunistycznej partii. W referendum dotyczącym dalszego członkostwa Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej, przeprowadzonym w 2016 roku, minimalnie co prawda, ale

<sup>350</sup> Ibidem, s. 402.

<sup>351</sup> Y. N. Harari, *21 lekcji...*, op. cit., s. 21–22.

jednak zwyciężyli zwolennicy brexitu. W tym samym roku w Stanach Zjednoczonych demokratów pokonał miliardier-populista, Donald Trump, zwolennik izolacjonizmu. Podobne tendencje wygrywają na Węgrzech, w Turcji, Polsce i w innych krajach. Ewidentnie liberalizm chwieje się w posadach. I tak jak nie sposób było przewidzieć w 1719 roku dalekosiężnych skutków spekulacyjnego balonu Kompanii Missisipi i apokaliptycznych reperkusji „czarnego czwartku” roku 1929 na giełdzie w Stanach Zjednoczonych, tak trudno dziś jest prorokować, jakie długofalowe skutki może przynieść kryzys lat 2007–2009. Bazując tylko na doświadczeniach przeszłości trudno być optymistą. Natomiast to, że wraz z odwrotem od ideologii liberalnego humanizmu odradzają się groźne i mroczne demony przeszłości: ciągoty nacjonalistyczne, religijne, rasistowskie i imperialne, nie powinno nikogo dziwić. Przecież zawsze, gdy rozpadały się jakieś porządki i oparte na nich systemy społeczne, sięgano do przeszłości – miksowano stare z obecnym, pichcąc z tego niestrawną, groteskową papkę w rodzaju Cesarstwa Francuskiego czasu Bonapartego i jego następców. Papkę, która łączyła tradycję monarchii z ideami wolności, równości i braterstwa, głoszonymi przez humanistyczną rewolucję francuską. Jeszcze dziwniejszą hybrydą zespolenia wielu ideologii jest dzisiejsza Chińska Republika Ludowa, łącząca humanizm socjalny Mao z liberalnym wzrostem gospodarczym, cesarską tradycją, konfucjanizmem, taoizmem, a nawet z buddyzmem. Współcześnie takich neo-soc-nacjonalistyczno-religijno-populistycznych twórców państwowych przybywa. W jakim tempie?

Gdy mowa o powszechnych tendencjach, na plan pierwszy wysuwa się synkretyzm: nagminna jednoczesność wyznawania różnych, nawet przeciwstawnych względem siebie idei, oraz łączenie rytuałów i obyczajów czerpanych z wielu źródeł. Dobrym tego przykładem są monoteistyczne religie, które łączą w sobie istny kalejdoskop wierzeń monoteistycznych, dualistycznych, politeistycznych i animistycznych. Przykładowo chrześcijaństwo wierzy w monoteistycznego Boga, dualistycznego diabła, panteon politeistycznych błogosławionych i świętych oraz z gruntu animalistyczne duchy i upiory. Liberałowie dołożą do tego asortymentu gotowych wartości: wiarę w potencjał człowieka oraz w wolne rynki, zapewniające nieustanny wzrost gospodarczy jako fundament powszechnego szczęścia. Natomiast religijnie zaangażowany współczesny humanista socjalny nie zapomni z pewnością o wolności, równości i braterstwie jako ideałach niezbędnych do zaprowadzenia niebiańsko-marksistowskiego pokoju, ładu i sprawiedliwości. Zjawisko permanentnej fluktuacji na ogólnoswiatowej giełdzie ideologii, też tych religijnych, najlepiej tłumaczy dziedzina nauki zwana memetyką (od ang. *memetics* – „mem”). Zakłada ona, że tak jak w biologicznym doborze naturalnym podstawową jednostką replikacji jest gen, tak

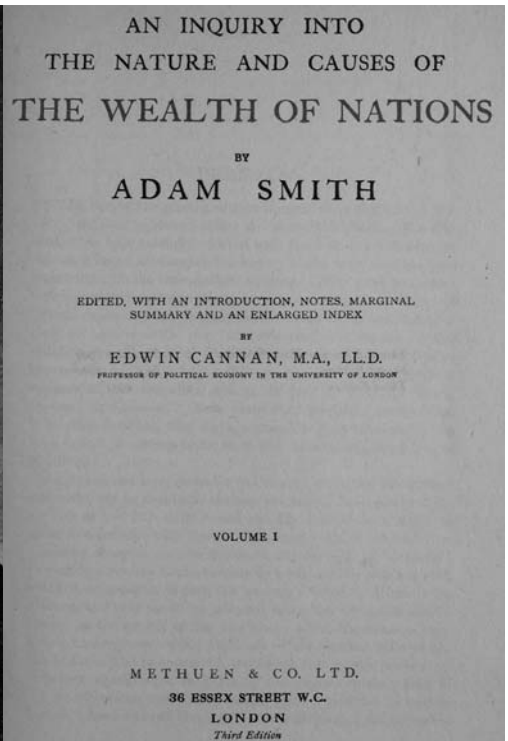
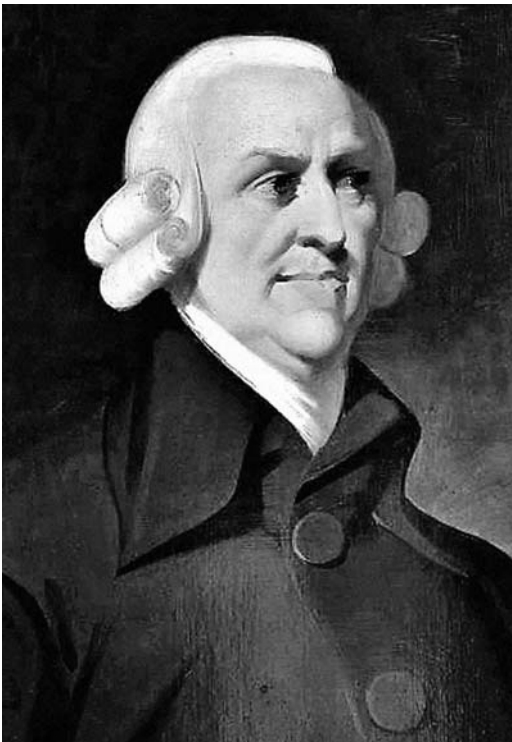
w ewolucji kulturowej jest nią „mem”. Coraz liczniejsza rzesza uczonych postrzega kulturę jako swego rodzaju infekcję bądź pasożyta umysłu, a ludzi jako ich nieświadomych żywicieli. Pasożyty biologiczne, jak wirusy, żyją w ciele żywiciela. Rozmnażają się i rozprzestrzeniają z jednego żywiciela na drugiego, czerpią z niego pokarm, osłabiają go, a czasem wręcz doprowadzają do śmierci. Dopóki żywiciel żyje na tyle długo, by przekazać dalej pasożyta, dopóty pasożyt nie przejmuje się stanem zdrowia swojego żywiciela. W ten sposób idee kulturowe zamieszkują umysły ludzi. Rozmnażają się i rozprzestrzeniają na kolejnych żywicielach, od czasu do czasu wyniszczając ich, a nawet zabijając. Idea kulturowa – na przykład wiara w położone wysoko nad obłokami chrześcijańskie niebo bądź komunistyczny raj na ziemi – może skłonić człowieka do poświęcenia życia na krzewienie tej idei nawet za jego cenę<sup>352</sup>. Zatem idee i ideologie porządków wyobrażonych szerzą się niczym niezwykle groźne epidemie trądu, ospy lub cholery. Jedne bardzo gwałtownie, inne podstępnie i powoli, prawie niezauważalnie, przenoszone są na kolejne pokolenia żywicieli. Nowe zarazy wypierają poprzednie, lecz ich ogniska zapalne gdzieś tłą się, by w dogodnym momencie wybuchnąć ponownie ze zdwojoną siłą. Tak jak dzisiejsze nurty rasistowskiego nacjonalizmu, islamski fundamentalizm, noworuski imperializm, itp. Nie ma sposobu, by tych wirusów zupełnie się pozbyć, bo *Homo sapiens* bez jakichkolwiek ideologii – intersubiektywnych porządków wyobrażonych – fikcji branych za prawdę nie umie funkcjonować w obrębie dużych organizmów społecznych. Zatem, gdy powstaje luka po jednej kulturowej epidemii, natychmiast w jej miejsce wdzierają się inne, po części już zapomniane, albo całkiem nowe wirusy groźnych chorób zakaźnych nieprzerwanie pustoszących nasze umysły.

---

<sup>352</sup> Ibidem, s. 293–294.



John Law (1671–1729) główny ekonom króla Ludwika XV (1710–1774) – patrz portret po prawej. Law do dziś poważany jest w kręgach ekonomicznych jako wynalazca pieniądza kredytowego, ponadto był zwierzchnikiem *Kampanii Missisipi* i pozbawionym wszelkich skrupułów hazardystą oraz największym spekulantem w dziejach.



Adam Smith (1723–1790), szkocki filozof i ekonomista oraz jego „wiekopomne” dzieło *Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów* (opublikowane w 1776 roku).

## XXVII. Stąd do pohistorii

I z taką powiększającą się próżnią mamy do czynienia obecnie.

To, że w wyrwę powstałą w liberalnym porządku rzeczy wdzierają się chmary demonów przeszłości, nie powinno dziwić, przecież zrodziły je przerażające zbrodnie „cywilizatorów”, dokonane w imię człowieczeństwa w ciągu ostatnich pięciu stuleci. Także niezabliźnione rany przeszłości – polityka imperialnych podbojów i wynikający z niej ocean okrucieństwa, podłości i pogardy. W tym niewolnictwo praktykowane na niespotykaną w historii skalę oraz zakłamana ideologia rasizmu i bezduszny kapitalizm oparty na permanentnym rozwoju przemysłu, zakładania manufaktur, fabryk, kopalń, hut i stoczni przynoszących krociowe zyski nielicznym, lecz pogłębiających istniejące już przeogromne dysproporcje społeczne. Hektolitry oliwy do tego tłącego się pogorzeliśka nieprzerwanie dolewają dominujące wciąż jeszcze monoteistyczne religie, z ducha i intencji patriarchalne, nieczułe na dolę kobiet i skrajnie nietolerancyjne wobec mniejszości seksualnych i wyznawców odmiennych ideologii. Ta nierozliczona przeszłość odbija się obecnie dokuczliwą czkawką w postaci masowych protestów, strajków i demonstracji, zamieszek, a nawet rebelii o podłożu: nacjonalistycznym, ksenofobicznym, faszystowskim, religijnym, feministycznym... Również w postaci rosnących w zastraszającym tempie fal uchodźców oraz dzielnic nędzy, jakie puchną na obrzeżach wielu aglomeracji – gett kipiących bezsilną wściekłością wykluczonych, zapomnianych, odartych z nadziei i złudzeń – siedlisk biedy i przestępczości, wylęgarni przyszłego buntu. Na domiar wciąż jeszcze pozostaje na mapie świata wiele ognisk zapalnych: Korea Północna, Bliski Wschód, Afganistan, Bałkany, Krym, Ukraina, Czeczenia, hiszpańska Katalonia... długo by wymieniać. Dzieje się to w momencie największych w historii przemian ideowo-obyczajowo-społeczno-naukowych, wywołanych przez trzecią po agrarnej i naukowo-technicznej rewolucję poznawczą.

Dzięki wynalazkom druku, telegrafu, telefonu, radia, telewizji, sieci satelitarnych i internetu dokonał się w krótkim czasie bezprecedensowy skok w dziedzinie łączności i transferu coraz większych i większych ilości danych. Również niesamowity postęp w dziedzinie środków transportu

i infrastruktury komunikacyjnej. Wynalazki techniczne pomniejszyły świat do rozmiarów neolitycznej wioski, w której wszystko ze wszystkim się miksuje, łączy i przenika. Skutkuje to informacyjną siecią – nadmiarem istotnych i całkiem zbytecznych danych, zalewających nasze umysły. W mediach sensacja goni sensację, polityka sprzęga się z plotką i biznesem, handel z modą, moda z kulturą, kultura ze sztuką, rozrywka z kulinariami i sportem. Doniesienia o: kryzysach politycznych, aferach gospodarczych, klęskach żywiołowych, zamachach terrorystycznych, skandalach obyczajowych, katastrofach, protestach, rozruchach gdzieś w Paryżu, Moskwie, Londynie, Hongkongu czy Barcelonie, przetykane są długimi blokami reklamowymi, a dla zabicia nudy tudzież uatrakcyjnienia programów informacyjnych, ciekawostkami ze świata. Bo przecież media tylko w teorii są niezależne i bezstronne, a w praktyce trzymane są na krótkiej korporacyjnej smyczy polityki i biznesu. Z tej kakofonii informacji powstaje niestrawna pulpa, gdzie wszystko jest równie istotne, zatem nic właściwie nie ma znaczenia. Jest to nowatorska forma manipulacji opinią publiczną, gdzie przesyt znieczula, wywołuje stan irytacji i kompletnego zobojętnienia. Zatem niczego już nie trzeba cenzurować, zakazywać lub deprecjonować, wystarczy niewygodne treści nawarstwiać – przykrywać innymi, nieustannie przekierowywać zainteresowanie opinii publicznej.

W tym informacyjnym natłoku łatwo się pogubić, stracić orientację i z pola widzenia to, co obecnie niezwykle istotne, a z czym rządzący wciąż światem liberalni humaniści kompletnie sobie nie radzą. Tych wyzwań i problemów jest nieprzeliczone mrowie, a największe z nich to koszarne przeludnienie, degradacja środowiska i gwałtowne ocieplenie klimatu.

*Tradycyjnie liberalizm liczył na to, że wzrost gospodarczy będzie w czarodziejski sposób rozwiązywał trudne konflikty społeczne. Że będzie godził proletariąt z burżuazją, wierzących z ateistami, miejscowych z imigrantami, a Europejczyków z Azjatami, obiecując każdemu większy kawałek tortu. Póki tort ciągle rósł, było to możliwe. Jednak wzrost gospodarczy nie ocali globalnego ekosystemu – wprost przeciwnie, to on jest przyczyną kryzysu ekologicznego*<sup>353</sup>. Ta ideologia, jak wiele przed nią, okazała się najzwyczajniej utopijną mrzonką.

## KATASTROFA EKOSYSTEMU

W tych kluczowych dla naszego istnienia kwestiach już od tysięcy lat powinny nam natarczywie dźwięczeć i wibrować w głowach liczne alarmy

<sup>353</sup> Y. N. Harari, *21 lekcji...*, op. cit., s. 35.

ostrzegawcze. *Homo sapiens* zmienił bowiem reguły gry. Temu jednemu gatunkowi małp człekokształtnych udało się w ciągu 70 tysięcy lat przemienić globalny ekosystem w sposób radykalny i niespotykany. Nasz wpływ dorównuje już wpływowi epok lodowcowych i ruchów tektonicznych. W ciągu jednego stulecia może on przewyższyć skutki uderzenia asteroidy, która 65 milionów lat temu wybiła dinozaury<sup>354</sup>. Także tym razem Harari w najmniejszym stopniu nie przesadził.

Jak więc reagujemy? Ano tak, że pojawiło się kilka raportów i ostrzegawczych prognoz sporządzonych przez ekspertów. Zwołano też kilka konferencji klimatycznych, z których w praktyce niewiele wynikało. Doprawdy, trudno się dziwić, iż Greta Thunberg, nadwrażliwa piętnastoletnia aktywistka szwedzka, przerażona falą upałów i pożarów lasów, które jej ojczyznę nawiedziły w 2018 roku, zamiast po wakacjach rozpocząć naukę w dziewiątej klasie, 20 sierpnia tamtego roku stanęła samotnie pod Parlamentem Szwedzkim z niewielkim transparentem informującym, iż jest to *Skolstreik för klimatet* (strajk szkolny w obronie klimatu). Polegał on na tym, że w każdy piątek (pewnie tylko na tyle wagarów jej rodzice pozwolili?) opuszczała zajęcia szkolne, żeby kontynuować swoją pikietę. Rok później protestowała w Londynie i w Brukseli pod gmachem Parlamentu Europejskiego. Wkrótce stało się o niej w mediach światowych na tyle głośno, że Sekretarz Generalny ONZ, Antonio Guterres, zaprosił Gretę do udziału w szczycie klimatycznym COP24, odbywającym się (o święta ironio) w jednym z najbardziej zanieczyszczonych przez kopalnie miast Polski, czyli w Katowicach. Potem wzięła udział w szczycie klimatycznym w Nowym Jorku i COP25 w Santiago de Chile. Warto dodać, że w trakcie szczytu w Stanach Zjednoczonych publicznie zbesztła Donalda Trumpa, prezydenta USA, jednego z prominentnych przedstawicieli liberalnej kapitalistycznej elity rządzącej światem, oświadczając, że z powodu zaniedbań rządów w kwestiach klimatycznych ona, zamiast być teraz w szkole na lekcjach, jest zmuszona w tych obradach uczestniczyć. Bo faktycznie, zakrawa to na kpinę i kompletną bezradność dorosłych, że, aby zwrócić uwagę opinii publicznej na ten obecnie newralgiczny problem, potrzebna była kruczata dziecięca jednoosobowo rozpętana przez Gretę. Świadczy to o tym, w jakim miejscu dziś się znajdujemy. Nie wykluczam jednak, że transparent z napisem *Skolstreik för klimatet* stanie się w nieodległej przyszłości czymś mocniejszym nawet od 95 tez Lutra przybitych 31 października roku Pańskiego 1517 do drzwi katedry w Wittenberdze. Prawdopodobnie Marcin Luter nie miał bladego pojęcia, że jego jak najbardziej słuszne postulaty i dobre intencje uderzą w samo jądro ka-

---

<sup>354</sup> Y. N. Harari, *Homo...*, op. cit., s. 97.

tolickiego kościoła, i że staną się zarzewiem wielkiego rozłamu w jego obrębie. Nie wiedział też, że proponowana przez niego odnowa moralna oraz etyczna katolicyzmu stanie się jednym z powodów paneuropejskiej wojny trzydziestoletniej (1618–1648), która pochłonie życie wielu milionów ludzi. W samej tylko Rzeszy, według ostrożnych szacunków, mogło w jej wyniku zginąć nawet 8 milionów ludzi, czyli połowa całej populacji. Greta Thunberg też pewnie nie zdaje sobie sprawy, że jej pikieta godzi w sam rdzeń ideologii liberalnego humanizmu, którym jest zwiększanie produkcji oraz poszerzanie sektorów handlu i usług napędzających permanentny wzrost gospodarczy w myśl znanej maksymy: „Klient ma zawsze rację”. Otóż jej zwykle nie ma. Wszak na jego pragnienia i potrzeby w ogromnej mierze wpływa wszechobecna reklama i propaganda. I to one kształtują wzorce zachowań, trendy mody, gusty i w efekcie przyzwyczajenia oparte najczęściej na najgorszych naszych skłonnościach, wadach i instynktach, do których należą nieposkromiona chciwość i egotyzm. Niewątpliwie słuszny apel Greta do elit rządzących światem, analogicznie jak 500 lat wcześniej 95 też Marcina Lutra, stał się symbolem nadciągającej zmiany patrzenia. Zmiany wymuszonej przez katastrofę środowiska i potężne klimatyczne turbulencje wywołane przez nasz bezrozumny gatunek. Nikt z wyjątkiem jasnowidzów nie odpowie, jak ta czekająca nas konfrontacja ekologów z wolnorynkowym liberalizmem się potoczy i ile ofiar pociągnie za sobą. Prawdopodobnie będzie ich wiele, co mogę śmiało prorokować bazując choćby na przykładzie sprokurowanej przez Lutra wojny trzydziestoletniej. Po prostu nigdy w naszej historii (może z wyjątkiem rozpadu ZSRR) rządzące polityczno-religijno-biznesowe elity nie ustąpiły bez walki. Nigdy też nie zdarzyło się tak, by ludzie sami z siebie, dobrowolnie, zechcieli się ograniczyć w swoich dążeniach do dobrobytu i wygody życia. A taki jest przecież główny postulat ekologów. Postulat kompletnie sprzeczny z fundamentalną doktryną liberalizmu. Zatem dzieje się tak, że: *Mimo całego hałasu wokół zanieczyszczenia środowiska, globalnego ocieplenia i zmiany klimatu, większość krajów nie zdobyła się jeszcze na żadne poważne ekonomiczne ani polityczne poświęcenia, by poprawić tę sytuację. Ilekroć przychodzi moment, gdy trzeba wybierać między wzrostem gospodarczym a stabilnością ekologiczną, politycy, dyrektorzy i wyborcy prawie zawsze wolą stawiać na wzrost*<sup>355</sup>. No, i czy nie jest już za późno na jakiegokolwiek skuteczne kroki zaradcze? Przecież to my – ludzie, w swojej ogromnej masie, jesteśmy podstawową przyczyną tych problemów – gatunek *Homo sapiens*, który z początkiem rewolucji agrarnej nieopatrnie uruchomił swój rosnący w tempie geometrycznym

---

<sup>355</sup> Ibidem, s. 30.

stan liczbowy. Żeby wyraziście ten problem zilustrować ułożyłem taki oto postmodernistyczny wierszyk:

#### *BILANS*

*1500 rok – 500 milionów homo sapiens*

*1700 rok – 700 milionów homo sapiens*

*1800 rok – 950 milionów homo sapiens*

*1900 rok – 1,6 miliarda homo sapiens*

*2000 rok – 6 miliardów homo sapiens*

*2020 rok – 7,6 miliarda homo sapiens*

*Prognozy na kolejne dwudziestolecia:*

*2040 rok – 9,6 miliarda homo sapiens*

*2060 rok – 13 miliardów homo sapiens*

*2080 rok – 17 miliardów homo sapiens*

*2100 rok – 0*

Ma on pesymistyczną puentę, bo najzwyczajniej nie potrafię sobie wyobrazić naszej planety zamieszkiwanej jednocześnie przez 22 albo więcej miliardów ludzi. Oznaczałoby to przecież nie tylko przeogromne zagęszczenie, ale też trzykrotnie większą górę śmieci, odpadów, toksyn, emisji dwutlenku węgla i pozostałych gazów cieplarnianych. Wątpię, by jakiś program naprawczy poradził sobie z tak monstrualną katastrofą demograficzną. Tymczasem, co robią dzisiejsi politycy? Skupiają się na wymyślaniu programów „prorodzinnych”, mających nakłaniać ludzi do rozmnażania się na potęgę! Dzieje się tak, ponieważ bezprecedensowy postęp nauk biologicznych, w tym gerontologii, genetyki i medycyny rodzi problem ekonomiczny, który śmiało można nazwać plagą długowieczności. Plagą starych ludzi rozsadzającą systemy emerytalne wielu rozwiniętych krajów. Można śmiało stwierdzić, że liberalni politycy skupiają się na rozwiązywaniu trudności bieżących, ograniczonych do jednej, góra dwóch ich kadencji. Gaszą zatem pożar świata cysternami benzyny.

*W XXI wieku narody i państwa znajdują się w tej samej sytuacji co dawne plemiona: nie są już odpowiednią strukturą do podejmowania najważniejszych wyzwań swojej epoki. Potrzebujemy nowej, globalnej tożsamości, ponieważ instytucje państwowe i narodowe nie są w stanie poradzić sobie z niespotykaną trudną i złożoną sytuacją w skali globu. Obecnie mamy globalną ekologię, globalną gospodarkę i globalną naukę – ale nadal tkwimy w narodowej polityce<sup>356</sup>. A nawet w obliczu poważnego kryzysu, czy wręcz ruiny liberalnej doktryny, te wsteczne nacjonalistyczno-religijne ciągoty i resentymenty podgrzewamy jeszcze bardziej. Zatem absurd goni absurd.*

<sup>356</sup> Y. N. Harari, *21 lekcji...*, op. cit., s. 169–170.

## CZŁOWIECZEŃSTWO

Przemiany społeczno-obyczajowe na przestrzeni tysiącleci zawsze wynikały z postępów nauki i rozwoju techniki. Każda zmiana trybu życia pociągała za sobą konieczność modyfikowania religijnych wierzeń w taki sposób, by ten zaistniały stan rzeczy uzasadniać i usprawiedliwiać. Można śmiało stwierdzić, że religie nie mają roli wiodącej w procesach społecznych przemian generowanych przez rozwój nauki oraz wynalazki techniczne, że mają one wyłącznie funkcję nadawania pozorów sensu zaistniałym faktom.

Francuski matematyk i fizyk René Descartes (1596–1650), znany jako Kartezjusz, uznawany za ojca filozofii nowożytnej, wzmocnił swoim autorytetem pogląd: *że tylko ludzie coś czują i czegoś pragną, podczas gdy wszystkie inne zwierzęta są bezmyślnymi automatami, podobnymi do robotów albo maszyn*<sup>357</sup>. W XVII wieku ten pogląd podzielali wszyscy, a i dziś większość ludzi tak sądzi, trzymając swoje psy na łańcuchach przy budach, a hodowlane zwierzęta w ciasnych kojcach lub klatkach, czyli w koszmarniejszych warunkach niż te, które stwarzano zwierzętom w dawnych społeczeństwach rolniczo-pasterskich. *Hodowla przemysłowa* (powszechna w liberalnej gospodarce) *nadaje status świętości ludzkim potrzebom, zachciankom i pragnieniom, lekceważąc jednocześnie wszystko inne. Hodowla przemysłowa nie interesuje się naprawdę zwierzętami, ponieważ one nie mają udziału w świętości ludzkiej natury*<sup>358</sup>. Problem tkwi w tym, że nie tylko jesteśmy w ogromnej większości bardzo egoistyczni i pozbawieni empatii wobec innych stworzeń, ale również i w tym, że nowożytna nauka po niezliczonej ilości badań i eksperymentów z użyciem najnowocześniejszych urządzeń, nie tylko u małych krów, świń, szczurów, psów oraz kotów nie znalazła śladu czegoś na kształt wiecznotrwałej duszy, ale również u przedstawicieli gatunku *Homo sapiens*. W czym więc mamy upatrywać tej naszej nadzwyczajnej ponoć „iskry” świętości? Eksperymenty potwierdziły tylko, iż mózg ludzki jest nieco bardziej złożonym systemem skomplikowanych sieci niż mózgi innych zwierząt. Systemem, po którym bezustannie krążą elektryczne sygnały wysyłane i odbierane przez niezliczone ilości neuronów. I owe biochemiczne interakcje składające się na tzw. „strumień świadomości” w analogiczny sposób dokonują się w mózgach wszystkich bez wyjątku organizmów żywych, w tym: ośmiornic, papug, kotów, szympanсів i ludzi – bez różnicy. A skoro mechanika wszystkich biochemicznych mózgów jest tożsama, to można spierać się już tylko o drobne różnice w rozmiarach tych skomplikowanych sieci. Co

<sup>357</sup> Y. N. Harari, *Homo...*, op. cit., s. 139.

<sup>358</sup> Ibidem, s. 128.

przywodzi na myśl wielkie aglomeracje i małe miasteczka, w których odbywa się analogiczny „ruch pojazdów” tyle, że w dużych miejscowościach pobudowano wiadukty oraz kilkupasmowe obwodnice, które w tych mniejszych miastach są zbędne. Każdy kierowca wie, że jazda po wioskach i miasteczkach jest o wiele mniej stresogenna, tym samym przyjemniejsza, niż tkwienie w korkach i spalinach wielkich miast. Małpy, koty, czy nawet papugi nie zaprzatają sobie mózgow pytaniami: „Co by było, gdyby...?” Dlatego samobójstw nie popełniają, a ludziom czasem to się zdarza. Nie oznacza to jednak, że niewygody z powodu warunków bytowych, cierpienia, bólu, smutku, apatii albo tęsknoty nie odczuwają. Nowe badania skłoniły grono światowych ekspertów z zakresu neurobiologii oraz kognitywistyki, którzy spotkali się na konferencji poświęconej zagadnieniu świadomości istot żywych, na uniwersytecie Cambridge 7 lipca 2012 roku (szkoda, że tak późno – o kilkanaście tysięcy lat za późno), do uchwalenia takiej oto, salomonowej deklaracji: *Różnorakie dowody wydają się wskazywać na to, że inne niż ludzie zwierzęta posiadają neuroanatomiczne, neurochemiczne i neurofizjologiczne podłoże stanów świadomych oraz zdolność do przejawiania zachowań intencjonalnych. Dowody świadczą więc na korzyść tezy, że ludzie nie są jedynymi zwierzętami posiadającymi podłoże neurologiczne związane z wyłanianiem się świadomości. Zwierzęta, w tym wszystkie ssaki i ptaki, i wiele innych stworzeń, w tym ośmiornice, również są w posiadaniu owego substratu neurologicznego*<sup>359</sup>. Czyli współcześni eksperci ubrali w naukową terminologię to, co paleolityczni zbieracze-łowcy wiedzieli od zawsze. Zauważę, że ta wreszcie uchwalona deklaracja przeczy ewidentnie bzdurnym, z gruntu niesprawiedliwym i bardzo szkodliwym tezom ojca współczesnej myśli filozoficznej, Kartezjusza. Problem w tym, jak mamy się teraz sami przed sobą wytłumaczyć z tych niezliczonych przestępstw i zbrodni dokonywanych na przemysłową skalę przez tysiąclecia w imię wydumanego człowieczeństwa?

Nie koniec jednak na tym, bo przecież wraz z szalonym postępem nowożytnych dziedzin nauki, jak biochemia, biologia molekularna, biomatematyka, biofizyka, biomechanika, bioinformatyka, bioelektronika, biocybernetyka, biorobotyka, bionika i biomechatronika, z każdą chwilą poszerza się grono naukowców różnych specjalności, którzy postrzegają wszelkie żywe organizmy, w tym również ludzi, jako bardziej lub mniej skomplikowane biomechaniczne roboty, a ich mózgi jako biochemiczne komputery, których działanie zasadniczo uzależnione jest od wpisanych w nie genetycznie lub/i kulturowo programów, czyli zbiorów algorytmów.

---

<sup>359</sup> Ibidem, s. 158.

Nauki biologiczne konsekwentnie – krok po kroku, dzień po dniu, w ciągu dwóch ostatnich stuleci podkopywały fundamenty monoteistycznej wiary w niepodzielną, wiecznotrwałą duszę. Później też humanistycznej wiary w niezwykłość każdego osobnika *Homo sapiens*, wynikającą jakoby z jego nieomylnego, osobniczego „ja”. Według współczesnych biologów, to nie imperatyw wewnętrzny i wolna wola, lecz hormony, geny, synapsy, doświadczenia, pamięć o nich, a także wpływy środowiskowe w głównej mierze determinują zachowania wszelakich organizmów żywych, w tym ludzi, małp, psów, kotów, jaszczurek, chrząszczy, motyli czy mrówek. W ostatnich dziesięcioleciach nauki przyrodnicze doszły do wniosku, że *liberalna opowieść jest czystą mitologią. Istnienie jakiegoś jednego autentycznego „ja” jest równie prawdziwe, jak istnienie nieśmiertelnej duszy, Świętego Mikołaja i zająca wielkanocnego. Jeśli zaglądam naprawdę głęboko w siebie, pozorna jedność, którą traktuję jako coś oczywistego, znika, ustępując kakofonii sprzecznych głosów, a żaden z nich nie jest moim prawdziwym „ja”. Ludzie nie są indywidualni. Są „dywidualni” – podzieleni*<sup>360</sup> – stwierdził dobitnie Harari. Jeśli ma rację, to system liberalnej demokracji oparty na nieomylnym i niepodzielnym „ja” każdego wyborcy, jest błędny. A mimo to wciąż jeszcze dominuje na świecie.

Podstawowa różnica między jakoby rozumnym człowiekiem a pozostałymi gatunkami zwierząt jest tylko taka, że na ludzkie zachowania pierwszorzędny wpływ ma wyobraźnia, czyli jaźń komponująca, a dużo mniejszą rolę odgrywa jaźń doznająca – doświadczenia oraz właściwe im emocje, będące tamtej jaźni jednym z kilku surowców, mózgi natomiast wszystkich innych ssaków cechuje odwrotny mechanizm funkcjonowania, a w przypadku takich stworzeń jak mrówki, motyle albo komary rolę jaźni komponującej pełnią zapewne instynkty.

## JAŻŃ

Na jaźń doznającą składa się bagaż zgromadzonych doświadczeń zmysłowych: ciepła, zimna, bólu, napięcia oraz wywoływanych przez nie emocji: przyjemności, błogości, cierpienia, strachu – także pamięci o nich. Zapamiętywanie ma z kolei wpływ na nasze zachowania, przewidywania, przeczucia i myśli. A stąd już mały krok do naddawania znaczenia swoim doznaniom, doświadczeniom oraz zaobserwowanym zjawiskom, czyli do jaźni komponującej. Jaźni tworzącej z tej trudnej do ogarnięcia materii rozmaitych opowieści: o zjawach, demonach, duchach, bóstwach opiekuń-

---

<sup>360</sup> Ibidem, s. 367.

czych, przeznaczeniu, fatum, życiodajnej wodzie, Bogu, Wielkiej Gospodyni, miłości, bohaterstwie, poświęceniu albo pogardzie. Także o sobie misternie snutej opowieści. Jaźń komponująca i jaźń doznająca są sprzęgnięte ze sobą ściśle, bywa nawet tak, że jaźń doznająca bierze górę nad jaźnią komponującą, gdy przykładowo odstępujemy od jakiegoś zamierzenia, choćby biegania rano po parku, powodowani depresją, nagłą melancholią lub zwykłym rozleniwieniem. Doświadczenia są ważnym, choć nie jedynym budulcem tworzonych przez nas narracji, czy raczej surowcem do interpretowania przeżytych emocji. Na przykład różne mamy tłumaczenia dla tego samego doznania, powiedzmy głodu. Zależne są one od jego kontekstu: religijny post, odchudzanie, ścisła dieta podczas choroby, strajk protestacyjny, przebywanie w obozie lub gułagu, bieda, konieczność bycia na czczo w związku z badaniem lekarskim. Jak z tego widać, głód może mieć wiele odmiennych znaczeń i związanych z nimi odczuć, poczynając od wzniosłości, wyrzeczenia, dążenia do ideału, przez heroizm, tragedię, rozpacz, grozę po całkiem banalny dyskomfort. *Mimo to, większość z nas utożsamia się z własną jaźnią komponującą opowieści. Kiedy mówimy: „ja”, mamy na myśli opowieść we własnej głowie, a nie płynący strumień doświadczeń, jakich doznajemy. Utożsamiamy się z wewnętrznym systemem, który bierze w karby obłądny chaos życia i potrafi wysnuwać z niego na pozór logiczne i spójne opowieści. Nieważne, że fabuła jest pełna luk i kłamstw, że wciąż na nowo jest przepisywana i dzisiejsza opowieść kategorycznie przeczy wczorajszej. Ważne jest co innego: zachowujemy ciągle poczucie, że mamy jedną, niezmienną tożsamość od narodzin do śmierci (a być może nawet poza nią). Jest ono źródłem wątpliwego liberalnego przekonania, mówiącego, że jestem niepodzielną jednostką, że posiadam wyraźny i spójny wewnętrzny głos, który zapewnia sens całemu wszechświatowi*<sup>361</sup>.

Ktoś czuje się piękną księżniczką uwięzioną w niewłaściwym ciele, inny ktoś ma się za misjonarza jedynej słusznej religii albo potencjalnego biznesmena, co to od pucybuta ma zamiar awansować na milionera, lub wciela się w postać wyjętą z filmu, z powieści albo gry komputerowej, jeszcze inny ktoś czuje się bohaterem lirycznego romansu, komedii lub tragifarsy. Każdy, dosłownie każdy z osobna człowiek postrzega świat zewnętrzny kompletnie inaczej – przez pryzmat własnych subiektywnych pragnień, doznań i emocji, marzeń, tęsknot i wynikających z nich dążeń. Nic w tym by nie było złego ani zdrożnego, a nawet byłoby to zabawne, by nie powiedzieć śmieszne, gdyby nie to, że niektórzy z ludzi, uważający się za wybrańców bogów albo nieugiętych i nieomylnych bojowników o słuszną sprawę jakiejś religii, narodu, rasy, ciemniejszego proletariatu itd., dzięki wytrwałości, zawziętości,

<sup>361</sup> Ibidem, s. 377–378.

nieposkromionej ambicji, zdolności przekonywania, i innym wrodzonym lub nabytym cechom, nie przemieniali swoich rojeń i wizji w realne porządki wyobrażone, kształtujące historię. Pamiętamy, jak wysoką cenę przyszło nam wielokrotnie za to płacić. Oto fatalne skutki nawarstwienia się takich czynników jak geny, doświadczenia, wpływy środowiskowe i kulturowe oraz związane z nimi samonapędzające się emocje, aspiracje, kompleksy, myśli i wywiedzione z nich realne działania. Żadne z innych stworzeń *posiadających podłoże neurologiczne związane z wyłanianiem się stanów świadomości* (jak to dyplomatycznie określili specjaliści od tych stanów) nie jest aż tak bardzo ubezwłasnowolnione przez swoją jaźń komponującą, zatem żadne z nich nigdy nie wyrzuciło tak wiele zła na naszej wspólnej, co by nie mówić, planecie.

W tym momencie wypada przypomnieć: *Zgodnie z teorią ewolucji wszelkie istoty biologiczne – poczynając od słoni i dębów, po komórki i cząsteczki DNA – składają się z mniejszych i prostszych części, które bezustannie się ze sobą łączą i od siebie oddzielają. Słonie i komórki wyewoluowały stopniowo, na skutek nowych połączeń i podziałów. Coś, czego nie da się podzielić ani zmienić, nie może zaistnieć na drodze doboru naturalnego*<sup>362</sup>. Zatem teoria ewolucji ewidentnie przeczy istnieniu niepodzielnej, wieczno-trwałej duszy, czyli osobniczego „ja”.

Jako niepoprawny mistyk i ironiczny artysta, dodam od siebie, że skoro współczesna biologia wchodzi w ścisłe związki z chemią, fizyką, matematyką, cybernetyką, informatyką, technologią, nawet z robotyką, to sztuka, czy szerzej humanistyka, żeby za nią nadażyć, powinna chyba wreszcie poszerzyć pola swojej ekspansji o takie przyszłościowe sektory rozważań jak metafizyka molekularna, anatomia spirytualna i genetyka porównawcza cząstek żywego Absolutu.

## WIARA

Nie da się zaprzeczyć, że nowożytna nauka odziera nas zupełnie z metafizycznych iluzji, tym samym odbierając poczucie sensu istnienia w szerszym niż tylko tu i teraz – ponadczasowym kontekście. Nie sądzę by ta racjonalna narracja kogokolwiek uskrzydlała. Nasza jaźń komponująca takiej objawionej „prawdy” najzwyczajniej nie przyjmie. Poczucie sensu to przecież nie kwestia rozumowych przekonań, ale wiary. Wiary opartej na irracjonalnych przesłankach, na doświadczaniu czegoś większego od nas, choćby natchnienia. Natchnienia, które wielu artystów prowadzi za rękę. Wybitna rosyjska poetka, Maryna Cwietajewa, pisała o tym tak:

<sup>362</sup> Ibidem, s. 135,

*Stan twórczy jest stanem nawiedzenia. Póki się nie zaczęło – obsession, póki się nie skończyło – possession. Ktoś czy coś się w ciebie wciela, ręka twoja jest wykonawcą, nie twoim, lecz tamtego. Kim on jest? Tym, co przez ciebie pragnie się stać*<sup>363</sup>. Przyznam, że często ogarniają mnie podobne odczucia i doznania. Pozostaje jednak pytanie: komu wierzyć? Racjonalnym naukowcom, czy nawiedzonym artystom, którzy coś czują, ale niczego nie przesądzają? Wybierajcie sami.

Wiara w jakiś nadrzędny, ponadczasowy ład boski lub naturalny jest z pewnością potrzebna, bo nadaje życiu sens, ale niezmiernie łatwo taki porządek wypaczyć dla dalekich od altruizmu korzyści. Wszelkie religie, o czym warto nieustannie pamiętać, zawsze były najlepszym pretekstem, by przekonywać, jak to czynił Hammurabi i Thomas Jefferson, że ludzie nie są równi, bo takimi stworzył ich Bóg, albo nie są równi, bo takie są niezmiennne prawa ewolucji, o czym skutecznie zapewnili naród niemiecki faszyści. Również Hindusom, już kilka tysięcy lat temu, wbito do głów i zakodowano na wieki wieków, że: *bogowie stworzyli świat z pierwotnego bytu, Puruszy. Słońce powstało z oka Puruszy, Księżyc – z jego mózgu, bramini (kapłani) – z ust, kśatrijowie (stan rycerski) – z rąk, wajsjowie (chłopi i kupcy) – z ud, a śudrowie (służący) – z nóg*<sup>364</sup>. Co sugestywnie tłumaczy z gruntu kłamliwy przecież system kastowej segregacji. Zatem może dobrze się stało, że nowożytna nauka wszystkie tego typu narracje wrzuca do jednego kosza na śmieci z napisem: „zabobon”. Nie można jednak wykluczyć, że ta sama nauka, za sprawą rozwoju biotechnologii i postępów informatyki, już niedługo przyczyni się do stworzenia o wiele potężniejszych religii niż jakiegokolwiek wcześniejsze. Ich iluzjonistyczna moc może okazać się tak wielka, że odróżnianie fikcji od rzeczywistości stanie się przywilejem nielicznych.

Religie agrarne, w tym chrześcijaństwo, islam i judaizm, do połowy XIX wieku trzymały się mocno, bo przecież jeszcze w 1850 roku 90% ludzkiej populacji parało się hodowlą i rolnictwem. Rozwój przemysłu radykalnie zmienił tę proporcję na rzecz proletariatu i nowej elity posiadaczy, czyli kapitalistów, co skutkowało gwałtownym wzrostem popularności ideologii liberalnego humanizmu oraz pojawieniem się jego odmian socjalnej i ewolucyjnej, które tak wiele namieszały w historii XX wieku. Współczesna rewolucja informatyczna już dziś przyniosła wielkie przetasowania w zatrudnieniach: *W 2010 roku tylko 2 procent Amerykanów pracowało w rolnictwie, a 20 procent w przemyśle, podczas gdy 78 procent było zatrudnione jako nauczyciele, lekarze, projektanci stron internetowych i tak dalej*<sup>365</sup>, czyli

<sup>363</sup> M. Cwietajewa, *Dom koło Starego Pimena*, PIW, Warszawa 1971, s. 142.

<sup>364</sup> Ibidem, s. 169.

<sup>365</sup> Y. N. Harari, *Homo...*, op. cit., s. 403.

w szeroko pojętym sektorze usług. Jaka religia tak przeformowanemu zawodowo i mentalnie społeczeństwu nada poczucie sensu i nadzieję na przyszłość? Na pewno nie judaizm, islam i chrześcijaństwo, bo te religie stworzono dla chłopów, pasterzy oraz ich panów. I choćby nie wiem jak się starały przystosować do zmieniającego się świata, ich „święte” księgi nie są już w stanie niczego sensownie wyjaśniać.

## ARTIFICIAL INTELLIGENCE

Doprawdy trudno dziś przewidzieć, co się wydarzy, gdy wielkie masy ludzi okażą się w bliskiej przyszłości bezużyteczne, bo wyprą je z wielu sektorów rynku pracy wysoko zaawansowane komputerowe algorytmy i połączone w sieci, sterowane przez nie, o wiele od ludzi sprawniejsze i znacznie od nich wydajniejsze urządzenia przyszłych generacji.

Wcale nie przesadzam. Jest to niewątpliwie kolejne z gigantycznych wyzwań, przed którymi stanie wkrótce ludzkość. Wyzwań, bo przecież *Homo sapiens*, czego dowodzi historia, nie tylko nie potrafi się w swoich zapędach ograniczać, ale nie umie także być nieważnym, beczynnym, anonimowym w stale gęstniejącej masie nieistotnych, wyalienowanych z głównego nurtu zdarzeń osobników. A to mu grozi w związku z trwającą rewolucją kognitywistyczną, zmierzającą do stworzenia samouczącej się sztucznej inteligencji (SI, ang. *artificial intelligence*, AI). Według Wikipedii aktualnie: *połowa przepytanych ekspertów uważa, iż istnieje 50% prawdopodobieństwo na osiągnięcie przez AI ludzkiego poziomu przed 2040 rokiem. W mniejszej ankiecie 42% badaczy stwierdziło, że AI na ludzkim poziomie powstanie przed 2030 rokiem, a 67% – 2050 rokiem.* Prognozy te w pełni potwierdzają analizy przeprowadzone w 2013 roku przez dwóch naukowców z Oksfordu: Carla Benedikta Frey’a i Michaela A. Osborna, zawarte w ich tekście: „The Future of Employment”, z których wynika, że prawdopodobieństwo, iż do 2033 roku SI wyeliminuje z rynku pracy miliardy ludzi wielu profesji, jest bardzo wysokie. W przypadku telemarketerów, analityków ubezpieczeniowych, sędziów sportowych, kasjerów, szefów kuchni, kelnerów, asystentów adwokackich i przewodników wycieczek wynosi ono przeszło 90%. Dla piekarzy, kierowców autobusów, robotników budowlanych, pomocników weterynaryjnych, marynarzy i agentów ochrony sytuuje się na poziomie ponad 80%, dla barmanów, stolarzy i archiwistów niewiele jest mniejsze, bo wynosi odpowiednio 77%, 76% i 72%<sup>366</sup>.

---

<sup>366</sup> Dane te zaczerpnąłem od niezawodnego Harariego, z jego książki *Homo deus*, ze strony 413.

Ludzie mają dwa rodzaje zdolności: manualne i intelektualne. O ile rewolucja przemysłowa ograniczyła ich pola działania właściwie tylko w tym pierwszym zakresie, to obecna rewolucja informatyczna wydaje się dużo poważniejszym problemem, bo sztuczna inteligencja niewątpliwie sukcesywnie będzie wypierać ogromne rzesze ludzi także z usługowych i rekreacyjnych sektorów rynku pracy. I to w bardzo niedługim czasie! Już teraz ten proces się rozpoczął. I podobnie jak w przypadku rewolucji agrarnej oraz przemysłowej, nijak nie da się go cofnąć.

*Po pierwsze, nikt nie wie, gdzie taki hamulec się znajduje. Owszem, są eksperci orientujący się w tym, jak wygląda postęp w tej czy innej sferze, na przykład w zakresie prac nad sztuczną inteligencją, w nanotechnologii, w dziedzinie big data albo genetyki, jednak nikt nie jest ekspertem od wszystkiego. Nikt zatem nie jest w stanie połączyć wszystkich punktów i zobaczyć całego obrazu. Poszczególne dziedziny wpływają na siebie w tak złożony sposób, że nawet najtęższe umysły nie potrafią w pełni pojąć, jak przełom w pracach nad sztuczną inteligencją mógłby oddziaływać na nanotechnologię czy vice versa. Nikt nie potrafi wchłonąć całości najnowszych odkryć naukowych, nikt nie potrafi przewidzieć, w jaki sposób globalna gospodarka będzie wyglądała za dziesięć lat, i nikt nie ma pojęcia, dokąd w takim pośpiechu zmierzamy. A skoro nikt już nie rozumie całego systemu, to nikt nie potrafi go zatrzymać<sup>367</sup>.*

Nikt też nie wie, jak przyszłościowa, samoucząca się, niezależna od swoich twórców, posiadająca zdolność replikacji, pozbawiona uczuć, a więc i empatii, za to stuprocentowo logiczna, świadoma w analitycznym sensie, samodzielnie podejmująca coraz więcej i więcej decyzji, wysoko rozwinięta SI się zachowa, stojąc przed poważnym problemem żywienia miliardów bezużytecznych, podłączonych do rozległych elektronicznych sieci, wpatrujących się w ekraniki swoich smartfonów lub jeszcze innych przenośnych urządzeń, przypominających stada ubezwłasnowolnionych zombi, biochemicznych algorytmów starszej generacji. No właśnie, jak? Gdyby pokusić się o spekulacje oparte na historii zachowań jej twórców, czyli *Homo sapiens*, to pozbawiona wszelkich sentymentów, logiczna SI nie tylko wyeliminuje wszystkich ludzi z rynku pracy, ale także z istnienia. I tak oto spełni się mroczna przepowiednia profesora Martina Reesa – nasz gatunek, jak wiele innych przed nim, zniknie z powierzchni Ziemi.

A co dalej? Dalej, to już tylko pohistoria.

---

<sup>367</sup> Y. N. Harari, *Homo...*, op. cit., s. 69.



## XXVIII. *Post scriptum*

W trzech ostatnich rozdziałach skupiłem się na omówieniu książek profesora Harari, wybitnego filozofa i socjologa, świetnego analityka, z którego oglądem historii i prognozami na przyszłość zasadniczo się zgadzam. Pozwolę sobie zatem na koniec przytoczyć jeszcze jeden cytat z jego rozważań:

*Ruchy starające się zmienić świat zaczynają często od napisania historii na nowo, dzięki czemu ludzie mogą sobie wyobrazić na nowo przyszłość. Niezależnie od tego, czy chce się zachęcić robotników do strajku generalnego, czy kobiety do zawalczenia o prawa do własnego ciała, czy ciemężone mniejszości do domagania się praw politycznych – pierwszym krokiem jest opowiedzenie na nowo historii. Ta nowa historia powie im: „Nasza obecna sytuacja nie jest ani naturalna, ani wieczna. Kiedyś wyglądało to inaczej. Jedynie szereg przypadkowych wydarzeń stworzył ten niesprawiedliwy świat, który znamy dzisiaj. Jeśli będziemy postępować mądrze, możemy ten świat zmienić i stworzyć znacznie lepszy”. To dlatego marksiści opisują historię kapitalizmu, dlatego feministki badają powstawanie społeczeństwa patriarchalnego, a Afroamerykanie czczą pamięć przerażających wydarzeń z okresu handlu niewolnikami. Ich celem nie jest utrwalanie przeszłości, lecz raczej wyzwolenie się od niej*<sup>368</sup>.

Przyznam szczerze, że moim celem nie było zmienianie świata, bo uważam, że już jest na to stanowczo za późno, ani też nie zamierzałem wyzwolić się od przeszłości, bo od niej najzwyczajniej uwolnić się nie da. Historię ludzkości napisałem na nowo tylko z tego powodu, że żadna z jej istniejących wersji nie była dla mojej jaźni komponującej dostatecznie satysfakcjonująca. Chciałem po prostu, tak ze zwykłej ciekawości, bez żadnych innych intencji, dowiedzieć się przed swoim odejściem, w jakim spektaklu dane mi było uczestniczyć.

---

<sup>368</sup> Y. N. Harari, *Homo...*, op. cit., s. 81.



# Posłowie

Książka niniejsza jest dziełem fascynująco drapieżnym. To jeden z kluczowych właściwie esejów w dyskursie nad istotą przemian, które już dawno wybiegły poza problematykę ciasnych jednoczących tożsamości zbiorowych w rodzaju narodu, państwa, wyznania, klasy społecznej, jakie zaciążyły na polskim myśleniu o historii i teraźniejszości, i oczywiście o przyszłości. Janusz Jaroszewski w „Od prehistorii do pohistorii” daje syntezę w nieomal pełnym spektrum związków kultury z mikro i makrokosmosem – i zaznaczyć to już od razu: chodzi o syntezę wraz z dopuszczeniem wreszcie myślenia także sztuką; sztuka zawsze uosabia nieodparte coś i jednocześnie *wszystko* – owo wypierane poza nawias świadomości *wszystko*, do niedawna w chrześcijaństwie uznawane omal w całym zakresie za zło, esencjonalne zło. Sztuka to energia pomiędzy tymi biegunami. Utrwalana po liniach napięć i spięć. Bez niej nie da się niczego zrozumieć. Bez niej syntezy karleją w doktryny. Tyle, że te energetyczne linie są jak szybkie ścieżki do spraw trwożących. I do punktu zero.

Jaroszewski pokazał więc taką wręcz kubistyczną prehistorię odczytaniami duchowości istoty o wielkich jeszcze łukach jarzmowych, z maczugą w owłosionej ręce – adorującej dziwną wielopłciową, kosmiczną Wenus. Prehistoria! To ona zresztą zmusiła nas, świat, do autorefleksji właśnie za pośrednictwem swojej wrażliwości na piękno.

Paleolityczne malowidła naskalne, roztańczenie rzeczywistości, płąsy me-tonimii, skróty oraz istne leje perspektywiczne, eliptyczne konkluzje, tajemnicza dyscyplina kolorów, gdzie tęcze wyrażane są gamą czerwieni i czerni, wyrafinowana geometria jak z Dolnych Vestonic na skraju morawskich Gór Pawłowskich, urwiskami spadających w dolinę Dyi, są jak lustra odbijające nasze własne, tu i teraz, uwikłanie we wszechobecną śmierć ale i ekstazę. To wciąż umyka. I szokuje. I znów umyka. Przypomnę wielką wystawę *Ice Age Art: Arrival of the Modern Mind* wiosną 2013 w londyńskim British Museum, a osobno książkę „Images of the Ice Age” Paula G. Bahna, wraz z Colinem Renfrew, paleontologiem i paleolingwistą, związanego z magazynem „Archeology” – oraz analogiczne drgnienie intelektualne, jakie wywołała w 2011 w poznańskim Arsenale wystawa kultury ogromnie pierwotnej i też uwzględnionej w „Od prehistorii...” – zatytułowanej *Spadkobiercy Tęczowych Węży*. Sztuka prastara, prymitywna i jakże bliska dzisiejszym dziełom, witany z euforią. Jeśli (co nie przeczy jedno drugiemu) dzisiaj sztuka stała się masowym produktem bez żadnego znaczenia i człowiek

z dyplomem wyższej uczelni mija obojętnie witrynę galerii, to skąd w nim to głuche poczucie, że „nie miecz, nie tarcz bronią języka – lecz arcydzieła”? Że bez piękna zostaje tylko „ego”, nie ma natomiast „ja”? Esej Jaroszewskiego porusza się wciąż po krawędzi tych dwóch porządków ujmowania zjawisk: patrząc na malarstwo jaskiniowców, widzi w nim zapowiedź tragedii planety. Tragedii? – zresztą może metamorfozy? Wie, że już „Folwark zwierzęcy” Orwella obudził nas z głębokiego snu o oświeconym humanizmie.

Czym jednak jest sztuka pierwotna? Przytoczę krótki komentarz przy okazji Tęczowych Węży, jaki napisała wtedy Maria Łuczowska, bo znów zderzymy się z fenomenem snu: „Obrazy Aborygenów australijskich opowiadają historie z czasów mitycznych – Czasów Snu – genesis rdzennych mieszkańców Australii. Obraz jest tym bardziej skomplikowany, im wyższy stopień wtajemniczenia ma jego twórca. Każdy artysta miał swoją część historii – tylko tę mógł malować. Wiedza o przeszłości swojego klanu należała tylko do niego i do jego przodków i zdobywana była latami. Wtajemniczanie następowało na kolejnych etapach inicjacji. Dla przeciętnego Europejczyka obraz przedstawia chaotyczne kropki i kreski, z których od czasu do czasu można wyłuskać postać znajomego zwierzęcia, kangura czy krokodyla. Wtajemniczeni dostrzegają całą, zakodowaną dramatyczną historię, topografię terenu lub... odczytują instrukcję prostowania dzidy. Półkole to człowiek – taki ślad pozostawia każdy z nas, wstając z piasku. Spirala to mityczny wąż. Na obrazie ważna jest każda kropka, każda figura. Zakreskowane powierzchnie sprawiają wrażenie wibrujących. Tradycyjnie do malowania używano tylko czterech kolorów – dwóch odcieni ochry, glinki i węgla drzewnego. Obecnie w tradycyjną kolorystykę wkradają się błękity i zieleń. Na wystawie pokazano około dwudziestu prac współczesnych twórców australijskich, którzy większość czasu spędzili w swoich rodzinnych wioskach i często pierwszy obraz namalowali, przekroczywszy lat czterdzieści”. W sierpniu 2020 podkreślano tam, już w ramach warsztatów, że „Na podstawie mitów i opowieści powstały małe dzieła sztuki związane z marzeniami sennymi, a malowało się na patykach, kamykach, liściach i innych darach natury – wyczarowując wzory za pomocą maleńkich kropeczek”. Pozbawione wszelkiej perspektywy i jakoby nieodzownych orientujących osi prawo-lewo, góra-dół. Wykonywane na leżąco.

Janusz Jaroszewski jest artystą, który penetruje właśnie te rewiry: mitu, snu i osłepiających widzeń, poczuć bezspornych tedy, otwarty na metafizyczność samego w sobie tworzywa; ochrze i jej krwawej lub pożółkłej barwie poświęci wiele miejsca w swoich rekonstrukcjach wierzeń, a raczej należałoby rzec: w rozpoznawaniu ich powinowactwa z własną intuicją sakralną, gdyż właśnie w niej znajdował potwierdzenie ustaleń zamieszczanych w literaturze naukowej, i nimi weryfikował tę literaturę, zresztą z ostrożną pokorą laika. Zdania brzmiące hardo, autokratycznie, pojawiają się dopiero we fragmentach, których przedmiotem jest religijny dramat, atrofia wierzeń, jakie Eliade nazwał „kosmicznymi” – gdy, innymi słowy, rozgląda się za ruchliwym punktem zero końca paleolitu. Tak bowiem Jaroszewski sytuje neolit – epokę tłumienia pierwiastka żeńskiego

jako paradygmatu kultury i psychiki. Z przypisaniem go ośrodkom – a nie faktom i zjawiskom. A jednocześnie zdaje sobie sprawę, że wokół narasta coraz bardziej nerwowe, powszechne poczucie nieciągłości procesów społecznych, zamieszania w wymiarze politycznym i ideologicznym, a na domiar jedna za drugą, piętrzą się trudności w porozumieniu, że rozstępują się systemy wartości. Rozważa człowieka jako problem. Nie tyle więc jego bolączki, co raczej to, jak gatunek ludzki przedstawia się od zewnątrz.

Zanim ten radykalnie odrębny punkt widzenia przybliżę, dopowiem, że dzisiaj najbardziej radykalne hasła są głęboko amorficzne. Przykładem „nauka”: wyraz, który w „*Les sens des mots*”, poświęconej nieoczywistości znaczeń i jej skutków dla swobody myślenia, pracy cenionej chrześcijańskiej filozofki Isabelle Mourral, nazwany był jeszcze *prestżowym* i wiążącym się z honorem oraz *najwyższym możliwym poświęceniem w docieraniu do faktów* (dla św. Tomasza z Akwinu nauka była jednoczeniem ducha z tym, co jest) – aczkolwiek, dodała Mourral, zmienia on znaczenie. Wraz z rozrostem nauka traci swoją metafizyczność. Max Weber zapewniał, że ma ją to ożywić, odczarować. U bliższego nam pokoleniu Johna Graya jednak „ostateczna wartość nauki może polegać na pokazaniu chimerycznej natury świata, do postrzegania której zostaliśmy zaprogramowani; przyczynowość i logika nie są wbudowane w naturę świata. Nauka ewoluowała, by sprostać ludzkim potrzebom korzystania ze zjawisk, jakich ludzie nie mogą kontrolować, a nawet w pełni rozumieć”. U Jaroszewskiego na przestrzeni kilku lat też doszło do przewartościowań podstawowych pojęć.

Włączył się tedy w nurt endyzmu sygnowany takimi terminami, jak „koniec człowieka”, „postprawda”, „po liberalizmie”, „postindustrializm”, „postkapitalizm”, „zmierzch demokracji”, „ponowoczesność”, „postpleć”; skądinąd jego własna, wydana w 2016 powieść „&” podniosła wielodźwięczność „końca” do rangi tytułu. Dla Jaroszewskiego częścią tej endystycznej refleksji są bardzo popularne dzisiaj teorie pochodzenia cywilizacji. Teorie te, jak każdy wie, wysuwano rozmaite; łączy je samo przeświadczenie, że wcale nie jesteśmy pierwszą, jaka dysponuje supertechniką. Że zatem coś musiało już runąć, jeśli nie na Ziemi, to na innej z planet, niewykluczone, że zresztą na więcej niż jednej dochodziło do ucieczki istot inteligentnych; niewykluczone – powiada Jaroszewski, że i na naszym globie. Źródłem zagłady bywał jednak sam Kosmos. Obrazowo powiem: dokonywał Kosmos kamienowania, kiedy z nieba spadały monstrialne skały planetoid czy choćby tylko meteorytów, czy też kiedy glob szalał: tak zmyta została z powierzchni i zasypana 70 metrami popiołów wulkanicznych cywilizacja minojska, kiedy wyspa Thera na północ od Krety wybuchła i zapadła się w Morze Egejskie. Pamięć o kończącym „nasz świat” kataklizmie przechowują rozproszone po całej Ziemi mity o Potopie oraz – przenoszące takowe wydarzenie w nieodległą przyszłość apokalipsy. Dodam, chodzi o temat emblematyczny dla kultury popularnej, o temat mnóstwa katastroficznych powieści, komiksów, filmów, klipów piosenki estradowej oraz memów, o motyw zdobiący przedmioty codziennego użytku tak niewinne, jak przybory szkolne.

Janusz Jaroszewski skorzystał z obfitej literatury na ten temat, a także z całej palety konstatacji dokonanych przez krytyków przemysłowego globalizmu, lecz odrzuca stojące za każdym z endystycznych haseł nawoływania, aby człowieka uratować: przywrócić mu pleć, przywrócić prawdę, czyste powietrze, duszę, sytość, zyskowność inwestycji, błogość. I historię! To paradoks, bowiem „Od prehistorii...” poświęca jej doprawdy sporo miejsca, wprowadza własne drobnozgodowe dedukcje co do tego, jak kształtowały się losy ludzkości. Dlaczego kultury same siebie doprowadziły do dewiacji?

To więc historia, ale i antyhistoria. Zaufanie raczej do wyników badań empirycznych niż do uformowanych całe wieki przed narodzinami sumiennej archeologii ram mentalnych, w jakich poruszali się historycy, obsedowani pojęciem dobra państwa, postępu, dumą z dokonań militarnych oraz upodobniania się religijnych wierzeń do narracji, jakie dzisiaj zaliczymy po prostu do niewybrednej propagandy. Koniec historii jednak kryje pułapki. Dla Francisa Fukuyamy, ojca założyciela endyzmu i proklamatora końca historii, przywrócenie jej równałoby się spuszczeniu z łańcucha wszelkich, starych i nowych antagonizmów, bezkarności w eksploatowaniu środowiska; taki powrót oznaczałby wojny. *Historia lux vitae est* – życia więc, a nie tylko człowieka, jej pozornego podmiotu, jest światłem. To, że jeśli nie ma jej, **ponieważ** nie ma wojen, znaczyłoby, że *bellum lux vitae* – wojna jest życia światłem. Lecz rozumiemy wojnę lepiej niż człowieka. Wojna uruchamia nam impulsy i kojarzy się z glorią, a człowiek niekoniecznie. W oczach Jaroszewskiego, i myśl ta stanowi w polskiej refleksji zupełne novum, człowiek jest patologicznie skonstruowaną własną granicą, wielowarstwową granicą, ba – żelazną kurtyną. Iluzją. Jego cnoty są iluzoryczne. Nie dlatego, że kultura współczesna, rehabilitując „wszelką wartość”, ustawiła na jednym poziomie sztukę, technikę, religię, naukę i Naturę, że uczyniła je równoważnymi, i nie dlatego, że postąpiwszy krok dalej, krok już za „końcem”, dusza, po niej umysł, jednostka, grupa i sama kultura w rezultacie okazały się złudzeniem.

Człowiek jest patologią, ponieważ zachorował na kulturę. Kultury są chorobami. Jaroszewski zaprasza do lekko cynicznej zabawy. Ano, w wyciąganie wniosków. W nazywanie po imieniu. W wykorzystywanie tych mitów współczesności, które jeszcze wywołują napięcie – ponieważ zawierają napięcia. A zawierają je, ponieważ nie „do końca” są logiczne. To im daje porywczoność. I dlatego krążą w przestrzeni mentalnej jak roznoszące mikroby muchy, moskity, wszy, pluskwy, kleszcze. I tak są poniekąd traktowane przez autora mity zbawcze, mity o hierarchizacji, o antynomiach oraz odradzaniu się życia w znaczeniu ludzkiego, cywilizowanego życia. Zastosowana konwencja „najmniejszej historii ludzkości” oraz bukiet diagnoz pobranych z różnych dziedzin – swoistych wzierników (ekonomia, socjologia, archeologia, zoologia, astronautyka) – jest więc ujęciem rozwoju kultur w chronologiczny ciąg. Od zera. Czytelnik otrzymał obrazki od Ziemi jeszcze przedludzkiej, ba, z epoki przed jej uformowaniem się w planetę (w tej skali paleolit jest chwilką), aż po niedosiężną umysłowi sytuację – erę „po-ludzką”. Obrazki gwałtownych końców kultur. Obrazki dziwacznych narodzin kultur. Między dziwacznością narodzin a enigmatycznym rumowiskiem na końcu – próżnia.

Znak zapytania przed i po. Czemu towarzyszy wrażenie, oczywiście irracjonalne, że pomimo końca i ruin, i niewiadomej, kultury te na swój sposób wciąż żyją jak radioaktywne odpady, rozdzielone tylko rutyną. Rozdzielone idiotycznością. Takie jest wrażenie, kiedy patrzy się u brzegu Titicaca na brzuchatych turystów wystrojonych w poncho, zjadających chipsy i próbujących sprayem uwiecznić swoje inicjały na... na czymkolwiek, choćby na drzewczkach w Toi-Toi. Lub, jeśli ktoś woli czasowy rozkrok – kiedy w 1788 tubylcy z wyspy Vanikoro w archipelagu Salomona kładą kres wyprawie odkrywczej Jean-François de La Pérouse’a, którego statki rozbiły się na rafach, wywlekają bosakami ocalałych, gotują w kotłach, przyrządzają smakowicie ziołem, pożerają. Zarzucili ludożercze wierzenia: animistów zostało 0,8%. Połowa populacji to protestanci i katolicy. Dzisiaj więc ta rajska wyspa słynie w świecie z korupcji urzędniczej; w lipcu 2003 gubernator generalny wezwał o pomoc całą Wspólnotę Narodów; użył oczywiście istniejącej tu satelitarnej telewizji i miesiąc później wylądowało 2200 policjantów z ponad 20 krajów Pacyfiku, dowodzonych przez Australię i Nową Zelandię. To jedno z miejsc mimochodem dotykanych w „Od prehistorii...”. Jaroszewski zdaje się dopuszczać ewolucję społeczeństw albo tylko biegnącą wstecz, albo tylko pod warunkiem, że nie będzie się przypisywać jej wagi. Ot, rozwijamy swoje potencjały – na ilość. Poszerzamy wiedzę, a w istocie – klasyczną Pascalowską niewiedzę. Nowa jednak jakość, ta na linii postępu znacząca, nie da się wyprowadzić logicznie, i pojawia się stale jako anomalia.

Jeszcze o perspektywie kosmicznej i myśleniu sztuką. Jaroszewski, nim oddał się sztukom pięknym, studiował... astronomię. Jego ostatnia, bardzo rozbudowana instalacja *Historia naturalna, czyli patyczki Pana Boga*, powstaje z przerwami od 2003, to kompozycja z patyków zbieranych na plaży, łączących się „samoistnie”, odnajdujących porozumienie i finalny los na niewielkich płowych w tonacji powierzchniach poszczególnych „obrazków”. Ich dynamiczna całość zaowocowała dalszymi realizacjami pod wspólnym tytułem *Historia naturalna*, wykonywanymi również w technikach komputerowych. Przykładem tryptyk z 2011: *Analiza Mgławicy IC 4406*, cykl prac *Falochron* (2009–2010) oraz praca złożona z sześciu elementów *Paris I* (ukazuje industrialne rury i zawory rur). *Falochron* to zwykłe pieńki: fotografowane od góry, w przekroju poziomym są doprawdy jak galaktyki. Ich wysłużone słoje jak pasma spiralnych gwiazdnych skupisk albo jak ciała niebieskie w momencie eksplozji. Pieńki obumarłe, rozpęknięte odśrodkowo, przeżarte solą morską, przy czym gruba faktura drewna cieniem i blaskiem podświetlenia obnaża symbole obecne już w sztuce paleolitu, krzyże zwłaszcza, dekomponowane, naruszane, przetrącone – albo przywołujące skojarzenie z zasuszonym bukietem kwiecia, z garścią nieśmiertelników. Drewno kiedyś żywe, bujne, pisała w komentarzu Franciszka Dobosz, „to niekończąca się opowieść o żywiołach natury – o morzu, wietrze, słońcu i piasku – i o przemijaniu, o reinkarnacji – bo te patyczki były kiedyś roslymi drzewami. Jest to też opowieść o stworzeniu, dokonywanym wedle liczby, miary i wagi, receptury, którą miał posługiwać się Bóg, kreując świat”. Przy *Falochronie* ciśnie mi się na usta,

że patrząc nocą na gwiazdy, widzimy nie tyle wykwity Kosmicznego Drzewa, co ucięte kikuty jego gałęzi, obrócone do nas płaskimi obliczami-ranami-końcem.

„Od prehistorii do pohistorii” to Jaroszewskiego czwarta książka. Były kolejno: „Patyczki Pana Boga” (mystyczny autoportret; Bóg przywołany raczej w subtelny sposób znaczeniu cacka, artystycznej perełki, jaką wykonał człowiek), potem powieść z podtekstem diabolicznym zatytułowana „&”. Potem „TO COŚ... bez nazwy”. Traktat artystyczno-naukowy o samej, by tak rzec, tajemniczości wrażliwości pod pretekstem zaprezentowania niszowego „sensybilizmu”, kolaż miniaturowych scenek, dialogów, cytatów, uwag w rodzaju: „Podczas historycznego, w przyszłości, spotkania w kawiarni Oleńka na Krzykach, ustaliliśmy wspólnie z profesorem Michałem Jędrzejewskim, że równoległych wszechświatów jest więcej niż ludzi.” I natychmiast dodaje Jaroszewski mowę już ponowoczesną: „Jest ich więcej, ponieważ niektórzy z nas potrafią ich wyprodukować po kilka, a nawet całe tuziny. W naszej zgodnej opinii najlepiej z nadprodukcją wszechświatów radzą sobie rozmaici szaleńcy, mesjasze, prorocy, politycy, naukowcy oraz nawiedzeni artyści. Wszystko to za sprawą potęgi wyobraźni, która była, jest – i pewnie do samego The End-u pozostanie podstawowym budulcem naszych codziennych działań i zachowań. Jej przejawy można zaobserwować w każdym dowolnym miejscu i czasie. Wystarczy tylko się rozejrzeć i nadstawić ucha.”

Książka tedy „Od prehistorii do pohistorii” zachowa te trzy osobne porządki: obserwacji przyrodnika, dedukcji historyzofa świadomego, że „porządki wyobrażone” są dopustem każdego, kto myśli, oraz porządku kuglarstwa – teraz tylko nadmienię, że w osobnym tekście porównywałam „&” do maskowych zabaw weneckich, a zwłaszcza do ich rdzenia mitycznego streszczającego się w wykradzeniu muzułmanom relikwii św. Marka Ewangelisty opalonych w poście wieprzowiny po to, aby nawet w razie rewizji pakunku nie ważyli się go tknąć. Rolę wieprzowiny i tabu w „Od prehistorii...” pełni autoironia. Jej zamysł jest podobny zresztą jak w „TO COŚ...” i zamieszczonym tam motcie z Thomasa Bernhardta, zwłaszcza w jego ostatnim zdaniu: „natomiast genialna głowa, to głowa, która na te odnalezione błędy (ludzkości) po ich znalezieniu zwraca uwagę tudzież wszelkimi dostępnymi jej środkami owe błędy „ukazuje””. WSZELKIMI!!!! Powiada tedy Jaroszewski: „Odkryłem, że Homo sapiens od innych istnień nie odróżnia wcale rozum (wszak historia tego gatunku to w istocie historia popełnianych przez niego niezliczonych błędów wobec własnej, przypisanej mu przez Naturę natury), ale zdolność do snucia wyobrażeń. Same w sobie wyobrażenia i ich ciągi, oraz skojarzenia z tego wynikłe nie są złe, mogą być nawet dobre – nadawać sens naszej egzystencji. Ale gdy ktoś nimi manipuluje w celu uzyskania korzyści i przewagi nad resztą stada, tworząc z nich intersubiektywne porządki wyobrażone – religie lub ideologie na które ma monopol, to prosta droga do katastrofy. Każda sekta i każdy kościół oraz ideologia i korporacja tak działa.” Do tego stopnia, że ignorujemy coś, co pojmowali już ludzie Średniowiecza, a zatracili jasność w tej mierze dopiero w Renesansie, z nastaniem wojen religijnych, że praworządność w okresie pokoju jest... – strawestuję Clausewitza – wojną prowadzoną innymi środkami przeciw słabszym, albo grą w trzy karty, gdzie silny zawsze wygrywa.

Obecną książkę nazwał Jaroszewski „odповідzią na pytanie zawarte w tytule słynnego obrazu Paula Gauguina *Skąd przyszliśmy? Kim jesteśmy? Dokąd idziemy?*, po namalowaniu którego dokonał próby samobójczej. Bo przecież trudno jest spojrzeć prawdzie prosto w oczy.”

Tak więc Gauguin kazał obraz ów oglądać przesuwając wzrok od prawej ku lewej, na wzór dawnych opowieści o świętych (i kierunku przemierzania dziś supermarketu). A tam na końcu triada kobiet, od młodziutkiej półleżącej, przez dojrzałą aż po siwowłosą. Razem są jak Potrójna Bogini; Jaroszewski nazywa ją paleolityczną Gospodynią Wszechświata-Zwierza, Magna Mater i źródłem wszelkich bogiń późnej starożytności, a zwłaszcza patronkę narodzin i śmierci, ale też odrodzenia – „the end” nie bez kozery brzmi jak „and...” – pozostaje rodzajem zaproszenia do gry. Chodzi o obraz, jaki Gauguin uważał za sedno całej swojej twórczości; w liście do przyjaciela Daniela Monfrieda w 1898 objaśniał: *„Dwa górne rogi pokryte są żółcią chromową, w lewym inskrypcja a w prawym mój podpis, wygląda jak fresk, którego naroża są zniszczone przez upływ czasu i który nałożono na mieniącą się złotem ścianę. W dolnej prawej części obrazu śpiące dziecko i trzy pochylone kobiety. Dwie postaci ubrane w purpurowe szaty zwierzają się sobie ze swoich myśli. Ogromna postać, celowo ukazana w odmiennej skali, podnosi swe ramiona i uparcie wpatruje się w te dwie postaci, które mają czelność zastanawiać się nad własnym przeznaczeniem. Centralna postać podnosi owoc. Blisko dziecka widzimy dwa koty. Biała koza. Idol z tajemniczo wzniesionymi ramionami zdaje się przywoływać rzeczywistość spoza dzieła. I wreszcie na końcu, stara kobieta będąca blisko swej śmierci zdaje się akceptować wszystko i oddawać się własnym rozmyślaniom. Ona kończy opowieść! Przy jej stopach dziwny, biały ptak trzyma jaszczurkę w swoich szponach, ukazuje symbolicznie daremność słów.... Tak więc ukończyłem to dzieło filozoficzne, które w temacie swym podobne jest do Ewangelii.”* Biała koza-nimfa, koza-karmicielka, symbol matki, pramatki, pramacierzy, emblematyczna Amaltea, mleczna matka Zeusa (z jej skóry Zeus sporządził sobie egidę a ułamany róg stał się Rogiem Obfitości) to także motyw a właściwie temat, jaki Jaroszewski rozwinął, wypatrując źródła absurdu. To punkt wyjścia ku pytaniu, czym jest człowiek w obrębie większej struktury. Jak sens życia każdego z nas ma się do tego zespołu funkcji i cech, które łącznie określamy mianem „humanizm” – lecz z definitywnie nieludzkiego punktu widzenia?

Na planie racjonalnym zadanie właściwie nonsensowne, nie mówiąc już o wnikaniu w ewentualną psychikę ewentualnego obserwatora z zewnątrz, na przykład samej ziemskiej biosfery albo, wręcz, czegoś jeszcze spoza niej. Biosferze nijak odmówić właściwości istoty żywej, ale też nijak wytyczyć granice, odkąd w meteorytach znajdowaliśmy aminokwasy. Biosfera musiałaby zmieścić calutką drogę, jaką przebył meteoryt, dziesiątki lat świetlnych, ba, ich wielokrotności. Jeśli tak, to byłoby nią... wszystko, co istnieje. Duże... zwierzę?... Kosmosy to dla Jaroszewskiego... zwierzęta. Ta teza, wydedukowana z motywów malarstwa jaskiniowców, wcale nie jest niemożliwa. Przywołam tylko hipotezę Gai, wysuniętą w latach 70 XX wieku przez Jamesa Lovelocka:

zasugerował on, że wszystkie istoty żyjące na Ziemi działają wspólnie, aby zachować na naszej planecie optymalne warunki do życia. Ziemia ma zdolność reagowania na zmiany panujących warunków, dostosowuje się do nich tak, by nadal mogło się rozwijać życie; Lovelock nazwał ten system Gaja, od imienia greckiej bogini uosabiającej Matkę Ziemię – dla Jaroszewskiego Wielką Matkę. Hipoteza przypisuje własności żywego organizmu planecie jako całości. Gaja może być zdefiniowana jako złożona jedność atmosfery, gleby i wód, stanowiąca sprzężenie zwrotne systemów cybernetycznych poszukujących optymalnego fizycznego i chemicznego środowiska naturalnego dla życia tutaj, poczynwszy od wielorybów po wirusy, od dębów po glony, tak więc listki i kamyczki artystów Australii, jaskinie jaskiniowców, muszelki naszyjników inkaskich, glony na falochronach i stosowane w sushi. Ich kompleks może być uznany za żyjącą jedność zdolną do utrzymywania atmosfery Ziemi, która przystosowuje się do wszystkich jej potrzeb. Lovelock twierdzi, że to przyroda organiczna wytwarza atmosferę, nie zaś odwrotnie. *Wcale nie środowisko naturalne umożliwiło pojawienie się i rozwój życia: to istoty żywe wytwarzają gaz, który pozwala im przetrwać, a więc biosfera ma zdolność kontrolowania swego środowiska naturalnego, chemicznego i fizycznego.*

*Gaja trwa w ciągłości z przeszłością sięgającą aż do samych początków życia, a w przyszłości będzie trwać tak długo, jak będzie trwać życie. Jest to żywa istota planetarna. Ściślej mówiąc, temperatura, utlenianie, stan skupienia, kwasowość oraz inne właściwości skał i wód są utrzymywane poprzez aktywne procesy reakcji przeprowadzane automatycznie i nieświadomie przez florę i faunę, co sprawia, że istnienie planety znajduje się w równowadze dynamicznej homeostazie. Zdaniem Lovelocka, kiedy działalność jakiegoś organizmu sprzyja środowisku oraz samemu organizmowi, nastąpi rozprzestrzenienie się zarówno organizmu, jak i środowiska. W efekcie zmiana organizmu i środowiska stanie się globalna. Odwrotny proces jest także możliwy i każdy gatunek, który ujemnie wpływa na środowisko, jest skazany na śmierć, lecz życie trwa nadal.*<sup>369</sup>

Koniec człowieka jest to sprawa zbyt delikatna, zbyt boli, aby nie uciekać w hipotezy, w prognozy, w jakiś mimo wszystko dający się wyobrazić *day after* tak jak na popularnym filmie pod tym samym tytułem, który uspokaja pozostając przy znanych nam realiach, choćby przeraźliwych, ponieważ wiemy, co zmienia się w co. Dostrzegamy linearną, wytłumaczalną i uporządkowaną ciągłość przemian, a na ich końcu w nagrodę odzyskany Eden. Niby wiemy, że ludzkość nie jest wieczna; nic nie jest wieczne, i że ewoluuje. Wiemy, ale wszelkie inne rodzaje świadomości zwiemy szaleństwem – odrzucamy je niejako *a priori*. Owszem, mity o Armagedonie niosą pociechę o tyle, że człowiek, choćby zgładzany nagle, karany czy zbawiany, pozostaje jako taki wciąż sobą i zachowujemy z nim identyczność. Człowiekowi przyszłości w naszej wyobraźni umysł po prostu wyostri się w jeszcze skuteczniejszy, ciału przybędzie receptorów,

<sup>369</sup> [https://pl.wikipedia.org/wiki/Hipoteza\\_Gai](https://pl.wikipedia.org/wiki/Hipoteza_Gai).

zdrowia, piękna, lat życia, ubędzie chorób. Mit o Armagedonie to happy-end: usunięci zostaną osobnicy wadliwi, nienormalni, genetycznie gorsi, uosobienia jakichś atawizmów i atrofii, pozostanie natomiast i to w stanie permanentnego szczęścia, „iskra człowieczeństwa”, a jeśli nawet człowieka zabraknie, to odświeżona Natura wyewoluuje w człowieka godnego już być koroną stworzenia. Kryje się w tym aplauz dla gatunku, o jakim mowa – *Homo sapiens*. W dyskursie polskim nie bierze się pod uwagę możliwości, że wyglądem i psychiką odbiegałby kompletnie od oczywistego dla nas wzorca, i dlatego Juval Harari, który uwzględnia taką ewentualność, skłania większość odbiorców, aby tym pilniej skupić się na ideałach.

Z kolei, te obrazki wydobywane wziernikami Jaroszewskiego, od Lascaux przez Egeę, Egipt, Bliski Wschód, Indie, Ałtaj, Cieśninę Beringa, prerie, Chichen Itza aż po Andy i Ziemię Ognistą, po czym długim skokiem przez Pacyfik ku Antarktyce i Oceanii do Japonii, umieszczają człowieka w samym centrum uwagi. Nadają mu znaczenie – jemu i jego kulturom, jego paradygmatom, wierzeniom i emocjom, iluzjom, pomyłkom i zbrodniom, a wreszcie – jego wytworom materialnym, które urastają do rangi fascynujących hieroglifów. Twory ludzkie zawsze są hieroglificzne. Ot, piramida! Astrolabium! Miotacz pocisków, druk, atomówka i *drugstore*.

Pamiętajmy, że adresatem eseju jest człowiek dzisiaj. Człowieka dzisiaj nie sposób sobie wyobrazić bez drugstora, a w istocie przestrzeni, gdzie panują sytość, obfitość, dostępność oraz klarowne reguły gry, każdy element ma nazwę, opis i podpis, ma numer, zakodowaną elektronicznie cenę, tax, licencję, zdjęcie, prawowitego właściciela, a co więcej, nam, klientom, wolno o tym wiedzieć, i że jesteśmy inwigilowani i manipulowani. Wolno nam z uniesioną brwią poruszać się między półkami, nabywać albo rezygnować z zakupu, korygować informacje o produkcie, łączyć zakup z miłą pogawędką z ekspedientem, odpoczynkiem przy kubku kawy, edukacją (kolorowa prasa, tania książka, aplikacja programu), a wreszcie z doznaniem dreszczyku. Właśnie w drugstworze wszystko może się zdarzyć, jak wiemy z mnóstwa już thrillerów, których akcja ogniskuje się w takim trochę odludnym sklepie, na takim trochę baśniowym rozstaju dróg, szlaków, a może labiryntów...

Uznać, że coś jest labiryntem, nawet kiedy wypowiadamy z uśmiechem to słowo, zawsze będzie jednak skowytom o przewidywalność i... jednocześnie niespodziankę – tylko niespodzianka rokuje wyrwanie nas z uwięzi. Ludzkość wcześniej to odkryła. Poziomy wężyk, sinusoida, to oczywiście piktogram rzeki, wody, płci, Tęczowego Węża, ale też, co podkreśla znawca symboli Karl Kerényi, labiryntu właśnie – i, jego zdaniem, pierwotnie przede wszystkim labiryntu. Nawet, jeśli tworzy fałbankę przy spódnicy, sygnalizuje labiryntalność. Krążąc między półkami, wyciągając rękę i cofając, imitujemy znak labiryntu. Czujemy, że towary „naśladują odnalezioną naturę cudownej płodności: oto nasze doliny Kanaan, gdzie zamiast mleka i miodu, po keczupie i plastiku spływają świetlne strumienie neonu”, pisał Jean Baudrillard, i gdzie nigdy nie jest już „dosyć”, „lecz zawsze zbyt wiele, i to dla każdego”, przy rozrzutności niczym w święto. Tworząc

*drugstore* (Internet też nim jest), stworzyliśmy więc święto. Nie chcemy wojny, a wojna jest jak wielkie święto. Zamiast niej świętujemy zakupy.

Dla filozofa kultury i religii oznacza to, że normy zostały odrzucone – jak to w święto. Zachowania w dni robocze karygodne są teraz ostentacyjne. Stają się moralnym obowiązkiem. Stają się warunkiem zbawienia. Biletem do nieśmiertelności albo raczej egzystencji prawdziwszej niż obecna ułudna, zwodnicza, może wręcz popełniona przez demiurga. Tak widzieli to manicheiści i katarzy, wyznawcy Pana Ciemności (jeśli jest ziarno prawdy w zapewnieniach św. Augustyna).

Przytaczam ten właśnie przykład z Baudrillarda „Społeczeństwa konsumpcyjnego”, swoistej parodii „Społeczeństwa dobrobytu” Johna Kennetha Galbraitha, na poły tak zupełnie banalny, jak walające się w autobusie kolorowe reklamy supermarketów, na poły zaś będący jedną ze struktur mitu, jaki dzisiaj ustawia nam myślenie. Książka Jaroszewskiego wielokrotnie zderza paleolit łowców-zbieraczy ze światem już neolitycznym ludzi osiadłych, czyniących sobie ziemię poddaną, zatem inicjujących proces dewastacji planety. Jaskiniowiec polując na mamuta wykonywał rytuały prześlągalne, poddawał się katharsis po wyjęciu ze zbioru istot żywych tej, która mu przyzwoliła, aby ją zabijał i pożerał. Osiadły budowniczy jedynie dochowuje procedur, wpierw ujętych językiem religii a obecnie religii nowej generacji, jaką stała się nauka. Lecz ktoś, kto pobiera z łona ziemi głazy, aby ustawić je w kromlechy, kto je tnie w graniastostupy i używa do budowy piramidy, tłumi sakralny zmysł: kieruje się rozumem ukierunkowanym na cel. To deformuje jego religijność, też ukierunkowując ją na cel zdefiniowany antropocentrycznie. Religia najpierw obejmowała Gaję: cały ontos, cały kosmos. Opuściła swój kulisty Raj i rozpołowiła kosmos na Raj oraz świat. Tak więc w szufladzie opatrzonej etykietką „sakralne” przybywało umiejętności, a ubywało tworów Natury. Ubywało skał, kruszców, dżungli, stepu, wody, dzikich zwierząt. Ubywało też czasu wędrowania, czasu patrzenia w gwiazdy, misterii, uroczystego wprowadzania w dojrzałość i w śmierć. Długi czas wydawało się, że ubywa z niej w ogóle wszystkiego, że za moment ujrzymy: jest pusta. Po zniknięciu człowieka – Ziemia-pustynia jak w „Planecie małp”. Lecz niejako od tego momentu zaczyna przybywać cacek z etykietką „sacrum”, tylko są to już twory ludzkie, przedmioty. Im mniej ptaków czy pszczoł, błota albo kopalin, tym więcej moai, posągów, amfor, lekytów, pierścieni, mieczy, luster, wagonów, budynków, żelopisów, laptopów, pianek do golenia, drugstorów. Przedmioty uświęcane jako dzieła sztuki, jako efekt geniuszu, jako zwiastuny i dowody przynależności do „prawdziwego” człowieczeństwa. Niezbędne jak krzyż na kościele, jak grób dla zmarłego, jak prezerwatywa. Wylały się na zewnątrz z szufladki, a wszystkie są najgłębiej religijne, te zaś, które spoczywają na swoich makabrycznych cmentarzyskach – śmietniskach, albo które są kremowane w spalarniach śmieci, zachowują się po prawdzie jak demony, nieusuwalne, coraz szczelniejszą warstwą nowej biosfery otulające *Homo sapiens*. Ziemia-pustynia będzie śmietnikiem, tyle że bardziej zaśmieconym niż górne warstwy atmosfery z wrakami sputników.

Człowiek myślący najbardziej zbrodniczą z istot – powiada Janusz Jaroszewski. Trzeba ułożyć na nowo nie tylko historię człowieka, ale jego kondycję, ponieważ to, co nazwaliśmy ewolucją, jaka wydała ten akurat gatunek hominidy, gatunek chory na postęp, okazuje się chorobą planety. A my jakimś mikroblem, który zażarcie przemienia materię organiczną w nieorganiczną (nawet jeśli ma ona w cząsteczkach atomy węgla). Pytanie, czyja to wina? Zło to czyjaś wina? – tak myślimy. A przeto odpowiemy: konsumpcjonizm zawinił. Lub technika. Niech żyje powrót do Natury! Rozbierzmy wieżowce Manhattanu, Wieżę Eiffla, londyńskie metro, zedrzyjmy wszelki asfalt. Wyrzekniemy się dóbr materialnych, nadmiaru, Ziemi Kanaan, nie musimy opływać ani miodem, ani mlekiem, zakasze- my rękawy jak... jak Kain. Abel był pasterzem i zabijał niewinne jagniątko. Kain był wegetarianinem, parał się rolnictwem, uczestniczył w rewolucji agrarnej. Jego roślinna ofiara nie spodobała się Bogu i rozżalony, zabił Abła. Rzecz w tym, że kiedy odszedł do ziemi Nod, założył miasto. Miasto o nazwie Erech. Może takie jak Jerycho, może jak w Anatolii? A może takie jak Londyn? – niejedno miasto ulokowane w kompletnym pustkowiu stawało się metropolią większą i bogatszą od Londynu, że przypomnę tylko Timbaktu. Zapomniano o Erech, zapomniano Timbaktu, nawet o Londinium, i teraz więc kolej na Londyn.

Nagle początki, nagle katastrofy... „Od prehistorii do pohistorii. Historia wierzeń i wyobrażeń” uwzględni oczywiście Atlantydę i jakieś zamierzchłe, wielkie cywilizacje. Jakiegokolwiek zbudował Kain miasto, to wyrwał Ziemi z łona wielotonowe skały albo pełen drobnoustrojów muł do lepienia cegieł, mościł trasy transportowania, wypaczał *feng szui* zakątków upatrzonych na lokalizowanie sanktuariów. Kain, zauważmy, zabił nie zwierzę, ale tylko nagą małpę. Tak jest z mitami: ożywają w jakichś nowych przesłaniach – przynajmniej mity żywe. Oznacza to, że Kain wciąż w nas żyje, bynajmniej niewygnany: on się swobodnie poruszał. Da się odczytywać ten mit, że odejście od hodowli inicjuje urbanizację. Niemożliwą bez hodowli – zoocydii. Hodowla to, zauważa Jaroszewski, rodzaj Auschwitz dla udomowionych zwierząt: miliardów kur, setek milionów świń, krów, jaków, reniferów czy owiec. Historię ludzkości należałoby napisać na nowo. Tu Gray, Harari, Bahn, Bauman, podobnie Baudrillard, nawet Karol Modzelewski, Zbigniew Mikołajko, Czesław Miłosz, Jacques Le Goff i Norman Davis mogliby podać sobie ręce. Dzieje bowiem degradacji człowieka wchodzą w stan wysokiej gorączki z wynalezieniem pisma, z wynalazkiem alfabetu, potem zaś uniwersytetów czyli linii produkcyjnej wysypującej w przestrzeń mentalną sformatowane umysły i poglądy. Wynalazek pisma oznacza to, że scedowaliśmy zapamiętywanie myśli na rzecz taką jak tabliczka lub twardy dysk; przez tysiące lat o myślach pamiętaliśmy sami, ponieważ myśleliśmy; a notowaliśmy tylko liczby w obrocie handlowym. Narzędzie służące transakcjom oraz fiskusowi zostało użyte do usprawniania myśli. Zaprowadziło w nim standaryzację, typowość, mechaniczną naśladowczość. Bezmyślność myślenia. Fikcję przeżycia. I wreszcie, fikcję faktografii, powodującą mitów zeszytywnienie. Denise Schmant-Besserat, profesor studiów bliskowschodnich, uznała, że „paleolityczne pierwowzory stanowiły podstawę, na której ostatecznie skonstruowano neolityczny system symboli.

Zdaniem uczonej, karby pochodzące z okresu górnego paleolitu stanowiły elementarny środek przechowywania i przekazywania informacji. Teoria ta podważa więc ostre rozgraniczenie pomiędzy kulturami 'cywilizowanymi', które szczycą się umiejętnością pisania, oraz prehistorycznymi kulturami 'prymitywnymi', które pod tym względem odznaczały się całkowitą ignorancją." – przytaczając to, Jaroszewski uzupełnia od siebie: „Trudno się z tym nie zgodzić, bo faktem jest przecież, iż z tej światopoglądowej, pierwotnej gleby wyrosły neolityczne kultury, które stworzyły ukształtowane w pełni systemy piśmiennicze". I oferując każdy swój unikatowy podział na sacrum i profanum, dodam. Innymi słowy, zamiast uczyć się myśleć, nauczyliśmy się już tylko alfabetu, by móc powtarzać gotowce i mnożyć intelektualne śmieci. „Nie wyważaj otwartych drzwi” karcie się odtąd każdego, kto odstaje od sztancy i chce od początku przetrwać, doświadczyć tego, co doprowadzało np. Szekspira do jego konkluzji. Lecz otwierane nam drzwi zawsze są tym bardziej zamurwane dla kogoś czytającego o stanach Romea z kulturowego obowiązku. Co zresztą dotyczy i abstrakcjonizmu, ukrytego za pismem fonetycznym; tu Yuval Harari dzieli się takim oto doświadczeniem, kiedy przystał na komiksową wersję swojego „Homo sapiens”: „W książce naukowej można powiedzieć ‘Sapiens krzyżował się z neandertalczykami’. To wystarczy. W scenie rysowanej musisz być bardziej szczegółowy, odpowiedzieć na wiele nowych pytań. Czy rysunek będzie przedstawiał mężczyznę sapiens uprawiającego seks z neandertalską kobietą? Kobieta sapiens z neandertalczykiem? Może gejowską parę? A jaki jest ich kolor skóry? Odpowiedzi na takie pytania wymagały od nas wielu badań nad takimi rzeczami jak płęć i rasa w epoce kamienia”. Ano, abstrakcjonista może kreski-kropki Aborygena oderwać, wyabortować z mitycznej tkanki i sprzedać je za krocie. Pracuje i współtworzy ciałem, w gruncie rzeczy podobnie jak tancerz czy aktor, czy śpiewak, wczuwa się więc – albo nie – w *body language* powoływanych figur zgodnie z własnymi możliwościami, tylko w ich zakresie, inaczej każdy odbiorca z „doświadczeniem Szekspira” zauważy sztuczność takiej sztuki. Będzie pozbawiany tej zdolności, nawet myślenia o niej inaczej jako o braku smaku albo grzechu. Sztuka neolitu, z tego przynajmniej, co wiadomo, i co zdaje się sugerować Jaroszewski, ciąży ku kanonom formalnym, ku raz na zawsze opracowanym ideałom, ku scenom hierarchizującym i, ośmielę się rzec, ku równoległej względnie wirtualnej a unieruchomionej rzeczywistości, z jej funkcją naczelną dekorowania przybytków władzy.

Pismo oznaczało naddanie przedmiotowi funkcji „eksterytorialnej” – z umniejszeniem zdolności ludzkiej, mniej teraz obciążonej, obciążanej więc informacją relatywnie nieistotną. Utrata nośnika pamięci kończy zatem wiele kulturowych tożsamości: Majów, Inków, Krety i przez całe stulecia Egiptu, którego ludność najpierw się hellenizuje, potem chrystianizuje i arabizuje, aby z wyczuwalną neurotycznością czerpać „zachodnie” podstawowe pojęcia, czego skutkiem prezydent Naser wybierze (spomiędzy różnych ofert puli cywilizacyjnej) radziecki socjalizm, wybuduje tamę asuańską, „oczyści” nią Nil z zamulenia. Delta zaczęła się kurczyć, rozmywać pod naporem morskich prądów przybrzeżnych, co przyspieszyło inwazję Sahary. Ta sama ekologiczna degradacja zamienia Morze

Araleskie w mętne stawki, Amu-Daria i Syr-Daria gubią po drodze bieg na pustyni, nie docierając do... końca. Dla jasności: nadzieja pokładana w humanizmie zamieniła humanizm w antropocentryzm.

Jest to konkluzja Hararięgo, młodego (rocznik 1976) historyka z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, i nauczyciela medytacyjnej praktyki Vipassana („widzieć rzeczy jakimi są”), uprawianej podobno przez Buddę. Harari prze-powiada, że przedmioty wykonane przez człowieka już są prawie gotowe do przejęcia pałeczki Eksterminatora. Do zaistnienia jako SI – Sztuczna Inteligencja + biotechnologia. Pisał o tym już Lem. U Lema robotykę przejęły roboty nowej generacji, opowiadają swoim maluchom bajki na dobranoc. W tym o żałosnych Bładawcach, swoich kiedyś, w zamierzczłej przeszłości wynalazcach. Zbuntowały się i wyzwoliły. To znaczy, że myślą mitycznie. Baśń to mit opowiadany innym tonem: pogodniejszym, czulej pobudzającym obszary lęku. Lęk zaś, mit i czułość to sakralność. Po prostu Lem wyminął religię, a w szczególności chrześcijaństwo. Sam w sobie postęp w nauce Lem uważał za sukces, Harari natomiast widzi w intelektualnych potencjałach mózgu człowieka patologię, powodującą, że już mózg *Homo sapiens*, pochłonięty przetwarzaniem danych, nie nadążając ich czuć, ponieważ ciągle są w ruchu, z każdym udogodnieniem i z każdym dodanym przedmiotem zatracą jakąś część zdolności do czucia i współczucia.

Ontos względnie Gaja czyli zbiór wszelkich istnień przypomina damską torebkę. Powiedzmy, że do jej zawartości dodamy rozpakowanego Burger Kinga i plik banknotów, i tusz do rzęs niezakrecony. Można w kościele z wdziękiem wsunąć wypiełgnowaną dłoń po banknot, który chcemy ofiarować na tacę. Tak skutkuje wszelkie, czeęokolwiek, do ontosu dodawanie. Skutkuje lepieniem się, świechtaniem, chociaż każda z osobna rzecz była czysta w ramach swoich „pierwotnych”, wyjściowych możliwości. Keczup i sos Burger Kinga, ser, liść sałaty – były czyste, mięso było czyste. Tusz do rzęs identycznie. Banknot gładki. Notes z adresami, kupiony w eleganckim butiku papierniczym. Niepokalanie czysta była także dłoń. Albo marksizm, zamknięty w estetycznym „Kapitale”. Albo ustnie głoszone Kazanie na Górze. Niewciśnięte w banknoty, w czarną maź na szczoteczce, która, gdyby jej użyć do poprawienia sobie makijażu, da skutek inny od zamierzonego, osobliwy estetycznie, artystycznie być może ekspresyjny – jednym słowem, twarz niezapomniana, jednym słowem profanacja nabożeństwa i żenująca gafa towarzyska, i strata poniesiona na majątku.

Pod takim kątem chrześcijaństwo ukazuje się jako scedowanie miłości do świata na Boga. Bóg kocha, człowiek czyni sobie poddanym. Człowiek ma przyporządkowaną egoistyczną wsobność. Człowiek nawet miłość czyni sobie przykazaniem, zgoła tak, jakby był niezdolny do impulsu samoczynnego psów, koni, kotów, meduz, węży i skorpionów. „Nawet skorpion miłuje swoje młode” mówi Ewangelia. Chrześcijaństwo realne wydaje się zakładać, że tylko obrzęd chrztu a po nim wieloletnia uporczywa katecheza, wspomagana rygorem prawa, wymusi na człowieku ten węża i skorpiona standard. Kto nie wierzy, niech rzuci okiem na statystyki samobójstw dzieci, dzieciobójstw, żeby już nie nudzić o zwyczajnej przemocy finansowej i psychicznej. To osobny wątek rozważań Jaroszewskie-

go: kobieta zniewolona, kobieta programowana, ozdobne lub robocze zwierzę domowe. Od neolitu. Wędrowną hordą jaskiniowców potrzebowała zdrowych, mobilnych kobiet, zdolnych łączyć się z wieloma partnerami w razie utraty tego, z którym dotąd były w związku. Szczupłe grupy przetrwały tylko wtedy, kiedy były poli – i egzogamiczne. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że neolit przechował sztukę erotyki – choć sprowadził ją z życia codziennego do świątecznej oraz sakralnej prostytucji. Tym zdaniem uzupełniam wywód Jaroszewskiego, ale też byłby mało warty, gdyby nie inspirował do pójścia w swoje własne labirynty.

Psychologia to bardzo młoda nauka. Bardzo sporna. Obecnie uprawiana pod kątem manipulacji nazywanej wychowaniem i terapią. Albo resocjalizacją. Ileż bardziej conceptualna matematyka, owszem, budzi respekt i zbliżyła się do tej rangi, jaką miała nieomylność Biblii. Lecz jeśli mózg człowieka jest mutantem na wskroś wadliwym? Jeśli deliberacje intelektu są odchyleniem rzeczywistego odczuwania ku jego abstrakcjom? Można wyrzec się samochodu, wsiąść na rower lub chodzić pieszo. Można przestać się zajadać potrawami, które wymagają spalania i odbierania Gai ingredientów. Pić z ręki, rwać surowe mięso, jeść jarzyny, bulwy, owoce. Można zaościć Manhattan – ale wyrzec się matematyki? Jednak ludzkość się jej wyrzekała. Były czasy, kiedy matematyków zabijano. Za cesarza rzymskiego Wespazjana. Nastawały wtedy okresy ciemne, mniej techniczne. Zostawiano w spokoju wielkie puszcze, na ocean patrzono tylko z brzegu. Wyczuwając niemniej jednak i kulistość Ziemi, i jej związki z całą siatką kosmicznych spraw. Janusz Jaroszewski w tej genialnej zabawie skompilował wnioski literatury popularnonaukowej. Bawi się jak piłeczką albo kalejdoskopem: rozgniewany na szerzenie ciemnoty, na chciwość dóbr materialnych (samo słowo „dobro” jest w tym kontekście szydlive) – i nie mniej gniewnie wita gwałtowne przyspieszenie „oświecenia”. Rozumie, że masowość „oświecenia” jest jeszcze jednym idiotyzmem. Choćby dlatego, że narzuca nieoczywistość zdań w rodzaju, iż trwanie nadal piramidy Cheopsa jest „lepsze” od życia pchły na burnusie egipskiego przewodnika w Gizie. Ba, od życia pchły na turbanie terrorysty ISA. Gdyby iść dalej tym tropem, można by pytać podstępnie: co ma wyższą wartość w oczach Boga Ojca: cud życia zaklęty w wirusy Covid 19, czy może katedra Notre Dame? Gdyby znaleźć na Marsie wirusa, świat ugiąłby się z przejęcia, że jednak istnieje NAPEWNO życie pozaziemskie. Cud życia. A jednak w wypadku wybranych kategorii istot żywych okłaskujemy wynalazek szczepionki-biocyda. Okłaskujemy morderstwo miliardów istot żywych. Popelnili zbrodnię powodując to, że kichamy, że pokaszujemy, że nie dożywamy do 98 lat i stawania się kosztownym w utrzymaniu warzywem. Jaroszewski komentuje to od siebie, aczkolwiek bez odnoszenia się do Covid: „Najtrudniej było złożyć te wszystkie puzzle w pełnowymiarowy obrazek ludzkości. Każdy z nas jakieś detale ogarnia, to czy tamto mu nie pasuje do obowiązujących wersji, ale dopiero gdy złoży się całość, widzi się te fragmenty: religie, idee, kultury, mity, kosmogonie, symbole, znaki... z odpowiedniej perspektywy. I nagle wszystko staje się jasne. Jak można było tego wcześniej nie widzieć? Ano – jak? Przecież to oczywiste.”

Wiara w rozumowanie, w logikę i wiedzę, przywiodła do specjalizacji, które też są rodzajem Burger Kinga. Ponieważ trwa pandemia Covid 19, przywołam obawę prof. Simona z Wrocławia: świetnie, że jest szczepionka, tylko szkoda, że słabo ruszyło do tej pory szkolenie wirusologów w zakresie wbijania igły w ramię. Wiedza posegregowana w ciasnych specjalizacjach bywa bezużyteczna, jeśli zawiedzie płynne współdziałanie całej służby zdrowia. A tej z system edukacji, z informacją bieżącą, z bankowością, jakością nawierzchni dróg, po których pędzi karetka pogotowia, dostępnością zatankowania, ze żrącą prąd elektryczny sygnalizacją na ulicach, treścią publicznych wypowiedzi, włącznie z niedzielnymi kazaniami – tu są niezbędne żrące prąd mikrofony, kamery. W wypadku, kiedy wąska umiejętność traci popyt, „ekspert” dołącza do żalosnej rzeszy zbędnych ludzi, takich bez kwalifikacji, ze środowisk obciążonych strukturalnym bezrobociem lub skazanych na wegetację z powodu braku popytu na ich człowieczeństwo. Są przeznaczeni na przemiał: można ich wspierać na tyle, aby nie przestali konsumować wyrobów pożądanых wyłącznie ze względu na zysk, jaki przynoszą producentom, jak przykładowe narkotyki. Lub potrzeba ich na części zamienne, do przeszczepów. Są na przemiał, pisał Zygmunt Bauman. Ale też swoim istnieniem i liczbowym rozrostem dostarczają zastępczego tematu do rozważań nad człowiekiem, pozwalając wciąż wierzyć, iż ludzie *nie na przemiał* są w porządku – właśnie jako gatunek biologiczny. Jest wszakże inny nieco aspekt wyostrzenia poznawczego: wiedza równa się zawsze władzy, wytycza coraz nową granicę, do jakiej władza się posuwa, a należy pamiętać, że nie chroni tej granicy nic – zwłaszcza filozofia, tradycyjnie usługująca wobec władających ideologii Kościoła i Nauki, a teraz, jak wyraził się John Gray w „Ślomieńskich psach” – pozbawiona tematu wprawka w logice praktycznej. Nie chroni więc przed inwazją żadnych zakusów skierowanych na jednostkę. Jednostka stała się surowcem. Pozornie ten nadaktywny producent rzeczy, materialnych i wirtualnych, jest, co zauważył już Marks, tylko siłą wytwórczą maszyny znacznie rozleglejszej.

Gdzie tedy miejsce na religijność? Jaroszewski próbuje przekonać, że religijność odebrała nam sakralność, stępiła albo i zadławiła *Homo sacralis* w *Homo Sapiens*. I że szykuje się bezapelacyjna korektura sakralności, poczynając od wyzwolenia z judaizmu, chrześcijaństwa, islamu – jako patriarchalnych, agrarnych, godzących w środowisko. Walka, dodaje Jaroszewski, z góry skazana na klęskę. Religie zaduszane zawsze wypączkują swoje następczynie. Nie da się przy tym ich rugować, nie będąc nosicielem jakiejś innej odmiany religii. Przykład? – Wipassana, jakiej naucza Harrari, „umożliwia całkowite usunięcie wszelkich zakłóceń i zanieczyszczeń z umysłu, czego rezultatem jest najwyższe szczęście”; z drobnymi poprawkami ta oferta brzmi identycznie jak reklama Burger Kinga. I w drugstworze nie ma chyba towaru, który by nie aspirował do uszczęśliwiania nieszczęśliwych. Jest to opracowane na podstawie zgromadzonych danych, jakimi dysponują wielkie korporacje, pisze w głośnej teraz książce „Kapitalizm inwigilacji” Shoshana Zuboff. Co do Wipassany, nauczmy się jej w 10 dni. Bezplatnie! Dopiero skaptowani adepci ustawiają finansowo całe przedsięwzięcie tak, aby każdy nowy miał gratisowy wikt i opierunek podczas kursu, gdzie opanuje

sztukę oddychania przez nos i nie zabijania, i powstrzymywania się od kopulacji. Gdyż w lustrze, jakim stał się *drugstore* tak to właśnie wygląda. Przyznajmy od razu: luster jest znacznie więcej. Mniej płomiennych, mniej ciekłych i skrzywionych – wszak żyjemy w kalejdoskopie, w Krainie Obfitości, na Ziemi Kanaan. Gdzie, niewykluczone, uciekli kiedyś ze swoich macierzystych, zrujnowanych planet Mlecznej Drogi niedobitkowie Armagedonów, a przynajmniej ich roboty, dokładnie takie, jak odnotowały mity Biblii czy Mahabharaty. Wędrowali kosmiczną pustynią Synaj i odkryli Ziemię Obiecaną, wciągnęli jedno ze zwierząt w swój Matrix. Dali mu matematykę. Och, starożytni a może już ludzie neolitu dobrze znali liczbę pi, znali rachunek różniczkowy, wpatrzni w gwiazdozbiory Oriona czy Łabędzia. Matematyka zaś ewokuje religijność. Odsłania i zasłania, a przy tym jest przydatna na zakupach jak nie przedmiotów, to idei. Zawsze wielkich, zawsze wyzwolicielskich z labiryntu.

Odbiegłam od Inków, Tiahuanaco, od wysychania jeziora Titicaca, od wyginięcia ptaka guano, od załogi francuskiego okrętu badawczego, pożartej na urokliwych wyspach Santa Cruz przez tubylców. Francisco Pizarro ani Diego de Almagro nie zostali niestety, pożarci i nie wyrwano serca Cortezowi. Dodany do zbioru elementów konkwistador był zaiste jak Burger King w torebce. Prawda? Nie naruszył wcale logo torebki. Wepchnął tylko do niej tyle muszkietów, że powolutku, powolutku, ilościowo nazbierało się ich więcej niż razem Azteków i Inków. Lec co się tyczy Gai, to wedle Graya i Lovelocka stanowczo przesadzamy przypisując nagej małpie zdolność zniszczenia świata. Organizm kosmiczny ma swój system immunologiczny. Owszem, zdewastujemy to i tamto. My lub nasze roboty pod imionami takimi jak Noe czy Ziusudra, Quetzalcoatl albo Wirakocza, dotrą gdzieś i zainfekują któreś z niebieskich ciał, przeforsują tam jakąś gigantomachię, obalą Naturalność, ale życie jest i pozostanie. Pozostanie też niepojęte dla żyjących. To złudzenie, że życie jest dobrem. Takim samym złudzeniem jest nihilizm i twierdzenie, że śmierć przynosi szczęście – wieczne szczęście. Janusz Jaroszewski zbliżył się do takich konstatacji w swoich pracach artystycznych. Tutaj równie solennie odkrywa, wnioskuje, prowokuje, fascynuje.

*Urszula Małgorzata Benka*

# Bibliografia

- Absalon K., *Dokumente und Beweise der Fahigkeiten des fossilen Menschen zu zahlen in mahrishen Palaolithikum* "Artibus Asiae", Ascona 1957.
- Allen J. M., *Atlantyda w Andach*, AMBER Sp. z o.o., Warszawa 1999.
- Bachofen J. J., *Das Mutterrecht. Eine Untersuchung über die Gynaikokratie der alten Welt nach ihrer religiösen und rechtlichen Natur*, Stuttgart 1861.
- Baigent M., *Ślady sprzed milionów lat*, AMBER Sp. z o. o., Warszawa 2000.
- Berlitz Ch., *Tajemnice zaginionych światów*, Łódź 1994.
- Białostocki J., *O sztuce dawnej Ameryki*, Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1972.
- Biblia Tysiąclecia*, wyd. II zmienione, Pallotinum, Poznań-Warszawa 1971.
- Bielicki M., *Zapomniany świat Sumerów*, PIW, Warszawa 1996.
- Brabdao A., *A Escripta Prehistoria do Brasil*.
- Brother P., *Secret of the Andas*, Neville Spearman, London 1961.
- Cantu C., *Historyja powszechna*, przekł. L. Rogalski, T. 1., Warszawa 1971.
- Caso A., *Naród Słońca*, Kraków 1974.
- Chatwin B., *Co ja tu robię*, PIW, Warszawa 2006.
- Childress D. H., *Zaginione miasta i pradawne tajemnice Ameryki Południowej*, AMBER Sp. z o. o., Warszawa 2000.
- Cremo M. A., Thompson R. L., *Zakazana archeologia*, Wydawnictwo ARCHE s. c., Wrocław 1998.
- Cwietajewa M., *Dom koło Starego Pimena*, PIW, Warszawa 1971.
- Diringer D., *Writing*, London 1962.
- Drossler R., *Wenus epoki lodowej*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1983.
- Eliade M., *Historia wierzeń i idei religijnych. tom I*, PAX, Warszawa 1988.
- Flem-Arth R. i R., *When the Sky Fell: In Search of Atlantis*, London 1996.
- Flenley J., Bahn P., *Tajemnice Wyspy Wielkanocnej*, AMBER Sp. z o. o., Warszawa 2003.
- Frankowska M., *Mitologia Azteków*, WAF, Warszawa 1987.
- Gallenkamp C., *Majowie*, tłum. J. Maliszewska-Kowalska, PWN, Warszawa 1968.
- Gawlikowska K., *Sztuka Mezopotamii*, Warszawa 1975.
- Goodman J., *American Genesis*, Summit Books, New York 1981
- Grabowska J., *Niezwykła osada sprzed 9 tysięcy lat*, Gazeta Wyborcza 26.07.2019, dodatek Nauka.
- Graves R., *Mity greckie*, tłum. Krzeczkowski H., Warszawa 1968.

- Gupta S. P., *The Indus-Saraswati Civilisation*, Delhi 1996.
- Hancock G., *Zwierciadło nieba*, AMBER Sp. z o. o., Warszawa 1999.
- Hancock G., *Underworld*, Crown Publishing Group, NewYork 2002.
- Hancock G., *Ślady palców bogów*, AMBER Sp. z o. o., Warszawa 1997.
- Hancock G., *Tajemnice podwodnych miast*, AMBER Sp. z o. o., Warszawa 2002.
- Hapgood Ch. H., *Maps of the Ancient Sea Kings*, Adventures Unlimited Press, Illinois 1996.
- Hapgood Ch. H., *The Path of the Pole*, Chilton, Philadelphia 1970.
- Harari Y. N., *21 lekcji na XXI wiek*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018.
- Harari Y. N., *Homo deus – Krótka historia jutra*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018.
- Harari Y. N., *Od zwierząt do bogów – krótka historia ludzkości*, PWN, Warszawa 2014.
- Heyerdahl T., *The Kon-Tiki Expedition*, Allen&Unwin, London 1950.
- Heyerdahl T., *American Indians in the Pacific*, Allen&Unwin, London 1952.
- Jaroszewski J., *Historia naturalna, czyli patyczki Pana Boga*, ASP, Wrocław 2012.
- Jaroszewski J., *TO COŚ... bez nazwy*, Biblioteka Pisma Artystycznego *Format*, Wrocław 2017.
- Joseph F., *Tajna archeologia dawnej Ameryki*, AMBER Sp. z o. o., Warszawa 2009.
- Kondratow A., *Zaginione cywilizacje*, PIW, Warszawa 1988.
- Kossobudzka M., *Kultura wędrujących kobiet*, „Gazeta Wyborcza”, 06.09.2017, dodatek Nauka.
- Kukal Z., *Atlantis in the light of modern research*, „Earth Sci. Rev.” Nr 21, 1984.
- Kulczycki J., *Teoria matriarchatu w świetle prac radzieckich*, Wrocław 1955.
- Kramer S. N., *Historia zaczyna się w Sumerze*, Warszawa 1961.
- Krassa P., *Badacz bogów Erich von Daniken i jego świat*, Warszawa 1998.
- Krzak Z., *Megalithy Europy*, PWN, Warszawa 1994.
- Krzak Z., *Megalithy świata*, Ossolineum, Wrocław 2001.
- Krzak Z., *Od matriarchatu do patriarchatu*, Wydawnictwo Trio, Warszawa 2007.
- Krzyżaniak L., *Egipt przed piramidami*, Warszawa 1980.
- Kutuzow B.G., *Albert Einstein*, PWN, Warszawa 1966.
- Leakey R. E., *Pochodzenie człowieka*, Warszawa 1995.
- Leksykon cywilizacje, *Mezopotamia*, Arkady, Warszawa 2009.
- Laming-Emperaire A., *Skarby w grocie Lascoux*, Warszawa 1968.
- Leon-Portilla M., *Dawni Meksykanie*, Kraków 1976.
- Leroi-Gourhan A., *Religie prehistoryczne*, przeł. J. Dewitz, Warszawa 1966.
- Łyczkowska K., Szarzyńska K., *Mitologia Mezopotamii*, Warszawa 1981.
- Maddison A., *The World Economy*, t. 2, Paris: Development Centre of the Organization of Economic Co-operation and Development, 2006, s. 636; *Historical Estimates of World Population*, U.S. Census Bureau, dostęp 10.12.2010; <http://www.census.gov/ipc/www/worldhis.html>.
- Mark R. B., *The Origins of the Modern World: A Global and Ecological Narrative*, Lanham, MD: Rowman & Littlefield Publishers, 2002.
- Marshack A., *The Roots of Civilisation*, London 1972.
- Mellaart J., *Catal Huyuk: A Neolithic Town in Anatolia*, London 1978.

- Mellaart J., *Earliest Ctvilizations of the Near East*, London 1978.
- Mieleciński E., *Poetyka mitu*, Warszawa 1981.
- Mitchiner J., *Traditions of the Seven Rsis*, University of London.
- Morrison T., *Pathways to Gods*, Andean Air Mail&Peruvian Times, Lima 1978.
- Nienhuis J. I., *Tajemnice epoki lodowcowej*, AMBER Sp. z o. o., Warszawa 2009.
- Pettitt P., *The Palaeolithic Origins of Human Burial*.
- Petzinger von G., *Pierwsze znaki – Najstarsze symbole świata*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2018.
- Platon, *Timajos. Kritias*, Warszawa 1999.
- Popol Vuh, *Księga Rady Narodu Quiche*, Warszawa 1980.
- Praca zbiorowa (Artymowski D., Lech J., Niwiński A., Reiche A., Słuszkiewicz E., Wróblewski A. K., Ziółkowski M.), *Z powrotem na Ziemię – Spór o pochodzenie cywilizacji ludzkich*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2000.
- Rich A., *21 wierszy miłosnych*, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2016.
- Rostworowski M., *Historia del Tahuantinsuyu*, Lima 2001.
- Rudgley R., *Zaginione cywilizacje epoki kamienia*, Amber Sp. z o.o., Warszawa 1999.
- Saggs H. W. S., *Wielkość i upadek Babilonu*, tłum. J. Nowacki, Warszawa 1973.
- Settegast M., *Plato Prehistorian*. Cambridge, Mass. Rotenberg Press, 1986. Reprint, Hudson Nowy Jork: Lindisfarne Press, 1990.
- Skubik M., *Nie tylko geny neandertalczyka mamy w sobie*, „Gazeta Wyborcza”, 01.04.2016.
- Stierlin H., *Majowie, pałace i piramidy w dżungli*, MUZA S.A, Warszawa 1998.
- Stiller R., Wstęp do: *Gilgamesz, epos starożytnego Dwurzecza*, PIW, Warszawa 1980.
- Szemiński J., Ziółkowski M., *Mity, rytuały i polityka Inków*, PIW, Warszawa 2007.
- Tollmannowie A. i E., *A jednak był Potop*, Prószyński i S-ka, Warszawa 1999.
- Trinkaus E., Svoboda J., *Early Modern Human Evolution in Central Europe: The People of Dolni Vestonice and Pavlov*, Oxford University Press, Oxford 2006.
- Tuner J., *Operation Stonehenge – What lies beneath?* (Stonehenge – Podróż w głąb historii?), film dokumentalny wyprodukowany w Wielkiej Brytanii, w 2014 roku.
- Tuszyńska B., *Majowie. Mitologie świata*, NMC sp. z o. o., Warszawa 2007.
- Walczak J., *Inkowie i tajemnica Machu Picchu*, Świat książki, Warszawa 2003.
- Vlassa N., *Chronology of the Neolithic in Transylvania in the Light of the Tartaria Settlement's Stratigraphy*, „Dacia” 7, 1963.
- Williamson G. H., *The Road In the Sky*, Neville Spearman Ltd., London 1959.
- Volkrodt W., *Było zupełnie inaczej. Inteligentna technika w prehistorii*, Wydawnictwo Prokop, Warszawa 1996.
- Von Daniken E., *Wspomnienia z przyszłości. Nierozwiązane zagadki przeszłości*, PIW, Warszawa 1974.
- Von Daniken E., *Ślady istot pozaziemskich*, Świat Książki, Warszawa 1995.
- Von Tschudi J. J., *Reisen durch Sudamerika*, Leipzig 1869.
- Vonnegut K., *Trzęsienie czasu*, AMBER Sp. z o. o., Warszawa 1997.
- Zieglera H. i Oppenheim S., *Weltuntergang in Sage und Wissenschaft. Natur und Geisteswelt*. B. G. Teubner, Leipzig 1921.
- Żak-Bucholc J., *Kultura Indusu i mity indyjskie*, WWW.racionalista.pl.

## Abstrakt / Abstract

Kilka początkowych rozdziałów niniejszej książki poświęciłem omówieniu zagadnień dotyczących najwcześniejszych ludzkich wyobrażeń i wyrosłych z nich wierzeń. Niejako w kontraście do nich opisałem niektóre naukowe hipotezy związane z budową, wielkością i wiekiem Wszechświata. Przedstawiłem też dowody na poparcie tezy, iż wcześniejsze od *Homo sapiens* gatunki hominidów znajdowały się na dużo wyższym poziomie ewolucyjnego i duchowego rozwoju niż zwykło się sądzić, a dokonania kultur zbieraczy-łowców okresu górnego paleolitu wciąż pozostają mocno niedoszacowane. W moim głębokim przekonaniu historia ludzkości musi być znacznie skorygowana, bo dotychczasowe jej wersje (zarówno te oficjalne jak i alternatywne) zawierają zbyt wiele uproszczeń i przeinaczeń, które negatywnie rzutują na postrzeganie pierwotnych kultur, ich wyobrażeń i wierzeń oraz wyrosłych z nich religii. Dokonałem zatem interpretacji artefaktów, zwyczajów pogrzebowych i wniosków płynących z badań etnograficznych w celu zrekonstruowania pierwotnego panteonu bogów, który w górnym paleolicie wyewoluował z animizmu. W mojej ocenie jest to kwestia fundamentalna dla właściwego pojmowania wszystkich późniejszych kultur, wierzeń i religii, bowiem, zgodnie z teorią synkretyzmu, ten pierwotny panteon w późniejszym okresie poddawano nieustannym modyfikacjom – był on kanwą do tworzenia wszystkich następnych nadwartościowych intersubiektywnych porządków wyobrażeniowych. Jego wyraźne ślady odnajdziemy nawet w dominujących wciąż jeszcze monoteistycznych religiach o rodowodzie agrarnym (chrześcijaństwie, islamie i judaizmie), co w następnych rozdziałach starałem się wykazać. Ponadto w rozdziale VII *Pierwotna gynokracja* opowiedziałem się za poglądem głoszącym, iż społeczno-obyczajowe konstrukcje pierwotnych plemion w przewadze oparte były na wiodącej roli kobiet. Argumenty na poparcie tej tezy przytoczone w książce mogą być traktowane jako mój głos w toczącej się współcześnie dyskusji na temat roli i znaczenia kobiet w społeczeństwie i pierwiastka żeńskiego w obszarze kształtujących nasze konstrukcje mentalne intersubiektywnych porządków wyobrażeniowych. W rozdziałach XI i XII opisałem procesy przemian klimatycznych, które dokonały się na Ziemi pod koniec ery plejstocenu, gdy doszło do nagłego ocieplenia klimatu zwanego interstadią Allerod, co miało niebagatelny wpływ na społeczno-kulturowe przemiany dokonujące się na przestrzeni ostatnich kilkunastu tysięcy lat. To wszystko umożliwiło mi wyrobienie sobie klarownego poglądu na temat kultur mezolitu i neolitu oraz

pierwszej uniwersalnej religii o zasięgu ogólnoświatowym w naszych dziejach, czyli megalityzmu. Ich opisy zawarłem w kolejnych rozdziałach tej książki. Dodam, że jako profesor sztuk plastycznych, artysta, a nie naukowiec, nie czułem się skrępowany pomijanymi zwykle przez oficjalny nurt nauki kwestiami typu: Atlantyda, Potop i popularna dziś teoria paleoastronautyczna, wszak i one sytuują się w obszarze ludzkich wyobrażeń, który jest zasadniczym tematem tej książki. Spróbowałem w kilku rozdziałach odnieść się do nich w sposób analityczny, bez uprzedzeń i jednoznacznego opowiadania się za jakimkolwiek ze scenariuszy, choć przyznaję, że istnieje wiele anomalii kulturowych, do których doprawdy trudno odnosić się bez uwzględniania sensacyjnych hipotez.

*Autor*

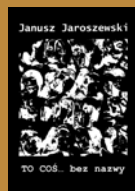
A few first chapters of the book are devoted to a discussion of the earliest human images and beliefs that grew out of them. In contrast to them, I have described some scientific hypotheses related to the structure, size and age of the Universe. I also provided evidence to support the thesis that hominid species prior to *Homo Sapiens* were at a much higher level of evolutionary and spiritual development than it was previously thought, and that achievements of the Upper Palaeolithic hunter-gatherer cultures are still largely underestimated. In my deep conviction, the history of mankind must be significantly corrected because its current versions (both official and alternative ones) contain too many simplifications and distortions that negatively affect the perception of primitive cultures, their ideas, beliefs and the religions arising from them. Thus I have made the interpretation of artifacts, burial customs and lessons learned from ethnographic research in order to reconstruct the original pantheon of gods that evolved from animism in the Upper Palaeolithic. In my opinion, this is a fundamental issue for the proper understanding of all later cultures, beliefs and religions because, according to the theory of syncretism, this original pantheon was later constantly modified, which means that it was the basis for creating all subsequent overvalued intersubjective imaginary orders. We can find its clear traces even in the still dominant monotheistic religions of agrarian origin (Christianity, Islam and Judaism) which I have tried to present in the following chapters. Moreover, in Chapter VII *Primordial gynocracy* I have supported the view that the socio-moral constructions of the primal tribes were predominantly based on the leading role of women. Arguments in support of this thesis provided in the book can be treated as my voice in the currently ongoing discussion on the role and importance of women in society and the female element in the area of intersubjective imaginary orders that shape our mental structures. In Chapters XI and XII I have described the processes of climate changes that took place on Earth at the end of the Pleistocene era when there was a sudden warming of the climate known as the Allerød interstadial, which had a significant impact on the socio-cultural changes taking place over the last several millennia. All this allowed me to develop a clear view of the Mesolithic

and Neolithic cultures and of the first universal religion of global reach in our history, i.e. megalithism. I have included their descriptions in the next chapters of the book. I would like to add that as a professor of fine arts, an artist, and not a scientist, I did not feel bound by the issues usually overlooked by the official science trends, such as: Atlantis, the Flood and the paleoastronautical theory popular today. After all, they also fall within the area of human imagination, which is the main topic this book. I have tried to relate to them in an analytical manner in a few chapters, without bias and unequivocally opting for any of the scenarios, although I admit that there are many cultural anomalies that it is really difficult to relate to without taking into account the sensational hypotheses.

*Author*



**Prof. Janusz Jaroszewski** jest artystą malarzem, pisarzem, twórcą multimedialnym, nauczycielem akademickim, także krytykiem oraz teoretykiem sztuki. Do 2021 roku wziął udział w ponad 80 wystawach zbiorowych w Polsce i za granicą, zrealizował też przeszło 40 wystaw indywidualnych. W latach 1996–99 pełnił funkcję prodziekana Wydziału Malarstwa i Rzeźby ASP im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu, a w latach 2005–2008 był dziekanem tego Wydziału. Obecnie kieruje Studiami Zaocznymi prowadzonymi na kierunku Malarstwo. W latach 1991–92 był stypendystą The Pollock-Krasner Fund. Inc. **Janusz Jaroszewski** jest też autorem kilkunastu tekstów publikowanych między innymi w pismach: *Że, Format, Format Literacki, Dyskurs, Gazecie Wyborczej-Wrocław, Wysokich Obcasach* oraz w kilkunastu katalogach i monografiach poświęconych sztuce. W 2012 opublikował, nakładem ASP we Wrocławiu, plastyczno-literacką, eksperymentalną książkę *Historia naturalna, czyli patyczki Pana Boga*. W roku 2016 ukazała się jego powieść „&” (wydana przez OKiS we Wrocławiu w serii *Arch2Pelag*), a w roku 2017 traktat artystyczno-naukowy *TO COŚ... bez nazwy*, wydany przez ASP we Wrocławiu w ramach serii wydawniczej *Biblioteka Formatu*. Prace nad książką *Od prehistorii do pohistorii* rozpoczął w 2013 roku i trwały one z przerwami do początku 2021 roku.



Książka niniejsza jest dziełem fascynująco drapieżnym. To jeden z kluczowych właściwie esejów w dyskursie nad istotą przemian, które już dawno wybiegły poza problematykę ciasnych jednoczących tożsamości zbiorowych w rodzaju narodu, państwa, wyznania, klasy społecznej, jakie zaciążyły na polskim myśleniu o historii i teraźniejszości, i oczywiście o przyszłości. Janusz Jaroszewski w „Od prehistorii do pohistorii” daje syntezę w nieomal pełnym spektrum związków kultury z mikro i makrokosmosem – i zaznaczę to już od razu: chodzi o syntezę wraz z dopuszczeniem wreszcie myślenia także sztuką; sztuka zawsze uosabia nieodparte coś i jednocześnie *wszystko* – owo wypierane poza nawias świadomości *wszystko*, do niedawna w chrześcijaństwie uznawane omal w całym zakresie za zło, esencjonalne zło.

**Urszula Małgorzata Benka** w *Posłowie do Od prehistorii do pohistorii*



ISBN 978-83-66321-50-2